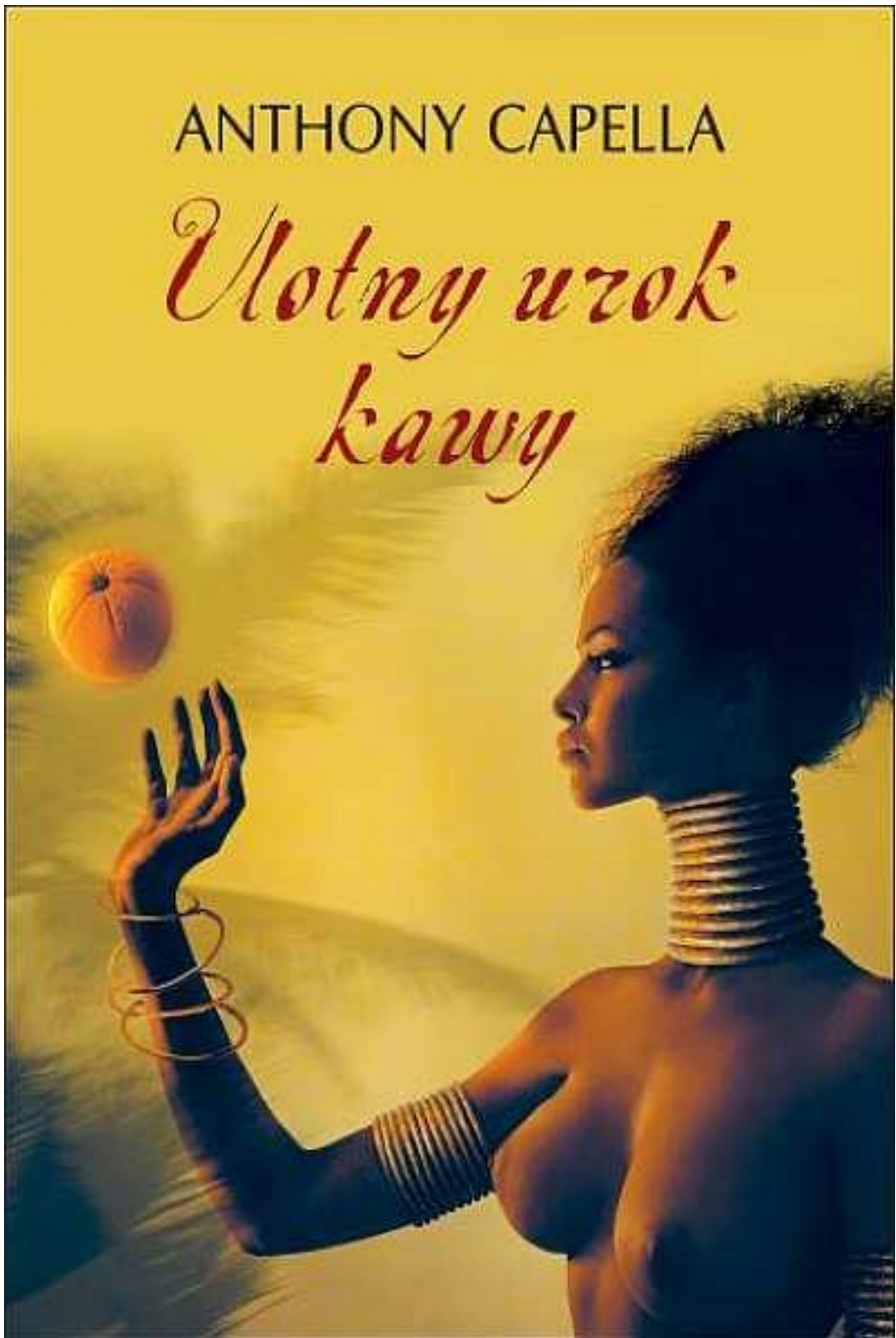


ANTHONY CAPELLA

*Ulotny urok
kawy*



Anthony Capella

Ulotny Urok Kawy

Przełożyła Dorota Dziewońska

Co wczoraj było kroplą śluzu,
jutro już będzie mumią lub prochem.

Marek Aureliusz *Rozmyślania* ^[1]

CZEŚĆ PIERWSZA

Ogier i powóz

Zapach kawy wciąż pozostaje w pewnym stopniu tajemnicą.

Ted Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

JEDEN

Któż to taki... ten młodzieniec z goździkiem w klapie i z laską w ręku, który zmierza w naszą stronę Regent Street? Można by sądzić, że jest zamożny, jego strój świadczy bowiem o znajomości najnowszych trendów mody, byłibyśmy jednak w błędzie; można by sądzić, iż jest esteta, gdyż zatrzymuje się przed domem towarowym Liberty, by podziwiać wystawę, a może tylko własne odbicie: opadające na ramiona loki wyróżniające go spośród przechodniów. Można by sądzić, iż jest głodny, bo zbliżając się do Café Royal – tego kłębowa najsłynniejszych plotek i labiryntu sal w pobliżu Piccadilly – przyspiesza kroku, oraz że jest tam stałym bywalcem, o czym może świadczyć sposób, w jaki wita się z kelnerem i sięga po „Pall Mall Gazette” w drodze do stolika. Pewnie można by nawet założyć, że jest pisarzem, widząc, jak zatrzymuje się, żeby zanotować coś w kajecie oprawionym w cielecą skórę.

Chyba już pora na prezentację. Tak, przyznaję – znam tego ekscentrycznego kawalera, a wkrótce i wy go poznacie. Możliwe, że po godzinie czy dwóch w jego towarzystwie stwierdzicie, iż znacie go aż za dobrze. Wątpię w to, żeby się wam spodobał, ale to nieistotne, sam niezbyt go lubię. Jest... cóż, sami państwo zobaczą. Może jednak uda się wam przymknąć oko na przywary i pomyśleć o jego przyszłości. Tak jak kawa nie ujawnia prawdziwego aromatu, dopóki nie zostanie zerwana, a ziarno wyłuskane, upalone i zaparzone, tak ten kon-

kretny jego sposób pod warstwą swoich wad skrywa kilka zalet. Może trzeba uważnie patrzeć, by je dostrzec... Mimo jego słabości czuję do niego pewien rodzaj nieodpartej sympatii.

Jest rok 1896. Młodzieniec nazywa się Robert Wallis. Ma dwadzieścia dwa lata. Jest mną, młodszym mną, sprzed wielu lat.

DWA

W 1895 roku po oblaniu egzaminów zostałem wydalony z Oksfordu. Nie zdziwiło to nikogo oprócz mnie: niewiele pracowałem, a na swoich kompanów wybierałem młodzieńców słynących z lenistwa, próżniactwa, abnegacji. Uczyłem się bardzo mało – może uczciwiej byłoby powiedzieć, że uczyłem się zbyt wiele, lecz nie z książek. Były to czasy, kiedy studenci, rozbijając się po High Street, recytowali strofy Swinburne’a: *Pomiędzy morzem a słońca zachodem/ jej pocałunków upiłem się miodem/ Z dnia noc się stała, a ze szczęścia smutki, a z długiej żądzы szal rozkoszy krótki. Jakąż, miłości, od ciebie nagrodę/ miał między morzem a słońca zachodem?*,^[2] a lokaje z przejęciem rozprawiali o Paterze i Wildzie. W kolegiach panował nastrój romantycznego uniesienia – ponad wszystko ceniono piękno, młodość i indolencję, a młody Robert Wallis wręcz zachłystywał się tą niebezpieczną doktryną i odurzającą atmosferą. Popołudnia upływały mi na pisaniu wierszy, a pieniądze ojca odpływały na jedwabne kamizelki, drogie wina, pawie pióra, smukłe tomy poezji oprawne w żółty welin oraz inne przedmioty niezbędne artyście – wszystko to dostępne na kredyt u kupców z Turl. Ponieważ moje zasoby finansowe i talent poetycki były w istocie skromniejsze, niż skłonny byłem przyznać, ten stan rzeczy w nieuchronny sposób zmierzał do żalosego końca. Jeszcze przed relegowaniem mnie z uczelni wyczerpałem wszystkie środki i ojcowską cierpliwość

i niebawem stanąłem przed koniecznością znalezienia źródła utrzymania, której (co przyznaję nie bez wstydu) do ostatniej chwili starałem się nie dostrzegać.

Londyn w tym czasie był wielkim kotłującym się szambem, lecz mimo to, a może właśnie dlatego, bujnie rozkwitały w nim przepiękne lilie. Zdawało się, że stolicę nagle zalała gwałtowna fala frywolności. Pogrążona w żałobie królowa wycofała się z życia publicznego. Pozbawiony jej uwagi książę rzucił się w wir uciech, a dokądkolwiek się udawał, my podążaliśmy jego śladem. Damy dworu przestawały z kurtyzanami, dandysi obracali się w półświatku, arystokraci spotykali się z estetami, handlowcy z członkami rodziny królewskiej. Czytywaliśmy „The Yellow Book”, naszym symbolem był zielony goździk, naszym stylem stało się coś, co zaczęto określać jako *nuveau*, a sposobem porozumiewania się był aforyzm – im bardziej nonsensowny, tym lepiej, najlepiej gdy wtrącony do konwersacji z wyćwiczoną zblazowaną melancholią. Czciliśmy twory ludzkie ponad dzieła natury, to, co uduchowione, ponadto, co praktyczne, i upominaliśmy się o prawo do ekstrawaganckich słabości, w których, może z wyjątkiem Oscara Wilde’a, raczej nie mieliśmy ochoty się pławić. Być wówczas młodym w Londynie – czyż mogło być coś wspanialszego! A mnie większość tych uciech miała ominąć – a niech to! – przez jedną przypadkową uwagę, którą uczyniłem w obecności człowieka o nazwisku Pinker.

TRZY

Tym, co przede wszystkim kształtuje smak, jest dobór ziaren.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Spożywałem właśnie śniadanie w Café Royal – talerz ostryg i grubo pokrojonej szynki w zielonym sosie – gdy kelner przyniósł mi kawę. Nie podnosząc wzroku znad gazety, pociągnąłem łyk, zmarszczyłem czoło i powiedziałem:

- A niech to, Marsden, ta kawa smakuje jak rdza!
- Wszyscy klienci piją taką samą – rzekł kelner wyniośle. – Nikt, o ile mi wiadomo, nie narzekał.
- Chcesz powiedzieć, że grymaszę?
- A cóż innego?
- Jak na kelnera, którego zadaniem jest usługiwanie, Marsden, nie brak ci niczego prócz usłużności. A jak na błazna... brak ci tylko poczucia humoru.
- Dziękuję panu.
- I tak, masz rację, grymaszę. Bo dobrze zaparzona kawa to początek spokojnego dnia. Jej zapach jest upojny, smak słodki, choć pozostawia po sobie tylko gorycz i żal. Pod tym względem nieodparcie przypomina rozkosze miłości. – Zadowolony z takiego podsumowa-

nia pociągnąłem kolejny łyk przyniesionej przez Marsdena kawy, – Ale w tym wypadku – dorzuciłem – w smaku czuć tylko coś, co przypomina błoto. No, może ze słabym posmakiem zgniłych brzoskwiń.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Nie wątpię. – Wróciłem do czytania gazety. Kelner wyraźnie się ociągał.

– Czy będzie pan dzisiaj płacił za śniadanie? – spytał tonem zblazowanej melancholii.

– Dopisz mi do rachunku, Marsden. Bądź tak dobry.

* * *

Po chwili zauważyłem, że ktoś przysiadł się do mojego stolika. Spojrzałem ponad gazetą i zobaczyłem drobnego dżentelmena w prostym surducie, co wyróżniało go wśród towarzystwa fircyków i ważnych osobistości bywających w lokalu. Oczekiwałem, że lada chwila przyłączą się do mnie moi przyjaciele, Morgan i Hunt, ale ponieważ było jeszcze wczesnie i kawiarnia dopiero się zapełniała, pomyślałem, że bez kłopotu przesiądziemy się do innego stolika. Tym dziwniejsze jednak wydawało mi się to, iż ów nieznajomy przysiadł się do mnie bez zaproszenia.

– Samuel Pinker do usług – odezwał się maleńki mężczyzna, lekko skłaniając głowę.

– Robert Wallis.

– Mimowolnie usłyszałem pańską rozmowę z kelnerem. Czy można? – Bez jakiegokolwiek zachęty z mojej strony sięgnął po moją filiżankę, podsunął ją sobie pod nos i wciągnął woń z taką lubością, z jaką wachałem tego ranka kwiat, który wybrałem do butonierki.

Przyglądałem się mężczyźnie, sam nie wiedząc, czy napawa mnie lękiem, czy rozbawieniem. Oczywiście w Cafe Royal bywało wielu dziwacznych osobników, lecz ich ekscentryczność była na ogół bardziej afektowana, wyrażała się w bukietach fiołków, aksamitnych pludrach czy lasce z brylantem. Wacanie cudzej kawy było, o ile mi wiadomo, rzeczą niesłychaną.

Samuel Pinker zdawał się niezrażony. Z półprzymkniętymi oczyma jeszcze dwukrotnie z wielkim nabożeństwem zaciągnął się aromatem kawy. Następnie przyłożył filiżankę do *ust* i upił łyk. Zaraz potem wydobył z siebie dziwny syczący dźwięk, któremu towarzyszył szybki wężowaty ruch języka, jakby rozprowadzał płyn po jamie ustnej.

– Niestety! – powiedział z żalem. – Zbyt długo parzona, że już nie wspomnę, iż za długo palona. W zasadzie ma pan rację. Część partii sfuszerowano. Smak gnijących owoców jest słaby, ale wyczuwalny. Mogę spytać, czy jest pan w branży?

– Jakiej branży?

– No cóż, kawy oczywiście.

Chyba parsknąłem śmiechem.

– Wielkie nieba, nie!

– W takim razie, czy wolno mi spytać – nie dawał za wygraną – z jaką branżą jest pan związany?

– Z żadną.

– Proszę mi wybaczyć... źle się wyraziłem, powinienem był powiedzieć „czym się pan trudni”.

– Niczym szczególnym. Nie jestem ani lekarzem, ani prawnikiem, nie robię nic szczególnie użytecznego.

– No to co pan robi? – zapytał niecierpliwie. – Z czego się pan utrzymuje?

Prawda była taka, że w tamtym okresie nie zarabiałem na swoje utrzymanie, jako że ojciec całkiem niedawno przekazał mi kolejną skromną sumkę na literackie osiągnięcia, zaznaczając przy tym stanowczo, że na więcej nie mam co liczyć. Absurdem się jednak zdawało spieranie o definicje.

– Jestem poetą – przyznałem tonem zblazowanej melancholii.

– Słynnym? Wielkim? – zapytał Pinker z ożywieniem.

– Niestety, nie. Kapryśna sława nie raczyła mi okazać swych łask.

– To dobrze – mruknął ku memu zdziwieniu. – Ale umie pan pisać? – zapytał po chwili – Dość sprawnie posługuje się pan piórem?

– Jako literat uważam się za mistrza wszystkiego prócz języka...

– Porzuć pan te bon moty! – krzyknął Pinker. – Chodzi mi o to, czy umie pan opisywać? Oczywiście umie pan. Opisał pan tę kawę.

– Czyżby?

– Użył pan określenia: „o smaku rdzy”. Tak, ma naprawdę smak rdzy. Nigdy bym tego tak nie ujął. To by mi nie przyszło do głowy, a właśnie to słowo to... to...

– *Le mot juste?*

– W samej rzeczy. – Pinker spojrział na mnie w taki sposób, że przypominał mi mojego profesora z Oksfordu: w tym spojrzeniu było z wątpienie i żelazna determinacja. – Ale dosyć gadania. Odkryję przed panem karty.

– Słucham z uwagą – odparłem z ciekawionym – choć sądzę, że raczej nie skorzystam z pańskich usług.

Z zapalem zapisywałem coś na odwrocie swojej wizytówki. Była to, jak zauważyłem, piękna wizytówka, wykonana z grubego papieru czerpanego.

– Źle mnie pan zrozumiał. To ja potrzebuję pańskich usług.

– W charakterze sekretarza? Obawiam się, że...

Pinker potrząsnął głową.

– Nie, nie. Mam już trzech sekretarzy, wszyscy wspaniale wypełniają swoje obowiązki. Pan byłby, że się tak wyrażę, mało znaczącym dodatkiem do tego zespołu.

– No to o co chodzi? – zapytałem nieco urażony. Nie miałem ochoty być niczym sekretarzem, ale lubiłem

myśleć, że nadawałbym się do tego zajęcia.

– Potrzebuję – powiedział Pinker, patrząc mi w oczy – estety. Pisarza. Kiedy znajdę tego utalentowanego osobnika, założymy spółkę, która uczyni z nas obu niewiarygodnie majątnych ludzi. – Wręczył mi wizytówkę. – Proszę mnie odwiedzić jutro po południu.

* * *

Mój przyjaciel George Hunt był zdania, że tajemniczy pan Pinker ma zamiar założyć pismo literackie. Ponieważ Hunt od dawna marzył o czymś takim – głównie dlatego, że żadne z istniejących pism londyńskich nie chciało drukować jego wierszy – uważał, że powinienem odpowiedzieć na propozycję przedsiębiorcy.

– Nie wyglądał mi na literata – powiedziałem, obracając wizytówkę. Na odwrocie było napisane ołówkiem: *Proszę przyjąć w moim biurze. S.P.*

– Rozejrzyj się – zauważył Hunt, zataczając ręką krag – to miejsce jest pełne tych, którzy kurczowo trzymają się rąbka peleryny Muzy. – Prawdą było, że w Café Royal bywało tyluż ciekawskich, co pisarzy i artystów.

– Ale jemu szczególnie spodobało się to, że powiedziałem o kawie, iż ma „smak rdzy”

Trzeci z naszego grona, malarz Percival Morgan, który do tej pory nie brał udziału w rozmowie, nagle się

roześmiał.

– Chyba wiem. czego chce ten Pinker!

– Czego?

Stuknął palcem w ostatnią stronę gazety.

– „Opatentowany ożywczy proszek – zaczął czytać na głos – przywraca siły witalne rekonwalescentom. Ciesz się musującą energią tej alpejskiej kuracji zawartą w każdej łyżeczce”. To oczywiste, ten jegomość chce, żebyś pisał dla niego reklamy.

Musiałem przyznać, że to brzmi prawdopodobniej niż pismo literackie. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wydawało się to możliwe. Pinker zapytał mnie przecież wprost, czy umiem opisywać – dziwne pytanie jak na właściciela pisma, ale całkiem logiczne dla kogoś, kto myśli o reklamie. Z pewnością ma nowy gatunek kawy, który chce wypromować. „Śniadaniowa mieszanka Pinkera. Bogactwo smaku dla zdrowej cery” lub podobne frazesy. Poczuję się zawiedziony. Przez moment miałem nadzieję... że może to coś ciekawszego.

– Reklama – powiedział Morgan. – Uwielbiam reklamę. To jedyna forma współczesnej sztuki, która zajmuje się, co prawda nie bezpośrednio, rzeczywistością.

Spojrzeliliśmy po sobie wyczekująco. Jednakże jakoś nie miałem już ochoty na wygłaszanie bon motów.

* * *

Następnego popołudnia siedziałem przy biurku, pracując nad tłumaczeniem Baudelaire'a. Miałem pod ręką puchar z żółtego szkła weneckiego wypełniony białym winem reńskim, pisałem srebrnym ołówkiem na blado-fioletowym papierze nasączonym olejkiem bergamotki i wypalałem masę papierosów z tureckim tytońniem – wszystko odbywało się zgodnie z ustalonym rytuałem, a mimo to było niezwykle uciążliwym zajęciem. Baudelaire jest oczywiście wielkim poetą, tak przejmująco perwersyjnym, lecz bywa mglisty, niejasny, co znacznie utrudnia pracę tłumacza, i gdyby nie trzy funty obiecane mi przez wydawcę, zarzuciłbym to już kilka godzin wcześniej. Mieszkałem wówczas w St. John's Wood w pobliżu Regent's Park i w ten wiosenny słoneczny dzień słyszałem okrzyki lodziarzy przechadzających się w obie strony przy bramie parku. Te dobiegające z zewnątrz dźwięki nie pozwalały mi się skupić. Z jakiejś przyczyny jedynym słowem, które przychodziło mi do głowy jako rym do „urody” było „lody”.

– Muszę odpocząć – powiedziałem na głos, odkładając ołówek.

Wizytówka Pinkera leżała na biurku. Podniosłem ją i obejrzałem po raz kolejny. *Samuel PINKER, importer i dystrybutor kawy*. Adres: Narrow Street, Limehouse. Myśl o wyjściu z mieszkania choćby na godzinę czy dwie przypominała o sobie niczym pies szarpiący smyczą.

Po przeciwnej stronie biurka leżała sterta rachun-

ków. Oczywiście poeta powinien mieć dług. Cóż to za poeta bez długów! Jednakże przez moment poczułem zniechęcenie na myśl, że kiedyś muszę je spłacić. Podniosłem pierwszy z góry – kwit od dostawcy wina. Wino reńskie nie tylko barwą, ale i ceną dorównywało złotu. Gdybym tak zgodził się pisać reklamy dla pana Pinkera... Nie miałem pojęcia, ile można zarobić na tworzeniu takich nonsensownych sloganów. Ale samo to – rozumowałem – że Pinker trafił do Café Royal w poszukiwaniu literata, świadczy, że jest w tej dziedzinie nowicjuszem jak ja. Założmy, że namówiłbym go, żeby zamiast określonej kwoty zapewniał mi utrzymanie, rodzaj pensji? Powiedzmy – wybrałem rozsądną sumę i uznawszy ją za niewystarczającą, pomnożyłem przez cztery – czterdzieści funtów rocznie? A gdyby jeszcze ten dostawca kawy miał znajomych, którzy potrzebowaliby podobnych usług, no... to niebawem miałbym czterysta funtów rocznie z samego pisania zdań typu: „Ciesz się musującą energią alpejskiej kuracji zawartą w każdej łyżeczce”. Zostałoby mi jeszcze wiele czasu na Baudelaire’a. Co prawda Muza mogłaby poczuć się nieco zaniedbana przez to, że twórca prostytuuje swoje talenty w ten sposób, ale gdyby to utrzymywać w sekrecie, przynajmniej przed literatami może i Muza o niczym by się nie dowiedziała.

Decyzja zapadła. Chwyciłem wizytówkę Pinkera, narzuciłem wzorzystą pelerynę z indyjskimi motywami, którą kupiłem w Liberty przed tygodniem, i ruszyłem ku wyjściu.

* * *

Przejdźmy się teraz ulicami Londynu od St. John's do Limehouse. Nie brzmi to zachęcająco. Sformułuję więc swoje zaproszenie inaczej. Przejdźmy przez to największe, najbardziej zaludnione miasto świata w chwili, gdy jest ono u szczytu rozkwitu i popularności – wyruszmy w podróż, która dostarczy wrażeń wszystkim zmysłom. Przy Primrose Hill powietrze – co za zapach! – jest dość rześkie, z ledwie wyczuwalną nutą siarki w spalinach pieców węglowych i kuchennych palenisk, które nawet o tej porze roku palą się we wszystkich domach. Kiedy mijamy Marylebone, wkraczamy w świat prawdziwych doznań. Dwukołowe dorożki i dyliżanse wydzielają silną woń skóry i końskiego potu; ich koła głośno terkoczą na kocich łbach, rynsztoki pełne są wilgotnych końskich odchodów. W ruchu ulicznym biorą udział najróżniejsze pojazdy: wozy konne, dyliżanse, powozy z zaprzęgiem i jednokonne, dwuosobowe i wieloosobowe, landa, bryczki, karoce zmierzające we wszystkich kierunkach. Na tych o kształcie ogromnych cylindrów złotymi literami wypisano nazwiska kapełuszników. Najbardziej niebezpieczni są woźnice omnibusów – obijają się od jednego krawężnika do drugiego, zbliżają się do przechodniów, starając się zaprosić ich do środka za trzy pensy albo na dach za pensa mniej. Są też welocypedy i bicykle, stada gęsi pędzone na targ, mężczyźni przeciskający się przez tłum z tabliczkami

reklamującymi parasole i inne różności oraz mleczarki, które po prostu chodzą ulicami z wiadrem i krową, czekając, aż ktoś je zatrzyma, by kupić mleko. Domokrądcy paradują z tacami pełnymi wypieków, kwiaciarki wciśkają przechodniom w dłonie łąbin i aksamitki, a nad tym wszystkim unosi się woń fajek i dymu z papierosów. Mężczyzna sprzedający makrele pieczone na ulicznym ruszcie wymachuje nadzianą na widelec rybą i podsuwa przechodniom pod nos.

– Pierwszorzędne ryby! – krzyczy. – Po dwa pensy!

Natychmiast, jakby w odpowiedzi, wokół rozlega się chór innych nawoływań.

– Kasztany! Gorące... po pensie... Szesnaście pensów! – wykrzykują uliczni sprzedawcy.

– Pasternak! – obwieszcza rolnik z wozu zaprzęgniętego w osła.

Koła ścierne do ostrzenia noży skrzypią i sypią iskry, ocierając się o ostrza. Naciągacze z rozłożonymi rękami oferują pudełka zapalek po pensie. A na obrzeżach tego tłumu cały czas bez ustanku przesuwiają się upiorne postaci najbiedniejszych: bosonogich, wynędzniałych, bezdomnych, bez pensa przy duszy, czekających na okazję, która może się nie powtórzyć.

Jeśli udamy się podziemną koleją od Baker Street do stacji Waterloo, na wąskich peronach osnuje nas gorąca, wilgotna czarna para lokomotyw. Jeśli pójdziemy którąś z eleganckich nowych alei miasta, jak Northumberland Avenue, która przecina slumsy w centrum Londynu,

znajdziemy się pośród ludzkich nieczystości, albowiem każdą piękną aleję otaczają domy czynszowe, a każdy taki dom to miejsce, w którym gnieźdzą się setki rodzin stłoczonych jedna obok drugiej w oparach potu, ginu, wyziewów z ust i ciał. Dzień jest jednak piękny – pójdziemy więc pieszo. Na bocznych uliczkach Covent Garden śledzi nas wiele par oczu, jakby szukały okazji do wyrwania nam chusteczki czy rękawiczek, lecz odzywają się tylko nastoletnie nierządnicę w krzykliwych strojach – mruczą lubieżne pozdrowienia z nadzieją, że wzbudzą natychmiastową iskrę żądzę. Nie ma jednak na to czasu. Nie ma czasu na nic, jest już bowiem późno. Może lepiej wziąć taksówkę; o, jest jedna.

Tocząc się po Drury Lane, czujemy w nozdrzach słabą, nie bardzo przyjemną woń, która unosi się nad uliczkami niczym trujące wyziewy. To zapach rzeki. Owszem, dzięki kanalizacji Bazalgette'a z Tamizy nie wydobywa się już ohydny smród gnijących odpadów, który zmuszał parlamentarzystów do skrapiania zasłon siarczanem wapnia, ale z kanałów mogą korzystać tylko ci, których nowoczesne łazienki są połączone z tym systemem, a przecież w domach czynszowych wciąż normą pozostają wielkie cuchnące szamba. Ich smrodliwe wyziewy przeciekają do podziemnych strumieni londyńskich. Na tym terenie skupiają się warsztaty i wytwórnie, które wybrały tę lokalizację ze względu na bliskość nabrzeża. Z browarów wydobywa się woń warzenia – nawet całkiem przyjemna, podobnie jak zapach egzotycznych roślin z destylarni ginu, dalej jednak pojawia się fetor gotowanych końskich kości dobiegający

z fabryki kleju, odór gotowanego tłuszczu z wytwórni mydła, rybich wnętrzności z Billingsgate, gnijących psich resztek z garbarni. Nic dziwnego, że co wrażliwsi noszą wpięte w klapę wonne bukieciki albo brosze z solami z eukaliptusa.

Zbliżając się do portu, przechodzimy obok wielkich magazynów, wysokich i rzucających cień niczym skalne klify. Z pierwszego dolatuje intensywny, ciężki zapach liści tytoniu, z następnego słodkawy aromat melasy, a z kolejnego mdlące opary opium. Tu buty kleją się do śladów po pękniętej beczce rumu, tam drogę zagradza przechodząca grupa żołnierzy w czerwonych płaszczach. Wokół rozbrzmiewa gwar wielu języków, którymi posługują się przybysze z całego świata – płowowłosi Niemcy, Chińczycy z czarnymi związanymi z tyłu włosami, Murzyni z jaskrawymi chusteczkami na szyjach. Rzeźnik w niebieskim fartuchu niesie tacę z mięsem, za nim idzie bosman w słomkowym kapeluszu, trzymając w wyciągniętej dłoni bambusową klatkę z zieloną papugą. Jankesi śpiewają swawolne żeglarskie piosenki, bednarze z ogłuszającym hukiem toczą beczki po kocich łbach, kozy meczą wniebogłosy w klatkach wnoszonych na łodzie. A na rzece jak okiem sięgnąć widać maszty i kominy statków: slupów, szkunerów, bilanderów, węglowców, kiprów z herbata, kutrów i barek, statków wycieczkowych, parowców z lśniącymi mahoniowymi pokładami i brudnych barek przewożących robotników – wszystkie przepychają się przez ten gąszcz bez żadnego ładunku, a ich staraniom towarzyszą przeszywające gwizdy parowców, pokrzykiwania tragarzy wyładowujących

węgiel, syreny łodzi i niemilknące dzwonki barek.

Chyba tylko ktoś wyjątkowo anemiczny mógłby nie czuć dreszczu emocji, znalazłszy się w tym tętniącym nieokiełznaną energią miejscu, z którego pomysły i czyny promieniują na całe miasto i na cały świat; gdzie wszyscy uwijają się niczym pszczoły produkujące plaster miodu w centrum ula. Nie widziałem w tym jednak żadnej siły moralnej – owszem, to ekscytujące, ale bezmyślne. Przyglądałem się więc temu wszystkiemu oczyma widza, który z entuzjazmem wita cyrkową paradę. Trzeba było dopiero kogoś takiego jak Pinker, żeby dostrzec w tym chaosie coś więcej – zauważyć, że cywilizacja, handel, chrześcijaństwo to w zasadzie jedno i to samo, i zrozumieć, że sam handel, jeśli nie będzie tłumiony przez rządy, może sprowadzić jasność do ostatnich pograżonych jeszcze w ciemnościach zakątków świata.

CZTERY

Cedr – ta cudowna, ożywcza, sielska woń pochodzi z nieprzetworzonego drewna i jest niemal identyczna z zapachem ostrzonego ołówka. Charakterystyczny aromat zawdzięcza naturalnemu olejki eterycznemu cedru atlaskiego. Jest on silniej wyczuwalny w drzewach dojrzałych.

Jean Lenoir, *Le Nez du Café*

Młody mężczyzna mniej więcej w moim wieku, który otworzył mi drzwi do domu na Narrow Street, był najwyraźniej jednym z tych sprawnych sekretarzy, wspomnianych przez Pinkera. Miał nienaganny, choć nieco staroświecki wygląd: biały, sztywno wykrochmalony kołnierzyk, lśniące olejem Makasar krótkie – dużo krótsze od moich – włosy.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał, obrzucając mnie chłodnym spojrzeniem.

Podąłem mu wizytówkę Pinkera.

– Proszę powiedzieć swemu chlebodawcy, że przyszedł Robert Wallis, poeta.

Młodzieniec przyglądał się uważnie wizytówce.

– Jest pan oczekiwany – powiedział po chwili. Proszę za mną.

Ruszyłem za nim w głąb budynku, który, jak zauważyłem, był swoistym magazynem. Barkarze wyladowywali z barek jutowe worki, a tragarze długim sznurem podchodzili jeden za drugim i po zarzuceniu worków na ramiona rozchodzili się w różne strony. Uderzył mnie silny zapach palonej kawy. Ten zapach... W budynku były tysiące worków kawy i wielkie bębny Pinkera pracowały dzień i noc. Unosząca się w powietrzu woń była w części tak apetyczna, że ślina zbierała się w ustach, a w części tak drażniąca, że oczy zachodziły mgłą – był to zapach czarny i gęsty jak rozgrzana smoła; gorzki, ciemny, oszałamiający, który ścisnął za gardło, wypełniał nozdrza i mózg. Można się było od niego uzależnić tak samo szybko jak od opium.

Wszystko to zdążyłem zarejestrować zmysłami, kiedy sekretarz prowadził mnie po schodach na górę. Weszliśmy do gabinetu, którego jedno okno wychodziło na ulicę, a z drugiego, dużo większego, rozciągał się widok na magazyn. Przy tym drugim oknie stał Samuel Pinker i przyglądał się krzątaniu na dole. Obok niego pod szklanym kloszem cicho terkotało małe mosiężne urządzenie, z którego wysuwała się serpentyna cienkiego białego papieru z nadrukowanymi symbolami. Splątane pętle opadające na wypolerowaną podłogę wyglądały niczym fantastyczne lilie. Był to jedyny element, który wprowadzał do gabinetu wrażenie nieładu. Przy biurku siedział inny sekretarz, ubrany bardzo podobnie do pierwszego, i pisał coś stalowym wiecznym piórem.

Pinker odwrócił się i dostrzegł mnie.

– Wezmę cztery tony brazylijskiej i jedną cejlońskiej – powiedział rzeczowo.

– Słucham? – rzuciłem skonsternowany.

– Eksporter dostarcza towar na statek z zastrzeżeniem, że podczas rejsu towar nie ulegnie zniszczeniu.

Zorientowałem się, że dyktuje sekretarzowi.

– A, oczywiście. Proszę sobie nie przeszkadzać.

W odpowiedzi na moją impertynencję zmarszczył czoło.

– Dziesięć procent zatrzymamy na przyszłe próbki. Z poważaniem i tak dalej. Proszę usiąść. Ta ostatnia uwaga najwyraźniej skierowana była do mnie. Więc usiadłem.

– Jenks, podaj kawę, proszę – zwrócił się do sekretarza. – Czwórkę i dziewiątkę, a potem osiemnastkę. A ja zaraz to podpiszę.

Ponownie spojrzał na mnie.

– Mówił pan, że jest pisarzem, panie Wallis – powiedział z wyrzutem.

– W istocie.

– Tymczasem moi sekretarze nie zdołali znaleźć ani jednego pańskiego dzieła w żadnej z księgarni przy Charing Cross. W bibliotece W.H. Smitha nikt o panu nie słyszał. Nawet krytyk literacki z „Blackwood’s Magazine” nigdy nie zetknął się z pańską twórczością.

– Jestem poetą – powiedziałem nieco zaskoczony

skrupulatnością poszukiwań Pinkera – ale niepublikowanym. Wydawało mi się, że wyraziłem się jasno.

– Powiedział pan, że jeszcze nie jest sławny. A teraz dowiaduję się, że nikt o panu nie słyszał. Jakoś trudno pojąć, jak można być jednym, nie będąc drugim, nieprawdaż? – Opad! ciężko na krzesło po przeciwnej stronie stołu.

– Przykro mi, jeśli przyczyniłem się do błędnego wyobrażenia, ale...

– Niech pan zapomni o wyobrażeniu. *Precyzja*, panie Wallis. Wszystko, czego wymagam od pana i innych, to precyzja.

W Café Royal Pinker wydawał się inny, wręcz niepewny siebie. Tutaj, we własnym biurze, zachowywał się bardziej zdecydowanie. Wyjął pióro, zsunął skuwkę i sięgnął po stertę listów, które zaczął zamasyście podpisywać jeden po drugim.

– Niech pan spojrzy choćby na mnie. Czy można by mnie nazwać kupcem, gdybym nie sprzedał ani jednego worka kawy?

– Ciekawe pytanie...

– Wcale nie. Kupiec to ktoś, kto handluje. Ergo, jeśli nie handluję, nie jestem kupcem.

– Ale pisarz zgodnie z tym rozumowaniem musi być kimś, kto *pisze* – zauważyłem. Publikowanie nie jest do tego konieczne. Tylko pożądane.

– Hmm – Pinker wazył moje słowa. – Dobrze.

Miałem poczucie, że zdałem jakiś egzamin.

Wrócił sekretarz z tacą, na której stały cztery małe filiżanki i dwa parujące dzbanki. Postawił je przed nami.

– A więc – rzucił Pinker, zachęcając mnie gestami. – Proszę powiedzieć, co pan na to.

Kawa była świeżo zaparzona, o głębokim, przyjemnym aromacie. Spróbowałem odrobinę pod czujnym i niecierpliwym okiem Pinkera.

– I co?

– Wyśmienita.

Parsknął.

– I co? Jest pan przecież pisarzem? Słowa to pańskie tworzywo, czyż nie?

– No tak – dopiero teraz zrozumiałem, czego oczekuje. Zaczerpnałem tchu – Jest naprawdę... ożywcza. Jak alpejskie sanatorium... nie... jak nadmorski kurort. Trudno byłoby znaleźć lepszy, bardziej balsamiczny napój, który natychmiast postawi człowieka na nogi. Wspomoże trawienie, przywróci koncentrację i poprawi kondycję.

– Co? – handlowiec wpatrywał się we mnie z uwagą.

– Oczywiście, to wymaga dopracowania – dodałem skromnie. – Myślę jednak, że ogólny kierunek jest...

– Niech pan spróbuje inaczej – przerwał niecierpliwie.

Nalałem sobie kawy z drugiego dzbanka.

– Nie do tej samej filiżanki! – syknął.

– Przepraszam.

Nalałem do drugiej maleńkiej filiżanki i pociągnąłem łyk.

– Inna – powiedziałem zdumiony.

– Oczywiście – rzekł Pinker. – I?

Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że jest kawa i kawa. Oczywiście, kawa może być wodnista albo zwietrzała, albo zbyt długo parzona, a nawet to wszystko naraz, ale oto miałem przed sobą dwie różne kawy, obie wyczuwalnie wyśmienite, a ta wyśmienitość była tak odmienna, jak to tylko możliwe.

– Jak przedstawić taką różnicę słowami? – zapytał i chociaż wyraz jego twarzy pozostał niezmienny, wyczułem, że to załazek naszej rozmowy.

– Ta – odparłem powoli, wskazując drugą filiżankę – ma jakby... wędzony smak.

– W rzeczy samej. – Pinker skinął głową.

– A ta – pokazałem pierwszą – jest bardziej... kwiatowa.

– Kwiatowa! – Pinker wpatrywał się we mnie z zainteresowaniem, a nawet, jak mi się wydało, z entuzjazmem. – Zaraz, tylko wezmę... – przysunął do siebie notes swojego sekretarza i zapisał „kwiatowa”. – No, dalej.

– Ta druga filiżanka ma... jakby ostry posmak...

– Jaki posmak?

– Jakby strużyny ołówka.

– Strużyny ołówka. – Pinker to także zanotował. –
No właśnie.

Przypominało to kalambury, zabawę przyjemną,
lecz pozbawioną sensu.

– A ta... może kasztany?

– Może – odparł Pinker, notując. – Co jeszcze?

– W tej – wskazałem na drugą – czuć korzenne
przyprawy.

– Jakie?

– Nie jestem pewien – przyznałem.

– Nie szkodzi – rzekł Pinker, wykreślając „korze-
nie”. – A, tutaj jesteś! Capital. Nalej, dobrze?

Odwróciłem się. W drzwiach stała młoda kobieta
z kolejnym dzbankiem kawy. Była, jak bezwiednie za-
uważyłem – w owym czasie uważałem się za swego ro-
dzaju konesera w tej materii – dość atrakcyjna. Miała na
sobie ubiór o praktycznym, wygodnym kroju, coraz
częściej spotykanym wśród kobiet pracujących. Dopa-
sowany żakiet, zapinany na guziki pod samą szyję, oraz
długa spódnica bez turniury dość skutecznie zasłaniały
delikatną figurę. Na twarzy kobiety malowała się czuj-
ność i ożywienie, a starannie upięte złociste włosy na-
dawały jej dystyngowany wygląd.

Napełniła jedną z filizanek i ostrożnie mi ją podała.

– Dziękuję – powiedziałem, patrząc jej w oczy
i szczerze się uśmiechając.

Jeśli nawet dostrzegła moje zainteresowanie, to w żaden sposób tego nie okazała. Jej twarzy nie opuszczała maska profesjonalnej obojętności.

– Zechciej notować, Emily – powiedział Pinker, przesuwając notes w jej stronę. – Pan Wallis właśnie miał zamiar określić, jakie korzenie wyczuwa w naszej brazylijskiej, ale chwilowo opuściło go natchnienie.

Sekretarka usiadła przy stole i uniosła pióro. Przez moment, gdy czekała, aż odzyskam formę, mógłbym przysiąc, że w jej ciemnoszarych oczach pojawiło się rozbawienie, a nawet coś w rodzaju łobuzerskich iskiełek. Nie byłem jednak tego pewien.

Upiłem łyk kawy, lecz nie wyczułem żadnego smaku.

– Przykro mi – potrząsnąłem głową.

– Niech pan dmuchnie – podpowiedział Pinker.

Dmuchałem i upiłem kolejny łyk. W porównaniu z tamtymi dwiema kawa wydała mi się bardzo przeciętna.

– Taką podają w Café Royal!

– Bardzo podobną, racja. – Pinker się uśmiechnął. – Czy ta ma smak rdzy?

– Trochę. I jest mdła. Bardzo mdła. Z delikatnym posmakiem wilgotnych ręczników. – Spojrzałem na stenotypistkę. Skrupulatnie wszystko notowała, a raczej stawiała w notatniku dziwaczne, jakby arabskie wywijasy. Był to zapewne fonograficzny system Pitmana, o którym już gdzieś czytałem.

– Wilgotne ręczniki – powtórzył Pinker, tłumiąc chichot. – Bardzo dobrze, chociaż obawiam się, że jeszcze nigdy nie próbowałem smaku ręcznika... ani wilgotnego, ani suchego. Pióro sekretarki się zatrzymało.

– I pachnie jak... stary dywan – powiedziałem. Moje słowa natychmiast przybrały kształt kolejnych kresek i wężyków.

– Dywan! – Pinker kiwał głową – Coś jeszcze?

– Podmuch spalonego tostu. – Kolejne szlaczki.

– Spalony tost. Dobrze. Tyle chyba wystarczy. Na razie.

Notatki dziewczyny nie zajęły nawet całej strony. Nie wiadomo czemu poczułem nagłą chęć, żeby jej za imponować.

– No więc, która z nich jest pańska? – Zwróciłem się do kupca, wskazując na dzbanki.

– Co? – Pinker po raz kolejny zdawał się zaskoczony moim pytaniem – A... wszystkie.

– A którą chce pan promować?

– Promować?

– Na przykład o tej – ciągnąłem, pokazując pierwszy dzbanek – można by mówić... – uniosłem filiżankę – wyselekcjonowana mieszanka, prawdziwa śmietanka z różnych kolonii, o smaku eliksiru z kasztanów. – Czy mi się zdawało, czy sekretarka po kryjomu tłumiała śmiech? – Chociaż zauważyłem, że większość reklam podkreśla zdrowotne walory produktów. Może więc tak:

Wyjątkowy napój o kasztanowym smaku i zdrowotnym działaniu.

– Drogi panie Wallis – podsumował Pinker – byłby z pana beznadziejny autor reklam.

– Śmiem być innego zdania.

– Ludzie chcą, żeby kawa miała smak kawy, a nie kasztanów.

– Można by im powiedzieć, jakie walory ma ta kasztanowa część.

– Istotą reklamy – oświadczył z namysłem Pinker – jest oczywiście naginanie prawdy przez ujawnianie tylko tego, co odbiorcy chcą usłyszeć. Istotą kodu natomiast jest dostosowanie prawdy do potrzeb niewielkiej grupy.

– To naprawdę dobre – zauważyłem zachwycony. – Niemal aforyzm... O co chodzi z tym kodem?

– Młody człowieku – rzekł Pinker, patrząc na mnie badawczo – posłuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia. Zamierzam ci złożyć propozycję niezwyklej wagi.

PIĘĆ

– Żyjemy, panie Wallis, w epoce ulepszania. – Pinker westchnął i wyjął zegarek z kieszonki. Spojrzał nań z pewną rezerwą, jakby był to przedmiot, który wymaga więcej uwagi, niż w tym momencie przyciąga. – Weźmy na przykład ten czasomierz – powiedział, pociągając za dewizkę. – Jest dokładniejszy niż jakikolwiek zegarek wyprodukowany w poprzednich dziesięcioleciach. A jednocześnie tańszy. W przyszłym roku będą jeszcze tańsze i jeszcze dokładniejsze. Wie pan, po ile sprzedają najnowsze ingersolle?

Przyznałem się do ignorancji w tym temacie.

– Za cenę jednego dolara. – Pinker pokiwał głową – A teraz pomyślmy o korzyściach. Standaryzacja to pierwsza zasada handlu. Nie wierzy pan? Punktualne zegarki oznaczają punktualne koleje. Punktualne koleje to intensywniejszy rozwój wymiany handlowej. A ożywiony handel to dokładniejsze zegarki. – Podniósł pióro ze stołu. – Albo to wieczne pióro. Ma własny zbiornik na atrament sprytnie umieszczony we wnętrzu, widzi pan? A to znaczy, że moje sekretarki mogą pisać szybciej, więc możemy zawrzeć więcej transakcji, et cetera, et cetera... Albo... – ponownie sięgnął do kieszonki na zegarek i tym razem wydobył coś, co chwycił kciukiem i palcem wskazującym – niech pan spojrzy na to. – Wpatrywał się w maleńką śrubkę z nakrętką. – Cóż to za niezwykły przedmiot. Śrubę wyprodukowano w...

no, powiedzmy, Belfaście. A nakrętkę w Liverpoolu. Mimo to pasują do siebie jak ulał. Gwint jest jednakowy. Widzi pan, *standaryzacja*.

Pióro stenotypistki śmigало po kartkach notesu – widocznie miała polecenie zapisywania tych wszystkich improwizowanych przemówień, a może robiła to dla wprawy.

– Jeszcze kilka lat temu każdy warsztat w kraju tworzył własne projekty gwintów. W efekcie mieliśmy chaos. To było niepraktyczne. Teraz, dzięki sile ulepszenia, jest tylko jeden wzór. Czy należy pan do wyznawców teorii Darwina?

Zaskoczony nagłą zmianą tematu, uważając, by nie urazić rozmówcy – poglądy Darwina były tematem, przy którym moich wykładowców z Oksfordu zwykle ponosiły emocje – oznajmiłem, że po rozważeniu różnych za i przeciw raczej skłaniam się ku jego teorii.

– Darwin pokazuje, że ulepszenie jest nieuniknione. Oczywiście mówi o ulepszaniu gatunków, ale dotyczy to też państw, ras, jednostek, a nawet śrub i nakrętek. No, a teraz zastanówmy się, w jaki sposób koncepcje pana Darwina mogą pozytywnie wpłynąć na handel kawą.

Starałem się sprawiać wrażenie człowieka, który jest w stanie przedstawić jakieś użyteczne sugestie, lecz powstrzymuje się przed tym ze względu na mądrość swojego rozmówcy i szacunek dla niego. Była to poza, którą często musiałem przybierać w salach wykładowych. Teraz jednak nie było to konieczne. Pinker wpadł w uniesienie.

– Po pierwsze, proces parzenia kawy. Jak można go ulepszyć? Powiem panu, panie Wallis. Przez zastosowanie pary.

– Pary? Chodzi o... młynek?

– Można tak to ująć. Niech pan sobie wyobrazi, że w każdym hotelu i kawiarni znajduje się silnik parowy do parzenia kawy. Tak jak w produkcji bawełny czy kukurydzy, proces byłby znormalizowany. Standaryzacja!

– Czy przez to w kawiarniach nie byłoby... za gorąco?

– Silnik, o którym myślę, byłby miniaturowy. Jenks, Foster! – zawołał. – Przynieście, proszę, aparat.

Po chwili wypełnionej hałasami nieokreślonego pochodzenia dwaj sekretarze wepchnęli do sali wózek, na którym stała dziwaczna maszyna. Wyglądała, jakby wykonano ją z miedzianego bojlera, wielu mosiężnych rur, rurek, dźwigni i tarcz.

– Parowa maszyna do parzenia kawy signora Tosellego – oznajmił Pinker. – Dokładnie taka, jaką zdemonstrował na wystawie w Paryżu. Para jest przepychana przez zmielone ziarna, co nadaje wywarowi dużo lepszy smak. Wystarcza na jedną filiżankę.

– Jak to się podgrzewa?

– Gazem, ale przewidujemy modele na elektryczność. – Przerwał na chwilę, po czym dorzucił – Zamówiłem osiemdziesiąt.

– Osiemdziesiąt?! A po co aż tyle?

– Do Bezalkoholowych Tawern Pinkera. – Zerwał się na równe nogi i zaczął przechadzać tam i z powrotem. Za jego plecami Jenks rozpalał ogień pod zbiornikiem na wodę: aparat syczał i gwizdał delikatnie, gdy jego właściciel perorował: – Wiem, co chce pan powiedzieć. Chce pan zauważyć, że jak na razie w całym kraju nie ma ani jednej tawerny Pinkera. Ale pojawią się, Wallis, pojawią. Mam zamiar zastosować zasadę wiecznego pióra i czasomierza marki Ingersoll. Niech pan spojrzy na Londyn. Pub na każdym rogu. Pałace mocnych trunków, gdzie człowiek pracy wyzbywa się ciężko zarobionych pieniędzy. Jaką ma z tego korzyść? Staje się wołem roboczym, bije żonę, traci siły, często nie jest nawet w stanie dowlec się do domu i musi spędzić noc w rynsztoku, przez co następnego dnia nie nadaje się do pracy. Natomiast kawa... kawa! nie pociąga za sobą takich konsekwencji. Nie osłabia, a raczej dodaje energii. Nie stępią zmysłów, tylko je wyostrza. Czy nie lepiej byłoby mieć na każdym rogu kawiarnię? To dopiero byłoby ulepszenie, czyż nie? A skoro to ma być ulepszenie, to musi nastąpić... na pewno nastąpi. Tak twierdzi Darwin! A ja sprawię, że się to stanie. – Usiadł i otarł czoło rękawem.

– Wspomniał pan o kodzie – powiedziałem. – W dalszym ciągu nie rozumiem.

– Tak. Popyt i podaż, panie Wallis. Popyt i podaż.

Urwał i czekał, a delikatna dłoń sekretarki zawisała nad notesem. Jej palce były wyjątkowo długie i smukłe. Idealnie pasowałyby do skrzypiec lub klawiatury forte-

pianu. Idealnie nadawałyby się do robienia różnych rzeczy, niektórych kusząco nieprzyzwoitych...

– Trudność mojego planu – ciągnął Pinker – sprowadza się do kosztów. Kawa jest droga... dużo droższa od piwa czy ginu. Przecież trzeba ją sprowadzić z daleka. Zamawia się przez agenta, który kupuje ją od innego agenta... i tak dziw, że w ogóle do nas dociera. – Popatrzył na mnie. – A więc zaczynamy się zastanawiać... nad czym?

– Nad tym – skupiłem się na jego słowach – jak ulepszyć podaż?

– Właśnie! – Pinker strzelił palcami. – Już poczyniliśmy pierwsze kroki, organizując giełdę. Czy słyszał pan o giełdzie?

Nie słyszałem.

Położył dłoń na kloszu, pod którym wciąż cicho terkotała i stukała maszyna drukująca, bezustannie wypływając taśmę z symbolami.

– Londyńska giełda kawy zrewolucjonizuje sposób, w jaki prowadzimy interesy. Podwodny kabel łączy ją z Nowym Jorkiem i Amsterdamem. Ceny będą ujednoczone, wszędzie takie same. Cena spadnie... musi. – Popatrzył na mnie chytrze. – A gdzie dostrzega pan trudność?

Zastanowiłem się.

– Nie wie pan w zasadzie, co kupuje... Kupuje pan numery... jedynie na podstawie ceny. Chce pan zapewnić dobry towar swoim tawernom i odsprzedać resztę.

Dzięki giełdzie korzysta pan z niższych cen, a to, co zostaje, przekazuje dalej.

Pinker rozparł się na krześle i przyglądał mi się z uśmiechem.

– Widzę, że zaczyna pan rozumieć.

Nagle aparat wydał z siebie dziwny świszczący charkot. Jenks pociągnął za jakieś dźwignie i z kilku dysz wydostał się nieprzyjemny gulgoczący dźwięk, a potem płyn wymieszany z parą wlał z sykiem się do maleńkiej filiżanki.

– Jeżeli zna się kod... – powiedziałem – nie, kod to niedobre określenie... jeśli zna się *słownictwo*, sposób opisu kawy, który pan i pańscy agenci wcześniej ustalą, wtedy nawet będąc w różnych krajach...

– Otóż to! – Pinker chwycił śrubę, w drugą rękę wziął nakrętkę i połączył je. – Mamy naszą śrubę i nakrętkę. Będą do siebie idealnie pasować.

Jenks postawił przed Pinkerem i mną dwie małe filiżanki. Podniosłem swoją. Było w niej niewiele więcej gęstej czarnej kawy, niż zmieściłoby się w jajku. Po wierzchu pływała warstwa orzechowo-brązowej piany. Obróciłem filiżankę: płyn był gęsty i tłusty jak oliwa. Uniosłem ją do ust.

W tej maleńkiej dawce skoncentrowało się wszystko, co stanowi o istocie kawy. Żarzące się ziarna, dym z drewna i gorące płomienie tańczyły mi po języku, by wreszcie trafić na tylną ścianę gardła, a stamtąd natychmiast uderzyć do mózgu... ale nie było to gryzące.

Konsystencja przypominała miód bądź melasę o delikatnej, miękkiej słodyczy, która nie zniknęła, jak posmak ciemnej czekolady lub tytoniu. W dwóch łykach wypilem kawę, lecz smak w moich ustach jeszcze długo wprost się nateżał.

Pinker kiwał głową.

– Ma pan podniebienie, panie Wallis. Jest niewyro-
bione, brak mu podbudowy, ale może się przydać. I co
ważniejsze, umie pan używać słów. Znajdzie pan dla
mnie słowa, które uchwycą... znormalizują... ulotny urok
kawy, żeby dwie osoby w różnych częściach świata
mogły przesłać sobie telegraficznie jej opis i dobrze się
zrozumieć. Niech to będzie stanowcze, nastrojowe,
a przede wszystkim precyzyjne. To pańskie zadanie.
Nazwiemy to... – Urwał na chwilę. – Nazwiemy to Me-
todą Pinkera-Wal lisa. Opis i klasyfikacja smaków kawy.
Co pan na to?

Przyglądał mi się wyczekująco.

– Brzmi intrygująco – odparłem uprzejmie – ale
chyba nie dam rady tego zrealizować. Jestem pisarzem,
artystą, a nie producentem fraz. – Mój Boże, kawa z tej
maszyny była mocna, czułem, jak serce zaczyna mi tłuc
się w piersiach.

– No cóż, Emily przewidywała, że może pan tak
odpowiedzieć. – Pinker wskazał głową swoją sekretarkę,
która wciąż siedziała skromnie pochylona nad notesem.
– Idąc za jej radą, pozwoliłem sobie ustalić adres pań-
skiego ojca i wysłać do niego telegram z informacją
o ofercie zatrudnienia. Może pana zainteresuje odpo-

wiedź wielebnego Wallisa. – Pinker przesunął po blacie stołu telegram w moim kierunku. Podniosłem go. Zaczynał się od słowa „Alleluja!”. – Wydaje się, że z ochotą pozbędzie się ciężaru utrzymywania pana – rzucił sucho.

– Rozumiem.

– Proszę go poinformować, że koniec z wpływami. Stop. Wspaniała okazja. Stop. Niech pana Bóg błogosławi. Stop.

– Ach tak.

– Wobec tego, że został pan relegowany z uczelni... o czym wspomina pański ojciec... przyjmowanie zleceń czy nauczanie to ścieżki, które raczej są przed panem zamknięte.

– Tak – powiedziałem. W gardle czułem suchość. Jenks postawił przede mną kolejną filiżankę kawy. Wlałem ją w siebie jednym haustem. Aromatyczny węgiel i gorzka czekolada uderzyły mi do głowy. – Mówił pan o wielkich zarobkach.

– Czyżby?

– Wczoraj, w Café Royal. Powiedział pan, że jeśli przystąpię do pańskiego... planu... obaj staniemy się niewiarygodnie majątymi ludźmi.

– A tak – przyznał Pinker. – To była taka figura retoryczna. Użyłem... – spojrzał na sekretarkę – czego to użyłem?

– Hiperboli – odpowiedziała. Odezwała się po raz pierwszy. Jej głos był niski... i znowu wydało mi się, że

usłyszałem w nim ton rozbawienia. Spojrzałem na nią, lecz wciąż była pochylona nad notesem, w którym skrętnie zapisywała każde słowo tymi przekłętymi znaczkami.

– Właśnie. To była hiperbola. Jako literat chyba pan to docenia. – Oczy Pinkera błyszczały. – Oczywiście wtedy nie byłem w pełni świadom pańskiego dość nieciekawego położenia.

– Jakie wynagrodzenie pan proponuje?

– Obecna tutaj Emily twierdzi, że pani Humphry Ward otrzymała za swoją ostatnią powieść dziesięć tysięcy funtów. Mimo że jest ona najpopularniejszym autorem w tym kraju, a pan jest zupełnie nieznany, proponuję panu tę samą stawkę.

– Dziesięć tysięcy funtów? – powtórzyłem zaskoczony.

– Powiedziałem tę samą *stawkę*, a nie tę samą *kwotę*. Muszę pana ponownie ostrzec przed brakiem precyzji. – Uśmiechnął się. Widać było, że ta rozmowa sprawia mu przyjemność. – Dzieło pani Ward ma mniej więcej dwieście tysięcy słów, co daje sześć szylingów i trzy pensy za słowo. Ja zapłacę panu tyle samo za każde hasło przyjęte do naszego kodu. I dodatkowe dwadzieścia funtów, gdy praca zostanie ukończona. To chyba uczciwa propozycja?

Przesunąłem dłonią po twarzy. W głowie miałem mętlik. Wypiłem za dużo tej przekłętej kawy.

– Metoda Wallisa-Pinkera.

– Słucham?

– To musi się nazywać Metoda Wallisa-Pinkera, a nie na odwrót.

Pinker zmarszczył czoło.

– Ponieważ Pinker jest pomysłodawcą, to oczywiste, że Pinker musi mieć większe zasługi.

– Jako pisarz włożę w to więcej pracy.

– Jeśli wolno mi tak rzec, panie Wallis, jeszcze nie w pełni zrozumiał pan chyba zasady prowadzenia biznesu. Jeżeli zechcę znaleźć bardziej posłusznego pracownika, mogę po prostu pójść do Cale Royal i tam się rozejrzeć. W końcu pana znalazłem w ciągu pięciu minut. A gdyby pan chciał sobie znaleźć pracodawcę, musiałby się pan porządnie natrudzić.

– Możliwe – odparłem. – Ale nie ma dwóch jednakowych autorów. Skąd pewność, że następny kandydat będzie się tak samo nadawał?

– Hmm – zastanawiał się Pinker – Niech będzie. Metoda Wallisa-Pinkera.

– A ponieważ to praca literacka, będę potrzebował zaliczki. Trzydzieści funtów.

– To bardzo duża suma.

– Zwyczajowo przyjęta – nalegałem.

Ku memu zdumieniu Pinker wzruszył ramionami.

– Niech będzie trzydzieści funtów. I umowa stoi?

Zawahałem się. Chciałem powiedzieć, że muszę się zastanowić, że muszę zasięgnąć rady. Już sobie wyob-

rażałem złośliwe uwagi moich kompanów, Hunta i Morgana, gdy im opowiem o tym zleceniu. Jednakże mimowolnie mój wzrok powędrował w kierunku dziewczyny. Dostrzegłem błysk jej oczu i... może nie uśmiech, ale coś jakby delikatny znak, mrugnięcie i ledwie zauważalne skinienie zachęty. W tym momencie przepadłem z kretesem.

– Tak – powiedziałem.

– Dobrze – odparł kupiec, wstając, i podał mi dłoń. – Zaczynamy tutaj jutro rano, równo o dziesiątej. Emily, bądź tak miła i odprowadź pana Wallisa.

SZEŚĆ

„Cierpki” – ostre i kwaśne uczucie na języku.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Kiedy zeszliśmy ze schodów, zatrzymałem się.

– Czy moglibyśmy rozejrzeć się po magazynie? Chciałbym się czegoś dowiedzieć o działalności, do której pan Pinker postanowił mnie przyuczyć.

Jeśli nawet zrozumiała, że zachęcam ją do żartów z pracodawcy, nie dała tego po sobie poznać.

– Oczywiście – odpowiedziała i poprowadziła mnie wprost do rozległego magazynu, który pobieżnie oglądałem, idąc w przeciwną stronę.

Było to dziwne miejsce – z bębnow do palenia kawy wydostawał się silny żar, a pod nimi w mroku jaśniał ogień z palników. Statek był już rozładowany i duże drzwi na molo zamknięte. Przez szparę między dwoma skrzydłami wpadały promienie słońca. Wysoko w górze były okna, lecz wpuszczały niewiele światła. W powietrzu czuć było specyficzną wilgoć pochodzącą, jak zauważyłem, z włókien, które niczym białe kłaczkę bawełny unosiły się wokół nas. Wyciągnąłem rękę i poczułem, jak krążą w powietrzu.

– Łuska pergaminowa – wyjaśniła. – Część ziaren, które dostajemy, nie została oczyszczona.

Jej słowa nic dla mnie nie znaczyły, ale skinąłem potakująco.

– I cała ta kawa należy do Pinkera?

– Pan Pinker – odparła, akcentując słowo „pan” – jest właścicielem czterech magazynów, z których dwa największe są w składzie celnym. Tutaj jest zaledwie izba rozrachunkowa. Kawa przychodzi rzeką, na statkach. Potem jest sprawdzana, ważona, mielona, palona i segregowana według kraju pochodzenia. W tym magazynie mamy jakby cały świat. Tam jest Brazylia, a tutaj Cejlon. Za nami Indonezja... stamtąd mamy niewiele, większość kupują Holendrzy. Czyste arabiki trzymamy o tu, dla bezpieczeństwa.

– Czemu czyste arabiki wymagają szczególnych zabezpieczeń?

– Bo są najcenniejsze. – Podeszła do wypchanych jutowych worków. Jeden był już otwarty. – O, proszę. – Jej głos drżał z przejęcia.

Ziarna wypełniające worek miały metaliczną barwę, lśniły. jakby każde zostało natłuszczone i wypolerowane. Kobieta nabrała garść, by mi je lepiej pokazać. Były małe, każde z pęknięciem jak w orzeszku, a gdy przesypywały się przez jej palce, wydawały dźwięk przypominający szum deszczu.

– Mokka – powiedziała z czcią. – Każde ziarno to prawdziwy klejnot. – Zanurzyła rękę aż po łokieć i rozgarnęła kawę delikatnym, niemal pieszczotliwym gestem, wzniesając silny podmuch aromatycznej woni. –

Taki worek jest jak skrzynia pełna skarbów.

– Mogę? – Wsunąłem rękę obok jej ramienia.

Dziwne uczucie: patrzyłem na ziarna, które opływały mój nadgarstek niczym ciecz, choć były suche i lekkie jak zbędne plewy. Intensywny, ostry zapach uderzył mnie w nozdrza. Wsuwałem rękę głębiej i wydało mi się, że wśród tych śliskich, tłustych, gładkich ziaren przez moment wyczułem coś jeszcze – delikatny suchy dotyk jej palców.

– Ten nasz pan Pinker to nie byle kto – zauważyłem.

– To geniusz – powiedziała spokojnie.

– Impresario kawy? – Niby przypadkiem musnąłem kciukiem jej nadgarstek. Zesztywniała i cofnęła rękę, lecz się nie odezwała. Była w tym pewna przebiegłość, a może bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że to wyniosłość. Tak jak sądziłem, nie jest to kobieta, która by się głupawo uśmiechała czy podnosiła larum bez powodu.

– Geniusz – powtórzyła. – Chce zmieniać świat.

– Za pomocą swoich tawern?

Widocznie zabrzmiało to jak sarkazm, bo zareagowała gwałtownie.

– Owszem, to część planu. – Jakby przyciągana przez nieokreśloną zmysłową siłę ponownie zanurzyła dłoń w worku i przyglądała się ziarnom przesypującym się między palcami, ciemnym jak korale z ebonitu lub gagatu.

– A reszta planu? – dociekałem.

Spojrzała na mnie chłodno.

– Uważa go pan za dziwaka.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Uważam tylko, że się myli. Człowiek pracy nigdy nie będzie wolał arabiki od ginu.

– Może. – Wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Nie zgadza się pani ze mną?

Nie odpowiedziała, tylko nabrała kolejną garść ziaren i pozwoliła im spływać powoli po dłoni, którą przechylała na boki. Nagle dotarło do mnie, z czym kojarzy mi się ten osnuty zmierzchem magazyn. Dojmujący zapach kawy przypominał kadzidło, a stłumione światło było niczym półmrok majestatycznej katedry.

– To nie są zwykłe ziarna, panie Wallis – rzuciła wpatrzona w opadające czarne krople – To nasiona... nasiona nowej cywilizacji.

Spojrzała w górę, a mój wzrok podążył w tym samym kierunku, do okna... gabinetu Pinkera. Handlarz kawą stał za szybą i obserwował nas.

– To wspaniały człowiek – powiedziała po prostu. – I mój ojciec.

* * *

Wyjęła rękę i przetarła ją delikatnie chusteczką,

podchodząc do palników.

– Panno Pinker – powiedziałem, idąc za nią – proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie miałem pojęcia... jeżeli uraziłem...

– Jeżeli powinien pan kogoś przeproszać, to jego.

– Ale pański ojciec nie jest świadom moich uwag.

– Ja mu ich nie przekażę, jeśli pan tego nie zrobi.

– Muszę też przeprosić za... – zawahałem się – za moje zachowanie względem pani. Nie licowało z pani pozycją.

– Cóż to za zachowanie? – spytała niewinnym tonem.

Zdezorientowany pozostawiłem to bez odpowiedzi.

– Mam nadzieję, panie Wallis – dodała – że będzie mnie pan traktował tak samo jak wszystkich pracowników mojego ojca. Nagana – a może zachęta? Jeśli to drugie, to mocno zaszyfrowane. Przez chwilę wytrzymała moje spojrzenie.

– Oboje mamy tu pracować, prawda? Osobiste uczucia trzeba odłożyć na bok. „Rano siej swoje ziarno i do wieczora nie pozwól spocząć swej ręce” ^[3]. Księga Koheleta.

Skinałem głową.

– Racja. Będę więc czekał na wieczór, panno Pinker.

– A ja na rano, panie Wallis.

* * *

Opuściłem magazyn w równym stopniu radosny, co skonfundowany. Z jednej strony miałem wrażenie, że trafiła mi się lukratywna posada. Z drugiej czułem w spodniach coraz silniej doskwierające napięcie od flirtowania z Emily Pinker. Tym akurat łatwo było się zająć. Wsiadłem na statek na Embankment, potem przeszedłem przez Strand do ulicy Wellingtona. Tam mieściło się sporo przybytków rozkoszy, w których bywałem już wcześniej – wszystkie na odpowiednim poziomie. W końcu miałem co świętować: obiecano mi trzydzieści funtów zaliczki.

Wstąpiłem jeszcze tylko na pudding mięsny do hotelu Savoy, a później wybrałem najbardziej luksusowy dom uciech pod numerem osiemnastym. Na pierwszym piętrze, za ciężkimi zasłonami, mieścił się salon obity czerwonym adamaszkiem, gdzie na miękkich kanapach prezentowało swe wdzięki pół tuzina roznegliżowanych najpiękniejszych dziewcząt Londynu. Którą wybrać? Dostrzegłem wśród nich dziewczynę ze wspaniałymi rudymi puklami, inną z twarzą upudrowaną na wzór marionetki, a także wysoką jak wieża niemiecką piękność, ciemnoskórą francuską kokietkę i wiele innych.

Wybrałem tę, której długie smukłe palce przypominały mi pannę Emily Pinker.

SIEDEM

Pinker patrzy, jak jego córka wraca do gabinetu i sprząta z biurka filiżanki i dzbanki.

– No i co? Co sądzisz o naszym estecie, Emily?

Nie odpowiada od razu. Spokojnie ściera rozsypaną po mahoniowym blacie kawę.

– Nie jest taki, jak się spodziewałam.

– To znaczy?

– Po pierwsze młodszy. I nieco zarozumiały.

– Racja – zgadza się Pinker – ale po namyśle uznałem, że to nie musi być wada. Starszy mógłby być bardziej przywiązany do swoich opinii. A ten, mam nadzieję, nie zechce ukraść ci pomysłu.

– To właściwie nie mój pomysł.

– Nie bądź zbyt skromna. Jeżeli masz pracować z panem Wallisem, to chyba nie możesz sobie pozwolić na ten luksus. Oczywiście, że to twój pomysł i tak ma zostać. – Handlarz obraca pióro między palcami. – Ciekawe, że nie zwrócił na to uwagi... Kiedy powiedziałem, iż pomysłodawcą jest Pinker, od razu założył, że to ja.

– Chyba rozsądne założenie? Zwłaszcza że wtedy nawet nie wiedział, iż jestem twoją córką.

– Może. – Pinker patrzy, jak ona ustawia naczynia na tacy. – Powiesz mu, że to ty wymyśliłaś ten „Przewodnik”?

Emily układa filiżanki w stertę.

– Nie – mówi po chwili.

– Dlaczego?

– Myślę, że na tym etapie im mniej wie o naszych planach, tym lepiej. Jeśli mu powiem, pewnie będzie chciał dowiedzieć się więcej. A cokolwiek mu powiemy, może dotrzeć do naszych konkurentów, może nawet do Howella.

– Jak zwykle, jesteś bardzo roztropna. – Ojciec odwraca głowę i patrzy na dalekopis, który wysuwa z siebie niekończący się potok taśmy. – No to miejmy nadzieję, że sprosta temu zadaniu.

OSIEM

Pomieszczenie do degustacji musi być odizolowane od czynników zewnętrznych – nie mogą tam docierać żadne widoki, dźwięki, zapachy. W takich warunkach koncentruj się na swoim zadaniu.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Następnego dnia rano to Jenks, starszy sekretarz, oprowadzał mnie po zakładzie. O ile poprzedniego wieczoru magazyn przypominał katedrę czy kościół, o tyle w towarzystwie Jenksa szybko stało się jasne, że w istocie jest to maszyna – rozległy acz bardzo prosty mechanizm do generowania zysków. „Surowiec”, jak Jenks nazywał kawę, przybywał w dużych ilościach, po czym był przenoszony z miejsca na miejsce po obszernym terenie magazynu, gdzie poddawano go łuskaniu, czyszczeniu, paleniu i w niektórych przypadkach mieleniu, a następnie odsyłany, gdy jego wartość wzrosła czterokrotnie. Jenks pokazał mi księgi – wszystkie zapisane jego starannym pismem – opasłe tomy rejestrujące drogę, którą przebywał każdy worek, każde ziarno w nieubłaganej wędrownicy z jednej rubryki do drugiej.

Większość gatunków kawy w magazynie przeznaczano na jedną z czterech mieszanek: Pinker's Mocca Mix, Pinker's Old Government Java, ^[4] Pinker's Ceylon

lub Pinker's Fancy. Nie były one dokładnie tym, czego można by się spodziewać. Na przykład Old Government Java została tak nazwana, gdyż rząd holenderski przechowywał tę kawę przed sprzedażą, przez co ziarna dojrzewały i zyskiwały aksamitny smak, tak popularny na kontynencie. Jednakże z powodu wysokich podatków od kawy holenderskiej ten gatunek kawy w mieszance Pinkera występował w stosunku trzy do jednego, resztę stanowiła kawa z Brazylii i Indii. Podobnie – wyjaśnił mi Jenks – rzecz się miała z mieszanką cejlońską: kiedyś pochodziła z własnych plantacji Pinkera na Cejlonie, lecz gdy tamtejsze plony przetrzebiła zaraza, nazwa ta stała się bardziej wskaźnikiem stylu niż miejsca pochodzenia ziaren, gdyż ponad osiemdziesiąt procent stanowiła tańsza kawa brazylijska.

Musiałem wyglądać na zaskoczzonego, bo Jenks powiedział surowo:

– To standardowa praktyka. Nie ma w tym nic niezwykłego.

– Rozumiem.

– Inni kupcy często zanieczyszczają swoje mieszanki obcymi domieszkami. Dodają cykorię, jęczmień, prażoną kukurydzę, nawet sorgo, popiół z drewna i melasę. U Pinkera tego się nie robi.

– Mimo że jest to, jak pan to określił, „standardowa praktyka”? – zapytałem bez żadnych ukrytych zamiarów.

Przyglądał mi się uważnie.

– Powiedziałem, że to powszechne. Miałem na myśli

podrzędnych kupców. Takich jak Seymour czy Lambert. Nawet Howell, mimo iż ma licencję dostawcy rodziny królewskiej. – Wymawiał te nazwiska, szczególnie to ostatnie, ze swego rodzaju szyderstwem w głosie.

– Rozumiem. – Czując, że już dosyć mu nadokuczałem, zapragnąłem zmienić temat. – Utrata plantacji na Ceylonie musiała być ciężkim ciosem.

– Właściwie nie. Ziemia była tania, a siłę roboczą bez trudu dało się wykorzystać do innych prac, choćby przy herbacie. Były niewielkie straty księgowo, które odpisaliśmy od majątku trwałego.

Używał terminów, które wówczas nic dla mnie nie znaczyły. Pokiwałem głową i przeszliśmy dalej.

W biurze Jenks pokazał mi, jak robi się próbki do degustacji, czyli „filizanki”, jak je nazywał. Bezpośrednio do filizanki standardowych rozmiarach wsypuje się dokładnie odmierzoną ilość zmielonych ziaren. Po dodaniu wody należy odczekać równo dwie minuty, po czym docisnąć łyżeczką fusy do dna spróbować.

– O tak. – Wyćwiczonym ruchem zanurzył w filizance łyżeczkę, uniósł ją do ust i pociągnął łyk z głośnym siorbnięciem. Ten odgłos wydawał się zbyt prostacki jak na człowieka jego pokroju, lecz zorientowałem się, że celowo wraz z płynem zasysał powietrze, podobnie jak Pinker w Café Royal.

– Jak smakuje? – spytałem.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie mam czułego podniebienia. – W jego głosie słychać było

lekceważenie, jakby chciał powiedzieć, że kwestie smaku produktu należy zostawić takim jak ja.

– To musi być uciążliwe dla kogoś na pańskim stanowisku.

– Zajmuję się finansową stroną biznesu.

– Ale słaby byłby to biznes, gdyby kawa nie miała smaku.

– Czyli dobrze się składa, że pan tu jest – burknął. Spojrzałem na niego, zaskoczony tym tonem: nie przyszło mi wcześniej do głowy, że zatrudnienie mnie mogło wywołać niezadowolenie wśród pracowników Pinkera.

W tym momencie przyłączył się do nas sam właściciel.

– O! Widzę, że nasz nowy uczeń już ciężko pracuje – zauważył. – Miło mi widzieć, że jest pan tak przedsiębiorczy, panie Wallis. Przyznaję, że wczoraj wieczorem chwilami miałem wątpliwości. W końcu stąd nie można zostać relegowanym. Podniósł filiżankę, z której przed chwilą pił jego sekretarz. Wsunął do niej nos i mocno wciągnął zapach.

– Przekona się pan – powiedział z namysłem – że zapach jest inny tu w filiżance i – odsunął nieco nos – z odległości kilku cali. Poza tym, jeśli przechyli się filiżankę na bok, o tak, aromat staje się intensywniejszy. A gdy delikatnie obraca się filiżanką – wykonał odpowiedni ruch – ulatniają się inne substancje zapachowe. Wszystko to trzeba będzie wziąć pod uwagę w odpowiednim czasie.

– Pan Wallis właśnie wyrażał swoje zastrzeżenia w kwestii sporządzania mieszanek – wtrącił Jenks kąśliwie.

– To prawda? – Pinker spojrział na mnie, marszcząc czoło.

– Zwróciłem tylko uwagę – sprostowałem łagodnie (a to przebiegły Jenks!) – że to musi być trudne kupować tak wiele gatunków, a sprzedawać tylko kilka.

– Słusznie. Miłośnicy znajdą powód do zachwytu w kawie z każdej plantacji, tak jak amator wina z upodobaniem będzie porównywał wina z Bordeaux z hiszpańskimi winami z Rioja i tak dalej. Ale my musimy mieć zyski, a w przeciwieństwie do wina kawa raz uprażona z czasem nie staje się lepsza.

Podszedł do okna wychodzącego na magazyn i przez chwilę przyglądał się temu, co się tam dzieje.

– Pomyślmy o nich jak o armii – powiedział jakby do siebie. Musiałem stanąć obok niego, żeby go słyszeć. – Każdy regiment ma własne pochodzenie i charakter, ale też każdy regiment składa się z jednostek: pojedynczych żołnierzy, którzy rezygnują z własnej tożsamości na rzecz całego oddziału. Tam mam górali, tu oddziały Irlandczyków, tam Gurkhów. I tak jak armia wykorzystuje kawalerzystów czy inżynierów zależnie od sytuacji, tak moja mieszanka może równoważyć mdłą kawę brazylijską niewielką ilością ziaren z Sumatry albo maskować niedostatki jednej partii najlepszymi cechami innej.

– Skoro one stanowią armię, to pan musi być generałem gotowym wysłać je na wojnę – zauważyłem. To był żart, lecz wyraz twarzy Pinkera, kiedy na mnie spojrzał, bynajmniej nie zdradzał rozbawienia: jego wzrok płonął na myśl o tym, czego mogą dokonać podległe mu bataliony.

– W rzeczy samej – wyszeptał. – W rzeczy samej.

* * *

Niemal natychmiast zabraliśmy się do pracy. Sprawdzone palnik, który został podłączony do gazu. Mieliśmy do dyspozycji ogromną liczbę filiżanek i dzbanków z wodą, a także nieokrzesanego jegomościa o nazwisku South, którego zadanie polegało na donoszeniu nam próbek kawy w miarę zapotrzebowania. Były też dwa stalowe wiadra, których przeznaczenia na początku nie znałem.

– To na kawę – wyjaśnił mi Pinker. – Gdyby pan naprawdę to wszystko wypił, wyszedłby pan z siebie.

Mieliśmy też Emily, która z notesem w ręku zajęła miejsce przy stole. Uśmiechnąłem się do niej, a ona co prawda odpowiedziała uśmiechem, lecz było to czysto profesjonalne powitanie, nic więcej. Oczywiście nie mogła wiedzieć, że poprzedniego wieczoru spędziliśmy wspólnie upojne godziny na pokrytej aksamitem kanapie przy Wellington Street 18. (Dziewczyna, którą wybrałem, była dość ładna, ale niemrawa, i najwyraźniej

zwiększała swą naturalną wilgotność za pomocą obfitej dawki gliceryny. Później, już po powrocie do domu, odkryłem grubą warstwę tego mazidła na oklapłym członku. Dziwna sprawa z tymi dziwkami: to chyba jedyny zawód, w którym dopłaca się za brak doświadczenia i umiejętności. Ale wspominał o tym tylko tak na marginesie).

– Proponuję, żebyśmy zaczęli od spostrzeżeń Linneusza na temat różnych kategorii zapachów – powiedział Pinker. Zajrzał do przyniesionej książki. – O, tutaj. Linneusz dzieli zapachy na siedem klas, zależnie od ich hedonistycznych właściwości, czyli dostarczonych przyjemności. I tak mamy *fragrantes* – zapachy balsamiczne, takie jak szafran czy dzika limonka, *aromaticos* – zapachy aromatyczne, takie jak cytron, anyżek, cynamon, goździki, *ambmsciados* – piżmowe, *alliaceous*, czyli czosnkowe (zapachy czosnku oraz cebuli), *hircinos* – zapachy kozie, jak na przykład sera, mięsa czy uryny, *tetros* – cuchnące, wstrętne (zapachy nieprzyjemne, takie jak gnoju bądź orzechów) i *nauseos* – przyprawiające o mdłości, obrzydliwe, takie jak guma czy zapalniczka cuchnąca. Zgadza się pan?

Chwilę się zastanowiłem.

– Nie.

Pinker zmarszczył czoło.

– System Linneusza służył jego celom – oświadczyłem beztrąsko, a zasady estetyki nakazują inne podejście. My musimy przede wszystkim brać pod uwagę wrażenia wzrokowe, to jest barwę i wygląd, a dopiero

potem zapach, smak, posmak i tak dalej.

– Bardzo dobrze – zgodził się Pinker.

Uzgodniwszy więc, że będziemy działać według moich zasad, posłaliśmy Southa, żeby przyniósł po garści kawy z każdego worka w magazynie. W końcu na stole przede mną leżały duże sterty ziaren.

– A więc – powiedziałem tonem bardziej pewnym, niż się czułem – te tutaj są czarne jak rozpacz, a te złote niczym szlachetność...

– Nie, nie, nie – przerwał mi Pinker. – To zbyt poetyckie. Rozpacz jednego jest dla innego tylko smutkiem, a kto miałby stwierdzić, czy smutek i rozpacz są tej samej barwy?

Zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Musimy więc ustalić odpowiednie określenia dla kilku różnych odcieni czerni.

– No właśnie... dokładnie to jest moim celem.

– Hmm... – Po chwili namysłu uznałem, że to niełatwa sprawa. – Zacznijmy od ustalenia, jak nazwać najczarniejszą postać czerni.

– Zgoda.

Zapadła cisza. Trudno było znaleźć słowo opisujące absolutną czerń najciemniejszych ziaren.

– Czysta czerń krowich nozdrzy – powiedziałem wreszcie. Pinker się skrzywił. – Albo lśniąca czerń ślimaka o świcie...

– Zbyt wymyślne. I, za przeproszeniem, nieape-

tyczne.

- Czerń Biblii.
- Zbyt kontrowersyjne.
- Czerń nocy bezksiężycowej.

Pinker cmokał z dezaprobatą.

- Zbyt poetyckie? To może jak węgiel?
- Ale węgiel nie jest bardzo czarny. Jest w zasadzie szarawy, gdzieś między szarością łupków z Komwalii a szarością mysiego futra.

Te słowa wypowiedziała Emily.

Spojrzałem na nią.

– Przepraszam – dodała. – Pewnie nie potrzebuje pan cudzych opinii, skoro tak jasno wyraża pan własne.

– Nie... to bardzo słuszna uwaga – powiedziałem – a poza tym, im bardziej będziemy współpracować, tym większe mamy szanse na sukces. – W głębi duszy żałowałem oczywiście, że nie zaznaczyłem, iż ten „Przewodnik” powinien być wyłącznie mojego autorstwa. Debatowaliśmy nad czernią przez dziesięć minut i nawet nie zarobiłem tych dziesięciu szylingów, które z takim zapalem przepuściłem poprzedniej nocy.

- Soból? – podsunąłem
- Kruk – odparł Pinker.
- Antracyt.
- Smoła.
- Gagat.

Pinker bez entuzjazmu skinął głową. Nie dało się zaprzeczyć, że gagat istotnie jest bardzo czarny.

– Mamy więc pierwsze słowo – zauważyła Emily, zapisując je w notesie – ale nie powinien pan zapominać, że te ziarna są czarne tylko dlatego, że zostały uprażone. W stanie naturalnym są jasnobrązowe.

– Tak, racja – przyznałem. – Byłem tego świadom. I oczywiście zapomniałem. Proces palenia to osobna kwestia, którą musimy rozważyć. Tymczasem zadajmy sobie pytanie: jeśli ta kawa jest czarna jak gagat, to jaka jest ta? – Wsunąłem palce w inne ziarna.

– To jest... żelazo – powiedziała Emily.

– Istotnie – zgodziłem się. – Faktycznie jak żelazo.

– Coraz lepiej – zauważyła, notując.

– A te? – zapytał Pinker, wskazując trzecią stertę.

– Te są perłowe.

– Przecież perły są białe. Każdy to wie.

Podniosłem jedno ziarno i przyjrzałem mu się z bliska. Miało opalizujący połysk jak wypolerowana moneta.

– W takim razie grafitowe.

– Zgoda – rzuciła Emily i zapisała.

– Tym sposobem dotarliśmy do brązu.

– Ale brąz ma wiele różnych odcieni i wszystkie określa się po prostu jako brąz – zaprotestował Pinker. – Nie ma słów, które by je rozróżniały.

– Niezupełnie. Weźmy na przykład brąz różnych gatunków drewna. – Spojrzałem na ziarna. – Niektóre z nich można by nazwać, używając takich określeń, jak mahoń, jesion, dąb.

Pinker wstał gwałtownie.

– Muszę się zająć innymi sprawami. Wy dwoje kontynuujcie. – Później miałem się przekonać, że takie zachowanie było dla niego typowe: nie potrafił skupić się na jednym zadaniu dłużej niż mniej więcej godzinę. Częściowo wynikało to z tego, że miał tak wiele rzeczy na głowie, ale też był to przejaw jego entuzjazmu wobec wszystkiego, co nowe. Podeszedł do drzwi i pociągnął. – Jenks?! – zawołał. – Jenks, gdzie jesteś? – I już go nie było.

Spojrzałem na Emily. Nie podnosiła wzroku znad notesu.

– Chciałbym – zacząłem cicho – znaleźć słowo, które trafnie oddawałoby barwę pani oczu.

Zesztywniała. Na jej policzki wpłynął delikatny rumieniec.

– One też są szarawe – ciągnąłem – lecz chyba jaśniejsze niż węgiel bądź łupek kornwalijski.

Milczała.

– Powinniśmy wracać do pracy. Mamy wiele do zrobienia – odezwała się po chwili.

– Oczywiście. Zresztą to nie jest pilne. Ta sprawa zasługuje na głębsze zastanowienie.

– Proszę nie robić tego ze względu na mnie. – W jej głosie pobrzmiwał lodowaty ton. – Nie ma sensu pakować się w kłopoty.

– Ależ to będzie przyjemność.

– Może tymczasem wróćmy do koloru ziaren.

– Twarda z pani sztuka.

– Mam tylko świadomość, że zadanie, które stoi przed nami, jest poważne.

– Może poważne, ale nie męczące – odparłem szarmancko. – W pani towarzystwie żadna praca nie będzie uciążliwa.

– Obawiam się jednak, że moja osoba pana rozpraszają. – Lodowaty ton nabrał cech arktycznych. – Chyba sprawdzę, czy pan Jenks lub pan Simmons może mnie zastąpić.

– Nie trzeba – odparłem natychmiast. – Tym sumienniej będę dopełniać swych obowiązków, gdy będą pochodzić od pani.

Wpatrywaliśmy się w sterty szarzielonych surowych ziaren. Żadne z nas, jestem pewien, nie myślało o kawie. Nie potrafiłem sobie odmówić jednego ukradkowego spojrzenia w jej stronę.

– Kolor pani policzków przypomina mi dojrzewające jabłka...

– Panie Wallis. – Energicznie rzuciła notes na stół. – Jeżeli moje policzki się zaróżowiły, to dlatego, że jestem na pana zła za takie traktowanie.

– Wobec tego przepraszam. Nie chciałem pani urazić. Wręcz przeciwnie.

– Ale chyba pan rozumie – powiedziała niskim, zniecierpliwionym głosem – że stawia mnie pan w bardzo niezręcznej sytuacji. Jeśli opuścę ten gabinet, mój ojciec będzie chciał się dowiedzieć dlaczego, a potem pana zwolni i „Przewodnik” nie powstanie, czego nie chcę. Jeśli zaś tu pozostanę, będę zdana na pańskie towarzystwo, a na podstawie pańskiego dzisiejszego zachowania mam prawo sądzić, że będzie pan to wykorzystywał, by się ze mną droczyć.

– Przysięgam na honor, że nie będę tego robił.

– Musi pan obiecać, że zapomni o mojej płci.

– Sądziłem, że jest pani zbyt nowoczesna, by obawiać się zupełnie naturalnego zainteresowania z mojej strony. Jednakże, skoro tak pani woli, postaram się w przyszłości myśleć o pani w taki sposób, jakby była pani chłopcem.

Obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, lecz uniosła ołówek ponad notes.

– Te ziarna... – Zaczerpnąłem garść i zacisnąłem w dłoni. Potrząsnąłem. – Możemy porównać ich kolor do liści.

– W jaki sposób?

– Młody liść jest jasnozielony. W porze letniej liść jest oczywiście ciemniejszy. Liść jesienny bardziej przypomina te bledsze, bardziej żółte ziarna.

– Świetnie.

Zanotowała.

– I tak dochodzimy do zapachów. Do tego chyba musimy przygotować kilka próbek.

– Rozpalę palnik.

Zajęła się gotowaniem wody, a ja ją obserwowałem. Nie miałem racji, gdy myślałem, że jej praktyczne stroje nie są kobiece. Brak gorsetu, choć może pozbawiał ją zaokrąglenia, które do niedawna były w modzie, to pozwalał wyobrazić sobie jej naturalną sylwetkę – innymi słowy, jej nagą postać. Była szczupła, można by rzec koścista. Nawet jej biodra, gdy pochylała się nad stołem, były tak niepozorne, że porównanie do chłopca wydawało się odpowiednie. Półprzymknąwszy oczy, w myślach porównywałem ją z dziewczynkami, w których towarzystwie bywałem, i tym sposobem zdołałem stworzyć sobie dość eklektyczny obraz jej ciała w negliżu. Emily zapewne sądziła, że skupiam się na pracy.

Akurat wtedy wrócił Pinker i przyłapał mnie na tym, jak przyglądam się jego córce. Podejrzewam, że domyślił się, co chodzi mi po głowie.

W tej sytuacji najmniejsza aluzja z jej strony mogła sprawić, że stracę pracę. Przeklinałem w myślach swój brak rozwagi. Potrzebowałem tej zaliczki, zwłaszcza po tym, jak poprzedniej nocy nadszarpnąłem swój budżet.

Emily spoglądała na mnie chłodno.

– Pan Wallis dobrze sobie radzi, ojciec. Choć chyba nie tak szybko, jak by chciał. Zdaje się, że moja kobiececa

paplanina nieco go rozprasza.

– Wręcz przeciwnie, panna Pinker jest źródłem natchnienia – powiedziałem. – Niczym Beatrice dla Dantego czy Maud dla Tennysona, Emily Pinker inspirowała powstanie Metody Wallisa-Pinkera.

Pinker zmrużył oczy.

– Bardzo dobrze. Może więc pomogę sporządzić pierwszą próbkę.

– Nie trzeba – odparłem. – Jenks już mi wyjaśnił zasady.

– W takim razie będę obserwował.

Zajął miejsce przy drzwiach i przyglądał mi się, gdy odmierzałem ziarna, miałem je w młynku i zalewałem wrzątkiem. Odczekałem dokładnie dwie minuty i łyżeczką docisnąłem do dna grubą spienioną warstwę fusów. Nie miałem jednak takiego doświadczenia jak sekretarz i kiedy podniosłem łyżeczkę, w płynie ciągle pływały maleńkie ziarenka. Mimo to przyłożyłem filiżankę do ust i starałem się siorbać w taki sam sposób, jak robili to Pinker i Jenks – zasysając wraz z ciecżą powietrze. Jak można się było spodziewać, od razu się zakrztusiłem i rozpryskałem kawę po całym stole.

– Drogi panie Wallis! – krzyknął Pinker. – Miał pan tylko spróbować, a nie rozbryzgiwać wokół siebie jak wynurzający się z głębin wieloryb.

– Zakrztusiłem się – powiedziałem, a raczej wycharczałem. – Przepraszam. Spróbuję jeszcze raz. – Byłem bardzo zawstydzony. Ponownie spróbowałem zassać

kawę tak, jak robili to inni, lecz okazało się to trudniejsze, niż się wydawało: tym razem udało mi się utrzymać płyn w ustach, ale niewiele brakowało, by skończyło się tak samo jak poprzednia próba.

– Emily, kochanie, obawiam się, że twój nowy kolega nie będzie w stanie odezwać się do południa. – Pinker zachichotał.

– Nie będzie to wielka strata – oznajmiła Emily, wydymając wargi. – W każdym razie dla wszystkich poza panem Wallisem.

– Możliwe... możliwe... – Pinker przetarł oko palcem. – Może kamizelka będzie mówić za niego!

Po nim pałeczkę przejęła Emily Pinker. Teraz ona chichotała i dławiła się ze śmiechu. Patrzyłem na nich dwoje ze zdumieniem. Rozumiałem, że do pewnego stopnia to ja wprowadziłem ich w rozbawienie, jednakże nie mogłem pojąć dlaczego. To prawda, że tego dnia moja kamizelka, jak i buty, była jaskrawożółta, ale chyba nawet handlarz kawą wiedział, że taki jest wymóg mody.

Pinker przetarł oczy.

– Wybacz nam, drogi Wallisie. Bez urazy, pokażę ci, jak się to robi. To wymaga wprawy, którą mają wszyscy znający się na rzeczy. Wsunął łyżeczkę kawy do ust, siorbnął głośno, jakby płukał gardło. – Cała sztuka polega na wciągnięciu płynu ustami i językiem. Zassać, napowietrzyć i w końcu wypluć.

Stosowałem się do tych wskazówek i tym razem udało mi się trochę skuteczniej panować nad płynem –

w każdym razie reakcja obserwatorów była dużo bardziej powściągliwa. Ich rozbawienie powróciło jednak, gdy próbowałem opanować sztukę wypluwania przetestowanej kawy do wiadra. Pinker zademonstrował mi tę czynność: strzyknął cienką strużką, która z głośnym bębnieniem uderzyła w metalowe dno, i zanim zdążył obrócić się w moją stronę, już wiedziałem, że to nie będzie łatwe.

– Wyobraź pan sobie, że gwizdzesz – wyjaśnił.

Spojrzałem na Emily. Jej twarz wyrażała udawaną obojętność.

– Może pańska córka wolałaby...

– Wolałaby co?

– Nie być obecną przy tym, bo obawiam się, że może to nie wyglądać estetycznie.

Pinker odwrócił się w stronę córki, a ta odparła:

– Ależ, panie Wallis. Bądźmy nowocześni i nie obawiajmy się tego, co naturalne.

– Tak, tak. Oczywiście. – Niechętnie obróciłem się do stołu.

– Próbujemy? – zaproponował Pinker. Włożył odrobinę kawy do ust. Zrobiłem to samo. Zassaliśmy, napowietrzyliśmy i Pinker wystrzelił strużką brązowego płynu wprost do wiadra.

Pochyliłem się nad kubłem, zebrałem myśli i splunąłem, najdelikatniej jak mogłem. Niestety, moja taktowność przyniosła skutek odwrotny do zamierzo-

nego: kawa rozbryznięła się po całym wiadrze, a część w ogóle do niego nie trafiła.

– Unizenie przepraszam – powiedziałem, oblewając się rumieńcem wstydu. Żadne z Pinkerów mnie nie słyszało. Ojciec gwałtownie potrząsał barkami, oczy miał zamknięte, a spod rzęs spływały mu łzy. Emily wsunęła dłonie pod pachy i kiwała się na krześle w przód i w tył; gwałtowne drgania pochylonej głowy świadczyły o tym, że stara się pohamować śmiech.

– Widzę, że bardzo to państwa bawi – rzuciłem.

Pinker położył mi dłoń na ramieniu.

– Jeśli nie spełni się pan jako poeta – westchnął – ma pan zapewnioną przyszłość na scenach operowych. Ta pozycja wyjściowa! Wspaniała! Jakby miał pan zamiar deklamować poemat, a nie splunąć.

– Nie wierzę, że splunąłem.

– A ten wyraz twarzy! – ciągnął z entuzjazmem. – Co za powaga! Ten wyraz zaskoczenia, który z takim patosem przywdział pan na oblicze!

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi. – Wciąż chyba byłem czerwony na twarzy.

– No cóż, drogi młodzieńcze – nagle przemówił poważnym tonem. – Dość już tych złościwości. Wybacz nam. Wracajcie do obowiązków.

Ruszył ku drzwiom. Po jego wyjściu w sali zapadła cisza.

– Rozumiem, że wydaję się pani żaloszny – ode-

zwałem się po chwili z goryczą.

– Ależ nie, Robercie. Może teraz sam pan uważa się za żalostnego i zapewne to chciał osiągnąć mój ojciec.

– Rozumiem.

– Jeżeli mamy razem pracować, musimy czuć się swobodnie w swoim towarzystwie. A nie uda nam się to, jeśli jedno będzie się starało okazać wyższość.

– Tak, rozumiem.

– Obiecuję nie śmiać się z pana, jeśli pan obieca ze mną nie flirtować.

– W porządku. Ma pani moje słowo. – Opadłem ciężko na krzesło.

– Proszę mi wierzyć – dodała, wykrzywiając usta – że to ja tracę na tej umowie więcej.

DZIEWIĘĆ

Podstawowa trudność z terminologią dotyczącą smaków kawy wiąże się z możliwościami języka. Wiele jest słów opisujących wrażenia wzrokowe, słuchowe i dotyku, lecz mało takich, które odwołują się do zmysłu smaku i zapachu.

Lingle, the Coffee Cupper's Handbook

Możliwe, że Pinker mi nie ufał. W każdym razie wkrótce dołączyła do nas ciemnowłosa młoda kobieta o parę lat młodsza od Emily. Z głośnym tąpnięciem położyła na stole okazałą stertę książek.

– Moja siostra Ada – przedstawiła ją Emily. – Ado, to jest pan Robert Wallis.

Krótkie „Bardzo mi miło” zabrzmiało w ustach Ady jak oczywiste kłamstwo. Podniosłem jedną z książek i spojrzałem na grzbiet. *Analiza wody do celów sanitarnych*. Wielkie nieba!

Wyjęła mi książkę z ręki.

– Praca profesora Franklanda to standardowy tekst o wartościowości pierwiastków w związkach.

– Ada wybiera się na Oksford – oznajmiła Emily. – Czy nie tam pan studiował, Robercie?

To zainteresowało Adę.

– O! W którym kolegium?

– Christ Church.

– Czy laboratoria są tam na wysokim poziomie?

– Nie mam pojęcia.

– A Clarendon? Warto się tam dostać?

Przez dziesięć minut wypytywała mnie o nowe sale, kolegia żeńskie, egzaminy i tak dalej. Nie byłem dobrym źródłem informacji. Mógłbym jej opisać spacer po parku o świcie w towarzystwie pijanych kompanów, wyprawy łódką do Wytham na lunch czy na pieczonego pstrąga, ale o salach wykładowych i wykładowcach, których wymieniała, nie wiedziałem prawie nic.

W każdym razie trzecia osoba w pokoju okazała się całkiem użyteczna. Celem naszego „Przewodnika” była przecież komunikacja, a my mieliśmy możliwość testowania naszej pracy na Adzie. Ada okazała się też przydatna w bardziej konkretnych sprawach, kiedy doszło do tworzenia kuferka wzorców – ale tu już nieco wybiegam w przyszłość.

Koło dziesiątej Emily się przeciągnęła.

– Może to przez te rozważania o smakach i zapachach – powiedziała – ale poczułam się głodna.

– Tego należało się spodziewać – odparłem. – Tak jak nut trzeba się najpierw nauczyć i wiele ćwiczyć, zanim zacznie się je płynnie czytać, tak samo wszystkie tonacje i pasażę przyjemności wymagają ćwiczeń, by

osiągnąć biegłość w tej materii.

Wywróciła oczami.

– Czy ma to być wyszukany sposób stwierdzenia, że też jest pan głodny?

– Właśnie tak. Gdzie tu można dobrze zjeść?

– Na Narrow Street jest restauracja, w której podają pyszne placki z węgorza. Szczerze mówiąc, od dwudziestu minut myślę tylko o nich. Serwują je z tłuczonymi ziemniakami i odrobiną sosu.

– Muszę iść do Hoxton kupić odczynniki – przerwała jej Ada.

– Wygląda więc na to, że będziemy sami – zwróciłem się do Emily.

– Emily, mogę cię prosić na chwilkę? – szybko wtrąciła Ada.

Rozmawiały na podeście ściszymi głosami. Oczywiście podszedłem do drzwi, by je słyszeć.

– ...obiecałaś ojcu, że nie dojdzie do niczego nieprzyzwoitego.

– Ada, nie wygłupiaj się. To, że dam się nabrać na słodkie słówka pana Wallisa przy niewinnym lunchu, jest tak samo prawdopodobne jak to, że ta rzeka zamrznie. Ale jeśli naprawdę się martwisz, chodź z nami.

– Wiesz, że nie mogę. Będziesz musiała zabrać Żabkę.

– Wolałabym nie. – Emily westchnęła.

– Czemu?

- W jej obecności nie da się porozmawiać.
- Robert nie robi nic innego, tylko mówi. Usta mu się nie zamykają. Ale dobrze, jeśli naprawdę to zniesiesz, idź sama.

* * *

W drodze na Narrow Street milczeliśmy. Prawdę mówiąc, wciąż nie mogłem dojść do siebie po uwadze Ady, że usta mi się nie zamykają.

– Jak długo pracuje pani dla ojca? – odezwałem się wreszcie.

– Prawie trzy lata.

– Trzy lata! – Pokiwałem głową. – To dłużej niż biedny Oscar spędził w więzieniu.

– Nie rozumie pan. Dla mnie możliwość pracy jest luksusem – spojrzała z ukosa – podczas gdy dla pana, jak sądzę, to zupełna nowość.

– Oczywiście. Parafrazując wielkiego pisarza, jedynym dziełem, o które warto zabiegać, jest dzieło sztuki!

– Hmm. Widzę, że ten człowiek naprawdę zawrócił panu w głowie... jak wielu naszym dzisiejszym artystom.

– Oscar Wilde to geniusz, największy człowiek epoki, choćby nie wiadomo co o nim mówiono.

– Mam nadzieję, że jego wpływ na pana nie jest zbyt silny.

- Co ma pani na myśli?
- Jedyne to, że szkoda by było, gdyby go pan naśladował w... w pewnych sprawach...
- Czyżby pani ze mną flirtowała, panno Pinker?
- Ależ nie – odparła, oblewając się rumieńcem.
- Bo jeżeli tak, będę musiał poskarżyć się pani ojcu. Albo Adzie, która chyba jest jeszcze groźniejsza.

* * *

Nigdy bym nie uwierzył, że tak delikatna istota jest w stanie pochłonąć tyle jedzenia. Obserwowałem ze zdumieniem, jak zjadała placek z węgorka z ziemniakami i sosem, tuzin ostryg, kawałek pstrąga w cieście i talerz ślimaków z masłem i pietruszką, zakrapiając wszystko białym winem reńskim.

- Mówiłam, że jestem głodna – powiedziała, ścierając masło z ust serwetką.
- Jestem pod wrażeniem,
- Czy zje pan te ostrygi? Czy zamówimy jeszcze?
- No, no, nie wiedziałem – zauważyłem, gdy sięgała po mój talerz – że obiad z panią zamieni się w wyścigi.

* * *

Podczas tego posiłku dowiedziałem się sporo o jej

rodzinie. Matka zmarła wiele lat temu, pozostawiając Pinkera z rozwojowym przedsiębiorstwem, które odziedziczył po teściu, i z trzema córkami, z których Emily była najstarsza. Starał się wychowywać córki w sposób możliwie najbardziej postępowy. Ich guwernantki i nauczyciele pochodzili z różnych towarzystw naukowych – Towarzystwa Rozwoju Wiedzy, Królewskiego Towarzystwa Naukowego i tak dalej. Zachęcano dziewczęta do czytania książek i udziału w publicznych wykładach. Jednocześnie ich ojciec pozbywał się z domu staromodnych mebli, zainstalował elektryczne oświetlenie, urządzenia łazienkowe, telefon, kupował wyposażenie w najnowszym stylu i ogólnie chłonał wszystko, co nowoczesne.

– Dlatego tak mu zależy na tym, żebyśmy pracowały – wyjaśniła. – Tak wiele zainwestował w naszą edukację, że chciałby mieć z tego jakiś zysk.

– To dość... pragmatyczne podejście do własnej progenitury.

– Och nie, wręcz przeciwnie. On wierzy w biznes, to znaczy w swoje zasady, w moc czynienia dobra.

– A pani? Też?

Skinęła głową.

– Jak już mówiłam, dla mnie praca jest luksusem, ale jest też wyrazem moich przekonań. Tylko pokazując, że kobiety w miejscu pracy dorównują mężczyznom, możemy dowieść, że zasługujemy na równouprawnienie w kwestiach politycznych i prawnych.

– Dobry Boże! – Nagle praca na spłacenie mojego dostawcy wina wydała mi się haniebnym zajęciem.

* * *

Pod koniec posiłku wyjąłem papierośnicę.

– Czy mogę zapalić? – zapytałem bezwiednie.

– Raczej nie – usłyszałem w odpowiedzi.

– Och? – zdziwiłem się.

– Po wdychaniu swądu tytoniu nie będziemy w stanie dobrze degustować kaw – wyjaśniła.

– To żaden swąd. – Poczułem się urażony. Moje papierosy pochodziły od Bersona na Old Bond Street. Smukłe rurki z delikatnym tureckim tytoniem, który napełniał pomieszczenie lekką, aromatyczną mgiełką. – Poza tym palenie to jedna z niewielu rzeczy, na których się znam.

– Dobrze więc – westchnęła – zapalmy po jednym przed powrotem do pracy.

– Świetnie – powiedziałem, chociaż ta sytuacja zaskoczyła mnie jeszcze bardziej: dobrze wychowana kobieta paląca w obecności mężczyzny była w owych czasach niebywałym zjawiskiem. Podsunałem jej papierośnicę, a potem podałem ogień.

Podanie ognia kobiecie to czynność prawdziwie zmysłowa: jej oczy znajdują się w zasięgu płomiennego pocałunku, po przeciwnej stronie tej wątej przegrody,

a twoje poniżej jej rzęs i łagodnej linii górnej wargi okalającej obwód papierowej rurki.

– Dziękuję – powiedziała i wydmuchnęła smużkę dymu kącikiem ust. Skinęła głową w podziękowaniu, więc obsłużyłem sam siebie.

Zaciągnęła się znowu i z namysłem spojrzała na trzymanego papierosa.

– Jeżeli mój ojciec wyczuje od nas zapach tytoniu – odezwała się nagle – musi pan powiedzieć, że tylko pan palił, ja nie.

– Nie pochwała tego?

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie wie.

Każdemu jej słowu towarzyszyły wirujące małe krążki i obłoczki dymu.

– Kobieta ma prawo do własnych sekretów.

– Nie znoszę tego powiedzenia. Brzmi tak, jakbyśmy nie miały prawa do niczego innego. W następnej kolejności oznajmi pan, że jesteśmy słabą płcią.

– Chyba tak pani nie myśli?

– Och, Robercie. Jest pan naprawdę beznadziejnie staroświecki, prawda?

– Wprost przeciwnie. Jestem w każdym calu *à la mode*.

– Można być modnym, a mimo to staroświeckim pod warstwą eleganckich strojów. Oj, przepraszam, czyżbym pana zawstydziała?

– Nie sądziłem, że interesuje panią to, co mam pod warstwą ubrań – powiedziałem cicho.

Przypatrywała mi się przez chwilę. Zauważyłem już wielokrotnie, że palenie ośmiela kobiety, jakby jedna wolność rodziła drugą.

– Chodziło mi o pańskie myśli.

– Staram się ich nie mieć. Kolidują bowiem z moimi szlachetnymi intencjami.

– A cóż to ma znaczyć? – zapytała, marszcząc czoło.

– Nie mam pojęcia. To zbyt błyskotliwe jak na mnie. Mam wrażenie, że co najmniej jedna trzecia tego, co mówię, przerasta możliwości mego własnego umysłu.

– Czyli jest pan o jedną trzecią zbyt błyskotliwy.

– Gdybym ja to powiedział, byłoby to dowcipne.

– Ale kobieta oczywiście nie może być dowcipna.

– Nie wtedy, gdy jest tak piękna jak pani.

– Znowu pan ze mną flirtuje, Robercie. – Wydmuchnęła smużkę dymu.

– Nie, schlebiam pani, a to nie to samo. Kobiety są ozdobą towarzystwa. W tym tkwi tajemnica ich sukcesu.

Westchnęła.

– Wątpię, bym kiedykolwiek osiągnęła pański poziom w tej sprawie. I w przeciwieństwie do innych ozdób nie mam zamiaru stać w miejscu i pokrywać się kurzem. A teraz odrzucmy te komunały i wracajmy do pracy. Z naszych podniebień nie będzie żadnego pożytku, ale może przynajmniej jeszcze coś zapiszemy.

Wielka szkoda – pomyślałem – że Emily Pinker jest szanowaną przedstawicielką klasy średniej, a nie artystką bądź dziwką. W jej sposobie bycia było coś zadziornego, wręcz wyzywającego, co nieodparcie mnie przyciągało.

* * *

W ciągu pierwszych tygodni w biurze Pinkera nauczyłem się czegoś, co teraz wydaje mi się oczywiste: absolutnej zdradliwości słów. Weźmy słowo *medyczny*. Dla jednego będzie oznaczać ostrą woń jodyny, dla drugiego mdląco słodki zapach chloroformu, a dla jeszcze innego mocne korzenne ciepło balsamu bądź syropu na kaszel. Albo *masłowaty*. Czy to określenie pozytywne czy negatywne? Moja odpowiedź brzmi: gdy opisuje ową wilgoć, którą świeżo zmielone ziarna kawy powinny pozostawiać między palcami – jak okruszyny ciasta – wówczas jest pozytywne; gdy opisuje wrażenie, jakie pozostawia w ustach zaparzona kawa – kleista, gęsta, przeciwieństwo *wodnistej* – również jest pozytywne; kiedy zaś opisuje smak kawy z przesadną ilością tłuszczu, graniczący ze zjełczałym, staje się określeniem negatywnym. Nasze zadanie polegało na definiowaniu nie tylko smaków kawy, ale też samych słów i wyrażen, których używaliśmy do ich opisu.

Skupmy się na następujących słowach: zapach, woń, bukiet, aromat, odór, nos. Czy oznaczają to samo? Jeśli tak, to dlaczego? Z powodu braku słów opisujących

różne rodzaje zapachów – zapach ziaren, aromat parzonej kawy, bukiet kawy w filiżance – dopasowywaliśmy istniejące słowa do naszych potrzeb. Tym sposobem wkrótce stworzyliśmy normalny język i zaczęliśmy się porozumiewać własnym dialektem.

Zrozumieliśmy też, że nasze doznania nasilają się, gdy zaczynamy je analizować. Pinker mówił o wyćwiczeniu podniebienia – już samo to określenie wiele sugeruje, tyle że w owym czasie nie miałem pojęcia, co się za tym kryje. Z każdym dniem nabierałem większej pewności co do swoich opisów, proponowane określenia stawały się coraz precyzyjniejsze. Jakbym osiągnął stan synestezji, w którym wszystkie zmysły stanowią jedność, tak że zapachy stają się barwami, smaki obrazami i wszystkie bodźce fizyczne odczuwane są jako emocje.

Czy brzmi to fantastycznie? Rozważmy niektóre smaki. *Dym* oznacza ogień strzelający w stercie gałęzi jesienią. chłód powietrza, rześkość w nozdrzach. *Wanilia* to ciepło i zmysłowość, egzotyczna wyspa w tropikalnym słońcu. *Żywica* ma w sobie bogactwo sosnowych szyszek lub terpentyny. Wszystkie kawy, gdy się zastanowić, mają łagodny zapach *palonej cebuli*. niektóre bez cienia wątpliwości pachną też *sadzą*, *świeżym płótnem lnianym* lub *koszoną trawą*. Jedne przywodzą na myśl owocową, drożdżową woń świeżo obranych *jabłek*, podczas gdy inne skrobiowy, kwaśkawy smak *surowych ziemniaków*. Niektóre kojarzą się z więcej niż jednym zapachem: w tej kawie odkry-

wamy *seler* i *czarne porzeczki*, w tamtej *jaśmin* z *imbirem*, a jeszcze inna łączy w sobie *czekoladę* z ulotną wonią świeżych, chrupiących *ogórków*... Pinker cały czas wbiega i wybiega, sprawdza, jak nam idzie i pokrzykuje: „Coście wymyślili?”. Albo: „Jak to nazwiemy? Róża? Uściślijmy, ulepszmy – jaka róża?”. Zapachy stały się moją obsesją. Pewnego dnia idę sobie ulicą Strand i nagle słyszę: „Prażone!” i czuję woń gorących orzechów z łupinami osmalonymi na gorących węglach. Obracam się. Widzę ulicznika, który przy piecyku z rusztem zgarnia orzechy do zwiniętego w kształt rożka papieru. Ten zapach przypomina mi aromat, jaki wydziela java, gdy pierwsze strużki wody zetkną się z ziarnami. Innym zaś razem jestem w księgarni w Cecil Court, przeglądam tomik poezji i nagle uświadamiam sobie, że woń pszczelego wosku, którą wyczuwam w skórzanej oprawie, jest niemal identyczna z aromatem mokki jemeńskiej. Nawet zwyyczajny zapach ciemnego tostu z masłem natychmiast przywoływał wspomnienie Indian Mysore i w takiej chwili nic prócz filiżanki tej właśnie kawy nie mogło mnie zadowolić. Wkrótce trzymałem pod ręką kilka próbek, żeby codziennie zaraz po przebudzeniu móc się oddać nałogowi i oczyścić umysł.

Albowiem w mojej głowie zazwyczaj rano kłębiło się od myśli. Dnie spędzałem w towarzystwie Emily i Ady. Wieczory i zaliczkę trwonilem z dziewczętami z Wellington Street Mayfair. Któregoś razu, gdy jedna z podopiecznych Madame Cowper na Albemarle Street zapytała, czym się zajmuję, odpowiedziałem, że orga-

noleptyczną analizą smaków i zapachów, po czym nie mogłem się powstrzymać przed obwąchaniem jej myszki i opisaniem tego, co wyczułem (do odnotowania: piżmo, brzoskwinie, mydło gruszkowe, langusta). Kiedy pochwalała się koleżankom, wszystkie domagały się tego samego. Wyjaśniłem im zasady degustowania i zaciągnąłem cztery czy pięć z nich naraz do łóżka. Było to ciekawe doświadczenie, przede wszystkim dlatego, że każda z nich okazała się pod pewnymi względami inna – nucie przewodniej, którą było piżmo obecne w większym lub mniejszym stopniu u każdej, towarzyszyły indywidualne zapachy, od limonki po wanilię. U jednej z dziewcząt wyczułem ulotną woń czegoś, czego nie potrafiłem zidentyfikować, choć wiedziałem, że dobrze to znam. Dręczyło mnie to cały wieczór, jak nazwisko, którego nie można sobie przypomnieć. Dopiero następnego dnia mnie olśniło: toż to kwiat tarniny – aromatyczny, słodki zapach przepełniający wiejskie dróżki wiosenną porą.

Ten wieczór miał dwie istotne konsekwencje. Po pierwsze, zdałem sobie sprawę, że tak jak ludzkie ciało wydziela te same zapachy co kawa, tak niektóre gatunki kawy mają tę piżmową, zwierzęcą woń, którą można uznać za erotyczną – szczególnie kawy afrykańskie mają w sobie coś ciemnego, ziemistego, rzekłbym nawet gliniastego, coś, co przywołuje na myśl obraz gołej stopy na spieczonej słońcem ziemi. Oczywiście nie wspominałem o tym w obecności Emily ani Ady, lecz na własny użytek określałem to terminem Linneusza: *hircinos*, zapach kozi. Po drugie, zrozumiałem, że jeżeli nasz „Przewod-

nik” ma istotnie sprzyjać porozumiewaniu się, to musimy dysponować kuferkami wzorców.

Sprawa była prosta: kod działa tylko wtedy, gdy dwie osoby, używając danego słowa, mają na myśli dokładnie to samo. W wypadku niektórych słów, na przykład dziegieć lub goździk, nie stanowiło to problemu. Jednakże już kwiat tarniny, wanilia, a nawet orzech włoski to zapachy, które łatwo przywołać w zaciszu gabinetu Pinkera, ale nie w Afryce bądź Brazylii, gdzie, jak należało zakładać, w przyszłości mogła się znaleźć co najmniej jedna ze stron procesu komunikacji. Rozwiązaniem byłoby stworzenie małego, solidnego kufereka podróznego zawierającego mniej więcej tuzin podstawowych zapachów, do których mógłby się odwoływać degustator.

Praktyczny aspekt takiego rozwiązania pierwsza dostrzegła Ada. Jako naukowiec rozumiała, w jaki sposób można wydestylować zapachy, i chyba ucieszyła się, że znalazła w tym zadanie dla siebie. Doszła do wniosku, że podobnie jak paleta artysty nie musi obejmować wszystkich kolorów, gdyż z kombinacji barw podstawowych można uzyskiwać przeróżne odcienie, tak też nasz kuferek wzorców nie musi zawierać wszystkich możliwych zapachów, by przywołać na myśl charakter cytrusów i tak dalej. Sprowadzono więc wytwórcę perfum, pana Clee, i pokrótce zapoznano go z tematem. Od tej chwili Ada zajmowała się techniczną stroną tego, aby wzorce zapachów wytrzymały żar tropików.

* * *

Pewnego popołudnia przechadzałem się po gabinecie, perorując potoczyście – sędzę, że próbowałem ująć w słowa charakterystyczne cechy cierpkiej kawy brazylijskiej; pomimo obecności wiadra przełykałem więcej kawy, niż powinienem, stawałem się coraz bardziej pobudzony, w dodatku właśnie tego ranka nabyłem wspaniałą laskę z gałką z kości słoniowej, a taka doskonała laska z gałką z kości słoniowej wykonuje doskonale obroty jedynie wtedy, gdy jest się w ruchu – kiedy nagle opuściłem wzrok i ujrzałem pod stołem nogę.

Podniosłem głowę. Emily siedziała przy jednym końcu stołu notowała. Ada, zaczytana, siedziała z drugiej strony. Ponownie spojrzałem w dół. Noga widocznie zorientowała się, że została dostrzeżona, bo wsuwała się dyskretnie niczym róg ślimaka.

– Wyczuwam... – ostentacyjnie pociągnąłem nosem
– wyczuwam tu intruza.

Emily spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Nutę... – wyjaśniłem, ponownie pociągając nosem
– niegrzecznego szczeniaczka i złośliwości. *Wietrze zapach krwi!* ^[5]

Emily najwyraźniej uznała, że postradałem zmysły.

– To zapach – oznajmiłem – małych dzieci, które chowają się tam, gdzie nie powinny. – Mocno stuknąłem laską w blat stołu. – Puk, puk, kto tam?

Spod drewna wydobył się cieniutki przerażony głosik:

– Ja.

– To tylko Żabka – powiedziała Emily.

– Zmiataj stąd – mruknęła Ada, nie podnosząc wzroku znad książki. – Zmiataj, nieznośny płazie.

Spod stołu wyskoczyła dziewczynka. Opadła w kucki na podłogę jak żaba i zarechotała.

– Czemu nie jesteś na lekcjach? – zapytała Ada karcącym tonem.

– Pani Walsh jest chora.

– Pani Walsh jest chora przez ciebie – zarzuciła jej Emily. – Guwernantka – wyjaśniła mi – cierpi na newralgię.

– Ale wolę być tutaj z wami – zaprotestowało dziecko, rozprostowując się. Miała mniej więcej jedenaście lat: jej nogi wydawały się dużo za długie w stosunku do tułowia, a oczy miały w sobie coś wyłupiastego, co istotnie upodabniało ją do żaby. – Mogę zostać? Nie będę przeszkadzać i mogę tak samo chronić Emily przed poetyckimi awansami Roberta jak ktokolwiek inny.

– Dla ciebie to pan Wallis – poprawiła ją Ada. Wyglądała na lekko zakłopotaną. – I nie chodzi o ochronę Emily przed czymkolwiek.

Dziewczynka zmarszczyła czoło.

– Dlaczego wszyscy mnie przeganiają?

– Będziesz musiała spytać tatę.

– No to mogę zostać – oznajmiła triumfalnie – bo tata powiedział, że mogę zostać, jeśli spytam ciebie.

– ...pod warunkiem że nie będziesz się odzywać – surowym tonem dorzuciła Emily.

Dziewczynka opadła w kucki i zarechotała.

– Ani wydawać tych głupich dźwięków.

– Przecież jestem żabką.

– We Francji – wtrąciłem łagodnie – żaby się gotuje zjada z zielonym sosem.

Zwróciła na mnie swoje ogromne oczy.

– Nie jestem prawdziwą żabą – powiedziała z przejęciem. – Jestem Żaneta. Gdy Ada była mała, nie umiała wymówić mojego imienia i mówiła na mnie Żabka. Ale całkiem podoba mi się bycie żabką. – Wskoczyła na krzesło. – Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Mówił pan, że to przypomina cytrynę.

Od tego dnia w naszym niewielkim gabinecie bywało tłoczno. Ada ignorowała mnie, kiedy tylko miała okazję, ale pomocnik South i Żabka wpatrywali się we mnie z rozdziawionymi ustami, gdy degustowałem kawę, jakbym był przybyszem z egzotycznej krainy – wstyd się przyznać, lecz czasem popisywałem się przed nimi: proponowałem wymyślne opisy i gry słów, od których Żabce zapierało dech z podziwu, a Emily cicho wzdychała.

* * *

– Czy chcesz zbałamucić Emily? – zapytała Żabka.

Właśnie wróciliśmy z Emily z obiadu. Emily poszła powiesić płaszcz, a ja zostałem sam z dzieckiem.

– To chyba niezbyt uprzejme pytanie.

– Ada myśli, że tak. Słyszałam, jak pytała Emily, czy lord Byron już ją zbałamucił. Lord Byron to ty... Ada tak cię nazywa. – Zamilkła na chwilę. – Jeśli zbałamucisz Emily, będziesz musiał ją poślubić. Taka jest zasada. A wtedy ja mogę być druhną.

– Sądzę, że wasz ojciec może mieć na ten temat inne zdanie.

– Mam *jego* zapytać, czy mogę być druhną? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Miałem na myśli jego zdanie w kwestii tego, kogo poślubi Emily. To zależy od niego, rozumiesz.

– Oj, on bardzo chciałby wydać ją za mąż – oświadczyła. – Ty na pewno się nadasz. Jesteś bogaty'?

– Ani trochę.

– A *wyglądasz* na bogatego.

– Bo jestem rozrzutny.

– To znaczy?

– To ktoś, kto nie zarabia tyle, ile powinien, a mimo to wydaje na przyjemności, choć nie powinien.

– Na przykład na obrączki?

– Nie na obrączki. – Roześmiałem się. – Obrączki to nie przyjemności.

DZIESIĘĆ

– Mam wam coś do pokazania – oznajmił Pinker pewnego dnia, wszedłszy do gabinetu, gdzie pracowaliśmy wraz z Emily. – Włóżcie płaszcze... szybko.

Na zewnątrz czekał już powóz. Ruszyliśmy klusem przez zatłoczone ulice. Siedziałem obok Emily, tyłem do kierunku jazdy. Powóz był wąski i czułem ciepło jej uda tam, gdzie stykało się z moim. Na zakrętach łagodnie przechylaliśmy się na bok: ona odsuwała się, by nie wpaść w moje objęcia, lecz wszelkie nasze starania mogły jedynie złagodzić siłę tych kontaktów.

– Słyszałeś o najnowszych osiągnięciach automobilizmu, Robercie? – odezwał się Pinker. Spoglądał przez okno na uliczny gwar. – Zamówiłem jeden z Francji. Cztery koła, mały silnik spalinowy, szybki jak dyliżans pocztowy w galopie. Jak już się rozpowszechnią, te bezsensowne zatory znikną z ulic.

– Będę tęsknić za końmi. – Emily westchnęła. – Co się z nimi stanie?

– Konie zawsze będą potrzebne w gospodarstwie – odpowiedział jej ojciec. – O! Już jesteśmy!

Zatrzymaliśmy się niedaleko Tower Bridge, na Castle Street. Na rogu mieściła się gospoda, a raczej coś, co kiedyś było gospodą. Właśnie robotnicy zakładali eleganckie nowe drzwi. W miejsce matowych szyb wstawiono przejrzyste, a nad nimi wznosił się czarno-złoty szyld obwieszczający, że to Bezalkoholowa Tawerna

Pinkera.

Wysiedliśmy z powozu, by obejrzeć lokal. Pinker pękał z dumy i w ekspresowym tempie chciał nas oprowadzić po swoich włościach. Wszystko wewnątrz było w kolorze złotym i czarnym.

– To nie tyle system barw, ile liberia, nasz charakterystyczny znak. Te kolory będą się powtarzać we wszystkich nowo otwieranych lokalach.

– Czemu, ojcze?

– Żeby wszystkie wyglądały tak samo oczywiście. A personel... to znaczy kelnerki, wszystkie będą miały czarne stroje ze złotym elementem ozdobnym. I białe fartuszki... jak we Francji. Ten pomysł zaczerpnąłem z Café Royal. – Skinął głową w moją stronę. – Stoliki, o jak ten, mają marmurowe blaty. Chyba tak jak w Café Florian w Wenecji.

Rozejrzałem się. To miejsce było niesamowite. Całkiem eleganckie na swój sposób, ale dziwne. Każdy cal drewna pomalowano na czarno, a jedynym innym kolorem był złoty. Wszystko to razem bardziej przypominało wnętrze karawanu niż gospody. Z tyłu, za niedysiejszym barem, stało urządzenie, które cicho sapało podczas mojej pierwszej wizyty w gabinecie Pinkera. Obok Jenks na klęczkach regulował ustawienia.

– Działa? – zapytał Pinker.

– Prawie, proszę pana. – Jakby na potwierdzenie tych słów z dyszy wydobył się syk pary. Emily podskoczyła.

– No i? – Pinker zwrócił się do nas, zacierając dłonie. – Jak myślicie?

– To wspaniałe, ojczy.

– Robercie?

– Niezwykle – zgodziłem się – Robi wrażenie. Tylko jedno...

– Tak?

– Nazwa.

– Co z nią nie tak?

– Czy sądzi pan, że ludzie... zwyczajni ludzie będą chcieli pić kawę w miejscu, które nazywa się Tawerna Bezalkoholowa? Równie dobrze można by reklamować restaurację bez posiłków lub wino bez winogron.

Pinker zmarszczył czoło.

– Jaką nazwę w takim razie byś proponował?

– Nie wiem. Cokolwiek. Można by to nazwać... – rozejrzałem się. Mój wzrok padł na tabliczkę z napisem Castle Street i przypomniała mi się skłonność Pinkera do wojskowych analogii... można by to nazwać Castle Coffee.

– Castle – powtórzył Pinker – Hmm... Castle. Castle Coffee. Tak. Brzmi nieźle. Budzi zaufanie. Emily, co ty na to?

– Myślę, że Robert ma rację, twierdząc, że „bezalcoholowy” może brzmieć dla niektórych zniechęcająco – powiedziała ostrożnie. – Więc chyba Castle byłoby lepsze.

Pinker skinął głową.

– Niech więc będzie Castle. Dziękuję, Robercie. Twoja pomoc jest nieoceniona. Robotnicy czym prędzej wymienią szyld.

W ten sposób narodził się jeden z najbardziej znanych znaków handlowych w dziejach kawy – nazwa w swoim czasie tak popularna jak Lion, Ariosa czy Maxwell House. Tego dnia stało się coś jeszcze – w rozgardiaszu pośród robotników, marmurowych blatów, zapachu farby mieszającego się z parą o silnym aromacie kawy, wydobywającą się z podwójnej dyszy aparatu signora Tosellego niczym dym z nozdrzy smoka... Pinker wyszedł szukać brygadzysty, a jego córka obróciła się w moją stronę.

– Dziękuję, Robercie. Zrobiłeś to bardzo taktownie. Castle to bez wątpienia lepsza nazwa.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie ma o czym mówić.

Uśmiechnęła się do mnie i utrzymała ten uśmiech dłużej, niż było to konieczne. Potem zawstydzona opuściła wzrok.

– Chodźcie! – przywołał nas Pinker.

W drodze powrotnej do Limehouse wydawało mi się, że nacisk jej ud na moje jest słabiej powstrzymywany niż poprzednio.

JEDENAŚCIE

„Ziemisty” – to cecha świeżo skopanej ziemi, gleby po burzy, a także w pewnym stopniu buraka.

Lenoir, Le Nez du Café

Tego dnia wieczorem, spacerując po Piccadilly, miałem konia, który próbował kopulować z klaczą. Konie w zaprzęgach na ogół były wałachami, lecz najwyraźniej ten był wierzchowcem kogoś zamożnego, dostatecznie spokojnym, by zaprząć go do powozu. Klacz stała przywiązana przed domem towarowym Simpsona, a woźnicy powozu nie było w pobliżu.

Zwierzęta stanowiły niezwykły widok: ogier przypięty do dyszli usiłował wdrapać się na grzbiet klaczy, jednocześnie wsuwając swój olbrzymi sterczący narząd w jej zad. Za każdym razem osuwał się z niej, odciągany do tyłu przez ciężar powozu; jednakże niezrażony podejmował kolejną próbę, niezdarnie podnosił przednie kopyta jak Chińczyk próbujący uchwycić duży kawał mięsa pałeczkami. Klacz znosiła to cierpliwie, niemal nieruchomo, nawet gdy ogier wgryzł się zębami w skórę jej szyi. Tył powozu przechylał się, a koń przy każdym kopnięciu tylnymi nogami jeszcze dociskał go do bruku.

Zebrało się małe zbiegowisko. Szanowane damy oddalały się czym prędzej, lecz było wśród gapiów kilka młodych kobiet, które wykazywały więcej śmiałości –

obserwowałem na przemian kopulowanie zwierząt i szeroko otwarte oczy w zafascynowanych twarzach dziewcząt.

W końcu wrócił woźnica i pokrzykując, zabrał się do odciągania swojego konia. Ogier oczywiście nie miał zamiaru przestać, nawet gdy jego pan zaczął chłostać go batem, co, prawdę mówiąc, było dość ryzykowne, bo koń bardzo zamasyście wierzgał przednimi nogami, starając się dostać do zadu klaczy, a jednocześnie tylnymi wykonywał coś w rodzaju tańca, by się wyzwolić z uprzęży. Wyglądało to tak, jakby woźnica popędzał go do galopu. Wreszcie ogier skończył i zsunął się z klaczy z własnej woli. Poobtukiwany powóz z hukiem wrócił do poziomej pozycji. Sperma zwierzęcia wciąż kapiała na kocie łby, gdy właściciel odchodził z nim, żegnany szyderczymi okrzykami gapiów.

Tymczasem para dziwek wpadła na pomysł, by wykorzystać sytuację i poszukać w tej tłuszczy klientów. Jedna otarła się o mnie, mrużąc: „Mamy ochotę na zabawę, panie?”. Mijając mnie, odwróciła głowę – niebrzydka dziewczyna, bardziej pospolita niż zwykle wybierałem, miała co najwyżej szesnaście lat. Potrząsnąłem głową.

– Jest tu moja siostra – powiedziała.

Musiałem wyglądać na zainteresowanego, bo przywołała gestem koleżankę. Owszem, było między nimi pewne podobieństwo: obie miały brązowe włosy i oczy oraz okrągłe twarze z wydatnymi kośćmi policzkowymi. To był element nowości – nigdy jeszcze nie

robiłem tego z siostrami, a trzeba przyznać, że obserwowanie ogiera wzburzyło we mnie krew.

– Szybko – zakomenderowała, czując, że mnie przekonała. – Tutaj.

Na wystawie sklepu z tytoniem widniał napis „Pokoje do wynajęcia”. Wszedłem za nimi do sklepu i na górę po schodach. Gdy już dałem każdej po koronie i jedną dla właściciela, rozpiąłem rozporek i wziąłem obie, jedną po drugiej, szybko, nawet nie zdejmując spodni.

I to jest dreszcz!

Wpierw sięgać gwiazd, a potem stękać wśród grzęzawisk,

jak ujął to Richard Le Gallienne.

* * *

Chyba powinienem tu coś wyjaśnić. Nie staram się w tej relacji przedstawiać siebie w korzystnym świetle – raczej odwrotnie. Gdy sięgam myślą wstecz i widzę, jakim pretensjonalnym i próżnym młodzieńcem byłem w owym czasie, aż sam się dziwię, że w ogóle jakakolwiek dziewczyna mogła się we mnie zakochać. Jeżeli moje słowa brzmią niedorzecznie, to dlatego, że sądzę, iż taki właśnie byłem. Za te przywary z chęcią zostanę osądzony. Jednakże jestem świadom, że będziecie mnie

osądzać z całkiem innych powodów: za moją moralność.

Chciałbym tylko przypomnieć, że wtedy wszystko było inne. Owszem, zabawiałem się z prostytutkami – bardziej luksusowymi, gdy było mnie na to stać, brzydkimi, gdy miałem pustki w portfelu. Byłem młodym zdrowym mężczyzną, cóż innego mi pozostawało? Wstrzemięźliwość uważano wówczas za szkodliwą dla zdrowia, a masturbację za jeszcze groźniejszą – przyczynę słabości, ospałości i drażliwości. Prostytucja nie była nielegalna, choć ustawa o chorobach zakaźnych, dająca policji prawo do zatrzymania każdej kobiety w celu skontrolowania, czy nie ma objawów choroby wenerycznej, wywołała wielkie oburzenie wśród szanowanych dam, które poczuły się znieważone przez stawianie ich w jednym szeregu z córami Koryntu. Kontakty z prostytutką nie stanowiły wówczas podstawy do rozwodu (choć cudzołóstwo kobiety dawało mężczyźnie powód, by się z nią rozwieść). Prostytucja nie była tematem rozmów w eleganckim towarzystwie, ale nie rozmawiano też o wielu innych rzeczach, w każdym razie dopóki damy nie odeszły od stołu. W męskim gronie można było o tym wspomnieć: oczywiście nikt nie miał potrzeby korzystania z takich usług, lecz nikogo też nie dziwiło, że robią to inni. To była jedna z korzyści życia w społeczeństwie, w którym biedni byli tak bardzo biedni; służba, robotnicy i kobiety byli tani i łatwo dostępni – to sprawiało, że mężczyźni na ogół sprzeciwiali się reformom społecznym, a kobiety na ogół je popierały.

* * *

Wiele moich rozmów z Emily przy obiedzie dotyczyło właśnie reform. Dla niej postępowość była synonimem świadomości społecznej. Przyjmowała za pewnik, że jako poeta tak samo pragnę zmieniać świat jak ona. Czyż to nie Shelley powiedział, że poeci są nieuznanymi prawodawcami świata? ^[6] Czyż Byron nie wspierał walki wyzwoleniczej Greków?

Nie śmiałem jej powiedzieć, że choć podziwiam fryzurę Byrona i koszule Shelleya, to ich poglądy polityczne nic a nic mnie nie interesują. Moje pokolenie to pokolenie pretensjonalności i błyskotek: szukaliśmy tylko „doznań”; naszym jedynym celem było „przejść najszybciej z jednego miejsca w drugie i zawsze być obecnym w ognisku czystej energii największej liczby sił witalnych”. ^[7] Przyjemnie było sprawiać przed Emily wrażenie większego radykała, niż byłem w istocie. Cóż mogłem jej powiedzieć? Chciałem, by miała o mnie dobre zdanie, i sądziłem, że jeśli wyjawię swój brak zainteresowania tymi sprawami, uzna mnie za powierzchownego, płytkiego – co oczywiście było prawdą, chociaż ta sama płytkość, która w Oksfordzie wydawała się tak wspaniale akademicka, teraz zaczynała mi się wydawać nieco *infantylna*.

Mimo wszystko próbowałem jej powiedzieć. Kiedy po raz pierwszy wspomniała o kwestii społecznej, odparłem, że nie interesuje mnie polityka, dodając: „Pod

tym względem jestem jak większość polityków”.

Nie odpowiedziała, lecz na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

– Wydawanie pieniędzy na biednych to marnotrawstwo. Wystarczy tylko spojrzeć na te koszmarnie rzeczy, które kupują niższe warstwy społeczne, żeby poczuć wdzięczność, że nie dano im więcej.

Westchnęła głęboko.

– No i nie rozumiem, czemu kobieta miałaby chcieć praw wyborczych, skoro gołym okiem widać, jacy okropni ludzie je mają. Dużo bardziej szanowałibyśmy demokrację, gdyby nic była tak przerażająco powszechna.

– Robercie, czy kiedykolwiek mówisz poważnie?

– Tylko, gdy nie dbam o przedmiot rozmowy.

– Chyba nawet wtedy nie zachowujesz powagi – mruknęła.

– Uznam to za komplement, droga Emily. Nie chciałbym zyskać niezасłużonej reputacji człowieka szczerego.

– Robercie, ani słowa więcej!

Zamilkłem.

– Te twoje aforyzmy. Nie dość, że nie są oryginalne, to nawet nie śmieszają. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to tylko słowny tik, nawyk, sposób popisywania się tak samo bezsensowny jak ten okropny rechoczący dźwięk, którego nauczyła się Żabka.

Otworzyłem usta.

– Nie skończyłam! – Uniosła dłoń, by mnie powstrzymać. – Chcesz zapewne powiedzieć, że sens jest przeceniany, że świat potrzebuje nonsensu albo że wszystkie aforyzmy są bez sensu i dlatego są takie głębokie, albo że popisywanie się to podstawa każdej sztuki, że na tym polega jej geniusz, albo... albo... coś innego, co brzmi ciekawie, ale ma tyle samo sensu bądź dowcipu co zwykłe pierdnięcie.

Wpatrywałem się w nią oszołomiony.

– Czy powiedziałaś...?

– Pierdnięcie. Tak. Czyżbyś sądził, że nowoczesna kobieta nie zna takiego słowa? – Wyzywająco wysunęła podbródek. – Cóż, będę pierdzieć za każdym razem, gdy wypowiesz jakiś aforyzm.

– Nie!

– Tak. A może sądzisz, że nie potrafię? Wierz mi, ja i moje siostry jesteśmy w tym mistrzyniami.

– Niezwykła z ciebie dziewczyna.

– Jeśli ma cię to wyleczyć z aforyzmów, mogę robić jeszcze gorsze rzeczy.

– Zaryzykowałabyś posądzenie o nieskromność?

– Nie taką, o jaką zapewne posądza się ciebie.

– Racja – powiedziałem po namyśle. – Ale nieskromność kobiety nie ma nic wspólnego z chępliwością, wiąże się raczej z brakiem umiaru, delikatności.

Po stronie panny Pinker rozległ się charakterystyczny dźwięk.

– Czy to... – Spojrzałem na nią zaskoczony.

– Zapachniało mi aforyzmem.

– Moje aforyzmy, zgodzisz się, jak sądzę, pachną fiołkami i różami, podczas gdy... – Usłyszałem kolejną serię. – Wielkie nieba!

– Nie żartuję, Robercie. Za każdym razem, gdy ty będziesz wiódł swoje nonsensowne wywody, ja będę puszczać bąki.

– Ale to dosyć...

– A teraz otwórz okno – dodała – bo ojciec będzie się zastanawiał, czemu jego najlepsza java ma zapach wygodki.

* * *

W ten sposób nauczyłem się nie stosować aforyzmów i mówić poważnie o poważnych sprawach. Oczywiście ta powaga była pozą – aforyzmy z powodu ich płytkości były dużo bliższe mojej prawdziwej naturze. Ale kto by nic chciał rozprawiać o reformach, gdy takie lśniące szare oczy spijają mu z ust każde słowo? Kto nie udawałby, że zależy mu na losie biednych, kiedy nagrodą jest taki uśmiech? I kto by się nie zgodził, że należy rozwiązać problem kobiet upadłych, gdy ta, która to mówi, każdą sylabą nadając pięknym usteczkom od-

powiednie kształty, sprawia, że rośnie w nim podniecenie?

Czyż nie wydaje się dziwne, że z taką łatwością przechodziłem od flirtowania z Emily Pinker w Limehouse po południu do łajdaczenia się z dziewczkami z Covent Garden wieczorem? To były dwa różne światy, jak śniadanie i kolacja, wschód i zachód. Sypianie z ladacznicami znaczyło dużo mniej niż flirtowanie. Och, nie potrafię tego wyjaśnić; wiem tylko, że gdyby nie prostytutki, z pewnością podczas popołudniowych flirtów byłbym bardziej spięty.

W każdym razie teraz miałem o wiele mniej czasu na flirtowanie: panna Pinker kazała mi brać udział w zebraniach. Jakżeż ona kochała zebrania! Były zebrania Stowarzyszenia na rzecz Międzynarodowego Szerzenia Cywilizacji, zebrania Towarzystwa Fabiańskiego, zebrania na rzecz unieważnienia ustawy o chorobach zakaźnych... Zaczynałem już podejrzewać, że zostaje poddany procesowi ulepszenia. Były też nocne zebrania, podczas których rozdawaliśmy słodką herbatę prostytutkom. Przy tej zresztą okazji trafił mi się naprawdę wspaniały seks z młodą dziewczyną o słodkim uśmiechu. Niepostrzeżenie udałem się za nią w boczną uliczkę, gdzie szybko mnie zadowoliliła za dziesięć szylingów, po czym wróciłem do moich towarzyszy. Były też zebrania Towarzystwa Teozoficznego. Były Obiady Trzeźwości, podczas których przy szklankach dobrego czerwonego wina rozprawialiśmy o potrzebie podniesienia akcyzy na gin. Pamiętam też pewne krepujące zebranie towarzy-

stwa Nowe Życie, na którym dziwaczny osobnik o wysokim cienkim głosie mówił o płci pośredniej, przyszłości miłości homogenicznej i innych formach inwersji. ^[8] Przez dwie godziny czułem się zażenowany, lecz ku mojemu zdumieniu Emily i inne damy zdawały się mniej poruszone, niż gdyby on, ona, ono mówił – a – o o wycieczce za miasto.

* * *

Na jednym z takich spotkań rozgorzała zażarta dyskusja na temat tego, jak powinno wyglądać racjonalne małżeństwo. Uczestnicy często przytaczali wersy z *Epipsychidionu* Shelleya:

*Jam się przenigdy nie zgadzał z tym tłumem.
Którego dzisiaj wszystkim jest rozumem
Wybrać zśród ludzi kochankę lub druha,
Innych, choć pięknych i wielkiego ducha
Strącić w pomroki zimnej niepamięci....* ^[9]

Zauważyłem jednak, że kobiety i mężczyźni rozumieli te słowa inaczej. Kobiety chciały równości i niezależności, a rozumiały przez to status równy swoim mężom, z kolei mężczyźni chcieli równości i niezależności, a rozumieli przez to coś mniej przypominającego małżeństwo, a bardziej stan kawalerski. Ja

nie zabierałem głosu. Przyciśnięty do muru zawsze mogłem zacytować Shelleya.

* * *

Poglądy Emily w kwestii małżeństwa były nie mniej skomplikowane. Przypominam sobie naszą wymianę zdań, gdy wracaliśmy do biura po jednym z takich zebrań. Nie pamiętam już, od czego się zaczęło – podejrzewam, że uczyniłem jakąś nonszalancką uwagę na temat mówcy. Zwróciła twarz w moją stronę i powiedziała z gniewem:

– Czy naprawdę tak myślisz, czy to kolejna poza?

– To jedno z moich najsilniejszych przekonań, choć coś mi się zdaje, że do podwieczorku się go wyzbędę.

– Chodzi o to – tłumaczyła, jakby nie usłyszała mojej wypowiedzi – czy mężczyźni i kobiety powinni mieć te same prawa polityczne.

Wtedy dotarło do mnie, że mówimy o wielokrotnie już poruszanej kwestii praw wyborczych kobiet, i z westchnieniem przybrałem poważny ton.

– Jednakże kobiety i mężczyźni mają odrębne sfery...

– No tak – przerwała *mi*. – Kobieta ma salon, a *mężczyzna* politykę, interesy i całą resztę świata... To nie jest równość... to jakby powiedzieć, że więźniarka ma wolność w swojej celi.

- Ależ kobieta musi akceptować wolę swego męża...
- Dlaczego?

Chyba wyglądałem na zbitego z tropu, bo dodała:

– Och, o tym oczywiście nigdy się nie mówi. Mamy mówić, że prawo wyborcze w żaden sposób nie podważy prawa mężczyzn do bycia panem we własnym domu. Tylko nikt nie potrafi *mi* logicznie wyjaśnić, dlaczego to właśnie *mężczyzna* ma być panem.

- Popatrz tylko na osiągnięcia mężczyzn.

- To błędne koło. Mężczyźni mają osiągnięcia, ponieważ mają możliwości.

- Twoje argumenty są tego samego rodzaju, droga Emily. Mówisz, że kobiety osiągnęłyby więcej, gdyby miały możliwości, tak? – Kiwnęła głową. – Więc czemu mężczyźni mieli możliwości? Bo potrafili je sobie zapewnić.

Z jakiegoś powodu to jeszcze bardziej ją rozżłościło.

- Czyli wszystko sprowadza się do gwałtu i przemocy'?

- Gwałtu? A co ma do tego gwałt?

- Według *mojej* definicji małżeństwo i gwałt to to samo. Ja natomiast wierzę, że mężczyźni i kobiety mogą prawdziwie się kochać tylko wtedy, gdy są sobie równi.

- Ale mężczyźni i kobiety są inni – zauważyłem. – To, że prowadzimy tę niezwykłą dyskusję, tego dowodzi.

Zatrzymała się i tupnęła w chodnik.

- Gdybyśmy byli małżeństwem, powiedziałbyś, że

jesteś mężem, więc racja jest po twojej stronie, i na tym by się skończyło?

– I bez tego mogę powiedzieć, że mam rację. I nie widzę, że się zgadzasz.

– Bo nie udowodniłeś swojej tezy. – Jej zaróżowione policzki świadczyły o wzburzeniu. – I pewnie jeszcze myślisz, że nie powinnam pracować?

– Emily, skąd nagle temat pracy? Zdawało mi się, że rozmawialiśmy o prawie kobiet do głosowania. Potem nagle przeszliśmy do małżeństwa.

– Nie widzisz, że w tym wszystkim chodzi o to samo?

Więcej się nie odezwała i w nabrzmiałej furii ciszy ruszyła przed siebie.

Zapaliłem papierosa i dogoniłem ją.

– Poczęstowałbym cię, ale...

– Ale kobieta nie powinna palić na ulicy?

– Chciałem powiedzieć: „Ale już płoniesz”.

* * *

Później, gdy ochłoneła, wróciłem do tematu.

– Przepraszam za tę kłótnię.

– To nie była kłótnia, Robercie, tylko spór.

– A jest jakaś różnica?

– Jak powiedziała by mój ojciec, da się je rozróżnić.

Spór to przyjemność, a kłótnia nie. – Westchnęła. – Ograniczenie praw kobiet w małżeństwie to temat, przy którym istotnie się zapalam. Od dawna toczą o to spory z ojcem. Jest bardzo postępowy we wszystkich sprawach, z wyjątkiem tej jednej. Myślę, że ma to jakiś związek z brakiem żony... on uważa, że wybór, a przynajmniej zaakceptowanie naszych mężów jest jego obowiązkiem wobec nas.

– Jakiego męża planuje dla ciebie?

– W tym problem. Rozum każe mu szukać kogoś nowoczesnego... takiego jak on, przemysłowca. Ale serce skłania się ku komuś z koneksjami i pozycją społeczną.

– To rzadkie połączenie – zauważyłem. – A ty? Jaki mężczyzna zdobędzie twoje serce?

– Robercie! – Wywróciła oczami.

– Co?

– „Zdobędzie twoje serce”... toż to brzmi jak zdanie z romansu dla pensjonarek! Nikt nie zdobędzie ani kawałka mnie, bardzo dziękuję. Swoją rękę, uczucia ofiaruję komuś... – przez chwilę się zastanawiała – komuś, kogo będę mogła podziwiać. Komuś, kto już coś osiągnął i ma zamiar osiągnąć więcej... dokonać czegoś wielkiego. Kto dostrzega, co jest niesłuszne, ale też umie to naprawić, komuś z taką pasją, że potrafi przekonywać do swoich racji. Zawsze go sobie wyobrażam z irlandzkim akcentem, ale może to dlatego, że wiem, iż będzie miał określone zdanie na temat autonomii Irlandii. ^[10] Praw-

dopodobnie to taki typ, który niewiele czasu poświęca kobietom, ale mnie to nie przeszkadza, bo ja i tak nie mam zamiaru siedzieć w domu jako ozdoba salonu. Chcę być jego pomocnikiem, sprzymierzeńcem i chociaż nikt nigdy się tego nie dowie, prywatnie on zawsze będzie przyznawał, że beze mnie niczego by nie osiągnął.

– Aha – wykrztusiłem. To zawsze zbija z tropu, gdy się dowiadujemy, że obiektem podziwu jest akurat ktoś, kto nam najmniej odpowiada. – A co, jeśli go nie znajdziesz?

– Będę musiała wyjść za kogoś, kto zdobędzie moje serce – odparła, wsuwając swoje ramię pod moje.

– Bardzo słuszne rozumowanie.

– Czemu mówisz z tym dziwnym irlandzkim akcentem, Robercie?

– A tak sobie, bez powodu.

DWANAŚCIE

Degustację kawy utrudnia złożony sposób reagowania ludzkiego podniebienia na różnorodne doznania.

Lingle, Coffee Cupper's Handbook

Emily stoi przy oknie w gabinecie ojca i odprowadza wzrokiem wychodzącego Roberta. Gdy traci go z oczu, przysuwa się bliżej okna, by jeszcze przez chwilę widzieć, jak oddala się Narrow Street. Robert znika, a ona dostrzega, że jej oddech pozostawił na szybie pachnący kawą ślad w kształcie kwiatu.

To jedna z wielu rzeczy, których jeszcze kilka tygodni temu zapewne by nie zauważyła.

Odruchowo przykładła koniuszek języka do chłodnego twardego szkła; kwiat zyskuje słupek. Obrysowuje palcami cztery płatki i łodygę. Następnie ściera wszystko bokiem dłoni, która przesuwając się po szybie, wydaje cichy pisk.

Co się z nią dzieje? Nie jest pewna, czy to powód do zaciekawienia, czy niepokoju, czy akceptować, czy odrzucać te zmiany, to fizyczne przebudzenie, które powoli ją rozgrzewa, jakby była dojrzewającą w szklarni morelą.

Odwraca się w stronę biurka i podnosi najnowsze

notatki. Morela to jeden z zapachów, które dzisiaj odkryli w kilku morkach i lepszych gatunkach kaw z Ameryki Południowej. Skoncentrowany wspaniały aromat konfitury z moreli. Znajdzie swoje miejsce gdzieś między czarną porzeczką a jabłkami. Również kolumbijska kawa Excelsos ujawniła tego dnia nowe oblicze: wyraźny zapach świeżego zielonego groszku, takiego zaraz po wyjęciu z chrupkich, soczystych strączków...

Słoma: woń łądyżek jęczmienia przed samymi zniwami, szumiących delikatnie na nasłonecznionym polu. Lukrecja: ciemna, łagodna, słodka. Skóra: o bogatym zapachu, stara, wypolerowana, jak ulubiony fotel jej ojca. Cytryna: tak kwaśna, że wykrzywia usta. Przebiegając notatki wzrokiem, Emily zauważyła, że potrafi przywołać na pamięć każdy z tych zapachów, że smaki wyrastają jej na podniebieniu jak egzotyczne kwiaty, co jeden to bardziej rzeczywisty.

Każdy kolejny szerzej rozchyła twarde stulony pęk jej zmysłów.

Kiedy wiele tygodni temu wpadła na pomysł „Przewodnika”, najbardziej interesowała ją możliwość *systematyzacji*: zaprowadzenia ładu w chaotycznym, zmiennym świecie ludzkiej percepcji i nadania mu porządku racjonalnej, naukowej analizy. Nigdy by nie przypuszczała, że to będzie również działało w odwrotną stronę: że jej własny wewnętrzny spokój – jej systematyczna, praktyczna natura – zacznie się wychylać, wyginać niczym niesforna, zauroczona roślina.

Nie powiedziała nikomu – ani ojcu, ani siostrze – jaki wpływ ma na nią praca nad „Przewodnikiem”. Ojciec już raz czy dwa posądzał najstarszą córkę o niebezpieczne pasje – tym razem nie może niczego podejrzewać. Poza tym ma własne powody, by zlecić wykonanie tej pracy – nie tylko te oczywiste, o których poinformował Roberta, ale też wielkie plany handlowe, w których „Przewodnik” może odegrać pewną rolę. Zaniepokoiłaby go myśl o tym, że pensjonarskie uczucia córki mogą negatywnie wpłynąć na precyzyjność dzieła.

Pensjonariuszka – to dobre określenie. W tym cały problem. Ponieważ jest kobietą, czuje tę niezwykłą zmysłowość, to pragnienie spełnienia, fizycznego zaspokojenia. I właśnie dlatego musi się temu opierać albo – jako że już próbowała się opierać i tylko się przekonała, paradoksalnie, jak wielką moc kryje w sobie ta kobieca słabość – musi ją odrzucić.

Odkryła też, że wcale nie jest tak rozsądna, jak by chciała.

Żaden mężczyzna, tego była pewna, nie pozwoli kobietom pracować ani głosować wraz z nim, kształtując wspólnie przyszłość, jeśli będzie je uważał za tak nierozsądne, za jaką ona sama siebie uważa.

Oczywiście bywają kobiety, którym przyjemność sprawia lekkomyślne zachowanie. Emily tego nie pochwała. Robert Wallis należy do tych młodzieńców, których styl życia zupełnie jej nie odpowiada. Tym bardziej irytuje ją świadomość, że jej serce – nie wspominając o innych, bardziej intymnych organach – nie

podziela opinii dyktowanych przez rozum.

Podnosi jedną z maleńkich filiżanek, w których jeszcze niedawno znajdowały się próbki kawy. Wciąż czuć w niej cząstkę Excelsos, dawno już wystygłej. Co więcej: gdy wdycha ten aromat, z radością wyczuwa zatrzymaną w filiżance delikatną woń oddechu Roberta.

Wdycha, zamyka oczy, pozwalając myślom przybierać formę subtelnych fantazji. Jego oddech i mój mieszają się jak w pocałunku...

Obraca się znowu w stronę okna i wydmuchuje oddech na szybę, w miejsce po startym kwiatku.

Niczym napis atramentem sympatycznym, kwiatek powoli wyłania się z niebytu, by po krótkiej chwili ponownie zniknąć.

TRZYNAŚCIE

„Zielony” – kwaskowaty smak zielonych nie-dojrzałych ziaren.

Michael Sivetz, Coffee Technology

Emily i ja nie tylko opisywaliśmy smak kaw, lecz na skutek nalegań Pinkera również je ocenialiśmy. Z początku byłem temu niechętny i starałem się przekonać mego pracodawcę, że dobry i zły to oceny moralne i z tego powodu nie ma dla nich miejsca w sztuce.

– Ale w handlu na każdym kroku podejmuje się takie decyzje – westchnął. – Oczywiście można bezpośrednio porównywać zwykłą kawę jawańską z delikatną jamajską. Lecz płaci się za obie taką samą monetą i dlatego trzeba się dobrze zastanowić, jak najlepiej spożytkować ten pieniądz.

Prawdą było, że niektóre kawy wydawały się zawsze lepsze niż inne. Zauważyliśmy, że jeżeli któraś kawa szczególnie się nam podobała, często nosiła etykietkę „mokka” – a jednak to słowo obejmowało masę różnych stylów: niektóre ciężkie, niektóre lekkie, niektóre z intrygującym kwiatowym aromatem.

Pewnego dnia byłem w biurze sam i degustowałem małą partię kawy. Na worku nie było opisu, ale widniał symbol, który wyglądał mi na znak arabski, podobny do

tych, które widywałem na workach sprowadzanych z tamtego regionu.



Zaraz po otwarciu worka wiedziałem, że to coś wyjątkowego. Zapach miał w sobie nutę miodu, był niemal owocowy: kiedy zaniósłem ziarna na górę do gabinetu i czekałem, aż woda się zagotuje, memu oczekiwaniu towarzyszyła łagodna woń dymu palonego drewna i cytrusów. Zmiałem ziarna w małym młynku ręcznym – zapach się wzmógł, wzbogacił głęboką *basso profundo* nutą lukrecji i goździków. Ostrożnie nalałem wody.

Nagle bukiet ożył, stał się tak gęsty i pełny, że niemal go widziałem. Zupełnie jak dżin wydostający się z lampy albo kłęb pary buchający z silnika czy fanfary trąb, majestatyczne, a przy tym przeszywające prostotą. Całe pomieszczenie wypełniło się tym aromatem egzotycznych kwiatów, a w zasadzie nie tylko kwiatów – była w tym woń cytryn, tytoniu, nawet koszonej trawy. Zdaję sobie sprawę, że to może się wydawać nierealne – wykryć tak wiele składowych jednego zapachu – lecz moje zmysły zdążyły się już wyrobić, a poza tym nie były to jakieś ulotne wrażenia, tylko wyraźnie wyczuwalne wonie, tak konkretne jak znajdujące się w pokoju

ściany i okna.

Czas moczenia minął. Docisnąłem zmielone ziarna łyżeczką do dna i uniosłem filiżankę do ust. Tym razem nie zasysałem powietrza – nie było potrzeby. Smak był dokładnie taki, jak obiecywał zapach – *mouthfeel* zawieszisty, ciężki, z minimalnymi prześwitami wyrazistej kwasowości – i wonie kwiatów wypełniły mi głowę niczym chóry anielskie. Przełknąłem. Poczułem delikatną naturalną słodycz i długotrwały aksamitny posmak zielonej herbaty i skóry. Była to najbliższa ideału kawa, z jaką kiedykolwiek się zetknąłem.

* * *

– Kawy typu mokka – powiedział Pinker, gdy o to spytałem – nie są jak inne. Widziałeś to na mapie?

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Podszedł do półki i wyjął duży atlas ze stronicami wielkości afiszy cyrkowych.

– A więc... – Przerzucał szybko karty w opasłym tomie, aż znalazł to, czego szukał. – O tutaj. Co widzisz?

Spojrzałem w miejsce pod jego palcem. Tam gdzie styka się Persja z Afryką, rozdzielone plamą wody przypominającą szczelinę między pośladkami, znajdował się punkt oznaczony „Al.-Makka”.

– Mekka – powiedział. – Albo jak mówią Arabowie... „Makka”. Źródło najwspanialszych kaw świata. Tutaj wszystko się zaczęło. – Stuknął palcem w mapę. –

To kolebka. Nie tylko kawy. Wszystkiego. Matematyki. Filozofii. Literatury. Architektury. Kiedy w Europie nie było jeszcze cywilizacji, właśnie w imperium osmańskim rozwijało się chrześcijaństwo. A dzisiaj to oni przeżywają swoje średniowiecze, jakby czekali, że historia się powtórzy i nadejdzie wyzwolenie.

– Czemu ich kawa jest tak doskonała?

– Bardzo dobre pytanie. Sam chciałbym znać odpowiedź. – Zamyślił się. – Niektórzy kupcy przysięgają, że mokka ma łagodny smak czekolady. Są tacy, którzy nawet dodają do ziaren sproszkowane kakao, by imitować ten smak. A ty jak sądzisz?

Poszperałem w pamięci.

– W niektórych, owszem, czuć nutę czekolady. Ale nie w tych najdelikatniejszych... w nich wyczuwam nadzwyczajny aromat, bardziej zbliżony do wiciokrzewu bądź wanilii.

– Dokładnie tak jak ja. A co nam to mówi?

– Że mokka to nie jeden gatunek, lecz kilka?

– No właśnie – zatoczył palcem koło wokół Morza Czerwonego. – Arabowie mieli oczywiście monopol na uprawę kawy. Później Holendrzy ukradli od nich niektóre szczepy i wywieźli je do Indonezji, skąd ukradli je Francuzi i zawieźli w rejon Karaibów, a stamtąd Portugalczycy zabrali szczepy do Brazylii. Idąc tym tropem, założmy, że Arabowie również je ukradli. Skąd mogli je przywieźć?

– Czy kiedykolwiek się tego dowiemy?

– Chyba nie. Poznałeś może Richarda Burtona?

Zdażyłem już przywyknąć do gwałtownych zwrotów w rozmowach z Pinkerem. Jego umysł zawsze galopował; widział punkt, do którego chciał doprowadzić rozmówcę, i wiódł go tam najkrótszą drogą.

– Przedstawiono mi go na przyjęciu – oznajmił Pinker. – Było tam ponad pięćset osób. Burton był wówczas znaną osobistością, poważaną za osiągnięcia w dziedzinie badań nad światem islamu. Dzisiaj oczywiście nie jest już tak rozchwytywany. Krążyły pogłoski o jego prywatnym życiu... ale to nieistotne. Kiedy usłyszał, że zajmuję się kawą, zapragnął ze mną porozmawiać. Oczarował mnie tak samo jak wszystkich, którzy zgromadzili się wokół nas. Wrócił akurat z jednej i ze swoich wypraw na Wschód: skórę przyciemniał sokiem z orzechów, nosił arabski strój i zachowywał się jak muzułmański imam. Oczywiście biegle mówił po arabsku i dobrze znał arabskie teksty. Powiedział mi o wspaniałym, otoczonym murami mieście, które odkrył we wschodniej części Afryki, gdzie klimat jest łagodny i roślinność bujna: idealne warunki do uprawy kawy. Chociaż w zasadzie nikt jej tam nie hoduje, krzewy rosną dziko i rozmnażają się z owoców spadających na ziemię. Sprzedawców kawy uważano tam za tak ważnych dla gospodarki, że zabroniono im opuszczać miasto pod groźbą kary śmierci. Było to najwyraźniej miejsce wielkich bogactw. Burton mówił o kości słoniowej, kamieniach szlachetnych, złocie i... o czymś, co nazywał ciemniejszą stroną gospodarki. Możemy się domyślać,

że chodziło mu o niewolnictwo. Miasto jest tak szczelnie zamknięte, że wśród kupców rozwinął się ich własny język, inny niż język używany na okolicznych terenach. Natomiast kawa, jak twierdził Burton, była tam najlepsza ze wszystkich, jakie zdarzyło mu się pić w ciągu licznych podróży. W dodatku, co szczególnie zapadło mi w pamięć, mówił, że pachniała jak kwiat wiciokrzewu.

– Jak ta mokka?

– Właśnie tak. I jeszcze coś mnie zainteresowało. To miasto nazywa się Harar, lecz nazwa tego regionu w miejscowym języku brzmi Kaffa.

– Jak „kawa”?

– Burton uważał, że te słowa na pewno wywodzą się z jednego źródła.

– Czyli kawa, która rośnie dziko w Kaffie...

– Możliwe, że jest sprzedawana przez kupców z Hararu kupcom, którzy sprowadzają ją w końcu do Al-Makki. Stamtąd dociera do reszty świata. Gdybyś był kupcem, powiedzmy, w Wenecji czy Konstantynopolu, mógłbyś nazwać te kawy według portu, z którego zostały sprowadzone, a nie od miejsca ich pochodzenia. A wzięwszy pod uwagę arabskie zmiłowanie do sekretów, możemy też przypuszczać, że nie wiedziałbyś nawet, z jakiego kraju pochodzi dana partia. Dlatego nazywałbyś wszystko, co przewinęło się przez Al-Makka, mokką, tak jak dzisiaj większość kaw z Ameryki Południowej określamy mianem Santos.

– Ciekawe. A gdzie według Burtona jest Harar?

Pinker przesunął palcem po mapie. W tamtych czasach atlasy były aktualizowane mniej więcej co rok, nowe państwa zaznaczano kolorami imperiów, które rościły sobie do nich prawa. Większość świata była oczywiście czerwona – brytyjska czerwień – ale były też takie barwy jak niebieska, fioletowa, żółta i inne. Kiedy byłem dzieckiem, Afryka pozostawała niemal w całości biała. W miarę jak podróżni przybywali z wieściami o odkrywanych, nazywanych i dodawanych do rejestrów ziemiach, biel stopniowo się kurczyła, a coraz więcej miejsca zajmowała czerwień, która rozszerzała się w głąb od zewnętrznych krawędzi tego wielkiego kontynentu. Oczywiście nie wszystko było czerwone – Francuzi i Holendrzy nie zamierzali pozostawić nam wszystkiego, więc granice między tymi barwami często skąpane były we krwi.

Atlas Pinkera był najnowszy – jakżeby inaczej. Na mapie wciąż jednak pozostała niewielka część Afryki niezaznaczona żadnym kolorem: powierzchnia wielkości ludzkiej dłoni w samym sercu kontynentu.

– Tutaj. – Stuknął palcem w mapę. – Burton umieszcza go tutaj.

Obaj wpatrywaliśmy się w ten punkt.

– Co za niezwykła rzecz ta kawa – rzekł Pinker po chwili. – Przynosi pożytek obu stronom: Anglii daje trzeźwość, reszcie świata cywilizację.

– Tak, to niezwykle – potwierdziłem. – Tym bardziej gdy się weźmie pod uwagę wszelkie dodatkowe korzyści.

– W istocie. Pamiętaj o Darwinie: to korzyści sprawiają, że wszystko inne staje się możliwe. Nie dobroczynność zmieni ten świat, lecz handel.

* * *

Nie wracałem myślami do tej rozmowy. W tamtych czasach wszyscy rozmawiali o Afryce. Pinker jednak był człowiekiem, który nie marnował zasobów. Każdy szyling musiał być wykorzystany, więc wiedziałem, że kiedy „Przewodnik” zostanie ukończony, moja osoba przestanie mieć dla niego jakąkolwiek wartość.

* * *

W tym okresie pieniądze przeciekały mi przez palce jak woda. Na Wellington Street były nie tylko kanapy i dziewczęta – każda zrobiłaby wiele za dodatkowego suwerena, a gdy człowiek już się nasycił najróżniejszymi kombinacjami i możliwościami w tej *dziedzinie*, zawsze miał pod ręką coś nowego. Tak jak istniały w Londynie targ kwiatowy i rybny, ulica złotników i księgarzy, również domy publiczne w różnych dzielnicach specjalizowały się w rozmaitych gatunkach sztuki miłości. W tej części były domy Safony, w innej domy Młodości. Raczyłem się nimi, tak jak można się raczyć potrawami Orientu – nie dlatego, że przedkładałem je ponad rodzime, ale dlatego, że miały smak nowości.

Czasem też oddawałem się bardziej niebezpiecznym rozrywkom. Pewnego popołudnia szedłem nabrzeżem, gdy nagle poczułem łagodną woń palonego maku. Wystarczył moment, by się zorientować, skąd pochodzi zapach. Ruszyłem wąską uliczką w tamtą stronę i znalazłem się przy opustoszałej rampie wyładunkowej. Zapach niczym sprawny system oznakowania doprowadził mnie do drzwi bez szyldu. Zza zamkniętych okiennic magazynu nie dobiegał żaden dźwięk, lecz gdy zastukałem, drzwi się uchyliły i ukazała się w nich pomarszczona twarz Chińczyka. Na widok kilku monet bez słowa otworzył i wpuścił mnie do środka. Koje i prycze wypełniające całą powierzchnię hali niczym wielkie przegródki na dokumenty, sięgające wzwyż poza zasięg wzroku, zajmowali mężczyźni – jedni owinięci w płaszcze jak mumie egipskie, inni wsparci na jednej ręce – z błędnym wzrokiem zaciągający się wyziewami z rzeźbionych glinianych fajek.

Pośrodku tej hali, na prostym stole zbitym z kilku desek, leżały akcesoria, których pilnował stary Chińczyk: fajki, niektóre długie jak laski, mały palnik węglowy, waga. Zapłaciłem szylinga. Jedna z fajek została napełniona żywicą i rozpalona nad ogniem, a gdy już była gotowa, wdrapałem się na wskazaną pryczę i oddałem we władanie opium. Po kilku wdechach poczułem, jak ogarnia mnie wielkie znużenie, moje ciało tak się rozluźnia, że z trudem trzymam fajkę. Kolory zdawały się żywsze, dźwięki wyrazistsze, cały ten cichy, obskurny magazyn nagle wydał mi się luksusowym pałacem wypełnionym blaskiem, łagodnymi dźwiękami

i ledwie słyszalną muzyką. Wokół mnie trzepotały pomysły i koncepcje. Słyszałem fragmenty pasjonujących rozmów. Czułem przyływ natchnienia. Przez głowę przemykały mi wspaniałe rymy, które mieszały się z algebrą. Pamiętam, że pomyślałem, iż matematyka i poezja to jedno i że obie są zachwycające. Później z jakiejś przyczyny miałem wrażenie, że jestem na statku. Czułem wyraźnie smak soli na wargach, świeżego żółwia, którego zjadłem na obiad, popitego kropelką rumu. Czułem nawet korzenną woń ciepłego afrykańskiego wiatru, który muskał mnie po twarzy. Wreszcie zapadłem w głęboki sen.

Gdy się obudziłem, stary Chińczyk potrząsał mną gwałtownie, żądając więcej pieniędzy. Stanąwszy chwiejnie na nogach, odkryłem, że minęło ponad osiem godzin. Nie muszę dodawać, że nie pamiętałem żadnego z tych błyskotliwych fantasmagorycznych rymów. Powlokłem się na poszukiwanie taksówki. Następnego dnia wciąż czułem senność i mdłości i rozdrażniona Emily odesłała mnie do domu. Poprzysiągłem sobie, że nigdy więcej tego nie powtórzę, jednakże tęsknota za migotliwymi natchnionymi wizjami była silniejsza; niczym Kaliban^[11] po przebudzeniu pragnąłem śnić dalej.

Wtedy skończyła się moja zaliczka. Jakimś cudem wydałem trzydzieści funtów w ciągu trzydziestu dni.

Lombard na Edgware Road wyglądał obskurnie. Ike, stary Rosjanin, który go prowadził, przyjmował wszystko, od biżuterii po tandetę. Wchodzących witał kwaśny, grzybiczy odór przypominający wilgotne, roz-

kładające się futro.

Ike za ladą zatarł dłonie.

– Dzień dobry, młodzieńcze. – Przywitał mnie z uśmiechem. – Cóż pan przynosi?

Pokazałem mu oprawiony w welin tom poezji Coventry’ego Patmore’a, trzy jedwabne kamizelki, których już nie nosiłem, dwa cylindry ze skóry bobra, laskę z kości słoniowej.

– Dobrze – powiedział, pożądliwie przesuwając dłońmi po oglądanych towarach. – Bardzo dobrze.

– Ile?

Wyjął ołówek, z którego już niewiele pozostało, i podrapał się nim po głowie, uważnie mi się przyglądając. Znałem te metody: suma, którą wymieni, zależała nie tyle od wartości sprzedawanych towarów, ile od tego, jak oceni poziom mojej desperacji. Starąłem się sprawiać wrażenie obojętnego.

– Trzy gwinee – powiedział wreszcie i zapisał tę kwotę na brudnym skrawku papieru, jakby to w jakiś sposób wpływało na nienaruszalność decyzji.

– Liczyłem na sześć.

– Będę musiał je odsprzedać. – Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Chyba trafiłem w złe miejsce. Mogę je zanieść na West End.

– Tam są specjaliści. Nie dostanie pan lepszej ceny.
– Triumfował. – Oczywiście gdyby chciał pan więcej

gotówki, zawsze mogę pożyczyć jakąś sumkę.

– Nie wiedziałem, że świadczy pan takie... usługi.

– Nie na co dzień, o nie. Ale dla kogoś takiego jak pan, kogoś z perspektywami... moje opłaty są bardzo rozsądne.

– Pobiera pan odsetki?

– Niewielki procent. – Wzruszenie ramion. – Płatne co tydzień.

– Ile mogę pożyczyć?

Znowu się uśmiechnął.

– Proszę do mojego biura, przejrzymy papiery.

CZTERNAŚCIE

„Prażone migdały” – ten wspaniały aromat przypomina słodczyce wytwarzane ze słodkich migdałów, jak też migdały w czekoladzie zwane pralinami.

Lenoir, *Le Nez du Café*

Emily uznała, że z chęcią skorzysta z zaproszenia na kolację. W Covent Garden miał się odbyć bal maskowy i bardzo chciała zobaczyć, jak się wyraziła, miejsca spotkań artystycznej bohemy, nie wspominając o pięknych aktorkach, o których czytała w gazetach. Nie wiedziałem, dokąd ją zabrać. Prywatne saloniki w Savoyu były za duże na *tête-à-tête*, saloniki w Romano's z tapetami w japońskie wzory były piękne i intymne, ale narożne pomieszczenia Trocadero miały tyle uroku i widok na Shaftesbury Avenue...

– Widzę, że jesteś zaznajomiony z prywatnymi salonikami w tych lokalach – zauważyła. – Rozumiem, że wykorzystujesz je do swoich schadzek.

– Och, takie informacje po prostu się rozchodzą – odparłem mgliście. – Mam ciotkę inwalidkę, która uwielbia spożywać posiłki *a deux*.

– Aleja nie chcę spożywać posiłku w odosobnieniu. Chcę zobaczyć aktorki.

– Twój ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdybym cię zabrał gdzieś, gdzie nie przystoi bywać młodej damie.

– Chyba towarzystwo jednej czy dwu aktorek mi nie zaszkodzi. Jeśli pragnienie wejścia na scenę nie jest zaraźliwe, będę bezpieczna.

W tych dniach była wobec mnie nieco łaskawsza, choć wciąż zachowywała się jak sekutnica.

– Bardzo dobrze – powiedziałem. – Jeśli chcesz zobaczyć aktorki, to musimy iść do Kettnera. Stamtąd będzie też blisko na bal.

Następnego dnia poszedłem uzgodnić menu z Henri, eleganckim Francuzem, który jako *maitre d'hotel* zarządzał salami jadalnymi przy Church Street. Omówiliśmy szczegóły możliwych zestawów. Oczywiście przystawki, wśród nich ostrygi i kawior, potem na pierwsze danie aksamitna zupa z karczochów. Rozważaliśmy, czy sola, czy pstrąg lepiej zaspokoi subtelny gust damy; jako że moim zdaniem pstrąg szczególnie pasował do sytuacji, toteż zwyciężył. Kolejną propozycją Henri były *côtelettes de mouton Sefton*, na co natychmiast przystałem, lecz odrzuciłem pieczonego bażanta, który wydawał się przesadą dla dwóch osób, na rzecz *perdreau en casserole*. *Epinards pommes Anna*, *haricots verts à l'Anglaise* i *dauphinoise*. Później oczywiście sałatka. Szparagi z *sauce mousseline*. Deska serów, lody waniliowe *en corbeille*, deser i *petits fours* dopełniły całości. Jeśli chodzi o wina, wybraliśmy amontillado, liebfraumlilch rocznik 82, zmrożony szampan marki Deutz and Gelderman, a na zakończenie bor-

deaux i curaçao. Wybrałem stolik we wnęce za zasłoną, gdzie w razie potrzeby można było zyskać pewną prywatność, a przy odsłoniętych kotarach widać było największą z sal jadalnych. Po tych uzgodnieniach pożegnałem się z *maitre d'hotel* do następnego dnia.

Pozostawała jeszcze kwestia ubioru. Jedną z możliwości – mało interesującą – był strój wieczorowy. Postanowiliśmy zabrać nasze maski do restauracji i tam przebrać się na bal, ale nawet w tej sytuacji strój wieczorowy sprawiałby wrażenie wymuszonego.

Nie odszedłem daleko od Kettnera, gdy mój wzrok padł na wystawę na Great Marlborough Street. Wisiała tam piękna kurta z ciemnoniebieskiej skóry wydry. Cudowna rzecz, a wyglądałaby jeszcze okazalej z fularem z francuskiej koronki, jaki widziałem kilka dni wcześniej na Jermyn Street. Rozmowa z Henri nastroiła mnie na dość beztrudnie podejście do wydatków, wszedłem więc do sklepu i spytałem o cenę. Trzy gwinee – suma poważna, lecz zdaniem krawca rozsądna za tak wyjątkową garderobę, zważywszy na to, że niemal tyle samo kosztował płaszcz, który niczym się nie różnił od tych noszonych przez wszystkich nudziarzy dookoła.

* * *

– Ach, pan Wallis – przywitał mnie Ike – tylko jeden dzień zwłoki.

– Zwłoki?

– Ze spłatą odsetek. Dwa funty, ale następnym razem trzeba będzie wnieść niewielką dodatkową opłatę na pokrycie zwłoki. Sam pan jest człowiekiem interesu. Wie pan, jak to jest.

– Człowiekiem interesu? W jaki sposób?

– Został pan handlowcem, jak słyszę. W branży kawy?

– A tak. Tak. Chyba tak.

– Jestem pewien, że pańskie interesy przynoszą większe zyski niż moje drobne transakcje.

– Nie narzekam... ale potrzebuję nieco więcej gotówki.

– Więcej? – Ike uniósł brwi.

– Powiedzmy... kolejne piętnaście funtów? – zaproponowałem.

– Oczywiście. Jednakowoż... – rzeki zamyślony – gdyby to było dwadzieścia, odsetki byłyby niższe. Rozumie pan, zniżka za większą kwotę.

– Och, bardzo szczerze. Niech więc będzie dwadzieścia. Podpisaliśmy stosowane papiery i wręczyłem mu dwa funty.

– Pańskie odsetki.

– To przyjemność robić z panem interesy. – Ukłonił się.

* * *

Przybyłem do Kettnera przed czasem i u kwiaciarki przy wejściu wybrałem bukiet dla Emily. Obiecałem jej aktorki i klientela nie zawiodła: było więcej ładnych komediantek niżli w garderobie niejednego teatru na Drury Lane. Dostrzegłem odtwórczynię głównej roli w najnowszej cieszącej się popularnością komedii w towarzystwie członka Izby Lordów; szanowany agent jadł kolację z krytykiem teatralnym; pułkownik zabawiał swojego kochanka, a może podwładnego; pełna gracji młoda aktorka Florence Farr udawała, że mnie nie poznaje, gdy uśmiechała się z przymusem do swego kawalera na ten wieczór – wiedziałem, że płacił pięć funtów za to, by go z nią widziano, a dalszy ciąg wieczoru otrzymywał gratis.

Kiedy weszła Emily, serce mi zamarło. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w stroju innym niż biurowy. Tego wieczoru miała na sobie prostą suknię z czarnego aksamitu, odcinaną pod biustem, zdobioną maleńkimi cekinami, i pelerynę z czerwonej tkaniny obszytą szarym futrem. Witając się ze mną, zsunęła pelerynę i odsłoniła nagie ramiona. Gdy sięgałem po jej nakrycie, wyczułem kuszący powiew Jicky od Guerlaina i z przyjemnością wciągnąłem w nozdrza tę idealną kompozycję kwiatowego zapachu i rozgrzanej kobiecej skóry.

Suknia to przejaw nieustannej walki skromności z przepychem: za pomocą cudów, które odsłania, musi czynić aluzje do tych skarbów, które skrywa. W tym wypadku krawcowa stworzyła coś, co było zmysłowe,

soczyste, obfite, i tym sposobem podkreślało dziewczęcą niewinność.

– Śmiało, mów, Robercie – powiedziała z wyczuwalnym, całkowicie rozbijającym, zażenowaniem, gdy już usiadła na krześle, które przytrzymał dla niej kelner.

– Wyglądasz zjawiskowo – odezwałem się, odzyskawszy równowagę.

– Mimo to przy tobie jak zwykle czuję się ubrana nader skromnie – rzuciła, chwytając za serwetkę. No, a gdzież moje aktorki?

Pokazałem jej obecne w lokalu osobistości. Przy każdej plotce Emily wydawała okrzyk zachwytu.

– Powinieneś oprowadzać wycieczki – oświadczyła, gdy skończyłem. – Ale powiedz szczerze, Robercie, czy to miejsce nie jest zbyt spokojne w porównaniu z Café Royal?

– Och, nikt już nie chodzi do Café Royal – zapewniłem ją. – Tam jest zbyt tłoczno.

– Aha. Chyba muszę się dzisiaj spodziewać licznych aforyzmów. Skoro znaleźliśmy się w bądź co bądź ich duchowej kolebce.

– Ja z pewnością będę się wypowiadał nonsensownie. To jedyny temat, na jaki mogę się wypowiadać z sensem.

Rozejrzała się po sali i zmarszczyła czoło.

– Czujesz coś?

Pociągnąłem nosem.

– Chyba nie. A jaki... – Wtedy zorientowałem się, że to miał być żart.

– Drogi Robercie – powiedziała z rozczeniem – któż by przypuszczał jeszcze sześć miesięcy temu, że ty i ja będziemy tak sobie razem siedzieć w tym miejscu.

Przyniesiono przystawki. Z lubością obserwowałem, z jakim apetytem Emily przykładła muszle ostryg do ust: zaciśnięcie gardła, delikatne drżenie krtani przy przełykaniu. Któregoś dnia pomyślałem bezwiednie, w tych ślicznych usteczkach powinno się znaleźć coś bardziej słonego niż ostrygi... i natychmiast pojawiły się wątpliwości, czy tak się stanie? Jak można nakłonić do takiej lubieżności niewinną młodą kobietę? Czy sama żądza będzie na tyle dobrym nauczycielem, by ją zachęcić do samodzielnych dociekań i eksploracji? Nagle doznałem krótkiej, lecz jakże wyrazistej wizji – ujrzałem nas dwoje wspólnie na łożu, aksamitną suknię na podłodze i ją jako chętną uczennicę...

– Robercie? – Emily spoglądała na mnie z zatroskaniem. – Nic ci nie jest?

Odeгнаłem od siebie tę fantazję.

– Och, oczywiście, że nie.

– Jesteś tak nienaturalnie *milczący*.

– To twój widok odebrał mi mowę.

– W to nie uwierzę. Nie wierzę, żeby cokolwiek mogło odebrać ci mowę.

Zupa była wyśmienita, ryba wyborna. Pragnąc zachować reputację człowieka o wyczulonych zmysłach, stwierdziłem, iż przepiórka wydaje mi się sucha, na co moja towarzyszka odpowiedziała, że jestem rozgrymaszonym sybarytą, i ostatecznie zgodnie uznaliśmy, że daniu nie da się nic zarzucić. Podszedł do nas Henri, niczym generał czuwający nad przebiegiem bitwy, i Emily powiedziała mu, że skoro tak jadają aktorki, to ona jest gotowa natychmiast nią zostać.

– Och – odparł ten lizus – ależ pani jest dużo piękniejsza od wszystkich obecnych tu dziś aktorek. – Spojrzał na mnie i wydało mi się, że dostrzegłem ledwie widoczne drgnienie lewej powieki, drgnienie, które u kogoś innego można by wziąć za mrugnięcie.

Rozmawialiśmy o tym i owym, nie bardzo pamiętam. Starąłem się ją zabawiać, lecz wiedziałem, że najbardziej bawi ją to, co jest poważne, stąd wnioskuje, że trochę rozmawialiśmy też o poważnych sprawach. W końcu posiłek dobiegł końca. Podpisałem rachunek – pięć funtów, cztery szylingi i sześć pensów – gdy Emily poszła się przebrać w kostium na maskaradę. Ożywienie na sali świadczyło, że wielu innych gości również udawało się na bal.

Emily wróciła w stroju arlekina, w czapce pierrota i z maską na oczy z białego jedwabiu. Ja miałem maskę z czarnych piór, która dobrze się komponowała z moją nową kurtą.

Gdy opuszczaliśmy restaurację, Emily zachwiała się i chwyciła mnie za ramię.

– Trochę kręci mi się w głowie – szepnęła mi do ucha. – Musisz obiecać, że tego nie wykorzystasz.

– Powinniśmy sobie wyznaczyć czas i miejsce spotkania. Na wypadek gdybyśmy się zgubili,

– Świetnie. Cóż to będzie za miejsce?

– Może pod zegarem opery, o drugiej?

W odpowiedzi ścisnęła mnie za ramię, na którym się wspierała. Na Shaftesbury Avenue aż tłoczno było od powozów gości zmierzających na bal, a na chodnikach gromadziły się grupki pieszych w karnawałowych przebraniach. Wtem usłyszałem krzyk:

– Wallis! Wallis! Poczekaj!

Obróciłem się. Poliszynel i Pantalon z twarzami umazanymi farbą machali do mnie, wysiadając z taksówki w towarzystwie dwóch żeńskich marionetek. Pomimo makijażu rozpoznałem Hunta i Morgana.

– Gdzie byłeś?! – krzyczał Morgan.

– TJ Kettnera.

– Nie o to pytam. Gdzie *się podziewałeś*? Hunta wreszcie wydali. Villanelle^[12] w „Yellow Book”. A ciebie nie widać od tygodni!

– Byłem zajęty...

Pantalon strzelił palcami.

– Wiedzieliśmy, że pewnie dopadło cię natchnienie.

– Nie, nie poezją. Zostałem zatrudniony.

– Zatrudniony? Poliszynel aż cofnął się

w przypiływie przerażenia.

– Gdyśmy się ostatnio widzieli, miałeś iść do tego śmiesznego gnoma... zaraz... jak mu było...

– Pozwólcie, że wam przedstawię moją towarzyszkę dzisiejszego wieczoru, pannę Emily Pinker – wtrąciłem czym prędzej.

Z pomalowanych na czerwono ust Morgana wydobył się egzaltowany okrzyk:

– Och! Jesteśmy zaszczyceni! A to... to... hmin... panna Daisy. I panna Deborah.

Marionetki chichotały, kiedy chwyciłem ich dłonie. Były to niemal na pewno kobiety z półświatka, co uświadomiłem sobie z przerażeniem. Tej nocy byłem bowiem odpowiedzialny za Emily i gdyby zaistniał choć cień podejrzenia o niestosowne zachowanie, Pinker miały do mnie pretensje.

– My się chyba znamy – cicho odezwała się do mnie Daisy. – Nie pamięta mnie pan?

– Niestety nie.

– Wyglądałam wtedy inaczej, to pewne.

Jej przyjaciółka parsknęła śmiechem.

– Jest pani aktorką? – Podsunąłem myśl, która mogła stać się dla mnie kołem ratunkowym.

– Można to tak nazwać – odparła Daisy. – W każdym razie występuję publicznie.

Deborah znowu pisnęła.

Zbliżaliśmy się już do kolumnady budynku opery

i coraz bardziej prawdopodobne było to, że zostaniemy rozdzieleni. Przeklinałem w duchu Hunta i Morgana za ich głupotę. Co sobie myśleli, sprowadzając tu takie kobiety? Na szczęście Emily zdawała się nie dostrzegać niczego nieodpowiedniego.

– Czy to nie wspaniałe? – powiedziała, patrząc na zgromadzony tłum.

Było tam zapewne ponad tysiąc osób, wszystkie w przebraniu. Nawet foyer, bary i sale prób pełne były karnawałowych postaci. Orkiestra stroiła instrumenty, choć ścisk panował zbyt wielki, by dało się tańczyć, i hałas zbyt duży, by cokolwiek słyszeć. Kelnerzy w wyszukanych przebraniach przeciskali się przez tłum z tacami z winem; akrobaci na szczydach wykorzystywali na swoje popisy każdą wolną przestrzeń; zonglerzy i tancerze potracali nas na każdym kroku. Gdy znaleźliśmy się na schodach, na sekundę straciłem Emily z oczu, lecz zaraz ją odnalazłem i poprowadziłem do cichego kącika na balkonie, skąd mogliśmy obserwować odbywające się w dole błazeństwa.

– Jeszcze kilka lat temu byłoby to nie do pomyślenia – zauważyłem.

W odpowiedzi chwyciła mnie za rękę. Następnie, ku memu zaskoczeniu, przyłożyła moje palce do swych ust i ostrymi drobnymi ząbkami zaczęła namiętnie się w nie wgryzać.

– Jesteś dziś w wyjątkowo wesołym nastroju – rzekłem zdumiony.

Objęła dłońmi moją głowę i przysunęła do siebie, by połączyć nasze usta. Przeszkodziły nam maski. Zobaczyłem rozradowane oczy – ciemne, nie szare – i znieruchomiałem, gdyż zdałem sobie sprawę, że trzymam w ramionach nie Emily Pinker, lecz całkiem obcą osobę. Wywinęła mi się i ze śmiechem odpłynęła: włosy pod czapką pierrota były ciemne, nie jasne. Do zamiany musiało dojść, gdy rozdzielono nas na schodach.

Szybko ruszyłem z powrotem. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem arlekinów. Chwyciłem jednego i zapytałem zdesperowany:

– Jesteś Emily?

– Jak pan sobie życzy, monsieur – zarechotała.

Dojrzałem Hunta i przeciskając się przez ciżbę, ruszyłem w jego stronę.

– Widziałeś Emily? – przekrzykiwałem tłum. – Zgubiłem ją!

– I dobrze – mruknął. – A przy okazji, jak ci idzie pisanie?

Wzruszyłem ramionami.

– Lane mówi, że w przyszłym kwartale zamieści jakieś moje opowiadanie. Ale rozmawiałem z Makssem... znasz Maksa?... i on uważa, że lepiej umieścić sonety. Żeby sobie wyrobić nazwisko.

– Max? Max Beerbohm?

Skinął głową.

Przedstawił nas sobie Ernest Dowson. Znasz pewnie

Ernesta?

– Tylko ze słyszenia – odparłem wymijająco.

– Tak... Stanowimy niezłą grupę w Café Royal. – Rozglądał się z wyćwiczoną swobodą, wyciągając cygarniczkę. – Muszę znaleźć Bosiego. Obiecałem, że go wypatrzę. On nie znosi tłoku.

– Bosie! – krzyknąłem. – Chyba nie... lord Alfred Douglas?

Pokiwał głową.

– Oscar napisał do niego list miłosny z więzienia, słyszałeś o tym? Wciąż nie może się otrząsnąć.

Bosie! Kręciło mi się w głowie. Kochanek Oscara Wilde'a... cudowny chłopiec... autor sonetów... I Hunt się z nim prowadzi! Obiecał, że go znajdzie!

– Przedstawisz mnie? – zapytałem z przejęciem.

Jego spojrzenie mówiło, że jako bliski przyjaciel Bosiego musi go chronić przed napastliwymi hordami niespełnionych poetów, a w razie potrzeby nawet przeganiać ich kijem.

– Hunt, proszę.

– No dobrze. Jeśli się nie mylę, to on, o tam.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i zobaczyłem w tłumie Emily czy też kogoś, kto mógł nią być.

– A niech to!

– O co chodzi?

– Zaraz wracam.

Ruszyłem za znikającą postacią za scenę, w labirynt niewielkich salek udekorowanych na tę okazję barwnymi draperiami. Atmosfera tutaj była jeszcze bardziej rozwiązała niż na zewnątrz. Mężczyźni i kobiety obejmowali się bez żadnych zahamowań – kobiety w maskach przekazywano sobie z ust do ust przy akompaniamencie pisków i chichotów: widziałem obnażone piersi, ramiona wsuwane między uda, dłoń w rękawiczce pieszczącą nagi sutek. Drzwi do niejednej garderoby były zamknięte, przed niektórymi stały obściskujące się pary; w niecierpliwym oczekiwaniu na wolny pokój z trudem przychodziło im kontrolowanie rozbuchanych chuci. Wolałem nie myśleć, co mogła zobaczyć Emily, jeśli tu dotarła.

Przepchałem się z powrotem do sali balowej. Hunta już nie było, nie widziałem też nikogo, kto by przypominał niewinną młodą damę poszukującą zgubionego partnera. Jeśli ja jej nie znajdę – pomyślałem – to może ona znajdzie mnie. Powoli krążyłem wśród tłumu tam i z powrotem, starając się zwracać na siebie uwagę. Po kilku minutach podniosłem wzrok na balkon. Zobaczyłem arlekina w objęciach zamaskowanego mężczyzny w kurtce ze skóry wydry. Przesłoniły mi widok kolejne rzesze przebierańców, a gdy znowu spojrzałem w tamtą stronę, pary na balkonie już nie było.

* * *

Za kwadrans druga, pełen niepokoju, wyszedłem na

zewnątrz. Emily czekała pod zegarem. Podbiegłem do niej.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście. – Wyglądała na zaskoczoną. – Czyżbyś się niepokoił?

– Nieco.

– Wsunęła ramię pod moją pachę.

– Myślałeś, że poczułam się urażona?

– Czym?

Przysunęła się bliżej.

– Wiem, że to byłeś ty, więc nie udawaj.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Odpowiedziała śmiechem. Zadziwiająco lubieżnym, jak mi się zdawało.

* * *

– Dokąd teraz? – spytała, gdy szliśmy Drury Lane.

– Myślałem o znalezieniu dla ciebie taksówki.

– Chcę iść do Jaskini Niebiańskiej Harmonii – oznajmiła.

– O Boże, skąd znasz to miejsce?

– Czytałam o nim w „Gazette”. To gdzieś niedaleko, prawda?

– Niedaleko. Ale to naprawdę nie jest odpowiednie...

– Jeśli jeszcze raz usłyszę, że coś nie jest dla mnie odpowiednie, ucieknę – powiedziała. – Jak na poetę masz zadziwiająco konwencjonalne zdanie na temat kobiet. Nie wszystkie jesteśmy tak delikatne, jak to sobie wyobrażasz.

– Dobrze. – Westchnąłem. – A więc Jaskinia Niebiańskiej Harmonii.

Był to piwniczny bar, w którym – aby dać klienteli powód do odwiedzin – umieszczono scenę i pianistę. Pomysł polegał na tym, że kto miał ochotę wystąpić przed obecnymi w barze gośćmi, mógł zwrócić się do pianisty z prośbą o akompaniament. Miejsce to chętnie odwiedzali młodzi arystokraci, którzy uwielbiali popisywać się śpiewaniem frywolnych kupletów. Oczywiście, gdy przyszliśmy, była tam grupa takich fircyków. Jeden z nich akurat śpiewał, wspomagany przez przyjaciół w wykonywaniu refrenu:

*Młoda nowicjuszka
skrywa swe jabłuszka,
Pasterz ku niej idzie
prężąc swoją dzidę.*

Spojrzałem na Emily, lecz wydawała się nieświadoma seksualnych podtekstów tych słów.

– Chcę się zgłosić – powiedziała. – Z kim mam rozmawiać?

– Chyba z kelnerem. – Skinieniem głowy przywołałem mężczyznę, który zaprezentował nam spis piosenek. Mężczyźni skończyli swój występ i schodzili ze sceny żegnani okrzykami i oklaskami. Ich miejsce zajął korpulentny Włoch, który odśpiewał rzewną pieśń w rodzimym języku, cały czas trzymając dłoń na sercu. Następnie odczytano nazwisko Emily – zapomniałem jej powiedzieć, żeby podała nieprawdziwe. Stała przy pianinie. Wyglądała na poważnie stremowaną. Publiczność powitała ją okrzykami zachęty. Emily przełknęła ślinę. Zapadła krótka, niezręczna cisza. Wreszcie pianista zaczął grać, a ona śpiewać.

*Cóż wart majątek, na cóż pełny trzos
Serca nie zbudzi, gwiazd nie ugasi
Wieśniak, choć biedny, chwali swój los
I tkacz wesóło nuci przy pracy...*

To było urocze. Tyle że wybór okazał się nie najlepszy, jeśli chodzi o bywalców Jaskini. Przyszli tu dla sprośnych refrenów hulank, a nie sentymentalnych ballad. Po chwili rozległy się gwizdy, krzyki i ogólnie wyrazy dezaprobaty, które zmusiły biedną Emily do zejścia ze sceny. Zaraz potem jakiś młodzian rozpoczął popularny kuplet, co wywołało falę wiwatów.

– Och – powiedziała przygnębiona Emily, wróciwszy do stolika – chyba jednak to miejsce nie jest zbyt wytworne.

– Według mnie byłaś wspaniała. – Położyłem dłoń na jej ramieniu.

– I tak musimy już iść.

– Dobrze. Zapłacę rachunek.

* * *

Po wyjściu z Jaskini wypatrzyłem taksówkę i zagwizdałem.

– Limehouse – poinformowałem woźnicę, powierając mu Emily.

– Dobranoc, Robercie – pożegnała mnie z uśmiechem. – Spędziłam naprawdę uroczy wieczór.

– Ja również.

– Pochyliła się i obdarzyła mnie przelotnym pocałunkiem w policzek. W tym momencie woźnica strzelił z bata. Odetchnąłem z ulgą. Dzięki Bogu wieczór minął bez większych wpadek.

Ruszyłem z powrotem przez tłum w kierunku Wellington Street. Nigdy jeszcze nie widziałem Covent Garden w takim stanie – można by rzec w szponach dzikiego szaleństwa. Ulice pełne były pijanych ludzi w przebraniach i maskach; pary otwarcie się obściskowały. *Wszedłem do stosunkowo* spokojnego burdelu pod osiemnastką z westchnieniem ulgi, z jakim wita się znajome progi. Jednakże nawet tam wszystko zdawało się wywrócone do góry nogami. W poczekalni zastałem

gromadkę dziewcząt w samych opaskach na oczach, zabawiających się w ciuciubabkę: chodziły po sali z wyciągniętymi rękami, próbując chwycić mężczyzn. Kogo złapały, ten szedł z nimi na górę. Oczywiście wpadały wzajemnie na siebie i obmacywały koleżanki, co wywoływało rozbawienie obserwujących. Siedziałem chwilę i przyglądałem się, popijając absynt, ale nic byłem w nastroju do udziału w tych figlach. W końcu udało mi się zabrać jedną z dziewcząt na górę, szybko załatwić z nią sprawę i wrócić taksówką do St. John's Wood.

PIĘTNAŚCIE

Mouthfeel: konsystencję, miękkość, soczystość i oleistość ocenia się w ustach podobnie, jak oceniałoby się je *palcami*.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Następnego ranka po przebudzeniu humor miałem nie najlepszy i dobrze wiedziałem dlaczego. Hunta wreszcie opublikowali. Powinienem się cieszyć wraz z nim, lecz szczerze mówiąc, czułem jedynie tępe ukłucie zazdrości. Beerbohm... Dowson... Lane... nawet Bosie! Podczas gdy ja zajmowałem się flirtowaniem i popijaniem kawy, mój przyjaciel konsekwentnie realizował poważne zawodowe plany, dążąc do wyrobienia sobie nazwiska.

Nie zważając na ociężałość i ból głowy, przysunąłem do siebie plik błękitnego papieru. A niech to, sam napiszę villanelę, tak dla wprawy.

Pół godziny później miałem sześć wersów. Ten gatunek literacki ma to do siebie, że im dalej, tym trudniej się je tworzy. W dodatku musiałem iść do pracy.

Spojrzałem na zegar. Może Pinker daruje mi dzisiejszy poranek, zważywszy na to, że poprzedniego wieczoru zabrałem jego córkę na bal. Postanowiłem pisać jeszcze przez godzinę.

* * *

Po upływie tego czasu z sześciu wersów pozostały trzy. zrobiło się okropnie, beznadziejnie późno. Odłożyłem utwór na bok, postanawiając, że zabiorę się do niego po powrocie.

Nie muszę dodawać, że gdy wieczorem przeczytałem swoje dzieło, natychmiast stwierdziłem, że nie jest nic warte. Zmiałem kartkę, tłumacząc sobie, że gdybym nie musiał wyjść, zapewne zmarnowałbym cały dzień, próbując to poprawiać i ulepszać.

Cieniutki głosik gdzieś w głębi podszeptował jednak, że może te zabiegi przyniosłyby jakiś efekt.

* * *

W ciągu kolejnych dni starałem się nie zaniedbywać pisania. Moje uczucia do Emily – coś, w czym poeci od wieków szukali natchnienia – dały asumpt jedynie do płytkich, bezbarwnych sonetów, które natychmiast spaliłem. Prawdziwym poematem na jej cześć był „Przewodnik”. Jestem pewien, że ulegał subtelny przeobrażeniom pod wpływem rodzącego się między nami afektu; moja namiętność przydawała słowom aromatu, tak jak dzieje się z winem w beczce, które wchłania zapachy z otoczenia.

Tymczasem Pinker zawsze wywęszył wszelkie ślady podniosłych ozdobników. Gdy napisałem, że w kawie Mysore czuć „zapach curry, powiew suchych indyjskich ulic i słonich odchodów, okraszony wonią cygara maharadży”, wysłał mnie do zoo, zaznaczając, że nigdy nie czułem zapachu indyjskiej ulicy, nigdy nie jadłem curry i najprawdopodobniej obcy mi też jest zapach odchodów słonia. Miał oczywiście rację, lecz wzmiankę o cygarach pozostawiłem. Równie konkretny był wówczas, gdy chciałem porównać kwiatowy bukiet jemeńskiej mokki do „pachnącego płatkami róży dziewiczego oddechu”.

– Nie ma takiego zapachu, Robercie. To tylko twoje wyobrażenia! – krzyczał wzburzony. Nie przywołał jednak Emily, by tego dowieść. Ona też musiała zwrócić na to uwagę, bo po wyjściu ojca delikatnie się zarumieniła.

* * *

– Co robisz, Robercie? – zapytała mnie Żabka któregoś dnia podczas przerwy na lunch.

– Piszę wiersz – odpowiedziałem z westchnieniem, wiedząc, że zasypie mnie gradem pytań.

– Lubię wiersze. Czy znasz *Alicję w krainie czarów*?

– Czy znam? Mieszkałem w tym okropnym świecie – aluzja do mojej Alma Mater nie mogła zostać przez nią zrozumiana, ale to jej nie powstrzymało przed dalszymi

pytaniem.

– Robercie, proszę, napisz dla mnie wiersz o krokodylu.

– Ależ oczywiście. Jeśli obiecasz, że zaraz potem dasz mi spokój.

W ciągu dwóch minut nabazgrałem kilka zwrotek i odczytałem jej na głos:

*Krokodyl wielki apetyt ma
I wcale się z tym nie kryje,
Gdy na śniadanie zje kopę jaj,
Zaczyna czuć, że żyje.*

*Później pożera chleb i miód,
Krewetki, ryby, szczeżuje,
A gdy go znów dopada głód,
To i homara przeżuje.*

*Lecz ulubionym jego daniem
Są niegrzeczne dziewczynki,
Zjada je bez opamiętania,
Choć oddech potem ma brzydki.*

Wpatrywała się we mnie z otwartymi ustami.

- To jest wspaniałe! Naprawdę jesteś poetą!
- Chciałbym, żeby z prawdziwą poezją było tak łatwo. – Westchnąłem.
- A teraz może o gąsienicy? – zapytała z nadzieją.
- Zdawało mi się, że obiecałaś zostawić mnie w spokoju.
- Obiecuję, że zostawię cię trzy razy w spokoju, jeśli napiszesz mi jeszcze jeden wiersz. To bardzo korzystna propozycja: trzy razy za dwa wiersze.
- Aha, słynny Pinkerowski talent do negocjowania. W takim razie spróbujmy...

*Sprawa to tajemnicza,
Rzekł raz pewien człowiek,
Chyba gąsienica
Mieszka w mojej głowie.*

*Pewnie w owocu żyła
Podanym na podwieczorek,
I przeprowadzkę odbyła,
Kiedym przełknął jej domek.*

*Wygodnie jej się żyje,
Do ucha mi śpiewa radośnie,
A gdy za dużo wypije.*

Słyszę, jak chrapie donośnie.

Żabka klasnęła w dłonie. Emily, która weszła do gabinetu, gdy puentowałem historię, powiedziała:

– To naprawdę słodkie, Robercie. Powinieneś to wysłać do wydawcy książek dla dzieci.

– Jestem poetą – odciąłem się ostro – dziedzicem wspaniałej tradycji buntowników i dekadentów. Nie składaczem dziecięcych rymowanek.

* * *

Ponieważ brakowało mi czasu na pisanie, próbowałem obywać się bez snu, jako źródło energii wykorzystując olbrzymie ilości towaru Pinkera. Gdy po raz pierwszy zastosowałem tę metodę, w uniesieniu stworzyłem dwadzieścia wersów lirycznej ody. Następnej nocy jednak kofeina i zmęczenie znosiły się nawzajem, czego efektem był tylko tępy ból głowy i mało oryginalne rymy. Ponadto rano byłem tak wyczerpany, że nie mogłem porządnie pracować. Z tego powodu dość szorstko potraktowałem Emily, gdy spieraliśmy się o formę jakiegoś akapitu, i ona zniecka wybuchnęła płaczem.

Byłem zaskoczony. Nigdy dotąd nie pokazała się od tej strony – jako kobieta, która płacze z byle powodu. Właściwie wręcz przeciwnie.

– Przepraszam – powiedziała, ocierając łzy chusteczką. – Jestem trochę zmęczona.

– Tak jak ja – rzuciłem patetycznie.

– A czemuż to, Robercie? – zapytała i wydało mi się, że patrzy na mnie podejrzliwie.

– Staram się pracować.

– Oboje się staramy.

– Mam na myśli moją *prawdziwą* pracę. Pisanie.

– Rozumiem. I to jedyny powód, dla którego jesteś ostatnio taki... – zawahała się – nieobecny?

– Chyba tak.

– Znowu spojrzała w ten podejrzliwy sposób.

– Myślałam, że może to *ja* cię męczę.

– Na litość boską, cóż ci chodzi po głowie?

– Wtedy, tam, kiedy mnie pocałowałeś... myślałam... ale oczywiście, ty jesteś artystą, dla ciebie pocałunek nic nie znaczy...

– Emily! – Nie wytrzymałem. – Ależ... ja cię nie... – urwałem. Już miałem powiedzieć „Ja cię nie pocałowałem”, lecz coś kazało mi ugryźć się w język.

Pomyślałem: Pocałowałbym ją, gdybym mógł. Gdybym wiedział, że nie odrzuci moich zalotów, że nie ucieknie do ojca. A teraz okazuje się, że przez jakąś bezsensowną pomyłkę pocałował ją ktoś obcy, kogo wzięła za mnie. Nie protestowała. Nawet wygląda na to, że jej się podobało.

Miałem wybór.

Mogłem wyznać jej prawdę, co by ją wprawiło w zażenowanie i wywołało przeświadczenie, że nie chciałem jej pocałować; albo pogodzić się z tym, co stało się tamtego wieczoru.

– Jeżeli byłem wobec ciebie szorstki, droga Emily – powiedziałem powoli – to dlatego, że nie miałem pewności, czy nie posunąłem się za daleko.

– Czyżbym sprawiała takie wrażenie? – zapytała cicho.

Nie miałem pojęcia.

– Nie. – Postąpiłem krok w jej kierunku. Miałem nadzieję, że mój dubler potrafił czule całować. Choć oczywiście nie aż tak, bym nie mógł mu dorównać. – Ale oboje wówczas sporo wypiliśmy. I nie byłem pewien...

– Jeśli posuniesz się za daleko – odparła – nie omieszkać cię o tym powiadomić.

Smakowała śmietaną, bezą, wanilią i kawą z mlekiem z delikatną nutą papierosów.

Przerwałem.

– Posunąłem się za daleko?

– Robercie! – krzyknęła. – Czy nie potrafisz być poważny?

Ponownie zbliżyłem usta do jej ust. Tym razem przytrzymałem jej głowę od tyłu i łagodnie przysunąłem do siebie. Wydawało mi się nawet, że w trakcie tego cudownego pocałunku wzdychała z przyjemności. Mój

język próbował wcisnąć się między jej wargi, a te po chwili stawiania oporu rozchyliły się zapraszająco... Wielkie nieba, pomyślałem zdumiony, jest bardziej namiętna, niż potrafiłem sobie wyobrazić.

Kroki! Oderwaliśmy się od siebie w tej samej chwili, w której drzwi się otworzyły. To był Jenks. Oboje cofnęliśmy się o krok. Emily spłoniona odwróciła oczy. Sekretarz obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem.

– Czuję wiciokrzew, woń kwiatów, bardzo wyraźną, choć delikatną – wyrecytowałem szybko – i może odrobinę cytrusów. Bukiet jest wyborny.

Jenks omiół gabinet wzrokiem. Z pewnością zauważył, że na stole nie ma kawy, lecz nic nie powiedział.

– Emily?

– Tak? – Zwróciła głowę w moją stronę.

– A ty jak sądzisz?

– To było... bardzo przyjemne, Robercie. Choć może zbyt mocne. Przepraszam... coś zostawiłam... na dole.

* * *

Wróciła dużo później, niosąc grubą teczkę z papierami, które rozłożyła przed sobą i ostentacyjnie zaczęła przeglądać.

– Każda minuta twojej nieobecności zdawała mi się wiecznością – zacząłem.

– Nie teraz – rzuciła. – Oboje musimy zająć się

pracą.

Byłem skołowany.

– Myślałem... przedtem... chyba wolałaś moje zaloty od pracy.

– To było, zanim Jenks nas przyłapał – odparła po chwili. – To mnie otrzeźwiło.

– Jenks? A co on ma do rzeczy? Co ktokolwiek ma tu do rzeczy?

– Oboje jesteśmy pracownikami mojego ojca. Nie powinniśmy... nie wolno nam... robić niczego, co byłoby przejawem braku profesjonalizmu. Nie możemy zawieść jego zaufania.

– Teraz jesteś niekonsekwentna.

– Koniec z pocałunkami – oświadczyła stanowczo. – Obiecuj mi chociaż tyle.

– Bardzo dobrze. Postaram się myśleć o całowaniu nie częściej niż... ile... co sześć, siedem sekund?

Milczenie.

– To już dwa razy... o, teraz trzy!

– Robercie!

– Nic nie poradzę na to, co czuję. Ty chyba też. Ale jeżeli chcesz, powstrzymam się od następnych pocałunków.

* * *

Całowaliśmy się nad rzeką, całowaliśmy się za plecami jej sióstr, całowaliśmy się ze śladami świeżo zaparzonej kawy pod nosem. Czasem mruczała: „Robercie, nie powinniśmy...”, lecz mimo wszystko odpowiadała pocałunkami.

Pewnego dnia powiedziała:

– Wolałabym, żeby to nie było takie przyjemne, wtedy łatwiej byłoby z tym zerwać.

– Ale dlaczego mamy z tym zrywać?

– Bo to jest złe.

– Ależ co w tym złego? Sztuka dowodzi, że życie powinno być serią niezwykłych doznań. Oczywiście musisz mnie całować.

– Nie wiem, czy teraz schlebiasz mi, czy sobie. – Westchnęła. – Owszem, umiesz całować, ale „niezwykłe doznania” to chyba lekka przesada.

– I na tym poprzestańmy, bo szczęście jest ulotne, a poza tym chyba słyszę kroki Ady.

SZESNAŚCIE

- Dokąd pójdziemy dziś na obiad?
 - Niestety, Robercie, dzisiaj nie dam rady zjeść z tobą.
 - Czyżbym powiedział coś, czego nie powinienem?
 - Nie, to ja coś powiedziałam. Obiecałam w Towarzystwie na rzecz Praw Wyborczych Kobiet, że będę sprzedawać ich gazetkę.
 - Na ulicy?
 - Tak. Nie bądź taki zdumiony. Ktoś musi to robić.
- Łatwo byłoby przytoczyć argumenty przeciwko temu stwierdzeniu. Jednakże na widok wyrazu twarzy Emily powstrzymałem się od komentarzy.
- Pójdę więc z tobą. Później możemy coś zjeść.
- Zmarszczyła czoło.
- Myślę, że możesz stanąć obok mnie i sprawiać wrażenie pomocnego. Ale obiecaj, że nie będziesz wypowiadał swoich lekceważących uwag.

* * *

Staliśmy obok wejścia do stacji metra King William Street. Emily wyciągnęła jedną z gazetek i cienkim głosikiem zawołała:

– Prawo głosu dla kobiet! Cała prawda za pensa!

Jakaś para spojrzała na nas z zaciekawieniem, lecz nikt się nie zatrzymał.

– Ojej – powiedziała z niepokojem Emily. – Nie wyglądają na zainteresowanych. – Prawo głosu dla kobiet!

Zatrzymał się starszy jegomość z bujnymi bokobrodami.

– Co my tu mamy? – zapytał uprzejmie, biorąc od niej broszurę, którą zaczął przeglądać.

– Cała prawda za jednego pensa – dodała natychmiast. – By wesprzeć prawa wyborcze dla kobiet.

– A ile za chędożenie? – powiedział tym samym uprzejmym tonem.

Przez chwilę żadne z nas nie reagowało. Wreszcie Emily zaczerpnęła tchu i zawołała z furją:

– Jak pan śmie!

– Jest pan z tą istotą? – zwrócił się do mnie.

– Tak, jestem z tą kobietą. A pan ją znieważył.

– Stoi na ulicy i wciska swój towar, czyż nie? Z mojego doświadczenia wynika, że tylko jeden gatunek kobiet się tym trudni.

– Zabiję go! – krzyknąłem z zapalem, patrząc za nim.

– Nie, Robercie. – Emily chwyciła mnie za rękę. – Mamy polecenie nie prowokować kłopotów.

– Może dotyczy to ciebie, ale ja nie będę stać z boku, gdy...

– Proszę, Robercie. Zresztą już słyszałam gorsze słowa z ust tragarzy ojca. – Podniosła rękę i głos jednocześnie: – Prawa wyborcze dla kobiet! Cała prawda za pensa!

Podbiegł do niej jakiś ulicznik.

– Ja bym na taką głosował! Słodka jest! – Okrasił swój komentarz niedwuznacznym ruchem bioder i zwinnie uchylił kościsty tyłek przed moim kopniakiem.

– Przypomnij mi – powiedziałem ponuro – po co to robimy.

– Ponieważ mężczyźni i kobiety muszą mieć te same prawa, by mogli się ze sobą porozumiewać jako równe jednostki.

– Ach tak, oczywiście. I jak długo mamy tu być?

– Aż sprzedamy wszystkie broszury – odparła zdecydowanie.

Wyciągnąłem rękę.

– Daj mi połowę.

– Jesteś pewien?

– Jeśli to znaczy, że będę mógł zjeść obiad, to jak najbardziej. W każdym razie robisz to źle. Sprzedaż to prawdziwa sztuka.

– Robię to dokładnie tak, jak zaleciło Towarzystwo.

– No to zobaczymy, kto sprzeda więcej.

Przeszedłem na przeciwną stronę ulicy. Chodnikiem szła akurat w moją stronę starsza kobieta.

– Przepraszam panią – zatrzymałem ją – czy mogę pani sprzedać tę gazetkę? Jest w niej wszystko, czego chciałyby się pani dowiedzieć o ruchu sufrażystek.

– O – uśmiechnęła się, przeglądając ulotkę. – Ile?

– Jeden pens, ale oczywiście można dać więcej.

– Proszę sześć pensów. Niech pan nie wydaje reszty.

– Odeszła, wciskając mi w dłoń monetę.

– Dziękuję – odparłem, wsuwając pieniądze do kieszeni. – Życzę miłego dnia.

– Prawo wyborcze dla kobiet! – krzyczała Emily po przeciwnej stronie, wymachując gazetką. Na jej twarzy widziałem znajomy grymas: była zła, że okazało się, iż to ja mam rację.

Mijały mnie dwie młode kobiety z dłońmi w futrzanych mufkach.

– Przepraszam... – Podszedłem do nich. – Chyba powinny panie przeczytać o prawie kobiet do głosowania. – Wcisnąłem im w ręce dwie broszurki – To za dwa pensy.

Młodsza uśmiechnęła się i sięgnęła po pieniądze.

– Bo widzi pan... – zaczęła, lecz gdy już miałem zarobek w ręku, nie interesowały mnie pogawędki. Zwróciłem się natychmiast do młodego urzędnika.

– Nie chce się pan dowiedzieć, co naprawdę myślą kobiety? To wszystko jest tutaj.

Po chwili kolejna transakcja została zakończona.

Spojrzałem na drugą stronę ulicy. Emily zorientowała się, że bezpośredni kontakt z ludźmi sprawdza się lepiej niż jej okrzyki, i zaczęła wdrażać to w życie. Widziałem, jak sprzedaje gazetkę dwom damom i kolejną kobiecie będącej na zakupach z córką.

Zbliżał się do mnie mężczyzna w moim wieku.

– Ta ulotka – mówiłem, podchodząc do niego i potem w marszu pokazując mu okładkę – zawiera wszystkie bezwstydne argumenty sufrażystek. Równość seksualna, wolna miłość... to wszystko tu jest.

– Wezmę dwie – powiedział, obrzucając gazetkę pożądanym wzrokiem.

– Rozsądna decyzja. Jeden szyling.

Gdy odchodził, dostrzegłem rzucone w moją stronę zagniewane spojrzenie Emily; sprzedałem już prawie połowę moich broszurek, a ona zaledwie kilka.

– Kto sprzeda mniej, płaci za obiad! – krzyknąłem. Jęknęła, lecz zauważyłem, że nabrała energii do pracy.

– Witam panie. – Tym razem zwróciłem się do grupy handlarek. – Sensacyjne wieści... wszyscy czytają...

Sprzedawszy cztery kolejne, zauważyłem matronę, która z trudem radzi sobie z torbami pełnymi zakupów.

– Koniec z rozdierającymi się papierowymi torbami, kiedy kobiety zdobędą prawa wyborcze! Tu znajdzie pani wszystko, a ja pozbieram pani ziemniaki.

Po pozbieraniu rozsypanych zakupów przeszedłem przez ulicę.

– Wszystkie sprzedane – zameldowałem Emily.

– Kupują je od ciebie tylko dlatego, że jesteś mężczyzną – rzuciła ze złością. – Zawsze chodzi o to samo.

– No cóż, tak czy inaczej zdaje się, że sporo zarobiłem. A w dodatku zaoszczędzę na obiedzie, bo dzisiaj ty płacisz...

* * *

– Robercie, powiesz mi jakiś wiersz? – zapytała Żabka z nadzieją w głosie.

Wciąż byłem w dobrym nastroju po sutym obiedzie.

– Dobrze. Jaki?

– Ten, który ostatnio. O gąsienicy.

– Nie może być ten sam. Jako artysta muszę być oryginalny.

– Ale go nie dokończyłeś – powiedziała z niecierpliwością. – Zostawiłeś tego człowieka z gąsienicą w głowie i od tej pory nie mogę się skupić na arytmetyce.

– Widzisz, Robercie – mruknęła Emily za moimi plecami – artyści też mają obowiązki. Chociaż to, że biedna Żabka nigdy nie skupia się na arytmetyce, to nie twoja wina.

– Nie chciałbym mieć na sumieniu złych wyników w rachunkach – zapewniłem Żabkę. – Niech więc pomyśle...

Chwila namysłu, trochę bazgrołów na skrawku papieru i zaczęło się wyłaniać...

– Liczę czas – oświadczyła Emily. – Musisz to zrobić w niecałą minutę.

– To nieuczciwe.

– A uczciwe było, gdy sprzedałeś więcej broszur niż ja, bo jesteś mężczyzną? Zostało czterdzieści sekund.

– Potrzebuję trochę więcej.

– Na twoim miejscu przestałabym protestować i zajęła się pisaniem.

– Masz ci los.

– Za późno.

– Mam! – podskoczyłem.

*Wcale mnie nie zachwyca,
Narzekał ów człowiek,
Ze podła gąsienica
Wciąż mieszka w mej głowie.*

*Wszak nikt jej nie zapraszał,
Nie oferował gościny,
A żyje sobie jak basza,*

I nie zamierza się wynieść.

*To rzekłszy, nieszczęśnik ów
Westchnął. Dość już o tym,
I nagle z jego ust
Wyleciał cudowny motyl.*

Wiersz był oczywiście nonsensowny, ale miał rymy i rytm – no, prawie. Żabka zaklaskała, Emily czule się uśmiechnęła przez chwilę miałem poczucie takiej dumy i satysfakcji, jakiego nie przyniosłaby mi publikacja sonetu w „Yellow Book”.

SIEDEMNAŚCIE

Jej serce śpiewa. Jej rozum się martwi.

Nie z powodu niewinnego kłamstwa, którym uraczyła Roberta – Emily dobrze wie, że to nie on próbował pocałować ją na balu. Jednakże tak poważnie traktował tamtej nocy swoją rolę opiekuna, że początkowo ją to bawiło i wręcz zachęcało do tego, by się z nim droczyć; gdy się zorientowała, jaką wzbudza to w nim zazdrość, podtrzymywała go w tym błędnym przekonaniu, które w końcu stało się czymś dużo więcej. Nie – martwi ją co innego: to, że ich związek, zgodnie z wszelkimi przyjętymi normami, nie istnieje.

Po etapie konkurów przychodzi czas na miłość i zakochani się pobierają. W ustalonym rytuale jej klasy społecznej nie ma miejsca dla tych, którzy oficjalnie nie przechodzą etapu konkurów: tych, których rzucił ku sobie los albo – co gorsza – praca.

Wątpi, by ojciec pozwolił jej go poślubić, nie jest nawet pewna, czy sama tego chce.

Robi więc, co może w tej sytuacji – wychwała go przed ojcem, lecz tak, by nie mógł podejrzewać, że straciła głowę.

Mówi mu, że Robert, „choć to beztroski młodzieniec i wciąż niepoprawny esteta”, pracuje nie tylko ciężko, ale i dobrze, że byłby przydatny w firmie, gdyby trochę wydorósł. Podkreśla, że jako artysta ma takie doświadczenie i wiedzę, jakich nie zdradza żaden

z pracowników, że patrzy na świat w sposób, który może być korzystny dla firmy.

Ojciec słucha, kiwa głową i niczego nie podejrzewa.

* * *

Jedyną osobą, która się domyśla, jest Jenks. I to stanowi odrębny problem, gdyż od jakiegoś czasu Emily zdaje sobie sprawę, że starszy sekretarz jej ojca żywi do niej uczucia, które, tego jest pewna, mają związek ze szczerym uznaniem dla jej profesjonalizmu, z jej powściągliwością i rozważnym zachowaniem w biurze; z tym wszystkim, co pozwalało mu skrywać własny afekt i przez to trzymać go na wodzy, i co teraz gwałtownie zmiotła w swoim szaleńczym zauroczeniu Robertem.

Dlatego czuje się zarazem winna i nierozsądna. Skoro jednak jej związek z Jenksem pozostaje w sferze domysłów, to mało prawdopodobne się wydaje, by Jenks zdobył się na otwarte wypowiedzenie jakichś uwag.

Nie wzięła wszakże pod uwagę siły antypatii Jenksa do Roberta. Pewnego popołudnia Emily przepisuje swoje notatki, a sekretarz wchodzi do gabinetu i dokładnie zamyka za sobą drzwi.

– Panno Pinker – zaczyna – muszę z panią pomówić.

Emily przeczuwa, co Jenks powie. Chciałaby w jakiś sposób przesunąć czas do przodu i znaleźć się już w chwili, gdy Jenks wychodzi – zaoszczędzić im obojgu zażenowania, które nieuchronnie pojawi się między tymi

dwoma momentami.

Tymczasem on ją zaskakuje.

– Nigdy bym nie śmiał wtrącać się do pani decyzji – oznajmia ze złością, unikając jej wzroku – i nigdy bym się nie zdobył na krytykę współpracownika, tym bardziej kogoś, kto miał tyle szczęścia, że zyskał uznanie w pani oczach. Muszę jednak powiedzieć, że przynajmniej dwukrotnie widziano pana Wallisa na pewnej ulicy w centrum Londynu, której charakter budzi... – waha się, jakby szukał odpowiednich słów – wątpliwości co do jego osoby.

– Rozumiem – mówi Emily spokojnie. – A co to za ulica ?

– Część Covent Garden, słynąca... ze spotkań towarzyskich.

– I pan tam był? Pan go widział?

– Tak. Mam przyjaciela, który występuje w teatrze Lyceum. Byłem trzy razy na przedstawieniu. To wielki sukces.

– Aha. – Emily wzdycha z ulgą. – Pan był tam w niewinnych zamiarach, więc Robert z pewnością także.

– Obawiam się, że nie. Czekałem przy drzwiach dla personelu... wychodzą na ulicę, o której wspominałem. Wallis był... – szuka odpowiednich słów – on na nic nie czekał. Wchodził do jednego z budynków. To miejsce cieszące się raczej złą sławą.

– Jest pan pewien?

Kiwa głową.

– Zniesławiać czyjeś imię bez całkowitej pewności...

– Ależ nic bym nie mówił – wykrzykuje – gdybym nie miał pewności, gdyby to był ktoś inny... ale jak mam milczeć, wiedząc to, co wiem?! Gdyby coś się stało... gdyby swoim zachowaniem w jakiś sposób pani ubliżył... Jak bym się czuł, gdyby doszło do czegoś takiego, a ja wiedziałbym, że nic nie zrobiłem...

– Tak – przytakuje Emily. – Rozumiem. I dziękuję za szczerłość.

– Porozmawiam z pani ojcem, żeby go zwolnił.

– Nie. – Słyszy własny głos. – Sama wspomnę o tym ojcu we właściwej chwili.

– Może lepiej będzie, jeśli to wyjdzie od mężczyzny.

– To delikatna sprawa. Trzeba ją załatwić delikatnie. Wybiorę najbardziej odpowiedni moment.

Jenks marszczy czoło.

– Nie chcę, by mój ojciec czuł się zobowiązany do pochopnych działań. „Przewodnik” jest dla firmy bardzo ważny... wręcz decydujący, jeśli mamy wyprzedzić Howella. Robert powinien go skończyć, zanim poczynimy jakiegokolwiek kroki.

– Więc ma pani zamiar milczeć? – Nagle w jego głosie pojawia się podejrzliwość.

– Przyszedł pan z tym do mnie. To musiało być trudne doceniam pańską odwagę. Teraz jednak już po wszystkim. Pańska rola się skończyła. Zrzucił pan

z siebie odpowiedzialność. W końcu mojemu ojcu nic nie grozi...

– Jeśli pani z nim nie porozmawia, to ja będę musiał.

– Proszę, Simon. Zostawmy to. Proszę. Zrób to dla mnie.

Poczuł się zraniony. Ona to widzi. Nie dlatego, że odrzuciła jego radę, lecz dlatego, że nagle zobaczył ją w innym świetle.

– No cóż, zrobiłem swoje – oświadcza ostrym tonem odwraca się w stronę drzwi.

Gdy idzie do wyjścia, Emily pyta:

– Kiedy to było? Ostatni raz, gdy go pan tam widział?

– Ostatnio w piątek wieczorem.

Tego dnia pocałowaliśmy się, myśli Emily.

* * *

W jej sercu kotłują się emocje. Złość i niesmak przede wszystkim. Po chwili jednak – wszak jest nowoczesną kobietą – próbuje myśleć racjonalnie.

Może to po części jej wina. Może w jakiś sposób swymi pocałunkami rozpała w nim namiętność, którą on musi rozładować w... nie potrafi nawet myśleć o tym, w jaki sposób on rozładowuje swoje namiętności.

Przez tydzień nie umie zdobyć się na to, by go do-

tknąć. Wtedy odkrywają, że winogrona muscat i nasiona kolendry mają pewne wspólne kwiatowe cechy, że orzechy i świeżo ubite masło mają podobny mleczny zapach. Składając różne części „Przewodnika” w całość, dostrzegają ukryte powiązania między smakami i zapachami – od słodkich po kwaśne, od kwiatowych po korzenne – całą paletę doznań. A gdy Robert bierze ją w ramiona, wszystko, co dzieje się w tym drugim świecie, w mrocznej krainie po drugiej stronie lustra, gdzie mężczyźni zaspokajają swe sekretne żądze, przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie, zdaje się bez wpływu na to, co czuje: szczęście wymieszane z poczuciem winy.

Jest jeszcze coś, czego się nie spodziewała. Kiedy myśli o tych kobietach bez twarzy i imion, które leżą przy nim w tej lustrzanej krainie, ze zdumieniem odkrywa, że czuje wobec nich nie tyle litość czy obrzydzenie, ile gwałtowne ukłucie zazdrości.

OSIEMNAŚCIE

W końcu „Przewodnik” był gotowy. Wytwórca perfum wykonał tuzin solidnych rozchylanych z boku kuferków, które po otwarciu odsłaniały półeczki z buteleczkami na aromaty. Drukarz przygotował broszurę z objaśnieniami, jak używać poszczególnych zapachów. Tutaj muszę się przyznać do pewnej dozy próżności: nalegałem, by broszurę oprawić w welin, niby po to, aby zwiększyć jej wytrzymałość, lecz naprawdę dlatego, że było to moje pierwsze opublikowane dzieło i pragnąłem, by jak najbardziej przypominało tomik poezji.

Po zakończeniu pracy nad „Przewodnikiem” znalazłem się w dziwnym stanie zawieszenia. Ponieważ płacono mi od liczby słów, nie istniała już żadna istotna przyczyna, dla której miałbym pozostawać u Pinkera. Jednocześnie zaś nikt w firmie nie mógł mi zarzucić, że pozostając, marnotrawię ich pieniądze. Wy tłumaczyłem Emily, że chciałbym jeszcze ulepszyć styl mych wypowiedzi, gdy nadejdą pierwsze raporty od agentów Pinkera, lecz oboje wiedzieliśmy, że moje prawdziwe motywy były zupełnie inne.

Pinker nie wypowiadał się na temat mojej obecności. Raz na jakiś czas wynajdywał dla mnie drobne zadania, by mnie czymś zająć. Właściwie zdarzało się to tak często, że aż zacząłem się zastanawiać, czy nie robi tego celowo.

* * *

Pewnego dnia postawił przede mną i Emily pół tuzina niskich puszek z niewyraźnymi etykietami. Na niektórych widniał obraz anioła, na innych lwa.

– Co to? – zapytała Emily, najwyraźniej tak samo niewtajemniczona jak ja.

Oczy jej ojca błyszczały.

– Może spróbujemy i dowiemy się?

Przyniesiono nam wrzątek i zaparzyliśmy kawę z pierwszej puszeki. Jej jakość nie była zachwycająca.

– I jak? – zapytał Pinker.

– Przeciętna.

– A następna?

Zająłem się drugą puszką.

– Jeśli się nie mylę, dodano do niej lukru, żeby ją dosłodzić.

Podobnie było z innymi: były albo bez smaku, albo z zanieczyszczeniami, albo z dodatkami smakowymi.

– Powie nam pan, skąd pochodzą te wynaturzenia?

– Oczywiście. – Pinker stuknął palcem w jedną z puszek. – Ta jest od Arbuckle’a. Przesłano mi ją statkiem. Opanował jedną czwartą całego rynku amerykańskiego, to ponad milion funtów na rok. Jeśli poprosisz o kawę gdzieś między Nowym Jorkiem a Kansas

City, dostaniesz właśnie to.

Potem wskazał na drugą puszkę.

– A to Chase i Sanbom. Dominują na rynku od Bostonu po Montreal. Na tym obszarze trudno byłoby znaleźć kawę, która by pochodziła z innego źródła. To kawa Lion, to Seal... To Folgers z San Francisco. A to Maxwell House z Nashville i Południa. W sumie tylko sześciu producentów, sześć *marek*, jak je tam nazywają, dzieli pomiędzy siebie konsumpcję kawy w tym najbardziej dynamicznym kraju świata! Sześć marek! Ich właściciele na pewno są bardzo potężni. Może słyszałeś, Robercie, jak mówiłem o giełdzie? – Skinąłem głową. – Giełda to niezwykle miejsce. Ale to też strefa wielkiego ciągłego konfliktu między tymi, którzy chcą wolnego przemysłu, a tymi, którzy pragnęliby go kontrolować.

– Jak ktokolwiek może kontrolować cały przemysł?

Podszedł do terkoczącej maszyny, wciąż wyrzucającej serpentyny białej taśmy na podłogę, i wpatrywał się w nadrukowane symbole.

– Tych sześciu przedsiębiorców zawarło prywatne umowy z rządem brazylijskim i udało im się pominąć giełdę. Jak mówią tura za oceanem, oszukali prawa rynku. Jeśli ceny są za niskie, skupują akcje, by stworzyć niedobór, a uwalniają je, gdy ceny idą w górę. Albo gdy cena jest wysoka, po prostu odmawiają sprzedaży i czekają, aż spadnie do takiego poziomu, jaki im odpowiada. A to wszystko jest możliwe tylko dlatego, że klienci ufają ich markom.

– To właśnie standaryzacja, o której mówił pan przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Tak. – Pinker zacisnął wargi. Chyba zastanawiał się, jak dalece wtajemniczyć mnie w swoje plany. – To przyszłość – powiedział wreszcie – i musimy się z nią zmierzyć, albo zostaniemy w tyle. Nie zapominaj o Darwinie.

– Ale mówimy o Ameryce. Anglia to coś zupełnie innego.

Pinker kręcił głową.

– Jesteśmy wszyscy na jednym rynku. Tak jak cena surowców jest dla wszystkich jednakowa, tak też cena produktu końcowego będzie jedna. I to samo, co przekonuje do wydawania pieniędzy gospodynię domową w Sacramento czy Waszyngtonie, będzie też oddziaływało w Bristolu.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pan sprzedawać takiej nędznej kawy?

Pinker znowu się zawahał.

– Mam zamiar zmniejszyć liczbę moich mieszanek do dwóch – odparł. – Obie będą sprzedawane pod marką Castle. Castle Premium będzie dostarczana do Bezałkoholowych Tawern, a Castle Superior do sklepów. W ten sposób klient będzie pewien, że kupuje do domu tę samą zaufaną markę, która smakowała mu w lokalu – wypowiedział gładkie, przygotowane frazesy.

– Tę samą nazwę, owszem, ale nie tę samą kawę – zauważyłem.

– Spodziewam się, że ten drobny szczegół ujdzie uwagi większości klientów. To dla dobra sprawy, Robercie. Nasz sukces będzie oznaczał zwycięstwa tawern i zwycięstwo kawy. a tym samym trzeźwości: stworzymy trzeźwą, wydajniejszą gospodarkę, która będzie służyła całemu narodowi i tym narodom, które dostarczają nam towar. Nikt nam w tym nie pomoże. Musimy tak to rozegrać, żeby wygrać. I musimy brać przykład z Ameryki i nowych metod, które tam udowodniły swoją skuteczność.

– Ale pan nie kontroluje rynku.

– Nie.

– No więc w tym planie jest wyraźna rysa.

– Powiedzmy, że to element, który należy uwzględnić.

– W jaki sposób?

– Wszystko w swoim czasie. Cierpliwości. A tymczasem. Robercie, zastanów się nad tym, jak można by tworzyć moje mieszanki.

* * *

Ta rozmowa mnie zaciekała. Gdy zostaliśmy z Emily sami, wróciłem do tematu.

– Twój ojciec wydaje się bardzo przejęty pomysłem własnych mieszanek – zauważyłem.

– To nic nowego. – Uniosła kilka ziaren, które ba-

daliśmy. Ta kawa jawańska na przykład ma wspaniałą konsystencję, ale w smaku jest nieco mdła. Mokka to jakby jej przeciwieństwo: aromatyczna, ale w ustach bardzo wodnista. Ich połączenie daje kawę, którą można docenić.

– To takie małżeństwo smaków – podsumowałem, patrząc jej w oczy.

– Racja. Ale...

– Co?

Westchnęła.

– Moim zdaniem to jak mieszanie barw na palecie. Łatwo osiągnąć brąz, łącząc inne kolory, ale przecież samo to, że coś jest łatwe, nie oznacza jeszcze, że powinno się to robić.

– Zgoda. Barwy prezentują się o wiele lepiej oddzielnie.

Zamilkła na chwilę. Rzadko zdarzało jej się krytykować ojca.

– Oczywiście, on musi myśleć o względach ekonomicznych.

– Jest bardzo dobry w interesach.

– Ma plany... wielkie plany. Gdybyś znał chociaż ich część...

– Chciałbym.

– Musi uważać, komu i kiedy coś mówi – dodała wzdychając.

– Oczywiście, ale ty jesteś rodziną, a ja nie. Cho-

ciąż... mam nadzieję, że któregoś dnia będę dla niego kimś bliższym.

Na te słowa oblała się rumieńcem.

– A teraz – podjąłem – twórzmy to małżeństwo. – Wyciągnąłem dłoń w jej stronę.

– To znaczy?

– To znaczy, połączmy te dwie kawy – wyjaśniłem, wskazując na mokrą i jawną stojące na stole przed nami. – Ich aromaty flirtują ze sobą już długo, odkąd przedstawiono je sobie w tańcu. Pobłogosławmy ten związek i pomóżmy w jego skonsumowaniu.

– Robercie!

Niewinnie uniosłem brwi.

– Mówię metaforycznie, oczywiście. – Włożyłem wymieszane ziarna do młynka i mieliłem z zapalem. – Ciekawe będzie zobaczyć, jak te dwa ciała łączą się we wspólnym...

– Robercie, przestań.

– Dobrze.

Nasypałem zmielone kawy do filizanek i zalałem wodą. Mieszanka naprawdę nie była zła.

– Całkiem udany związek – powiedziałem, lecz Emily puściła to mimo uszu. Uśmiechałem się do niej, aż w końcu sprowokowałem ją do tego, że z udawanym gniewem próbowała mnie uderzyć.

Tak to flirtując i gubiąc się w interpretacjach, tanczącym krokiem zmierzaliśmy w kierunku olbrzymie-

go nieporozumienia.

DZIEWIĘTNAŚCIE

– I jak? – zapytał Pinker, po raz dwudziesty wchodząc do gabinetu. – Mieszanki gotowe?

– Już prawie – przytaknąłem. Byłem sam, jeśli nie liczyć Żabki. Emily wzięła wolne popołudnie, by pójść na zakupy.

Pinker zatrzymał się w pół kroku.

– A cóż ty masz na sobie, Robercie?

– To kurta w indyjskim stylu.

– I w indyjskich barwach, jak widzę. Aczkolwiek... może w blasku orientalnego słońca byłaby mniej... rażąca.

– Może – odparłem oschle.

– Kosztowała osiem funtów – oznajmiła radośnie Żabka z miejsca na podłodze, gdzie kuciała w typowej dla siebie pozycji. – Jedyna taka w całym Londynie.

– Nie dziwię się. – Pinker obrzucił mnie wzrokiem i westchnął. – Zostaw nas samych, Żaneto. Pan Wallis i ja mamy pewne sprawy do omówienia.

Żabka oddaliła się, podskakując i rechocząc.

– Nie mam pojęcia, czemu upiera się przy tym dziwacznym dźwięku – mruknął Pinker. – Liczę, że z tego wyrośnie. Moje córki... każda z nich jest na swój sposób niekonwencjonalna.

– Są dla pana wielką chlubą – powiedziałem

uprzejmie.

– Są wielkim zmartwieniem. Oczywiście wszyscy rodzice martwią się o dzieci. Ale gdy rodzic jest jeden, suma trosk się podwaja.

– Wyobrażam sobie.

– Czyżby? – Spojrzał na mnie uważnie. – Pewnie dziwisz się, że zatrudniam je w firmie.

– Nie zastanawiałem się nad tym – odparłem ostrożnie.

– Emily musi się czymś zająć. Ma to po mnie oczywiście. Ale poza tym potrzebuje poczucia celu... musi wiedzieć, że to, co robi, przynosi światu jakąś korzyść. Nigdy nie byłaby szczęśliwa, gdyby na przykład prowadziła dom jakiegoś drobnego arystokraty. Nadzоровanie służby, bywanie na balach, czuwanie nad jałospisem i tak dalej.

Zaczynałem rozumieć, do czego zmierza.

– Oczywiście – zgodziłem się. – To nowoczesna kobieta. W żadnym razie nie powinno się jej wpychać w schematy przeszłości.

– No właśnie! – Pinker chwycił mnie za ramię. – Wpychać w schematy przeszłości... dokładnie tego się obawia. Dobrze to ująłeś... masz talent do dobierania słów.

– Staram się, jak mogę – rzuciłem skromnie. – Ale jeśli chodzi o wyrażenie tego uczucia, to udało mi się dlatego, że sam czuję podobnie. Ja też pragnę patrzeć w przyszłość.

– Tak. – Puścił moje ramię. – Musisz przyjść do nas na obiad. Mamy sporo do omówienia.

– Będę zaszczycony.

– Świetnie. W sobotę o szóstej. Jenks poda ci adres.

* * *

Sądził, że mogę poślubić jego córkę.

Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Był zamożny wszystko wskazywało na to, że w niedługim czasie stanie się jeszcze zamożniejszy. Z takim majątkiem mógł wydać córkę za kogoś z wyższych klas lub przypieczętować spółkę z innym bogatym kupcem. Ja byłem artystą bez pensa przy duszy. Owszem, byłem wykształcony i – lubilem tak myśleć – niepozbawiony uroku i talentu, lecz zdawałem sobie sprawę, że w oczach ludzi jego pokroju nie mam szans na ucho-dzenie za dobrą partię. To, że przekonałem go do siebie, było wielkim osiągnięciem.

Nie musiałbym już pracować. Mógłbym podróżować: zawsze marzyłem o wielkiej wyprawie, jak tyłu artystów i poetów przede mną. Byłoby mnie stać na dom w mieście i drugi gdzieś na wsi. Mógłbym oddać się pi-saniu, z dala od przyziemnych trosk.

Tego wieczoru świętowałem szczęśliwy obrót for-tuny. Nabyłem strzykawkę i roztwór kokainy i udałem się z nimi na Wellington Street. Nie powiem, żeby zwiększyło to moje osiągnięcia. Z jednej strony narkotyk

mnie pobudził, a z drugiej działał usypiająco – tak zmniejszył moje możliwości, że w końcu nie mogłem się doczekać, kiedy dobrnę do końca. Dziewczynie jednak to nie przeszkadzało, bo sama zażyła to, co mi zostało. Najwyraźniej coraz częściej lepsze dziwki korzystają z tego rodzaju podniety: to nie odstrasza klientów tak jak zapach ginu, a one same są bardziej ożywione, inaczej niż po zażyciu morfiny, która wprawia je w stan otumienia. Kokainę można nawet kupić w postaci pastylek do ssania u każdego farmaceuty w Covent Garden. Jak powiedziała by Pinker: Ulepszamy się.

DWADZIEŚCIA

„Cierpki” – szczypiące, kłujące, przeszywające uczucie, niekoniecznie nieprzyjemne, na przykład towarzyszące zażywaniu pieprzu czy tabaki.

Sivetz, Coffee Technology

Musiałem się poważnie zastanowić, w co się ubrać na obiad u Pinkera. Z jednej strony jako esteta poczytywałem sobie niemal za obowiązek wyrzucić oszałamiające wrażenie. Z drugiej strony chciałem, żeby Pinker dostrzegł we mnie potencjalnego zięcia. W końcu uznałem, że powinienem włożyć coś imponującego: coś, co by mówiło, że jestem jeśli nie równy jemu, to przynajmniej kimś znaczącym we własnych kręgach. Po namyśle wybrałem odpowiedni strój: ozdobną kurtę z zielonego zakardowego jedwabiu wysadzaną kamieniami, które mieniły się barwami tęczy jak pióra dzikiej kaczki. Była na wystawie w domu towarowym Liberty wraz ze wspaniałym niebieskim turbanem spiętym okazałą broszą z czerwonego granatu. Jedyne problemy polegały na tym, że całość kosztowała sześć funtów, a na to nie było mnie już stać.

Poszedłem do Ike'a i wyjaśniłem, że znowu potrzebuję gotówki.

– Znowu? – zdziwił się. – Ale... proszę nie mieć mi za złe, że panu przypominę, panie Wallis, iż zalega pan ze

spłatą wcześniej zaciągniętych pożyczek.

– To będzie... inwestycja.

– Tak? – Wyraźnie oczekiwał więcej informacji.

– Zamierzam się oświadczyć – wyjaśniłem.

– Aha. A czy jest to związek, po którym można się spodziewać dobrych perspektyw... to znaczy w kwestiach finansowych?

Miałem ochotę mu powiedzieć, że to nie jego interes, ale oczywiście w tej sytuacji to *był* jego interes.

– W istocie. Kobieta, o której mowa... jej ojciec... dysponuje środkami. Dużymi. Ale tymczasem czekają mnie pewne wydatki.

W zamyśleniu kiwał głową.

– Powiedzmy... jeszcze pięćdziesiąt funtów? – zaproponowałem.

Po raz kolejny podpisałem jakieś papiery i kolejny raz, gdy wręczał mi pieniądze, podałem mu dwa funty.

– Pańskie odsetki.

Skinął głową.

– I niech mi będzie wolno jako pierwszemu życzyć panu i temu przedsięwzięciu powodzenia. Chociaż powinienem chyba zaznaczyć, że pożyczka podlega zwrotowi niezależnie od rozwoju wypadków. – Roześmiał się. – Co nie znaczy, że wątpię w pomyślność tego związku. Jestem pewien, że i pan, i pańska wybranka zaznacie prawdziwego szczęścia.

* * *

Pinker mieszkał niedaleko swojego magazynu, w eleganckiej dzielnicy georgiańskich domów z czarnego kamienia. Drzwi otworzył lokaj w liberii, obok którego stała służąca gotowa przyjąć ode mnie płaszcz i laskę. Byłem pod wrażeniem. Jeżeli tak mieszka Pinker, to jego zięć może liczyć na taki sam standard. Wspaniale byłoby mieć lokaja i służącą. Przy tym dziewczyna, jak zauważyłem, była całkiem ładna.

– Są w salonie – mruknął lokaj, wręczając mi kieliszek madery.

Wszedłem do wskazanego pomieszczenia. Salon był oświetlony elektrycznymi lampami, które rzucały światło na twarze trzech córek Pinkera. Wszystkie były odświętnie ubrane: nawet Ada nie wyglądała tak przeciętnie jak zazwyczaj, a Żabka – choć w sukience wyraźnie czuła się skrepowana – przynajmniej raz prezentowała się jak dziewczynka. Pinker, na krześle z wysokim oparciem, rozmawiał z przysadzistym mężczyzną w stonowanym czarnym surducie. Siedząca obok Emily wyglądała uroczo w sukni z zielonego aksamitu.

– Ach, Robercie – powiedział Pinker – witamy. Chciałbym ci przedstawić pana Hectora Crannacha.

– Noo – przysadzisty mężczyzna odezwał się z wyraźnym szkockim akcentem i ściskając mi dłoń, zlustrował mnie od stóp do głów – ostrzegano mnie, że jest pan poetą, Wallish, ale nie wspomiano, że może pan

zapomnieć o odzieniu.

– Słucham? – odparłem, marszcząc czoło.

– Przybył pan na kolaszję w koszuli nosznej.

Pinker zachichotał.

– Hectorze, musisz dziś trzymać na wodzy swój słynny niewyparzony język. A ty, Robercie, wybacz panu Crannachowi, jeśli nie jest wystarczająco *au fait* z najnowszymi trendami mody z Regent Street. Właśnie wrócił z Brazylii.

– Hector jest dyrektorem generalnym w firmie ojca – dodała Emily, podając mi dłoń. – Witaj Robercie. Czy jesteś dzisiaj mogolem czy mikado? ^[13]

– Dzisiaj – powiedziałem, całując jej palce – jestem przejawem zwycięstwa formy nad formą. Aczkolwiek, jeżeli nawiązujesz do mojej kurty, to sędzę, iż ten wzór jest perski.

– Duszo podrószowałem po Perszji – oznajmił Crannach, sepleniąc – i nigdy nie widziałem tam czegosz takiego.

Ten Szkot wzbudzał we mnie coraz większą antypatię.

– Chosz przyznam, że raz widziałem dywan z takim wzorem w Maroku – dorzucił, zwracając się do Ady i Żabki.

Uśmiechnąłem się uprzejmie wraz z nimi.

– Ojciec opowiadał właśnie o twoim „Przewodniku” – szybko wtrąciła Emily. Zauważyłem, że na stole stał

jeden z mahoniowych kuferków na próbki. Był otwarty z obu stron i widać było rzędy buteleczek wewnątrz. – Hector jest pod wrażeniem.

– Ach tak – rzekł Hector. – Pszeczce nie pszeczę...

Chrząknąłem.

Przerwał.

– Tak?

– Nie, nic.

– Pszeczce nie pszeczę...

Dostrzegłem wzrok Emily. Patrzyła na mnie ze złością, ale widziałem, że i ona z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

– O so chodzi? – warknął Hector, spoglądając to na mnie, to na Emily.

– Nie, nic – powtórzyłem, chociaż to upodobnienie głosek, gdy Crannach próbował wymówić „przecież” i „pszeczę” było naprawdę zabawne. – Proszę mówić. Czemuż to pan nie przeczy?

– Że takie przedszewzięcze może mieć szensz – wymamrotał z furją.

– Ale? – wtrącił Pinker. – Masz jakieś zastrzeżenia, Hectorze?

– Tam, w terenie – rzekł Hector pompatycznie – a zwłaszcza w tropikach, obawiam się, że pański „Przewodnik” okasze się bezsuszyteczny.

– A dlaczego? – zapytałem.

– Termity – odparł krótko. – Tropikalne termity wielkie jak moja pięszcz. Przeżrą ten kuferek. A upał... ten sztraszny żar... spali wytworne perfumy do cna.

– No cóż – rzekłem – nie jestem tak zaznajomiony z termitami jak pan, ale niezależnie od warunków zasady działania pozostają te same. A słowo pisane... nasza broszura... powinno przetrzymać nawet ten „sztraszny żar” tropików, jak sędzę.

Poczułem silny cios w łydkę. Opuściłem wzrok. Ostro zakończony pantofelek Emily właśnie wsuwał się z powrotem pod jej suknię.

– W każdym razie – ciągnąłem – myli się pan, nazywając to dzieło *moim* „Przewodnikiem”. Jest to w równej mierze dzieło najstarszej panny Pinker, która z wielką wytrwałością wykonywała pracę asystentki i sekretarki w ciągu ostatnich kilku tygodni. – Chwyciłem dłoń Emily i ponownie ucałowałem.

Oblicze Hectora spochmumiało. Nagle zrozumiałem, że nie jest zachwycony, iż po powrocie z Brazylii zastał mnie w tak wielkiej zażyłości – takie musiał odnieść wrażenie – z córkami Pinkera.

– Był pan kiedyś w tropikach? – zapytał ostro.

W tym momencie popełniłem pierwszy z wielu błędów tego wieczoru.

– Jeszcze nie. Marzę jednak o tym, żeby wyjechać i spokojnie móc tworzyć – powiedziałem od niechcenia. – To jedyne miejsce, gdzie można się ukryć przed znajomymi.

Jak widać, znowu uległem pokusie zabłyśnięcia trafną maksymą. O ironio.

* * *

Wieczór przebiegał całkiem przyjemnie. Hector zanudzał nas opowieściami o podróżach po Malajach, Cejlonie i Karaibach, zabawnie wymawiając wszystkie te nazwy. Nie będę się już wysilał, by zapisywać fonetycznie jego wypowiedzi – więc musisz, czytelniku, wyobrazić sobie te szeleszczące głoski.

Wyobrażnia przyda się też do tego, by przedstawić sobie powab Emily przy stole. W łagodnym świetle elektrycznych żarówek kuliste kształty jej biustu, podkreślone przez rozcięcie w sukni, były wręcz hipnotyzujące. Widziałem, że Hector, wkładając łyżkę do ust, nie odrywa od nich wzroku – natychmiast postanowiłem, że nie będę się zachowywał tak prostacko.

Praca Hectora, jak się zorientowałem, polegała na podróżowaniu z jednego kraju równikowego do innego i zakładaniu plantacji dla Pinkera oraz kontrolowaniu już istniejących, żeby każda z nich była zarządzana tak samo, niezależnie od tego, czy leży w Bangalore, czy w Buenos Aires. W pewnym momencie zgorzkniały Szkot wdał się w rozwlekłe wywody na temat trudności związanych z uprawą kawy w górach na Jamajce.

– No nie – mruknąłem – to nie może być aż tak trudne.

– Co? – Skierował na mnie wzrok.

– Słucham pańskich opowieści – wyjaśniłem – i uderza mnie w nich wyraźny brak konsekwencji. Z jednej strony mówi pan, że kawa jest obecnie najczęściej uprawianą rośliną na świecie, bardziej popularną niż bawełna czy kauczuk. Z drugiej chce nas pan przekonać, że jest ona niezwykle trudna w uprawie. To się chyba wzajemnie wyklucza.

– Robercie – odezwała się Emily z naganą w głosie.

– Nie, nie... to słuszna uwaga – powiedział pojednawczo Hector – lecz niestety obnaża pan własną ignorancję... nieznajomość warunków w terenie. Owszem, uprawa kawy nie jest bardzo trudna. Ale to nie znaczy, że łatwo na tym zarobić. Od wycięcia lasu do zebrania pierwszych plonów muszą upłynąć cztery lata. Cztery lata karczowania, odchwaszczania, użyźniania, nawadniania, nim będzie się z tego miało jakikolwiek zysk. Cztery lata, podczas których trzeba płacić robotnikom, chyba że oczywiście jest się... – urwał.

– Chyba że co?

– Na plantacji Pinkera nie będzie niewolnictwa ani nic w tym rodzaju – szybko zareagował Pinker. – O tym w ogóle nie może być mowy.

– Ależ oczywiście – zgodził się Crannach. – I słusznie. Jak już mówiłem, przez wiele lat trzeba inwestować, zanim zbierze się pierwsze plony. A kawa już taka jest, że rośnie w górskich regionach. Trzeba ją suszyć, transportować... to dopiero koszty: nie tyle ostatnie

dwa tysiące mil morzem, ile te setki mil, żeby dostarczyć towar na statek.

– I dlatego coraz częściej zakładamy plantacje na takich terenach, które mają dobre połączenia handlowe – dorzucił Pinker.

– Poza tym trzeba pilnować, żeby... – zaczął Hector, lecz Pinker mu przerwał:

– Hectorze, dość już tych rozmów o interesach. Moje córki zaczynają się nudzić,

– Ja się nie nudzę – powiedziała Żabka. – Lubię słuchać o różnych krajach. Chciałabym się dowiedzieć, czy spotkał pan kanibali.

Hector, jak się okazało, nie tylko spotkał kanibali, ale też został przyjęty do ich wyższej warstwy społecznej. Po dziesięciu minutach z trudem opanowywałem ziewanie.

– Cóż za ciekawe przygody. I opowiada pan o nich tak porywająco. Wszystkich pan zastrzelił? Ależ panu zazdroszczę. Moje strzeleckie doświadczenia ograniczają się do strzelania palcami na kelnerów.

Żabka zachichotała. Emily tylko westchnęła.

* * *

Jedzenie okazało się wyśmienite. Pinker poczęstował nas wytwornym posiłkiem – żadnych przystawek *à la russe*:^[14] było tyle widelcy, noży i innych sztućców,

że wystarczyłoby dla armii chirurgów. Przy każdym nakryciu ustawiono ręcznie napisane menu. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, spis potraw był następujący:

Huitres natives

Petite bouchée norvégienne

Tortue claire

Crème Dubarry

Homard sauté à la Julien

Aiguillette de sole. Sauce Germanique

Zéphir de poussin à la Brillat-Savarin

Selle d'agneau à la Grand-Veneur

Petits pois primeur à la Française

Pomme nouvelle persillade

Spongada à la Palermitaine

Jambon d'York braisé au champagne

Caille à la Crapaudine

Salade de saison

Asperges vertes en branche. Sauce mousseuse

Timbale Marie-Louise

Soufflé glacé Pompadour

Petits fours assortis

Dessert

Tak więc minęło kilka godzin, nim damy wstały od stołu. Lokaj położył na stole pudełko cygar i odszedł. Crannach gdzieś zniknął. Podejrzewam, że za dużo wypił. Było mi to na rękę, chciałem bowiem porozmawiać z Pinkerem sam na sam.

Mój chlebodawca nalał sobie porto.

– Powiedz, drogi Robercie – rzekł z namysłem – gdzie widziałbyś się, dajmy na to, za pięć lat?

Nabrałem powietrza w płuca.

– Cóż... chyba w małżeństwie.

– W małżeństwie? – Pokiwał głową. – To dobrze. Małżeństwo to wspaniała rzecz. Mężczyzna się statkuje, odnajduje cel.

– Cieszę się, że pan to pochwała.

– Oczywiście mężczyzna, który ma na utrzymaniu rodzinę, potrzebuje pieniędzy.

– Z pewnością – potwierdziłem, nalewając sobie porto.

– A powiedz mi coś jeszcze – zaczął wesołym tonem, odcinając koniec cygara. – Zauważyłem, że chociaż to konkretne zadanie, do którego cię zatrudniłem, zostało już ukończone, w dalszym ciągu codziennie przychodzisz do biura.

– Nie przeczę – odparłem, blado się uśmiechając.

– Czyżby pojawiła się jakaś szczególna przyczyna?

– Owszem.

– Wydaje mi się – przysunął cygaro do świecy, by je

zapalić, po czym odchrząknął – że w twoim wieku byłem taki sam.

– Naprawdę?

– Tak. Byłem... no... rozpierała mnie ambicja. Poznałem Susannah... matkę dziewcząt... i już nie myślałem o niczym innym.

To się nazywa nieoczekiwany łut szczęścia. Skoro Pinker sam był w sytuacji biednego zalotnika, moje zadanie będzie łatwiejsze.

– A więc... – wydmuchnął dym z zadowoleniem – firma Pinkera to, jak zauważyłeś, biznes rodzinny. Więcej: nasz biznes to nasza rodzina.

– Oczywiście.

– Tym właśnie się szczycimy. A ty – wycelował we mnie cygarem – świetnie pasujesz do tej rodziny.

– Dziękuję – odparłem. Wszystko przebiegało lepiej, niż mogłem się spodziewać.

– Jesteś trochę... no, powiedzmy... kiedy cię poznałem, miałem pewne wątpliwości. Zastanawiałem się... szczerze mówiąc, nie byłem przekonany, czy nadajesz się do tej pracy. Ale jesteś obytym młodzieńcem i stopniowo coraz bardziej mi się podobałeś.

Skromnie kiwałem głową.

– No, ale do rzeczy. Chcę cię uczynić stałą częścią rodziny Pinkerów.

Nie wierzyłem własnym uszom. Nie muszę przekonywać Pinkera o mojej przydatności na męża, bo wy-

gląda na to, że to on próbuje przekonać mnie.

Zaciągnął się cygarem.

– Może się zastanawiasz, czy dasz radę.

– Ależ nie, jestem pewien...

– Oczywiście. – Odkaszlnął. – Bo czemuż by nie? Masz w sobie młodzieńczy zapał. – Pochylił się w przód i płonącym koniuszkiem cygara akcentował każde słowo. – Zapał to najważniejszy składnik. Nie zapominaj o tym.

– Nie zapomnę.

– Codziennie rano po przebudzeniu musisz mówić sobie: jestem gotów. Jestem gotów i pełen energii, by zmierzyć się z tym wyzwaniem. Jestem mężczyzną. Codziennie!

– Słusznie – odparłem, lekko zdumiony niespodziewanie fizycznym podejściem Pinkera do kwestii małżeństwa.

– To przygoda... wyzwanie. Będą trudne chwile.

Kiwałem głową potakująco.

– Będiesz myślał: Po co tu jestem? Co ja tutaj robię?

Roześmiałem się wraz z nim.

– Moja rada – powiedział, nagle spoważniawszy – to nie wymagać od siebie zbyt wiele. Nikt nie wymaga, żebyś był święty, prawda? Nie w tych warunkach. Raz na jakiś czas zrób sobie kilka dni wolnego. Potem wróć do swoich zadań naładowany świeżym wigorem. Rozu-

miesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak – odparłem ostrożnie. To była o wiele bardziej męska rozmowa, niż się spodziewałem. A może Pinker myślał, że zachęcanie zięcia do okazjonalnych skoków w bok to racjonalne, nowoczesne podejście.

– Oczywiście twój brak doświadczenia utrudni sprawę. Nie masz żadnego, jak mniemam?

– Cóż... już właściwie... bywały sytuacje...

– Wierz mi, to i tak będzie skok na głęboką wodę. O tak. Byłem tam... To naprawdę wielki szok. Ale wszyscy kiedyś byliśmy niedoświadczeni. Co ja bym dał, żeby być teraz na twoim miejscu, znowu młody, wyruszający w tę wielką podróż! No, a teraz pomówmy o pieniądzach.

– Dobrze. – Zaczerpnąłem tchu, szykując się do trudnej rozmowy. Jeszcze wszystko mogło się zmienić. – Nie mam wiele.

Ku memu zdumieniu Pinker się uśmiechnął.

– Tak myślałem.

– Tak?

– Wszystko, co ci do tej pory zapłaciłem, zostało już wydane, czyż nie?

– Obawiam się, że tak.

– Masz długi?

– Trochę.

Zachęcony jego nadspodziewanie pobłażliwym uśmiechem, poinformowałem go o Ike'u i jego pożycz-

kach.

– Więc pożyczasz coraz więcej kapitału, żeby płacić odsetki? – mruknął Pinker. – To błąd. Wielki błąd. – Przyglądał mi się uważnie i nagle wydało mi się, że ten wyraz twarzy uderzająco przypomina spojrzenie lichwiarza. – Ale to drobiazg, tym się zajmiemy, gdy już będziesz miał dochody. Powiedzmy... trzysta rocznie? I kolejne trzysta na własne wydatki. Za pierwszy rok z góry?

Nie było to tyle, ile się spodziewałem, ale targowanie się w tej sytuacji uwłaczałoby mojej godności.

– Zgoda.

– Po czterech latach będzie premia, jeżeli przedsięwzięcie przyniesie takie owoce, jakich obaj się spodziewamy.

Wpatrywałem się w niego zdumiony. Handlarz kawą proponuje mi premię za uczynienie Emily brzemienią! Na krótką chwilę ogarnął mnie wstyd, że zamierzam się wżenić w taką rodzinę. Potem jednak przypomniałem sobie o trzech setkach rocznie i trzech setkach na własne wydatki, i to wyłącznie za regularne figle z jego córką służące jej zapłodnieniu.

– Akceptuję z przyjemnością.

– Świetnie.

– Mam nadzieję, że Emily również – zażartowałem.

– Emily? – Pinker zmarszczył czoło.

– Może ją zapytam?

– Ale o co?

– Gzy za mnie wyjdzie.

Twarz Pinkera jeszcze bardziej spochmumiała.

– Nie zrobisz tego.

– Ale... teraz, gdy ustaliliśmy już warunki... Co jeszcze stoi na przeszkodzie?

– O Boże! – Pinker potarł czoło dłonią. – Ty... głupcze... chyba nie myślałeś... co ty myślisz, że ci proponuję?

– No... rękę pańskiej córki.

– Proponowałem ci pracę – warknął. – Przecież powiedziałeś, że chciałbyś podróżować... mówiłeś, że jesteś ambitny... że potrzebujesz pracy, żeby móc się ożenić.

– Raczej liczyłem na to, że małżeństwo będzie znaczyło koniec pracy – odparłem zdenerwowany.

– Oczywiście nie możesz poślubić Emily. To w ogóle nie wchodzi w grę. – Spojrzał na mnie przerażony. – A *ona* co o tym wie?

– Mmm...

– Jeżeli chociaż jej dotknąłeś – syknął – to przepędzę cię batogiem stąd do Threadneedle Street. – Przyłożył dłoń do czoła. – Twoje długi... O Boże... ten drań lichwiarz pewnie ma nadzieję... trzeba zapobiec kolejnemu skandalowi. – Podniósł kieliszek porto, spojrzął na niego i odstawił. – Muszę porozmawiać z Emily. Zobaczymy się jutro w moim biurze o dziewiątej rano. Do-

branoc.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Doszedłem pieszo aż do centrum. Padało. Żakardowa kurta i turban wkrótce nasiąkły wodą i stały się ciężkie jak diabli. W końcu złapałem taksówkę, która zawiozła mnie do Marylebone. Wlokłem się w deszczu do mieszkania, rozważając, jak to się stało, że ten wieczór przebiegł tak niepomyślnie.

Na rogu był bar. Z zewnątrz widać było światła, lśniący mosiądz i wypisane na szybach nazwy browarów. Nie byłem gotów na ciszę własnego mieszkania. Wszedłem.

Sala była prawie pusta. Zamówiłem brandy i usiadłem. Było tam parę dziewcząt, które schroniły się przed deszczem. Jedna pochwyciła moje spojrzenie i uśmiechnęła się. Podejrzewam, że odpowiedziałem jej uśmiechem, bo podniosła swoją szklanę, szepnęła coś swoim koleżankom i podeszła do mnie.

– Przepowiada pan przyszłość? – zapytała.

– Nie.

– No to jest pan Hindusem?

– Nie, takim samym Anglikiem jak ty.

– Aha. Dlaczego więc...? – Pokazała na moje ubranie.

– Byłem na kolacji. – Zdjąłem zmoczony turban i napiłem się brandy.

– Mogę się przysiąc?

Popatrzyłem na nią. Była dość ładna, choć nie wydała mi się szczególnie atrakcyjna.

– Nie w interesach. Nie jestem w nastroju.

– No to dla towarzystwa. – Wzruszyła ramionami.

– A za towarzystwo ile bierzesz?

Usiadła i przesunęła swoją szklanekę w moją stronę.

– Jak to napełnisz, możesz za darmo patrzeć, jak piję. W taką pogodę wolę być tutaj z piwem, niż szukać zarobku tam na zewnątrz.

Przywołałem barmankę i wskazałem na obie nasze szklanki.

– Jak się nazywasz? – zapytałem dziewczynę.

– Anna, a ty?

Była bezpośrednia w sposób, który mi odpowiadał.

– Robert.

– Co tu robisz, Robercie?

– O co ci chodzi?

– Nikt się nie włóczy w taką noc bez powodu.

– Ach. – Wypiłem pierwszą brandy i zabrałem się do drugiej. – Dzisiaj poprosiłem ojca dziewczyny o jej rękę.

– I co, nie poszło dobrze?

Nie była głupia ta Anna.

– Tak źle jak to tylko możliwe – potwierdziłem.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

– Kup nam jeszcze po jednym – zaproponowała –

i wszystko opowiedz.

Nie muszę chyba dodawać, że półtorej godziny później byliśmy w pokoju na górze: ona sapała i wzdychała do umywalki, a ja, ściskając jej masywne, preżące się uda, obserwowałem własne odbicie w lustrze.

* * *

Kiedy zbliżałem się do drzwi mieszkania, zauważyłem dwóch mężczyzn czekających w korytarzu. Zignorowałem ich, lecz gdy wsunąłem klucz do zamka, usłyszałem za sobą kroki. Coś małego, twardego, bardzo ciężkiego, jak kula bilardowa w skarpecie, walnęło mnie w szyję. Zatoczyłem się i wtedy poczułem kolejny silny cios, tym razem w bok głowy. Gdy upadałem, przyszło mi do głowy, że to Pinker wysłał swoich goryli, ale nawet w tym na wpół przytomnym stanie wiedziałem, że to mało prawdopodobne.

Jeden z nich pochylił się nade mną. W ręku trzymał krótką pałkę.

– Nawet nie myśl o wyjeździe z kraju bez spłacenia długów – syknął.

Jak widać, tak wielki dom jak posiadłość Pinkera nie zapewniał większej dyskrecji niż Trafalgar Square. Każdy mógł przekupić służącego. Wieść o tym, że wypadłem z łask ojca Emily, zapewne dotarła do uszu wszystkich zainteresowanych w Londynie.

– Jesteście od Ike'a? Powiedzcie mu, że zapłacę – mówiąc to, uświadomiłem sobie, że nie mogę zapłacić. – Jutro pożyczę od niego więcej.

– Nie graj głupa – warknął zbir. – Po co Ike miałby ci jeszcze pożyczać?

– Żebym mu płacił odsetki.

– Nie wydaje mi się. – Uniósł pałkę. Nie była dłuższa niż para rękawiczek. Napastnik przyglądał mi się obojętnie, szukając miejsca, w które mógłby uderzyć. W końcu walnął mnie w brzuch, zadając straszliwy ból.

– Ike żąda zwrotu długu – powiedział. – Całego. Masz tydzień na spłatę.

* * *

Następnego dnia rano odbyłem równie trudną rozmowę z Pinkerem. Potoczyła się bez pałek tylko dlatego, że nie były konieczne.

Ku memu zdumieniu, gdy wprowadzono mnie do gabinetu, zastałem tam także Emily. Stała przed biurkiem, przy którym siedział jej ojciec, więc po chwili wahania stanąłem obok niej. Nie odezwała się, lecz źrenice jej oczu rozszerzyły się na widok sińca na moim czole.

– Emily i ja długo rozmawialiśmy wczoraj w nocy – powiedział Pinker, bacznie mnie obserwując głęboko osadzonymi oczyma. – Są pewne sprawy, o których

powinieneś się dowiedzieć. Emily, czy kochasz pana Wallisa?

– Nie, ojczy.

Te słowa padły jak cios młotem, który roztrzaskał moje nadzieje w drobny pył.

– Czy okazywałaś mu w jakiś sposób, że możesz być w nim zakochana?

– Nie, ojczy.

– Czy pragniesz wyjść za pana Wallisa?

– Może.

Patrzyłem na nią zupełnie zdezorientowany. To wszystko nie trzymało się kupy.

– Przedstaw, jeśli łaska, okoliczności, w których zgodziłabyś się zostać jego żoną.

Wahała się chwilę.

– Nie jestem zakochana w Robercie, lecz jesteśmy przyjaciółmi... dobrymi przyjaciółmi. Wierzę, że jest człowiekiem szlachetnym sercu i dużych zdolnościach. Mam nadzieję, że chce czynić dobro. Chciałabym móc mu w tym pomagać.

Mówiła jeszcze więcej – dużo więcej – wszystko ujmując w zgrabne frazesy. Płynące z jej pięknych ust słowa układały się w kwiecistą przemowę. Nie spotkała dotąd nikogo, kogo mogłaby kochać, będąc kochaną; musi kogoś poślubić, przeto pojawia się pytanie: jakie małżeństwo będzie najbardziej sprzyjało temu wszystkiemu, co jest najważniejsze dla niej i jej ojca. Ona i ja

lubimy się, oboje wierzymy w nowoczesne małżeństwo, leży nam na sercu dobro ludzkości, nie damy się ponieść miłosnym uniesieniom, zapominając o wszystkim, co mądre uczciwe; co więcej, myśl o naszym przyszłym związku zapewne będzie mnie podtrzymywać na duchu podczas długich trudnych lat, które mnie czekają, a dla niej będzie to swoista misja cywilizacyjna – oczywiście to niewiele, lecz tylko tyle jest w stanie zrobić.

Słuchałem oniemiały tych górnolotnych bzdur. Miałem wrażenie, że chce złożyć swe dziewictwo na ołtarzu mojego ulepszenia, jakby dobro i cnota były bakteriami przenoszonymi drogą płciową, jak syfilis.

– Bardzo dobrze – rzekł Pinker. – Emily, proszę, zostaw nas teraz samych. I jeszcze jedno... jeśli wolno mi się tak wyrazić, twoje słowa przynoszą tobie i tej rodzinie wielki zaszczyt. – Gdy wychodziła, wyjął z rękawa chusteczkę i wydmuchał nos.

– Słyszałeś słowa Emily – odezwał się, gdy znowu mógł mówić. – Jestem pewien, że jeśli wcześniej ją kochałeś, to teraz kochasz ją jeszcze bardziej. Jesteś prawdziwym szczęściarzem. – Urwał na chwilę, po czym mówił dalej: – Ostatecznie jestem gotów zgodzić się na to małżeństwo.

– Dziękuję – powiedziałem zdumiony.

– Ale najpierw musisz być w stanie zapewnić jej tysiąc funtów.

To przypominało jakąś łamigłówkę.

– Ale... jak? Nie mam żadnych pieniędzy.

– Afryka oczywiście. Musisz jechać i zbić majątek.

Wszystko mi wyłożył... jak generał przedstawiający swojemu podwładnemu szczegóły niebezpiecznej misji. Najwyraźniej ten plan powstawał w jego głowie od pewnego czasu; moja prośba o rękę jego córki była tylko drobną przeszkodą, którą właśnie obrócił na swoją korzyść.

Jego plantacje na Cejlonie nie przynosiły zysków i wkrótce miały zostać przekształcone w plantacje herbaty. Plantacje w Indiach były coraz droższe – sipajowie zaczęli się buntować, mówiono nawet o niezależności. To Afryka była wschodzącym rynkiem. W Protektoracie, Ugandzie, w krajach jak dotąd nienazwanych ludzie z wizją i energią zakładali wielkie ogrody kawowe, które pewnego dnia będą rywalizować z tymi na Sumatrze i w Brazylii. Oczywiście wszyscy chcieli zająć jak najlepsze miejsca w tej rywalizacji, którą gazety nazywały „wyścigiem o Afrykę”. Jednakże to on, Pinker, zyskał przewagę. Dzięki naszemu „Przewodnikowi” i intuicji Burtona zdołał ustalić, że najlepsze warunki do uprawy kawy są w tej części Abisynii, którą określa się mianem Kaffa, na południowy zachód od miasta Harar. To kraina niechciana przez nikogo – na razie. Nawet nie była czyjąś własnością. Włosi się stamtąd wycofali i Pinker kupił ją od nich.

– Kupił pan? Ile?

– Pięćdziesiąt tysięcy akrów.

Wpatrywałem się w niego zdumiony. Nie wyobrażałem sobie tak rozległego obszaru. Pinker machnął ręką.

– Oczywiście nie musisz obsiewać całego terenu. Ja tylko nas chronię przed konkurencją w przyszłości.

– To powierzchnia całego Londynu – powiedziałem.

– Właśnie. – Podskoczył i zatarł ręce. – A ty jesteś władcą, powinienem powiedzieć regentem. Przejdziesz do historii jako ten, który sprowadził cywilizację do Kaffy.

Bo oczywiście było coś jeszcze. Dla Pinkera zawsze było coś jeszcze. Nie wysyłał mnie do Afryki tylko po to, by uprawiać kawę. Wysyłał mnie z misją.

– Z misją handlową, jeśli wolisz. Lecz najcenniejsze nasiona, jakie zasiejesz, będą niewidoczne. Kiedy zobaczą, co osiągnąłeś dzięki nowoczesnym metodom uprawy, kiedy zobaczą, jak się zachowujesz, jak zarządzasz nimi należycie, jak zarządzasz własnym życiem, przestrzegając zasad wolnego handlu i uczciwej konkurencji, kiedy zobaczą cuda, które przynosi bogactwo, wówczas, Robercie, jestem przekonany, że zwrócą się ku Bogu; to pewne jak to, że każda roślina zwróci się ku słońcu. Niektórzy mawiają, że aby zmienić wierzenia dzikich, musimy zmienić ich umysły. Ja mówię, że obydwie kroki muszą zostać poprzedzone zmianą żałosnych uwarunkowań, w których dzicy się znajdują. Daj poganinowi jałmużnę, a pozostanie poganinem i jałmużna wkrótce zniknie, ale daj mu pracę, a wprowadzisz go na drogę do zbawienia...

– Jak tam dotrzeć? – zapytałem.

Westchnął.

– Chyba na wielbłądzie. Od wybrzeża biegnie szlak handlowy.

– A co mam robić, czekając, aż kawa wyrośnie? Rozumiem, że do zebrania plonów upływa do pięciu lat.
– Cztery lata, pomyślałem, mówiąc te słowa. O Boże, wysyłano mnie na cztery lata!

– Będziesz kupcem występującym jako agent Pinkera w tej części Afryki. W końcu nikt nie zna „Przewodnika” lepiej od ciebie. Będziesz działał pod auspicjami miejscowego kupca. Może już widziałeś jego znak na niektórych morkach.

Pinker wyciągnął kartkę z półki za plecami i położył ją na stole. U góry widniał arabski znak, który widziałem na workach kawy z Haram:



– Nazywa się Ibrahim Bey – ciągnął Pinker. – Wspaniały człowiek. Jego ród zajmuje się handlem od pokoleń. Hector będzie ci towarzyszył aż do celu podróży i pomoże wybrać odpowiednie miejsce na farmę, zatrudnić brygadzystę i tak dalej, a potem pojedzie do Indii. Jeżeli odniesiesz sukces, a jestem pewien, że tak będzie, to po powrocie dostaniesz rękę mojej córki i moje błogosławieństwo. – Zmarszczył czoło. – Nie muszę chyba dodawać, że do tego czasu ta sytuacja nie jest oficjalna.

To tylko prywatne ustalenia między nami... taki okres próbny, okazja, żeby zademonstrować, z jakiej jesteś gliny. – Nagle wyraźnie się ożywił. – To wszystko masz w zasięgu ręki. Zbić fortunę, zdobyć piękną kobietę, zostawić swój ślad w historii. Jakże ci zazdroszczę!

CZEŚĆ II

Droga czaszek

Charakter nosa zależy przede wszystkim od stopnia uprażenia zielonych ziaren.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

DWADZIEŚCIA DWA

*S/s Battula,
8 czerwca 1897*

Ukochana Emily!

Piszę do Ciebie te słowa z pokładu statku parowego Battula, aktualnie sunącego wzdłuż północnego wybrzeża Egiptu. Pięć dni temu zawinęliśmy do Genui, by uzupełnić zapasy. Był to zaledwie krótki postój, lecz jakże przyjemnie było ujrzeć Italię i postawić stopę na suchym lądzie po tak długim pobycie na morzu! Mój plan przemierzenia tego kraju, zobaczenia Wenecji, o której Ruskin pisał tak barwnie, a później dołączenia do Hectora przy Zatoce Sueskiej, jak przewidywałaś, okazał się nierealny – wygląda na to, że spieszymy się, by zdążyć przed nastaniem pory deszczowej, a Hector dodatkowo niecierpliwi się, gdyż chce założyć plantację w tym, a nie przyszłym roku. (Moja uwaga, że zaopatrzyłem się w parasol, więc deszcz mi niestraszny, wywołała kolejną serię znaczących westchnień. Najwyraźniej muszę się jeszcze wiele nauczyć, a nawet nałuszysz – jego akcent, co stwierdzam z przykrością, wcale nie staje się bardziej zrozumiały, gdy się doń przywyknie).

Co wieczór spożywamy obiad w towarzystwie kapitana – przy stole zasiada szesnaście osób, łącznie z kapitanem i pierwszym oficerem. Hector dobrze zna zwyczaje marynarzy i potrafi toczyć z nimi wielogo-

dzinne dyskusje na temat sztormów z północnego zachodu, spinakerów, obła i innych męskich spraw. Jest też z nami grupa misjonarzy w drodze do Sudanu, czterej podróżni, którzy zamierzają założyć koncern handlu kością słoniową w Mombasie, oraz sześć dam podróżujących do Indii, by odwiedzić krewnych.

Jako jedyny spośród nas mający pewną wiedzę na temat regionów, do których się udajemy, Hector cieszy się wielkim autorytetem i rozsądza liczne spory, wypowiadając krótkie, acz stanowcze stwierdzenia w kwestiach przeróżnych – od odpowiedniego stroju na wizytę w meczecie zaczynając, a kończąc na opiniach, czy biały człowiek musi mieć w dżungli broń. Najdroższa Emily, staram się dotrzymywać obietnicy, którą złożyłem Ci przed wyjazdem, choć czasem bardzo mnie korci, żeby sobie z niego zażartować. Myślę, że spodobałoby Ci się misjonarze – są tak samo głęboko jak Twój ojciec przekonani, że musimy nawracać dzikich na chrześcijaństwo i jednocześnie zajmować się handlem. Jeden z nich zapytał mnie, czy zamierzam wznieść kościół na plantacji! Muszę przyznać, że wcześniej o tym nie myślałem, lecz sądzę, że prawdopodobnie uczynię to w swoim czasie. Może też zorganizuję teatr, żeby szerzyć kulturę.

W swoim czasie... pisząc te słowa, uświadamiam sobie, jak długo będę z dala od Ciebie. Prawie pięcioletnia rozłąka nie będzie łatwa do zniesienia. Oczywiście nie narzekam, masz całkowitą rację, twierdząc, że naszym obowiązkiem jest zachować pogodę ducha – zresztą warto znieść wszystko, by w nagrodę móc Cię poślubić.

Wspaniale jest myśleć o Tobie jako o partnerce towarzyszącej mi w realizacji wielkiego planu ratowania Aftyki, tym bardziej że uważasz, iż fizyczne przebywanie w tym samym miejscu na dłuższą metę nie jest tak istotne jak wspólnota myśli i dusz.

W każdym razie muszę już kończyć, gdyż pora przebrać się do kolacji. Nieczęsto miewam okazję włożyć ubranie z alpaki – jeszcze nie dotarliśmy do strefy tropikalnej (choć dni są ciepłe), a kapitan ściśle przestrzega protokołu. Pierwszego dnia pojawiłem się przy stole w mojej zielonej kamizelce i zostałem odciągnięty na bok; szepnięto mi słówko o „potrzebie wywierania dobrego wrażenia poza granicami kraju. Próbowałem wyjaśnić, że obecnie w wytwornych kręgach strój wieczorowy jest uważany za nieco staroświecki, lecz byłem na straconej pozycji.

Z wyrazami miłości od przyszłego męża

Robert

*S/s Battula,
biegun północny,
12 czerwca 1897*

Droga Żabko!

Oto znalazłem się na biegunie północnym. Trzeba

przyznać, że dziwny to biegun, otoczony z trzech stron ciepłymi błękitnymi wodami, skąd widać wybrzeże Egiptu na południu, a czasem nawet jakąś palmę na horyzoncie. Hector każe mi ćwiczyć posługiwanie się sekstantem i teodolitem, by nauczyć się rozpoznawać położenie na morzu. Skoro sekstant informuje, że jesteśmy na biegunie północnym, to zakładam, że tak jest. Zaskoczyłem moich towarzyszy podróży, informując, że fotel na biegunie nie kołysze się tak równomiernie jak na dwóch biegunach.

Możesz zapytać, do czego potrzebna jest znajomość miejsca położenia. Dobre pytanie, dociekliwa Żabko, sam zresztą zadałem je Hectorowi. Znosi się na to, że niebawem zamieszkamy w buszu, przy czym nie będzie to zwykły busz znany nam z angielskich ogrodów, po których można sobie buszować do woli, lecz dużo większy i bardziej przerażający, miejsce, gdzie łatwo się zgubić. Hector twierdzi, że przy sadzeniu naszej kawy bardzo ważne będzie zachowanie idealnie prostych rzędów, by wyraźnie pokazać, jak uporządkowana i dobrze zorganizowana jest plantacja białego człowieka, a do tego potrzebna będzie umiejętność odmierzenia. Do tej pory sądziłem, że co jak co, ale odmierzać potrafię – choćby w tej chwili odmierzam sobie sporą dawkę whisky z sodą – jednakże on uważa, że się próżniaczę, a może próżno uczę, nie pamiętam dokładnie.

Droga Żabko, mam do Ciebie prośbę. Sprawdź w słowniku znaczenie słowa hektyk i powiedz siostrze, co to znaczy. Tylko nie mów, że to ja Cię namówiłem.

Pozdrawiam

Robert

Hotel Pension Collos,

Aleksandria,

20 czerwca 1897

Drogi Huncie!

Nareszcie na ładzie! Podróż była niewiarygodnie męcząca, tym bardziej że przebiegała bez żadnego damskiego towarzystwa – a raczej bez towarzystwa kobiet pewnego rodzaju, jako że na pokładzie sporo było szczebioczących dam zmierzających do Indii w jasno określonym celu znalezienia męża. Jedna z nich próbowała nawet flirtować z Hectorem, co wyraźnie świadczy o tym, jak musiała być zdesperowana. Powiedział mi później, iż kiedyś myślał ożenku, lecz uznał, że to „nie do pogodzenia z życiem pełnym przygód i podróży. Powstrzymałem się od uwagi, że gdyby nie małżeństwo, jak amen w pacierzu siedziałbym teraz w Café Royal.

Świadom, że moje możliwości w tym względzie wkrótce mogą być ograniczone, gdy tylko przybilibyśmy do brzegu. wymknąłem się Hectorowi i skierowałem się ku domom uciech. To było niezwykle doświadczenie. Tutaj wszystko opiera się na tańcu: najładniejsza dziewczyna

występuje przed tobą, gdy ty siedzisz sobie wygodnie i palisz nargilę, czyli fajkę, w której tytoń jest filtrowany przez jakiś bulgoczący płyn o zapachu jabłek. Ta, która tańczyła dla mnie, miała na włosach przepaskę ze złotych piasstrów – hełm wykonany z tarcz połączonych łańcuchem, które brzęczały i połyskiwały przy każdym ruchu. Na początku była ubrana, lecz niebawem zsunęła swoją szatę bardzo nisko na biodra i tam ją przewiązała. „Taniec” polegał na podnoszeniu to jednej to drugiej dłoni i przykładaniu jej do ciała przy jednoczesnym potrząsaniu biodrami i całą miednicą, jakby naśladując ruchy podczas intymnego aktu. Okazało się to nad wyraz skuteczne i zanim skończyła, mój kogut był sztywny niczym twarda sztaba. Wtedy przeparadował przede mną cały korowód kobiet. Większość z nich była dość pulchna – widocznie tancerka jest wybierana z uwagi na wygląd i umiejętności taneczne, a poules de luxe ze względu na ich umiejętności dogadzania mężczyźnie w alkwie. Upierałem się, by dostać tancerkę, co wywołało wielkie rozbawienie – chyba według nich zachowywałem się jak typowy żółtodziób. W końcu poszliśmy na górę, do komnaty wyścielanej haftowanymi jedwabiami, z oknem, przez które wpadała nocna bryza uliczne pokrzykiwania. Nim położyliśmy się, ona musiała zgonić z łóżka miot kociąt, potem kucnęła nad srebrną miską, by się umyć. Moja pierwsza ciemnoskóra dziewczyna. Nawiasem mówiąc, całkowicie wygolona. W porównaniu z dziewczętami z Londynu była przyjemnie gibka, lecz nieco sucha.

Jeżeli zechcesz do mnie napisać, najlepiej adresuj

listy na Aden. Będę tam za dwa tygodnie – musimy czekać na statek pływający po Zatoce Sueskiej. Ta zwłoka bardzo niepokoi mojego towarzysza podróży, a mnie jakoś mniej.

Bądź zdrów

Wallis

Hotel Pension Collos,

Aleksandria,

27 czerwca 1897

Droga Żabko!

Ślę pozdrowienia – w pośpiechu kreślę te słowa złożone w aleksandryn.

Właściwie nie robię nic takiego – aleksandryn jest formą zbyt trudną jak na list. Zresztą, nie mam dzisiaj sił, by wymyślać rymy: jest zbyt gorąco.

Był człowiek z Peru, co pisał wiersze

Lecz zawsze kończył na drugim wersie

Zamiast tego opowiem Ci o Aleksandrii. Przybyli-

śmy tu w piątek bardzo wczesnym rankiem, gdy muezin nawoływał wiernych do modlitwy. Wszyscy pasażerowie zerwali się o świcie, by zobaczyć miasto. Najpierw atramentów o czarne morze z zaledwie kilkoma światłami połyskującymi na horyzoncie. Lśniące niebo... łososiowa mgła afrykańskiego świtu... wieże i minarety, pałace z oknami w kształcie cebul... i wtem, znienacka, niebo płonące pełnym blaskiem, gdy nad naszymi głowami niczym olbrzymi żagiel zawisło słońce, a przed oczyma wielkie białe miasto Wschodu rozpięło się dostojnie w szeroki luk. Gdy zawijaliśmy do przystani, drobne czarne dzieci wskakiwały do wody, by łowić wrzucane przez nas monety. Trap natychmiast otoczyły stada wielbłądów o mięsistych wargach, które gulgotały i ślinały się poganiane przez Arabów w długich białych szatach. Kobiety na ogół zasłaniają twarze, lecz na tym kończy się ich skromność: pokazywanie piersi nie wywołuje tu większego oburzenia niż u nas chodzenie boso.

Dzisiaj widziałem mężczyznę z wbitymi w tors igłami. Na końcu każdej z nich umieścił po pomarańczy, ale nie wiem, czy miało to chronić innych przed przypadkowymi ukłuciami z jego strony, czy tylko było wygodnym miejscem na przechowanie przekąski.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Twój przyszły szwagier

Robert

*Hotel Pension Collos,
Aleksandria,
28 czerwca 1897*

Szanowny Panie Pinker!

Piszę wstępny raport z Aleksandrii, gdzie oczekujemy kolejnego środka transportu. Spędzam wolny czas na degustowaniu różnych gatunków kaw oraz sprawdzaniu przydatności naszego „Przewodnika”. Wśród lokalnych ziaren przeważa arabika, a na lepszych targowiskach można też spotkać afrykańską longberry. Kupiłem tej drugiej tyle, ile udało mi się znaleźć, gdyż jej jakość jest wyborna. Sprzedawana tutaj kawa najczęściej jest dobra, choć każdy kupiec zdaje się przechowywać pewną ilość towaru z głębi lądu tylko po to, by oskubywać przybyszów z Europy: pytanie o najlepszą kawę staje się zaczątkiem długiej pantomimy, na czas której sklep czy stragan zostaje zamknięty po wielu niespokojnych spojrzeniach na boki, jakby w obawie, że konkurencja zauważy, co się dzieje; potem następuje otwarcie magazynu, wyciągnięcie worka z tyłu i ceremonialne rozwiązanie go. Kupiec wsypuje garść ziaren na srebrną tacę i podsuwa mi do zaakceptowania – sam powąchawszy wcześniej, z zamkniętymi oczyma, w ekstazie, informuje mnie słabym francuskim, że ta szczególna partia jest dla niego cenniejsza od własnych dzieci. Później proponuje mi, żebym spróbował, ziarna zostają

zaparzone, zwykle przez asystenta. Nie padają żadne instrukcje, lecz pomocnik dobrze wie, co ma robić: ziarna przede mną mogą przypominać kupkę szczurzych odchodów – i śmierdzieć, jakby dopiero co zmieciono je z posadzki – ale próbna filiżanka przyniesiona kilka minut później będzie smakowała niczym najlepsza kawa z Jemenu, bo prawdopodobnie istotnie taką zawiera. Kupiec przez cały czas podtrzymuje rozmowę, wypytuje o podróż i ogólnie traktuje mnie jak spotkanego po latach przyjaciela. Jeśli spróbuję zasugerować, że ziarna i zaparzona kawa to dwie różne rzeczy, będzie udawał obrażonego i zacznie twierdzić, że go uraziłem. Jeden z nich posunął się nawet do tego, że „odkrył”, iż jego asystent pozamieniał worki, w dowód czego głośno uderzył go w głowę! Czemu odgrywają takie przedstawienia, pozostaje dla mnie tajemnicą, bo przecież dysponują całkiem okazałymi zasobami wysokiej jakości mokki. Zupełnie jakby oszukiwanie białego człowieka stało się częścią nienaruszalnego rytuału.

„Przewodnik” już wykazał swoją przydatność. Przy takiej obfitości nieznanych zapachów, smaków i innych wrażeń łatwo można zapomnieć, jak smakuje chociażby zwykle świeże jabłko. Wczoraj znalazłem na targu wspaniałą mokkę, którą przyrządziłem sobie w hotelu. Miała aromat jagód, cedru i dymu palonego torfu – zamówiłem trzy cetnary. Rozglądam się też za tą niezwykłą kawą, którą smakowaliśmy wspólnie w Limehouse, lecz do tej pory jeszcze na taką nie trafiłem.

*Z wyrazami szacunku
Pański przyszły zięć
Robert Wallis*

S/s Rutalin, 30 czerwca 1897

Moja najdroższa, ukochana Emily!

Twój list dotarł do mnie na krótko przed wyjazdem z Aleksandrii. Zapewniam Cię, iż Twoje prośby są na wyrost: jestem wzorem uprzejmości wobec Hectora. Nie dalej jak wczoraj wieczorem zabawiałem go przy kolacji, deklamując ze szkockim akcentem wiersze dla dzieci. A dzień przed opuszczeniem Aleksandrii towarzyszyłem mu w wyprawie na pustynię – polowaliśmy na kormorany i sroki, posilając się daktylami kupionymi od beduina. Gdy ponownie dosiedliśmy wielbłądów, minął nas Arab na osiołku – stopami niemal powłóczył po ziemi, gdy wykrzykiwał w naszą stronę pozdrowienie we własnym języku. Hector, co mówię z przykrością, poczuł się tak urażony tym, że nas wyprzedzono, iż próbował zmusić swojego wielbłąda do poruszania się szybciej, spadł i nasi tragarze musieli wsadzić go z powrotem. By ci udowodnić, jak dobrze się sprawuję, powiem tylko, że ani razu się nie roześmiałem, chociaż gdy później opowiadałem to zgromadzonym przy naszym stole, wszyscy uznali, iż ten widok musiał być zabawny.

Przykro mi z powodu tego listu do Żabki. Obiecuję, że nie wspomnę jej więcej o nagich kobiecych piersiach. Rozumiem, iż było to dość niedelikatne, ale uwierz mi, gdybyś widziała tę niefrasobliwość, z jaką tutaj prezentują swe wdzięki, zrozumiałabyś, czemu wówczas o tym nie pomyślałem.

W każdym razie znowu jesteśmy na statku i płyniemy Zatoką Sueską. Wśród pasażerów jest dziennikarz o nazwisku Kingston, który w swoim artykule napisał o nas: „niosą kaganek cywilizacji, z którym docierają do ciemnych zakątków Afryki”. Jak się wyraził: „płomyk może słabo migotać, a chwilami nawet gasnąć, lecz z czasem przejmą go inni i powstaną wielkie latarnie rozjaśniające mrok, w którym obecnie pogrążone są całe rzesze dzikich”. Zdaje mi się, że wysłał tę korespondencję do „The Telegraph”.

A skoro mowa o ciemnościach. Mam tutaj okazję obserwować wspaniałe wschody słońca. Najpierw na niebie pojawiają się barwy angielskich żywopłotów: róż, pierwiosnków i żółć żonkili; pierwszy blask słońca wypala wszelkie kolory, osnuwając wszystko bielą, i wkrótce jedyną widoczną barwą jest migocząca zieleń wody i połyskujący srebrny błękit nieba. Połysk jest tak silny, że aż razi wzrok. Hector zaczął osłaniać oczy, przez co trochę przypomina chorą papugę.

Bardzo tęsknię za Twoją obecnością, lecz muszą wystarczać mi myśli o Tobie. Moja miłość pomoże mi przetrwać długie lata rozłąki.

Twój na zawsze
Robert

*Grand Hôtel de l'Univers,
Prince of Wales Drive,
Aden,
2 lipca 1897*

Szanowny Panie Pinker!

Zgodnie z Pańską sugestią nawiązałem kontakty z hurtownikami kawy w Adenie. Bracia Bienenfeld mieli kilka nadzwyczaj dobrych partii. Jedna z nich przerosła moje oczekiwania: ocenilem jej zapach na jedynekę, bukię – czwórka, nos – czwórka. To lekka mokka, drobnoziarnista, po uprażeniu o barwie mahoni, z nutą jagód i limonki, o ledwie wyczuwalnym kwaskowatym smaku. W sumie dałem jej piątkę. Kupiłem wszystko, co mieli, i kazałem wysłać jak najszybciej.

Z niecierpliwością czekam na spotkanie z Ibrahimem Beyem – wśród tutejszych kupców cieszy się dużym poważaniem, choć krążą też pogłoski, że ma bliżej nieokreślone problemy finansowe. Obecnie przebywa w głębi lądu, może spotkamy go po dotarciu do Zeilah po stronie afrykańskiej.

Pozostaję z szacunkiem

Robert Wallis

*Grand Hôtel de l'Univers,
Prince of Wales Drive, Aden,
2 lipca 1897*

Drogi Huncie!

Jak widzisz, dotarłem do Grand Hotel de l'Univers, który zapewne kojarzy Ci się z pięknym pałacem usytuowanym pośród łąk. Jeśli tak, to sięgnij po atlas. Aden to ten mały pryszcz na prawym pośladku Arabii, a Grand Hôtel to nic więcej jak pełna karaluchów szopa. Szczerze mówiąc, to miejsce to prawdziwe piekło – wystawione na działanie słońca skały wulkaniczne na poziomie morza, osłonięte od wiatru, lecz zupełnie bezbronne wobec upału. Nie jest to nawet najgorętsza pora roku, a słupek rtęci codziennie sięga 130 stopni Fahrenheita. Nigdzie tu nie ma ani jednego źdźbła trawy, ani nawet palmy.

Obecność Brytyjczyków w tym miejscu wynika z tego, iż jest to punkt przesiadkowy między Afryką, Indiami, Australią a domem – swoisty obóz militarno-handlowy dla British Empire Corporated. Nikt tu w zasadzie nie mieszka, choć są tacy, którzy powiedzą, że stacjonują tu od kilku lat. Większość jest tu przejazdem – pod tym względem Twój szczerze oddany nie jest wyjątkiem. Im szybciej uda mi się wydostać z tego piekarnika, tym będę szczęśliwszy. Nawet miejscowi nazywają tę

cieśninę Bab al-Mandab, co znaczy Brama Łez.

Szczerze mówiąc, przyjacielu, nieco podupadłem na duchu. Z jednej strony mam nadzieję, że cała ta podróż i zdobyte doświadczenia w jakiś sposób okażą się użyteczne w pracy pisarskiej. Z drugiej zaś wciąż nie mogę uwierzyć, że dałem się wciągnąć w tę burżuazyjną egzystencję, której przysięgałem unikać za wszelką cenę. W obecnej sytuacji odczuwam na swych barkach brzemie obowiązków i ujemnych cech małżeństwa i zatrudnienia, nie mając nawet możliwości korzystania z dobrodziejstw życia rodzinnego i finansowych zysków, jakie powinny temu towarzyszyć! Jak mogę zostać artystą, tkwiąc w tej cuchnącej dżungli – nie mam pojęcia. Już samo to wystarczy, by chciało się wyc. Gdybym miał dokąd uciec, chyba rzuciłbym to wszystko. Jednakże, jak zapewne powiedziałby mój przyszły teść (czytaj: nadzorca więzienny), „stąd nie można zostać relegowanym”.

Twój w nieszczęściu

Robert

*S/s Carlotta,
Zeilah Creek,
Afryka!
7 lipca 1897*

Drogi Morganie!

Dziękuję za list, który otrzymałem w Adenie. Dzięki Bogu, opuściliśmy już to piekielne miejsce na pokładzie niewielkiego parowca, niewiele większego od puszki na herbatniki. To był prawdziwy wyczyn załadować nań cały nasz bagaż. Trzeba było trzydziestu tragarzy, żeby to wszystko przenieść:

– haczyki wędkarskie, koraliki, przynęty, na wynagrodzenia,

– gwoździe do zbudowania dla mnie domu,

– strzelbę Remington do upolowania czegoś na obiad,

– 6 butelek piwa do popicia wspomnianego obiadu, co na moje oko daje 1 1 butelki na rok,

– butelkę baillie scotch whisky-, na wszelki wypadek.

– syfon do uzyskiwania wody sodowej, jak wyżej,

– drewnianą deskę toaletową,

– frak i białą muszkę do zabawiania zagranicznych dygnitarzy,

– Kumę, naszego kucharza. Kuma to porządny jegomość, ma list polecający od kapitana Thompsona z Bengalu, w którym są takie słowa'. „Nie należy do najdzielniejszych z chłopców i nie można liczyć na to, że stanie w obronie, gdy tropiona zwierzyna nagle zaatakuje myśliwego, lecz nie sposób mu odmówić zdolności przyrządzania gorącego posiłku po całodziennej wędrówce. Zdarzało się, że podejrzewałem go o okradanie

mnie, czemu zawsze zaprzeczał. Dwadzieścia pięć batów załatwiało sprawę. Proszę nie płacić mu więcej niż talar miesięcznie i pozostawić go w Adenie po skończonej podróży, gdyż mam nadzieję wrócić mniej więcej za rok na kolejne safari”. Ten „chłopiec” ma koło czterdziestu lat. Widać, że nie chce wracać do interioru, gdzie, jak sam mówi z ponurą miną, „pełno jest dzikich, sah”,

– moją bibliotekę, a w niej „Renesans” Patera, dzieło zatytułowane „Kawa: uprawa i zyski”, w którym, jak zapewnia mnie Hector, jest wszystko, co należy wiedzieć na ten temat; sztukę „Bądźmy poważni na serio”; 6 czystych notesów, „Yellow Book” z kwietnia 1897 i „Poradnik dla podróżnych” Francisa Galtona. Z tego ostatniego dowiaduję się, że „młody człowiek o dobrej kondycji, który wyrusza w podróż, zdając się na doświadczonych podróżnych, nie ponosi wielkiego ryzyka. Dzicy rzadko mordują nowo przybyłych, boją się broni palnej i mają wiele przesądów związanych z potęgą białego człowieka: potrzebują czasu, by odkryć, że biały niewiele różni się od nich samych i że łatwo się go pozbyć”. Jak to dobrze, że mam tu być tylko pięć lat. Nabyłem także książkę wydaną przez Towarzystwo Propagowania Dobrej Nowiny, zatytułowaną „Słowa i wyrażenia używane powszechnie w Afryce Wschodniej”. Są tu takie zdania, jak „Sześciu pijanych Europejczyków zabiło kucharza”, „Jesteś głupszy od kozy” albo „Dlaczego te zwłoki jeszcze nie są pogrzebane?”,

– skrzynkę z motykami, szpadlami, taśmami mierniczymi i innymi tajemniczymi narzędziami do uprawy

ziemi,

– solidną kasetkę z kłódką do przechowywania gotówki; spoczywa w niej 800 talarów austro-węgierskich z wizerunkiem śp. królowej Marii Teresy, które z nieznaney mi przyczyny stały się tutaj powszechnie używaną walutą – może dlatego, że każdy przypomina wielkością mały srebrny talerz. Brytyjczycy używają też rupii, lecz tubylcy wzbraniają się przed nimi, bo poza granicami Indii niewiele z nich pożytku,

– dwa ubrania safari z alpaki i wiele par spodni długich i krótkich zjlaneli, którą uważa się za najbardziej higieniczny materiał w gorącym klimacie. I oczywiście moją bonzurkę z czerwonego aksamitu,

– apteczkę. Została zapakowana zgodnie ze wskazówkami Galtona i zawiera wiele rzeczy, które pozostają dla mnie tajemnicą, a mianowicie: 1) środek wymiotny na wypadek zażycia trucizny. 2) krople Warburga na gorączkę, 3) proszek Dovera na in fekcje, 4) chlorodynę na rany. 5) jedną dużą rolkę diachylonu, nie mam pojęcia do czego, a Galton tego nie wyjaśnia, 6) lapis w oprawce do smarowania starych ran i na ukąszenia węża, 7) igły do zszywiania ran, 8) nici woskowane, jak wyżej, 9) musujący środek przeczyszczający Moxona, 10) dużą butelkę laudanum (nierozcieńczone), w razie, gdyby inne leki (i flanelowe spodnie) okazały się nieskuteczne,

– 12 pięknych małych, filiżanek do kawy marki Wedgwood, białych, z lśniącej porcelany kostnej, prezent – czyżby ironiczny – od mojego przyszłego teścia,

– Hectora, który, trzeba to powiedzieć, staje się coraz weselszy, im bardziej zbliżamy się do równika. Wszędzie go pełno, pokrzykuje na tubylców i sporządza spisy. Od samego patrzenia na niego czuję się zmęczony.

Co ja, u diabła, tutaj robię? Gdzie się podziało piękno i prawda, kontemplowanie cudów? Czasem myślę, że za chwilę się obudzę i to wszystko okaże się koszmarnym snem.

Jedynym pocieszeniem są zachody słońca, najwspanialsze, jakie zdarzyło mi się wżyciu widzieć. Najpierw wstaje księżyc – spoza mgły wylania się krwistopomarańczowa kula, która przesuwając się w górę, zdaje się zmieniać kształt: w miarę jak oddala się od swego odbicia w czarnej toni rzeki, coraz bardziej się wydłuża. Po drugiej stronie słońce zanurza się w tej mgle, dotyka wody i wybucha. Niebo zabarwiają smugi w kolorze złota, ametystu, karminu i fioletu, po czym one także rozmywają się w ciemnościach, pozostawiając po sobie jedynie migoczący blask księżyca i głęboką czerń moczarów... Ach, i jeszcze miliony maleńkich latających stworzeń, które bezustannie kłują nas z zaciekleścią piranii.

Twój
Robert

?

??

???

????

Droga Żabko!

Jak widzisz, na tym liście nie ma adresu zwrotnego, a to dlatego, że jeszcze nie znajdujemy się na miejscu. Tutaj – na tym nie-miejscu – wszystko jest postawione na głowie: drzewa rosną na wodzie z taką swobodą, jakby były na suchym lądzie, ryby natomiast chyba zapomniały, że są stworzeniami podwodnymi, i wyskakują ponad błotne równiny, zapewne umykając przed krokodylami, które spędzają w wodzie więcej czasu niż wspomniane rybki.

Nasza łódź nie ma więcej niż 20 stóp długości od mosiężnego dzioba do mahoniowej rufy. Jadamy na zewnątrz, pod specjalnym zadaszeniem, w towarzystwie kapitana i jego bosmana, Rosjanina. Posuwamy się powoli. Brniemy pod prąd szerokiego, ciemnego jak mokka mulistego strumienia, który zdaje się w ogóle nie poruszać, a raz na jakiś czas raptem wyrzuca z siebie zatopione konary i z niezwykłą prędkością popycha je w stronę morza. Czasem mijamy jakąś wioskę, a wtedy tubylcy wychodzą na brzeg i z ciekawością się nam przypatrują. Powiedz Adzie, że spinanie włosów do tyłu nie jest właściwym sposobem zainteresowania sobą przyszłego męża. Tutaj wybija się dwa przednie zęby,

smaruje czaszkę farbą w kolorze ochry i rozgrzanym nożem wycina zygzakowaty wzór na czole. Taka kobieta jest uważana za atrakcyjną i proszona do wszystkich tańców. Te odbywają się prawie codziennie przy akompaniamencie wesołych rytmicznych melodii, którymi niewiele brakuje do Wagnera. Wszystkie dzieci mają wielkie brzuchy, jakby je napompowano.

Co do mnie. to wyglądam prawie jak Arab – przed wyjazdem z Adenu u miejscowego golibrody ściałem krótko włosy. Teraz jestem prawie łysy. jeśli nie liczyć jednego kosmyka na potylicy, za który Mahomet wciąga nas do siebie w dniu Sądu. Hector wzdycha na mój widok i nazywa mnie „zwariowanym szczeniakiem”. Co oczywiście jest prawdą.

*Twój zwariowany
Abu Wally (tak nazywa mnie Kuma!
Podejrzewam, że to po arabsku „pan Wallis”)*

*Zeilah,
lipiec*

Najdroższa Emily!

Nie mam słów, by wyrazić, jak bardzo mi Ciebie brakuje. Piąt lat to bardzo długo – gdy sięgam myślą wstecz do tego krótkiego okresu, kiedy byliśmy razem, do tych dni, kiedy smakowaliśmy kawę w gabinecie Twojego

*ojca, czas rozłąki jawi mi się prawdziwą wiecznością. Czy po upływie połowy dekady będziesz mnie jeszcze pamiętała? Czy nadal będziemy śmiać się z tego samego? Przepraszam, jeżeli wydaję się przygnębiony, po prostu tutaj wszystko, co zostało w Londynie, zdaje się snem, bardzo niewyraźną, odległą fantazją. Nieraz zastanawiam się nawet, czy w ogóle wrócę... wiem, że ka-
załaś mi myśleć pozytywnie, ale wierz mi, czasem nie-
możliwością jest nie ponarzekać.*

Te ponure myśli zapewne częściowo wynikają z tego, co się wydarzyło po naszym przybyciu. Przystań ma tylko jedno molo i to bardzo rozklekotane. Podczas wyładunku jedna ze skrzyń jakimś sposobem wpadła do wody. Były w niej moje książki, najlepsze ubrania i filizanki od Twojego ojca. Książki wyschły, choć niektóre kartki się pozlepiały. Ubrania dużo gorzej zniosły tę próbę: wszystko, co z aksamitu, wydziela teraz charakterystyczną woń pleśni. Na szczęście potrzaskało się tylko sześć filizanek – staram się traktować to jako dobry znak.

Dzisiaj otworzyłem buteleczki z naszego „Przewodnika” i wąchałem zapachy, które najbardziej kojarzą mi się z domem – jabłka, imbir, róża herbaciana, orzechy... Próbowałem odtworzyć Twój zapach: perfumy Jicky, których czasem używałaś – mieszankę lawendy, rozmarynu i bergamotki. Trochę się przy tym chyba rozkleiłem. Przez kilka minut płakałem jak dziecko.

Najdroższa Emily, proszę, nie miej mi za złe, że za Tobą tęsknię. Jutro zapewne będzie lepiej.

Twój kochający
Robert

DWADZIEŚCIA TRZY

„Delikatny” – oddziałujący na zmysły w subtelny i przyjemny sposób.

Rose Pangborn,

Principles of Sensory Evaluation of Food

Emily siedzi przy stole i przepisuje cyfry ze sterty rachunków do księgi rachunkowej. Leżące przed nią dowody świadczą użyteczności „Przewodnika”. Pinker kupuje więcej kaw wysokiej jakości niż kiedykolwiek – głównie gatunki mokki marakaibo. Wiele kaw z regionów wcześniej uważanych za najlepsze okazało się towarem marnej jakości: Jamaica Blue Mountain jest słaba i wodnista, a Monsooned Malabar, tak ceniona przez smakoszy, ma nieprzyjemny zapach, inne obszary wydały prawdziwe klejnoty: zwłaszcza Gwatemalę Antiguę z nutą dymu, korzeni, kwiatów i czekolady, pozostawiającą na języku ożywczy smak...

Marszczy czoło. Oprócz tych kaw nabywanych w dużych ilościach jest też wiele towaru z interioru, szczególnie najtańszej kawy African Liberica, gęstej, czarnej, bezwonnej, której *mouthfeel* jest smolisty, bez odrobiny kwasowości. Można ją zbierać za bezcen i istotnie na rynku jest jej obecnie nadmiar. Żaden szanujący się kupiec nie magazynowałby jej, chyba że...

Pinter oprowadza po magazynie gościa – dobrze ubranego mężczyznę o bystrym wzroku i serdecznym uśmiechu.

– O, Emily, tu jesteś! Brewer, przedstawiam panu moją córkę.

Mężczyzna wykonuje krok naprzód i ściska jej dłoń.

– Bardzo mi miło panią poznać, panno Pinker. Chyba mamy wspólną znajomą, panią Miliscent Fawcet?

Emily jest zaskoczona, nawet zachwycona.

– Nie znam pani Fawcet zbyt dobrze. Ale jestem członkinią jej Towarzystwa i bardzo ją podziwiam.

– Pan Brewer jest deputowanym z Ealing – wyjaśnia Pinker, – Tak jak mnie, szczególnie interesuje go wolny handel.

Dziewczyna spogląda na gościa z jeszcze większym zainteresowaniem.

– Jest pan liberałem?

– W istocie. I choć obecnie znajdujemy się poza rządem, nie wątpię, że z pomocą postępowych ludzi, takich jak pani ojciec – Pinker kiwa głową z aprobatą – niedługo znowu będziemy reprezentować naszych wyborców. Naszym hasłem będzie wolność... wolność myśli, wolność wydawania zarobków w dowolny sposób, wolność prowadzenia interesów bez ingerencji rządu.

– Zmiana i ulepszenie, czyli ewolucja – przytakuje Pinker – to jedyna droga.

– A czy pańska partia popiera też hasła wolności dla

kobiet? – pyta Emily.

Brewer kiwa potakująco głową.

– Jak pani wiadomo, od pięciu lat co roku zgłaszana jest propozycja ustawy o prawach wyborczych dla kobiet i co roku zostaje odrzucona przez torysów. To nadużycie, z którym mamy zamiar skończyć.

– Ale najpierw to, co najważniejsze, prawda, panie Brewer? – wtrąca Pinker. – Wolny handel, sprawy społeczne.

Brewer zwraca swój ciepły wzrok w stronę Emily. Przez chwilę między nimi przeskakuje coś jakby iskra rozbawienia – może przyznanie, że taki jest świat, że wielkie idee trzeba urzeczywistniać drobnymi kroczkami.

– Najpierw musimy wejść do rządu – mówi bardziej do niej niż do jej ojca. – A do tego potrzebujemy wsparcia przedsiębiorców. Czyli tak, przede wszystkim wolny handel. Niestety, ci, którzy nie mają praw wyborczych, nie pomogą nam zdobyć władzy, którą możemy wykorzystać w ich interesie.

Zatrzymali się przy drzwiach. Najwyraźniej wizyta Brewera dobiegła końca. Ojciec Emily chce przejść do kolejnych zajęć, lecz ona i parlamentarzysta ociągają się.

– Może jeszcze kiedyś o tym porozmawiamy – proponuje Brewer.

– Chętnie – zgadza się Emily. – Będzie mi bardzo miło. – Patrzy na ojca.

– Co? Ach, tak... musisz przyjść do nas na kolację,

Arthurze. Mamy wiele spraw do omówienia.

* * *

– Zamierzasz więc wspierać finansowo liberałów? – Emily zwraca się do ojca po wyjściu gościa.

– Tak. Wygląda na to, że to jedyny sposób zdobycia wpływów. A oni potrzebują funduszy, jeśli mają odsunąć torysów od władzy. Co ty na to?

– Moim zdaniem to wspaniały pomysł. Ale do czego potrzebne nam wpływy?

– Tak jak podejrzewaliśmy – krzywi się Pinker – Howell przyłączył swoje plantacje do syndykatu. Teraz może spekulować cenami. Nawet z „Przewodnikiem” nie staniemy się konkurencyjni.

– I ten pan Brewer może pomóc?

– Liberalny rząd nie bardziej niż my będzie chciał, żeby na rynku rządziło kilku bogaczy.

– Jak temu zapobiegną?

– Wydając odpowiednie ustawy, jeśli to będzie konieczne. Ale w krótszym czasie... – uważnie wpatruje się w córkę, wiedząc, że ona zrozumie wagę tego, co ma jej do powiedzenia – pan Brewer jest przekonany, że pomogą nam w rozbiciu karteli.

– Naprawdę?

– Ich interesuje kwestia wolnego handlu. Już starają się o miejsca w kluczowych komisjach utrzymujących

więzi dyplomatyczne z sąsiadami Brazylii.

Emily wzdycha.

– Od tego jednak daleka droga do filiżanki dobrej kawy.

– Tak, ale to chyba jedyny sposób prowadzenia interesów: przechodzenie od drobnych spraw do większych.

Emily przypomina sobie, o co chciała zapytać.

– Czy ma to coś wspólnego z tą tanią kawą Liberica, którą ostatnio kupujesz?

– Ach, w pewien sposób tak – odpowiada. – Chodźmy do gabinetu.

* * *

Pół godziny później wciąż siedzą przy dużym stole, przy którym kiedyś pracowała z Robertem. Przed nimi leży otwarty „Przewodnik”, a wokół niego tuzin zużytych filiżanek świadczących o tym, że testowali różne próbki.

– No więc widzisz – mówi Pinker – że „Przewodnik” pełni podwójną funkcję. W ostatnich tygodniach Robert wykonał dobrą robotę, jeśli chodzi o mieszanki. – Spogląda na córkę: temat Roberta wciąż nie jest jej obojętny. Wskazuje na jedną z filiżanek. – Weź tanią, zwykłą kawę jak ta, określ jej braki, potem dodaj odpowiednią ilość tych gatunków z „Przewodnika”, które tu widzisz –

mchem ręki pokazuje kilka innych filiżanek – i otrzymujesz kawę, która nie ma dostrzegalnych wad.

– Nie ma też szczególnych zalet – zaznacza Emily.

– Racja, ale samo to może być zaletą. Widzisz, Emily, ludzie nie zawsze sami wiedzą, jaki smak kawy właściwie lubią. Dla ciebie i dla mnie będzie to zapewne kawa afrykańska, bogata wyrazista. Ale inni wolą mocniejszy, pełniejszy smak południowoamerykańskiej. Robert, o ile mi wiadomo, lubi delikatne mokki kawy jemeńskie, ale dla wielu są one zbyt kwiatowe. Mieszając kawę zgodnie z zasadami „Przewodnika”, możemy wyeliminować te wszystkie cechy, przez które klienci powstrzymują się przed kupnem Castle. Osiągniemy kawę, która nie ma przeciwników. Taką, której smak będzie jednolity, niezależnie od tego, jakiego użyjemy gatunku. I to przy dużych oszczędnościach.

– Robert raczej nie ucieszyłby się z tych słów.

– Robert nie jest biznesmenem. – Spogląda na nią z uwagą. – Wiesz, że miałem powód, by go odesłać, i chodziło nie tylko o pieniądze.

– Tak, wiem.

Nie patrzy ojcu w oczy. Na jej policzkach pojawiają się rumieńce.

– Gdy odległość ostudzi twoje uczucia – mówi Pinker cicho – może uznasz, że to człowiek nie dla ciebie. Jeśli tak będzie... Nie masz wobec niego żadnych zobowiązań.

– Nie wycofam się z naszej umowy, ojcze.

– W sprawach serca, jak w interesach, musimy robić to, co dla nas najlepsze. Niekoniecznie to, co zaplanowaliśmy. Na tym polega wyrozumiałość: na zrozumieniu, co dla danej osoby jest dobre.

Emily nie odpowiada. Zamiast tego sięga po „Przewodnik”, przesuwa palcem po zakorkowanych fiolkach i wybiera jedną. Wyjmuje ją, otwiera, wdycha woń w nozdrza.

– Rozumiem – mówi. – W zasadzie masz rację, ojciec, doradzając mi ostrożność. I obiecuję, że nie podejmę pochopnej decyzji.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Zeilah,
31 lipca

Drogi Huncie!

Już od trzech tygodni tkwimy w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze. Dopiero teraz doceniam, jakim rajem był Aden – może był to śmietnik, ale całkiem porządny, dobrze zaopatrzony, zorganizowany, z porządnymi budynkami i regularnymi odstępami między nimi, które nawet można by nazwać ulicami. Tutaj są tylko chaty, błoto i duszące tumany suchego czerwonego pyłu. Zapach tego pyłu – pieprzowy, cierpki, skórzany, lekko zjełczały – to jak się zdaje zapach Afryki: mam wrażenie, że na trwałe wżarł mi się w nozdrza.

Tutejsi mieszkańcy to Somalijczycy, ale rządzą nimi przedstawiciele innego plemienia, zwani Danakilami, którzy kontrolują szlaki handlowe. Danakilowie są uzbrojeni we włócznie lub miecze i noszą naszyjniki z dziwnych pomarszczonych kulek, które wyglądają jak suszone daktyle, a w istocie są jądrami ich wrogów. Właśnie tak: karą za najdrobniejsze przewinienie – powiedzmy zwłokę w spłacie rachunku – jest odcięcie mieczem rodowych klejnotów. W porównaniu z tym los cudzołożnic wydaje się łżejszy – te są karane ukamienowaniem. Całe to miejsce jest we władaniu dzikusa zwanego Abu Bekrijego jedenastu synów. Słowa dzikus

nie używam bynajmniej na określenie przynależności etnicznej: ten człowiek osobiście wypatroszył setkę ludzi, a o jego okrucieństwie krążą legendy. Nie muszę chyba dodawać, że nie możemy się stąd ruszyć bez jego zgody.

Co kilka dni jesteśmy prowadzeni na jego dwór – sic! obszar czerwonej ziemi otoczony palisadą, który pełni funkcję królewskiego dworu i farmy. Ten starszy mężczyzna z wąską bródką leży pod baldachimem na stercie zwierzęcych skór. Nawet z daleka czuć, jak śmierdzą kozami. Nosi brudną białą szatę i olbrzymi turban. Za nim stoi jeden bądź dwóch Somalijczyków, w nieco czystszych szatach, i odganiają owady od jego głowy czymś, co trochę przypomina miech do rozpalania ognia. W lewej dłoni dzikus trzyma sznur modlitewnych koralików, które stale grzechoczą mu pod palcami, a prawą dłubie w zębach wykałaczką. Jego oczy są puste i znudzone – oczy tyrana. Podczas rozmowy raz na jakiś czas splota cicho bez ostrzeżenia, nie przejmując się tym, gdzie trafi. Jeśli akurat jest się u niego w łaskach, częstuje kawą – wyborną kawą w maleńkich filizankach, nalewaną przez kawedżabuczi, który cały czas stoi w pogotowiu, dzierżąc pod pachą dzbanek z małym dziobkiem. Na wszystkie pytania dotyczące karawany Abu Bekr odpowiada: „Inszallah” – jak Allah da. Oczywiście znaczy to: „Jeśli rai się spodoba”. A co mu się spodoba? Nie wiemy. Czekamy na coś – jakiś znak, żądanie. Kiedy pytamy Abu Bekra, czego trzeba, byśmy mogli ruszyć w dalszą podróż, marszczy czoło; gdy pytamy o to jego dworzan, wzruszają ramionami i powtarzają: „Niedługo, inszallah, już niedługo”.

Czasem, gdy nie jesteśmy w laskach lub gdy Abu Bekr chce się z nami zabawić, nie dostępujemy nawet zaszczytu zostania oplutymi, lecz każe się nam stać i obserwować dworskie życie, aż on pozwoli nam odejść. Mówi się, że jest wobec nas pozytywnie nastawiony, że to niekończące się oczekiwanie to czysta formalność, jak kolejka na pocztę. Będzie się jeszcze musiał odbyć harour, czyli zgromadzenie starszych, którzy rozpatrzą nasz wniosek. Trudności związane ze zwołaniem zgromadzenia stają się dla Abu Bekra usprawiedliwieniem braku jakichkolwiek działań. To i tak fikcja: wszyscy wiedzą, że on sam podejmuje decyzje.

Tymczasem zajmujemy się organizowaniem karawany. Udało się nam pozyskać pomoc Desmonda Hammonda, byłego wojskowego, który obecnie zbija majątek na handlu kością słoniową i innymi towarami. On i jego partner. Bur o imieniu Tatts, znikają czasem na tydzień, uzbrojeni w strzelby Remington i Martini-Henry, a gdy wracają, ich wielbłądy objuczone ogromnymi kłami wyglądają jak jakieś zmutowane mastodonty, które nawet Darwinowi wydawałyby się dziwaczne.

Inna ciekawostka: tutaj nie da się kupić seksualnych usług kobiety. Nie dlatego, że mają jakieś skrupuły, raczej odwrotnie – wszystkie kobiety w odpowiednim wieku zostały już kupione. Ponieważ mężczyzna może mieć dowolną liczbę żon, bogaci kupują je, gdy tylko przyjdzie im na to ochota. Hammond mówi, że zanim tutejsza kobieta osiągnie dojrzałość, zostaje obrzezana. Na po-

czątku trudno mi było to zrozumieć i nawet gdy to piszę, czuję oburzenie. Inaczej jest w głębi kraju, dokąd zmierzamy. Wśród ludu Galla kobieta może mieć kochankę, nawet gdy jest mężatką: jeśli przed jej chatą pozostawiona jest włócznia, żaden mężczyzna – łącznie z jej mężem – nie może wejść. Nie mogę się oprzeć refleksji, że taki porządek wydaje się lepszy od zwyczajów pseudo-cywilizacji na wybrzeżu, a także wypada korzystnie w porównaniu z naszymi obyczajami.

Czy to nie dziwne, że po przebyciu takiej odległości zobaczeniu tylu rzeczy człowiek zastanawia się nie nad tym, co dla niego nowe i ciekawe, lecz nad tym, co pozostawił za sobą – starego i ciekawego, że tak się wyrażę. Jak brzmiał ten wers z Horacego, który wbijano nam w szkole do głów? „Coelum non animum mutant qui trans mare currunt” – niebo, a nie duszę zmieniają ci, co żeglują po morzach. Zastanawiam się, czy to prawda.

Pozdrawiam

Wallis

Zeilah,

2 sierpnia 1897

Najdroższa Emily!

Mamy nadzieję wkrótce opuścić to miejsce. Ibrahim Bey, handlarz kawą, zmierza do Zeilah i zgodnie z najświeższymi doniesieniami przybędzie tu za kilka dni. Liczymy na to, że z jego pomocą uda się pokonać admi-

nistracyjne trudności, które nas tu trzymają. Dworzanie Abu Bekra chyba cieszą się wraz z nami: gdy wymawiają imię Beya, na ich twarzach pojawia się uśmiech.

Biedny Hector – wciąż trapi się deszczami. W pewnym momencie myślał o pozostawieniu mnie tutaj i powrocie do Adenu i stamtąd na Cejlon, zanim rozpocznie się pora deszczowa, lecz widocznie Twój ojciec nakazał mu doprowadzić mnie do samego końca podróży. Przyznam, że samotny pobyt tutaj byłby trudny do zniesienia.

Właśnie oglądałem dwa kormorany w tańcu godowym. Zabawny widok. Samiec jest dużo bardziej ja-skrawo...

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Wtedy ją ujrzałem.

Siedzę na pokładzie statku, piszę list, gdy wtem zza zakrętu wyłania się łódź. Arabski żaglowiec wiosłowy – cztery pary wioseł unoszą się i opadają rytmicznie. Oto co widzę:

Potężny mężczyzna w arabskim stroju – białej szacie – siedzi na składanym stołku przypominającym tron. Jedną jego dłoń spoczywa na kolanie, jakby się podparł, gotów w każdej chwili zerwać się na równe nogi. Ta poza sugeruje czujność, gotowość do czynu. Zmysłowa, ciężka twarz wyraża władczość, a głęboko osadzone oczy bacznie lustrują przystań. Ma duże mięsiste wargi, arabski wygięty nos. Za nim stoi Murzyn: wysoki mężczyzna, a raczej wysoki chłopiec, bo w jego czarnej twarzy jest coś młodzieńczego. Stoi niczym wartownik czekający na rozkaz, z dłońmi spoczywającymi na rękojeści olbrzymiego oręza – rodzaju miecza, którego ostrze wbite jest w drewniany pokład – tak jak mieszkaniec Londynu mógłby położyć obie dłonie na lasce.

Z drugiej strony Araba stoi dziewczyna.

Szafranowo-żółta szata osłania jej sylwetkę od ramion po kostki. Twarz poniżej chusty związanej na głowie jest delikatna, pięknych rysach przypominających Hindusów, a ciało... gdy w pewnej chwili powiew rzecznej bryzy porusza jej szatę, widzę, że jest silne i gibkie, że dziewczyna stoi wyprężona jak atletka. Jej

uroda zapiera dech w piersiach, jej skóra jest tak ciemna, że gdy pada nań blask światła, lśni srebrzyście jak węgiel.

Słyszę gwizd. Żaglowiec podnosi wiosła sprawnie jak czwórka bez sternika w Eton i dryfuje w kierunku molo. Na brzegu czekają już mężczyźni z linami. Gromadzi się tłum ciekawskich zaczyna się typowa wrzawa. Podpływają do miejsca, w którym przycumowana jest nasza łódź. Dwaj mężczyźni wciąż wpatrują się przed siebie, lecz w chwili gdy łódź nas mija, dziewczyna lekko odwraca wzrok i spogląda wprost na mnie. To spojrzenie działa magnetyzująco – nie mogę oderwać oczu, by się nie wywrócić pod wpływem tego niezwykłego piękna.

Kiedy łódź wpływa do przystani, Arab już stoi. Jest silnej budowy, lecz zwinny, nie potrzebuje żadnej z podawanych mu dłoni, by zejść na ląd. Murzyn idzie za nim, również nie korzystając z niczyjej pomocy, niosąc miecz przed sobą, jak kapłan mógłby dzierżyć krzyż. Za nimi na brzeg schodzi dziewczyna – szybkim, pewnym krokiem. Gdy staje na krawędzi burty, dostrzegam zarysy jej sylwetki otulanej przez zwiewną szatę; przez ułamek sekundy chwieje się na gołych stopach, po czym przeskakuje – a raczej wkracza, nie widać bowiem w tym żadnego wysiłku – na molo, utrzymując równowagę jak kot.

Potem następuje typowy rozgardiasz – tragarze zaczynają rozładunek. Wpatruję się w dziewczynę jak urzeczony. Jej stopy są czarne – tak czarne, że niemal

grafitowe, lecz gdy schodziła z łodzi, mignęła mi różowa skóra podeszwy. Spod luźno związanej chusty wystają zygzakowate kosmyki długich sztywnych włosów. Żółta suknia – można by powiedzieć sari – owiewa ją, gładząc przelotnie to jedną część ciała, to drugą... Dziewczyna przykłada dłoń do głowy, poprawia chustę i widzę, że wewnątrz jej dłoni także jest różowoszare.

Bagaze jeszcze nie zostały wyładowane, ale Arab dudniącym głosem już wydaje rozkazy i cała trójka, wciąż w tym samym szyku, kieruje się w stronę wioski, do dzielnicy królewskiej. Patrząc na żółtą szatę pośród innych czarnoskórych – sposób, w jaki dziewczyna się porusza, tak bardzo różni ją od nich: jej ruchy są silne, lekkie, zwinne, ramiona ściągnięte jak do biegu. W mojej głowie coś zaskakuje, klucz obraca się w zamku, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem. To uczucie jest całkiem wyraźne, nie ma co do tego wątpliwości, chociaż nie mogę stwierdzić, czy zamek się otwiera, czy zamyka. Zdaję sobie sprawę, że wstrzymałem oddech; gdy go uwalniam, wydaję odgłos, jakbym chciał zaczerpnąć tchu. Patrząc w dół. W dłoniach ściskam niedokończony list do Emily. Zgniatam go i wrzucam do wody, gdzie obraca się dwukrotnie, po czym zaczyna dryfować najpierw powoli, później coraz szybciej, z czarnym, milczącym prądem w stronę morza.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

„Pikantny” – w przyjemny sposób pobudzający podniebienie. Przyjemny, cierpki, ostry lub gryzący; kwaskowaty.

Rose Pangborn, Principles of Sensory Evaluation of Food

Siedzę tu jeszcze pół godziny później, gdy wraca Hector.

– Wzywają nas – mówi. – Ibrahim Bey przybył i chyba ten przeklęty czarny król wreszcie z nami porozmawia.

– Dobrze, że w końcu coś się dzieje.

– To zwykłe zuchwalstwo, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Podnoszę się z krzesła i chcę zejść na ład, lecz on mnie zatrzymuje.

– Chyba powinniśmy to zrobić z wielką pompą. Nie jesteśmy tutaj prywatnie, jak to złodziejskie nasienie Hammond. Jesteśmy przedstawicielami brytyjskiej gospodarki. Nawet jeżeli nie uszanuje ludzi, może uszanuje chociaż to.

Tak oto wchodzimy na dwór Abu Bekra – pomniejszego tyrana zabitej dechami dziury na końcu

świata – przyodziani w tyle symboli władzy, ile udało nam się zgromadzić. Fraki, muszki, szarfy i w wypadku Hectora dostojny biały kapelusz z czerwonymi piórami kakadu. Afrykanie patrzą na nas, nie kryjąc zdziwienia. Podejrzewam, że według nich po prostu w końcu zaczęliśmy się ubierać odpowiednio, jak plemiona z interioru.

Abu Bekr leży wyciągnięty na kanapie i je daktyle.

Ibrahim Bey stoi przed nim. U stóp tyrana leży srebrna taca. Na niej sterta liści – może to jakieś korzenie albo narkotyk, dar od kupca dla króla. Obok Beya stoi Murzyn. Rozglądam się za dziewczyną, lecz nigdzie jej nie widać.

Zostaliśmy dostrzeżeni i oto zaprasza się nas gestem. Abu Bekr dokonuje prezentacji w języku, którego nikt z nas nie rozumie. Jego gesty są natomiast zupełnie jasne. Bey, Hector ja ściskamy sobie dłonie. Król ponownie zabiera głos; pojawia się dokument; król zanurza królewską pieczęć w tuszu i przykłada ją do papieru, rozpryskując przy tym tusz na swoje ubranie. Następnie, bez cienia uśmiechu, wyciąga dłoń w moją stronę. Chwytam ją: jest szorstka jak u trędowatego, lecz mimo to ją ściskam. On wpatruje się we mnie z wściekłością. Możemy odejść.

– Długo tu jesteście? – pyta Bey troskliwie, gdy już wyszliśmy na zewnątrz. Jakbyśmy dotarli lekko spóźnionym pociągiem.

– Prawie miesiąc – gniewnie odpowiada Hector.

– Aha, to nie jest źle. – Bey się uśmiecha. – Miło was

poznać. Pan to zapewne Crannach. A pan – zwraca się do mnie – to Robert Wallis.

– Skąd pan wie?

– Mój przyjaciel Samuel Pinker napisał mi, że przybywacie do Afryki. Prosił o udzielenie wam wszelkiej pomocy – skłonił głowę – co z przyjemnością czynię.

– Co spowodowało to opóźnienie? – pyta Hector.

– Jakie opóźnienie?

– Czemu jego królewska niskość kazał nam czekać tak długo?

– Na dużej twarzy Ibrahima Beya pojawia się uśmiech zdumienia.

– Nie wiem. Ale jeszcze musi się zebrać rada starszych. Czy macie dla nich dar? Ja wziąłem na siebie Abu Bekra.

– Dar? – krzywi się Hector.

– Dwie kozy powinny wystarczyć.

– Nie mamy żadnych kóz – zauważam.

– A nawet gdybyśmy mieli – mówi Hector z powagą – nie wymienilibyśmy ich na zezwolenie na podróżowanie po kraju, po którym i tak mamy prawo swobodnie się poruszać jako poddani Jej Królewskiej Mości Królowej Brytyjskiej.

– Oczywiście – podejmuje Ibrahim Bey z namysłem – nie ma żadnego obowiązku ofiarowywania czegokolwiek. – Mruga porozumiewawczo w moją stronę. – Ale

może się okazać, że ugrzęźnicie tu na bardzo długo, jeśli tego nie zrobicie.

– Poza tym moim zdaniem – dodaje Hector – kiedy biały człowiek posuwa się do łapówki, utrudnia sytuację każdemu białemu, który przyjdzie po nim.

– W takim razie mam szczęście, że nie jestem biały... a przynajmniej nie całkiem – odpowiada Bey. Ma, jak zauważam, wiele uroku: ktoś inny mógłby się poczuć urażony tonem Hectora, nie wspominając o treści jego wypowiedzi, a Ibrahim Bey zachowuje się, jakby to był dobry żart. – Ale zakładając, że rada starszych wyda pozwolenie, czy podzielicie się ze mną kosztami karawany? Ja również muszę dostać się do Hararu, a im większa grupa, tym mniejsze ryzyko.

– Czemu? Czy to niebezpieczne? – pytam.

– Taka podróż zawsze jest niebezpieczna, przyjacielu. Poza obszarem Abu Bekra – na te słowa Hector prychnął z pogardą – wszyscy walczą ze wszystkimi. Menelik, cesarz Abisynii, walczy z Włochami i chce podbić lud Galla. Galla walczą z innymi plemionami, Egipcjanie prowokują spory, gdzie się tylko da, w nadziei że ktoś poprosi ich o wkroczenie. Ale my mamy broń i glejt podpisany przez Abu Bekra oraz nasze paszporty. Musielibyśmy mieć prawdziwego pecha, żeby zginąć.

To niezwykle, lecz gdy skończył tę przemowę, w której przedstawił czyhające na nas niebezpieczeństwa, poczułem się pewniej. Na tym przypuszczalnie polega charyzma tego człowieka i pod tym względem

przypomina mi trochę Samuela Pinkera.

– Nikogo nie będziemy przekupywać – powtarza Hector z uporem.

– Daje pan napiwki tragarzom i kelnerom – spokojnie mówi Bey – czemu więc nie królowi lub wodzowi?

– Napiwek dajemy po fakcie – odpowiada Hector – a łapówkę przed.

– A więc niech będzie. Dar w postaci dwóch kóz do wręczenia *po* spotkaniu. Jestem pewien, że zaufają waszej obietnicy: Anglicy zazwyczaj dotrzymują słowa. – Bey klaszcze w dłonie. – A teraz, panowie, zapraszam na kawę. Mój obóz jest na wzgórzu, tam jest nieco chłodniej.

– Muszę się zająć przygotowaniem – mówi Hector z niechęcią.

Bey spogląda na mnie.

– Dziękuję. Będę zaszczycony.

– Typowy Arab – mruczy Hector pod nosem, gdy Bey oddała się w stronę wzgórza. – Chce z nami podróżować tylko dlatego, że wie, iż nikt się nie ośmieli zaatakować brytyjskiej karawany. Gotów jestem się założyć, że zapłacił Abu Bekrowi, żeby nas tu przetrzymał.

* * *

Idąc przez obóz, widzę tragarzy noszących wodę, kawałek dalej kogoś, kto obdziera kozę ze skóry. Jeden

namiot w centrum jest większy od pozostałych. Przed nim stoi czarny młodzieniec, obserwując grupę kobiet zajętych gotowaniem przy ognisku. Na mój widok w milczeniu uchyla klapę wejścia i gestem zaprasza do środka.

Wewnątrz na ścianach wiszą ozdobne jedwabie, a na ziemi leżą dywany. W powietrzu unosi się cierpki, korzenny zapach, jakiś rodzaj kadzidła – później dowiem się, że to mirra. Pośrodku, po obu stronach niskiego stołika, stoją dwa stołki w kształcie tronu.

– Witam, Robercie.

– Bey wyłania się z drugiego pomieszczenia. Zdażył się już przebrać. Teraz ma na sobie zwiewne bawełniane spodnie, koszulę z tego samego materiału i kamizelkę z wzorzystego jedwabiu. Mimo swojej postury nie porusza się ciężko – podchodzi do mnie szybko i w geście powitania kładzie mi dłonie na ramionach.

– Witam – powtarza. – Samuel pisał mi o pańskim wkładzie w powstanie „Przewodnika”. Nie mogę się doczekać tego wspaniałego systemu. Lecz najpierw... zawsze na pierwszym miejscu... kawa. Czy spotkał się pan już z jej podawaniem na sposób abisyński?

– Chyba nie.

Uśmiecha się.

– Mulu! Fikre!

Do namiotu wchodzi znany mi już Murzyn i zamieniają z Beyem kilka słów po arabsku. Bey wskazuje jeden ze stołków.

– Proszę siadać – mówi do mnie.

Sam siada na drugim stołku i mi się przygląda. Po chwili wchodzi dziewczyna. Jej widok sprawia, że przez sekundy odczuwam zawrót głowy. Szata, którą ma teraz na sobie, jest ciemniejsza, prawie brązowa, i kończy się na wysokości bioder. Niżej są spodnie z jasnego jedwabiu obszywane perłami. Pa jej ręce wije się niczym wąż długa miedziana bransoleta. Dopiero teraz mogę się przyjrzyć jej oczom. Są niezwykle jasne – jedyny jasny element w tej delikatnej, ciemnej jak stal twarzy. Może płynie w niej krew europejskiego żeglarza. Te jasne, prawie szare oczy spotykają się na moment z moimi – przez tę chwilę bez końca patrzą na mnie nieodgadniwym wzrokiem – i osuwają się w dół, ona bowiem klęka i zapala kadzidło. Namiot wypełniają smugi wonnego dymu. Usta dziewczyny są ciemnofioletowe, niemal czarne – przypominają owoc granatu.

– Ceremonia kawy – mówi Bey – obejmuje trzy filiżanki: *abol*, *tona* i *baraka*, które wypija się jedną po drugiej. Pierwsza jest dla przyjemności, druga pobudza do kontemplacji, a trzecia sprowadza błogosławieństwo. Abisyńczycy wierzą, że dzięki temu osiągają swoistą przemianę duchową.

Murzyn wraca z miedzianą tacą. Na niej znajdują się różne utensylia: filiżanki, czarny gliniany dzbanek, miszek ściągany sznurkiem, serwetka i talerz z jakimś różowym płynem. Dziewczyna macza serwetkę w talerzu i klęka przede mną. Samo spojrzenie na jej twarz sprawia, że mam ochotę wzdychać z rozkoszy.

Wyciąga dłonie i tą wilgotną wonną serwetką przeciera mi twarz. Przesuwa ją po czole, zamkniętych powiekach, policzkach. Aromat wody różanej, słodki, intensywny, wypełnia mi nozdrza. Przez serwetkę czuję jej palce. Dotyk jest zmysłowy, delikatny, lecz dziwnie bezosobowy. Idealna twarz jest tuż-tuż nagle się odsuwa. Dziewczyna pociąga za sznureczki mieszka i obiema dłońmi unosi go w moją stronę.

– Teraz musisz powąchać ziarna, Robercie – mówi Bey.

Biorę od niej woreczek i przysuwam do nosa. Natychmiast poznaję, że to te same ziarna, na które natknąłem się w Londynie, albo bardzo podobne. Wiciokrzew... lukrecja... dym z drewna... jabłko.

– Piłem już tę kawę – mówię. – Sprzedał ją pan Pinkerowi.

Bey się uśmiecha.

– Dobrze cię wyszkolił. To kawa z terenów wokół miasta Harar... z ziem, na których założysz swoją plantację.

– Czy ma jakąś nazwę?

– Wiele nazw i żadnej, zależnie od miejsca. Świat nazywa ją mokką, choć jak zauważyłeś, różni się od mokki z mojego kraju. Jest przywożona do Hararu tym samym starożytnym szlakiem niewolników, którym będziemy podróżować.

Patrzę na niego zdumiony.

– Nie wiedziałeś? Tak, szlak, którym będziemy

wędrować przez pustynię, to ten sam, którym od wieków transportuje się niewolników. Właśnie to, a nie tyko kawa, jest źródłem bogactwa Hararu i przyczyną, dla której przybysze z zewnątrz nie zawsze są mile widziani. Te dwie gałęzie handlu... kawą i niewolnikami... łączą się ze sobą na wiele sposobów.

Przez chwilę milczy. Ziarna syczą w dzbanku podczas palenia. Dziewczyna miesza je drewnianą łyżką rytmicznymi ruchami. Jej palce są smukłe, długie, z wierzchu prawie czarne, a po wewnętrznej stronie dłoni niemal tak jasne jak u Europejczyków.

– Jak to? – pytam.

– Żeby nie zasnąć podczas podróży nocą, handlarze niewolników jedli ziarna z krzaków *kaffa* wymieszane z masłem. W regionach o łagodniejszym klimacie odrzucane ziarna znaczyły miejsca postoju handlarzy. Tam gdzie zapuściły korzenie, wyrastały nowe krzewy.

– Czyli to, że handlarze się zatrzymywali, było szczęśliwym zrzędzeniem losu.

– Nie dla schwytanych. Właśnie na tych postojach chłopców kastrowano. Później wkopywano ich po pas w gorący piach, by przyżgnąć ranę. Zdarzało się, że rany uległy zakażeniu wtedy pozostawiano takiego nie-szczęśnika na pustyni, gdzie umierał w męczarniach.

Mimo upału przeszył mnie zimny dreszcz.

– Ale to już przeszłość.

Bey milczy. Ziarna osiągnęły stan nazywany pierwszym pęknięciem – pękały i skwierczały

w glinianym dzbanku. Dziewczyna przesypuje je na tacę. Zapach się nasila. Przypiekany ziegieć, popiół, dym palonego torfu – a ponad tym wszystkim dominuje słodki, miodowo-kwiatowy aromat. Dziewczyna wyřęcza mi tacę i wdycham ten głęboki zapach charakterystyczny dla prażenia.

– Dobrze – zwracam się do niej uprzejmie. Jej piękna twarz pozostaje bez wyrazu, jak maska.

– Widzę, że ona nie rozumie – mówię do Beya, pokazując tacę.

– Mylisz się, Robercie. Fikre zna siedem języków, w tym francuski, angielski, amharski i arabski. Nie przemówi jednak w żadnym z nich bez mojego pozwolenia. – Przykłada tacę do twarzy i zaciąga się głębooko. – Ach!

Patrzę w oczy dziewczyny. W ułamku sekundy dostrzegam w nich krótkie porozumiewawcze spojrzenie i coś jeszcze: jakby rozpacz, wezwanie, niemą desperacką prośbę.

Marszczę czoło, jakbym mówił: Nie rozumiem.

Ona przez chwilę się waha. Potem w ledwie dostrzegalny sposób wzrusza ramionami. Nie mogę powiedzieć.

Przenoszę wzrok na Beya. Czemu? Z jego powodu?

Drobne, prawie niewidoczne skinienie głową. Tak.

Dziewczyna krząta się przy filizankach. Przytrzymuje je do góry dnem nad dymiącą mirrą, obraca w jedną i drugą stronę, by przesiąkły zapachem. Następnie uciera

ziarna w moździerz – szybko, płynnie. Przesypuje je do srebrnego dzbanka na kawę, zalewa wrzątkiem. Bucha kłęb pary. Zapach rozchodzi się niczym dźwięk fanfar: ekstatyczna, radosna mieszanka wiciokrzewu i korzeni, lilii i limonki.

Dzbanek ma długi wygięty dziobek przypominający dziób kolibra. Dziewczyna cienką stróżką nalewa kawę do dwóch filiżanek. Podając mi jedną, pochyla się tak, by osłonić nasze dłonie przed wzrokiem Beya. Czuję, jak coś niepostrzeżenie wsuwa mi się między palce – coś małego i twardego. Unosząc filiżankę do ust, ukradkiem spoglądam w dół.

W mojej dłoni leży samotne ziarno kawy.

Co to znaczy? Próbuję nawiązać z nią kontakt wzrokowy, lecz ona unika moich spojrzeń. Piję swoją kawę. Jest tak samo dobra jak wtedy, kiedy ostatnio piłem ją w Limehouse, a może nawet lepsza: tym razem czuję zapach mirry i wody różanej, moje zmysły buzują od upału, kadzidła i obecności tej dziewczyny.

Druga filiżanka jest nieco inna – kawa była dłużej moczona, smak jest głębszy, *mouthfeel* gęsty. Obserwuję, jak dziewczyna się porusza, jak zwiewna szata opływa jej ciało, gdy kuca. Ma biodra wąskie jak gepard, w jej ruchach widać kocią płynność i sprężystość. Najwyraźniej uznała, że ryzykuje zbyt wiele – teraz unika mojego wzroku nawet wtedy, gdy zanurza serwetkę w wodzie różanej i obmywa mi twarz przed podaniem następnej filiżanki. Jednakże zauważam, że jej dłoń ociąga się nieznacznie, gdy przesuwana po mojej skórze

wilgotną materię.

Serwetka wypada jej z rąk. Oboje łapiemy ją jednocześnie. Nasze palce się stykają. Jej źrenice rozszerzają się przerażone.

Proszę, bądź ostrożny.

Ściskam jej dłoń uspokajająco. Nie bój się. Zaufaj mi. Czekaj.

* * *

Bey tymczasem rozprawia o kawie. Omawiamy różne metody obróbki – mokrą i suchą.

– Jeśli tylko zdołasz, Robercie, stosuj metodę mokrą: poszczególne partie są bardziej jednolite i mniej towaru się psuje.

Mówi też o Hararze:

– Wywiezienie kawy jest trudne, ale to się zmieni. Menelik wspomina o zbudowaniu kolei od wybrzeża do Dire Dawa. Przybyłeś w samą porę: wkrótce zaczną tu powstawać wielkie fortuny.

Trzecia filiżanka – *barnka*. Teraz kawa jest słonawa: parowanie ją zagęściło. Dziewczyna odświeża napój gałązką rośliny, która smakuje jak imbir.

– Czy wiesz, Robercie, co to jest? – pyta Bey, biorąc gałązką do ręki i wdychając jej zapach.

Kręcą przecząco głową.

– *Tena adam*. Abisyńczycy wierzą, że to afrodyzjak. Ceremonia kawy ma wiele znaczeń. Między przyjaciółmi jest to gest przyjaźni, między handlowcami, jak w naszym wypadku, oznaka zaufania, a między kochankami to rytuał innego rodzaju. Kiedy kobieta daje mężczyźnie kawę, okazuje mu swe pożądanie.

Palcami lewej dłoni obracam ziarenko: małe, twarde, okrągłe. Czy takie jest jego znaczenie?

– Na tym polega ceremonia kawy. Teraz wiem, że nigdy mnie nie oszukasz. Ha! – Rozlega się jego gromki śmiech.

Fikre zbiera puste filiżanki i układa je ostrożnie na tacy. Przy wyjściu z namiotu, poza zasięgiem jego wzroku odwraca się, by na mnie spojrzeć. Błysk białych zębów, usta barwy granatów, czarna skóra. I znika.

– Jak długo Fikre jest u ciebie na służbie? – pytam, starając się, by moje słowa brzmiały jak najbardziej swobodnie.

Bey patrzy na mnie z uwagą.

– Jest piękna, prawda?

– Tak, chyba tak. – Wzruszam ramionami.

Chwilę milczy, po czym nagle się odzywa.

– Ona nie jest na służbie, Robercie. Jestem jej właścicielem. Jest niewolnicą.

* * *

W pewnym stopniu spodziewałem się tego. A mimo wszystko to dla mnie szok. Jestem zbulwersowany.

– Mówię ci to – wyjaśnia Bey, przeszywając mnie surowym spojrzeniem – bo i tak byś się dowiedział, ale też dlatego, że nie chcę cię okłamywać. Zapewniam cię jednak, że to nie jest tak, jak się zdaje. Któregoś dnia opowiem ci, jak doszło do tego, że ją kupiłem. Ale nie dzisiaj.

– A Mulu?

– Jego też. – Kiwa głową. On jest jej *lala*... służką, obrońcą, damą do towarzystwa.

– Więc on jest...?

– Eunuchem, tak. Został zabrany rodzinie jako dziecko wykastrowany w podróży, tak jak ci to opisałem.

Czuję ciarki na plecach. To mi wyjaśnia dziwny wygląd Mulu: wzrost mężczyzny, pozbawiona zarostu twarz chłopca...

Bey dodaje łagodnie:

– Dla was, Brytyjczyków, niewolnictwo to wielkie zło. Ale tutaj jest inaczej. Nie wystarczy po prostu powiedzieć komuś: „Teraz jesteś wolny, idź do domu”. Dokąd pójda? Nawet gdyby wiedzieli, z jakiego plemienia się wywodzą, nie zostaną tam zaakceptowani, bo nie mają żadnej pozycji. Daję im lepsze życie, niż mogliby się spodziewać w innych okolicznościach.

Kiwam głową. Część mnie jest oburzona tymi słowami. Jednakże inna część jest straszliwie, dziko zazdrosna.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

– Naprawdę – mówi Ada ze złością – wiem, że to twój narzeczony, Emily, ale chciałabym, żeby nie wypowiadał się o mnie tak protekcjonalnie.

Emily wzdycha.

– Chodzi ci o to, co napisał do Żabki o tubylcach i Wagnerze?

– Tak. Mam zamiar mu odpisać.

– Teraz będzie już w Abisynii. Nie wiem, kiedy dotrą do niego listy. Jeszcze nic otrzymałam odpowiedzi na żaden z moich. Poza tym, Ado, podejrzewam, że Robert tylko starał się być zabawny. To go podnosi na duchu.

– Już jest dostatecznie podniesiony na duchu, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Mimo wszystko na pewno nie jest mu łatwo. Jedynie, co możemy zrobić, to okazać mu trochę zrozumienia.

– Łatwo ci mówić. Do ciebie wypisuje słodkie słówka o miłości.

– Prawdę mówiąc – oświadcza Emily z gorzkim uśmiechem – Robert nie jest zbyt dobry w słodkich słówkach. Chyba uważa, że to uszczerbek dla sztuki.

Ada parska pogardliwie.

– Niezbyt go lubisz, prawda? – mówi cicho Emily.

– Po prostu go nie rozumiem. I... – waha się, bo

nielojalność wobec siostry ma swoje granice – dziwi mnie tylko, że on tak ci się podoba.

– To chyba dlatego, że mnie rozśmiesza.

– Jeśli o mnie chodzi – ciągnie Ada chłodno – nie chciałabym, żeby mój mąż był niewyczerpanym źródłem żartów.

Wtedy do gabinetu wpada ich ojciec. W rękach trzyma długi na dwie stopy zwój białej taśmy z telegrafii.

– Kochane! – krzyczy. – Musicie zobaczyć coś niezwykłego!

– Co takiego, ojczy?

– Weźcie płaszcze. Jedziemy na giełdę. Lyle chce przełamać monopol na rynku cukru!

– Ale co to ma wspólnego z nami? – pyta Ada, marszcząc czoło.

– Bezpośrednio nic. Ale jeżeli im uda się to zrobić z cukrem, to my zrobimy to samo z kawą. Cokolwiek się stanie, warto to zobaczyć.

Żadna z dziewcząt nie jest tak przejęta jak on, lecz obie w pośpiechu wkładają płaszcze i kapelusze. Ich ojciec już zatrzymuje taksówkę i wkrótce jadą w kierunku centrum.

– Od wielu lat firma Lyle’a jest w sytuacji podobnej do naszej – wyjaśnia Pinker. – Są dla Tate’a tym samym czym my dla Howella. Ale się nie poddają! Sprzedając swój cukier jako syrop, zaczęli wyrabiać sobie markę. Teraz używają cukru z własnych pól buraczanych we

wschodniej Anglii; mają nadzieję, że to im pomoże przełamać monopol.

– Wciąż nie rozumiem, jak to ma działać – dopytuje Ada.

– Lyle wypuści na rynek za jednym zamachem wielką ilość cukru – wyjaśnia Emily – i syndykat Tate’a będzie musiał go kupić, jeśli chcą utrzymać ceny na sztucznie narzuconym przez siebie poziomie. Potem wszystko będzie już zależało tylko od tego, komu szybciej puszczą nerwy: jeżeli Lyle przestanie sprzedawać, przegra i ceny pozostaną wysokie, jeśli Tate przestanie kupować, to oni stracą i cena spadnie.

– Właśnie tak. – Ojciec nagradza ją uśmiechem. – Tate już jest mocno uzależniony od zbioru plonów. A Lyle ma spore zapasy... To będzie fascynująca rywalizacja.

Po dotarciu na giełdę udają się na galerię dla publiczności. Trochę przypomina teatr, myśli Emily, patrząc na to, co dzieje się na dole. Widzi duży gwarny hol, a w nim pół tuzina ośmiokątnych podwyższeń z mahoni i mosiądzu.

– To poszczególne parkiety – wyjaśnia ojciec. – Parkiet Norfolk jest tam, zaraz pod nami.

Po wskazanym przez niego parkiecie kręcą się grupki mężczyzn, wszyscy wpatrzeni w tablicę. Emily przypomina to dzieci czekające przed sceną ulicznego teatrzyku kukielkowego na pojawienie się marionetek. Jediną osobą, która robi coś konkretnego, jest mężczy-

zna w jaskrawoczerwonym meloniku zapisujący cyfry na tablicy; gdy dochodzi do samego dołu, ściera wszystko, wzniecając tuman pyłu, i zaczyna od nowa.

– O, jest Neate! – wykrzykuje Pinker – I Brewer!

Emily podnosi wzrok: parlamentarzystą, którego poznała już u ojca, idzie w ich stronę w towarzystwie młodego człowieka w garniturze. Arthur Brewer wita ją uśmiechem i skinieniem głowy, po czym siada. Pinker tymczasem nerwowo szepcze coś do ucha Neate'owi i klepie go po ramieniu. – Nasz makler – wyjaśnia, siadając. – Zainwestowałem w Lyle'a niewielką sumkę.

– Zakład? – pyta Emily.

– W zasadzie tak. Złożyłem zlecenie sprzedaży. Jeśli cena spadnie, na co liczę, zainkasuję różnicę.

Emily kiwa głową, chociaż nie rozumie tego rynku tak dobrze jak jej ojciec. To jego druga natura, której wcześniej nie dostrzegала. Kiedy mówił o workach kawy jako o żołnierzach i kawalerii, inaczej wyobrażała sobie tę walkę.

Na parkiecie rozlega się dźwięk dzwonka. Natychmiast zaczyna się zgiewk. Jedni poruszają dłońmi, jakby używali języka migowego, inni wypisują kwity i przesuwają je po kontuarze w tę i z powrotem. Choć nie rozumie dokładnie, jak to działa, Emily czuje, że rozgrywa się tu wielki spektakl, skoncentrowany wokół dwóch postaci stojących po przeciwnych stronach ośmiokąta.

– Makler Lyle'a. I Tate'a, o tam – tłumaczy jej oj-

ciec. – O! A tam, jeśli się nie mylę, są ich pryncypałowie. Przyszli popatrzeć.

Na galerię wchodzi dwie oddzielne grupy. W każdej jest mniej więcej sześciu mężczyzn. Wyraźnie ignorują się nawzajem – podchodzą do barierki i w napięciu obserwują to, co dzieje się w dole.

– Bracia Lyle. A to, jak sędzę, jest Joseph Tate, syn sir Henry’ego. – Pinker obraca się z powrotem w stronę parkietu i usiłuje dostrzec zmieniające się cyfry na tablicy. – Widzę, że Lyle wciąż kupuje. Pewnie gromadzą zapasy.

– Mimo że chcą spadku ceny?

– To gest. Chcą, żeby giełda zobaczyła, jak wiele poświęcają.

Okolo dwudziestu minut nie dzieje się nic ciekawego. Ada patrzy na Emily ze znudzoną miną. Jednakże Emily wcale się nie nudzi – jest zafascynowana. Nie podoba jej się to, w zasadzie wręcz oburza ją fakt, że wszystko, co robią u Pinkera, można sprowadzić do czegoś tak zwykłego jak kartki papieru przesuwane wte i wewte po mahoniowym blacie. Jest w tych mężczyznach na parkiecie coś dzikiego, co ją niepokoi: wyobraża ich sobie, jak stadnie rzucają się na jednego z dwóch kupców, niczym zwierzęta, by go rozszarpać...

– Niebawale – mruczy Pinker. Patrzy w bok, w miejsce, gdzie sędziwy dżentelmen, pomagając sobie laską, przedziera się przez grupę Tate’a. U jego boku kroczy młodszy mężczyzna, gotów w razie potrzeby

udzielić mu wsparcia.

– Sam sir Henry Tate – mówi Pinker ściszym głosem. – Musi już być po siedemdziesiątce.

Jakby pojawienie się starca było sygnałem, nagle hałas na parkiecie się zmienia. Mężczyźni pokrzykują na maklera Lyle'a, wymachują rękoma przed jego oczami w tym dziwnym języku migowym, wciskają mu w dłonie jakieś skrawki papieru. On beznamytnie zbiera je i klepie mężczyzn po klatce piersiowej na znak zawartej umowy, jednocześnie kiwając głową w stronę kogoś innego, podpisując kartki i przekazując je dalej.

– Lyle sprzedaje – mówi Pinker – O to chodziło!

Przez kolejne pięć minut trwa gorączka oczekiwania. Pinker raz po raz rzuca spojrzenia tam, gdzie z dłońmi na lasce siedzi sir Henry obok swego syna Josepha. Obaj w milczeniu śledzą to, co dzieje się w dole, ich twarze zachowują kamienny wyraz.

– Muszą wkrótce pęknąć – mruczy Pinker. – Już wydali fortunę.

Nagle hałas cichnie. W dole na parkiecie zapada długa, pełna napięcia cisza. Wreszcie makler Lyle'a kręci głową.

Wszyscy jak jeden mąż odwracają się od niego w kierunku maklera Tate'a.

Pinker wzdycha.

– Już po wszystkim – mówi. – Tate wygrał.

– Dlaczego?

– Kto wie? – odpowiada szorstko. – Może Lyle źle wybrał moment. Może mieli mniejsze rezerwy, niż się wydawało. Może stary wyga lepiej trzymał nerwy na wodzy. – Wstaje. – Wracajmy do domu.

Galeria pustoszeje. Grupa Lyle’a wychodzi jako pierwsza. Po stronie Tate’a następują uściski dłoni. Aż trudno uwierzyć, że przed chwilą zaryzykowano i stracono fortunę.

– Następnym razem im się nie uda – oświadcza Pinker, patrząc na parkiet. – Nie na dalszą metę. Rynek chce być wolny i nikt tego nie zmieni. – Zwraca się do Arthura Brewera: – Nie zapomnij o kolacji, Brewer. Musimy przemyśleć dzisiejszą lekcję, jeśli nie chcemy, żeby nam przydarzyło się to samo.

DWADZIEŚCIA OSIEM

„Dymny” – symbol ulotności, zapach wydzielany przez pewne gatunki drewna i żywic podczas ich spalania.

Lenoir. Iw Nez du Café

Cztery dni później opuszczamy Zeilah. Karawana złożona z trzydziestu wielbłądów, nie tylko naszych i Ibrahima Beya, ale też Hammonda i Tattsa, posuwa się naprzód, gotowa iść jak najdalej w tym składzie. Fikre i Mulu idą za nami wraz z resztą służby. Czasami, gdy marsz zbliża się ku końcowi, widzę, jak Fikre wspiera się na eunuchu. On delikatnie ją obejmuje i podtrzymuje w pasie.

W Tococho zatrzymujemy się, by nabrać wody. Napełniamy *gherbe*, bukłaki z koziej skóry, które przytroczone do boków wielbłądów wyglądają jak olbrzymie piłki. Woda ma zjełczały, zwierzęcy smak – *hircinos* – który po dniu na słońcu jeszcze się wzmacnia. W Warumbot, dziesięć mil dalej, odbijamy od wybrzeża w głąb lądu. To sama krawędź pustyni: wioska jakby przycupnęła na granicy gorących piasków niczym mała przystań na skraju wielkiego morza. W blasku księżyca – wędrujemy od późnego popołudnia do świtu – wszystko ma barwę soli, jasnej, lśniącej, połyskliwej niczym rozległa równina kwarcu. Gdy oblize się wargi, czuć smak

solnego pyłu. Czarne twarze lśnią kryształkami soli. Według Hammonda jesteśmy teraz poniżej poziomu oceanu. Czasami widzimy unoszące się ze skalnych otworów gazy, fumarole, czasem tylko bezkresne nieruchome fale piasku. Przez całą noc spotykamy tylko jedną żywą istotę, kolczasty krzew, który, sądząc z liczby liści, równie dobrze mógłby być martwy.

Czasem łapię się na tym, że myślę o Emily. Odtwarzam w pamięci sceny z naszego narzeczeństwa – sposób, w jaki tupnęła nóżką, gdy posprzeczaaliśmy się na ulicy, obiad w restauracji na Narrow Street... Wtedy jednak dostrzegam spojrzenie Fikre, widzę blask księżycy na jej grafitowoszarej skórze i natychmiast sztywnieję z podniecenia. Rytmiczny krok wielbłąda, gdy już się do niego przywyknie, jest hipnotyzujący, niemal zmysłowy – te jednostajne, drażniące i kołyszące ruchy jeszcze pobudzają fantazje kłębiące się w mojej głowie.

Gdy słońce wschodzi – wznosi się nad piaskami jak balon Montpellierów – w dalszym ciągu jesteśmy na tej samej monotonnej pustyni. Wyczuwam niepokój wśród przewodników. Pozostać tutaj w żarze dnia oznacza śmierć. *Gherbe* są prawie puste, a nikt nie wie dokładnie, gdzie się znajdujemy. Po krótkiej naradzie posuwamy się dalej. W końcu na horyzoncie pojawia się kolejna mała wioska. Bezkształtne domy są ledwie widoczne na tle bezkształtnych skał porozrzucanych po pustyni, które pod wpływem zjawisk optycznych mogą się wydać większe niż statek albo mniejsze niż drobinka pyłu. To Ensa, cel naszej podróży. Wszyscy oddychają z ulgą.

Widzimy kilkanaście nędznych chat, kilka kóz szukających trawy między kamieniami, Murzynkę karmiącą niemowlę mlekiem z płaskiej szarej piersi, pustej jak wyciśnięta pomarańcza. Barczyste sępy przechadzają się między chatami albo gromadzą wokół resztek słomy spod wielbłądów. Jest tu źródło, dzięki któremu możemy uzupełnić zapasy. Przebyliśmy czterdzieści mil. Następnej nocy jadę na wielbłądzie z poczuciem wstydu – nie wypada siedzieć na grzbiecie zwierzęcia, gdy kobieta idzie pieszo. Jednakże obowiązuje tu określona etykieta: zaproponować swojego wielbłąda niewolnicy Beya byłoby tym samym, co ustąpić służącej miejsca w omnibusie.

Ibrahim Bey widzi, jak na nią spoglądam, i podjeżdża do mnie na swoim wielbłądzie.

– Obiecałem, że ci opowiem, jak ją znalazłem.

– Tak?

– Chcesz posłuchać?

Zastanawiam się. Jadę na wielbłądzie przez pustynię. Nade mną wisi ogromny księżyc – tak wielki i jasny, że mam wrażenie, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć jego cętkowanej powierzchni. Od wielu dni prawie wcale nie spałem. Zmierzam do miejsca, w którym nie ma jakichkolwiek śladów cywilizacji. Wielbłądy cuchną. Arabski kupiec chce mi opowiedzieć o swojej niewolnicy. To wszystko jest z pewnością jednym wielkim koszmarnym snem.

– Tak, chętnie posłucham – odpowiadam.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Już prawie godzinę Bey opowiada cichym monotonnym głosem. Wygląda na to, że był to przypadek – aukcja niewolników w Konstantynopolu, przyjaciel, który z ciekawości chciał to zobaczyć, Bey zaciągnięty bez przekonania.

– Zrozum, Robercie, to nie był jakiś tam nędzny, brudny bazar, gdzie handluje się robotnikami na plantacje. To była sprzedaż najcenniejszych okazów... dziewcząt, które wybrano w dzieciństwie ze względu na ich urodę i wychowywano w haremie cieszącego się dobrą sławą handlarza; uczono je matematyki, muzyki, języków i gry w szachy. Niektóre pochodziły z terenów na wschodzie: Gruzji, Czerkiesji i Węgier... te były cenione za jasną skórę... a inne z własnego chowu handlarza.

Takich dziewcząt – wyjaśnia – nie może kupić nawet ich ostateczny właściciel, są sprzedawane za pośrednictwem łańcucha agentów, a te najpiękniejsze przekazuje się coraz wyżej w kierunku cesarskiego haremu. Każdy agent podnosi cenę: cena dziewczyny sprzedawanej na służbę u sułtana była astronomiczna, wyższa niż Bey mógł zarobić w całym życiu. Takich dziewcząt było jednak niewiele: żeby dotrzeć do takiego poziomu, niewolnica musiała być naprawdę wyjątkowa.

Patrzy w ciemność.

– Powitał nas handlarz i zaproponował poczęstunek: sorbet, kawa, ciasto i tak dalej, przed zaprowadzeniem

nas na miejsca wyznaczone gościom odpowiednio do ich statusu. Było nas zaledwie około dwudziestu, lecz zanośliło się na to, że niektórzy wydadzą tego dnia małe fortuny. Jeden koniec pomieszczenia był zasłonięty parawanem, zza którego dobiegały podekscytowane głosy, zaciekawione spojrzenia i chichoty dziewcząt. Tam czekał towar. Przy stole siedział pisarz i przygotowywał pióra i księgi rachunkowe. Matka handlarza, *hanim*, odziana w najbardziej wystawne stroje, flirtowała z gośćmi, nadzorując ostatnie przygotowania. Kupiec wygłosił krótką mowę powitalną. Przedstawił pierwszą dziewczynę, opisując ją w najbardziej wyszukanych słowach. Wszystko dobrze, ale nas zżerała ciekawość. Wreszcie wyszła zawstydzona obecnością tylu mężczyzn, ale też całkiem z siebie zadowolona, albowiem to zaszczyt otwierać aukcję. Była Rosjanką, całkiem ładną, niewiele starszą od dziecka. Miała na sobie *gomlek*, tunikę z połyskującego, inkrustowanego kamieniami jedwabiu, rozciętą przy szyi, a do tego jedwabne spodnie i miękkie obuwie. Patrzyliśmy zachwyceni. Nikt oczywiście się do niej nie zbliżał. Dla niecierpliwych przygotowano świadectwo dziewictwa wydane przez położną, ale cała aukcja była tak zorganizowana, żeby podkreślać, iż to dziewczyny z haremu, a nie prostytutki.

Otwieram usta, żeby zadać pytanie. Rezygnuję jednak, nie chcąc mu przerywać. Bey zdążył to zauważyć.

– Możliwe, Robercie, że wyobrażasz sobie harem jako jakiś rodzaj domu publicznego. Lecz *seraglio* w niczym nie przypomina domu uciech. Nikt nie kupiłby

dziewczyny, której dotykali inni, skalanej, by tak rzec. Kiedy kupujesz książkę... cenisz sobie piękne wydania, prawda?

Kiwam głową, choć nie przypominam sobie, bym z nim rozmawiał na ten temat.

– Kiedy kupujesz pierwsze wydanie, musisz rozciąć kartki. Zastanawiałeś się dlaczego? Przecież sprzedawca lub drukarz mógłby bez trudu zrobić to za ciebie. Ale prawda jest taka, że wszyscy chcemy mieć pewność, iż nikt przed nami nie czytał tych słów. Tak samo jest z kobietami.

Dotarliśmy do piargu. Karawana zwalnia, zwierzęta po kolei zbliżają się do kamiennych brył leżących na ścieżce. Oglądam się za siebie. Mulu pomaga Fikre przechodzić po kamieniach – przenosi ją z jednego na drugi. Jej skóra lśni niczym srebrna moneta, niczym księżyc w absolutnych ciemnościach.

– Aukcja się zaczęła – mówi Bey cicho. – Niemal natychmiast został pobity jakiś rekord, nie pamiętam dokładnie. Właściwie niewiele pamiętam. Oczywiście nie sprawiał mi przyjemności widok istot ludzkich idących pod młotek aukcyjny. Natomiast same dziewczęta na ogół zdawały się zadowolone jak dzieci. Widocznie nigdy wcześniej nie były tak wystrojone: każda dumnym krokiem wychodziła zza parawanu i z trudem utrzymując równowagę w śliskich jedwabnych trzewikach, podchodziła do krzesła na środku. Nie to jednak sprawiało, że krew się we mnie gotowała. Pamiętaj, że jestem kupcem, handel to moja natura. Widziałem już wiele

aukcji, ale nigdy czegoś takiego. Prowadzący był sprawny, nie podnosił głosu, nad wszystkim panował, skinieniem zatwierdzał każdy sygnał dawany podniesieniem ręki, słabym uśmiechem zachęcał aukcjonerów do walki. Napięcie w tej sali było wyjątkowe. Takie dziewczęta rzadko pojawiały się na rynku, a dla bogatych mężczyzn cały majątek jest niczym wobec emocji, jakie daje możliwość nabycia takiego klejnotu i... jak mniemam, satysfakcja pokonania innych licytujących. Sumy, jakie tam padały, były daleko poza moim zasięgiem. Byłem zwykłym handlarzem kawą, obserwatorem, który w zasadzie nie powinien nawet się tam znaleźć i oglądać tych bogaczy w grze. Kiedy już sprzedano z pół tuzina dziewcząt, zarządzono krótką przerwę: niby na poczęstunek, lecz w istocie po to, by napięcie sięgnęło zenitu. Sprytnie posunięcie *hanim* i jej syna polegało na tym, że podczas gdy my piliśmy kawę, dziewczęta miały zapewnić nam rozrywkę. Nic wulgarnego: wyszły zza parawanu i część z nich grała na instrumentach, a część zasiadła do szachów. Mężczyźni wstali z miejsc i przechadzali się po sali, niby to rozmawiając i podziwiając ozdobne płytki na ścianach, a naprawdę po to, by lepiej przyjrzeć się dziewczętom, które jeszcze nie zostały sprzedane. Wtedy zauważyłem, że zgromadzeni szeptem przekazują sobie jakąś wiadomość. Oto bowiem zjawił się młody mężczyzna, którego ubiór wskazywał, iż jest bogatym dworzaninem. Szeptano, że ma zamiar kupić najlepszą dziewczynę, by zaprezentować ją sułtanowi, w nadziei że w zamian otrzyma stanowisko gubernatora jakiejś prowincji. Wszyscy zastanawiali się,

którą wybierze. Rozejrzałem się, by spojrzeć na towar jego oczyma. Jak już mówiłem, szczególnie poszukiwane były dziewczęta o jasnej cerze. Może jego wybór padnie na Węgierkę, tę z długimi jasnymi włosami? Matka kupca najwyraźniej tak uważała: krzątała się koło tej dziewczyny, poprawiała jej strój, jakby przygotowywała pannę młodą do ślubu. Wtedy zobaczyłem inną dziewczynę. Bardzo ciemną, bardzo piękną, siedzącą przy jednym ze stolików szachowych. Pochodziła z Afryki – najwyraźniej już kilka lat była w haremie. Miała na sobie bluzkę z połyskującego czerwonego jedwabiu, a jej wyraz twarzy, gdy przesuwała figury po szachownicy, wyrażał silne skupienie. To mnie zaintrygowało: partia szachów nie była dla niej pretekstem jak dla innych dziewcząt rzucających ukradkowe spojrzenia na mężczyzn; ona koncentrowała się wyłącznie na grze. Widziałem, że dla niej ważne było to, żeby wygrać. To była jej reakcja na aukcję, kupujących, na cały ten niegodziwy cyrk. Po prostu odrzuciła to wszystko i skupiła się na czymś, w czym była w stanie odnieść sukces. Przyznam, że tym wzbudziła mój podziw. Zatrzymałem się obok jej stolika. Jej przeciwniczka grała bardzo słabo, zresztą chyba wcale nie myślała o grze, bardziej interesowało ją to, co działo się dookoła. Kiedy w kilku ruchach została pokonana, wtrąciłem się: „Byłbym zaszczycony, gdybym mógł z tobą zagrać” – powiedziałem do zwyciężczyni. Afrykanka wzruszyła ramionami i ustawiła figury. Zrobiłem kilka pierwszych ruchów. Chciałem zobaczyć, jak gra. Etykieta haremu wymagała, by ze mną przegrała, żeby zaspokoić moje

ego. Na początku sądziłem, że tak zrobi. I oto nagle w jej oczach pojawiła się iskra determinacji i dziewczyna zaczęła walczyć o zwycięstwo. Podczas gry przyglądałem się jej twarzy. Nie patrzyła mi w oczy. – Byłoby to wyjątkową zuchwałością, w każdym razie w tych okolicznościach. – Nie mogłem jednak nie dostrzec jej urody. Cóż, widziałeś ją, nie muszę opisywać jej wyglądu. Może zamiast tego opiszę jej ducha. To dziewczyna, która nie godziła się na to, by być czyjąś własnością... zostać pokonaną. Każdy mięsień jej ciała wołał, że przeciwstawia się temu, co tu się dzieje, sposobowi, w jaki się jej pozbywają. Pokonanie mnie było jedyną możliwą formą zemsty, może nic nieznaczącą, ale zawsze manifestacją braku uległości. W pewnej chwili zorientowałem się, że jeszcze ktoś podszedł do stolika, przy którym graliśmy. Obserwował nas młody dworzanin. Jego nieruchoma sylwetka kazała mi pomyśleć, że on również dostrzegł w tej Afrykance coś niezwykłego. Podniosłem wzrok, mając nadzieję, że mój grymas go odstraszy, lecz już go nie było. Kiedy wróciliśmy na miejsca, kupiec przedstawił kolejne dziewczyny. Ta o najjaśniejszej skórze miała być licytowana jako ostatnia – jako kulminacyjny punkt programu. Najpierw wystąpiła Afrykanka. Handlarz wymieniał jej zalety: języki, muzyka, strzelectwo, bieganie. Prezentowali ją jako towar egzotyczny, nowinkę, wykształconą małpę człekokształtną. Dwaj mężczyźni na zmianę podnosili stawkę, nie okazując większego zainteresowania, aż osiągnęli cenę, która najprawdopodobniej była całkiem spora. To współzawodnictwo nagle się urwało, gdy ni stąd, ni

zowąd znudzonym ruchem ręki do akcji wkroczył młody dworzanin. Natychmiast go przejrzałem. Chciał stwarzać pozory, że po namyśle postanowił dokonać więcej niż jednego zakupu i że skoro prawdziwy przedmiot jego zainteresowania na razie pozostaje poza zasięgiem, to może też kupić Fikre. Jego zachowanie mogło zmylić niektórych w tej sali, ale nie mnie. Może nie wiedziałem wiele o niewolnikach, ale za to znałem się na aukcjach. Była też inna przyczyna, dla której tak dobrze rozumiałem pobudki tego człowieka: sam je podzielałem. W tej krótkiej chwili przy stoliku szachowym zdążyłem się... nie powiem zakochać, ale może poddać jej urokowi. To było niezwykle... instynktowne, fizyczne, wszechogarniające: po prostu wiedziałem, że nie mogę pozwolić temu człowiekowi ani nikomu innemu odebrać jej sobie i złamać jej ducha. Aukcja trwała. Młody dworzanin wzruszył ramionami i wymienił wielką sumę. Pozostali aukcjonerzy skłonili głowy i wycofali się. Młotek stuknął raz. I wtedy... pomruk podniecenia, a raczej zdziwienia... Do licytacji włączył się kolejny kupiec. Ktoś miał śmiałość próbować wydrzeć dworzaninowi ten niezwykle zakup sprzed nosa. Z zaskoczeniem skonstatawałem, że tym kimś jestem ja sam. To moja ręka tkwiła wyciągnięta w górę. Dworzanin uniósł brwi i znowu podniósł dłoń na znak, że walka się toczy. Strzeliłem palcami... gest niezbyt uprzejmy, ale w tym momencie nie miało to dla mnie znaczenia. Zebrani wyprostowali się na krzesłach. Dworzanin zmarszczył czoło i podwoił stawkę. Nie udawał już, że to dla niego tylko przypadkowa okazja. Widać było, że jej chce. Tak samo jak ja...

lecz podana cena już przekraczała mój roczny dochód. Znowu podniosłem rękę. On podwoił stawkę. Wiedziałem, że jeśli mi się teraz uda, będę musiał zastawić wszystko, co mam, nawet ją. To mnie nie powstrzymało. Podniosłem palec, wycelowałem nim w prowadzącego aukcję i podałem sumę tak niewiarygodnie dużą, że prawie nic nie znaczyła. Przyjął ofertę skinieniem głowy i zwrócił się w stronę mojego rywala, oczekując reakcji. Cena znowu została podwojona. Przegrywałem... aż bez chwili namysłu znów podwoiłem kwotę. Dworzanin zamrugnął, wzruszył ramionami, potrząsnął głową. Było po wszystkim. Rozległy się krótkie oklaski, które szybko ucichły, gdy zebrani przypomnieli sobie, że nierozsądnie jest oklaskiwać sukces biednego kupca w starciu z potężnym dworzaninem. Aukcja trwała. Fikre, siedząca na krześle pośrodku sali, cały czas wbijała wzrok w podłogę. Teraz podniosła głowę i spojrzała na mnie. Nigdy tego nie zapomnę. To było spojrzenie pełne prawdziwej pogardy. Zaryzykowałem wszystko, by stać się jej właścicielem... człowiekiem, który będzie panem jej życia i śmierci... a ona nie okazywała w tym względzie więcej strachu czy zainteresowania, niż gdybym był głupim młodym zalotnikiem obdarzającym ją na ulicy komplementami.

Gdzieś za naszymi plecami w srebrzystych ciemnościach parska wielbłąd – gdy łączy wargi, wydaje kłapiący dźwięk. Jego właściciel beduin przemawia do niego cicho w swoim języku.

– Tak, stałem się jej właścicielem – mruczy Bey,

jakby mówił sam do siebie. – Pomyśl, co to oznaczało. Ta odpowiedzialność... decyzje, które musiałem podejmować. Pomyśl, przed jakim stanąłem dylematem.

– Dlaczego? – pytam

– Dlaczego co? – dziwi się Bey.

– Dlaczego był to taki dylemat?

Mam wrażenie, że opowiada tę historię i mnie, i sobie. Wydaje się szczerze zaskoczony moim pytaniem.

– To, przyjacielu, będzie musiało poczekać do następnej okazji – mówi i nogami spina wielbłąda do biegu na początek karawany.

TRZYDZIEŚCI

Kolejny postój, kolejny dzień, gdy próbujemy przespać upał. Kiedy wreszcie słońce nabiera głębokich barw dojrzewającego owocu, ładujemy wielbłądy. Piasek pod stopami nie ma już koloru kwarcu – jest czarny jak małe koraliki gagatu. Jesteśmy na terenach wulkanicznych, *samadou*.

Obok mnie jedzie Desmond Hammond. Wokół szyi owinał sobie beduińską chustę dla ochrony przed piaskiem: przy jego szorstkiej, ogorzalej słońcem twarzy można by go wziąć za Afrykanina. Długo się nie odzywa i nagle:

– Wybacz Wallis, ale nie wygląda pan na plantatora.

– Jeszcze dwa miesiące temu uznałbym to za komplement.

Chrząka.

– To wyprawa z powodów osobistych, tak?

– Poniekąd.

– Tam, dokąd pan jedzie, nie będzie wielu Europejczyków. Jeśli stanie pan przed problemami, proszę próbować przesłać mi wiadomość przez beduina. Są nad wyraz solidni, chociaż nieco powolni.

– Dziękuję – mówię ze szczerą wdzięcznością.

– Moglibyśmy spróbować zorganizować jakiś handel. Słyszałem, że tam jest kość słoniowa, heban, złoto, diamenty. Gdyby pan czegoś potrzebował, jeśli chodzi

o wymianę towarów, wystarczy dać znać.

– Spodziewam się, że Bey będzie moim najbliższym sąsiadem. Mieszka w Hararze.

– Bey... – Hammond już ma coś powiedzieć, gdy nagle zmienia zdanie. Skinieniem głowy wskazuje miejsce, gdzie idzie Fikre przy wielbłądzie Beya z ręką wspartą na jego strzemieniu.

– Zna pan opowieść o tej jego kobiecie?

– Tak. Opowiedział mi wczoraj. O tym, jak kupił ją na aukcji.

– Tak twierdzi. – Hammond chrząka ponownie.

– Nie wierzy mu pan?

– Nie wierzę, że to wszystko. Nie ma nic bardziej szczwanego niż Arab, a co dopiero arabski kupiec.

– Firma mojego pracodawcy handluje z nim od wielu lat. Sam próbowałem jego kaw. Dysponuje towarem niezwykle wysokiej jakości – mówiąc to, uświadamiam sobie, że ten fakt może dotyczyć także Fikre i aukcji niewolnic: Ibrahim Bey po prostu nie może się oprzeć, by nie kupić tego, co najlepsze, nieważne czy to kawa, czy niewolnica.

– Wie pan, co mówią o nim beduini?

Kiwam przecząco głową.

– Że jest sentymentalny. Sądzę, że kupił dziewczynę z najgorszego powodu: bo się zakochał.

– Czy to takie straszne?

– To mieszanie biznesu z przyjemnością. Niech się

pan zastanowi. Kupuje ją. I co potem?

Wyobraziłem sobie w najdrobniejszych szczegółach ekstatyczną, pełną westchnień deflorację, która by nastąpiła po takim zakupie.

– To co innego niż kupić sobie dziewczkę – ciągnie Hammond. – Taka dziewczyna w ich kulturze bardzo się różni od dziwki i jest o wiele droższa. Ale jej cena zależy od dwóch rzeczy. Jedna to dziewictwo... i pamiętajmy, że zapłacił za nią słono. Jak tylko ją posiadzie, jej wartość spadnie. Takie są prawa tego rynku. Jest warta zapłaconej za nią ceny, dopóki pozostaje nietknięta... przez niego i nikogo innego.

– A druga rzecz?

– Jej młodość – mówi Hammond bezlitośnie. – Bogaci Arabowie kupują swoje żony, gdy te zaczynają dojrzewać albo są niewiele starsze. Kiedy kobieta skończy osiemnaście lat, jest już niewiele warta. Gdy ma dwadzieścia pięć, jej wartość spada do zera... taka na pewno nie zostanie kupiona do wielkiego haremu. – Niech pan więc teraz się wczuje w sytuację Ibrahima Beya. Zapłacił pan za nią krocie: cały majątek poszedł na jej spłatę. Jest pan jej właścicielem i może zrobić z nią, na co ma ochotę. I marzy pan o tych rzeczach, pewnie, że tak. Wystarczy na nią spojrzeć, każdy mężczyzna by o tym marzył. Ale jednocześnie wie pan, jako kupiec, że w chwili, gdy pan to robi, stanie się bezwartościowa. Pańskie pieniądze, cała inwestycja wsiąknie jak woda w piach. Sprzedać czy wykorzystać? Nieodwracalna decyzja. Czeka pan więc sparaliżowany, próbując coś

postanowić. Ale... o ironio... nawet to czekanie sprawia, że ona z każdym dniem traci na wartości. Mimo wszystko nie może się pan zdecydować. Mija rok. Już wszyscy wiedzą pańskich kłopotach finansowych. Staje się pan pośmiewiskiem, a dla kupca to rzecz straszna. Ludzie nie chcą z panem handlować, a jeśli nawet, to próbują pana oszukać. Nie dostanie pan kredytu... bo jak, skoro każdy wie, że nie może się pan zdobyć na sprzedaż swego jedyne go majątku? Konkurenci śmieją się za pana plecami. A tymczasem dziewczyna staje się coraz bardziej rozpuszczona i nieposłuszna. Wie pan, że jedyne wyjście to złapać byka za rogi i sprzedać ją. Mimo to wciąż coś pana powstrzymuje. Uczucie.

– Wspominał o swoim dylemacie – mówię. – Pewnie właśnie to miał na myśli.

Hammond kiwa głową.

– Już od dawna tłukę się po wschodniej Afryce. Spotyka się tu wiele różnych ras: Arabów, Afrykanów, Europejczyków. My, Europejczycy, postanawiamy, co należy zrobić, i organizujemy sposób osiągnięcia tego celu. Na tym polega nasza siła. Afrykanie mają inną mentalność: oni czekają, co przyniesie los, nie rządzą swoim życiem. To też jest siła, w pewien sposób, ta ich uległość. A Arabowie... są naprawdę fascynujący, nigdy nie wiadomo, co myślą. Ich osąd zawsze coś przysłania: religia, próżność albo duma. – Hammond milknie na chwilę, po czym odzywa się znowu: – Chyba chcę przez to powiedzieć, żeby pan uważał na Beya. Mimo wszystko jest jednym z nich.

* * *

Całą noc wędrujemy przez skalne rumowiska. Chwilami zrywa się wiatr, ciepły i suchy, który sprawia, że czerń szemrze owija się nam wokół łydek. Mam wrażenie, że brniemy przez bezkresną pustynię palonych ziaren kawy.

Brakuje wody. Przewodnicy mają przydział: po dwa łyki na każdego. Nikt nie śmie zaproponować, żeby racjonować też wodę białym, ale staram się trzymać tej przydziałowej dawki.

Kiedy Mulu otrzymuje bukłak, jedynie zwilża usta i przekazuje go Fikre.

* * *

Dzisiaj nie ma księżyca; musimy posuwać się powoli. Po jakimś czasie dostrzegamy fale w powietrzu, wibracje, które ostatecznie zamieniają się w dźwięk przypominający odległy grzmot. To jednak nie piorun. To bębny.

W całkowitych ciemnościach trudno określić źródło pochodzenia tych dźwięków. Nagle zdumiony zdaję sobie sprawę, że są one wszędzie dookoła – przed nami i po bokach; ciemność rozmawia ze sobą, a echo przeszywa pustynię jak piorun niebo.

Milkniemy. Nikt nie wie, co to znaczy.

– To pewnie zwiad Galla – mówi wreszcie Hammond.

Podążamy dalej, lecz zwiększamy ostrożność. Wtem w ciemnościach rozlega się rytmiczne skandowanie. Jest bardzo blisko, ale nikogo nie widać. Skupiamy się w ciasną grupę i jedziemy w czterech kolumnach, z wielbładami na zewnątrz. Beduini niespokojnie sięgają po sztylety. Hammond kładzie dłoń na strzelbie.

– Co śpiewają? – pytam.

Hammond wzrusza ramionami

– To w języku Galla.

Nagle odzywa się Fikre:

– To pieśń wojenna. Śpiewają: „Miłość bez pocałunków to nie miłość. Włócznia bez krwi to nie włócznia”.

Pierwszy raz słyszę, jak mówi po angielsku. Z silnym akcentem, tak jak mówiłby Francuz, ale gramatyka jest bez zarzutu. Jej głos jest niski, lekko sepleni, jakby językiem zaczepiała o zęby.

– Odstraszę ich. – Hammond podnosi strzelbę i strzela cztery razy w powietrze. Spłoszone wielbłądy rzucają się do galopu, ale po chwili zwalniają.

Śpiewy milkną. Teraz słyszemy tylko skrzypienie czarnego piasku pod stopami.

* * *

O świcie napotykamy kupkę kości. Najpierw widzimy sępy kołujące ponad czymś lśniącym na piasku. Później dostrzegamy garbatą sylwetkę wielbłąda. Na jego grzbiecie siedzi ptak i metodycznie dziobem wyrywa z wnętrza mięso.

Zbliżywszy się, widzimy kolejnego wielbłąda, a po chwili jeszcze jednego. Podchodzimy do nich i odkrywamy resztę. Sępy odskakują na niewielką odległość, gdzie czekają, aż odejdziemy.

Między wielbłądami leży to, co pozostało po czterech osobach. Ciała są w stanie rozkładu – spod czarnego mięsa wyzierają białe kości oczyszczone przez ptaki. Z boku leżą inne kości, ze zmiążdżonymi końcami, jakby je odciągnięto i stoczono o nie walniętą.

– Hieny – mówi Hammond. – Ale to nie hieny ich zabiły.

Zmuszam się, żeby na to spojrzeć. Drapieżniki zaczynają od oczu, twarzy i żołądka. Jedna ze zmiążdżonych twarzy należała moim zdaniem do kobiety. Z jej szczęki nie pozostało nic oprócz zębów.

– Przypuszczalnie beduini – zauważa Hector. – Biedne dzikusy.

– Równie dobrze mogli to być Europejczycy – oschle dodaje Hammond. – Gnijące mięso zawsze jest czarne.

– Musimy ruszać – oznajmia Bey. – Do Biokobobo jeszcze godzina.

Odchodzimy. Nikt nie proponuje pogrzebania ciał. Słońce jest już wysoko na niebie. Bezokie wielbłądzie głowy, które opadły na piach, spoglądają w ślad za nami.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

„Korzenny” – to określenie oznacza zapach słodkich przypraw, takich jak goździki, cynamon i ziele angielskie. Degustatorów przestrzega się przed używaniem tego terminu do opisywania aromatu pikantnych przypraw, takich jak pieprz, oregano i przyprawy indyjskie.

International Coffee Organisation, *The Sensory Evaluation of Coffee*

Biokobobo jest „kurortem” – oazą pod każdym względem. To mała osada kolorowych domków z piasku powciskanych pomiędzy palmy. Z jednej strony wioski leżą trzy małe jeziora połyskującej kobalto-wo-niebieskiej barwie, z drugiej ciągnie się pustynia, a z jeszcze innej osada przylega do zbocza sąsiadujących z nią gór.

Mamy tu zostać kilka dni, aby zebrać siły i przeczekać, aż oddział wojowników Galla odejdzie. Jest tu mały targ: jemy daktyle, orzechy, kokosy, placki, sery z wielbłądziego mleka. Hector i ja pływamy w jednym z jezior i stopniowo rozpakowujemy bagaże. To zaskakujące, jak po wielu dniach podróży bez żadnych wygod zwały staw z wodą i miejsce na rozłożenie polowego łóżka stają się nieocenionymi luksusami.

Próbuję pisać. Kochana Emily. Piszę te słowa pośrodku pustyni. Nasza kolacja gotuje się na rożnie nad ogniskiem – znowu koza: jak tak dalej pójdzie, stanę się znawcą koziego mięsa. Nie mogę jednak skończyć, i to nie z powodu upału. Nie pamiętam jej dobrze. Wyjmuję z bagaży „Przewodnik” ostrożnie, w cieniu domów, otwieram jedną czy dwie ampułki z zapachami. Wydają się bez wyrazu, blade. A może to ja straciłem zmysł powonienia – zbyt długo miałem w nozdrzach stęchły odór brudnego wielbłąda.

Jemy pieczoną kozę posypaną *berberi* – proszkiem z rośliny chilli. Wystarczy raz spróbować, żeby się od tego smaku uzależnić. Fikre i Mulu nie jedzą z nami, siedzą osobno. Czasem on czesze jej włosy stalowym grzebieniem i rozmawiają cicho, lecz z ożywieniem, w języku, którego nie rozpoznaję. Widzę, jak ona się śmieje – urywanymi, beztroskimi dźwiękami; wtedy objają się o siebie ramionami jak dzieci w szkole. On zaledwie nieśmiało się uśmiecha.

Raz czy dwa spojrzała w moją stronę, lecz jej wzrok nie miał wyrazu: żadnego śladu tej żarliwości, tej niemej rozpacz, którą wyczułem podczas pobytu w namiocie Beya. Czyżbym to źle odczytał... Ale przecież jest jeszcze ziarno kawy wsunięte w moją dłoń.

* * *

Drugiego ranka w Biokobobo budzę się wcześnie.

Wstaję, przeciągam się, wychodzę.

W półmroku widzę smukłą, owiniętą niebieskim szalem postać spieszącą w kierunku wadi.

Fikre.

Przemyka między palmami i znika mi z oczu. Oczywiście nie mogła wykąpać się wczoraj, bo w jeziorze byli mężczyźni, więc idzie teraz, by mieć chwilę prywatności. Bez wahania ruszam chyłkiem na drugi brzeg wadi i docieram tam akurat w chwili, gdy ona rozwija chustę.

W bladym świetle jej skóra mieni się jak wypolerowana stal. Gdy wchodzi do wody, widzę włoski między jej nogami, niczym ciemne pałeczki goździków; jej sutki na małych sprężystych piersiach są niemal czarne.

Chłonę ten widok łapczywie, łakomie, jakbym delectował się kolejnymi łykami kawy. Wtedy ona się odwraca. Jej plecy są drobne, wąskie; wyginają się jak wąż, gdy pochyla się, by nabrać w dłonie wody do umycia twarzy. Opadające krople lśnią w porannym słońcu niczym kaskady brylantów. Ona zanurza się w toni, wyłania się i rozgarniając fale, płynie prosto na mnie.

Chowam się. Nagle coś każe mi zmienić zamiar. Robię krok naprzód, świadomie, celowo, żeby zobaczyła, że ją obserwuję.

Fikre zatrzymuje się równie świadomie i wstaje. Woda sięga jej do pasa. Po lśniącej skórze spływają krople... opadając z piersi błyszczą jak diamenty.

Czuję silne pulsowanie w szyi.

Przez długą chwilę patrzymy na siebie. Nagle słyszę dźwięk kozich dzwonek.

Ona odwraca się i brnie przez wodę do miejsca, w którym zostawiła ubranie. Powoli napiera nogami na krystaliczną toń.

Miłość bez pocałunków to nie miłość

Włócznia bez krwi to nie włócznia.

To wciąż jedyne słowa, które usłyszałem od niej po angielsku. Słyszę je znowu – tę dziwaczną francuską wymowę – i wiem, że nie ucieknę przed ogarniającą mnie obsesją.

TRZYDZIEŚCI DWA

Wprost zżera mnie pragnienie porozmawiania z nią na osobności, lecz uniemożliwiają mi to obaj towarzysze podróży : Hector chce wykorzystać postój na czytanie mi na głos strona po stronie książki *Kawa: uprawa i zyski*, a Ibrahim ma ochotę rozprawić o poezji.

– Twój przyszły teść mówi, że jesteś pisarzem, Robercie. Czy znasz dzieła Hafiza?

– Niestety nie.

– A może zetknąłeś się z twórczością Abdullaha Ansariego.

– O ile mi wiadomo, nie.

– Sonety Szekspira?

– Oczywiście. – Poczujęm się urażony aluzją, że skoro nie czytałem arabskich autorów, to znaczy, że jestem całkowitym ignorantem.

– Kiedyś zacytuję ci wersy Hafiza z Szirazu. Był Persem. Jego myśli są prawdziwie głębokie: „Wpływ rozsądku na miłość jest jak działanie kropli deszczu na ocean – jak owa kropli pozostawia maleńki, nietrwały ślad i znika...”.

– Intrygujące.

– Robercie? – słyszę obok siebie wzburzony głos. – Posłuchaj tego: „Autor posadził kawę na górze Kili-mandżaro i po sześciu miesiącach stwierdza, że jego plantacja wspaniale się rozwija”.

– To brzmi zachęcająco, Hectorze.

– „Jak Hafiz, pij wino *przy* dźwiękach harfy, bo struny serca drżą poruszane dotknięciami jedwabiu”. Jakże zazdroszczę ci tej profesji, Robercie. Być poetą to tak jak być księciem pośród ludzi.

– Racja, Ibrahimie.

– „Bywało, że czas nas taki naglił, iż gleba na terenach przeznaczonych pod plantację była tylko spulchniana, lecz jest to rozwiązanie niedbałe i niezalecane. Przygotuj teren tak duży, jak tylko pozwolą ci na to fundusze i cierpliwość”.

– Dziękuję, Hectorze. Postaram się zapamiętać.

To staje się nie do zniesienia. Z jednej strony rozważania Beya o miłości, z drugiej wywody Hectora o kołkach, rozsadnikach, szkólkach i kompoście, a między tym wszystkim ja, marzący już tylko o wyruszeniu karawany.

Hołubię w pamięci obraz smukłego czarnego ciała zanurzającego się w jeziorze na pustyni. Od tygodni nie miałem kobiety.

* * *

– Czy napijesz się kawy, Robercie?

Podnoszę głowę. To Bey przyszedł usiąść obok mnie. Próbuję czytać opowiadanie w „Yellow Book” – salonową komedię Mereditha. Szczerze mówiąc, nie

potrafię się skoncentrować, niezależnie od obecności gościa.

– Masz tutaj kawę?

– Oczywiście. Nigdzie się nie ruszam bez worka ziaren. – Klaszcze w dłonie. – Fikre, Mulu! Proszę kawę!

Zjawiają się w pośpiechu. W krótkim czasie rozpalili ogień, wypakowali kawę, znaleźli gliniany dzbanek i filizanki, zmełli ziarna. Palenisko już płonie i chyba rozgrzało się do odpowiedniej temperatury. Skądś pojawia się nawet talerzyk z wodą różaną.

I to wszystko po to, myślę, byśmy mogli napić się kawy.

– Hectorze?! – woła Bey.

– Tak, jeśli parzycie, to chętnie się przyłączę.

Gdy Fikre podchodzi obmyć nam twarze wodą różaną, po jej ciele spływa pot – widzę maleńkie srebrne koraliki na czarnej skórze. Patrzą jej prosto w oczy, lecz one pozostają puste, nieodgadnione.

Wtem czuję, jak w moją dłoń wsuwa się ziarno kawy.

Sięgam w dół, by dotknąć jedynej części jej ciała, która pozostaje poza zasięgiem wzroku Beya i Hectora – owijam dłoń wokół jej kostki i ściskam przez moment.

Oczy dziewczyny pozostają niewzruszone. Nic. Aż nagle zauważam, że ona drży, jakby zachowanie tej pozy kosztowało ją zbyt wiele wysiłku.

* * *

Z Biokobobo przecinamy płaską nieckę Dahelimale i zaczynamy wędrówkę ku góróm. Czasem mijamy tereny uprawne – długie, wąskie pasy, porozrzucane bez żadnego ładu wśród pustynnej roślinności. Wysokie czarne postaci przesuwają się po horyzoncie, zawsze w tej samej pozycji: kij ułożony w poprzek na barkach, obie ręce wygięte pod nim, dłonie zwisają swobodnie. Kobiety owijają się w chusty z przewiewnej tkaniny – szkarłatne, turkusowe lub zielone. Czoła zdobią piastrami. Dzieci chodzą nago. Chaty wyglądają jak sterty skór i tkanin. Ma się tu wrażenie, że nic nie jest trwałe.

Ta niekończąca się podróż zaczyna nas męczyć. Znikło już poczucie zagrożenia, które towarzyszyło naszemu wyjściu z pustyni, a góry każdego ranka pod koniec całonocnego marszu wydają się tak samo odległe jak na początku.

Droga Emily.

Patrzę na pustą kartkę. Jest jak solna pustynia – lśniąca biała powierzchnia, która oślepia mnie odbitymi promieniami słońca. Czuję, że słowa mnie opuściły, tak jak wszystko inne.

Zamykam oczy. Widzę przed sobą jej twarz. Marszczy czoło. „Uważaj, Robercie”, mówi. Uśmiecham się, otwieram oczy. Kartka przede mną wciąż zionie

pustką.

– Kawa! – wzywa Bey.

W obozie unosi się zapach palonej kawy. Składam kartkę i wsuwam do wewnętrznej kieszeni.

– Idę.

Czy to moja wyobraźnia sprawia, czy dzisiaj Bey przygląda się Fikre i mnie z większą uwagą niż zwykle podczas ceremonii kawy? Głęboko osadzone oczy są poważne, puste. Fikre przemywa nam twarze, następnie rozdaje naczynia. Nie ma możliwości przekazania czegośkolwiek.

A jednak! Na dnie filiżanki... jest. Pojedyncze ziarenko wtulone w fusy po wypitej przeze mnie kawie.

* * *

Wiele godzin spędziłem, zastanawiając się nad znaczeniem ofiarowania mi ziarenek kawy. Czy gatunek ziarna coś znaczy? Kiedy przyjrzałem się im dokładniej, stwierdziłem, że to zwyczajna mokka z Haram, ziarna, z których parzy się każdą kawę.

I nagle zrozumiałem. To nie ziarna są wiadomością, jest nią sam gest przekazania ich w tajemnicy. Fikre mówi mi, że pokłada we mnie zaufanie – jedyne, co jej pozostało na tym świecie, jedyne, co może ofiarować.

Wreszcie, dwie noce za Biokobobo, Bey wdaje się w rozwlekłą dyskusję z Hectorem o wadach i zaletach

karbowania. Ja nie zabieram głosu i po troszeczku przesuwam się na tył karawany, gdzie maszeruje Fikre. Ona rozgląda się, a potem także zostaje z tyłu. Jakby przypadkiem, oboje spotykamy się wśród beduinów, osłonięci ze wszystkich stron wielbłędami.

Zawsze istnieje możliwość, że ktoś nas podsłucha. Mówimy więc szyfrem, a raczej banałami.

– Twój angielski jest bardzo dobry – zaczynam cicho.

– Po francusku mówię lepiej.

– Je suis Robert. Robert Wallis.

– *Oni, je sais. Je m'appelle Fikre.* Po abisyńsku to znaczy „miłość”.

– Moje imię, niestety, nic nie znaczy.

– Ale to przynajmniej twoje własne imię – dodaje, wykrzywiając usta w cierpkim uśmiechu.

– A więc Fikre...

– ...to imię, które nadał mi mój pan. Jak pies nie mam nic własnego, nawet imienia.

Po raz pierwszy czuję tę siłę... Jak Bey ją nazwał? Brak uległości? Może lepszym słowem byłaby pasja. Ta drobna dziewczyna jest jak wzburzone kłębowisko nagromadzonych uczuć: złości i goryczy.

Nagle rzuca się przed siebie. Bey z niepokojem obserwuje tył karawany. Po chwili dzieli nas już trzydzieści stóp.

Teraz rozumiem, jaką jeszcze wiadomość zawierały

ziarna kawy. Błędnie uznałem jej drżenie, owo napięcie, za strach. Tymczasem to nie strach jest uczuciem dominującym w życiu tej dziewczyny, lecz silny, przejmujący gniew. Tak jak inną kobietę mogłaby opętać miłość, tak Fikre opętała nienawiść do człowieka, który ją kupił, a tym, co przyciąga ją do mnie, jest kusząca perspektywa zemsty.

TRZYDZIEŚCI TRZY

„Słodka” – przyjemnie czysta delikatna kawa pozbawiona wszelkiej goryczy.

L.K. Smith, Coffee Tasting Terminology

Obiad jest bardzo udany. Wraz z Arthurem Brewerem Pinker zaprosił starszego Lyle’a – obecnie głównego sprzymierzeńca w wojnie z Howellem – i kilku innych przedstawicieli wolnego handlu. Emily ma nadzieję, że będzie siedzieć obok parlamentarzysty. Oczywiście, gdy siadają do stołu, okazuje się, że jej miejsce jest po jego lewej stronie, co obojgu sprawia przyjemność, a jednocześnie wzbudza w niej niepokój. Nie martwi się tym, że będzie musiała dotrzymywać gościowi towarzystwa – nie wątpi w swoją zdolność prowadzenia błyskotliwej konwersacji na tematy polityczne – lecz dobrze wie, że ojciec nigdy nie posadziłby jej tutaj, gdyby me uważał, że obojgu będzie to odpowiadało.

Dopiero po zjedzeniu zupy Brewer odwrócił się od kobiety po swojej drugiej stronie, by porozmawiać z Emily.

– A więc – zaczął z uśmiechem – co pani sądzi o próbie Lyle’a, by przełamać monopol na rynku cukru?

– Była dramatyczna – odpowiada. – Ale proszę mi powiedzieć... jako liberał... czy nie ma wewnętrznej

sprzeczności w zjawisku wolnego rynku?

– W jaki sposób? – Unosi brwi.

– Jeżeli cena, powiedzmy cukru, jest sztucznie utrzymywana na wysokim poziomie, czyż to nie pozwala takim ludziom jak sir Henry Tate oferować swoim robotnikom lepsze warunki?

– Ma pani rację, ale to go do tego nie obliguje.

– Za to, jeśli zdać się wyłącznie na prawa rynku, to pracownicy zawsze będą otrzymywać możliwe minimum.

– W istocie.

– Czyli wolny rynek może działać na niekorzyść wolności osobistej robotników, odmawiając im tych możliwości, które powinna im dawać wolność. Nie będą wolni od chorób, ubóstwa czy degradacji moralnej ani nie będą mieli możliwości i motywacji do wybicia się ponad ich obecny stan.

Wpatruje się w nią z podziwem.

– Panno Pinker... Emily... właśnie streściła pani w kilku elokwentnych zdaniach treść debaty, która aktualnie toczy się w naszej partii.

– Naprawdę? – Poczwała się niezwykle miło połączona tym komplementem.

– Gladstone uważał oczywiście, że gdyby pozwolić wszystkiemu toczyć się własnym rytmem... *laissez Jaire*... to wyjdzie wszystkim na dobre. Ale powoli zaczynamy dostrzegać wady takiego podejścia. Czy wiedziała

pani, że połowę mężczyzn powołanych do służby wojskowej w wojnach burskich trzeba było odesłać z powrotem do fabryk? Po prostu nie byli zdolni do walki. Teraz niektórzy z nas rozważają coś, co nazywamy konstruktywnym liberalizmem albo *pozytywną wolnością*, kiedy to rząd stoi na straży niezależności i dobrobytu jednostki.

– Co to oznacza w praktyce?

Arthur rozkłada ramiona.

– Całkowitą zmianę w pojmowaniu roli państwa. W zasadzie wzięlibyśmy na siebie wiele obowiązków, które obecnie wypełniają świątli pracodawcy. Na przykład, czemu wszyscy robotnicy nie mieliby mieć prawa do opieki medycznej w jakimś zakresie? Do płatnych zwolnień chorobowych? A nawet emerytur?

Emily z trudem powstrzymuje głośnie westchnienie.

– I taka będzie wasza polityka?

– Tak.

– A skąd pieniądze?

– Cóż, na pewno nie z ceł z importu kawy lub herbaty... chcemy je obniżyć. Dyskutujemy o jakiejś formie funduszu państwowych ubezpieczeń, do którego każdy pracujący wpłacałby składkę zależnie od możliwości. – Uśmiecha się. – Trzeba przyznać, że mamy przed sobą daleką drogę. Nawet w ramach naszej partii Gladstone pozostawił istotny ślad. No i – opuszcza wzrok – wśród tych, których wsparcia potrzebujemy, są jeszcze nieprzekonani.

– Czy mogłabym jakoś pomóc?

– Żartuje pani?

– Nigdy w życiu nie mówiłam poważniej. – Właśnie w to zawsze wierzyła: w istnienie jakiegoś sposobu pośredniego między paternalizmem oświeconych torysów a bezwzględnością wolnego rynku. Żeby był przy tym radykalny... ekscytujący... nie jakiś nudny kompromis, lecz całkowicie nowe rozwiązanie. To wystarcza, by krew w jej żyłach zaczęła żywiej krążyć.

– Czy byłaby pani gotowa do pracy w okręgu wyborczym? – pyta niepewnie Brewer. – W moim okręgu, w Ealing, pilnie potrzebujemy...

– Oczywiście, w każdej chwili!

– O czym tak radzicie? – odzywa się serdecznie Pinker ze szczytu stołu. – Brewer, cóż pan tam knuje z moją córką?

Odpowiadając, Arthur nie spuszcza wzroku z Emily.

– Panna Pinker jest chętna do pomocy, Samuelu. Nie wiedziałem, że tak się interesuje polityką. Oczywiście najpierw zwróciłbym się do pana o pozwolenie.

Pinker uśmiecha się pobłażliwie.

– To, w jaki sposób Emily spędza wolny czas, to jej sprawa. Jeżeli może ci się do czegoś przydać, Arthurze, to śmiało korzystaj z jej pomocy.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

„Bogaty” – wskazuje, że opary i substancje lotne są obecne w wyraźnie wyczuwalny, intensywny sposób.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Następnego popołudnia, gdy próbujemy się zdrzemnąć, ciszę przeszywa huk wystrzałów. Budzę się i półprzytomny widzę, jak trzech beduini kogoś przytrzymują. Schwytany człowiek o coś błaga, słowa płyną z jego ust niepohamowanym strumieniem. Każą mu wstać, znowu popychają na ziemię, kopią, a on cały czas się opiera. Chyba został złapany na kradzieży towarów Beya.

Pospiesznie zostaje zwołany sąd – krąg kuczających beduinów, miejsce dla Beya pośrodku, a po bokach dla Hectora i dla mnie. Czuję, że zdarzy się coś nieprzyjemnego, i próbuję się wymigać, lecz beduini nie dają za wygraną.

– Musisz na to patrzeć, Robercie – mówi Bey beznamiętnym głosem. – Wyrządzili nam wielką przysługę, sprowadzając go przed sąd.

Siadam z niechęcią na wyznaczonym miejscu. Mężczyzna zostaje wprowadzony do środka kręgu i rzucony na kolana przed Beyem. Następuje krótka

wymiana zdań, po której kupcowi zostaje wręczony miecz.

Dwaj beduini podnoszą oskarżonego do pozycji pionowej. Rozprostowują jego ciało i podtrzymują z obu stron za rozciągnięte ręce. Jego protesty przeradzają się w cienki pisk. Bey podchodzi bliżej. Śmiga ostrze. Jeden z mężczyzn przytrzymujących więźnia upada do tyłu, w chwilę później skazaniec pada w przeciwną stronę.

Ten, który trzymał więźnia za lewą rękę, nie puszcza, a ukarany w szoku wpatruje się w kikut, z którego silnymi strumieniami chlusta krew.

Swobodnie, bez pośpiechu, jeden z przewodników opatruje mężczyźnie krwawiący nadgarstek. Odcięta dłoń zostaje rzucona na ziemię przed Beyem, który zupełnie ją ignoruje. Odrzuca miecz i wychodzi z kręgu. Beduini, którzy dotąd zachowywali pełne napięcia milczenie, zwracają się do siebie, zaczynają rozmawiać i pokrzykiwać, zupełnie jakby byli na wieczorku towarzyskim.

* * *

Później widzę Beya przy bagażach. Wygląda pośpiesznie. Nie chcę mu przeszkadzać, ale on podchodzi do mnie.

– Pewnie uważasz to za barbarzyństwo – mówi oschle.

– Nie wydaję sądów.

– Gdybym nie wykonał tego wyroku... a taką karę przewiduje prawo... oni by go zabili. A do tego uważaliby mnie, ciebie, nas wszystkich *ferengi*, za słabych, niezdolnych do działania. A to mogłoby być dla nas bardzo niebezpieczne.

– Rozumiem.

– Czyżby? – Przygląda się mojej twarzy, jakby szukał w niej czegoś, co przeczyłoby moim słowom. Cokolwiek w niej dojrzał, chyba go zadowoliło, gdyż chrząknął i powiedział: Ech, Robercie, gdyby tak ci, którzy piją kawę w Londynie, wiedzieli, ile ona naprawdę kosztuje.

* * *

Posuwamy się w kierunku gór. Na niedostępnych skałach widać ruiny, do których docierają jedynie drapieżne ptaki. Spotykamy zwierzęta, małe i chude, z wysokimi rogami w kształcie liry. Nawet wioski są tutaj inne. Miejsce garbatych namiotów nomadów zajęły konstrukcje z drewna i słomy, mieszkańcy mają okrągłe twarze i ptasie nosy, jak Aborygeni. To wszystko stanowi dziwną mieszankę średniowiecza i prehistorii – wcale bym się nie zdziwił, gdyby na horyzoncie nagle pojawił się krzyżowiec na rumaku.

* * *

Rozbijamy obóz nad górskim jeziorem pełnym pelikanów. W wiosce kupujemy ryby. Migoczące łuski wyglądają jak wykonane z metalu. Rozpalamy ogniska i pieczemy ryby nadziane na patyki. Beduini szemrzą między sobą podczas jedzenia, a później jeden po drugim zasypiają.

Ziemia jest twarda, noc zimna. Wstaję i przysuwam się bliżej ognia.

Nagle jego blask pada na twarz na wprost mnie. Wpatruje się w żar ogniska. W bystrych, gniewanych oczach i na lśniącej skórze odbijają się płomienie. Poniżej chustki otulającej głowę widzę filigranowe rysy. *Każda dziewczyna w Londynie dałaby wszystko za takie kości policzkowe.*

– Nie mogę przestać o tobie myśleć – szepczę.

Przez moment wydaje mi się, że nie zrozumiała. Wtem odzywa się z tym śpiewnym akcentem.

– Nie mów tak. On tak mówi.

– Może to prawda.

– Opowiedział ci, jak mnie kupił? – pyta pogardliwie.

– Tak.

– Lubi to opowiadać. Pewnie nie przyszło mu do głowy, że może wolałabym, żeby mnie kupił ten drugi.

– A wolałabyś?

Wzruszyła ramionami.

– Przed aukcją musiałyśmy zebrać swoje rzeczy.

Wiedziałam, gdzie w rezydencji na ścianie była pęknięta szklana płytką. Dłubałam tak długo, aż wydłubałam szkło. Zawinęłam je w swoje ubrania. Mój plan był taki, że kiedy nowy właściciel sięgnie po to, za co zapłacił, podetnę mu gardło, a potem skończę ze sobą. – Jej oczy wracają ku gasnącym płomieniom. – Czekałam co noc. Lecz Bey nie przychodził. To mogło tylko znaczyć, że chce mnie sprzedać. Ale tego też nie robił. Byłam zdumiona... i wtedy zaczęłam rozumieć. Chciał mnie wykorzystać, a jednocześnie zachować jak cenny przedmiot, który tylko on może wyjmować ze szkatułki, żeby sobie popatrzeć i schować z powrotem.

Zwraca głowę w moją stronę, unosi podbródek. W półmroku widzę jej śnieżnobiałe zęby za rozchyłonymi wargami.

Pochyliam się ku niej. Chwila wahania... i zbliżam usta do jej ust. Ujmuje dłońmi moją głowę i szepcze:

– Mogą mnie kupować i sprzedawać. Ale moje serce należy tylko do mnie.

Całujemy się znowu, z jeszcze większym zapamiętaniem. Ona rozgląda się po śpiących sylwetkach.

– Musimy uważać. Za mniejsze przewiny można stracić życie. – Chwyta za koce i *naciąga* je *na* nasze głowy.

W ciemnościach, pod tymi przytulnymi kocami – niczym w dziecięcej kryjówce – czuję zapach jej oddechu: mirrę, cynamon, fiołki, piżmo... i smak jej skóry, języka, słodkie ciepło pocałunków; słyszę dźwięki, które

z siebie wydobywa, delikatne westchnienia.

Oraz słowa, które szepcze, łaszac się czule do moich warg:

– Czekałam na ciebie całe życie.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

„Skórzany” – intensywny, zwierzęcy zapach dobrze wyprawionej skóry.

Lenoir, Le Nez du Café

W tej sytuacji Emily dodaje do swych rozlicznych zainteresowań działalność polityczną na rzecz liberałów. Trzy razy w tygodniu jeździ pociągiem ze stacji Waterloo do Ealing, by pomagać w biurze Arthura. Wśród wolontariuszek spotyka kilka innych sufrażystek. Praca jest ciekawa, a nawet – budzi dreszcz emocji, bo towarzyszy jej poczucie braterstwa, pełnienia misji przez wszystkich tych ludzi z różnych środowisk, o różnej motywacji, którzy łączą swe siły w służbie ideałom.

Albowiem wszystkie ideały są powiązane. Tak teraz Emily postrzega świat – jako podzielony na tych, którzy chcą go wyzyskiwać tylko dla własnych celów, i tych, którzy pragną go zmieniać dla dobra ogółu. Jeżeli jest się po stronie zmian, służy się wspólnej sprawie z innymi idealistami. Nieważne, który aspekt przemian leży komuś szczególnie na sercu – prawa wyborcze kobiet, reforma więziennictwa, ustawy o ubogich czy reforma emerytalna – wszyscy ci ludzie są po jednej stronie i wspólnie działają na rzecz zdobycia władzy.

A Arthur – on jest przywódcą tej niewielkiej grupy,

nie wywyższa się, zawsze pamięta o podziękowaniu im za wkładany wysiłek. Czasem zaprasza kilku pomocników na herbatę w Izbie Gmin. Któregoś dnia w takiej grupie znajduje się Emily. Sprawia jej to szczególną przyjemność, gdyż nie czuje się wyróżniona spośród pozostałych. On odprowadza ją na galerię dla pań, skąd kobiety ukryte za specjalną siatką mogą obserwować pracę parlamentu. Debata dotyczy wojny – liberałowie naciskają, by rząd zagwarantował pracę tym, którzy zostali wysłani na front. Emily jest zaskoczona panującym zgiełkiem: Izba nieodparcie kojarzy jej się z giełdą. Jednakże tutaj agresja i walka są ubrane w jeszcze więcej rytuałów. Mężczyźni obrzucają się wyzwiskami, a pięć minut później przyjaźnie się obejmują, wychodząc z sali.

Arthur zadaje pytanie. Zostaje wysłuchany z należytą uprzejmością i wygląda na to, że wygrywa jakąś kwestię formalną. Siada wśród chóru głosów: „Racja, racja”. Później, gdy spotyka się z Emily w holu, wyraźnie triumfuje.

– Widziałaś, jak pogoniłem Admiralicję?! – wykrzykuje. – Nie spodoba im się to.

Emily składa mu gratulacje. Mija ich grupa mężczyzn. Jeden z nich zatrzymuje się.

– Dobra robota, Brewer – mówi poufale, klepiąc go po ramieniu,

– Dziękuję – odpowiada Arthur z dumą.

Wesołe, błyszczące oczy obcego mężczyzny zwracają się w stronę Emily.

– Z kim mam przyjemność? – pyta.

– Panna Emily Pinker, sir Henry Campbell-Bannermann. Wielki reformator – ostatnie zdanie Arthur dodaje na użytek Emily.

– I co pani sądzi o naszym parlamencie, panno Pinker?

– Jest wspaniały – odpowiada szczerze. – Tylu tu ludzi, którzy starają się działać, posuwać świat naprzód.

– W istocie, chociaż także tyle samo tych, którzy próbują robić coś zupełnie przeciwnego – mówi sir Henry, zabawnie potrząsając głową. Zebrani wokół mężczyźni wybuchają śmiechem. Przez chwilę Emily czuje ciepło przynależności do tego inteligentnego, energicznego, sprawnie działającego braterstwa.

– Pannę Pinker interesuje przede wszystkim kwestia praw wyborczych kobiet – wyjaśnia Brewer.

– A! I jak pewnie pani zauważyła – sir Henry wskazuje młodych ludzi wokół siebie – wszyscy tu jesteśmy mężczyznami. Nazywamy to miejsce matką parlamentów, a wykluczamy z obecności w obu Izbach te, które mogłyby być matkami. Może, panno Pinker, dożyjemy czasów, gdy będzie pani mogła nie tylko wybierać, ale też być wybieraną.

– Naprawdę pan tak sądzi?

Uśmiecha się, jakby pytał, czy można w to wątpić. Skinąwszy głową, odchodzi, pogrążony w rozmowie z asystentem. Jego orszak podąża za nim. Emily wciąż czuje ten optymizm, który udało mu się w niej rozpaścić.

Kiedy Arthur się z nią pożegnał, odprowadziwszy ją do stacji metra przy Moście Westminsterskim, poczuła się opuszczona, jakby surowy, choć uprzejmy, anioł wygnał ją z raju.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Kolejny dzień podróży. Krajobraz wokół nas się zmienia. Teraz zbocza gór są przekopane pod uprawy. Gdy spojrzeć z wysokich przełęczy w dół, wszystko wygląda tak, jakby jakiś olbrzym przeczesał ziemię grzebieniem.

Czasem dostrzegam tu czy tam pojedyncze krzewy z ciemnymi błyszczącymi liśćmi.

Hector mruczy z zadowoleniem:

– Widzisz? Kawa.

Zaintrygowany prowadzę swego rumaka w pobliże jednego z takich krzewów, żeby bliżej się mu przyjrzeć. Cała roślina obsypana jest maleńkimi białymi kwiatuskami, których płatki, gdy zgniatam je palcami, wydzielają słodką woń. Są gęste, grube, niemal jak u kaktusa, nasycone wonnym sokiem. Pachną kawą, lecz wyczuwam także woń wiciokrzewu i jaśminu, przebijającą się nawet przez smród moich brudnych spoconych ubrań.

Z każdej gałązki zwisają żółte wisienki, pulchne i mięsiste. Odrywam jedną i rozgryzam. Miąższ jest cierpki, kwaskowaty jak cytryna.

Ten zapach, jak zauważam, najsilniejszy jest wieczorem. Gdy zapada ciemność, smużki charakterystycznego aromatu krzewu kawowego snują się w powietrzu i pieszczą mi podniebienie. Przechodząc,

rozrywam je, jakby to były aromatyczne nitki babiego lata unoszące się swobodnie w nieruchomym powietrzu.

* * *

Na każdym postoju Fikre przyrządza dla nas kawę, mocną i aromatyczną. Kiedy przesuwając serwetką po mojej twarzy, czuję delikatny dotyk jej palców. Głoszcze mnie łagodnie, powoli, pozostawiając na moich wargach, powiekach i ściankach nosa wspomnienie cudownych chwil. Z trudem łapię oddech. Te karesy zdają się wieczne, choć podejrzewam, że nie poświęca mi więcej czasu niż Hectorowi czy Beyowi.

Przed odejściem zawsze pozostawia po sobie ziarno kawy w mojej dłoni. Jeśli nie uda jej się wsunąć mi go do ręki, wtyka je w inne miejsca: za kołnierzyk czy między guziki koszuli. Znajduję je później, gdy już jesteśmy w drodze – małe delikatne ślady na moim ciele, świadczące o jej obecności, jak ziarenko piasku w sercu perły. Czasami chwytam jej spojrzenie, radosny uśmiech przeznaczony tylko dla mnie i szybko tłumiony, błysk białych zębów i białych oczu spod chusty na głowie.

Dni są upalne, duszne, bezwietrzne. Moje powieki opadają jak pod wpływem narkotyków. Miarowy krok wielbłądów rozsadza mi czaszkę, przywodzi na myśl powolny nieprzerwany rytm stosunku seksualnego.

W skołowanej, otumanionej głowie roją się lubieżne myśli, które tańczą przede mną niczym małe owady.

Mógłbym je przegnać, ale wiem, że za parę chwil powrócą.

* * *

Kolejny postój. Tylko raz udaje mi się porozmawiać z Fikre. Przy rozładunku bagaży kryjemy się za wielbłędami.

– W Hararze jest magazyn, który Bey chce wynająć – mówi szybko. – Kiedyś należał do francuskiego handlarza kawą. Obiecuj, że go zajmiesz.

– Dobrze.

Wielbłądy się rozchodzą. Fikre znika, nim ktokolwiek ma okazję coś zauważyć.

* * *

Trzymam się tylnej części karawany, więc w pierwszej chwili nie widzę, dlaczego się zatrzymujemy. Dołączam do pozostałych, którzy dotarli do krawędzi.

Przed nami, wtulone w żyzną górską kotlinę, rozciąga się wielkie jezioro, a za nim miasto. Nawet z tej odległości widać otaczające je mury i fortyfikacje, długie, postrzępione flagi powiewające na dachach, brązowe gliniane domy i białe kopulaste minarety oraz drapieżne ptaki krążące nad miastem niczym muchy garnące

się do zgniłego owocu.

– Harar. – Bey ogłasza oczywiste. – Jesteśmy na miejscu.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

„Goździk” – ten smakowity złożony zapach przypomina goździki korzenne, kwiat goździka, zapach apteczki, wanilii i produktów wędzonych. Jest ceniony za swoją delikatność i korzenną różnorodność, która przydaje kawie głębi.

Lenoir, Le Nez du Café

Tę woń czuć, jak tylko przejdzie się przez drewnianą bramę; cierpki, ziemisty zapach palonych ziaren, unoszący się z wielu okien. Po ulicach krążą sprzedawcy kawy, nosząc parujące dzbanki pod pachami. Stragany na bazarze pełne są jutowych worków, z których wysypują się ziarna. Widać, że to miasto kawy.

Ibrahim zabiera mnie do magazynu francuskiego kupca – ładnego dwukondygnacyjnego budynku z widokiem na targ. Jest pusty, jeśli nie liczyć kilku rzeczy osobistych pozostawionych przez poprzedniego najemcę. Księga rachunkowa prowadzona po francusku, kilka listów, sekretarzyk z kilkoma książkami, łóżko polowe. Całe to miejsce sprawia wrażenie opuszczonego w pośpiechu. Bey twierdzi, że ten najemca nie miał szczęścia. Przybył do Afryki jako młody człowiek pragnący zbić majątek na kawie, lecz wplątał się w podejrzone transakcje. Po jakimś czasie stracił władzę

w nodze. Wrócił do Marsylii, a później jego siostra napisała, że zmarł. Bey jest bardzo zadowolony, gdy mówię, że przejmę tę dzierżawę.

Tymczasem Hector zatrudnia brygadzystę Jimo, doświadczonego w uprawie kawy. Nie chce pozostawać w Hararze ani chwili dłużej niż to konieczne.

– Wyjeżdżamy jutro. Gdy tylko kupię nasiona pod naszą uprawę.

– Kilka dni nie zrobi chyba różnicy...

– Mylisz się. Teraz jesteś farmerem, Robercie, musisz zacząć dostosowywać się do pór roku. Deszcze...

– Ach tak, deszcze. Zapomniałem o deszczach.

Przeklina pod nosem i odchodzi.

* * *

Na targu znajduję nie tylko kawę, ale też szafran, indygo, cybet i kość słoniową, a także różne owoce, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Spotykam też Fikre robiącą zakupy.

Ma na sobie ciemnoczerwoną szatę, której górna część zasłania włosy. Odwraca głowę i czuję, jak na widok jej idealnego profilu moja krew zaczyna krążyć szybciej.

– Nie możesz się ze mną pokazywać – szepcze, wybierając mango i ściskając je szczupłymi ciemnymi palcami, jakby interesowała ją jedynie jego dojrzałość.

– Wziąłem dom francuskiego kupca – mówię. –
Możemy się tam spotkać?

Podaje sprzedawcy monety.

– Postaram się przyjść o zmierzchu.

I znika – ciemnoczerwona szata rozplywa się
w ciemnościach.

* * *

O zmierzchu czekam.

Kręcę się po domu. W kątach są liczne gniazda os,
pod sufitem zadomowiła się papuga, której odchody
widać na podłodze. Dla zabicia czasu przeglądam pa-
piery francuskiego kupca.

*Przedmiot: 1 motek kolorowej wełny. Niebieska
merino jest dobrej jakości, tak jak czerwona
flaneta, a za cenę, którą proponuję, nie ma się
czego obawiać, chyba że robaków, jeżeli będzie
trzymana zbyt długo, ale obecnie jest w dobrym
stanie...*

Słyszę szelest. Podnoszę głowę. Jest tutaj, biegnie
w moją stronę, jej białe stopy odbijają się od drewnianej
podłogi. Oczy błyszczą pod czerwonym kapturem. Za-
trzymuje się. Przez chwilę patrzymy na siebie – jeśli
mamy się wycofać, to tylko teraz. Później rozkładam

ramiona, a ona podbiega z zapartym tchem. Jej skóra ma smak kawy, usta i szyja wciąż pachną dymnym, przypieczonym zapachem palonych ziaren, którym przesiąkły podczas całego dnia pracy przy workach Beya. Na tym nie koniec, jeszcze melanz korzeni i kwiatów: kardamon, woda różana, mirra.

W końcu się odsuwa.

– Nie miałam pojęcia, że to będzie tak – szepcze, kładąc mi dłoń na policzku.

– Jak?

– Że tak bardzo będę cię pragnęła. Jakbym była głodna.

Czuję, jak jej palce przesuwają się pod moją koszulą, jak chłoną moją skórę, gdy znów się całujemy.

– Nie mogę zostać – wyjaśnia. – Mam tylko kilka minut, ale musiałam cię zobaczyć.

Przytula się do mnie. Przyciskam ją mocno, płonąc z podniecenia.

– Musimy poczekać – mówi jakby sama do siebie.

– Na co? – Wzdycham.

Każde zdanie trwa wieczność, słowa wciskają się między pocałunki.

– Aż wyjedzie. Z powrotem na wybrzeże z kawą.

– I co wtedy?

– Nie rozumiesz? Chcę ci się oddać. To jedyny sposób.

* * *

Patrzyła na mnie triumfująco. Wszystko sobie obmyśliła. Odda mi swoje ciało, aby zniszczyć cenne dziewictwo. Inwestycja Beya zostanie zniweczona, jakby wziął cały majątek i rozsypał po pustyni. To będzie jej wielka zemsta na człowieku, który ją kupił.

– Kiedy się dowie, wpadnie we wściekłość.

– Tak – potwierdza – zabije mnie. Ale zabija mnie i tak, kazać mi żyć w ten sposób. A gdybyśmy spędzili razem noc... – Patrzy mi w oczy. – Będzie warto. Przy najmniej umrę, wiedząc, czym jest miłość.

Nie mogę się na to zgodzić.

– Musi być inny sposób. Mniej niebezpieczny.

Kręci głową.

– Nie martw się, nigdy się nie dowie, że to byłeś ty. Nawet gdyby mnie torturowali przed śmiercią.

– Nie musisz umierać – protestuję wzburzony. – Posłuchaj mnie, Fikre. Nikt nie musi umrzeć.

– To bez znaczenia – szepcze. – Jedna noc miłości, a potem śmierć. To wystarczy.

– Nie, Fikre. Obiecuję, że coś wymyślę.

– Pocałuj mnie – mówi, a ja spełniam tę prośbę. – Jestem gotowa na to, co mi zrobi. Musimy poczekać, aż wyjedzie. Tylko do tej chwili.

Wypuszczam ją z objęć z westchnieniem. Odchodzi kilka kroków, waha się, ostatni raz spogląda na mnie. Po chwili pozostaje po niej tylko ten zapach – kawy, wody różanej korzennych przypraw.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Yamara,
sierpień

Drogi Huncie!

Pozostawiliśmy za sobą ostatnie ślady cywilizacji i zmierzamy w głąb dżungli w poszukiwaniu terenu pod plantację. Przypomina to podróż w czasie do epoki kamiennej – nie ma tu żadnych budynków oprócz chat krytych strzechą, żadnych dróg prócz szlaków wytyczonych przez zwierzęta, a korony drzew są tak gęste, że tworzą nad nami szczelny dach, przez który widzimy tyle słońca, ile robaki grzebiące w ziemi. Czasem napotykamy polany, na których wznoszą się olbrzymie drewniane fallusy wysokości człowieka, pomalowane w kolorowe wzory. Sądzymy, iż są to pewnego rodzaju ju-ju, czyli fetysze.

Spotykamy różnych tubylców – chyba w każdej wiosce mieszka inne plemię. Mężczyźni noszą bransolety z kości słoniowej i miedziane kolczyki w uszach, a kobiety farbują włosy na czerwono lub malują twarze wapnem. Wszyscy – mężczyźni, kobiety i dzieci – palą wielkie cygara ze zwiniętych liści tytoniu i nikt się nie przepracowuje. Wczoraj wymieniłem haczyki wędkarskie za naszyjnik z zębów lwa. Sądząc z zapaszku, ten lew był drapieżnikiem raczej nie używał szczoteczki do zębów. Wyobrażam sobie jednak, że moja zdobycz wywoła

niemałą sensację, gdy pojawię się z nią w Café Royal.

Zdarzyło się coś jeszcze – coś tak dziwnego, że aż waham się o tym pisać, abys nie uznał, iż oszalałem. Muszę jednak komuś się zwierzyć, a z pewnością nie może to być Hector. Słuchaj więc, przyjacielu: wydaje mi się, że się zakochałem. Tak, brzmi to niedorzecznie, tutaj, pośrodku dżungli, wpadłem w sidła wielkiej namiętności. Przedmiotem moich uczuć jest dziewczyna o imieniu Fikre, Afrykanka. Jakby tego było mało, jest służącą – tak by to można określić. Ale jest bardzo dobrze wykształcona i wiodła niezwykle życie. Jak zapewne się domyślasz, delikatna sytuacja – dama, o której mowa, jest już związana z kimś innym, kogo jednakże nie darzy uczuciem. Cokolwiek się stanie, nie wiem, jak mógłbym ją kiedykolwiek poślubić, a poza tym byłoby niezręcznie zrywać zaręczyny z Emily, bo przecież jestem zarządcą plantacji jej ojca. Jak widać pod każdym względem sprawa jest delikatna. Wiem jedynie, że nigdy dotąd wobec nikogo nie żywiłem takich uczuć, i podejrzewam, że ona czuje do mnie to samo. Podróżuję w stanie swojego uniesienia, z tępym uśmiechem na twarzy, myśląc o ostatnim z nią spotkaniu. Hector oskarżył mnie nawet o zażycie khat, tutejszego narkotyku! Jednakże jeśli pominąć to otepienie, czuję się tak pełen życia, jak nie czułem się od miesięcy.

Nie mam pojęcia, kiedy wyślę ten list: może uda mi się powierzyć go komuś, kto będzie podróżował na wybrzeże. Czasem, spoglądając w dół przez prześwity w gąszczu na bezkresne doliny porośnięte zielenią, mam

wrażenie, że przekraczam próg, jakbym przedzierał się przez wielki żywopłot i za chwilę miał całkowicie zniknąć: z widoku.

Twój

Robert

CZEŚĆ III

Prawo dżungli

Zakładanie nowych dystryktów oznacza pozyskiwanie nowych pól na przedsiębiorstwa i napływ kapitału, przez co zmienia się oblicze tych regionów, które, choć niegdyś skryte w gęstej dżungli, obecnie coraz gęściej pokrywają się zielonymi ogrodami charakterystycznymi dla tego przemysłu i białymi bungalowami europejskich zarządców. Obserwowanie tego przechodzenia z rąk do rąk – spod panowania przyrody pod panowanie człowieka – jest przeżyciem, którego nie da się łatwo zapomnieć: obiecujące żyzne plantacje, wydarte ze szponów dzikiego barbaryzmu stanowią swoje enklawy, niczym górskie doliny otoczone zwartą ścianą lasu czekającego na swoją kolej, by pójść pod topór...

*Edwin Lester Arnold, Coffee: Its Cultivation
and Profit, 1886* ^[15]

Co jakiś czas umysł ludzki rozciąga się pod wpływem nowego pomysłu bądź odczucia i nigdy już nie kurczy się do dawnych rozmiarów.

Oliver Wendell Holmes, The Autocrat of the Breakfast Table

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

„Kwiat kawy” – to słodka woń pięknych białych kwiatów kawowca, które w XVIII wieku nazywano arabskim jaśminem, gdyż te dwie rośliny są tak do siebie podobne. To olejek eteryczny *jaminium grandiflorum* – bardziej owocowy i silniej pachnący niż olejek *jasminium sambac* – nadaje kawie tę pogodną nutę.

Lenoir, Lr Nez ilu Café

Gdy nad dżunglą wstaje świt, przez korony drzew przedostają się jednocześnie światło i dźwięk: pierwsze przebłyski dnia są witane kakofonią okrzyków, skrzypnięć, pohukiwań i grzechotań, które powoli zamieniają się w spokojniejsze, senne odgłosy poranka. Na wzgórzu biali mężczyźni chrapali na łóżkach polowych. W wiosce kobiety znosiły drewno na ognisko, miażdżyły kawę i udawały się do wąwozu, by się wypróżnić przed obudzeniem mężów. Świt był chłodny: śniadanie jedzono, siedząc w kucki przy ognisku, często pod okryciem z barwnych koców.

Jedynym tematem rozmów byli goście. Już wcześniej docierali tu biali – przejeżdżali przez wioskę długimi karawanami zwierząt i żywności – lecz tym razem było inaczej: ci przybysze zbudowali dom. Co prawda był to bardzo nędzny dom. zbyt blisko strumienia, więc

w porze deszczowej będą do niego garnać się mrówki, i zbyt blisko wąwozu, więc ich zwierzęta wcześniej czy później połamią sobie nogi, niemniej był to dom. Czego chcą? Nikt nie wiedział.

Był wśród nich jeden, który zachowywał się szczególnie dziwnie, Kiku, szamanka, siedziała samotnie, zadumana. Owszem, biali ludzie nie wydają się agresywni, ale ona boi się, że ich przybycie może oznaczać coś gorszego niż agresję. Nie wie, co to może być, a nawet skąd się bierze to przeczucie, więc może pochodzi ono od *ayyanaa*, duchów lasu, które czasami odkrywają przed nią tajemnice. Siedziała zatem, wsłuchując się w las, tak jak ktoś inny mógłby wsłuchiwać się w otaczające go głosy, aby rozróżnić szepty dobiegające z drugiego pokoju.

Zrozumiała, czego boi się las: zmiany. To ją zaskoczyło, bo chociaż strach przed zmianą leży w naturze człowieka, to zmiany nie dotyczą lasu. Można go wyburzyć jak wodę, można nim jak wodą poruszyć, ale tak samo jak woda zawsze w końcu wróci do poprzedniego poziomu i wszystko, co człowiek mu wyrządzi, wcześniej czy później zostanie wymazane.

– Powiem wam, co to jest – oświadczył młody mężczyzna nazywany Bayanna. – Oni przyszli zabić lamparta.

Wszyscy przyjęli to z aprobatą. Oczywiście – lampart! Od kilku miesięcy widywano go w dolinie, co wywoływało duży niepokój wśród rodziców małych dzieci. Gdyby biali ludzie przyszli go upolować, wszyscy

by na tym skorzystali – no, może z wyjątkiem lamparta, ale wszyscy inni; biały, który by go zabił, mógłby zrobić sobie odzienie ze skóry zwierzęcia, a mieszkańcy wioski poczuliby się bezpieczni. Jediną osobą w wiosce, która kiedykolwiek zabiła lamparta, był Tahomen, ich wódz, a stało się to dwadzieścia lat temu, gdy był młody. Czasami przywdziewał skórę drapieżnika, lecz była już przeżarta przez czerwie i inne owady i nie wyglądała tak imponująco jak kiedyś.

Ponieważ wszyscy chcieli, aby to lampart był powodem przybycia białych ludzi, powszechnie żywiono nadzieję, że tak jest. Nadzieja szybko zamieniła się w porozumienie, a porozumienie w pewność, tak że niebawem wszystko było ustalone, z wyjątkiem tego, kto pokaże białym najlepsze miejsca na upolowanie lamparta.

Las powiedział Kiku, że biali nie są zainteresowani lampartem, lecz nie wyjawiał jej, co ich interesuje. Może nie słuchała należycie, a może las nie wiedział; może las białych ludzi był tak daleko, że zrozumienie go wymagało czasu, tak jak podmuch wiatru potrzebuje czasu, by się przesunąć z jednej strony doliny na drugą. Na razie więc Kiku z nikim nie dzieliła się swoimi myślami.

* * *

Wtem usłyszeli trzaski i brzęk metalu, po czym na ścieżce rozległy się miarowe tapnięcia. Dwaj ludzie

w butach i trzeci bez butów, lecz tak samo nienawykły do chodzenia po lesie, zbliżali się w ich stronę. Mieszkańcy byli nie tylko zaskoczeni, ale niektórzy wręcz przerażeni. Jedne kobiety chwyciły dzieci biegnące ukryć się w chatkach, inne z dziećmi wybiegły na zewnątrz, by lepiej widzieć, co się dzieje. Hałas się wzmacniał, gdyż do trzasków spod nóg dołączyły głosy ludzi mówiących dziwnie gardłowym, niezrozumiałym językiem.

– To gdzieś tutaj, *sah* – powiedział ktoś.

– Podejrzewam, że tak czy inaczej już uciekli na drzewa – odezwał się ktoś inny pewnym tonem. – Umysł tubylca, Wallis, nie funkcjonuje tak jak umysł angielskiego robotnika. Udowodniono, że ich krew jest znacznie rzadsza i stąd działają wolniej. Oj, co to takiego?

– Wygląda na to, że znaleźliśmy ich siedzibę, Hectorze.

Mieszkańcy skonsternowani obserwowali, jak trzech mężczyzn wchodzi na polanę. Dwaj byli bardzo wysocy, o białej skórze, w ubraniach z obcego kraju – jeden z nich wyglądał groźniej przez gęstą rudą brodę, a drugi miał ubranie z zielonej alpaki i biały kapelusz. Trzeci, ciemnoskóry Adari, był w szacie z wzorzystej tkaniny, trzymał długi kij i rozglądał się wyniośle.

– Bardzo lepsze – powiedział, patrząc na mieszkańców z pogardą. – Kto wódz to dzikie miejsce?

– Chwileczkę, Jimo – przerwał mu rudowłosa mężczyzna wykonał krok naprzód. Słuchajcie wszyscy!

– huknął. – Przybyliśmy tutaj – wskazał na ziemię pod nogami – żeby uprawiać kawę. – Pokazał gestem napój, który jeden z tubylców pił z drewnianego kubka. – Jeśli będziecie dla nas pracować, i to pracować ciężko, będziecie dobrze zarabiać.

Zapadła cisza. Po chwili odezwał się Bayanna.

– On chyba chce kawy, zanim wyruszy polować na lamparta.

Mieszkańcy pokiwali głowami z ulgą. Racja. Bayanna zaoferował przybyszom pomoc.

– Zaprowadzę was do bestii. – Świadom, że nie rozumieją, co mówi, wskazał na skórę zwierzęcia na Tahomenie i pokazał gestem, jak rzuca włócznią. – *Disz dasz?* – powiedział z nadzieją w głosie.

– *Disz dasz?* – Hector zachichotał. – Świetnie. Miałem nadzieję, że uda się z nimi dogadać. Powiedz im: jutro wycinamy las. – Zaczął obrazować gestami rąbanie drzewa, co mogło też wyglądać jak walenie kijem w śmiertelnie ранego lamparta.

Jakiś młodzieniec zaczął podważać prawo Bayanny do poprowadzenia białych ludzi na polowanie.

– Ja! Ja! Ja was zaprowadzę! – Zerwał się i pokazując na siebie, z entuzjazmem odgrywał scenę młócenia kijem w lamparta.

– Wspaniale – zagrzemiał rudowłosy. – Wygląda na to, że mamy pierwszego drwala. I ty, chłopcze? Tak? I ty?

Inni młodzieńcy przepychali się do przodu, pragnąc

znaleźć się w grupie tych, którzy zostaną sowicie wynagrodzeni za to, że zaprowadzą białych do lamparta.

– Widzisz, Wallis? – Rudowłosy zwrócił się do swego towarzysza. – Patrz na działanie prostego kontraktu na ludzkie umysły! Obserwuj uniwersalny język handlu, który w jednej chwili przełamuje bariery między rasami. Krzepiący widok, nieprawdaż?

– W istocie – odparł drugi biały z powątpiewaniem w głosie. – Eeee... nie powinniśmy im wyjaśnić, że kupiliśmy tę ziemię? Ze teraz jesteśmy, że tak powiem, ich właścicielami?

– Wątpię, by ich prymitywne umysły były w stanie to pojąć. – Hector obiema rękami wskazał na las. – Ten las... to wszystko... ściąć! – krzyknął.

Grupa myśliwych zrozumiała, że prosi ich o radę, czy szukać lamparta na wschodzie. Wielu się zgodziło i zachęcali Hectora uśmiechami i ruchami głowy. Inni, przekonani, że lampart kryje się na zachodzie, uważali, iż trzeba iść w przeciwną stronę. W końcu, jak zaznaczyli w rozmowie z pierwszą grupą, biały człowiek nie będzie zadowolony, jeśli przebędzie daleką drogę na próżno.

Ci z frakcji wschodniej twierdzili, że wręcz przeciwnie, byłoby bardzo nieuprzejmie powiedzieć białemu człowiekowi przy pierwszym spotkaniu, że jest idiotą: że należy się z nim zgodzić, nawet jeśli zupełnie nie ma racji. Wywiązała się ożywiona dyskusja, w której frakcja wschodnia użyła argumentu nie do odparcia: jeśli poprowadzą białych ludzi na zachód jeśli istotnie znajdą lamparta, to przybysze wkrótce odejdą, jeśli jednak za-

proceedzi się ich na wschód, tak jak tego chcą, będą musieli wyruszyć na kolejne wyprawy na zachód, co może pociągnąć za sobą kolejne zapłaty *disz dasz*.

Jimo przechadzał się między mężczyznami i rozdawał im karty. Każda z nich, tłumaczył, jest podzielona na trzydzieści dni. Dzień, w którym będą ścinać drzewa, będzie zaznaczany, a kiedy zaznaczą cały miesiąc, otrzymają zapłatę. Młodzieńcy z grupy myśliwych zrozumieli go bardzo dobrze – to bilety świadczące o tym, że zostali wyznaczeni na przewodników. Niektórzy z wybranych zaczęli wykonywać taniec, podskakując energicznie i demonstrując śmierć lamparta.

– Aha! – krzyknął rudowłosy mężczyzna. – Jesteśmy tu zaledwie kilka chwil, a zobacz, jak zapaliliśmy ich do pracy! Ani się nie obejrzymy, jak wykarczują cały las!

– Może – zgodził się ten drugi.

Kiku przyglądała się tym przygotowaniom z rosnącym niepokojem. Miała wrażenie, że biali mówili o ścinaniu drzew, a nie zabiciu lamparta. Nie to ją martwiło – mieszkańcy sami także ścinali drzewa, kiedy potrzebowali budulca na chaty. Nie, tym, co niepokoiło Kiku, było to, że patrząc na dwóch białych mężczyzn, widziała wyraźnie, że obaj – każdy w inny sposób – byli zauroczeni. I jeśli się nie myliła, przynajmniej jeden z nich był pod wpływem uroku miłości.

* * *

Tej nocy młodzieńcy z wioski wykonali rytualny taniec, który miał sprawić, że polowanie na lamparta zakończy się pomyślnie. Im większy wzniecali rozgwar, tym bardziej prawdopodobne stawało się, że *ayyanaa* ich wysłucha i łaskawym okiem spojrzy na ich eskapadę, dlatego hałasowali, jak tylko mogli, wznosząc entuzjastyczne okrzyki i wrzaski, w czym pomagały im obfite ilości sfermentowanego trunku.

– Boże, co za hałas – mruknął Hector, leżąc pół mili dalej w swoim łóżku. – Czy nie rozumieją, że jutro idą do pracy?

– Co zrobimy, jeśli się nie zjawią?

– Zjawią się. Widziałeś, jak się zapalili do *disz dasz*.

– Tak – dobiegł głos Roberta z drugiego łóżka. – A swoją drogą, dziwne, że sami nigdy nie próbowali uprawiać kawy.

– Dziwne? Niezbyt. Bo i po co? Nigdy nie mieli kogoś takiego jak my, kto by pokazał im jak.

– Ale przecież nie robią nic takiego, co by przypominało rolnictwo, a przynajmniej nie takie, jakie my znamy. Nie wygląda na to, że w ogóle chcą... ujarzmić dżunglę. Zastanawiam się dlaczego. Może już próbowali i przekonali się, że nic z tego. Może wiedzą coś, czego my nie wiemy.

– Też coś – burknął Hector. – Patrzysz na to ze złej strony, jak zwykle, Wallis. To my wiemy coś, czego oni nie wiedzą. – Sięgnął do lampy naftowej płonącej bla-

dym światłem na stoliku między nimi. – Czas iść spać.

Syk lampy ucichł, pomieszczenie otuliła ciemność. Dźwięk bębnów i krzyki z wioski zdawały się przybierać na sile.

– Dobranoc, Hectorze.

– Dobranoc.

* * *

Śnił o Fikre: o jej smukłym ciele nad sobą, przezroczyстых jasnych oczach, których spojrzenie łączy się z jego wzrokiem, podczas gdy między ich lędźwiami przepływają w tę i z powrotem niedające się opisać doznania rozkoszy. „Już niedługo – szepcze z tym śpiewnym akcentem – naprawdę niedługo. Gdy Bey wyjedzie do Hararu...”. Przebudził się. W ciemnościach śmiało się z niego jakieś zwierzę. Gdzieś w wiosce niekończący się huk bębnów brzmiał jak bicie drugiego serca, będące echem pulsowania w jego przyrodzeniu.

* * *

Tuziemcy, którym alkohol coraz intensywniej krążył w żyłach, również zaczęli myśleć o seksie. Młodzi mężczyźni z entuzjazmem odtańczyli taniec zabijania lamparta, który właściwie służył wywarciu wrażenia na kobietach, a one odgrywały w tańcu podziw na widok

martwego zwierzęcia przyniesionego do wioski, a właściwie kierowały ten taniec do męskich zmysłów.

Kiku siedziała z boku i przyglądała się. Uważała, że lepiej pozostawić taniec młodszym dziewczętom – od-
kład jej piersi bardziej się trzęsły w górę i w dół niż
drżały ponętnie, podskakiwanie straciło dla niej urok.
I tak wiedziała, kto tej nocy postawi swoją włócznie
przed jej chatą. Bayanna już wcześniej urządził wielkie
przedstawienie: ostentacyjnie przynosił jej jedzenie, da-
jąc wszystkim jasno do zrozumienia, że ze sobą sypiają.
Nie przeszkadzało jej to, częściowo dlatego, że był peł-
nym werwy, choć trochę zbyt pewnym siebie kochan-
kiem, ale też dlatego, że miała własne powody, by spęd-
zać z nim noce.

W tej chwili jeden z tych powodów podszedł i usiadł
obok niej.

– Nie tańczysz – powiedział Tahomen.

– Jestem za stara na taniec – odpowiedziała spokoj-
nie, tonem, z którego można by wnioskować, że ta
uwaga nie ma większego znaczenia niż słowa Tahomena.
W istocie zaś było to naprowadzenie rozmowy niemal na
samo sedno ich nieporozumień.

Tahomen mruknął.

– Oczywiście nie jesteś. Kto ci to powiedział? To
głupie.

Ty mi to powiedziałaś, miała ochotę odrzec. Nie
słowami, lecz gdy wzięłaś sobie Alayę na drugą żonę.
Spojrzała poprzez płomienie w miejsce, gdzie wśród

mężczyzn tańczyła młoda dziewczyna. Niech ją! Jej piersi były jak nie w pełni ukształtowane tykwy, a gdy podskakiwała, ledwie drgały.

– Alaya dobrze tańczy – zauważyła.

– Racja – przyznał posepnie Tahomen. On też wiedział, co się kryje za tym konfliktem z Kiku. Czemu jesteś tak nierozsądna? – miał ochotę zapytać. Oczywiście, że wziąłem sobie drugą żonę. Bo jakżeby inaczej? Po pierwsze dlatego, że jestem wodzem, a czy kto słyszał o wodzu z jedną żoną? Po drugie dlatego, że muszę mieć dzieci, a ty mi ich nie dałaś. Nie powiedział tego jednak na głos, zdawał sobie bowiem sprawę, że Kiku to wszystko wie. Powiedział natomiast łagodnie:

– Włócznia Bayanny spędza wiele czasu przed twoją chatą.

Kiku narysowała zygzak na piasku.

– To często używana włócznia.

– I jest bardzo dobrym myśliwym. – Tahomen zrobił krótką przerwę. – Tak twierdzi.

Kiku nie chciała, by Tahomen myślał, że może naprawić wyrządzoną jej krzywdę kilkoma żartami z jej kochanką, zatem ukryła uśmiech, pochylając się nad kreślonym wzorem.

– Byłaś więc zbyt zajęta, by przyjść do mojej chaty – zauważył Tahomen.

– Tak jak ty byłeś zbyt zajęty, żeby przyjść do mojej.

– Nawet gdybym chciał cię odwiedzić, zawsze stoi

tam włącznie Bayanny.

– Ale i tak nie przyszedłeś, więc co za różnica.

– Skąd wiesz, że nie przyszedłem?

Bo nasłuchiwałam twoich kroków, chciała powiedzieć.

– Bo byłeś z Alayą, oczywiście.

– Nowa żona jest jak krzew kawy: z jednego i z drugiego trzeba szybko zerwać owoce – zacytował.

– Właśnie – przyznała i po krótkiej chwili odpowiedziała innym przysłowiem: – Mężczyzna ma wiele żon, a żona ma wielu kochanków.

Skinął głową. Jak wiele innych przysłów, tak i to, które Kiku przytoczyła, wyrażało znaczenie *saafu*, czyli równowagi między przeciwieństwami.

– Ale zaczyna się od „mężczyzna ma wiele żon”.

Widząc, że wpadła w pułapkę, Kiku się oburzyła.

– A jakże. Nikt przecież nie twierdzi, że nie powinieneś mieć żon. Miej sobie trzy. Miej cztery! Miej tyle żon, ile zechcesz!

Tahomen westchnął.

– To, że wziąłem Alayę za żonę, wcale nie znaczy, że ty liczysz się mniej. Wciąż jesteś starszą żoną.

– Co znaczy „wciąż”? Wcześniej nie byłam starszą żoną. Byłam *jedyną* żoną.

– Chciałem powiedzieć, że zawsze będę cię darzył szacunkiem.

Szacunek. Co jej po szacunku, kiedy pragnie tylko jędrnych piersi, dzieci i być podziwianą? Co jej po starości, skoro oznacza, że jest zbyt stara na to, by być kochaną?

Tahomen znowu westchnął.

– Do zobaczenia. Może gdy Bayanna przeniesie swoją włóczęgę.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Wreszcie Tahomen odezwał się pierwszy.

– Ten lampart.

– Tak?

– Naprawdę sądzisz, że biali ludzie przybyli z tak daleka tylko po to, aby pomóc nam go zabić?

Nie odpowiedziała, lecz wzruszeniem ramion dała znak, że nie jest przekonana.

– Mnie też to dręczy – przyznał i splunął do ognia. – Tak czy inaczej cieszę się, że nie chcą tego lamparta. Mam nadzieję sam się nim zająć.

– Ty?!

– Tak. Czemu nie?

– Ludzie w twoim wieku powinni pozostawić polowanie młodszemu.

– Uważasz, że jestem za stary? – zapytał z udawanym zdumieniem. – Czy tak o mnie mówią? Że jestem za stary, by zabić kolejnego lamparta?

Westchnęła. Tahomen potrafił tak wszystko obrócić, aby do niego należało ostatnie słowo. Widzisz, mówił, ja

też się starzeję. I czy rozpaczam z tego powodu? A ona – choć nigdy nie wypowiedziała by tego na głos – w tej niemej kłótni, którą ze sobą prowadzili, musiała krzyknąć: Nie! Ale z tobą jest inaczej! Ty możesz sobie wziąć kolejną żonę!

Oczywiście na głos tylko chrząknęła.

Tahomen ponownie splunął smętnie w ogień.

– Zawsze jest więcej niż jeden sposób, by schwytać lamparta – rzekł w zamyśleniu.

– Tak. A z mojego doświadczenia wynika, że wszystkie sprowadzają się do próby zabicia go.

– Zobaczymy.

CZTERDZIEŚCI

Na długo przed świtem kucharz Kuma obudził dwóch białych, podając im mocną czarną kawę. Na zewnątrz czekał Jimo w towarzystwie grupy otumanionych, odurzonych tubylców. Wielu z nich na tę okazję ozdobiło ciała tajemniczymi wzorami, niektórzy namalowali nawet na twarzach wąsy i cętki, by przypominać drapieżnika, którego mają upolować, choć u kilku farba starła się w trakcie nocnych czynności niezwiązanych z wyprawą. Część z nich trzymała siekiery, część kije, niektórzy włócznie.

– Jak dzieci. – Hector westchnął. – Włócznie do ścinania drzew! Też coś! Jimo, przynieś więcej siekier.

Kiedy już wszyscy zostali odpowiednio wyposażeni, oddział drwali wyruszył w dżunglę. Hector prowadził ich pod górę, aż dotarli do szczytu. Pokazał na drzewa.

– Tutaj! Tnijcie tutaj!

Przybysze wyglądali na zaskoczonych.

– *Bwana* mówi ciąc drzewa! – krzyknął Jimo. – Raz dwa! Raz dwa! Już!

Tubylcy spoglądali po sobie. Jeżeli zatrzymają się, żeby ścinać drzewa, na pewno nie znajdą dzisiaj lamparta.

– Dalej, chłopcze. – Jimo przysunął jednego z młodszych mężczyzn do drzewa. Ten niechętnie zamachnął się siekierą wbił ją w pień.

– Dobrze! Następny! Ciąć! – krzyczał Jimo, prowadząc drugiego mężczyznę do sąsiedniego drzewa.

Niebawem zakłopotani myśliwi w równym szeregu ciężko pracowali przy wycince lasu. Kiedy drzewa były już niemal przerabane, Hector nakazał Jimo przesunąć mężczyznę do następnej linii. Znowu rąbali do chwili, gdy pnie były już prawie przecięte, i znów przerwali pracę, nim drzewa zostały zwalone. Teraz mężczyźni pracowali nadąsani – zrozumieli, że nie będzie polowania na lamparta, lecz wciąż jeszcze liczyli na obiecane *disz dasz*. Rąbiąc, zadawali sobie wzajemnie pytania: na co komu tyle drewna? Przybysze zapewne budują wielką chatę, a może wiele chat. Ale dlaczego nie ścinają drzew do końca, tylko zostawiają je takie nadrabane? To pewnie ich sposób pracy, ale po co?

Pracowali tak jakiś czas i znowu przesunęli się o jeden rząd dalej. Nagle wśród drzew do ścięcia zauważyli *quiltu*, sykomorę. Mężczyźni się rozstąpili, odsunęli w lewo i w prawo, aby to drzewo oszczędzić.

– Tutaj! – krzyknął Hector. – Ominęli jedno!

Jimo chwycił jednego z drwali za ramię i podprowadził do drzewa.

– Ciąć! – rozkazał.

Mężczyzna najpierw wyglądał na przestraszonego, potem zdumionego, a w końcu zaniepokojonego. Pozostali przerwali pracę, żeby wyjaśnić gościom, o co chodzi. To, mówili, jest drzewo poświęcone kobietom, drzewo, z którego wykonuje się kobiece *siqqee*, czyli

rytualne laski.

– Niech przestaną gadać. – Hector zwrócił się do Jimo, a ten zaczął ciągnąć mężczyzn z powrotem pod drzewa. – Robercie! Czas im pokazać, że nie prosimy o nic takiego, czego nie umielibyśmy zrobić sami. – Wskazał na pień. – Ty z tamtej strony.

Miejscowi wpatrywali się w nabożnej ciszy, jak siekiery białych ludzi rozłupują drewno. Była to ciężka praca. Gdy już skończyli – a raczej prawie skończyli, bo pośrodku pozostało głębokie zwężenie – obaj spływali potem.

* * *

Wczesnym popołudniem Hector wreszcie zarządził przerwę. Mniej więcej trzydzieści, czterdzieści drzew było już nadciętych. Wszyscy wrócili na szczyt wzgórza, gdzie Hector nakazał mężczyznom powalić drzewo, od którego zaczęli. Upadło z wielkim hukiem, lecz na drodze stało mu drzewo rosnące niżej, które w pewnym stopniu utrzymało jego ciężar. To drzewo też było podcięte i ono również zważyło się na sąsiednie niżej na stoku. Połączony ciężar obu drzew wspierał się teraz jedynie na koronie lasu ciągnącego się w dół wzgórza.

Trzecie drzewo było olbrzymie: wysokie i ciężkie. Gdy runęło, pień się rozłupał. Mężczyźni odskoczyli gwałtownie, kiedy ta gigantyczna masa przeszywała powietrze. Gałęzie gruchnęły na stojącego niżej sąsiada.

Tamten ugiął się pod tym ciężarem – wtedy to samo zrobiło następne i następne drzewo, aż całe zbocze zamieniło się w falę opadających pni i trzaskających gałęzi. Ta lawina zmiatała wszystko, co napotykała na drodze, nawet drzewa, których nie tknęło ostrze siekiery, padały jak kostki domina na całej powierzchni zbocza. Jakby wszechpotężny olbrzym nadał policzki i jednym dmuchnięciem położył całą dżunglę.

Huk jak grzmot pioruna zadudnił po lesie; oddalał się od drwali i powracał – przeraźliwy ryk, który odbijał się echem od ścian doliny. Ptaki zerwały się i wzleciały w popłochu, z opadających gałęzi wzbił się pył, wszystko wznosiło się opadało w zwolnionym tempie.

– To – powiedział Hector, spoglądając z zadowoleniem na obnażone zbocze – jest najwspanialszy widok na świecie.

* * *

Kiku usłyszała ten rumor i zamarła. Dookoła rozlegały się wrzaski, bo przerażone kobiety, podejrzewając trzęsienie ziemi, biegały i zbierały dzieci. Kiku wiedziała od razu, że to nie trzęsienie ziemi, lecz nie potrafiła określić, co to jest. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z czymś takim: las się zwał sam z siebie, tak jak skóra się rozdziera, gdy zaczepi o skałę. W ogromnej wyrwie, pośród zwalonych pni i sterczących gałęzi widziała małeńkie z tej odległości postaci mężczyzn, którzy prze-

chodzili do innej części zbocza.

* * *

Tej nocy siedzieli przy ognisku i rozmawiali o tym, co się stało. Teraz już dla wszystkich było jasne, czego chcą biali. Nie będzie polowania na lamparta: przybysze zjawili się po to, by zabić sam las. Ale co się stanie, kiedy cały las, na który składają się zarówno drzewa, jak i duchy, zostanie zniszczony? Gdy człowiek umiera, jego duch wędruje na drzewo, po ścięciu jednego drzewa jego duchy łączą się z duchami innych okolicznych drzew. Co teraz stanie się z setkami, tysiącami duchów, które biali ludzie pozbawili siedzib tego dnia? Nikt nie wiedział, bo nikt z nich wcześniej nie znalazł się w takiej sytuacji.

Część starszych uważała, że młodzi powinni odmówić tej pracy. Jednakże dla młodszych krzywda wyrządzona lasowi miała mniejsze znaczenie niż to, że biali obiecywali wynagrodzić ich za pomoc. Ci młodzi przeczuwali, że wszystko się zmieni, i widzieli w tym szansę dla siebie. Zamiast, jak do tej pory, pozostawać na łasce dżungli, teraz będą mogli nad nią panować tak jak biali. Szczególnie silne wrażenie wywarł na nich sposób, w jaki biali oczyścili zbocze – wydawało im się to nie tylko błyskotliwe, ale i przejmujące. Ich opowieści wciąż powracały do huku walących się drzew – trzeba było tam być, zapewniali innych, to było jak najpotężniejsza burza, jaką kiedykolwiek słyszano, a spowodował to człowiek! To, że mogą pracować dla ludzi o takiej mocy,

a przy tym jeszcze się wzbogacić, uważali za niebywały uśmiech losu.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

– Mam dzisiaj spotkanie – mówi Pinker niepewnie. –
Może zechciałabyś się przyłączyć.

Emily podnosi głowę.

– Az kim, ojczy?

– Pracują dla amerykańskiego koncernu... Mr J. Walter Thompson... Dlaczego ci Amerykanie odwracają kolejność w datach i inicjałach, tego nigdy nie zrozumiem... W każdym razie są to ludzie, którzy doradzali Arbuckle'owi w sprawach reklamy. Otworzyli teraz biuro w Anglii. Napisali do mnie, że mają nowe pomysły dotyczące reklam kierowanych do kobiet. Pomyślałem, że może ty lepiej ocenisz, czy mają rację.

– Z chęcią wezmę w tym udział.

– Świetnie. – Pinker spogląda na zegarek. – Będą tu o jedenastej.

* * *

Ku jej rozczarowaniu tylko jeden spośród przedstawicieli agencji reklamowej jest Amerykaninem. Nazywa się Rudolph Cairns i jest niemal zupełnym przeciwieństwem tego, czego się spodziewała – zamiast ulizanego, natrętnego akwizytora zobaczyła człowieka cichego, uprzejmego i skrupulatnego, jak przystało na nauczyciela lub inżyniera.

– W jaki sposób promuje pan obecnie swoją markę, panie Pinker? – pyta dobrotliwie mężczyzna.

– W taki, jaki wprowadziliście w Ameryce – odpowiada Pinker. – Każda paczka Castle Coffee ma na opakowaniu kupon, który daje prawo do zniżki przy kolejnym zakupie.

– To wspaniale. Ale chyba nie zrozumiał pan pytania. Pytałem, jak promuje pan *marką*.

Ojciec wygląda na skonfundowanego.

– Produkt – wyjaśnia Mr Cairns – to to, co pan *sprzedaje*. A marka to to, co ludzie *kupują*.

Pinker kiwa głową, lecz Emily widzi, że wciąż niewiele rozumie, podobnie jak i ona.

– Ujmę to inaczej – ciągnie Cairns, spoglądając na nich oboje – pańska marka to nadzieje, oczekiwania, jakie ludzie wiążą z pańskim towarem. W zasadzie posuwałbym się nawet do stwierdzenia, że sam produkt odgrywa w tym niewielką rolę. – Osuwa się plecami na oparcie krzesła. – No więc pytanie brzmi, jak stworzyć oczekiwanie czegoś najlepszego?

Sprawia wrażenie zadowolonego, że jego pytanie zawisło w powietrzu. Emily zastanawia się, czy on w ogóle czeka na odpowiedź.

– Proszę pana? – odzywa się jeden z członków zespołu Cairnsa, młody człowiek, który, jak zauważa Emily, jest zarówno przystojny, jak i pełen zapału.

– Tak, Philips?

– Wykorzystując psychologię?

– Otóż to. – Cairns zwraca się znowu do Pinkera. – Psychologia! Nadejdą czasy, gdy przedsiębiorcy zdadzą sobie sprawę, że konsumenci to tylko zbiór stanów umysłu i że umysł to mechanizm, na który możemy wpływać tak samo precyzyjnie, jak możemy sterować maszyną czy fabryką. Jesteśmy naukowcami, panie Pinker, naukowcami do spraw sprzedaży. Nie stosujemy wróżenia z fusów... trzymamy się tego, co *działa*.

Emily widzi, że te słowa wywarły na ojcu silne wrażenie.

– A co to oznacza konkretnie dla Castle? – wtrąca sceptycznie. – W jaki sposób zmieni naszą działalność?

– Koniec z kuponami – oznajmia Cairns stanowczo. – Musimy stworzyć pozytywne wrażenie, nastrój. Staramy się skusić klientkę, a nie przekupić. – Skinieniem głowy daje znak Philipsowi, który wyjmuje z teczki jakiś gazety.

Cairns splata palce i opiera dłonie na blacie stołu.

– Po pierwsze musicie pozbyć się staroświeckiego przekonania, że tym, co sprzedajecie, jest kawa – oznajmia. – Tym, co sprzedajecie, tym, co kupuje gospodyni domowa, jest miłość.

– Miłość? – Pinker i jego córka wyglądają na jednakowo zdumionych.

– Miłość – powtarza Cairns. – Podać mężowi wspaniałą filiżankę kawy... czy jest lepszy sposób na okazanie miłości?

Jego pytanie ponownie zastyga w próżni. Tym razem Philips nie wyrywa się do odpowiedzi. Emily rozumie, że ma to być pytanie retoryczne.

– Zapach kawy to zapach szczęścia – wyjaśnia Cairns z rozmarzeniem. – Gdy moja żona parzy dla mnie kawę, czuje się szczęśliwa, bo wie, że sprawia mi przyjemność. A przy tym – unosi palec – ma świadomość, że nie może lepiej okazać swego oddania, niż podając mi Castle.

– Skąd to wie? – pyta Emily. Nie potrafi ocenić, czy to, w czym uczestniczy, jest błyskotliwe, nonsensowne, czy też stanowi bezładną mieszanicę jednego i drugiego.

– Bo my jej to powiemy. – Cairns obraca się w stronę Philipsa, a ten z uśmiechem rozkłada gazetę.

Strona, którą podnosi, jest zadrukowana. Emily zauważa, że mieści się na niej ogłoszenie, o którym rozmawiają. Mężczyzna w samej koszuli siedzi i pije kawę. Uśmiecha się szeroko. Za nim z dzbankiem w rękę stoi uśmiechnięta żona. Jakiś trik z perspektywą sprawia, że wydaje się, jakby podchodziła do niego z przodu. Podpis głosi: *Prawo każdego mężczyzny – przyjemność każdej kobiety*. Mniejszym drukiem, u dołu strony: *Nie zawieź go! Dokonaj właściwego wyboru – wybierz Castle!*

– To... jest rzeczywiście inne – mówi Pinker. Wzrokiem szuka pomocy u córki. – Emily? Co ty na to?

– Wydaje mi się trochę... negatywne.

Cairns z powagą kiwa głową.

– To zamierzone. W sprzedaży czynnik negatywny, jak dowiedziono, ma silniejsze działanie niż pozytywny.

– No... skoro to dowiedzione... – mówi Pinker z ulgą.

Caims daje znak Philipsowi, który podnosi drugie ogłoszenie. Jeśli go kochasz, okaż to. Wybierz Castle, a będzie to wiedział! – *czyta na głos*. Każdy posiłek jest ucztą, gdy przy stole czeka ukochana kobieta z dzbankiem gorącej Castle Coffee.

– Hmm. – Pinker wygląda na zakłopotanego.

Philips pokazuje trzecią reklamę. Żona stoi obok siedzącego męża. On radośnie spogląda znad filiżanki. *Jego przyjemność – jej satysfakcja! Gdy on wie, że to Castle, ma PEWNOŚĆ, że ona daje mu to, co najlepsze!*

– Ale tu przecież nic nie ma – mówi zrozpaczona Emily – o jakości. O składnikach... proporcji mokki, o tym, czy używamy kawy Bourbon czy Typi...

– Gospodyni domowa nie zważa na takie rzeczy – przerywa jej Caims lekceważąco. – Dla niej liczy się tylko zadowolenie męża.

– No cóż, ja *zważam* na takie rzeczy – odpowiada Emily – ale mogę mówić tylko za siebie.

– Właśnie. A my nie kierujemy się opiniami... ani pani, ani moją. Opinia jest subiektywna. Przebadaliśmy te pomysły. Przetestowaliśmy je na *prawdziwych* kobietach.

Emily przez chwilę zastanawia się, czy to oznacza, że według niego ona nie należy do tej kategorii.

– Planujemy skoordynowaną ofensywę. Określamy cel ataku, obliczamy, jak najsilniej uderzyć, i obmyślamy strategię. – Stuka palcami po blacie. – To całkiem nowe, postępowe podejście do reklamy. Te ogłoszenia będą *sprzedawać*.

* * *

Kiedy już wyszli, Pinker mówi:

– Czuję, że nie jesteś przekonana.

– Wprost przeciwnie, ojcze, już podjęłam decyzję. Jest coś głęboko nieprzyzwoitego w takim odwoływaniu się do kobiecych lęków.

– Czy twoja reakcja nie ma związku z twoimi przekonaniem politycznymi? – Patrzy na nią czule.

– Ależ oczywiście, że nie.

– Nigdy nie krytykowałem twojego zaangażowania w ruch sufrażystek. Ale musisz przyznać, że przez to jesteś mniej... – waha się – mniej skłonna, powiedzmy, rozumieć przeciętną kobietę.

– Ojcze, co za nonsens!

– Jak powiedział pan Cairns, ich koncepcje zostały przebadane i wiadomo, że będą skuteczne. A jeżeli my nie przyjmujemy tego nowego, psychologicznego podejścia, to obawiam się, że robi to Howell. Wtedy zostalibyśmy w tyle. – Kiwa głową. – Jakimś sposobem musimy wyprzedzić Howella, Emily, i może to jest właśnie

ten sposób. Powiem panu Cairsoni, żeby przystąpił do pracy.

CZTERDZIEŚCI DWA

Bez osłony wielkich drzew słabe krzewy i pnącza ściółki, tu i ówdzie nakrapiane orchideami i motylami, szybko pousychały w słońcu. W tych warunkach w każdej chwili mogło dojść do pożaru. Gdy tylko wiatr zaczął wiać z odpowiedniej strony, Hector nakazał rozpalić ogniska wzdłuż północnej krawędzi doliny.

Zwalenie drzew było spektakularne, lecz wypalanie to coś zupełnie innego. Ogień pełzał tam i z powrotem po opustoszałej ziemi – był nową formą życia, która zastąpiła wcześniejsze; niemal tak samo wysoką jak rosnące tu przedtem drzewa: płonący, połyskujący, trzeszczący las płomieni, które kiełkowały, umierały i rozprzestrzeniały się przez cały tydzień. Czasami ten blask słabł, by żywić się jednym konkretnym drzewem, czasami pokrywał polanę niskim drżącym płomykiem. Chwilami ogień był ledwie widoczny w promieniach słońca, jakby żar stapał nawet powietrze.

Tubylcom ogień nie był oczywiście obcy, lecz pożar na taką skalę napełniał ich swoistą zabobonną trwogą, przez co wykonywali nasze polecenia z coraz większą niechęcią. Hector zarzekał się, że jeszcze nie spotkał tak niezdyscyplinowanych robotników. Przyczyn doszukiwał się w tym, że wcześniej nie było tu białych ludzi. Niezależnie od mojej osobistej opinii na jego temat, cieszyłem się obecnością Hectora. Sam na pewno nie byłbym w stanie pokonać setek przeszkód, z którymi

trzeba było się zmagać każdego dnia.

Wypalone zbocza wyglądały niczym dymiąca powierzchnia księżyca pokryta szarym śniegiem. Tu i ówdzie z tej szarości sterczały szkielety zwęglonych pni, gdzieś wznosiły się pojedyncze drzewa, które jakimś cudem przetrwały wyrąb pożar. Ich dolne gałęzie wyglądały jak cieniutka koronka.

– Najlepszy nawóz na świecie – powiedział Hector, pochylając się, by nabrać garść popiołu, po czym roztarł go w dłoniach.

Uczyniłem to samo. Proszek, w którym staliśmy zanurzeni po kolana, był niewyobrażalnie delikatny, jeszcze ciepły po tyłu dniach palenia. Gdy w moich dłoniach rozsypał się w pył, uwolnił zapach popiołu i sadzy.

– Kawa wyniszcza nawet najlepszą glebę. Na szczęście masz tu mnóstwo ziemi. No, chodźmy do domu.

* * *

„Domem” był Wallis Castle, kolonialna posiadłość, wcześniej wykorzystywana przez białych polujących na terenach Abisynii i Sudanu. Hol wejściowy, jadalnia, salon, biblioteka, sala śniadaniowa, kilka sypialni z garderobami – wszystko mieściło się w jednym pomieszczeniu na okrągłej powierzchni średnicy około czternastu stóp. Innymi słowy, Hector i ja mieszkaliśmy

teraz jak dwaj druciarze w nędznej chacie z błota krytej trawiastą strzechą. Strzecha szeleściła całą noc, a raz na jakiś czas spadały z niej na nas wijące się obiekty (pod tym względem niewiele się to różniło od mojego poddasza w Oksfordzie). Podłogą była zwykła gleba, lecz położyliśmy na niej dwie skóry zebry zyskane drogą wymiany od tubylców. Jimo wyglądał na zdumionego tym, że nie chcemy mieszkać z kozą – podobno odpowiednia ilość koziego moczu odstrasza *jigga*, czymkolwiek one są – ale my postanowiliśmy, że mimo wszystko będziemy się trzymać dywanów domowych pantofli.

Głównym naszym wrogiem była nuda. W tropikach wcześniej zapada zmierzch i chociaż mieliśmy lampy naftowe, paliwa wystarczało nam tylko na mniej więcej godzinę. Hector zaskoczył mnie prośbą, bym czytał na głos dzieła z mojej niewielkiej biblioteki. Niepewnie otworzyłem *Bądźmy poważni na serio*, a on zachichotał już przy pierwszych wersach:

ALGERNON: Słyszałeś, co grałem. Lane'?

LANE: Sądziłem, że podsłuchiwanie nie jest w dobrym tonie. sir.

ALGERNON: Wobec tego współczują ci. Nie gram czysto – grać czysto każdy potrafi – ale za to z cudowną ekspresją. Moją silną stroną w grze na fortepianie jest uczucie. Wiedzą posługuję się w życiu.

LANE: Tak jest, sir.

ALGERNON: A propos wiedza i życie... czy zro-

biłeś ogórkowe sandwicze dla Lady Bracknell? ^[16]

Czytałem więc dalej, aż w końcu wyjął mi książkę z rąk i cienkim falsetem odczytał rolę Gwendoliny: „Proszę nie mówić o pogodzie, panie Worthing. Ilekroć ludzie mówią ze mną o pogodzie, jestem przekonana, że mają co innego na myśli. A to mnie tak denerwuje”. ^[17] Bóg jeden wie, co Jimo i Kuma, nie wspominając o innych tubylcach, mogli sobie pomyśleć, słysząc dziwny szkocki falset dobiegający z naszej chaty, nocne chichoty i entuzjastyczne oklaski, którymi Hector witał moją Lady Bracknell. Zaczął nawet poza chatą zwracać się do mnie „panie Poważny”.

To wszystko było nierzeczywiste – niczym sen, halucynacja. Za dnia brałem udział w codziennym życiu plantacji, lecz moje prawdziwe życie zaczynało się po zgaszeniu lampy, kiedy chrapanie Hectora dawało mi sygnał, że mogę się oderwać od rzeczywistości pełnej kołków, sadzonek i fizycznej pracy. Wówczas, gdy ciemność zalewała chatę, napełniając ją kontrapunktową muzyką nocnej dżungli – dużo głośniejszą niż odgłosy dżungli w jasny dzień – do mojego łóżka bezszelestnie wsuwała się Fikre z szeptem: „Już niedługo” i „Teraz”. Obejmowała moje ciało kolanami, tak że wystarczyło wyciągnąć dłoń, bym poczuł pod palcami jej biodra, talię, pochylone nade mną piersi...

Czasem przywoływałem inne kobiety, nawet Emily. Jednakże jej twarz zawsze miała kapryśny wyraz, jakby udział jej ciała w tych fantazjach był Emilym obowiąz-

kiem, który odrywa ją od ważniejszych spraw w Anglii. Była teraz – i to dosłownie – odległym wspomnieniem, mniej rzeczywistym niż płatne kobiety, z którymi zdarzało mi się bywać.

Podobnie rzecz się miała z zegarkiem marki Ingersoll, który otrzymałem od Pinkera przed wyjazdem z Londynu i na którym starałem się utrzymywać czas europejski. Kiedy stanął w Zeilah, łatwiej było dostosować go do czasu lokalnego, niż odtwarzać poprzednie ustawienia. W końcu w ogóle zrezygnowałem z zegarka, bo zegarki są jak nasz „Przewodnik”: użyteczne tylko wtedy, gdy rozmówca ma ten sam punkt odniesienia. Tak właśnie było z Emily. Nie odkochałem się w niej nagle, lecz część mojego serca, która na myśl o niej powinna tykać, wyczerpała się i nie została na nowo nakręcona.

* * *

Tylko raz pomyślałem o Emily w innej sytuacji. Tuziemcy szybko się zorientowali, że jeśli podczas pracy przydarzy im się jakiś drobny wypadek, jak rozcięcie palca siekierą lub skaleczenie stopy na ostrej gałęzi, opatrzymy im rany skuteczniej niż ich szamanka. Szczególnie diachylon, tajemniczy element naszej apteczki, okazał się cudownym wynalazkiem: zestaw obejmujący opatrunek i antyseptyczne maście, które twardniały na ranie i chroniły ją przed mechanicznym uszkodzeniem i infekcją.

Pewnego dnia przyszła kobieta z wioski z chorym dzieckiem. Malec był przeraźliwie ospały i mimo wysokiej gorączki miał słabiutkie tętno. Nawet na jego ciemnej skórze widać było żółty odcień, jaki daje żółtaczka.

– To nie nasza sprawa – ostro odezwał się Hector. – Ona nawet dla nas nie pracuje.

– Pinker chciałby, żebyśmy zrobili, co się da.

– Pinker chciałby, żebyśmy oszczędzali leki dla naszych pracowników. I żebyśmy dopilnowali, aby to dziecko zostało ochrzczone, by przynajmniej uratować jego duszę.

Pomyślałem wtedy, że córka Pinkera nie zgodziłaby się na to. Wydobyłem poradnik Galtona i wywnioskowałem, że dziecko ma żółtą febrę. Według Galtona prawie połowa zachorowań na żółtą febrę wśród niemowląt kończy się śmiercią, ale mimo wszystko dałem dziecku trochę laudanum. Po tym lepiej spało, lecz następnego dnia zaczęło krwawić z nosa i oczu i wiedziałem, że nie da mu się pomóc.

* * *

Dawałem Hectorowi do zrozumienia, że wkrótce będę musiał wrócić do Hararu, co on konsekwentnie puszczał mimo uszu. Wreszcie którejs nocy, niedługo po tym, jak wróciliśmy do chaty, usłyszeliśmy jakieś dziwne odgłosy na zewnątrz. Jimo wbiegł do środka

zdyszany.

– *Massa* iść jeden raz, jeden raz. *Marrano* jeść mała kawa.

Chwyciliśmy strzelby i wybiegliśmy. Księżyc świecił blado i w jego blasku widać było wyraźne sylwetki rozpychające się w rozsadniku. Podszedłszy bliżej, rozpoznaliśmy stado guźców chrząkających z zachwytem przy przekopywaniu naszych cennych sadzonek.

Przegналиśmy je i postawiliśmy Jimo na warcie. Dopiero rano mogliśmy ocenić ogrom zniszczeń. To była katastrofa, a Hector obwiniął o nią siebie.

– Trzeba było postawić ogrodzenie. Nie przyszło mi do głowy, że dzikie zwierzęta mogą wyrządzić tyle szkód. – Westchnął. – Wygląda na to, że jednak wybierzesz się do Hararu, panie Poważny. To wszystko trzeba posadzić od nowa.

– Jaka szkoda – powiedziałem, chociaż w duchu rozsadzała mnie radość. – Pojadę jutro.

* * *

Jutro. Jutro, jutro i jutro... Tej nocy prawie nie spałem, w głowie kłębiły się erotyczne wizje...

Gdy rankiem opuszczałem obóz, Hector znowu kazał robotnikom rozpalać ogniska. Jeszcze długo po wyjściu z doliny potrafiłem określić jej położenie na tej

bezkresnej rozległej przestrzeni na podstawie unoszącego się słupa dymu z wielkimi czarnymi odnogami, które niczym gałęzie gigantycznego drzewa rozciągały się na niebie.

CZTERDZIEŚCI TRZY

„Miód” – nuta przypominająca miody kwiatowe. Przywodzi też na myśl wosk pszczele, piernik, nugat i niektóre gatunki tytoniu. Aldehyd fenyloetylowy, wyizolowany z kawy, bardzo dobrze oddaje ten zapach.

Lenoir, Le Nez du Café

Po dotarciu do Hararu wysłałem do Fikre wiadomość, w której twierdziłem, że potrzebuję jej pomocy w charakterze tłumacza. Służący przyniósł odpowiedź – coś równie niewinnego i ostrożnego. Żadnej wzmianki o Beyu, a to znaczyło, że wyjechał. Fortuna się do nas uśmiechała.

Czekałem. I czekałem. To oczekiwanie było nie do zniesienia – moje zmysły zdawały się napięte jak struny instrumentów, które muzycy stroją przed koncertem. Zająłem się zbudowaniem prowizorycznego łóżka z worków kawy pokrytych jedwabnymi chustami. Było nad podziw wygodne, ziarna poruszały się i łagodnie ugiwały pod moim ciężarem.

I nagle – tak cicho, że niemal bezszelestnie – otworzyły się drzwi na dole. Usłyszałem niecierpliwe kroki na schodach.

Jej uroda uderzała mnie za każdym razem, gdy ją

widziałem. Ciemna twarz o wyrazistych rysach, jasne oczy o przeszywającym spojrzeniu, smukłe ciało owinięte w tkaninę barwy szafranu. Gdy wreszcie byliśmy razem, oboje zachowywaliśmy się tak, jakby żadne nie chciało wykonać pierwszego kroku. Przyrzadziła dla mnie kawę – delikatną, wonną kawę z tych terenów – tak jak robiła to na pustyni, i obserwowała z powagą, jak wypijam pierwszą filizankę. Przypomniało mi się, co Bey mówił o ceremonii kawy, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz w jego namiocie: że jest to także ceremonia miłości.

Wtedy ogarnęła mnie gwałtowna fala pożądania. Niecierpliwym ruchem rozwinąłem oplatającą jej ciało tkaninę i ujrzałem, jak stoi przede mną naga, czy też prawie naga: na jej szczupłych czarnych udach spoczywał wąski łańcuch obwieszony piasrami – złotymi tarczami, które kołysały się i połyskiwały na tle skóry, gdy Fikre szła w moją stronę.

Ja, który kochałem się z tyloma kobietami – uległymi, obojętnymi, czasem rozzalonymi, czasem niepozornymi, lecz zawsze na swój sposób marzącymi o dobrnięciu do końca – nigdy jeszcze nie przeżyłem czegoś takiego: miłosnego zbliżenia z osobą, której namiętność jest tak samo silna jak moja, której zapiera dech i która drży z rozkoszy przy każdym moim dotknięciu. Pachniała kawą: jej smak był w każdym pocałunku, zapach palonej kawy we włosach... Smak kawy miały jej dłonie, jej usta, tkwił w jej skórze i w połysku przejrzystej kropli w kąciku oka. I jeszcze pomiędzy ciemnymi

udami, gdzie skóra rozchyłała się niczym płatki kwiatu, by odsłonić pachnącą wiciokrzewem różowość wnętrza – tam odkryłem jedno maleńkie ziarenko, twardą wypukłość pachnącego kawał miąższu. Wsunąłem je do ust i delikatnie przeżuwałem; jakby pod wpływem czarów, nawet gdy nałykałem się do syta, ziarenko ciągle tam było.

Nie chciałem zadać jej bólu, więc postępowałem powoli. To ona sama wykazała zniecierpliwienie. Poruszając ciałem, nasuwała się na mnie, aż napotkała lekki opór; wtedy, pochylona w przód, aby patrzeć mi prosto w oczy, naparła całym swoim ciężarem. Zadrżała, gdy coś ustąpiło, i wiedziałem, że posiadm ją w pełni. Plama czerwieni rozmazała się po naszych brzuchach, delikatna, wkrótce starta przez okrężne ruchy jej bioder.

Oczy Fikre płonęły triumfem i furją.

– Cokolwiek się stanie – szepnęła – wygrałam!

A później – coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem, choć o tym czytałem – gdy kochaliśmy się, wstrząsały nią niezwykle spazmy, gdzieś w głębi, tak silne, że niemal bolesne; w widoczny sposób przeszywające całe ciało, a nawet dostrzegalne na skórze, tak jak podwodna eksplozja ujawnia się na powierzchni tafli. Po każdym takim spazmie jej ciało wiotczało i pokrywała moją twarz pocałunkami, pomrukując z rozkoszy, aż nagle znowu prężyła ramiona, napinała się i łapała powietrze, gdy ponownie popadała w ekstazę. Czułem, jak przy każdym dreszczu jej mięśnie zaciskają się wokół mnie. Wtedy uświadomiłem sobie, że te wszystkie

dziwki, które jęczały i sapały w moich ramionach, starały się imitować właśnie to. Możliwe, że żadna z nich nigdy tego nie czuła, a ja sam nigdy nie zastanawiałem się, jaką korzyść mogłyby z tego odnieść prócz pieniędzy.

* * *

Później znowu była kawa i znowu miłość, a jeszcze później Fikre leżała w moich ramionach i rozmawialiśmy. Nie mówiliśmy od razu o Beyu ani o niczym poważnym: to należało do świata na zewnątrz, świata, który odrzuciliśmy. Opowiedziała mi natomiast o francuskim kupcu, który mieszkał w tym domu przede mną.

– To bardzo smutna historia. W młodości był bardzo piękny i miał wielki talent: pisał wiersze chwalone przez wszystkich literatów. Jeden z nich, inny poeta, postanowił go uczyć. Ale zażądał, żeby został jego kochankiem. W końcu chłopak go zastrzelił. Jednakże jakimś sposobem związek z tamtym mężczyzną był źródłem jego talentu. Później nie napisał już ani słowa. Przyjechał tutaj, na koniec świata, i żył, jakby był już martwy.

– Kto ci to opowiedział?

– Ibrahim. A co?

– To ładna historia. Ale gdyby naprawdę istniał taki francuski geniusz, słyszałbym o nim.

– Mówisz, że Bey to zmyślił?

– Myślę, że przesadza.

Uśmiechnęła się.

– Co?

– Nie będzie musiał przesadzać, kiedy dowie się o tym.

– Nie może się nigdy dowiedzieć – powiedziałem. Teraz, gdy szaleństwo naszego zbliżenia minęło, trudno mi było opanować strach. To, cośmy przed chwilą zrobili, było więcej niż przestępstwem. Posiadłem kobietę innego mężczyzny, naruszyłem jego własność i zrujnowałem jego inwestycję; i to wszystko w ciągu zaledwie kilku minut. Nie miałem pojęcia, jaki system prawny obowiązywał w Hararze, ale podejrzewałem, że mój status Brytyjczyka niewiele mógł mi pomóc. Bey, będący już pośmiewiskiem z powodu tego, jak obchodził się z Fikre, na pewno dojdzie do wniosku, że jedynym sposobem odzyskania wiarygodności jest zemsta tak okrutna, żeby nawet jego wrogów wprawiała w osłupienie.

– O co chodzi? – Fikre uniosła się, by spojrzeć mi w oczy.

– Nie, nic.

– Myślałeś o tym, co on zrobi – domyśliła się.

– Skąd wiesz?

Położyła dłoń na moim członku.

– Jak ślimak wsunąłeś się do skorupy.

– Aha.

Zmroziła mnie świadomość, że tego, co zrobiliśmy, nie da się cofnąć. Nie miało sensu mówić: „Nie możemy się więcej widywać” ani „Musimy przestać, nim będzie za późno”. Już było za późno. Zrobiliśmy tę jedyną straszną rzecz, która skazywała nas oboje. A jednak nawet to było swoistym wyzwoleniem: powrót nie miał już sensu.

Przy trzeciej filiżance kawy przyniosłem gałązkę *tena adam*. Kochaliśmy się powoli, niemal w zadumie, gorączkowe podniecenie już minęło. Przypomniałem sobie, co Bey powiedział o ceremonii kawy – że trzecia filiżanka jest błogosławieństwem, tym, co pieczętuje przemianę duchową. To jednak dokonało się we mnie dużo wcześniej.

* * *

Później spaliśmy i budziliśmy się razem, leżeliśmy w niemej wspólnocie uśmiechów i milczenia.

– Coś poradzimy – powiedziała, jakby czytała w moich myślach. Lekko głaskała mnie po brzuchu opuszkami palców. – Kiedy cię zobaczyłam... racja, myślałam tylko o tym, że byłaby to wspaniała zemsta na Ibrahimie. I tak miałam zamiar umrzeć, ale chciałam jeszcze przysporzyć mu jak najwięcej wstydu. A teraz... – jej palec delikatnie krążył wokół mojego pępka, jakby to była krawędź kieliszka – teraz nie chcę tego kończyć.

– Ja też. Ale jak to zrobić?

– Może uda mi się go uwieść. Wtedy uwierzy, że to z nim straciłam dziewictwo.

– Zrobiłabyś to?

– Oczywiście. Gdyby to znaczyło, że czasem będę mogła być z tobą.

Wyobraziłem sobie ciężkie ciało Beya opadające na nią, jego wilgotne usta przy jej ustach, śliniace się tam, gdzie przed chwilą były moje wargi.

– Rozpozna, że nie jesteś dziewczyną.

– Są na to sposoby... woreczki z owczą krwią, które pękają, gdy się to robi. Nie oszuka się doktora, ale można oszukać mężczyznę płonącego pożądaniem... który uwierzy w to, w co chce uwierzyć.

– To zbyt ryzykowne. Zresztą pomyśl, co będzie, jeśli to nie poskutkuje... jeśli cię odtrąci. Na pewno się domyśli, że coś knujesz.

– No więc co?

– Nie wiem. Coś wymyślę. – To brzmiało jak znany refren; któreś z nas wciąż powtarzało: „Coś wymyślę”. Te słowa działały uspokajająco jak łagodne matczyne pocieszenia. Nie martw się. Śpij. Wszystko będzie dobrze”. Wiedziałem, że nie będzie dobrze; byliśmy straceni. Jej słowa mimo wszystko działały kojąco.

– Muszę iść. – Usiadła i sięgnęła po ubranie.

– Jeszcze.

– Muszę. Służący zaczną coś podejrzewać. Sprawdziłam, czy nikt mnie nie śledził, ale to nie jest takie

pewne.

– Nie idź. – Dotknąłem jej piersi.

– Nie ma czasu – oponowała, ale przeszył ją dreszcz przyjemności i położyła się z powrotem. – Szybko – szepnęła, podciągając kolana, by rozsunąć uda.

Leżała pode mną, na wznak, trzymając moją twarz w dłoniach. Jej oczy wpatrywały się we mnie intensywnie. Tym razem nie wstrząsały nią spazmy, ale gdy przyspieszyłem, podciągnęła nogi tak, że różowe podeszwy jej stóp znalazły się prawie przy moich uszach, i szeptała *tak, tak, tak* aż do samego końca. Wtedy pocałowała mnie, wstała, umyła się odruchowo w wodzie, którą przyniosłem na kawę, i zniknęła.

* * *

Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jak słona jest kawa. W świeżej kawie sól jest ukryta: działa jako wzmocnienie innych smaków i nadaje przelotny gorzki posmak będący jedną z zalet tego napoju. Jeżeli jednak zostawi się dzbanek na godzinę lub dwie i część płynu wyparuje, zasolenie wzrasta do takiego stopnia, że kawa staje się niemal niepijalna. Dlatego ceremonia picia kawy obejmuje tylko trzy filiżanki: trzecia jest tą ostatnią, którą można uzyskać, nim kawa stanie się słona jak łązy.

Istnieje też czwarta – pozbawiona nazwy – filiżanka: to kawa pełna goryczy, pita przez kochanka leżącego

samotnie w łóżku i myślącego o tym, jak jego ukochana w szafranowej szacie przemyka ciemnymi ulicami do domu mężczyzny, który jest jej panem.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

„Dziczyna” – woń dziczyny często wyczuwalna w kawach etiopskich.

Smith, Coffee Tasting Terminology

Mijały tygodnie. Jak zahibernowane zwierzę żywiłem się zapasami wspomnień, przywoływałem jedwabistą, chłodną, korzenną skórę Fikre, smak jej sutków...

– Muszę przyznać, Robercie – rzekł Hector pewnego ranka, gdy przechadzaliśmy się między robotnikami – że znosisz to zadziwiająco dobrze. Myślałem, że będziesz tęsknił za swoimi knajpami na Regent Street.

– Regent Street? Dziwne, ale wcale mi tego nie brakuje. Właściwie to mam wrażenie, że moje dawne życie w Anglii było okropnie nudne w porównaniu z tym, co dzieje się tutaj.

– Naprawdę? – Hector wyglądał na zaskoczonego. – Jeszcze będzie z ciebie podróżnik.

– A propos – wtrąciłem niby od niechcienia. – Niedługo będę musiał pojechać do Hararu.

– Znowu? – Zmarszczył czoło.

– Rozumiem, że po twoim wyjeździe będzie mi dużo trudniej opuszczać farmę – starałem się go przekonać. – To przemawia za tym, żebym kupił jak najwięcej, zanim

wyjdziesz, nie sądzisz?

– Chyba tak – przyznał niechętnie.

– Dobrze. No to uzgodniliśmy. Pojadę w niedzielę.

Doszliśmy do szczytu wzgórza. Pod nami robotnicy kopali dołki w odległościach co sześć stóp wzdłuż linii, które wyznaczyliśmy białą taśmą.

– Spójrz na te linie, Robercie. Poza wszystkim innym cywilizacja to równe linie i czysta biel.

* * *

Z dżungli dobiegły nas bezładne niskie głosy mężczyzn, którzy śpiewali nie po to, by popisać się sztuką wokalną, lecz aby ułatwić sobie rytmiczny marsz. Wszyscy, łącznie ze mną i Hectorem, przerwali pracę i z niepokojem spoglądali na żywiczne drzewa.

– Nie przerywać! – krzyknął Jimo. – Sprawił sobie ostatnio różgę, długą giętką gałąź, którą wymachiwał w powietrzu, gdy chciał podkreślić wagę swoich słów. – Nie przerywać!

Robotnicy niechętnie wrócili do pracy

Spomiędzy drzew wyłonili się mężczyźni idący w naszą stronę w dwóch długich rzędach. Nie, nie tylko mężczyźni – były też kobiety obładowane patelniami, workami z kukurydzą, nawet małymi dziećmi przywiązanymi do pleców. Byli czarni, lecz wyglądali inaczej niż czarni z naszej wioski. Przybysze byli niscy i śniadzi,

z falującymi włosami i gęstymi brwiami.

– Kulisi – powiedział Hector z zadowoleniem. – Zastanawiałem się, kiedy przybędą.

Pierwsi w obu kolumnach wydali komendę i przybysze zatrzymali się, opuścili swoje pakunki na ziemię i przykucnęli za nimi.

– Skąd przyszli? – zapytałem zdumiony.

– Z Cejlonu. To Hindusi... Tamilowie. Wspaniali pracownicy. Nie jak ci Afrykanie.

– Ale jak się tu dostali?

– Wezwaliśmy ich oczywiście. – Hector wydawał się zniecierpliwiony moimi pytaniami. Ruszył w górę zbocza, w kierunku przywódcy przybyłych. Tamten stał, czekając na nas, z głową opuszczoną na znak szacunku.

– Sprowadziłeś ich tu?

Hector wyciągnął dłoń do Tamila, który wsunął w nią zwój papierów.

– Zatrudniłem ich. Sami płacą za dojazd.

– Dziwi mnie, że ich stać.

– Nie stać. – Hector westchnął w taki sposób, jakby miał wyjaśniać coś, co jest oczywiste. – Teraz na Cejlonie nie ma dla nich pracy. Wpisują się więc na listę, którą sporządza brygadzysta. Koszt transportu zostanie potrącony z ich zarobków. Teraz my wykupimy ich kontrakty od brygadzysty, żeby pokryć jego wydatki, a Tamilowie dostaną pracę i wyżywienie. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni.

– Rozumiem – powiedziałem, choć właściwie nie rozumiałem, w jaki sposób mechanizmy gospodarcze mamą tych ludzi, by porzucali własne domy i wędrowali tyle tysięcy mil.

* * *

Tamilowie byli gburowaci. Zwykle patrzyli spode łba, inaczej niż miejscowi, którzy zawsze się uśmiechali. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że pracowali pierwszorzędnie. W ciągu kilku dni wzniesli trzy chaty – jedną dla mężczyzn, drugą dla kobiet i trzecią, w której, jak wyjaśnił mi Hector, sortowane będą ziarna kawy. Kopiając dołki, przekopywali trzysta jardów w tym samym czasie, w którym miejscowi sześćdziesiąt.

– To dlatego, że są na kontrakcie – wyjaśnił Hector.
– Pracują ciężko, bo mają dług do spłacenia.

* * *

Kilka dni później Hector wezwał rdzennych mieszkańców do naszego obozu. Ze skrzyni z narzędziami wyjął dwie europejskie siekiery.

– To dobre siekiery... bardzo drogie – oznajmił. – Kosztują setki rupii. Normalnie nikogo z was nie byłoby na taką stać.

– Jimo przetłumaczył. Rozległ się pomruk przyta-

kiwań.

– Ale nasi pracownicy to co innego. Jeżeli obiecacie pracować aż do zebrania plonów, każdemu mężczyźnie damy na własność taką siekierę, a kobietom po motyce.

Jimo znowu przetłumaczył. Tym razem zapadła cisza.

– Nie musicie nam teraz za nic płacić – ciągnął Hector. – Będziecie płacić po jednej rupii tygodniowo, z waszych zarobków.

Jimo przetłumaczył. Podniosła się wrzawa. Ci, którzy zrozumieli, wyjaśniali, o co chodzi, swoim sąsiadom. Niektórzy podskakiwali, by wypróbować siekierę, przesuwali dłońmi po gładkim ostrzu, dotykali lśniącej powierzchni trzonka, natłuszczonej krawędzi i wzdychali z podziwem.

– I jeszcze coś! – krzyknął Hector. – Patrzcie tutaj! – Podeszedł do skrzyni. – Haczyki do wędek! Lusterka! Wszystko to możecie mieć na kredyt! – Uniósł szklany naszyjnik i potrząsnął nim. – Widzicie? – Zaciekawiony tubylec natychmiast wyrwał mu go z rąk.

Hector z satysfakcją obrócił się w moją stronę.

– Wszyscy się zgodzą. Jakżeby nie? To najlepsza oferta, z jaką kiedykolwiek się spotkali.

– Ale kiedy już spłacą dług, może zechcą wykorzystać te narzędzia do uprawy własnej roli?

– Teoretycznie to możliwe. Ale sądzę, że bardzo niewiele się to uda? – Zatarł dłonie z zadowoleniem. – Tak czy inaczej będziemy musieli sprowadzić więcej

narzędzi. W ten sposób wszyscy wygrają.

* * *

Tej nocy w wiosce było o czym rozmawiać. Kiku, doświadczona w takich debatach, wiedziała, że najlepiej jest nie przedstawiać swojego zdania zbyt wcześnie, lecz wysłuchać tego, co mają do powiedzenia inne kobiety, i dopiero potem wykorzystać swój autorytet do osiągnięcia zbiorowego porozumienia.

W tym wypadku było to jednak trudne, bo po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, nikt inny nie podzielał jej punktu widzenia.

– Co stanie się z lasem, gdy wszyscy będziemy mieć te siekiery? – zapytała posepnie. – Co z drzewami?

– Przecież drzew jest wiele, a nas bardzo mało. To chyba normalne, że powinniśmy je ścinać. Wtedy będzie więcej *saafi*. nie mniej, bo ilościowo będzie większa równowaga – rozległ się jakiś głos. Kiku z rozdrażnieniem zauważyła, że to Alaya, nowa żona Tahomena, a z jeszcze większym rozdrażnieniem przyjęła fakt, że reszta zebranych raczej podziela zdanie Alayi.

– Mówić, że nie mamy używać siekier do ścinania drzew to tak jak mówić, żeby nie używać dzbanków do noszenia wody... – dorzucił ktoś inny. – Mamy już i tak dużo pracy, więc po co sobie utrudniać życie.

– Ja w każdym razie nie mam nic przeciwko kopaniu

motyką, jeżeli motyka jest dobra, ale oczywiście zapewne przestanę, kiedy będę nosić w sobie dziecko.

Zebrane kobiety kiwały głowami. Kiedy Alaya będzie nosić dziecko Tahomena, oczywiście nie będzie pracowała. Podziwiała jednak to, że na razie jest gotowa ciężko pracować. Nic wszystkie żony wodzów miały tyle energii.

Kiku niemal słyszała ich myśli i gdy kobiety spojrzały na nią, czekając na odpowiedź, zdawało jej się, że widzi w ich oczach pytanie: A Kiku? Ona nie nosi dziecka Tahomena, ale nie chce dla niego pracować! To prawdziwa przyczyna, dla której nie chce, żebyśmy mieli siekiery i motyki – mogłaby sama chociaż raz w życiu spróbować ciężkiej pracy!

– To twoja motyka – powiedziała Kiku.

– Tak – rzuciła radośnie Alaya.

– Jak za nią zapłacisz, gdy będziesz brzemienna?

Alaya zmarszczyła czoło. Najwyraźniej jeszcze o tym nie myślała. Po chwili się rozpromieniła.

– Jeżeli Tahomen będzie miał siekiere – oznajmiła – zapracuje na moją motykę i swoją siekiere ścinaniem drzew.

Kobiety, wszystkie bez wyjątku, zaniemówiły z wrażenia. Sam wódz ma ścinać drzewa? Jakby niczym nie różnił się od innych mężczyzn? I nagle Kiku znowu niemal usłyszała tę myśl, która formowała się w ich umysłach – czemuż by nie? Czemuż to wódz miałby być zwolniony od ciężkiej pracy? Niech pracuje razem ze

swoją bezpłodną żoną!

Gorzka świadomość, że została przez Alayę oszukana, sprowokowała Kiku do odważnych słów:

– Nie zgadzam się.

– Ale ty nie musisz się zgadzać, prawda? – zauważyła Alaya. – Niech ci, którzy chcą siekier i są gotowi na nie pracować, zdobędą je. Tak samo z motykami. Niech każdy decyduje za siebie.

Znowu zapadło milczenie. Myśl, że decyzja może być indywidualną sprawą każdego, a nie całego plemienia, także była czymś zupełnie nowym. Kiku patrzyła, jak kobiety spoglądają po sobie, oceniając przydatność takiego rozwiązania, i po chwili zgodnie kiwają głowami. Alaya ma rację, myślały; czemu mamy się kierować tym, czego chcą inni? Niech te, które mają silnych młodych mężów, zdolnych ciężko pracować, zdobędą siekiery i motyki. Niektórzy będą żyć bogato – oczywiście nie wszyscy, nie ci bardzo starzy, bardzo młodzi i słabi, ale oni i tak nic musieli wykonywać ciężkiej pracy siekierą.

W tym momencie Kiku wiedziała, że wszystko się skończyło. Nie da się powstrzymać zmian, tak jak nie da się powstrzymać wody spływającej po zboczu. Czuła jednak niepokój: nie wiedziała, co ich czeka i do czego to prowadzi.

Następnego dnia wszyscy podpisali kontrakty, nawet Tahomen. Patrząc na naszyjniki, które teraz zdobiły szyje kobiet, Kiku nie mogła się oprzeć wrażeniu, że

bardziej przypominają łańcuchy noszone przez niewolników niż cokolwiek, co tutejsi mieszkańcy kiedykolwiek zawdzięczali dżungli.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Protekcjonalne reklamy pana Caimsa okazały się bardzo skuteczne, co wywoływało mieszane uczucia Emily. Czy to za sprawą treści ogłoszeń, czy też dlatego, że tą ambitną kampanią Pinker zwrócił na siebie uwagę, w każdym razie Castle Coffee stała się kawą najchętniej kupowaną w sklepach. Ponieważ w tym sektorze obserwuje się obecnie wielką ekspansję – tacy jak Thomas Lipton i John James Sainsbury zakładają nowe imperia z takim rozmachem, z jakim Pinker rozbudowuje swój biznes kawowy – nowy sposób marketingu odpowiada wszystkim. Sainsbury może złożyć zamówienie na kawę Castle, wiedząc, że do każdego z jego sklepów dotrze ten sam produkt, a Pinker wie, że ten olbrzymi popyt, który budują jego reklamy, można zaspokoić jedynie, dysponując wystarczającą liczbą punktów sprzedaży. Szczególnie współpraca z Liptonem rozwija się tak intensywnie, że można by go nazwać współnikiem: gdy Lipton proponuje sprzedaż kawy mielonej, podobnie jak jego własną nowość, czyli herbatę w małych dziurkowanych torebkach, Pinker chętnie się zgadza.

– Ale kawa zmielona szybko straci świeżość, nie będzie miała takiego smaku i aromatu jak przygotowana z ziaren – zauważa Emily.

– Może jest drobna różnica, ale w dzisiejszych czasach nie każda kobieta ma czas na mielenie kawy. Tyle kobiet pracuje zawodowo. Chyba nie chciałabyś przy-

sparzać im kłopotów z tego powodu, że pracują?

Oczywiście, że nie chciałyby tego, więc nie zgłasza dalszych zastrzeżeń. Podejrzewa zresztą, że jej zdanie i tak nie ma dla ojca wielkiego znaczenia. Dysponuje teraz całą armią doradców, sekretarek i pomocników, a do tego nowym rodzajem asystentów zwanych kadrą kierowniczą. Język biznesu zmienia się wraz z samym biznesem. Emily coraz częściej słyszy takie słowa, jak „składy” zamiast magazynów czy „produkt” miast kawy. Z ksiąg rachunkowych wynika, że nie kupują więcej dobrej kawy niż wcześniej; rosnące zapotrzebowanie jest zaspokajane coraz większymi ilościami tańszego towaru, któremu koloryt nadaje dodatek dobrej arabiki. Owszem, sam produkt też jest trochę tańszy – żeby zagrozić Howellowi – lecz większość tego, co oszczędzają na surowcach, jest przeznaczana na finansowanie reklam. Celem stał się rozwój, a nie zysk.

Któregoś dnia ojciec wyprowadza ją na zewnątrz, by jej pokazać coś niezwykłego. Przy krawężniku stoją zaparkowane trzy pojazdy benzynowe pomalowane w barwy marki Castle: czerń i złoto. Napędzają ulicę silnym zapachem kawy. Każde auto ma na sobie wizerunek tego samego zamku, który widnieje na opakowaniach Pinkera, a nad nim napis *Castle Coffee – wybór doświadczonych żon*.

To był pomysł Caimsa. Gdy wozy będą rozwozić kawę po Londynie, ludzie to dostrzegą i zaczną myśleć o kupieniu kawy Castle.

– Chyba wypada się cieszyć, że nie wymyślił czegoś

o miłości – mruczy Emily.

* * *

Jedyną częścią imperium, która się nie rozwija, są tawerny trzeźwości. Czasem Emily towarzyszy ojcu podczas wizyt w tych lokalach, by pomóc mu zrozumieć, w czym tkwi sedno problemu.

– Na pewno nie chodzi o samą koncepcję – mówi Pinker, rozglądając się po niemal pustej kawiarni. – Spójrz na Lyonsów: sprzedają swoją herbatę w lokalach tak jak my, a ich herbaciarnie i tak zawsze są pełne.

– Może chodzi o lokalizację. Herbaciarnie Lyonsa są na ruchliwych ulicach, więc kobiety mogą zrobić sobie przerwę podczas zakupów. A nasze tawerny znajdują się w dzielnicach mieszkalnych.

– Bo powstały z przekształcenia barów z piwem. – Ojciec wzdycha. – Może źle oceniłem wówczas klientelę. A jeżeli te miejsca nie zarobią na sobie, będziemy musieli je zamknąć.

– Myślałam, że to właśnie tawerny były powodem... tego wszystkiego? – zauważa zaskoczona Emily. – Czy trzeźwość nie jest już twoim celem?

Pinker wydyma wargi.

– Trzeźwość jest celem... jak najbardziej. Ale może środki będą inne... może to kawa paczkowana zmieni nawyki klasy pracującej.

– Dopóki będą istnieć bary i alkohol, zawsze będą pijacy – przypomina mu Emily.

– Może – wzrusza ramionami – ale biznes, który nie przynosi zysków, nie może być instrumentem zmian. Nic na to nie poradzimy. Może rynek się jeszcze odmieni.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Leżałem nasycony w ramionach Fikre. Każdy nasz ruch uwalniał podmuch zapachu – przed przyjściem do mnie okadziła skórę dymem z mirry, stojąc nago nad palnikiem, zwyczajem beduińskich kobiet, i teraz ta woń mieszała się z wydzielinami naszych ciał, zapachem worków i ziaren kawy tworzących prowizoryczne posłanie.

Roześmiałem się nagle, myśląc o „Przewodniku”: tyle kategorii, a w końcu i tak kierujemy się instynktem: tak, chcę tego, teraz, to jest dobre.

– O czym myślisz? – zapytała, poruszając się w moich ramionach.

– Przed przyjazdem prowadziłem bardzo głupi eksperyment. – Opowiedziałem jej o „Przewodniku” i Pinkerze, i kuferekach z wzornikami.

– Chcę je zobaczyć! – Poderwała się. Jej energia nigdy nie zasypiała na długo. Już kilka minut po namiętym stosunku zawsze chciała więcej. Więcej seksu, więcej rozmów, więcej namiętności, więcej planów. – Masz je tutaj?

– Tak, gdzieś tu.

Znalazłem kuferek i przyniosłem.

– Który najbardziej lubisz?

– Może ten. – Otworzyłem ampułkę podpisaną „jabłko”. Przez chwilę myślałem, że zapach wyparował,

bo wewnątrz nie było prawie nic, i wtedy poczułem słabutki powiew czegoś ledwie wyczuwalnego, mdłego jak mleko. – Ale teraz wydaje mi się straszny.

Powąchała.

– Jest bardzo słaby.

– To ty zmieniłaś moje powonienie.

– To Afryka.

Wróciłem do łóżka, a ona do mnie.

– Znalazłam jeden z jego wierszy – powiedziała.

– Kogo?

– Tego Francuza, który tu mieszkał. Chcesz posłuchać?

– Jeśli muszę.

Usiadła po turecku na workach kawy, naga, bezwstydną, i zaczęła czytać na głos.

– Wystarczy – przerwałem jej po kilku wersach. – Fikre, przestań! To takie... Brzmi bez sensu.

– Jakby był pijany słowami – ciągnęła. – Nie słyszysz? – Zerwała się i zaczęła chodzić po izbie, wystukując rytm wolną dłonią

Est-ce en ces nuits sans fond que tu dors et t'exiles,
Million d'oiseaux d'or, ó future Vigueur...^[18]

Nie mogłem się nie uśmiechnąć – rozpierała ją energia jak u dziecka, a te francuskie frazy, jakkolwiek bezsensowne, brzmiały w jej ustach tak smakowicie erotycznie.

– Wracaj do łóżka.

Mais, vrai, j'ai trop pleuré! Les Aubes sont navran-
te... .^[19]

– Chcę znowu się z tobą kochać.

– Ale ja nie chcę. Chcę krzyczeć tę poezję!

Chwyciłem ją za kostki i wciągnąłem na łóżko. Opierała się – drapała, walczyła, próbowała wykrzykiwać słowa poematu, gdy się w nią wsuwałem. Nawet gdy już byłem w niej, niemal demoniczna energia Fikre nie osłabła; wywinęła się tak, że znalazła się na górze, i chociaż już dotarłem do końca, nie przestała, lecz galopowała na mojej wiotczającej męskości, bryzgając we mnie słowami: O que ma quille éclate! O que j'aïlle a la mer!^[20]

...i wbijając mi paznokcie w brzuch.

* * *

Rymy były oczywiście naiwne, lecz było coś w kadencji fraz, w dzikim rytmicznym bębnieniu, co pulsowało, tętniło równomiernie z krwią w moich żyłach.

Myślałem: nie jestem zarządcą plantacji. Nie jestem handlarzem kawą. Nie jestem mężem.

Gdy to wszystko się skończy – obiecałem sobie w duchu – znów będę pisać, odszukam dzikiego, egzaltowanego demona, który kiedyś mieszkał we mnie i pisał

wiersze.

* * *

– Mam pomysł – powiedziała Fikre.

– Hm?

Odpływałem w sen. Poczułem między zębami coś twardego, lekkiego i suchego. Wyplułem i otworzyłem oczy. Ziarna kawy spływały z jej dłoni w moje usta. Uśmiechnęła się i zjadła resztę sama. Przeżuwała je wprost z dłoni szybkimi, zdecydowanymi ruchami szczęki, niczym kot miażdżący ości.

– Jesz niezmielone ziarna?

– Są dobre. – Skinęła głową.

Spróbowałem. Miała rację, były dobre: czysty, niczym niezmacony smak kawy.

– Zresztą i tak musisz się obudzić. Mój pomysł. Postanowiłam, że musimy zabić Ibrahima. To jedyny sposób.

– Jak zrobić coś takiego?

– Musisz wynająć gang baszybuzuków, płatnych zabójców. Zabiją go, a wtedy będziemy mogli być razem.

– Niestety, jesteś zastawiona. Powiedział mi na pustyni. Nawet gdyby umarł, wierzyciele zabiorą cię na pokrycie długów.

Jej oczy zabłyśły.

– Jak ja go nienawidzę! – Rzuciła się z powrotem na łóżko. – Jak to już się skończy, musimy coś zrobić, żeby świat przestał być taki...

– To najmniejsze z naszych zmartwień – mruknąłem.

Wyciągnęła dłoń, by mnie pogłaskać po twarzy.

– Teraz, kiedy mam ciebie... kiedy mam *to*... chcę żyć. I być z tobą.

– Coś wymyślę – obiecałem.

Znowu to uspokajające kłamstwo.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

„Żrący” – kiedy gorzki zastępuje słodki w podstawowej gamie smaku.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

W ciszy nocy rozległ się wrzask.

Kiku od razu wiedziała, że nie jest to krzyk kogoś, kto nadepnął na węża, czy uderzył się tłuczkiem do kukurydzy. Nie był to nawet okrzyk bólu. Był to krzyk kogoś, kto usiłuje – w sposób desperacki, nieartykułowany – powiedzieć innym, że dzieje się coś strasznego.

Wybiegła z chaty. Alaya szła ścieżką od obozu białych ludzi, powłócząc nogami, z jedną ręką na pierśsiach, a drugą dociśniętą do ust, jakby się dławiła.

Kiku i kilka innych kobiet, które usłyszały krzyk, wprowadziły ją do jednej z chat. Powoli dowiadywały się, co się stało. Zaczepił ją mężczyzna, lecz ona nie była nim zainteresowana, w każdym razie nie na tyle, żeby pójść z nim do jego chaty. Powiedział, że ma dla niej podarek, i owszem, podarował jej naszyjnik. Ona jednak nie chciała dać mu tego, czego żądał w zamian, więc ją uderzył, zwałił na ziemię i wziął to siłą.

– Co to był za mężczyzna? – zapytała Kiku. – Kto ci to zrobił?

– Vanyata Amanthan – wyszeptała Alaya.

Brygadzysta Tamilów. To znacznie komplikowało sprawę. Robotnicy bali się brygadzystów dużo bardziej niż *Massa Crannacha* lub *Massa Wallisa*, bo to brygadziści decydowali o tym, komu przydzielić łatwą pracę, jak spulchnianie ziemi motyką, a komu ciężką, jak przenoszenie zwalonych drzew, bo brygadziści bili znieńacka kijem po nogach, jeśli uważali, że ktoś się ociąga, to oni obcinali wypłatę, jeśli nie byli zadowoleni.

Kiku wiedziała, że jeżeli teraz mieszkańcy wioski nie będą działać wspólnie, ich życie zamieni się w koszmar. Poszła do swojej chaty i chwyciła *siqqee*.

Każda kobieta miała swoją *siqqee*. Otrzymywała ją od matki, gdy przestawała być dziewczynką. *Siqqee* robiono z sykomory, drzewa kobiet. Był to symbol więzi między kobietami. Gdy Kiku przyjmowała poród lub gdy parzyła zioła na gorączkę, stukała swoją laską w czoło pacjentki na znak, że wykorzystuje nie tylko własną wiedzę, lecz również moc *siqqee*, przez którą przepływa energia jej wszystkich poprzedniczek. Samo trzymanie laski dawało siłę – nie męską siłę potrzebną do podnoszenia skał czy do walki, lecz kobiecą siłę, siłę wytrwałości. Jeżeli kobieta potrzebowała pomocy, musiała tylko chwycić swoją laskę, wyjść z chaty i krzyknąć. To był swoisty sygnał alarmowy, na ten dźwięk każda kobieta musiała przerwać to, czym się w danej chwili zajmowała, i przyłączyć się do tego okrzyku.

Kiku przyłożyła swoją laskę do czoła, by przejąć jej moc. Następnie wyszła na zewnątrz i krzyknęła:

– *Intala Aaayyaa dhageettee?* Córko kobiety, czy słyszysz?

Przez chwilę panowała cisza. Potem z jednej z chat dobiegła odpowiedź.

– Oduun na gahee! *Ustyszałam!*

– Ustyszałam! – zabrzmiał inny głos.

Ze wszystkich stron schodziły się kobiety. Wszystkie krzyczały, że usłyszały wezwanie *siqquee*. Zgromadziły się wokół Kiku i Alayi, skierowały uniesione laski na zewnątrz i skandowały to samo pytanie: *Intala Aaayyaa dhageettee? Intala Aaayyaa dhageettee?* tak długo, aż przybyły wszystkie kobiety z wioski. Wokół nich zebrali się mężczyźni.

Wszyscy w ciszy czekali na słowa Kiku. Ona zebrała myśli... chciała, aby cała wioska zrozumiała, dlaczego to takie ważne.

– Straciliśmy *saafu* – oznajmiła. – Najpierw zgwałcono las. Słyszeliście, jak niektórzy przy ogniu mówią, że to dobrze, iż biali pokazują nam, jak panować nad drzewami, używając siekier. Ale czy to przywróci *saafu!* *Saafu* to nasze wspólne życie z lasem, gdy żadna ze stron nie ma przewagi.

Część słuchaczy kiwała głowami z aprobatą, lecz poza najbliższym kręgiem kobiet Kiku dostrzegła młodszych mężczyzn, którzy wyraźnie nie byli przekonani.

– Teraz moja siostra Alaya została zaatakowana – ciągnęła. – Dzisiaj to Alaya, jutro może to być żona lub

córka każdego z was. Dlatego musicie powiedzieć białemu człowiekowi, że nie będziemy już więcej dla niego pracować. Zamiast uczyć nas złych rzeczy, niech pozwoli, żebyśmy nauczyli go *saafu*. Na razie kobiety przekroczą wodę.

„Przekroczyć wodę” to wyrażenie rytualne. Oznaczało, że kobiety wycofają się z życia wioski. Nie będą opiekować się dziećmi, gotować, uczestniczyć w życiu rodzinnym, dopóki nie zostanie przywrócony spokój i porządek.

Kiku poprowadziła kobiety w głąb dżungli. Kiedy miały mężczyzn, Tahomen wystąpił i oświadczył:

– Bez kobiet ogień zgaśnie. My, mężczyźni, zrobimy, co trzeba, żeby przywrócić *saafu*.

* * *

Po powrocie z Hararu zastałem na plantacji wielkie poruszenie. Wyglądało na to, że tubylcy ogłosili coś w rodzaju strajku. Nie wpłynęło to na Tamilów, więc nie było realnego zagrożenia funkcjonowania firmy, ale Hectorowi bardzo zależało na jak najszybszym przywróceniu porządku.

– Ten człowiek nie powinien był tego zrobić, ale teraz już jest za późno. Musimy pokazać ludziom, że liczą się ich zobowiązania, a nie to, co czują!

Zwołano sąd. Tamil ze skruszoną miną stał pośrodku i wszyscy mieszkańcy wbijali w niego wzrok,

gdy przyznawał się do tego, co uczynił. Został ukarany grzywną dziesięciu rupii.

– No więc – oświadczył Hector, spoglądając po twarzach robotników – sprawa jest załatwiona. Wszyscy możecie wracać do pracy.

Po przetłumaczeniu tych słów nikt się nie poruszył.

– O co teraz chodzi, Jimo? – zapytał Hector.

Jimo odbył z zebranymi krótką naradę i powiadomił nas, że mieszkańcy chcą, aby grzywnę przekazano im, a nie sądowi.

– Nie ma mowy – rzekł Hector, potrząsając głową. – Prawo tak nie działa.

– I jeszcze chcą, żeby odesłać tego człowieka – ci-cho dodał Jimo.

– Co? To w ogóle nie wchodzi w grę. Zapłacił już grzywnę. Czy nie rozumieją, że to koniec?

Chyba nie rozumieli. Nawet gdy Hector ze złością rozwiązał sąd, robotnicy odmówili powrotu do pracy.

– Dajcie tu tę dziewczynę! – rozkazał Hector niecierpliwie. W końcu sprowadzono Alayę i nakazano jej uścisnąć dłoń Tamila na znak, że nie żywi urazy. Dziewczyna stała z opuszczoną głową, odmawiając wykonania tego polecenia, i chociaż mężczyzna chwycił jej zwisającą dłoń i potrząsnął nią, obserwatorzy sprawiali wrażenie bardziej zbuntowanych niż wcześniej.

– To już zaszło za daleko. – Hector wstał i rozgniewany wszedł w krąg robotników. – Sprawie-

dliwości stało się zadość – oznajmił podniesionym głosem. – Jeżeli nie będziecie pracować, odpowiecie za zerwanie kontraktów. – Chwycił motykę i wcisnął ją w dłoń dziewczyny. – Trzymaj. – Wzięła, nie patrząc. – A teraz marsz do pracy.

Nikt się nie poruszył.

– Jimo, wychłostaj ją – warknął Hector.

– *Sah?*

– Dwanaście batów. Potem wychłostaj wybranego mężczyznę.

Jimo przywołał dwóch Tamilów. Przytrzymał Alayę, gdy on bił ją po plecach. Krzyczała, lecz nie próbowała się wyrywać. Gdy ją puścili, osunęła się na kolana. Tamilowie wybrali jednego z mężczyzn, przyciągnęli za nadgarstki do środka kręgu, jakby zapraszali go do tańca. On także otrzymał tuzin batów. Po nim złapano następnego...

– Hectorze – odezwałem się zdjęty odrazą – człowieku, na miłość boską, nie możesz wszystkich wychłostać.

– Oczywiście że nie mogę. – Zwrócił się do mnie. – Jeżeli nie dasz rady utrzymać dyscypliny, lepiej od razu wracaj do domu. Jak utrzymasz porządek po moim odjeździe, jeśli nie pokażesz im, kto tu rządzi?

Jimo, wyczuwając rozdźwięk między nami, spoglądał to na mnie, to na Hectora, czekając na rozkazy.

– I co, Robercie? Jak będzie? Każesz ich wychłostać czy masz lepszy pomysł? – spytał Hector.

Zawahałem się. Pomyślałem, że Emily na pewno miałyby lepszy pomysł – w razie konieczności rzuciłyby się między bijącego a ofiarę. Ale cóż ja wiedziałem o pracy na plantacji? Hector widocznie uważał, że wszelkie moje skrupuły to tylko przejaw przesadnej wrażliwości. A prawdę mówiąc, potrzebowałem go, żeby pokazał mi, jak to działa,

– Dobrze – powiedziałem ciężko. – Jeżeli musisz chłostać tych dzikusów, rób to.

– Do roboty, Jimo.

Jimo uniósł bat i opuścił go na plecy mężczyzny. Bil bez zmrużenia powiek, aż wymierzył wyznaczoną liczbę razów, Kiedy podszedł do następnego, ten podniósł ręce i coś wymruczał.

– Mówi, że będzie pracował, *sah* – doniósł nadzorca.

Zgromadzeni wydali głośnie zbiorowe westchnienie – dziwny dźwięk, bardziej przerażenia niż gniewu.

– Dobrze! – zawołał Hector, zwracając się do robotników. – Kto następny? Ty będziesz pracował? Ty? A ty? Świetnie.

Nikt już nie stawiał oporu. Jakby mieszkańcy byli w szoku, odkrywszy, że ich słaby zryw nie jest w stanie przeciwstawić się Hectorowi. Niemal było mi ich żal.

Za dwa tygodnie, uświadomiłem sobie, znów będę w Hararze. Myślałem tylko o tym. O Fikre.

* * *

Po złamaniu strajku Hector wprowadził pewne zmiany. Zburzono okrągłe chaty, a płaski teren, na którym stały, został oczyszczony do osuszenia. Tubylców umieszczono w długich drewnianych budynkach, takich samych, w jakich mieszkali Tamilowie – mężczyźni w jednej chacie, kobiety w drugiej. Tym sposobem, jak powiedział Hector, nie było już Afrykanów i Hindusów, tylko robotnicy plantacji.

Kilka dni później znalazłem w naszej chacie małą figurkę z trawy. Przypominała lalki z kukurydzy, które robotnicy wyplatali w okresie żniw, gdy byłem dzieckiem. W tę figurkę było wplecione sznurowadło Hectora, a pośrodku tułowia tkwiła niewielka drewniana szpila przypominająca odłamany kawałek bata.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Gdy tylko trafiła się okazja, wróciłem do Hararu. Fikre przybyła do domu francuskiego kupca, lecz na jej twarzy malował się strach.

– Bey wrócił – oznajmiła, stojąc w drzwiach.

– Możesz zostać?

– Nie, to zbyt niebezpieczne. Ale musiałam cię zobaczyć. On chce mnie sprzedać.

– Co?

– Stracił na ostatniej dostawie. Teraz nie stać go, żeby zapłacić za kawę, którą kupił. Rozmyślał o tym, gdy wędrował przez pustynię. Mówi, że myślał i płakał. Szlochał, gdy mi o tym opowiadał, twierdził, że mnie kocha, że nie może znieść myśli o sprzedaży mnie, ale nie ma wyboru.

– A ty co powiedziałaś?

– Że nie ma znaczenia, do kogo będę należała – odparła gniewnie. – Niewolnica jest niewolnicą.

– Nie wiem, czy to rozsądne teraz go rozdrażniać.

– Chce udawać, że nie jest złym człowiekiem. Czemu miałabym dać mu tę satysfakcję.

– Ale to oznacza, że cię odeśle.

Roześmiała się głucho.

– Wcale nie.

– Musi.

– Słuchaj – mówiła tonem, jakim tłumaczy się dziecku oczywiste sprawy – zanim zostanę sprzedana, zbada mnie położna. Każdy kupiec będzie na to nalegał. Wtedy wszystko się wyda. On mnie zabije, chyba że wcześniej zrobię to sama.

– Nie zabijesz się.

– Tak będzie lepiej. Przynajmniej sama wybiorę moment śmierci. Teraz muszę już iść. Pocałujesz mnie?

– Nie umrzesz – powiedziałem, obejmując ją. – Nikt nie musi umierać. Obiecuję, że coś wymyślę.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

„Mulisty” – mało wyraźny ciężkawy zapach.
Może być skutkiem wstrząsania glebą.

Lingle, The Coffee Clipper's Handbook

Hector kroczy w milczeniu przez dżunglę. Niesie strzelbę gotową do strzału. Bayanna przed nim unosi broń. Obaj nieruchomieją.

– Tam, *sah* – szepcze Bayanna.

Hector zagląda między drzewa. Smugi słońca przepłatające się z głębokim cieniem przypominają futro lamparta do tego stopnia, że nie da się rozpoznać, czy tam coś jest. Ma wrażenie, że dostrzega jakiś ruch, ale może to tylko liść mknący z wiatrem.

– Tędy, *sah* – mówi Bayanna i bezszelestnie sunie naprzód.

Hector jeszcze nie powiedział Wallisowi, że kiedy ten wyprawia się do Hararu, on poluje na lamparta. Wyobraża sobie bowiem złośliwe komentarze, gdyby się nie udało. Żeby wszystko odbyło się należycie, po męsku, należy najpierw zabić bestię, potem położyć jej skórę na podłodze w chacie i czekać na powrót Wallisa – dostojny łeb i groźne szczęki wystarczą za cały komentarz. „Tak – powie mimochodem – uznałem, że skoro tu jestem, mogę sobie postrzelać”.

Za nimi trzaska gałąź. Kucharz Kuma przysuwa się z boku do Hectora. Niesie drugą strzelbę i pudełko z nabojami.

– Chyba go tu nie ma – odzywa się, wpatrując się w las przed nimi.

– Cicho, Kuma.

– Tak tak, przepraszam, *sah*.

Gdybyż pod tym dachem dżungli nie było tak ciemno! Trzej mężczyźni posuwają się dalej. Napotykają mały strumyk, potem grupę skał. To właśnie jest miejsce, myśli Hector, w którym, gdybym to ja był lampartem, chciałbym...

Dźwięk przypomina brzęczenie olbrzymiego łańcucha. Świst powietrza, błysk wyciągniętych pazurów; Hector przykłada strzelbę do ramienia i strzela jednym gładkim, wyćwiczonym ruchem. Lampart upada na ściółkę. Hector patrzy: zwierzę jest wspaniałe, więc lepiej nie używać wielu kul, by nie niszczyć skóry.

Wreszcie bestia przestaje się ruszać.

– Boże – mówi Hector, podchodząc do zwierzęcia ostrożnie – co za olbrzym!

Ogarnia go fala podniecenia. Bestia nie żyje i to on ją pokonał. Wallis może sobie kpić, ile wlezie – to zwycięstwo i ten łup są tylko jego. Mógłby nawet...

Wtem zgrzyt, kolejny ryk i znowu świst. Drugi lampart jest mniejszy, ale też groźniejszy. Hector sięga za siebie po drugą strzelbę, którą Kuma z niechęcią wypuszcza z rąk, lecz dłoń Hectora trafia w próżnię,

a drapieżnik jest już nad nim. Olbrzymie szczęki zaciskają się na jego szyi i szarpia. Hector słyszy czyjś wrzask. Bayanna rzuca w zwierzę kijem, a potem także Kuma wali w niego strzelbą. Kiedy bestia rozwiera szczęki, by zawarczeć, Hectorowi udaje się wywinąć. Lampart jeszcze dwa razy kłapie paszczą i pole widzenia Hectora kurczy się do maleńkiej kropki.

* * *

Wróciwszy, zastałem go w naszej chacie, wciąż w stroju myśliwskim, na łóżku poplamionym krwią. Gdy Kuma rozwinął bandażę, otworzyłem apteczkę.

– Tutaj, *sah* – powiedział cicho Kuma. Obróciłem się. Twarz Hectora z boku wyglądała, jakby rozplątano ją nożem do filetowania. Lewy policzek był niemal całkowicie wyrwany... poprzez ranę widziałem zęby, z drugiej strony były trzy głębokie cięcia od ucha do szyi. Robiło to przerażające wrażenie i prawdopodobnie nie rokowało nadziei.

Hector otworzył oczy. Jedno było wypełnione krwią.

– A, Rob. To ty.

– Jestem tu, Hectorze. Zaraz cię opatrzę i sprowadzę lekarza.

Chrząknął, a raczej próbował. Z jego ust wydobył się tylko słaby świst.

– Jakiego lekarza? Najbliższy jest w Adenie.

– Coś wymyślę.

– A – zamknął oczy. – Nie daj im mnie zjeść.

– Co?

– Jak umrę. Obiecujesz? Dopilnuj, żeby... mnie pochować Jak trzeba.

– Za wcześnie mówić o pochówku – odparłem – bo nie umrzesz.

Uśmiechnął się.

– Czyżby?

– Nie.

– Ale z ciebie naiwny szczeniak, Wallis.

– Hectorze, toż to wspaniałe, że nawet na łożu... – omal nie powiedziałem „śmierci”, lecz w porę ugryzłem się w język – boleści jeszcze się ze mną droczysz. Wiesz pewnie, że nie wypada złościć swojego chirurga.

– Chirurga?

– Wygląda na to – wyjaśniłem – że potrzebna będzie operacja, a z powodu nieobecności pana doktora, jego funkcję pełni dzisiaj rezydent doktor R. Wallis.

Westchnął słabo.

– Połatam cię jak najlepiej – dodałem. – A potem zawieziemy cię do Hararu. Tam na pewno znajdzie się ktoś, kto ci pomoże. – Odwróciłem się w stronę Jimo i oznajmiłem z udawaną pewnością siebie: – Będzie mi potrzebny wrzątek, igły i nić woskowana.

Wlałem Hectorowi do gardła cztery łyżeczki chlorodyny i zabrałem się do pracy. Szybko stało się jasne, że nawet potężna dawka mieszanki laudanum, wyciągu z koki, chloroformu i alkoholu nie jest w stanie całkiem stłumić bólu, jaki mu zadawałem, więc musiałem przywołać Jimo i Kumę, by go przytrzymali – jeden za ramiona, drugi za nogi. Jego wrzaski utrudniały mi pracę i nie wykonałem tego tak, jak bym chciał. Kiedy skończyłem, twarz Hectora – z zygzakowatą linią szwów przytrzymującą policzek – przypominała źle pocerowane spodnie, ale moje zadanie było wykonane.

Bez wstydu przyznaję, że po tym wszystkim sam zaaplikowałem sobie duży haust chlorodyny. Natychmiast zapadłem w kolorowy sen, w którym byłem znowu w Limehouse i degustowałem kawę wraz z Emily, Adą i Żabką. W moim śnie Emily zwróciła się do Ady i powiedziała: „Jaki płyn będziemy teraz próbować?”, na co jej siostra odparła: „Och, chyba krew”; wtedy podano mi trzy porcelanowe talerzyki z ciemnoczerwoną cieczą, którą nabrałem łyżeczką. Zanim wypowiedziałem swoje zdanie na temat wyczuwalnych smaków i zapachów – wywar mięsny, miedź, rośliny – Emily odwróciła się w moją stronę i oznajmiła głosem Ibrahima Beya: „Teraz, wiem, że nigdy mnie nie oszukasz”.

* * *

Wieczorem Hector poczuł się trochę lepiej. Przełknął nawet nieco strawy, którą Kuma wlał mu do ust, ale

następnego dnia obudził się z gorączką. Podałem mu proszek Douglasa i krople Warburga, a mimo to wciąż był rozgrzany jak piec, a twarz napuchła mu tak bardzo, że była niemal nie do poznania.

– Kuma – powiedziałem – sprowadź tę szamankę. Może ona coś poradzi. I każ chłopcom zrobić nosze.

Szamanka przyniosła zioła i korę, których użyła do sporządzenia papki. Posmarowała nią rany Hectora i zaczęła śpiewać nad nim wysokim głosem, pomagając sobie rytualnymi wymachami i gestami. Znowu przez chwilę wydawało się, że to poskutkowało: pod wieczór Hector odzyskał przytomność. Jednakże otwierał tylko jedno oko, drugie było zbyt napuchnięte.

– Rob?

– Jestem tu.

– Sadź ziarna.

– Hectorze, o czym ty mówisz?

– Te nowe ziarna... masz je w Hararze?

– Tak, mam. Ale nie męcz się.

– Osłaniaj sadzonki liśćmi bananowca. I odchwaszczaj. Niech nie robią tego tubylcy, bo to obiboki.

– W porządku, Hectorze.

– Dobrze zacząłeś. To będzie... będzie kiedyś cywilizowane miejsce, jeśli wytrwasz. To się liczy... Cywilizacja. Nie my. My przeminiemy. – Długa cisza, którą przerywały tylko pomruki szamanek i pełne bólu rzeże-

nie oddechu Hectora. – Powiedz Emily, że przepraszam.

– Emily?

– Tak. Dbaj o nią, Wallis. To wspaniała dziewczyna.

– Oczywiście – powiedziałem zaskoczony.

– Nie daj im mnie zjeść.

– Nikt nie chce cię jeść, Hectorze. Może z wyjątkiem tego przeklętego lamparta.

– Po mojej śmierci spal ciało. Obiecuj...

– Powtarzam ci, Hectorze, nie dojdzie do tego. – Wstałem i podszedłem do drzwi. – Kuma? Gdzie, u diabła, są te nosze? Wyruszymy do Hararu, jak tylko *Massa* będzie się nadawał do transportu.

Podszedłem znowu do łóżka. Szamanka pochylała się nad pokierszowaną głową Hectora i przesuwała dłonie w taki sposób, jakby wyciągała linę. Kiedy dotarła do końca tego wyimaginowanego sznura, coś z niego zdjęła i wyrzuciła w powietrze.

– Dziękuję. – Hector westchnął.

Przez jego ciało przebiegł dziwny dreszcz – niemal dało się wyczuć zazartą walkę o życie, ten ogromny wysiłek mocy witalnych, które za wszelką cenę chciały się czegoś uchwycić. Szamanka ponownie odegrała tę samą pantomimę i odrzucanie. Tym razem Hector ledwo dostrzegalnie skinął głową, a po chwili wydał gwałtowny jęk i znieruchomiał.

* * *

Z wioski przybyło więcej kobiet, by przygotować ciało. W tym czasie mężczyźni kopali grób. Ja czekałem przed chatą, raz po raz zaciągając się chlorodyną.

Wyszła szamanka z zakrwawionymi ubraniami Hectora. Wskazałem na ognisko.

– Spalić.

Zawahała się, po czym wyjęła coś z kieszeni i podała mi. Był to mały zwitek kartek – wyglądał na listy przewiązane starą, wypłowiałą wstążką. 1

– Dziękuję. Może to coś, co trzeba odesłać rodzinie.
– Pociągnąłem za wstążkę i rzuciłem wzrokiem na list z wierzchu. W pierwszej chwili pomyślałem, że mam halucynacje. Rozpoznałem adres nadawcy. Dom Pinkera.

Drogi Hectorze...

Odwróciłem kartkę. List był podpisany *Twoja Emily*.

Zawahałem się, lecz nie na długo. Hector nie żył, a Emily była tysiące mil stąd. W tej sytuacji skrupuły wydawały się zbyteczne.

Mój drogi Hectorze!

Nim otrzymasz ten list, pewnie będziesz już na Cejlonie! Jakież to emocjonujące – wprost brak mi słów, by wyrazić, jak Ci tego zazdroszczę i jak bardzo chciałabym być tam z Tobą. Cztery lata to jakby cała wieczność, ale

wiem, że odniesiesz tak wielki sukces i Twoja plantacja będzie funkcjonować tak sprawnie, że przed Twoim powrotem mój ojciec wyzbędzie się wszelkich obiekcji.

Tymczasem pisz do mnie i opowiadaj o wszystkim, co widzisz, abym mogła to ujrzeć Twoimi oczyma i przeżywać każdy moment wraz z Tobą. Jakże tęsknię za małżeństwem, by móc podróżować u Twego boku, zamiast tworzyć nasze wspólne życie piórem na papierze! Codziennie zaglądam do atlasu i obliczam, jak daleko dopłynął Twój statek (gdy to piszę, jesteś u wybrzeży Zanzibaru) oraz próbuję sobie wyobrazić, co widzisz.

Było tego więcej, o wiele więcej, ale to, co najważniejsze, mieściło się w pierwszych kilku liniijkach. *Mój ojciec wyzbędzie się wszelkich obiekcji.* Hector i Emily. Zareczeni. Wydawało się nie do pomyślenia, a jednak miałem przed sobą namacalny dowód. Nie tylko kiedyś kochała Hectora, ale kochała go fizycznie, bez zastrzeżeń, intensywnie. W każdym razie było to wyczuwalne w tych listach miłosnych – namiętność, z jaką opisywała ich romans, tęsknota, z jaką oczekiwała tego związku, jakże różniły się od przyjacielskiego tonu jej listów do mnie.

Na listach nie było dat, lecz bez trudu dało się je ustalić. Hector wyjechał na Cejlon, gdy Emily miała osiemnaście lat. Czytając uważnie między wierszami, można było wywnioskować, że doszło nawet do jakiegoś skandalu. *Chciałam pojechać do Southampton, żeby Cię pożegnać, lecz ojciec uważa, że im mniej będą nas teraz*

razem widywać, tym lepiej.

Przekartkowałem listy, aż znalazłem to, czego szukałem.

Jeżeli działaliśmy impulsywnie, to tylko z nadmiaru afektu: nie jesteśmy pierwsi ani ostatni, którzy odrobinę się pospieszyli, a w każdym razie byłoby to odrobinę, gdyby mój tato nie interweniował i nie zmienił kilku tygodni w cztery długie lata...

Spała z nim. Z tych eufemizmów jasno wynikało, do czego między nimi doszło. Panna Emily Pinker, wychowana w nowoczesny sposób – zbyt nowoczesny, jak zapewne stwierdził Pinker, a może złożył to na karb braku stałej opieki matki – rzuciła się w ramiona tego upartego, ponurego Szkota.

Pewne rzeczy teraz nabrały sensu. Moje porównanie delikatnej kawy do dziewiczego oddechu – nic dziwnego, że Pinker zbył to lekceważeniem, nic dziwnego, że ona się zarumieniła. A kiedy się zorientowałem, czego od niej oczekuję, powiedział, że muszą uniknąć *kolejnego* skandalu, nie po prostu skandalu. W tamtym momencie nie zwróciłem na to uwagi, lecz Pinker musiał zdawać sobie sprawę, że reputacja córki może nie wyjść cało z kolejnego starcia.

Przeglądałem te listy. Ich ton stopniowo stawał się spokojniejszy. Emily była coraz mniej wylewna i dziewczęca, coraz częściej reagowała na uwagi

i zastrzeżenia pojawiające się w listach Hectora. I w końcu, po ponad roku, padły takie słowa:

Nie rozumiem, jak możesz mówić, że mnie „zwalniasz”, skoro nie trzyma mnie przy Tobie nic więcej niż miłość – miłość, którą uważałam za obopólną. Nigdy nie sądziłam, że jesteś ze mną związany jakimś zobowiązaniem bądź kontraktem, i mam nadzieję, że Ty także nie myślałeś o mnie w ten sposób. Jeżeli jednak pragnienie podróży, przygód istotnie pociąga Cię dużo bardziej niż rodzina i dom, jak mówisz, to oczywiście nie możemy się pobrać. W każdym razie nie wyobrażam sobie nic gorszego od poślubienia kogoś, kto nie pragnie tego – i mnie – całym sercem.

Nagle wszystko zawirowało jak kompas przy gwałtownym skręcie. Nie lubiłem Hectora, a jednak w jakiś sposób stał się moim przyjacielem. Był moim jedynym towarzyszem – jedynym białym – w promieniu setek mil i oto okazało się, że ledwo go znałem. Emily rozumiałem jeszcze mniej. Jak na ironię, teraz, gdy była o trzy tysiące mil ode mnie, wiedziałem niej więcej, niż gdy byliśmy w Londynie.

Był jeszcze jeden list, mniej wyblakły od pozostałych.

Drogi Hectorze!

Nie wiem, jak odpowiedzieć na Twój ostatni list.

Cieszę się, że masz zamiar się ustatkować, i schlebia mi to, że wciąż o mnie myślisz. Muszę jednak wyznać, że po tak długiej rozłące trudno mi myśleć o Tobie jako o przyszłym mężu. Właściwie – jeśli mi wolno mówić bez ogródek – sposób, w jaki się rozstaliśmy, i uczucia, które wówczas wyrażałeś, sprawiły mi wielki ból, i jeżeli później próbowałam myśleć o Tobie z takim samym afektem jak kiedyś, to w dużej mierze dlatego, że mnie o to prosiłeś. Nie mogę zabronić Ci przybyć do Anglii, a mój ojciec z pewnością będzie chciał Cię zaprosić, więc spróbujmy pozostać przyjaciółmi.

List został napisany siódmego lutego. Osiem tygodni wcześniej zaczęła pracować ze mną nad „Przewodnikiem”. Tyle bólu krzywdy, a ja nic o tym nie wiedziałem.

* * *

Tej nocy w wiosce rozbrzmiały bębny. Kiedy rano przybyliśmy pogrzebać Hectora, odkryłem, że jego ciało pozbawiono oczu i jąder, po których pozostały wielkie bezkrwawe rany.

– To dla *ju-ju* – oznajmił Jimo żałobnym tonem. – Ciało biały człowiek dużo wielka magia. – Pokazał na migi spożywanie posiłku. Wyszedłem na zewnątrz i zwymiotowałem, a torsje, które mną jeszcze chwilę wstrząsały, wywołały okropne bóle żołądka. Wów-

czas zmieniłem decyzję w sprawie pochówku i kazałem wypełnić dół drewnem na ognisko. Obserwowałem, jak ciało Hectora kurczy się niczym pieczeń zbyt długo trzymana na rożnie i płonie: pod wpływem tłuszczu wpadającego w ogień płomienie strzelają zieloną barwą. Wydawało mi się, że niektórzy tubylcy patrzyli na to z żalem, jakby to była wielka strata.

Gdy już było po wszystkim, musiałem stawić czoło zgrozie tego wydarzenia. Oprócz chlorodyny miałem inne leki, no i whisky na sytuacje wyjątkowe. Wypróbowałem nawet *khat* z zapasów Jimo. Był gorzki, nieco cierpki, niewiele różnił się od przeżuwanych liści li-monki. Najpierw nie zauważyłem żadnego działania, ale stopniowo zaczynałem czuć dziwne drżenie, jakbym przestawał mieścić się we własnym ciele, jakbym zamienił się w gaz i ulatniał wszystkimi porami. Podtrzymywałem ten stan gazowego zatrucia mniej więcej przez tydzień; za każdym razem, gdy efekty słabły, żułem jeszcze trochę, aż w końcu zasnąłem i obudziłem się ze straszliwym bólem głowy.

W tym eterycznym otumanieniu podjąłem decyzję.

Droga Emily!

Niestety, muszę Ci przekazać tragiczną wiadomość. Nieszczęsny Hector nie żyje. Zaatakował go lampart i choć robiłem, co w mojej mocy, by go uratować, w rany wdało się zakażenie.

Życzył sobie kremacji, co spełniłem zaraz po jego

śmierci. Przeglądając jego rzeczy, natknąłem się na listy od Ciebie. Przeczytałem je – chyba nie powinienem był tego robić, ale już się stało. Ze względu na to, co ujawniają, zapewne nie zdziwi Cię to, że ostatecznie rezygnują z zamiaru poślubienia Ciebie. Jednakże winien Ci jestem wyjaśnienie, iż zacząłem rozważać tę ewentualność jeszcze przed przeczytaniem wspomnianej korespondencji. Krótko mówiąc, zakochałem się w kimś innym.

Życzę Ci wiele szczęścia w przyszłym życiu. Twój – chciałem napisać wierny, lecz dla zachowania precyzji chyba lepiej powiedzieć oddany

Robert Wallis

A więc byłem wolny.

PIĘCDZIESIĄT

„Zasadowy” – suche uczucie w ustach, smak niepożądany w kawie.

International Coffee Organisation, *The Sensory Evaluation of Coffee*

– Niech się upewnię, czy dobrze zrozumiałem – powiedział Ibrahim Bey. – Chcesz kupić ode mnie Fikre?

– Tak.

– Ale czemu?

– Kocham ją.

– Nie można kochać niewolnicy, Robercie. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

– Mimo to pragnę ją kupić – powtórzyłem z uporem.

– Robercie, Robercie... – klasnął w dłonie – napijmy się kawy i spróbuję ci wyjaśnić, czemu to nie jest dobry pomysł.

Byliśmy w domu Beya, w pomieszczeniu zdobionym dywanami i kunsztownymi lampionami. Sale gościnne w domach Hararu mieściły się na piętrze, gdzie docierała chłodna bryza spływająca z gór pod koniec dnia. Misternie zdobione parawany zapewniały intymność od strony ulicy, lecz chwilami, spojrzawszy w dół, można było dostrzec oko wielbłąda zaledwie kilka stóp

nżej.

– Mówię bardzo poważnie, Ibrahimie. I zapewniam, że nie zmienię zamiaru. Ale oczywiście przyjmę zaproszenie na kawę.

Mulu przyniósł nam maleńkie filiżanki z gęstą aromatyczną arabiką. Woń wiciokrzewu przypominała mi Fikre, słodki kawowy smak jej ciała. Zamknąłem oczy. Już niedługo będziesz moja.

– A więc – odezwał się Bey, odstawiając filiżankę – czy ten dziwny pomysł ma coś wspólnego ze śmiercią Hectora?

Pokręciłem głową.

– Ale gdyby żył, zabroniłby ci tego?

– Nie był moim właścicielem.

– Twój biznes to kawa, Robercie. Nie handel niewolnikami.

– Tu nie chodzi o interesy. Słyszałem, że myślisz o sprzedaży. Ja chcę kupić. I to wszystko.

– Niestety, to prawda, że muszę ją sprzedać. Żałuję, że tak jest. Ale zdajesz sobie sprawę, że nie będziesz mógł jej odsprzedać? O ile cesarz toleruje kupno niewolników, o tyle sprzedażą mogą się zajmować tylko Arabowie.

– To nie ma znaczenia, nie zamierzam jej sprzedawać.

Popatrzył na mnie z bólem.

– Twój przyszły teść nie byłby zadowolony, wiedząc

o tej rozmowie.

– Pan Pinker – oznajmiłem ostrożnie – nigdy się nie dowie.

– Robercie, Robercie... Chyba ci już mówiłem, że musiałem zastawić cały majątek, żeby ją kupić. Gdybym mógł cię powstrzymać przed popełnieniem tego samego błędu, zrobiłbym to. – Urwał na moment. – I sędzę, że nie zdajesz sobie sprawy, ile kosztuje taka dziewczyna.

– Podaj cenę.

– Tysiąc funtów – powiedział cicho.

– Muszę przyznać, że nie spodziewałem się takiej kwoty.

– Uprzedzałem, że to niebosięzna suma. Zapewniam cię, że nie próbuję zarobić na tej transakcji. W każdym razie sumienie i nasza przyjaźń powstrzymują mnie przed tym. Tysiąc funtów to tyle, ile sam zapłaciłem.

– Ale teraz jest warta mniej.

– Jak to? – Zmarszczył czoło.

Nie podejrzewa. Zachowaj spokój.

– Bo jest starsza.

– Racja. Jaką cenę proponujesz?

Nie jest nic warta, chciałem krzyknąć. Nie jest już nietknięta.

– Osiemset. To wszystko, co mam.

– Raz się o nią tankowałem – westchnął ciężko – i później tego żałowałem. Teraz nie będę się targował.

Przyjmuję twoją ofertę, chociaż poniosę stratę. Czy chcesz poddać ją badaniu?

– Oczywiście że nie. Nie tylko ty jesteś człowiekiem honoru.

– Proszę, Robercie. Nie rób tego. Mogę ją zabrać do Arabii i tam sprzedać. Zastanów się jeszcze dzień czy dwa.

– Czy przyjmiesz talary austro-węgierskie?

– Owszem. – Skinął głową.

– Dostaniesz pieniądze jutro.

– A ja każę prawnikowi przygotować odpowiednie papiery – rzekł, kiwając głową. – Obawiam się, że kiedy oprzytomniejesz, będziesz miał do mnie pretensje. Gdy to nastąpi, przestaniesz być moim przyjacielem.

Chędożę ją za twoimi plecami, ty tłusty capie!

– Zapewniam cię, że robię to z pełną świadomością.

– Wyciągnąłem do niego dłoń.

Zawahał się.

– Powiadają, że gdy uściśnie się dłoń Anglika, nie można się już wycofać z umowy.

– To prawda.

Chwycił moją rękę obiema dłońmi.

– Uściśnę więc twoją dłoń, Robercie, lecz mówię ci szczerze, że czynię to z ciężkim sercem.

* * *

Osiemset funtów. Kwota, jak powiedział Bey, niebosięzna. To oznaczało wydanie nie tylko zaliczki od Pinkera, ale też wszystkich pieniędzy przeznaczonych na wydatki plantacji i tego, co zarobiłem na własnych transakcjach.

Gdyby rzeczy przybrały inny obrót, te pieniądze miały mi umożliwić poślubienie Emily Pinker.

Pozostawało mi około pięćdziesięciu funtów. Nie wiele, ale ziarna były już posiane i opłacone, wystarczało na zapłatę dla robotników, a innych potrzeb nie miałem wiele. Gdy zasiewy będą rosnać, może uda się coś pożyczyc pod zastaw przyszłej sprzedaży. Powinniśmy przetrwać. A później, gdy już odnotujemy jakieś przychody, może wyjedziemy – nie do Anglii oczywiście, ale w jakieś inne miejsce w Europie, może do Włoch albo na południe Francji. Będziemy żyć niekrepowani normami społecznymi, jak artyści, buntownicy wyzwoleni z gorsetu konwencjonalnej moralności.

* * *

Skrzynia z pieniędzmi była za ciężka dla jednego człowieka, poszedłem więc na targ, gdzie znalazłem dwóch tragarzy do pomocy. Wziąłem pistolet do obrony przed ewentualnymi rabusiami i wspólnie wyruszyliśmy w drogę labiryntem ulic.

Wokół nas gęstniała ciemność, jakby ktoś wlewał ją

do miasta z gigantycznego garnka. Dom Beya był jednak oświetlony – małe świece w filigranowych lampionach błyszczały jak gwiazdy.

Prawnik, milczący Adari, czekał w salonie na piętrze. Zadał mi kilka pytań, żeby mieć pewność, iż rozumiem, co robię. Odpowiadałem cierpliwie, cały czas rzucając spojrzenia na drzwi, sprawdzając, czy Fikre do nas dołączy. Bey oczywiście nie chciał ryzykować: przypuszczał, że powita tę transakcję z typową dla niej furją.

Prawnik przedstawił mi dokument spisany po arabsku.

– To jest jej proweniencja... umowa sprzedaży wystawiona przez dom, który ostatnio ją sprzedał. Czy chce pan pokazać to swojemu prawnikowi?

– Nie ma potrzeby.

Wzruszył ramionami.

– A to dokument potwierdzający, że w chwili sprzedaży była dziewicą. – Położył przede mną inny papier po arabsku. – Rozumiem, że nie chce pan poddawać jej oględzinom?

– Nie ma potrzeby – powtórzyłem. Bardzo dobrze. – Położył na stole trzeci dokument. Musi pan to podpisać. To jest oświadczenie, że akceptuje ją pan taką, jaka jest.

Podpisałem. Tym razem było również tłumaczenie na angielski. Ja, niżej podpisany, niniejszym akceptuję niewolnicę zwaną Fikre, w zamian za co... – Przejrzałem i podpisałem.

– I jeszcze umowa sprzedaży. – Prawnik spojrzał na Beya. – Będzie pan liczył pieniądze?

– Robert by mnie nie oszukał – odrzekł Bey stanowczo.

Znowu się podpisałem, podczas gdy Bey podpisywał potwierdzenie odbioru.

– Jest pańska. – Prawnik zwrócił się do mnie. – Spojrzałem na drzwi, ale on podsunął mi jeszcze jeden papierek: zwykłe świadectwo z kilkoma linijkami tekstu po arabsku. – To jest zaświadczenie. Jeżeli pan ją zwolni, musi pan to zniszczyć.

– Rozumiem.

Fikre nie przychodziła.

Prawnik sięgnął po ostatnią filiżankę. To była najlepsza kawa Beya, jak poinformował mnie kupiec. Nie byłem w stanie przełknąć niczego, bo wszystkie moje zmysły wypełniała Fikre, czułem się, jakby w moich żyłach krążył miód.

W końcu prawnik nas opuścił.

– Robercie – powiedział Bey poważnym tonem – sądzę, że pewnego dnia będziesz tego żałował. Kiedy ten dzień nadejdzie, przypomnij sobie, że to ty nalegałeś, bym ci ją sprzedał, a nie odwrotnie.

– Rozumiem.

Wreszcie pojawiła się Fikre. Twarz miała nadąsaną. Za nią szedł Muiiu z workiem po kawie.

– Dałem jej trochę ubrań i innych drobiazgów –

wyjaśnił Bey. – Jako niewolnica nie może niczego posiadać, ale to jej rzeczy.

– Dziękuję. – Wziąłem worek od Mulu, który podał mi go ze łzami w oczach.

Wyciągnąłem do niej rękę.

– Fikre, pójdziesz ze mną?

– A czy mam wybór? – odpowiedziała z gniewem.

– Nie.

* * *

Zachowywaliśmy pozory do pierwszej przecznicy. Dłużej nie mogłem już wytrzymać. Wciągnąłem ją do bramy, pożądliwie przysunąłem do siebie – niecierpliwie pieściłem po całym ciele, przesuwając dłonie ku głowie, którą w końcu przytrzymałem do namiętnego pocałunku.

Wreszcie się rozłączyliśmy.

– Więc jestem twoja – rzuciła z uśmiechem.

– Właśnie.

– A wiesz, co ze mną zrobisz?

– Cóż, cokolwiek uczynię, na pewno będzie w tym dużo seksu.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

„Karmelowy” – należy przestrzegać degustatorów przed określaniem w ten sposób nuty przypalonej.

International Coffee Organisation, *The Sensory Evaluation of Coffee*

O kolejnych dniach mogę napisać bardzo niewiele. Potrafię określić wyjątkowy aromat Indian Malaber; potrafię znaleźć słowa, by przedstawić różnicę między kawą z Trynidadu a kawą z Tanganiki; potrafię oddać subtelne niuansy różnych gatunków kawy jawańskiej. Natomiast z tych tuzinów czy setek cielesnych zbliżeń, którymi cieszyliśmy się z Fikre zaraz po jej wykupieniu od Beya, z tego najbardziej ekstatycznego seksu w moim życiu z trudem mogę przywołać szczegóły dwóch czy trzech aktów, a tym bardziej je opisać. Każdy raz był inny, tak jak każda kawa jest inna, a może jeszcze bardziej, bo wypróbowałyśmy wszelkie kombinacje, jakie tylko są możliwe przy połączeniu dwóch ciał.

Tym, co pamiętam – lecz znowu, niestety, niełatwo mi opisać – jest wrażenie rozkoszy, przyjemnego upojenia w świecie ograniczonym do jednego pomieszczenia, dwóch ciał na łóżku, naszej fizycznej miłości przerywanej jedynie sporadycznymi wyprawami na targ po żywność. Nawet te wyprawy były bardzo rzadkie: gdy

byliśmy głodni, po prostu żuliśmy ziarna z naszego prowizorycznego materaca i naładowani energią wracaliśmy do wzajemnego zaspokajania naszych żądz. Zdarzało się też, że wychodziliśmy na targ z uczuciem wilczego głodu, a wracaliśmy, niosąc jedynie olbrzymie naręcza kwiatów, jakby wystarczał nam do życia ich oszałamiający zapach, kawa i nasze ciała.

Miejsce, z którego wyrastają jej nogi, stało się ołtarzem, przy którym klękałem, kielichem, z którego spożywałem komunię. Byłem Ali Babą szepczącym: „Sesamie otwórz się”, mój język wykręcał się jak noski pantofli kalifa. Byłem kolibrem zatapiającym dziób w wypełnionym rosą kielichu. Ona z kolei klęczała przede mną, czcząc mnie ustami, oczami wpatrzonymi we mnie nawet wtedy, gdy rozpylałem nasienie po jej wargach, policzkach, spryskując idealne czarne ramiona lśniącymi perłami spermy. One też mają smak kawy, powiedziała, oblizując moje palce; pachniały ziarnami, które stały się naszym nałogiem i podstawowym pokarmem.

Była całkowicie bezwstydna, a ja przy niej także wyzbyłem się wstydu. Nie było niczego, przed czym by się cofnęła, punktu, przy którym powiedziała by „dość”. Gdy czuła się obolała, prosiła, bym kupił na targu opium; paliła zwyczajem arabskim bulgoczącą nargilę. Tak to mijały nam dni w oparach kawy, opium, *khat* i seksu – w mglistym zmysłowym upojeniu. „Płonać nieustannie silnym płomieniem klejnotu, przedłużać tę ekstazę, oto warunki udanego życia” ^[21] napisał esteta Walter Pater.

Przekonałem się tym na własnej skórze: w tych czterech ścianach żyłem intensywniej niż kiedykolwiek wcześniej i później.

Czasem czułem przez sen, jak bawi się moimi jądrami, przetacza je w swoich palcach, przygląda się im z fascynacją. Chwytała je, obejmowała, stukając koniuszkami palców, jeszcze jeszcze raz... Zapytałem ją kiedyś, co tak ją w nich intryguje. Odparła głosem, który brzmiał jak w transie:

– Bo to jest źródło wszystkiego. Bez tego nic nie istnieje. Nie rozumiałem, co ma na myśli, a nawet nie próbowałem – miała skłonności do mistycyzmu. W każdym razie takie poszturchiwanie palcami podniecało mnie i po chwili znowu się w nią wsuwałem.

Wreszcie uczta zmysłów zaczęła zbliżać się ku końcowi. Byliśmy nasyceni, i chociaż w dalszym ciągu kochaliśmy się przy każdej okazji, było to jak dolewanie wina do kielicha, który wciąż jest pełny; gdy już nie czuje się potrzeby wysysania każdej kropli. Nasze myśli zaczęły zwracać się ku przyszłości.

* * *

– Co zamierzasz zrobić?

– Muszę wracać na plantację. Trzeba będzie przesadzić rozsady. Nie powinienem zostawiać Jimo samego, zaniedbałem to miejsce.

– Mam jechać z tobą?

– Ostrzegam, że warunki są surowe. Nie ma tam wygód dla kobiet.

– Nie przeszkadza mi to.

– W takim razie jedź ze mną.

– Robercie...?

– Tak?

– Czy masz wobec mnie jakieś plany?

Ruchem ręki wskazałem łóżko.

– Moje plany nie sięgają dalej niż to.

– Chodzi mi o mój... status.

Roześmiałem się.

– Czyżbyś prosiła mnie o rękę? Biała suknia, kościół, te wszystkie burżuazyjne ceremonie?

Potrząsnęła głową.

– Nie chcę ślubu. Chcę być wolna.

– Jesteśmy wolni.

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Robercie, to, co z tobą robię, robię dlatego, że chcę, a nie dlatego, że masz świstek papieru.

Czekała. Wiedziałem, że chce usłyszeć, jak obiecuję, że zniszczę papiery. Czemu tego nie powiedziałem? Stanowiłoby to dowód mojej miłości. Coś jednak mnie powstrzymywało. Byłby to bądź co bądź gest nieodwracalny, a gdzieś w głębi, jak sądzę, wciąż chciałem mieć poczucie, że mam nad nią władzę – jakby miłość miała coś wspólnego z własnością.

– Ależ zamierzam cię sprzedać, jak tylko znajdę sobie kogoś lepszego – zażartowałem. Może wypowiedziałem niedokładnie te słowa, może nawet były bardziej niezręczne, nie pamiętam już dobrze. Ale wydało mi się, że przez moment w jej oczach widziałem chłód. Potem skinęła głową potulnie więcej nie wracała do tematu.

* * *

Wspomniała o wolności jeszcze tylko raz. Byliśmy w łóżku, nasze ciała obracały się wspólnie w powolnym, swobodnym tańcu kochanków, którym się nigdzie nie spieszy. Motyl bijący skrzydłami w słońcu.

Szeptala „tak” i „nie” i nagle ujęła moją głowę w dłonie powiedziała z furją:

– Jeżeli dasz mi wolność, zwrócę ci siebie. Całą. Będę cała twoja.

– Kocham cię – mruknąłem.

Cóż, trzeba przyznać, że to nie to samo.

* * *

Dwa dni przed wyruszeniem na plantację po powrocie z targu zastaliśmy na progu Mulu. Fikre tuliła go z taką radością, że musiało minąć trochę czasu, nim wręczył mi list od Beya.

Drogi Robercie!

Mulu wędnie bez Fikre, a ja nie mam tu dla niego zajęcia, więc pozwoliłem sobie odesłać go do Ciebie. Nie musisz mu płacić, wystarczy wyżywienie i mieszkanie. Będzie dobrym sługą, o ile pozwolisz mu zaspokajać potrzeby Fikre tak samo jak Twoje. Jeśli go nie chcesz, odeślij go z powrotem. Jeżeli go zatrzymasz, nie musisz za niego płacić – w przeciwieństwie do Fikre jego wartość jest niewielka, choć przykro mi się z nim rozstawać.

Twój przyjaciel

Ibrahim

O odesłaniu go z powrotem nie było mowy. Fikre nie posiadała się ze szczęścia, on też. Chyba czasami czuła się samotna bez damskiego towarzystwa. Tyle że ja nie byłem przyzwyczajony do towarzystwa eunucha. Prawdę mówiąc, czułem zażenowanie, widząc ich razem, gdy niczym dwie pensjonarki paplali w języku, którego nie rozumiałem. Czasem pomagał jej się ubierać lub kapać, i to także wydawało mi się dziwne – taka intymność bardziej kojarzyła się z damą i jej służką niż z więzią łączącą kobietę i mężczyznę.

Któregoś dnia, gdy wstałem w nocy za potrzebą, zastałem Mulu przy tej samej czynności. Obrócił się – ujrzałem straszliwe blizny w miejscu okaleczenia, zyg-zaki torturowanego ciała, różowe na czarnej skórze. Poza tym miał genitalia dziecka.

Krzyknął z zażenowania i szybko się odwrócił. Nie odezwałem się – bo i cóż mogłem powiedzieć? To było przerażające.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

„Gryzący” – palony zapach, ostry i gorzki, możliwe że irytujący.

Sivetz, Coffee Technology

Poczta z Hararu wędruje powoli, więc list Roberta dociera dopiero po kilku tygodniach, oblepiony znaczkami z wielu krajów. Przynosi go Żabka, zdyszana, bo biegła, chcąc jak najszybciej dostarczyć tę niespodziankę do rąk Emily.

– Proszę! Mogę przeczytać? – błaga. – Proszę.

– Sama jeszcze nie przeczytałam. Zresztą listy Roberta do mnie to prywatna korespondencja.

– A mogę wziąć sobie znaczek i kopertę, a potem przeczytasz mi te fragmenty, które nie są prywatne? – pyta Żabka z nadzieją w głosie. – O, zobacz, wewnątrz coś jest. Czyżby przysłał ci prezent?

Emily milczy. Otwiera kopertę, która bardziej przypomina paczkę, zawiera bowiem jej listy do Hectora. Przez moment nie rozumie, później krew odpływa jej z twarzy. Szybko przebiega wzrokiem treść.

– Co się dzieje? – pyta Żabka. – Wszystko w porządku?

– Nie – odpowiada Emily. Wstaje z miejsca. – Mu-

sze znaleźć ojca. Mam bardzo złe wieści o Hectorze. A Robert... Robert – słowa więzną jej w gardle i Żabka ma niezwykłą okazję widzieć swoją najstarszą siostrę, tę zdolną, zaradną, wszechpotężną siostrę, wybuchającą łzami.

* * *

Niedługo potem po wyjściu z gabinetu Pinker zostaje czekającą na niego przed drzwiami Żabkę.

– Żaneto – mówi, siadając obok niej. – Niestety, twoja siostra jest w szoku.

– Wiem, Robert ją rzucił.

– Ja... – Spogląda na nią badawczo. – A skąd to wiesz?

– Zapytałam Adę, dlaczego Emily płacze, i powiedziała mi.

– Rozumiem. Teraz musisz być dla niej bardzo miła. A nie byłoby miłe używać przy niej słowa „rzucił”. Po prostu postanowili, że ich drogi powinny się rozejść.

– Ale skoro jej nie rzucił, to czemu ona płacze?

– Druga zła wiadomość – ciągnie Pinker – jest taka, że Hector bardzo ciężko zachorował w dżungli. Niestety, nie przeżył.

– Pochowano go?

– Tak.

– Nie zjedli go kanibale?

– Nie. Było krótkie porządne nabożeństwo, z trumną, kazaniem i modlitwami.

Żabka się zamyśla.

– Pewnie z Afryki dotarł do nieba szybciej niż to możliwe stąd. Bo stamtąd miał bliżej.

– Racja.

– Kogo teraz poślubi Emily, jeśli nie Roberta?

– Cóż, kiedyś spotka kogoś, kto jej się spodoba.

Nagle do Żabki coś dociera – myśl tak straszliwa, że jej żabie wypukłe oczy rozszerzają się do granic możliwości.

– Ale Robert będzie nadal pisał *do mnie*, prawda? – pyta z niepokojem.

– Bardzo w to wątpię – odpowiada ojciec i kręci głową.

Ku swemu zdumieniu Pinker odkrywa, że ma nie jedną córkę we łzach, lecz dwie.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

Zastaliśmy plantację w opłakanym stanie. Mimo że słońce stało już wysoko, pracowników nigdzie nie było widać. Przed moim wyjazdem przekopywano około pięćdziesięciu stóp na dzień, a teraz zaledwie jedną dziesiątą tego, i chociaż Hector ja zaznaczyliśmy taśmą równe linie, których należy się trzymać, to nowe dołki były porzucane po zboczu w taki sposób, jakby wykopał je ogromny kret. Wyglądało na to, że to miejsce pozbawione nadzoru Hectora nie jest w stanie funkcjonować. Najgorsze jednak czekało nas na rozsadnikach. Liście młodych sadzonek były pokryte bladymi rdzawymi plamami przypominającymi przebarwienia na stronicach starych książek.

To był jakiś grzyb. Nie pojmowałem. Przecież wspólnie z Hectorem dokładnie przejrzeliliśmy wszystkie krzewy dzikiej kawy w pobliskim lesie i żaden nie nosił śladów jakiegokolwiek choroby. Poczułem okropną bezsilność – Hector na pewno wiedziałby, co robić. Skoro jego już nie było, sięgnąłem po książkę Lestera Arnolda. Zalecał umycie zarażonych roślin roztworem mydła i mocnej kawy.

Gdy już było jasne, że sadzonek nie da się uratować, musieliśmy postanowić, co dalej. Pieniędzy wystarczyłoby na kolejną partię ziaren, ale tylko jedną – potem nie mielibyśmy już czym płacić robotnikom.

Któregoś dnia przy kolacji wyjaśniłem to wszystko

Fikre.

– Martwisz się – powiedziała.

– Oczywiście. Jeśli następny zasiew zmarnieje, więcej już nie będzie... po prostu nie mam pieniędzy – mówiłem z większą złością, niż bym chciał; troska przerodziła się w nerwowość.

Fikre zamilkła.

– Winisz o to mnie? – zapytała po chwili.

– Ależ nie.

– Gdybyś mnie nie kupił, miałbyś teraz więcej pieniędzy.

– Takie myślenie nie ma sensu. Co się stało, to się stało.

Nie były to najbardziej taktowne słowa, jakie mogłem powiedzieć.

– To znaczy, że żałujesz – nalegała.

– Fikre, nie możesz zająć się tym, co ważne? Muszę coś postanowić.

W jej oczach znowu rozbłysły ognie. Po chwili odezwała się takim tonem, jakby chciała coś sprawdzić:

– Nie myślałeś o uprawianiu kawy w taki sposób, w jaki robią to tubylcy?

– Oni nie uprawiają kawy Zbierają tylko owoce z roślin, które dziko rosną w lesie.

– Właśnie. Może nie potrzebujesz tego wszystkiego.

– Zatoczyła ręką, pokazując splantowane stoki, rozsąd-

niki, rzędy dołków. – Mógłbyś zamienić kopaczy w zbieraczy. Miałbyś dziką kawę, mógłbyś im zapłacić i sprzedać towar z zyskiem.

– Nie tak każe postępować Lester Arnold.

– Lestera Arnolda tutaj nie ma.

– Może nie, ale ta książka to jedyny doradca, jakiego mam. Nie mogę odrzucić dowiedzionych naukowo metod na rzecz kawy, która rośnie sobie w dżungli, jak popadnie. – Westchnąłem. – Jest jeszcze coś, co mógłbym zrobić. W Zeilah mieszka pewien biały człowiek, handlarz kością słoniową. Nazywa się Hammond. Oferował mi pomoc w razie potrzeby.

– Ale jak on może ci pomóc?

– Cesarz potrzebuje broni, wszyscy to wiedzą... kupuje każdą nędzną strzelbę, jaka tylko dotrze do Hararu. Biali... tacy jak Hammond, mogą je sprowadzać z Adenu. Za zysk z takiej transakcji mógłbym przywrócić porządek na farmie.

– Co cesarz zrobi z tymi strzelbami?

– Hector uważa... uważał, że chce rozszerzyć swoje terytoria dalej w głąb kontynentu.

– Czyli użyje ich przeciwko mieszkańcom.

– Póki wyrzyna tylko czarnych, to nie nasza sprawa.

Popatrzyła na mnie. Na chwilę zapomniałem o kolorze jej skóry.

– Oj, wiesz, o co mi chodzi – dorzuciłem niespokojnie.

- To ryzykowny interes.
- Nie jestem pewien, czy mam wybór. No, może rano coś wymyślę.
- Rozumiem. – Odwróciła się. – Powiadom mnie, jak coś postanowisz.
- Oczywiście. W końcu to dotyczy też ciebie.

Drogi Hammondzie!

Piszę do Ciebie z prośbą. Wspominałeś, że mógłbyś mi pomóc w przeprowadzeniu drobnych transakcji. Jeśli to jest aktualne, czy mógłbyś dla mnie sprowadzić tyle remingtonów, ile możesz nabyć za kredyt dla Anglika, przysłać je do Hararu? Gdyby ktoś pytał, mów, że w skrzyniach są narzędzia na plantację. Z przyczyn, o których nie będą się rozwodził, pilnie potrzebują gotówki, a obecnie istnieje popyt na ten towar.

Załączam 20 talarów Marii Teresy w charakterze zaliczki.

Z wyrazami szacunku

Wallis

Wysłałem ten list przez pośrednika, który podróżował na wybrzeże. Wiedziałem, że na odpowiedź przyjdzie mi czekać tygodnie, a nawet miesiące.

Tymczasem miałem wiele pracy – zbyt wiele. Nad tą plantacją wisiało jakieś fatum. Sadzonki, których nie

dosięgła zaraza, zaatakowały czarne mrówki. Do rozsadników wtargnął dzik dokonał spustoszenia. Robotnicy byli coraz mniej posłuszni. Moje stopy poraniły kolce, które trzeba było wydlubować igłą. Rdza rozprzestrzeniała się na kolejne rośliny – nie wytrzebiła ich, lecz ograniczała rozwój. Przesadziłem chore sadzonki do większych rozsadników, wymieniłem ziemię i posadziłem świeże ziarna tam, gdzie stare wymarły. Bywały dni, gdy zasypiałem, nie zdjęwszy butów, co może uchroniło mnie przed kolejnymi kolcami.

A jednak, jednak... Codziennie gdy zapadał zmierzch... te dziwne równikowe noce, kiedy ciemność okrywała dżunglę niczym koc, gdy zimorodki i papugi śmigały we wszystkie strony, gerezy skakały po drzewach, a robaczki świętojańskie krążyły w powietrzu, Fikre i ja jadaliśmy wspólny posiłek jedynie przy świetle syczącej lampy. W takich chwilach nie dało się nie czuć satysfakcji. Cokolwiek myślałem o swojej przyszłości, gdy relegowano mnie z Oksfordu – w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie czegoś takiego.

PIĘCDZIESIĄT CZTERY

Gdyby ból był kawą, myśli czasami Emily, potrafiłaby wymienić jego liczne składniki. Bicie serca oczywiście, lecz to tylko drobna część tego, czego teraz doświadcza. Upokorzenie – świadomość, że drugi raz w życiu wyszła na głupią. Ojciec i Ada zbyt ją kochają, żeby powiedzieć: „A nie mówiłem/mówiłam”, chociaż ją ostrzegali, tylko ona nie słuchała. Teraz okazuje się, że cały czas mieli rację co do Roberta. Przegrana – czuje się głupia, bezużyteczna, niekompetentna. Jak może pragnąć zmieniać świat, skoro nie umie nawet wybrać sobie męża? Złość – jak on śmiał tak ją porzucić, pisząc za ledwie kilka linijek, jakby rezygnował z prenumeraty czasopisma? A jednak ta elegancka lodowata zwięzłość notatki stanowiła część samego przesłania. Samotność – tęskni za nim, dałaby wszystko, by go odzyskać. Pamięta te popołudnia, gdy wspólnie degustowali kawę w gabinecie jej ojca, słowa przerzucane między nimi niczym frazy muzyczne, ich duet, intymny zmysłowy język wyrażający dużo więcej niż tylko smak kawy... Jest też uczucie, którego nie da się opisać jednym słowem, ta straszliwa, bolesna amputacja fizycznego pożądania, które już na zawsze pozostanie tajemnicą. Czuje się jak zdeformowana, karłowata groteskowa postać, stara panna... A niech cię, Robercie Wallisie, myśli, zbierając petycje w kwestii praw wyborczych. A niech cię, myśli, gdy budzi się w środku nocy przypomina sobie, co się stało, czemu jej oczy i nos są zaczerwienione, i gdy

czuje, że do oczu cisną się kolejne łzy, nad którymi tak samo trudno zapanować jak nad dreszczami w gorączce.

PIĘCDZIESIĄT PIĘĆ

„Skaza” – cecha, która podaje w wątpliwość doskonałość kawy.

J. Aron & Co., Coffee. Trading Handbook

– Będę musiał jechać do Hararu – mówię do Fikre. – Muszę kupić nowe nasiona.

– Rozumiem. Chcesz, żebym jechała z tobą?

Zawahałem się.

– A dasz radę tu zostać? Robotnicy mogą lepiej pracować, gdy ktoś będzie miał na nich oko.

– Oczywiście. Możesz jeszcze kupić trochę innych rzeczy do domu. Dam ci listę.

– Dobrze. Wiesz, że cię Kocham?

– Tak, wiem. Wracaj szybko.

* * *

Raz dwa załatwiłem sprawy w Hararze, więc pomyślałem, że zajrzę do Beya, by się dowiedzieć, czy nie ma wieści od Hammonda.

Dom wyglądał jakoś inaczej. Filigranowe lampiony, które przedtem wisiały na balkonie, zniknęły. Zapuka-

łem do drzwi. Otworzył mi obcy mężczyzna.

– Czym mogę służyć? – zapytał po francusku.

– Szukam Ibrahima Beya.

Uśmiechnął się z przymusem.

– Jak my wszyscy. Bey wyjechał.

– Wyjechał? Jak to? Dokąd?

– Może do Arabii. – Wzruszył ramionami. – Wyjechał nagle, uciekał przed wierzycielami.

To nie miało sensu.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście. Sam do nich należę. Miałem szczęście: moim zastawem był ten dom. Drań planował to od dawna... nie miał już nic do sprzedania.

Nagle mnie olśniło. Myśl tak straszna, że nie potrafiłem się zmusić, by ją sprecyzować.

– Czy pan zna arabski? – zapytałem powoli.

– Trochę. – Skinął głową.

– A czy mógłbym pokazać panu pewne dokumenty?

– Proszę bardzo.

Udałem się do domu francuskiego kupca i zabrałem stamtąd papiery, które podpisałem, kupując Fikre. Wróciłem tą samą drogą i ponownie zapukałem do pięknie rzeźbionych drzwi domu, w którym niegdyś mieszkał Bey.

Mężczyzna rozłożył papiery przy oknie i zaczął je przeglądać.

– To jest umowa sprzedaży – powiedział.

Dzięki Bogu...

– Dowód odbioru dziesięciu skrzyń pistacji w Kairze. A to – stuknął palcem w inny dokument – list przewozowy na dostawę kawy. Ten tutaj – podniósł świadectwo własności – to list. Raczej notatka. Chyba adresowana do pana.

„Jeżeli ją pan wyzwoli, musi pan to zniszczyć...”.

– Wszystko w porządku? – zapytał mężczyzna troskliwie. – Może napije się pan kawy? – Krzyknął parę słów w języku adari i zjawił się służący z dzbankiem.

– Nie, dziękuję... co on tu pisze?

– *Mój przyjacielu. Nie osądzaj mnie zbyt surowo. Zarabianie na kawie jest w obecnych czasach nadzwyczaj trudne, a moje długi narastały od lat. Mam nadzieję, że gdy gniew Cię opuści, przypomnisz sobie, że zapłaciłeś tyle, ile sam chciałeś. Co do dziewczyny, wybacz jej. Jest zakochana i to był jedyny sposób.*

Nie rozumiałem. Co to miało znaczyć? Co było jedynym sposobem? Co miałem wybaczyć Fikre? Skąd wiedział, że jest we mnie zakochana?

Chyba że...

Coś jeszcze przemknęło mi przez myśl, pojedyncze wspomnienia, które nagle połączyły się w spójną całość.

„Nie oszuka się doktora, ale można oszukać mężczyznę płonącego pożądaniem... który uwierzy w to, w co chce uwierzyć”.

Musiałem wrócić na plantację.

* * *

Nie dało się podróżować szybciej – dżungla chwytła mnie w swoje sidła, ciągnęła za stopy i oplątywała je winoroślą, wyciągała ku mnie gałęzie i liście, kładła swą dłoń na mej piersi, mówiąc czekaj, wysysała ze mnie siłę i wolę.

Poza tym już wiedziałem, co tam zastanę,
Fikre zniknęła. Mulu zniknął. Kartka na łóżku.

Nie szukaj nas.

Nizej, trochę innym pismem, jakby Fikre wróciła w ostatniej chwili, nie mogąc odejść bez tego pospiesznego wyjaśnienia: *On jest jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochałam.*

* * *

Nie będę próbował opisywać tego, co czułem. Może potraficie to sobie wyobrazić. Nie tylko rozpacz, lecz głęboki żal – kompletna miazdząca i dławiąca boleść, jakby cały świat dookoła się zawalił. Jakbym stracił wszystko.

Bo w tamtej chwili tak właśnie było.

* * *

W końcu najgroźniejsze są te historie, które opowiadamy sami sobie – zabijają nas bądź ratują, bądź też porzucają w środku dżungli, trzy tysiące mil od domu.

Musieli to planować na długo przed tym, jak mnie poznali. Może właśnie tym się zajmowali, gdy Hector i ja czekaliśmy w nieskończoność w Zeilah: ustalali szczegóły, analizowali niuanse, by przygotować całość – tę kuszącą przynętę – tak idealną, tak smakowitą, bym musiał ją połknąć.

Czy ta przynęta miała zwabić właśnie mnie? Zapewne przybycie Anglika zachęciło ich do działania. I to jakiego Anglika: młodego, naiwnego, porywczego, niezważającego na nic prócz własnych żądz...

Historia opowiadana na pustyni. Snucie pajęczyny, by zwabić nieświadomego owada. Może część tego była prawdą. Myślę na przykład, że Fikre była wychowywana w haremie, tak jak mówiła – bo jak inaczej wytłumaczyć znajomość języków, jej wykształcenie? Podejrzewam jednak, że nie była dziewicą, gdyśmy się poznali; z pewnością wiedziała, jak urządzić dobre przedstawienie w łóżku. Oczywiście musiała mnie uwieść: żebym zrezygnował z prawa do jej przebadania.

Bezsporne natomiast jest to, że wszyscy potrzebowali pieniędzy. Bey na spłatę długów, Fikre i Mulu, aby zacząć nowe życie. A ja miałem pieniądze, pełny sejf. Już wcześniej płaciłem za seks, dobrze o tym wiedzieli,

lecz sumy, jakie wchodziły w grę, były niczym w porównaniu z tym, czego potrzebowali.

Wiedzieli, że aby wygrać całą pulę, muszą nakłonić mnie do zapłaty nie za seks, lecz za miłość.

* * *

Nie byłem w stanie się dowiedzieć, jak naprawdę rozgrywała się ta historia. Mogłem jednak snuć przypuszczenia, łączyć ze sobą możliwości, domysły, tworzyć różne wersje zdarzeń i zestawiać je, tak jak można uderzać dwoma monetami o siebie. by na podstawie dźwięku stwierdzić: „O, ta jest fałszywa, a ta prawdziwa...”.

W ten drobiazgowy sposób stałem się baśniopisarzem.

* * *

Zaczęło się w haremie, gdzieś na odległych krańcach imperium osmańskiego. Aukcja niewolników. Młody kupiec, którego właściwie nie powinno tam być, pośród bogatych dworzan. gra w szachy – partia, którą kupiec przegrał z niewolnicą pałającą gniewem i żalem do świata.

Musiał się wówczas zorientować, jaka jest bystra,

jak błyskotliwy jest jej intelekt, nawet pod silną presją. Na pewno oboje dostrzegli bogatego dworzanina, który miał być jej przeznaczony.

Czyj to był pomysł? Sądzę, że Fikre. W końcu nie miała nic do stracenia. Może zaproponowała to podczas tej zwycięskiej gry.

– *Jeśli mi pomożesz, pomogę tobie.*

– *Czego chcesz?*

– *Wolności.*

– *Cóż mogę zrobić?*

– *Kup mnie.*

– *Za co? On mnie z łatwością przebije.*

– *Ilekolwiek by to kosztowało, obiecuję, że na tym zarobisz.*

Patrzyła na niego – nie błagalnie, lecz tym spokojnym wzrokiem, który tak dobrze znałem. Nie wiedziała jednak, że to się uda, aż do momentu gdy Bey w ostatniej chwili włączył się do licytacji, gdy machał ręką jak człowiek ogarnięty nagłą obsesją.

Nadeszły lata planowania. Mulu zapewne dołączył do nich później, ale możliwe, że pochodził z tego samego domu i został sprzedany, kiedy pozbywano się dziewcząt.

Miłość bez pocałunków to nie miłość.

Włócznia bez krwi to nie włócznia

Mulu i Fikre. Ich miłość była bezgraniczna – teraz to widziałem. Jak mogłem tego nie zauważyć? Było to uczucie, którego w swojej ignorancji nie dopuszczałem nawet w myślach. Miłość, która nie miała nic wspólnego z seksem.

A może, może... Załóżmy, że Bey obiecał swoim niewolnikom wolność, jeśli nakłonią mnie do rozstania się z pieniędzmi. To jednak nie wyjaśnia tych tygodni, kiedy ona i ja kochaliśmy się tak nienasyconie, gdy budziła mnie w nocy, obejmując me jądra... Skoro kochała Mulu, czemu oddawała mi się tak chętnie?

On jest jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochałam.

Tyle że Mulu to przecież nie mężczyzna. Pod pewnymi względami. Może więc po prostu chciała wiedzieć, czym jest miłość fizyczna, zanim zrezygnuje z niej na resztę życia. Może nawet liczyła na to, że tak już zostanie: nas troje, pan, niewolnica i sługa pod jednym dachem, a ona będzie dawać ciało jednemu, serce zaś drugiemu. Tymczasem ja swoimi niezręcznymi wypowiedziami, tym, że nie umiałem słuchać, uświadomiłem jej, że taki niekonwencjonalny związek jest niemożliwy.

A może... – moje myśli gnały z prędkością wiatru, szukały kolejnych wyjaśnień, które chciałyby odrzucić, lecz nie mogły – może chodziło jej nie tylko o fizyczne zbliżenie.

Jest jeszcze coś, czego nie może dać eunuch.

Przypomniałem sobie, co powiedziała, gdy zafascynowana wpatrywała się w moje przyrodzenie; *Bez tego nic nie istnieje.*

To dlatego jej żądza była taka nienasycona.

Pragnęła dziecka.

* * *

Nigdy jej nie odmówiłem. To kolejna rzecz, która pokazuje, jaki byłem ślepy. A przecież wystarczy zajrzeć do dzieł Darwina, by zrozumieć, że wszystko to – cała ta żądza, która wiodła mnie od jednej katastrofy do drugiej – było przejawem tej samej siły, która sprawia, że krzewy kawowe pokrywają się kwieciami.

Jakimż byłem głupcem.

Nie dość, że wszedłem do zastawionej pułapki, to jeszcze uczyniłem to z radością, a potem z okrzykiem rozkoszy zacisnąłem więzy. Pożądanie mnie oślepiło, spętało, prowadziło niczym na łańcuchu przywiązany do członka drogą czaszek do Hararu i do takiego zakończenia.

Bóg nie jest zegarmistrzem.

Bóg jest alfonsem.

PIĘCDZIESIĄT SZEŚĆ

„Łagodny” – wykazuje brak jednego dominującego smaku odczuwanego w dowolnej części języka, z wyjątkiem uczucia delikatnej suchości.

Lingle, The Coffee Clipper's Handbook

Arthur Brewer wchodzi do swojego biura z listem w ręku.

– Na ten chyba trzeba będzie odpowiedzieć. Jakiś strażnik ustawy, ^[22] absolutnie przekonany, że w jego okręgu ten, kto nie pracuje, jest symulantem... Emily, nic ci nie jest?

– Tak? – Odwraca się w jego stronę i wtedy uświadamia sobie, że on zauważył jej zaczerwienione oczy. – Tak, oczywiście – mówi, pochylając się z powrotem nad maszyną do pisania.

– Może wolisz nakreślić coś lekkiego, niezobowiązującego... co nie wymaga zaangażowania. – Kładzie list na biurku obok niej. – Na pewno wszystko w porządku?

Ku jego zdumieniu Emily zachłystuje się powietrzem, jej ciałem wstrząsa silny spazm. Natychmiast zasłania sobie usta dłonią, jakby miała czkawkę lub jakby przytrafiło jej się coś bardziej zenującego.

– Przepraszam. Zaraz dojdę do siebie... – Nie koń-

czy. Chwyta ustami powietrze, jej oczy wypełniają się łzami.

– Moja droga – mówi Arthur przerażony.

Niczym magik wyciąga skądś chusteczkę. Ona bierze ją; jest miękka, gruba i biała; len pachnący ciepłą cynamonową wodą kolońską. Trumper's, Emily zauważa mimowolnie – jej ojciec używa tej samej. Szlochając, zanurza twarz w przepastnych, bezpiecznych fałdach. Czuje na ramieniu dłoń, która powoli przesuwa się wzdłuż pleców i delikatnie ją poklepuje.

Kiedy Emily ochłonęła na tyle, by móc mówić, on pyta łagodnie:

– O co chodzi?

Jest rozdarta. Tak bardzo chciałaby wszystko mu opowiedzieć, a jednocześnie wstydzi się własnej głupoty, łatwowierności, tej kobiecej naiwności.

– Nie, nic. Rozczarowanie i tyle.

– Ale jesteś bardzo roztrzęsiona. Musisz wziąć sobie wolne na resztę popołudnia. – Jego twarz się rozpogadza. – Już wiem... pójdziemy do iluzjonu. Czy już to widziałaś?

Kiwa głową przecząco.

– A widzisz... Jesteśmy zapewne ostatnimi w Londynie, którzy jeszcze tam nie byli. Za bardzo obciążam cię pracą.

Otarła oczy, zmusiła się do uśmiechu.

– To my obciążamy pracą ciebie.

– Cóż, jakkolwiek jest, mamy na to lekarstwo.

Emily zwraca mu chusteczkę, a on mówi:

– Zatrzymaj ją.

Gdy zbliżają się do drzwi, otacza ją troskliwie ramieniem, a wtedy ona uświadamia sobie, że już zdążyła zapomnieć, jakie to przyjemne uczucie być w ten sposób otaczaną opieką.

PIĘCDZIESIĄT SIEDEM

„Szorstki” – pierwsze wrażenie smakowe związane z obecnością związków o gorzkim smaku.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Tahomen przycupnął nieruchomo między drzewami. Błoto rozmazane na jego torsie i rękach tworzyło wzory odpowiadające promieniom słońca przezierającego przez gałęzie, co czyniło go niemal niewidocznym. Palce owinał wokół trzonka siekiery. Ostrze pokrywała warstwa błota, żeby przypadkiem nie zdradził go błysk metalu w słońcu. Trzonek był o połowę skrócony, tak że teraz nadawał się nie tylko do ścinania drzew, ale i do rzucania.

Czekał tak już trzy godziny w pobliżu miejsca, gdzie zaatakowany został *Massa Crannach*. Możliwe, że lampart wystraszył się i ruszył dalej, lecz Tahomen jakoś w to nie wierzył. Na jego ciele siadały owady, zaschnięte błoto na rękach pękało i swędziało. Wielka stonoga *gongololo* przeszła po gałązce, wdrapała się na jego nogę i stoczyła na warstwy opadłych liści, wśród których zniknęła.

Po chwili dekoncentracji Tahomen podniósł głowę. Dwadzieścia stóp od niego biało-różowym błyskiem

mignął cień: lampart ziewnął, obnażając zęby.

Tahomen ze wszystkich sił starał się zachować spokój, choć jego palce bezwiednie zacisnęły się na siekierze. Mógłby przysiąc, że nie wydał żadnego dźwięku, a mimo to głowa zwierzęcia wystrzeliła w górę i nozdrza zaczęły węszyć.

Za daleko, by ryzykować rzut. Czas płynął, czekali.

W jednej chwili lampart wstał i ruszył, miękko stąpając po gałązkach i drobnych roślinach. Jego sierść lśniła w zielonym mroku lasu jak żar ogniska. Tahomen zachował zimną krew. Dzielilo ich już najwyżej dziesięć stóp; jeszcze kilka i zada cios. Lampart miauknął cicho. Nagle skądś wybiegły dwa kocięta nie większe od zajęcy. Kiedy dobiegły do matki, jeden natychmiast zanurkował pod jej brzuch i zaczął ssać, drugi, odważniejszy, rzucił się w pogoń za przelatującym błękitnym motylem, którego starał się pacnąć wielką łapą.

A więc dlatego lamparcica zaatakowała pana Cranacha. Tahomen cały czas to podejrzewał, ale teraz miał pewność. Broniła swoich młodych, a nie mściła się za partnera.

Lamparcica położyła się na boku, odganiając małego, który miał ochotę jeszcze ssać. Maluch zajął się więc obserwowaniem brata i naśladowaniem jego ruchów. Kłapaniecie szczęką okazało się szczęśliwe – kocię nie mogło być bardziej zaskoczone, gdy motyl znalazł się w jego paszczy. Przez moment język kocięcia miał błękitną barwę, po czym otumaniony owad odleciał.

Tahomen pomyślał o Kiku i ich dzieciach, które odeszły w dzieciństwie. Zastanawiał się, gdzie las skrywa ich duchy.

Matka znowu ryknęła i trzy lamparty ruszyły w las. Przeszły o kilka stóp od Tahomena; lamparcica była zbyt pochłonięta obserwowaniem małych, by zauważyć intruza.

Jeżeli mam uderzyć, to tylko teraz, pomyślał Tahomen.

Kiedy zwierzęta odeszły, wstał. Był zeszywniały od długiego bezruchu. To kolejny znak, rozważał ze smutkiem, że nie jest już tak młody jak niegdyś. Prawdopodobnie była to jego ostatnia okazja, by zabić lamparta.

W drodze powrotnej rozplątał rzemień, na którym wisały jądra i oczy Hectora Crannacha, i cisnął je w las. Już nie potrzebował ich *ju-ju*.

* * *

Gdy zbliżał się do wioski, usłyszał dziwny dźwięk. Dobiał z gęstwiny kolczastych drzew. Tahomen ostrożnie odgarnął trzonkiem siekiery gałęzie i zajrzał.

W splątanym gąszczu leżał *Massa Wallis*. Jego ubrania były brudne, poszarpane, włosy pokryte zieliskiem, wyglądał, jakby płakał.

Tahomen wyciął sobie przejście przez chaszczę i wyciągnął stamtąd białego pana. Widać było, że stało

się coś dużo poważniejszego niż tylko to, że zaplątał się w krzaki. Rozglądał się rozbieganym wzrokiem, jęczał, mamrotał coś pod nosem.

Tahomen wsunął siekierę zapas, objął męczyzną ramionami i poprowadził w kierunku wioski.

PIĘCDZIESIĄT OSIEM

„Delikatny” – słabe doznanie subtelnej słodyczy zaraz za czubkiem języka, przy pierwszym łyku.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Arthur spotyka się z Samuelem Pinkerem w klubie. Rozmawiają o różnych sprawach, które interesują ich obu. Powstanie Niezależnej Partii Pracy – co to będzie oznaczało dla obu tradycyjnych partii? Wojna w Afryce Południowej, aktualnie dominująca w nagłówkach gazet – w jaki sposób wpłynie na sytuację imperium?

Pinker coraz częściej myśli o sprawach międzynarodowych. Bracia Lever ze swoim mydłem Sunlight pokazali, że brytyjski wyrób można sprzedawać poza granicami kraju, ba, nie tylko sprzedawać, ale też produkować za granicą – w fabrykach w Kanadzie i Brazylii! Czemu więc firma Castle nie miałyby iść tą drogą? W końcu Holendrzy i Francuzi piją więcej kawy niż Brytyjczycy, a przy tym tak się składa, że symbol Castle jest uniwersalny. Pinker dokładnie przeanalizował sposób, w jaki działali bracia Lever: otworzyli jedną fabrykę tutaj, drugą tam, sprawnie rozkładając koszty i zachowując kontrolę. Tak, to jest sposób, by posuwać się naprzód, Pinker jest tego pewien. Tak jak państwa tworzą różne grupy interesów w polityce zagranicznej,

tak firmy reprezentujące te państwa muszą się łączyć w podobny sposób.

Istnieją oczywiście przeszkody polityczne. Część gazet twierdzi, że porozumienia przedsiębiorców nie służą klientom, że niewiele różnią się od karteli. Naturalnie to nonsens, jest przecież wielka różnica między dwiema firmami, które umawiają się, że nie będą rywalizować zbyt agresywnie w pewnych obszarach, a czymś takim jak syndykat kawowy, gdy niewielka liczba ważnych osobistości, rządów i bogatych plantatorów wspólnie zabrania innym dostępu do surowców. Pinker jest przekonany, że wolny handel zwycięży, lecz trzeba sprawę rozwiązać we właściwy sposób, dotrzeć z informacjami do właściwych uszu w rządzie... Dlatego on i Arthur Brewer mają tyle do omówienia.

Gdy interesy zostały już załatwione, obaj panowie siedzą przy drinkach i zaciągają się cygarami. Pinker czuje jednak, że jego rozmówcy coś nie daje spokoju.

– Panie Pinker – zaczyna Arthur.

– Mów mi Samuel.

– Samuelu... chciałbym cię o coś spytać.

Pinker czyni zachęcający gest cygarem.

– Chodzi o Emily – mówi Arthur z niepewnym uśmiechem.

Pinker mruży oczy, lecz się nie odzywa.

– Oczywiście nic jej nie mówiłem i nie chciałbym tego robić bez twojego pozwolenia. Ale tak mi się wydaje, że ona i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. Jej to-

warzystwo jest tak miłe... dzięki temu, że zyskała takie wychowanie, jeśli mogę tak powiedzieć.

Pinker unosi brwi.

– Otóż... czy wolno mi będzie poznać ją nieco bliżej
– wyjaśnia Arthur.

– Czy wolno? – mówi Pinker, wydmuchując dym z cygara, jakby był wściekłym smokiem. – Czy wolno? Chcesz mojego pozwolenia na zaloty do mojej córki?

Arthur, trzymając nerwy na wodzy, kiwa głową.

– Tak.

PIĘCDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

W końcu nadeszła pora deszczowa. Szare strugi wody lały się z niebios, jakby spadały z olbrzymiego wodospadu.

W wiosce rozważano, co zrobić z Wallisem. Tamilowie trzymali się z dala od tych dyskusji. Teraz, gdy plantacja nie miała włodarza i nie było pewne, czy zostaną opłaceni, wymykali się pojedynczo i po dwoje do dżungli w poszukiwaniu innych upraw.

Woda dostawała się do zabudowań, zatem mieszkańcy rozebrali je i wzniesli okrągłe chaty z drewna z dachami z trawy, których nieprzepuszczalności byli pewni. Deszcz rozmiękczył grunt, więc wyjęli część zarażonych ziaren kawy i posadzili pochrzyn i kukurydzę. Kawy było wystarczająco dużo w lesie, a przecież nie można żywić się samą kawą.

Wyglądało jednak na to, że jeden człowiek miał zamiar zadać temu kłam. *Massa* Wallis mieszkał w chacie Kiku, żywiąc się tylko kawą i *khat*, sypiając po kilka godzin, a po przebudzeniu szlochając i waląc głową w ziemię.

– Urok opada powoli – poinformowała Kiku mieszkańców – i niewiele możemy zrobić, by to przyspieszyć. Niech więc sobie żuje, jeśli to mu pomaga znieść ból.

* * *

Tylko raz *Massa Wallis* wybudził się z odrętwienia, a było to wtedy, gdy na plantację przybył pewien kupiec, przedstawiciel jednej z nowych firm, które sprowadzały towary do dżungli i wywoziły inne na zewnątrz. Towarzyszyły mu dwa muły z przytroczonymi do grzbietów wielkimi drewnianymi skrzyniami. Ten kupiec, Soma-lijczyk, był ubrany jak biały człowiek – wcześniej było to nie do pomyślenia.

– Przywiozłem towar dla pana Wallisa – poinformował zaskoczonego Tahomena. – Gdzie on jest?

Zdziwienie Tahomena jeszcze się pogłębiło, gdy *Massa Wallis* z płonącym wzrokiem wyłonił się z chaty Kiku.

– Moja broń! – krzyknął. – Broń przybyła!

Zdjęto skrzynie z mułów i Jimo podważył ich wieka krawędzią siekiery. Wewnątrz był list, który Wallis szybko przeczytał.

Wallis!

Zgodnie z zamówieniem posyłam dwanaście najnowszych remingtonów. Jeśli uznasz, że zdołasz sprzedać więcej, przyslij więcej pieniędzy.

Z poważaniem

– Sprzedać więcej? – mruknął Wallis. – Pewnie, że zdołam sprzedać więcej. Otwieraj, Jimo! Nareszcie...

Zrobił krok w przód i wyciągnął ze skrzyni coś ciężkiego. Niecierpliwie odwinął natłuszczoną szmatę.

Takiego urządzenia mieszkańcy nigdy dotąd nie widzieli. Cztery rzędy klawiszy umieszczonych na dźwigniach, a nad tym wszystkim szeroki półokrąg zębów, przez które maszyna wyglądała, jakby wieńczyła ją uśmiechnięta szczeka. Wallis oniemiał. Po chwili odłożył maszynę i wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo i głośno – nie wiadomo było, czy to radość, czy rozpacz, bo jego twarz wykrzywiał grymas bólu, a po policzkach spływały łzy. Tubylcy spoglądali po sobie, nie rozumiejąc, na czym polega dowcip, lecz gotowi byli brać udział w zabawie.

– Hammond, ty głupcze – jęknął Wallis. Patrząc na Tahomena, wypowiedział słowa, których ten nie mógł zrozumieć. – Przysłał mi tuzin głupich maszyn do pisania.

* * *

Po odebraniu przesyłki biały człowiek ponownie wycofał się do chaty Kiku. Sprawiał wrażenie osoby, na którą rzucono kolejny urok – po prostu odwracał twarz do ściany.

– Czy on umrze? – zapytał Tahomen.

– Może, jeżeli zechce. To nie to samo, co klątwa rzucona przez czarownika., . *Massa* Wallis sam rzucił na siebie klątwę i tylko on sam może zdecydować, czy chce ją zdjąć.

Co rano przygotowywała dla niego kawę, gęstą i ciemną. Mieląc ją, mruzczała starą modlitwę:

Dzbanku kawy przynieś nam spokój

Dzbanku kawy daj dzieciom rosnać

Chroń nas od zła

Srowadź deszcz i trawę

Massa Wallis pozostawiał kawę nietkniętą i tylko zuł coraz więcej *khat*.

* * *

Zapytam lasu, co robić, postanowiła Kiku. Zanurzyła się w głąb dżungli i siedziała spokojnie, nasłuchując szeptów *ayyanaa*. Teren przygotowany pod sadzonki kawy pokrył się już roślinnością – niebawem zaczną wyrastać drzewa i w końcu wielka wyrwa pośrodku puszczy zamknie się jak zablizniona rana.

Las, jak to często bywało, nie udzielił jej odpowiedzi wprost. Ukoił natomiast myśli, aż odpowiedź stała się

jasna i Kiku zrozumiała, że cały czas miała ją przed sobą.

SZEŚĆDZIESIĄT

„Medyczny” – wtórne wrażenie smakowe, powiązane z „szorstkim”.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Zanieśli Wallisa do chaty przeznaczonej dla chorych i położyli go na ziemi. W chacie było palenisko, ale brakowało otworu w dachu na dym. Kiku ułożyła w palenisku dużą stertę liści i kory krzewów iboga. Była też kawa, bo kawa zwiększała moc krzewu iboga, i pasta zrobiona z miazdżonych korzeni iboga.

Gdy gryzący dym wypełnił chatę, Kiku rozcięła ubrania Wallisa i nasmarowała na jego ciele symbole plemienne. Następnie rozsmarowała pastę po jego wargach i dziąsłach, po czym to samo zastosowała wobec siebie.

– Co robisz? – wymamrotał.

– Pójdziemy razem tam, dokąd się udajesz – powiedziała w języku galla. Usiadła obok niego. Położyła dłoń na jego nadgarstku, by duchy *zar*, gdy przybędą, nie odleciały z nim bez niej.

* * *

Czas w chacie snów płynął inaczej niż na zewnątrz, lecz nawet uwzględniając tę różnicę, Kiku zdawało się, że okres oczekiwania był bardzo długi, nim wreszcie usłyszała stukanie duchów. *Massa Wallis* zeszywniał, uniósł się kilka cali nad podłogę, gdy duchy próbowały nałożyć go sobie na ramiona, lecz Kiku trzymała go mocno. W końcu raczyły ją zauważyć.

– Kim jesteś? – groźnym tonem zwrócił się do niej jeden z duchów.

– Jego przewodnikiem, chcę się upewnić, że jest bezpieczny.

– Dlaczego? On nie należy do ciebie.

– Jest naszym gościem i muszę o niego dbać.

Słyszała, jak duchy się naradzają.

– Nie jesteśmy waszymi *zar* – powiedziały wreszcie.

– Przebyłyśmy długą drogę, żeby go zabrać. To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Nie jesteście naszymi *zar*, ale to nasza chata i chroni go nasza gościnność. Jest naznaczony naszymi symbolami.

– Musimy odbyć daleką podróż i nie będziesz mogła wrócić.

– Mimo to jestem gotowa iść z wami.

* * *

Wzlecieli ponad dolinę. Kiku miała okazję zobaczyć

z góry zmiany, których dokonali biali ludzie – nie tylko te fizyczne, jak wycięcie drzew, lecz także zniszczenia zadane wspólnotom rodzinnym i klanowym, jeszcze silniej zdewastowanym niż puszcza. Las kiedyś się zaleczy, ale nie miała pewności, czy społeczna struktura plemienia ma taką samą siłę.

Lecieli dalej i dalej, ponad Hararem i nad pustynią, nad wielkim morzem i nad górami pokrytymi śniegiem. Dolecieli do miejsca, które było niezwykle nawet według standardów podróży iboga, miejsca pełnego pudełek z szarego kamienia i prostych linii. – Wtedy Kiku zrozumiała, że to jest wioska białego człowieka.

Zar próbowały ich rozdzielić, lecz Kiku siłą woli trzymała się Wallisa i tak się obracała, aby mieć go na plecach i widzieć wszystko jego oczyma.

* * *

Kobieta w średnim wieku stoi przy stole. Ma przed sobą wielką stertę ulotek, które zagina i odkłada na równy stosik. Kiedy stosik jest już tak wysoki, że może się przewrócić, wchodzi inna kobieta, młodsza, i zabiera papiery na inny stół, gdzie są wkładane do kopert. Widać, że pracują w ten sposób już dość długo.

Obie kobiety mają taką samą wielobarwną poświatę, którą dostrzega się po zażyciu iboga, a jednak widać, że ta młodsza ma miłą powierzchowność. Po sposobie, w jaki *Massa Wallis* drży na jej widok, Kiku poznaje, że

ta kobieta coś dla niego znaczy. Podlatują więc nad drugi stół, przy którym wkłada ulotki do kopert.

Kobieta ich nie widzi, lecz jej delikatne nozdrza zaczynają się poruszać. Zaintrygowana obraca się w ich stronę i pociąga nosem, jakby wyczuła coś w powietrzu.

– Mary? – odzywa się.

Druga kobieta podnosi głowę.

– Czy czujesz zapach kawy?

– Nie, tylko tuszu. I już trzy razy przecięłam sobie palec tymi papierami. Może zrobimy przerwę na herbatę?

– Tak, musicie zrobić przerwę – mówi mężczyzna wchodzący do pokoju. – To uchwalimy przede wszystkim: nikt nie będzie pakował ulotek wyborczych dłużej niż dwie godziny bez przerwy.

– W takim razie musimy jeszcze pracować, bo robimy to dopiero od czterdziestu minut – odzywa się młodsza oschle, ale uśmiecha się do gościa.

– Nastawię wodę – oznajmia Mary. Przechodząc obok młodszej kobiety, szepcze: – To może potrwać... ten czajnik wolno się rozgrzewa.

Po jej wyjściu zapada milczenie. Kiku może nie rozumieć słów białych ludzi, lecz cisza to coś zupełnie innego. W języku galla jest wiele rodzajów ciszy, od kłopotliwego wahania po zgodne milczenie, i Kiku natychmiast rozpoznaje, że ta konkretna cisza wyraża napięcie flirtu.

– Dzisiaj jest posiedzenie – zaczyna mężczyzna. – Niestety. Muszę w nim brać udział, ale pomyślałem... może nie jesteś zbyt zmęczona... może poszłabyś ze mną jako gość.

– Jaki jest temat?

– Autonomia Irlandii. – Rozkłada ramiona. – Musimy znaleźć sposób na to, żeby projekty ustaw przeszły przez Izbę Lordów. Jak na razie właściciele ziemscy mówią jasno, że będą blokować wszelkie próby uregulowania kwestii irlandzkiej.

– Pójdę z przyjemnością, Arthurze.

– Naprawdę? Nie będziesz się nudzić?

– To bardzo ciekawe – zapewnia kobieta. – Czy przyjdzie sir Henry?

Mężczyzna kiwa głową.

– To on będzie przedstawiał projekt.

– Już się nie mogę doczekać. Mówią, że jest świetnym mówcą. Zresztą tak czy inaczej to będzie wielka przyjemność.

Massa Wallis na plecach Kiku wydaje żaloszny szloch.

* * *

Massa Wallis robił się coraz cięższy, a zarysy osób w pokoju stawały się coraz bardziej rozmazane. Trzeba było wracać. Kiku czuła, jak duchy *zar* chwytają ją sil-

nymi dłońmi pod pachy i podnoszą. Ta podróż była jednak zbyt daleka i zbyt długa. *Massa* Wallis zrobił się tak ciężki, a *Kiku* była tak zmęczona, że *zar* nie mogły ich unieść. Przez chwilę wydawało się, że nie opuszczą tego miejsca. *Kiku* wiedziała, że to się czasem zdarzało: ludzie wpadali w trans *iboga* i z jakiejś przyczyny nigdy nie wracali, skazując swoje duchy, niewidzialne i bezdomne, na wieczną tułaczkę. Z olbrzymim wysiłkiem poderwała się. Czowała, jak *zar* ją pociągają i po chwili znowu unosili się ponad tym gniazdem termitów – najpierw powoli, później coraz szybciej ponad oceanem,

* * *

W chacie chorych *Massa* Wallis zapadł w głęboki sen. *Kiku* wypowiedziała zaklęcia z podziękowaniem dla *zar* za pomoc, życząc im bezpiecznej podróży z powrotem. Następnie wzięła zaostrzony kolec jeżozwierzka i ostrożnie zanurzyła go najpierw w popiele *iboga* w palenisku, a następnie w symbolach plemiennych na ciele Wallisa. Ostry koniec przeszył skórę, szary pył, wciąż lekko toksyczny, sprawi, że skóra się wybrzuszy i stwardnieje, a w tych miejscach powstanie nakrapiany wzór świadczący o inicjacji Roberta Wallisa.

* * *

Kiedy *Massa* Wallis spał, *Kiku* wyszła szukać Ta-

homena.

– Myślałam o czymś – powiedziała nieśmiało.

Znał ją zbyt dobrze, by sądzić, że tylko myślała.

– Mów.

– Sądzę, że *Massa Wallis* powinien mieć kogoś do pomocy i że powinna to być Alaya.

Tahomen próbował to zrozumieć.

– Czemu Alaya?

– Bo jest najładniejsza z młodych kobiet.

– Chcesz, żeby dzieliła z nim posłanie?

Potrząsnęła głową.

– Myślę, że *Massa Wallis* jest na to zbyt chory. Ale widok ładnej twarzy dobrze mu zrobi. A ona będzie miała zajęcie.

Tahomen spoglądał w dal, wciąż rozmyślając. Nawet jak na Kiku ta propozycja była trudna do zrozumienia.

– Jeśli Alaya będzie służyć białemu człowiekowi – powiedział – nie będzie jej tutaj, gdy ja zechcę do niej pójść.

– Tak szczęśliwie się składa, że masz jeszcze jedną żonę.

– Czyli włócznia Bayanny nie będzie już stała przed twoją chatą?

– Włócznia Bayanny... – odparła Kiku z namysłem – nie zawsze leci tak równo i tak daleko, jak on to sobie

wyobraża.

Tahomen się uśmiechnął.

– Czy mężczyźni są tak prostymi istotami – zauważył – że wystarczy ładna twarz, by zdjąć klątwę?

– Chcesz powiedzieć – zachnęła się – że moja propozycja jest oczywista?

– Naturalnie że nie – szybko odrzekł Tahomen – Tylko prosta, a to co innego.

– Hmm... – mruknęła udobruchana. – Tak, mężczyźni są tak prostymi istotami. Ale kobiety również, jeśli o to chodzi-

– Jak to? A czego chcą kobiety?

– Chcą... – zamyśliła się – żeby ich nie pytać, czego chcą.

– Oj, daruj mi te zagadki, stara kobieto – jęknął.

Pchnęła go mocno w ramię.

– Nie taka stara – zaprotestowała. – Nie jestem na przykład tak stara, że jeśli zaczniesz znowu przychodzić do mojej chaty...

– Tak?

– Powiedzmy, że las złożył mi obietnicę.

– Aha.

Wiedziała, że zrozumiał, i wiedziała też, że on nie ma zamiaru wszystkiego zepsuć ubieraniem tej nadziei w słowa. Uświadomiła sobie, że to jedna z rzeczy, za które go kocha: to, że na ogół wiedział, czego nie mówić.

SZEŚCÍDZIESIĄT JEDEN

To bardzo nietypowy okres narzeczeński choćby dlatego, że w dużej mierze przypada na czas kampanii wyborczej. Zalotom towarzyszy działalność polityczna o szczególnym natężeniu: pisanie ulotek, składanie ich, roznoszenie, udział w zebraniach, debatowanie, lobbowanie, spotkania z wyborcami... To wszystko bywa emocjonujące, lecz przez to narzeczeni rzadko mogą być razem dłużej niż kilka minut; on jest generałem, a ona jednym z żołnierzy. Arthur okazuje swoje uczucie, pytając ją troskliwie, czy nie pracuje zbyt ciężko, mówiąc innym wolontariuszom, że ona musi teraz odpocząć. Jej kruchość staje się wygodnym dla nich mitem – oboje wiedzą, że ma początek w jej łzach tamtego dnia w biurze, gdy podał jej chusteczkę pachnącą wodą Trumpe's.

Dla wszystkich staje się jasne, że tych dwoje coś łączy. Jego galanteria i rycerskość skupiają się głównie na niej. Kiedy na publicznym zebraniu mówi o „słabych”, szuka wśród publiczności jej wzroku. Kiedy mówi o „roli kobiet”, obdarza uśmiechem tę konkretną kobietę. Mówiąc o liberałach jako partii rodzinnej, patrzy na nią z taką powagą, że ona nie może się nic uśmiechnąć i opuszcza wzrok z obawy, że i on się roześmieje.

Nie myśli o Robercie Wallisie. A jeśli myśli – bo jakkolwiek by się starała, przecież nie może nakazać

umysłowi, o czym ma myśleć – to z tych wszystkich emocji, które targają nią na początku, odczuwa tylko gniew. Nie czuje się wcale tak delikatna, za jaką uważa ją Arthur. Chciałaby spotkać tego głupiego, nieodpowiedzialnego, egocentrycznego młodzieńca i walnąć go w nos.

* * *

Wybory zbiegają się z powrotem tysięcy żołnierzy z wojny burskiej w Afryce Południowej. Rząd konserwatystów organizuje jedną paradę za drugą. Czasem trudno odróżnić imprezę wyborczą od obchodów zwycięstwa.

Konserwatyści utrzymują władzę dużą przewagą głosów. Po wyborach Pinker z goryczą odkrywa, że William Howell z Howell's Coffee uzyskał tytuł szlachecki, teoretycznie za zasługi na polu filantropii, lecz faktycznie – o czym wszyscy wiedzą, za finansowanie partii konserwatywnej.

Liberałowie narzekają, że przez popieranie takich kwestii jak prawa wyborcze kobiet nie mogą dojść do władzy. Argumentują, że potrzebne im są strategie skierowane do wyborców, a nie do tych, którzy jako pozbawieni praw wyborczych nie są w stanie poprzeć ich w głosowaniu. Zasiłki chorobowe, emerytury, zasiłki dla bezrobotnych – to tematy, które przemawiają do robotników.

W Londynie ruch sufrażystek stara się zwiększyć swoje wpływy. Emily pracuje dla nich z takim samym oddaniem, jak to robiła w okręgu wyborczym Arthura. Teraz wygląda na bardzo słabą – jest okropnie chuda, lecz jej oczy błyszczą: zresztą im jest chudsza i słabsza, tym bardziej Arthur się o nią troszczy.

* * *

Co do Arthura, rozczarowanie przegraną partii łagodzi to, że zdobył w swoim okręgu więcej głosów niż poprzednio. Jest teraz wśród liberałów znaczącą postacią, możliwe, że przyszłym ministrem.

Czas ułożyć sprawy osobiste. Na szczęście znalazł kobietę, która będzie idealną żoną ministra: pracowitą, o słusznych poglądach i dzięki osiągnięciom ojca, zamożną. Oświadczyny wydają się jak najbardziej naturalne.

Są to skromne oświadczyny, żadne z nich dwojga bowiem nie jest zwolennikiem teatralnych gestów. On zabiera ją na taras w Izbie Gmin. Jest wieczór. Nieustanny ruch na rzece nieco się uspokoił. Arthur mówi dość długo, podkreślając, że nie jest to łatwy krok, że nikt bardziej niż on nie ceni miłości, której najczystszym przejawem jest uświęcony związek na całe życie.

– Chciałbym – zwraca się do Emily – dostać pozwolenie na porozmawianie z twoim ojcem, bym mógł prosić go o twoją rękę.

– Och, Arthurze. – Emily wzdycha. Wie, że to nie jest konieczne: ojciec w ostatnich tygodniach jasno określił swoje stanowisko. – Odpowiedź brzmi tak, to jasne.

Oczywiście że tak. Jakżeby inaczej? Właśnie tego przecież zawsze pragnęła. Jest osobą racjonalną – wycofać się teraz, zrezygnować ze wszystkiego, co sobie wymarzyła, byłoby bardzo irracjonalne.

Jeżeli nawet w nadchodzących dniach i tygodniach Emily ma wątpliwości – a ma – to przecież są one jak najbardziej naturalne. To poważny krok, wielka zmiana w życiu obojga. I jeżeli nawet czasem wydaje jej się, że kiedy on mówi o małżeństwie, ma na myśli coś innego niż ona, coś bardziej abstrakcyjnego i chyba szlachetniejszego niż w jej wyobrażeniach, to też jest pozytywne. Jest przecież idealistą to jedna z rzeczy, które najbardziej w nim podziwia.

To nie miłość będzie podtrzymywać ich małżeństwo, a raczej małżeństwo będzie podtrzymywać miłość. Emily żarliwie w to wierzy, a mimo wszystko nie może przestać myśleć o tym, co będzie, jeśli tak się nie stanie.

* * *

Pinker widzi, że się mylił, polegając na politykach. Jeżeli coś wymaga zmian, wystarczy się zdać na zasady biznesu, a one już same o to zadbają. Sprzedaż kawy Castle jest cały czas duża i kasa Pinkera jest pełna.

Owszem, Howell skopiował jego strategię i zaczął sprzedawać własną kawę pakowaną o nazwie Howell's Planter's Premium, lecz Pinker wciąż wyprzedza go o dobry krok. Wprowadza nowe wielkości opakowań – o wadze pół funta, ćwierć funta – a nawet nowy rodzaj pojemnika, puszkę próżniową która pozwala na przechowywanie kawy mielonej przez kilka tygodni. Autorzy sloganów reklamowych w londyńskim biurze J. Walter Thompson nazywają to „wieczną kawą”. Pilnie pracują nad tym, by co tydzień proponować nowe reklamy, z których wszystkie niosą przesłanie, że Castle to cenny składnik małżeńskiego szczęścia (*Kiedy przyrządzasz dla niego tę wyjątkową filiżankę Castle... stwarzasz ognisko domowe!*).

Pinker spędza w biurze wiele godzin dziennie, planując, przewidując i rozmyślając.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

W sumie, jak oceniła Kiku, wszystko zaczęło się układać. Alaya była zadowolona, że opiekuje się kimś tak ważnym szanowanym jak *Massa Wallis*. *Massa Wallis*, choć wciąż niewiele się odzywał, zaczął znowu jeść i codziennie udawał się do lasu, gdzie zbierał kawę. A Tahomen i Kiku w każdym tygodniu spędzali wspólnie kilka nocy, nie zawsze się kochając – chociaż wciąż jeszcze była dość młoda, by urodzić dziecko, to z pewnością była już za stara, by aż tak się trudzić – lecz rozmawiając o wszystkim, co dzieje się w wiosce i w ich życiu, i wtulając się w ciepło swoich idealnie dopasowanych wzajemnie ciał. Co prawda było zbyt wcześnie, by stwierdzić, czy będzie obdarowana kolejnym dzieckiem, i z pewnością zbyt wcześnie, by stwierdzić, czy ono z nimi zostanie, czy będzie im odebrane, lecz głosy lasu brzmiały obiecująco.

Tymczasem sprawa pana Wallisa nie została ostatecznie załatwiona i w końcu Kiku uznała, że nadszedł na to czas. Poczekala, aż zbierze się rada klanów omawiająca wiele różnych problemów, i wtedy podniosła swoją *siqqee* na znak, że ma coś do powiedzenia.

– Synowie kobiety i córki kobiety – zaczęła.

Tahomen skinął głową przyzwalająco.

– Mów, a my cię wysłuchamy.

– Pamiętajcie, że biali ludzie swoim przybyciem naruszyli *saafu*. Las był nieszczęśliwy, ale las potrafi

czekać. Dzisiaj tereny, na których wycięto drzewa, pokrywają się roślinnością i wkrótce znowu będzie tam dżungla. Nie myślcie jednak, że wszystko wróci do dawnego stanu. Już dobiegają nas słuchy o innych białych przybywających do innych dolin. Już docierają tu kupcy ze skrzyniami pełnymi towarów na sprzedaż, szukający towarów na wymianę. Las może odrosnąć, lecz nie potrafi się obronić przed następnymi białymi ludźmi, którzy będą chcieli go rozszarpywać i wyznaczać równe linie. Możemy mówić białemu człowiekowi, że jego rośliny zwiędną, że guźce wyjedzą nasiona, a słońce wysuszy sadzonki, on i tak nas nie posłucha, bo taką ma naturę.

– Co proponujesz? – zapytał ktoś. – A może jesteś jak pies, który szczeka, gdy hieny już nie ma?

Potrząsnęła głową.

– Jestem jak pająk, który mówi: Jedną pajęczyne łatwo zniszczyć, ale tysiąc pajęczyn może spętać lwa. Oto co proponuję: Biały człowiek zapłacił nam za pracę. Zamiast wydać ten zarobek na siebie, musimy mu to zwrócić.

Zapadła cisza, w której mieszkańcy wioski dość długo rozważali tę dziwną propozycję.

– *Massa Wallis* nie może tu zostać – wyjaśniła Kiku. – Póki nie wyjedzie, nie odzyskamy *saafu*. Żeby wrócić do swojej wioski, potrzebuje pieniędzy, i to dużo. Jeśli zwrócimy mu to, co zarobiliśmy, to mu wystarczy.

– Ale wtedy nie będziemy mieli za co kupić ubrania

i jedzenia dla dzieci. Cała praca dla białego człowieka pójdzie na marne – zauważył ktoś z zebranych.

– Tak, ale kiedy on odejdzie, będziemy mogli zbierać dzikie ziarna kawy i zawozić je do Hararu na sprzedaż. Będą warte więcej niż dawniej, bo biali ludzie pokazali nam, jak usuwać łuskę i suszyć kawę na słońcu. A co najważniejsze, żaden inny biały człowiek już tu nie przyjdzie i nie powie: „Teraz to będzie moja ziemia”. To działa tak: będą musieli znaleźć pana Wallisa i kupić tę ziemię od niego, a on będzie daleko stąd.

– Przecież ten las należy do nas – odezwał się ktoś z zebranych.

– Powinien, ale tak nie jest. Teraz nie możemy nic na to poradzić. Właśnie o tym myślałam, mówiąc, że wszystko się zmieniło.

– A dlaczego mielibyśmy pomóc temu człowiekowi? – padło kolejne pytanie. – Czym sobie zasłużył na naszą szczodrość?

– Powinniśmy mu pomóc – odparła Kiku – ponieważ jest człowiekiem, synem kobiety, tak jak my jesteśmy synami i córkami kobiet.

Długo milczeli. Wreszcie Tahomen chrząknął.

– Dziękuję, Kiku. Teraz będziemy mieli o czym myśleć.

* * *

Rozmawiali wiele dni. Taki mieli sposób postępowania: to, co można by uznać za bezsensowne pogaduszki, było w istocie powolnym procesem osiągnięcia porozumienia, przyglądaniem się sprawie z wielu różnych stron, poszukiwaniem odpowiednich przysłów stanowiących skarbnicę wiedzy przekazywaną przez pokolenia, aż wreszcie z tego wszystkiego wyłaniało się wspólne uzgodnienie. Ten proces podejmowania decyzji bardzo różnił się od sposobu załatwiania spraw przez białego człowieka, dla którego w każdej sytuacji najważniejsza była szybkość, a nie porozumienie, więc w imię dyscypliny dopuszczano narzucanie woli nieprzekonanym. Mieszkańcy wioski nie stosowali dyscypliny, lecz mieli coś dużo potężniejszego: potrzebę *safu*.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

„Karmelowy” – ten cudowny zapach przypomina karmel, kawę, prażone ananasy i truskawki, co nie powinno dziwić, gdyż wszystkie cztery zawierają furanon. Ta woń to silny dodatek smakowy i istotna część aromatu kawy.

Lenoir, Lehtez du Cajé

Siedzę w chacie o zmierzchu. To najprzyjemniejsza część dnia, kiedy ból po nieobecności Fikre blednie wobec perspektywy nadchodzącej nocy. W wiosce w dole gromadzą się i piętrzą chmury. Nagle w gałęziach zrywają się tropikalne ptaki, które rozjaśniają ciemności feerią barw. Zaskakuje mnie ich strojność: jeden z długim pomarańczowym ogonem, podskakując, przemyka między pnączami, drugi mieni się tęczowo w odcieniu błękitu, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, trzeci z dumą stoszy czerwone pióra na szyi, świergocząc – zupełnie jak trio fircyków w kawiarni.

W górę po zboczach wzgórza wolnym krokiem idzie do mnie Tahomen. Ma na sobie strój wodza: moją starą marynarkę z alpaki nałożoną na przepaskę na biodrach. Za nim idzie Kiku. Włosy szamanki są ufarbowane na czerwono, na jej szyi wisi naszyjnik z kości słoniowej. Dalej Alaya, a za nią długi sznur mieszkańców. Nie czuję

jednak ich zwykłej beztroski, ta procesja przesuwa się w nienaturalnej, napiętej ciszy.

Tahomen staje przede mną.

– *Massa* jechać do domu – mówi. Z powagą kładzie dwa talary na ziemi u moich stóp. Odsuwa się na bok i kuca.

Kiku mówi coś w języku galla. Ona również kładzie przede mną dwie monety.

Alaya z uśmiechem daje mi jednego talara. Osoba za nią robi to samo, i następna... Ci, którzy nie mają pieniędzy, ofiarują lusterko albo szklany naszyjnik i inne drobiazgi otrzymane od Hectora i ode mnie. Jakiś starszy mężczyzna wsuwa dłoń pod przepaskę i wyciąga na wpół wypalone cygaro, które dokłada do tej sterty. Jeżeli ktoś nie ma nic więcej, kładzie garść lub dwie ziaren kawy.

Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że składają mi hołd – oto siedzę pośrodku niczym król na tronie, a oni przesuwiają się przede mną pojedynczo, okazując posłuszeństwo. Tymczasem to ja jestem pokorny, ja chylę czoła przed każdym przechodzącym, to moje dłonie składają się jak do modlitwy i z moich oczu spływają łzy, gdy powtarzam *Galatoomi. Galatoomi.*

Dziękuję.

* * *

Następnego dnia Jimo, Kuma i ja ładujemy mój nowy dobytek na muła. Zabieram tylko to, co mogę sprzedać w Hararze, resztę zostawiam mieszkańcom. Może do dzisiaj gdzieś w górach Afryki jest wioska, w której korzysta się z syfonu na wymienialne naboje, drewnianej deski toaletowej, egzemplarza „Yellow Book” z kwietnia 1897 roku, wyszczerbionej filiżanki Wedgwood, tuzina maszyn do pisania marki Remington i innych śladów zachodniej cywilizacji. Ostatnią rzeczą, którą biorę do ręki, jest solidna mahoniowa skrzynka zawierająca wiele szklanych fiolek z zapachami i broszurę zatytułowaną *Metoda Wallisa-Pinkera: objaśnienie i klasyfikacja smaków i aromatów kawy. Z uwagami, wykresami i ilustracjami. Londyn 1897*. Jest zbyt ciężka, by załadować ją na muła, i wartość ma niewielką, ale mimo wszystko czuję satysfakcję na myśl, że zarówno próbki, jak i sam tekst wbrew przepowiedni Hectora przetrwały straszny upał tropików.

CZEŚĆ IV

Mleko

SZEŚCÍDZIESIĄT CZTERY

„Posmak” – doznanie wywoływane przez opary zaparzonej kawy. od węglistych przez czekoladowe, korzenne po żywiczne, wydzielające się z osadu pozostałego w ustach.

Lingle, The Coffee Clipper's Handbook

– Mówi się, że cena kawy wkrótce dwukrotnie przewyższy cenę z ubiegłego roku. – Arthur Brewer spojrział znad gazety na żonę. – Wygląda na to, że w Nowym Jorku inwestorzy, którzy spekulowali na spadek, wolą rzucać się z okien zamiast spłacać długi.

– Mówisz tak, jakby samobójstwo było środkiem ekonomicznym – odpowiedziała ostro Emily, zsuwając jajka na krawędź talerza i odkładając sztucce. – Prawdopodobnie ci biedacy uważali, że nie mają innego wyjścia.

Arthur zmarszczył czoło. Nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę na tematy polityczne, chciał tylko wypełnić ciszę przy śniadaniu rzuconą mimochodem uwagą. Zrobił to głównie po to, by pokazać, że czytanie gazety nie oznacza zaniedbywania żony. Właściwie, gdy teraz o tym myśli, dochodzi do wniosku, że czuł się tak, jakby czytał to dla nich obojga i wybierał z tekstu fragmenty odpowiednie dla niej. Niemy wyrzut, z jakim spoglądała na niego co rano, gdy podnosił „The Times”

przy jedzeniu, to spojrzenie, które stało się już niemalże nawykiem. było zupełnie nieuzasadnione. Tak jak ostentacyjne chrząkanie, kiedy zapalał fajkę...

Wrócił do gazety, szukając czegoś, co pomoże mu zmienić temat.

– O, są starania, żeby przenieść prochy Oscara Wilde’a na cmentarz Père Lachaise. Mówią nawet o wzniesieniu jakiegoś pomnika.

– Biedny człowiek. Przede wszystkim to hańba, że znalazł się w więzieniu. Jego jedyną winą było...

– Kochanie – wtrącił łagodnie Arthur – *pas devant les domestiques*. – Skinął głową w kierunku służącej Annie, która czyściła kredens.

Zdawało się, że Emily cicho westchnęła, ale się nie odezwała. Pijąc herbatę, Arthur odwrócił kartkę.

Usłyszeli dźwięk dzwonka do drzwi i służąca poszła otworzyć. Oboje bacznie nasłuchiwali, udając, że ich to nie interesuje.

– Doktor Mayhews czeka w salonie – oznajmiła Annie.

Arthur zerwał się natychmiast i szybko otarł usta serwetką.

– Pójdę pierwszy i porozmawiam z nim – powiedział. Nie dodał „jak mężczyzna z mężczyzną”, lecz widać było, że to miał na myśli. – Poczekaj tu, kochanie, a ja przyślę Annie, gdy będzie gotów cię przyjąć.

* * *

Emily czekała. Co jakiś czas z salonu dobiegał szmer męskich głosów, lecz tak się ze sobą zlewały, że trudno jej było wyłowić pojedyncze słowa. Zresztą to i tak nie miało większego znaczenia. Wiedziała, co Arthur powie.

Dolała sobie kawy. Filizanki marki Wedgwood były prezentem ślubnym od ojca. Jednakże kawa nie była Pinkera. Odkąd zaczęto ją reklamować klasom średnim, przestała być uważana za odpowiednią na stoły takich osób jak Arthur. Właściwie kawa, którą on kupował, a ściślej mówiąc, którą gospodyni kupowała dla niego, była niewiele lepsza: tania brazylijska sprzedawana jako mieszanka kawy jawańskiej. Kwestia uczciwości gospodyni musiała na razie poczekać – Emily miała teraz inne problemy.

* * *

– Jesteśmy prawie dwa lata po ślubie – mówił Arthur, a ona... – urwał. – To dla mnie trudne...

Doktor Mayhews, kościsty mężczyzna po pięćdziesiątce, powiedział:

– Może pan być pewien, że wszystko, co powie, słyszałem już wiele razy.

– Tak, oczywiście. – Mimo to Arthur znów się za-

wahał. – Po ślubie wydawało mi się, że moja żona się zmieniła. Miesiąc miodowy był cudowny, ale później stawała się coraz bardziej... uparta. Kłótniwa, można by powiedzieć. Łatwo wpada w przygnębienie. Walczy z ograniczeniami małżeńskiego życia... może to naturalne, to duża zmiana w porównaniu z wolnością, jaką cieszyła się wcześniej. Jej ojciec według mnie ją rozpieszczał. Zawsze była egzaltowana, z tym nic mam problemu. Ale te jej obecne humory... może milczeć godzinę, a potem nagle staje się tak gadatliwa, że trudno wtrącić choćby słowo. I nie jest to zwykły kobiecy szczebiot, rozmawia o radykalnych ideach, polityce z pasją prawdziwego ekstremisty. Czasem to w ogóle nie ma sensu – przerwał, świadom, że prawdopodobnie miesza historię choroby z osobistymi pretensjami. Doktor Mayhews jednak z powagą kiwał głową.

– Czy zachodzi niedopasowanie małżeńskie? – zapytał delikatnie.

– No, oczywiście... och... – Arthur zrozumiał, o co pyta doktor, i zaczerwienił się. – Nie podczas miesiąca miodowego. Ale później.

– Nadmierna pobudliwość seksualna?

– Czasami tak.

– A czy w takich momentach jest rozwiązła? Ależ doktorze. Mówimy o mojej żonie.

– Naturalnie, ale muszę znać wszystkie fakty.

Arthur przytaknął, choć z niechęcią.

– Czasami tak. Zaskakująco.

– A czy po zbliżeniu staje się łagodniejsza? To znaczy mentalnie?

– Tak, na ogół tak. Chociaż zdarza się, że bywa jeszcze bardziej rozdrażniona. – Arthur odchrząka i kontynuuje: – Jest jeszcze coś. Kiedy braliśmy ślub, moja żona nie była dziewicą.

Doktor uniósł brwi.

– Jest pan pewien?

– Tak. To mnie zaskoczyło. Zastanawiałem się, czy to może mieć jakiś wpływ na jej obecny stan. Może w przeszłości miała jakieś przykre przeżycie.

– Możliwe. Czy cierpi na nerwy lub wyczerpanie?

– Chyba tak, czasami.

– Podejrzewał pan kiedyś histerię? – zapytał lekarz cicho.

– Nigdy nie wrzeszczała wniebogłosy ani nie zemdlała w towarzystwie, ani nie biegała po ulicy w koszuli nocnej, jeśli to chodzi.

Doktor Mayhews pokręcił głową.

– Słowo „histeria” to diagnoza, a nie opis pewnych zachowań. Oznacza dolegliwość wywodzącą się z kobiecych narządów, stąd nazwa od greckiego *hestera*, czyli macica. Są różne stopnie hysterii, tak jak stany zaawansowania grypy, trądu innych chorób.

– I uważa pan, że w tym wypadku mamy do czynienia z histerią?

– Sądząc z pańskiego opisu, jestem tego niemal

pewien. Czy przesadza z konsumpcją kawy?

Arthur wpatrywał się w medyka ze szczerym zdumieniem.

– Tak, w istocie. Jej ojciec handluje kawą. Zawsze wypijała ogromne ilości.

Doktor Mayhews znowu pokiwał głową.

– Kobieta bardzo różni się od mężczyzny – oświadczył. Siła rozrodcza jest tak wielka, że potrafi przeniknąć każdą cząstką jej ciała. Gdy równowaga zostanie naruszona, a o to nietrudno... może do tego prowadzić nawet nadmiar kawy... ta siła przeniesie dezorientację gdzie indziej, nawet do najgłębszych zakątków umysłu. Zna pan prace doktora Freuda?

– Słyszałem o nim.

– Udowodnił, że takie przypadki mają najczęściej podłoże histeroneurasteniczne. Kiedy następuje ukrwienie miednicy... czy zauważył pan jakieś obrzmienie? Wilgotność?

Arthur posepnie skinął głową.

– Myślałem, że to tylko... że taka jej natura. Oznaka namiętności.

– Namiętność i histeria są sobie bardzo bliskie – powiedział doktor z zadumą.

– Czy to się da wyleczyć?

– O tak. A raczej można to leczyć. I z czasem stanie się mniej dokuczliwe. Generalnie kobiety są mniej podatne na te problemy po urodzeniu dziecka, gdy orga-

nizm spełni swą naturalną funkcję,

– Cóż więc należy zrobić?

– Zbadam pańską żonę, ale już jestem niemal pewien, że będzie musiała zwrócić się do specjalisty. Niech się pan nie martwi, panie Brewer. Jest wielu świetnych specjalistów zajmujących się tymi dolegliwościami.

* * *

Trzy dni później automobil zawiózł Emily na Harley Street na umówioną wizytę u specjalisty. Było to w zamożnej dzielnicy, gdzie gabinety specjalistów były większe niż gabinety starych lekarzy przy Savile Row. Przy krawężniku stał rząd pojazdów, a po ulicy przemykały grupki osób wchodzących i wychodzących przez imponujące drzwi. Na ogół, zauważyła Emily, były to kobiety.

– Proszę poczekać – powiedziała do szofera.

Skinął głową i podjechał do krawężnika, by mogła wysiąść na chodnik.

– Dobrze, proszę pani.

Brama pod numerem dwudziestym siódmym była największa i najszersza na ulicy. Emily weszła i podała swoje nazwisko portierowi w liberii.

– Proszę usiąść – powiedział, wskazując rząd krzeseł. – Doktor Richards za chwilę panią przyjmie.

Usiadła, zamknęła oczy i czekała. Jakżeż czuła się

zmęczona. Ta ciągła walka z Arthurem stała się tak uciążliwa. No, może nie była to walka w dosłownym znaczeniu. Raczej szarpali się, opierali tej upręży, którą nałożyli na siebie w dniu ślubu, jakby małżeństwo było powozem, a oni dwójką koni w zaprzęgu, nienawykłych do tej funkcji, ciągnących każde w swoją stronę. Na początku bardzo się starała być taką żoną, jakiej on sobie życzył. Wiedziała, że oczekuje od niej, by kierowała nim za pomocą aluzji i delikatnych wskazówek, pokazując mu, co ją uszczęśliwia, a nie krytykując czy zrzędząc. Jednakże ona zawsze lubiła się spierać, zawsze sprawiały jej przyjemność wszelkie dysputy. Spory między przyjaciółmi były, jak jej się zdawało, najbardziej naturalnym sposobem wyrażenia poglądów przez dwie inteligentne osoby. Natomiast według Arthura żona broniąca własnego zdania podważała jego autorytet. Pragnął ciszy, porządku, podporządkowania, podczas gdy ona chciała... sama nie była pewna, czego dokładnie chce, lecz na pewno nie duszącej nudy w domu na Eaton Square, długiej amfilady pokojów wypełnionych biciem zegarów niczym mechanicznych serc i sprowadzania wszystkich ważnych spraw świata do jednego: „sfery spraw kobiecych”, czyli tych kilku jardów przestrzeni domowej otrzymanych w charakterze lenna od męża.

Problemem okazało się nie tyle samo małżeństwo, ile towarzyszące mu oczekiwania. Najwyraźniej czym innym było roznoszenie ulotek i degustowanie kawy, gdy była panną; jako żona parlamentarzysty musiała przestrzegać ustalonych reguł. Oczekiwano od niej obecności u boku Arthura podczas każdej wizyty, na

każdym spotkaniu i debacie – nie miała się odzywać, lecz pochwalać jego działania, przynosić mu wsparcie.

A jednocześnie on ją zdradzał. To słowo brzmi melodramatycznie, ale nic lepszego nie przychodzi jej do głowy. Liberałowie, dla których ona i wiele innych sufrażystek pracowało nieustrudzenie przez wiele lat, nagle zrezygnowali z postulatu praw wyborczych kobiet. Sam Campbell-Bannerman, ten serdeczny, sympatyczny przywódca, którego poznała w Izbie Gmin, uznał to żądanie za „przeszkodę”. Arthur, z którym była już wówczas zaręczona, podszedł do nowej linii partii posłusznie, a nawet z entuzjazmem.

– To polityka, moja droga. A polityka to kwestia priorytetów. Czy wolałabyś, żeby prawa wyborcze kobiet były ważniejsze od emerytur górników? – Z jego tonu jasno wynikało, że to pierwsze uważał za przesadę. – Ale nie możemy pozwolić, by to zmieniło coś między nami. Więzi między mężem a żoną są na pewno na tyle silne, żeby rozbieżności w kwestiach politycznych nie spowodowały ich rozpadu. – Nie rozumiał, że jej uczucia do niego i poglądy polityczne wywodziły się z jednego źródła. Nie była to kwestia strategii politycznej, lecz zaufania.

Arthur nie był okrutny, lecz konwencjonalny, a jeśli konwencje były okrutne, to i człowiek się taki stawał, nie zdając sobie z tego sprawy. Zbyt późno zauważyła, że nie wszyscy idealisci są radykałami. W parlamencie Arthur wyrażał swoją tożsamość polityczną poprzez fanatyczne przestrzeganie licznych rozporządzeń

i punktów obrad; w domu zaś przez niezgodę i słowne złościwości... a teraz jeszcze przez tę komedię z doktorem Mayhewsem.

Co dziwne, wiadomość o tym, że jest chora, wyzwoliła w Arthurze czułość, której wcześniej nie okazywał. Nareszcie wiedział, w jaką rolę się wcielić: opiekuńczego męża. Może czuł się także trochę winny, gdy jej zachowanie uznano raczej za chorobę niż defekt charakteru. Zaczął więc przynosić jej filiżanki herbaty, kazał kucharzowi gotować specjalne odżywcze dania i przy każdej okazji wypytywał troskliwie o samopoczucie. To doprowadzało ją do szału. A jeśli tylko wyraziła jakąkolwiek opinię na dowolny temat, jego twarz przybierała niespokojny wyraz, który miał jej przypomnieć, że zgodnie z zaleceniami doktora Mayhewsa powinna unikać wszelkich emocji.

Emocje! Właśnie ich brak, a nie nadmiar był problemem. Bóg jeden wie, że próbowała mu to okazać. Po tak długim okresie spętania zupełnie innymi, lecz równie silnymi więzami konwencji, które wyznaczały normy zachowania niezamężnej kobiety, w okresie narzeczeństwa nie mogła się już doczekać tego, co uważała za wolność małżeńskiego łoża. Mężczyźni, którzy adorowali ją do tej pory, dali jej podstawy oczekiwać pewnych wyrazów uwielbienia. Tymczasem rzeczywistość odbiegała od tych wyobrażeń. Po wstępnym zakłopotaniu – nieuniknionym, jak sądziła, między dwiema kulturalnymi osobami w tej sytuacji – zaczęła przejawiać coś, o czym myślała jako o własnej inicjatywie, kiedy skoń-

czył się miesiąc miodowy, a z nim wszelkie oznaki gotowości Arthura do kontynuowania tego stanu uniesienia. Owszem, dochodziło między nimi do zbliżeń, lecz były pobieżne, a wszelka przyjemność całkowicie przypadkowa. Właściwie oznaki przyjemności z jej strony raczej go odstraszały: raz czy dwa jej entuzjazm tak go przeraził, że aż zmroził wszelkie działania. Widocznie jego zamięłowanie do porządku w sprawach domowych rozciągało się na sprawy alkowy. Musiała więc się pogodzić z brakiem zaspokożenia w tym względzie. Nie było to wielkim problemem – w końcu tak spędziła większą część dorosłego życia – lecz czuła się rozczarowana.

Oczywiście dobrze wiedziała, że żadna wizyta u lekarza nic nie zmieni, lecz gdyby po diagnozie doktora Mayhewsa nie wyraziła zgody na kurację, znalazłaby się w trudnej sytuacji. Mayhews mógłby ją nawet odesłać do szpitala psychiatrycznego – takie rzeczy się zdarzały. Dlatego tu przyszła.

– Czy może pan poprosić mojego kierowcę, żeby podjechał do drzwi? Jest tu tyle aut... nie wiem, które jest moje.

Emily podniosła wzrok. Znała kobietę rozmawiającą z portierem. Była to Georgina Dorson, żona jednego z przyjaciół Arthura.

– Dzień dobry, Georgino! – zawołała.

Kobieta się obróciła.

– Och, Emily. Nigdy cię tu nie widziałam. Ty też

chodzisz do doktora Richardsa? Czyni cuda, prawda?

– Nie wiem, jestem pierwszy raz.

– Ach – westchnęła pani Dorson z rozmarzeniem. – To wyczerpująca kuracja. Odkąd się tu leczę, mam wrażenie, że jestem całkiem inną osobą. Czuję, że żyję.

– Dobrze to słyszeć.

Emily pomyślała jednak, że chyba jej rozmówczyni nie bardzo czuje, iż żyje. Cały czas uśmiechała się anielsko, jakby była pod wpływem narkotyków. Emily odnotowała sobie w myślach, by nie zażywać żadnych leków, które przepisze jej doktor Richards.

– O, nasz automobil. I mój kierowca. Boże, chyba prześpię całą drogę do domu. Jestem wyczerpana. Ale on jest naprawdę wspaniały. Naprawdę. Co myśmy robiły, zanim pojawili się tacy lekarze? – Georgina wyciągnęła rękę, by utrzymać równowagę przy schodzeniu po schodach.

* * *

– Pani Brewer?

Emily się obróciła. Zobaczyła przystojnego młodego mężczyznę w modnym garniturze, z gładko uczesanymi włosami i szerokim uśmiechem. Drugi, szerszy uśmiech rozciągał się na jego brzuchu w poprzek kamizelki, gdzie zwisał łańcuszek srebrnego zegarka. Mężczyzna wyglądał raczej na młodego obiecującego ban-

kiera albo asystenta ministra a nie lekarza.

– Doktor Richards – powiedział, ściskając jej dłoń. –
Proszę za mną.

Ruszył energicznie w głąb budynku.

– Tędy. – Popchnął drzwi.

W gabinecie znajdowało się biurko, parawan i dwa krzesła. Wskazał jej miejsce, a sam usiadł obok.

– No więc słucham. W czym tkwi problem?

– Chyba we mnie.

– Och? – Uniósł brwi.

Podobał jej się, a raczej dawał się lubić, co prawdopodobnie nie jest tym samym.

– Chyba mój mąż jest mną rozczarowany.

Doktor Richards uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Czytałem list od doktora Mayhewsa, w którym sugeruje coś takiego – skinął głową w stronę papierów na biurku. – Na razie jednak bardziej mnie interesuje, czy pani jest rozczarowana mężem.

– To znaczy? – zapytała, zastanawiając się, czy przyznać mu rację. To mogła być jakaś pułapka: on doniesie o tym Mayhewsowi, a tamten Arthurowi... – Jestem wobec niego całkowicie lojalna.

– Naturalnie. Ale może czuje pani potrzebę lojalności? – zapytał, uważnie przyglądając się jej jasnymi oczyma. – Lojalność to więź wynikająca z powinności, a nie miłość.

– Miłość! – powtórzyła, wciąż niezdecydowana, jak odpowiadać.

– Może miłość... nie okazała się w pełni tym, na co pani liczyła.

– Tak – powiedziała. To było dziwne, ale chęć zwierzenia się komuś była tak silna, tak nieodparta, że aż tętno jej przyspieszyło. – Może niedokładnie tak wyobrażałam sobie miłość.

Sięgnął po stetoskop i przysunął swoje krzesło bliżej, tak że jego kolana niemal wsuwały się między jej nogi.

– Posłucham pani serca – powiedział, przykładając membranę do jej ciała między piersiami.

Poczuła, jak jej serce gwałtownie przyspiesza.

– Jest dość szybkie – oznajmił, wysuwając słuchawki z uszu. – Czy śpi pani dobrze?

– Nie zawsze.

– Bywa pani rozdrażniona?

– Czasami.

– A wie pani, co doktor Mayhews uważa za przyczyną takiego stanu?

– Wspominał mojemu mężowi o hysterii.

Uniósł brwi.

– Widzę, że pani się z tym nie zgadza.

Zawahała się.

– Możemy rozmawiać w zaufaniu?

– Oczywiście.

– Trudno mi uwierzyć, że cierpię na jakąś chorobę, gdy towarzyszące temu okoliczności są jasne, to znaczy małżeństwo z kimś, komu, jak się okazuje, nie bardzo się podobam.

Doktor Richards kiwał głową.

– To zrozumiałe...

– Dziękuję – powiedziała zadowolona, że wreszcie znalazła kogoś, kto nie uważa jej za wybrakowaną.

– A jednak – dodał szybko doktor Richards – skoro nie możemy zmienić tych okoliczności, musimy spróbować wpłynąć na reakcje. Pomożemy pani, pani Brewer. Co pani wie teorii fal w medycynie?

Pokiwała przecząco głową. Czowała, że wyjawiała zbyt wiele teraz była zła na samą siebie.

– Nauka odkryła, że wszelkie istnienie opiera się na oscylacji – zaczął, splatając palce i przyglądając się jej badawczo pogodnym wzrokiem. – W komórkach tkanek zwierzęcych drobna różnica prędkości oscylacyjnej decyduje o tym, czy powstaje żmija czy kręgowiec, lew czy pies. Cała natura dosłownie pulsuje energią witalną! A w szczególności kobieta, jako źródło życia, jest tym gatunkiem, w którym krew krąży w jedności z prawami natury. Jeśli pobudzimy tę harmonię, natychmiast odczuje pani poprawę. Każdy nerw będzie odświeżony, każde włókno będzie drzeć pod wpływem obudzonej mocy. Odżywcza krew rozplynie się po żyłach. Poczujecie pani przyływ wigoru, siły, energii. Wiele moich pa-

cjentek wychodzi z tego gabinetu w takim stanie ducha, jakby upiły się szampanem.

– Czemu więc tego nie robią?

– Czego nie robią?

– Czemu nie piją szampana? Na pewno byłoby tańiej.

– Pani Brewer – doktor Richards zmarszczył czoło – nie sędzę, by zrozumiała pani to, co mówię. Przywrócimy równowagę i wigor całemu systemowi. Obudzimy żeńską moc.

– A jak konkretnie ma pan zamiar to zrobić?

– Rytmoterapia. A dokładniej... rytmiczne pobudzanie dotkniętych tkanek. Doznania będą kojące, zapewniam, szybko usuną histerię. Za tym parawanem znajdzie pani koszulę, proszę ją włożyć i zaprowadzę panią do gabinetu zabiegowego.

* * *

Włożyła koszulę z cienkiej bawełny związywaną z przodu. W sąsiednim pomieszczeniu znajdował się stół obity skórą na którym rozłożono prześcieradło. W podstawę był wbudowany jakiś aparat – zobaczyła silnik elektryczny i kilka tajemniczych przedmiotów wykonanych z czegoś, co wyglądało jak gutaperka, podłączonych do silnika kablami, jak uchwyty skakanki.

– Proszę – powiedział Richards, wskazując na stół.

Obrócił przełącznik i kiedy weszła na łóżko, silnik zaczął buczeć.

* * *

Gdy już było po wszystkim, ubrała się drżącymi rękami i opadła bezwładnie na krzesło. Lekarz zbadał jej puls i odruchy.

– Tętno już się poprawiło – zauważył.

– Miło to słyszeć.

– Napięcie macicy, o którym pisze doktor Mayhews... czy czuje pani, że osłabło?

– Z pewnością czuję się inaczej – powiedziała drętwo.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

– I co, jak po szampanie? – Obrócił się w stronę biurka i zaczął pisać. – Niech pani poczeka kilka minut, pani Brewer. Pacjentki często po terapii doświadczają uczucia apatii, senności. To normalne, znak, że histeria znikła, przynajmniej chwilowo.

– Chwilowo?

– W większości przypadków zaburzenia histeryczno-anemiczne są nieuleczalne. Trzeba regularnie powtarzać terapię.

– Jak często będę musiała to robić?

– Większość pacjentek uważa, że wystarcza raz na

tydzień. Wiele z nich uzupełnia moją metodę terapiami moich kolegów. Tylko w tym budynku mogę wymienić doktora Farrara, który stosuje terapię wodną: kieruje strumień wody pod ciśnieniem na odpowiednie obszary. To bardzo skuteczna metoda. Jest też doktor Hardy, który specjalizuje się w elektroterapii, wykorzystując słaby prąd elektryczny. Przyjmuje również pan Thom, ekspert od szwedzkiego masażu, i doktor Clayton, który elektrycznie podrażnia macicę. Mamy tu nawet zwolennika wiedeńskiej terapii słownej, doktora Eisenbauma, a w piwnicy jest w pełni wyposażona sala z różnymi urządzeniami wodnymi.

– A jak się za to wszystko płaci?

– Co miesiąc pani mąż będzie otrzymywał rachunek.

– Czy to droga kuracja?

Wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– To kosztowna dzielnica, pani Brewer. Dochodzi jeszcze sprzęt... Tak skuteczna terapia nie może być tania.

* * *

Kiedy Emily wyszła, spojrzął na zegarek. Miał jeszcze kwadrans do następnej wizyty.

Podniósł pióro i przeczytał to, co napisał do tej pory. Wprowadził kilka poprawek i dopisał:

Niemal natychmiast dają się zauważyć efekty działania oscylatora. Po kilku minutach ciało zaczyna się gwałtownie trząść, sygnalizując przyływ paroksyzmu hysterii. Pacjentka krzyczy, jej ciało wygina się w łuk i utrzymuje w tej pozycji przez kilka sekund. Następnie pojawiają się delikatne ruchy miednicy. Chwilę później podnosi się, znowu kładzie, wydaje okrzyki rozkoszy, śmieje się, wykonuje kilka lubieżnych ruchów i obraca się na prawy bok. Widać w niej przemianę: nerwowość okazywana przed kuracją zostaje zastąpiona łagodnością, w miejsce ponurego wyrazu twarzy zjawia się uśmiech, a charakterystyczny dla hysterii tłumiony gniew ustępuje miejsca spokojowi i uległości. Jestem przekonany, że odkrycie zasady rewitalizacji odmieni oblicze psychiatrii w nadchodzącym stuleciu.

Zmarszczył czoło. Za ledwie dzień wcześniej czytał artykuł autorstwa niejakiego Maisera, który twierdził, że te kobiety mogłyby być leczone w domu, przez swoich mężów, i że „to, co obecnie nazywa się »terapią«, niczym nie różni się od tego, co każdy troskliwy mąż robi dla swojej żony”. To oczywiście absurd. Pomijając wszystko inne, histeryczki to wspaniałe pacjentki: ich stan ani się nie poprawia, ani nie pogarsza i na ogół poddają się terapii przez wiele lat. Jeszcze raz podniósł pióro i napisał:

Mechanizacja terapii jest niewątpliwie kluczem do sukcesu. Jednakże znajomość anatomii i umiejętność prowadzenia badań manualnych, poparte długą praktyką,

mają znaczący wpływ na rezultaty.

Usłyszał pukanie do drzwi. Odłożył pióro: przyszła kolejna pacjentka.

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

Doktor Mayhews miał rację; Arthur natychmiast zauważył w swojej żonie przemianę. Po wizycie spała niemal całe popołudnie, a następnego dnia była jakby inną kobietą. Wydawała się... nie wiedział, jak to nazwać. Spokojniejsza, tak. Był w niej taki spokój, jakiego nie przejawiała od czasu ich zaręczyn. I nie sprzeciwiała się już, gdy czytał przy śniadaniu gazetę. Jedynie jej płuca wydawały się niewyleczone – wciąż kaszłała, gdy zapalał fajkę po posiłkach. Cóż, chyba nie można mieć wszystkiego.

Parę dni później jedli razem śniadanie w swojskim milczeniu, gdy nagle roześmiał się na głos z czegoś, co przeczytał.

– Co za pisarz. To naprawdę zabawne – powiedział.
– O jego przygodach w Afryce...

– Przeczytasz mi fragment?

– Dobrze, ale chyba powinnaś znać kontekst. – Strzepnął gazetę i uniósł nieco wyżej – To o Francuzach w Faszodzie.

– Ach tak.

– Nazywa się Wallis. Robert Wallis – odłożył gazetę, żeby sięgnąć po fajkę. – Nic ci nie jest, kochanie? Wyglądasz tak blado.

– Istotnie, nie najlepiej się czuję. A tutaj jest tak duszno.

Spojrzał na fajkę.

– Może powstrzymam się trochę z paleniem?

– Dziękuję.

– Zawsze też możesz przejść do salonu.

– Masz rację. – Wstała. – Może przy oknie poczuje się lepiej.

– Tylko uważaj, żebyś nie złapała jakiejś choroby.

– Jeśli nawet złapię, to zaraz wypuszczę.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Co?

– Żartowałam, Arthurze. Nie wiem, co mnie napadło. Myślałam o czymś innym.

– Dobry Boże – szepnęła, wracając do czytania gazety.

* * *

Przy kolacji zdarzył się kolejny incydent. Arthur wyjaśniał gościowi z Francji, że liberałowie są najbardziej reformatorskim rządem, jaki ten kraj widział... że odmienili sytuację klasy pracującej nie do poznania.

– To znaczy mężczyzn – wtrąciła jego żona – bo sytuacja kobiet pozostaje bez zmian.

Gość się uśmiechnął. Arthur posłał żonie niespokojne spojrzenie, obawiając się, że zaraz dosiądzie swego ulubionego konika.

– Pamiętaj o swoim stanie – mruknął, gdy Annie częstowała gościa warzywami.

Emily spojrzała na męża i – w pewnym stopniu go zdumiewając – skinęła potulnie głową, po czym do końca posiłku już się nie odezwała. To nadzwyczajne, pomyślał, jakie cuda potrafi zdziałać trafna diagnoza.

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Zastanawiała się, czy działanie oscylatora podczas drugiej wizyty u doktora Richardsa będzie takie samo. Może siła reakcji wynikała z długotrwałego napięcia macicy, jak określał to doktor Richards, i tym razem nie dojdzie już do tak silnego, wstrząsającego uwolnienia hysterii. Okazało się jednak, że jest wprost przeciwnie. Już po kilku minutach czuła napływające falami palpacje, których nagromadzenie doprowadziło do niekontrolowanego, przerażającego wybuchu paroksyzmu.

Po seansie ponownie siedziała na krześle i obserwowała, jak lekarz robi notatki. Podobało jej się to, jak pisze – jak szybkimi, zwinnymi ruchami unosi i opuszcza pióro, tworząc wywijasy budujące litery i wyrazy. Szur... szur... było w tym coś hipnotyzującego.

– Co pan o mnie pisze?

Nie podnosił głowy.

– To w dużej mierze informacje techniczne.

Wydało jej się, że zauważyła w jego głosie znak cyrkumfleksu.

– To po francusku?

– Częściowo – odparł z niechęcią. – Pionierski ośrodek znajduje się w instytucie Salpêtriére w Paryżu. Francuskie terminy medyczne są w powszechnym użyciu. No i – zawahał się – zapewniają intymność.

– W interesie pacjentki?

Natychmiast się zorientowała, że nie to miał na myśli; chodziło mu o jego interes, żeby nikt nie pomyślał, że robi coś niestosownego. Pochyliła się. *Trop humide... La crise vénérienne...*

Widząc, że zagląda mu do notatek, zasłonił je ramieniem.

– Historia choroby jest okryta tajemnicą.

– Nawet przed pacjentem?

Nie odpowiedział.

– Myślałam – powiedziała ostrożnie – że to, co tu robimy... sam charakter tej terapii... sprawia, iż takie konwenanse są zbędne.

Odłożył pióro i popatrzył na nią. Jego oczy – szaroniebieskie, beztroskie, ładne – uważnie się jej przyglądały.

– Wręcz przeciwnie, pani Brewer. To sprawia, że konwenanse są tym bardziej konieczne.

– Czy ma pan wiele pacjentek?

– Ponad pięćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt! Aż tyle!

– Jest to możliwe dzięki mechanizacji.

– Ależ to musi też panu utrudniać pracę.

– Jak to? – zmarszczył czoło.

– Pewnie niektóre pacjentki woli pan od innych.

– A jakie to ma znaczenie?

Uświadomiła sobie, że domaga się komplementów,

ale nie była w stanie przestać.

– Pewnie łatwiej jest z tymi, które uważa pan za sympatyczne. Albo ładne. To znaczy z tymi, które się panu podobają.

Zdziwił się jeszcze bardziej.

– A czemuż to miałyby mieć jakiś związek?

– Czy jest pan żonaty? – zapytała zdesperowana.

– Naprawdę, pani Brewer. Muszę panią prosić o zaprzestanie tych pytań. Jeśli chce pani porozmawiać, proszę umówić się na wizytę do doktora Eisenbauma na terapię słowną.

– Rozumiem – powiedziała zrezygnowana. Nagłe zachciało jej się płakać. Oni wszyscy mają rację, pomyślała. Jestem zwykłą głupią histeryczką.

* * *

Przed budynkiem czekał na nią automobil, lecz każała kierowcy wracać bez niej.

– Pójdę do Johna Lewisa – oświadczyła.

Idąc Harley Street, ze zdumieniem zauważyła, jak wiele kobiet wchodzi do budynków i wychodzi z nich. Czy znalazły się tutaj z tego samego powodu co ona? Wydawało się dziwne, że wszystkie zostają wchłonięte przez te wielkie pomieszczenia, w których wyzwała się paroksyzmy hysterii.

Szła dalej, do Cavendish Square, gdzie skręciła

w Regent Street. Tutaj kończyła się szanowana część Londynu; na wschód od tego miejsca leżały slumsy Fritzovia, a na południu Soho. Spojrzała w Martimer Street i zobaczyła rząd prostytutek opierających się o poręcz. Nie dało się ich nie rozpoznać – w tych niechlujnych staromodnych sukienkach, z karykaturalnymi makijażami. Był taki czas, gdy podeszłaby do nich i porozmawiała, pełna zapału, by je ratować, lecz teraz nie była już tak pewna swoich racji.

Nie wybierała się do Johna Lewisa. Chciała się przejść, zrzucić z siebie tę ociążałość, którą czuła po terapii doktora Richardsa. Szczerość wobec samej siebie wymagała też pozbycia się zażenowania, tej wstydlivej świadomości, że podczas terapii nie liczy się dla niego bardziej, niż gdyby operował jej haluks czy złamaną kość. Jakże łatwo można pomylić atencję z afektem! To samo dotyczy Arthura. Nie można powiedzieć, że ci mężczyźni nie lubią kobiet, oni tylko mają w głowach jakiś wzorzec tego, jaka powinna być kobieta, i każde odstępstwo od normy wymaga według nich interwencji, jakby to był zegar, który trzeba wyregulować.

Jak na złość, przechodziła pod ogromnym billboardem reklamującym Castle Coffee. Pan młody i panna młoda, wciąż w ślubnych strojach, popijają kawę z trzymanyh w rękach filizanek. Napis głosi: *ŚLUBU-JĘ... podawać mu Castle. Tego pragnie każdy mąż!*

Gdyby małżeństwo było takie proste, pomyślała.

Wtem jej uwagą przyciągnął hałas po przeciwnej stronie ulicy. Na chodniku zgromadziła się niewielka

grupka kobiet. Jedna z nich trzymała transparent *CZYNY NIE SŁOWA!* Było to tak trafne oddanie jej własnych myśli, że przez moment miała wrażenie, iż ktoś napisał to specjalnie dla niej. Wtedy zorientowała się, że to sufrażystki. Dwie z nich rozwijały transparent, na którym czarną farbą było napisane: *Prawa wyborcze dla kobiet.* Pokrzykiwały w sposób nieskoordynowany, zachęcając przechodniów do zatrzymywania się i przyglądania. Aby nie widziano jej, jak wpatruje się w to zbiegowisko, Emily odwróciła się w stronę wystawy i w szybie dyskretnie obserwowała, co dzieje się za jej plecami.

– Zakupy, siostrzyczko? – usłyszała kobiecy głos.

– Nie, idę do domu.

– W takim razie to nie będzie pani przeszkadzało. Proszę się cofnąć.

Kobieta podniosła rękę i zamachnęła się, jakby chciała wybić szybę. Emily podskoczyła, ale wtedy zorientowała się, że kobieta trzymaną w dłoni szminką rysuje kreskę – po chwili na szybie widniał cały slogan z transparentu wypisany szkarłatem.

Na całej ulicy rozlegały się okrzyki oburzenia, gdy jednocześnie inne wystawy spotkał ten sam los. Dźwięk tłuczonego szkła. Gwizdek policjanta. Ktoś w pobliżu krzyknął:

– Tam! – Jakiś mężczyzna wskazywał w ich stronę.

– To jedna z nich!

Kobieta się przeraziła.– Szybko, proszę mnie złapać pod ramię – powiedziała Emily. Zrobiła krok naprzód

i chwyciła kobietę pod pachę. Następnie obróciły się twarzą w stronę ulicy.

– Niech pani też patrzy w tę stronę, jakbyśmy tam coś zobaczyły – upomniała towarzyszkę – ale proszę się nie ruszać.

Grupa czterech mężczyzn przemknęła obok nich, zmierzając w kierunku, w którym obie spoglądały. Gdy przebrzmiał tupot ich stóp po chodniku, Emily poczuła, jak ciało kobiety się rozluźnia.

– Chyba już przeszli.

– Dziękuję. – W oczach kobiety załśnił błysk triumfu. – Zadałyśmy cios w imię wolności.

– Ale co mają wystawy sklepowe do prawa wyborczego?

– Mamy już dość gadania. Założyłyśmy nową grupę: chcemy się naprzykrzać, dawać się we znaki. W przeciwnym razie nigdy niczego nie osiągniemy.

– Ale jeśli będziecie się naprzykrzać, to tak zdenewujecie mężczyzn, że nigdy nam nic nie dadzą.

– *Dadzą?*

Szły teraz w kierunku Piccadilly. Kobieta kroczyła pewnie, jakby wiedziała, dokąd idzie. Żadna z nich jednak nie wyplątywała się ze wspólnego uścisku.

– Mówi pani tak, jakby równość była podarunkiem, niczym bukiet róż czy nowy kapelusz. A przecież tak nie jest. To nasze prawo, i im dłużej będziemy o nie grzecznie prosić, tym bardziej mężczyźni będą przeko-

nani, że mogą nam tego odmówić. Czy ma pani własne pieniądze?

– Jestem mężatką.

– Ale wcześniej miała pani własne pieniądze? No to płaci pani podatki. Nie ma takiego polityka, który przystałby na opodatkowanie bez reprezentacji w parlamencie... chyba że chodzi o kobiety. Czemu pozwalamy im zabierać nasze pieniądze, skoro nie mamy wpływu na ich wydawanie?

– Niech mi pani wierzy – powiedziała Emily – jestem całym sercem za prawami wyborczymi dla kobiet. Długo byłam aktywną członkinią ruchu. Nie przekonuje mnie tylko to naprzykrzanie się.

– Proszę przyjść na zebranie, a my panią przekonamy. Dzisiaj wieczorem.

Emily się zawahała. Kobieta dodała niecierpliwie:

– Zapiszę pani adres. – Zanotowała coś na kartce i podała Emily. – Obudzimy żeńską moc!

Były to niemal dokładnie te same słowa, których używał doktor Richards. Nagle uderzyło ją coś jeszcze. Ta kobieta miała w sobie więcej energii po brawurowym akcie wandalizmu niż ona, Emily, po terapii doktora Richardsa.

Poczuła gwałtowny przypływ podniecenia.

– Bardzo dobrze – odparła z entuzjazmem. – Przyjdę.

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

„Ognisty” – mocny smak spalenizny, zwykle będący skutkiem zbyt długiego prażenia.

Smith, Coffee Tasting Terminology

Powrót zajął mi dwa lata. Może dobrze się stało, że próba podróży przez Sudan zbiegła się z drobnym militarnym spięciem między Wielką Brytanią a Francją, nazwanym później incydentem w Faszodzie. Wówczas odkryłem w sobie pewne zdolności przydatne w roli zagranicznego korespondenta, co pozwoliło mi przynajmniej na chwilę odsunąć od siebie widmo głodu. Z Egiptu przedostałem się do Włoch. Spędziłem lato nad brzegami jeziora Como, w tym czasie ukończyłem i zniszczyłem Powieść o mężczyźnie, który zakochuje się w niewolnicy. Była okropna, lecz jej pisanie pomogło mi zostawić tę historię za sobą; kiedy ogień pochłonął ostatnią stronę rękopisu, wiedziałem że wreszcie się wyzwoliłem.

Długi powrót uświadomił mi coś ważnego. Kochałem Fikre, może nie tak jak na to zasługiwała, ale była w tym bezgraniczna fizyczna namiętność i coś więcej. Bez względu na to, co się stało, miałem nadzieję, że jest szczęśliwa. Może to nie wygląda na wielkie odkrycie w porównaniu z nazwaniem Jeziora Wiktorii czy odnalezieniem źródeł Nilu. Dla mnie jednak była to ziemia

nieznana, która wciąż czekała na oznaczenie w pustym atlasie serca.

* * *

Podczas mojej nieobecności Londyn się zmienił. Oscar Wilde, John Ruskin i królowa Wiktorja odeszli jedno po drugim w odstępach kilku miesięcy, a wraz z nimi cała epoka; wszyscy ci szanowani wiktoriańscy królowie odprowadzali się wzajemnie do grobu. Teraz miejsce Patera i Tennysona zajęli J.M. Barrie i H.G. Wells. Ulice wypełniły się tym, co Pinker nazywał samochodami, a co już zaczęto nazywać samochodami. Elektrofon zamienił się w telefon i można było za jego pomocą połączyć się z każdym miejscem w kraju, a nawet z Ameryką. Zmienił się też nastrój – ta nieokreślona woń osnuwająca miasto. Londyn był dobrze oświetlony, sprawnie zarządzany i uporządkowany. Cyganeria, dekadenci, dandysi – wszyscy oni zniknęli, przegnani z mrocznych zaułków przez światło lamp elektrycznych, wyparci przez szanowane klasy średnie.

Miałem zamiar unikać Covent Garden, nie tak łatwo jednak wyzbyć się starych przyzwyczajeń. Znalazłem się na Fleet Street w interesach, udało mi się bowiem umieścić w prasie kilka reportaży z moich podróży. Wyszedłem z biura „Daily Telegraph” z czekiem na dwanaście funtów w kieszeni. Niemal podświadomie nogi poniosły mnie na Wellington Street. Tutaj też wiele się zmieniło: pojawiły się sklepy i restauracje

w miejscach, gdzie wcześniej były tylko domy publiczne. Pod numerem osiemnastym wszystko było jak dawniej. Nawet meble w poczekalni na piętrze wydawały się te same, a jeśli Madame mnie nie rozpoznała, to tym lepiej, bo ja też nie byłem pewien, czy ją poznaję.

Wybrałem dziewczynę i poszliśmy na górę. Ona także była nowa, lecz już na tyle doświadczona, by się zorientować, że nie mam ochoty na pogawędki, więc po pierwszych okrzykach zdumienia na widok moich tatuży na piersiach pozwoliła mi przejąć inicjatywę. Coś jednak było nie tak. Po chwili zrozumiałem, co sprawia, że czuję się niezręcznie: dziwne było angażować się w akt seksualny, nie próbując sprawiać przyjemności. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak robiłem to dawniej. Może po prostu przyjmowałem za pewnik, że te wszystkie jęki i pomruki oznaczają, iż robię, co do mnie należy?

Zacząłem głaskać jej ciało. Sapała z obowiązku, lecz widać było, że udaje. Spróbowałem pieścić ją energiczniej i wydawało mi się, że westchnęła.

Przerwałem.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Oczywiście, proszę pana. Wszystko. Ale może trzeba będzie więcej zapłacić.

– Nie chodzi mi o... usługę. A w każdym razie nie taką, jakie zwykle świadczysz. Chciałbym, żebyś mi pokazała, jak dać ci rozkosz.

Usiadła z uśmiechem, przesunęła dłońmi po moich

rękach i otarła swoje delikatne piersi o mój tors.

– Daje mi pan rozkosz swoim dużym twardym ptaszkiem – szepnęła – gdy jest taki sprężysty i silny.

– Chciałbym, żeby to była prawda. Ale gdy dotykam cię tutaj... tak lekko i przesuвам palcami... czy to przyjemne?

– Och! Co za rozkosz. Nie przestawaj! Tak! Jeszcze! Teraz ja musiałem westchnąć.

– Nie, powiedz szczerze.

Wyglądała na całkiem zbitą z tropu. Pomyślałem: biedna dziewczyna, w ogóle nie zna zasad tej gry. Stara się wymyślić, co ma powiedzieć.

W końcu odezwała się niepewnie.

– Wszystko, co mi pan robi, jest przyjemne.

– Czy masz chłopaka? Mężczyznę? Co on z tobą robi?

Wzruszyła ramionami. – Połóż się – powiedziałem. – Będę cię dotykał, a gdy poczujesz przyjemność, powiedz.

Wciąż skołowana położyła się na plecach i poddała moim karesom.

– Ale – odezwała się po chwili – dlaczego chce pan to robić?

– Chcę wiedzieć, jak zadowolić kobietę.

Po krótkim milczeniu zapytała nieswoim głosem:

– Naprawdę chce pan wiedzieć?

- Oczywiście. Inaczej bym nie pytał.
- To niech pan dopłaci funta, a panu powiem.
- Świetnie. – Podałem jej pieniądze.

Ukryła je w bezpiecznym miejscu. Gdy wróciła do łóżka, oznajmiła:

- Właśnie pan to zrobił.
- Co? Ach – uśmiechnąłem się – pieniądze.
- Właśnie. Teraz jestem zaspokojona.
- Chodziło mi o zaspokojenie w łóżku.
- A co za różnica. – Wzruszyła ramionami.
- Ale przypuśćmy – nie dawałem za wygraną – że chciałbym sprawić, byś się czuła... tak jak twoi klienci. Jak miałbym to zrobić?

– To tak nie działa. – Pokiwała głową. – Inaczej straciłabym pracę. Gdyby kobiety potrzebowały tego samego co mężczyźni, nie byłoby takich miejsc jak te.

– Wiesz co... masz rację – rzuciłem, zaskoczony trafnością jej słów.

– Ja tylko stwierdzam rzecz powszechnie znaną. – Wskazała na mój członek. – Czy mam pana zadowolić? Zapłacił pan za to.

Chciałbym napisać, że szlachetnie odmówiłem i że odbyta przez nas rozmowa miała dla mnie większe znaczenie niż to, co nastąpiło później. To jednak nie byłoby prawdą.

* * *

I zdarzyło się coś jeszcze. Gdy wychodziłem, powiedziała:

– Wie pan co, miło się z panem gadało. Może pan wrócić, jeśli pan zechce.

– I dać ci więcej pieniędzy?

– To też. – Roześmiała się.

Podobała mi się. Więcej jej już nie spotkałem, ale podobała mi się. Przez kilka minut w pogodny dzień rozmawialiśmy szczerze, nim rozeszliśmy się do swoich zajęć. Może, pomyślałem, to wszystko, czego można oczekiwać od cywilizowanego życia.

* * *

Moje artykuły ukazały się drukiem i przez kilka tygodni doświadczałem uroków sławy. Posypały się zaproszenia do prywatnych domów, spotkania, na których oczekiwano ode mnie zabawiania gości opowieściami o żądnych krwi dzikusach egzotycznej Afryce oraz opowiadania banałów o tym, że handel zmieni to miejsce w drugą Europę. Sprawilem zawód. W tekstach musiałem nieco łagodzić własne poglądy, bo zagrożono mi ich odrzuceniem, lecz na salonach Mayfair i Westminsteru nie byłem już tak ostrożny. Zaznaczałem, że jedyni żądni krwi dzicy, jakich spotkałem, mieli białą skórę

i mundury khaki, że to, co teraz nazywamy handlem, jest zwykłą kontynuacją niewolnictwa organizowanego w bardziej przebiegły sposób, że rdzenni mieszkańcy, wśród których mieszkałem, mają kulturę na swój sposób tak samo wyrafinowaną jak każde społeczeństwo europejskie. Słuchano mnie uprzejmie, raz po raz rzucając ku sobie porozumiewawcze spojrzenia, i wypowiedano zdania typu:

– Lecz w takim razie, panie Wallis, co należy zrobić z Afryką?

A ja odpowiadałem:

– Nic. Powinniśmy się wycofać... przyznać, że nie jesteśmy właścicielami żadnej jej części i po prostu wyjechać. Jeżeli chcemy pić afrykańską kawę, powinniśmy płacić Afrykanom za jej uprawę. Płacić trochę więcej, jeśli to konieczne, żeby ich zachęcić do tej działalności. W przyszłości będzie to dla nas korzystne.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewano. Londyn w tym czasie opanowała moda na kawę. Rząd brazylijski był częścią kartelu plantatorów i utrzymywał światową cenę za pomocą olbrzymich pożyczek zaciąganych na londyńskiej giełdzie. Na ogół w ciągu kilku godzin od emisji papiery były rozchwytywane, a w miarę jak cena kawy rosła, wszyscy pragnęli w nią inwestować na wszelakie sposoby. Nikt nie chciał słuchać, że ten cud ekonomiczny opiera się na cierpieniach i nędzy, i z reguły ci, którzy na początku wieczoru spijali mi z ust każde słowo, przed końcem spotkania odsuwali się ode mnie na znaczną odległość. To mi odpowiadało, nie

szukałem bowiem poklasku.

Zdawałem też sobie sprawę z porozumiewawczych spojrzeń, które towarzyszyły moim występom, zanim jeszcze otworzyłem usta. Starsze kobiety odciagały ode mnie niezamężne córki, mężowie odprowadzali żony w inną część sali. Wyglądało na to, że jestem napiętnowany, i to nie tylko ze względu na moje poglądy o Afryce.

* * *

Na jednym z takich wieczorów spotkałem George'a Hunta. Mój stary przyjaciel przytył i nabrał dobrodusznego wyglądu. Miał teraz własne czasopismo, dziennik literacki zatytułowany bodaj „The Modern View”, Nowoczesny pogląd. Zniechęciwszy do siebie słuchaczy moimi nowoczesnymi poglądami, poszedłem z nim do jego klubu, gdzie usadowiliśmy się w pięknym saloniku na pierwszym piętrze, zaopatrzeni w kieliszki brandy i cygara.

Chwilę pogawędziliśmy o tym i owym. i nagle Hunt zapytał

– Znałeś Rimbauda?

– Kogo?

– Arthura Rimbauda, francuskiego poetę. Nie mów, że o nim nie słyszałeś.

Wzruszyłem ramionami.

– Ależ to niemożliwe. Mieszkał w Hararze, jak ty... też handlował kawą, tyle że pracował dla francuskiego koncernu. Jego wiersze są niezwykle... chociaż, chyba wtedy już przestał pisać. Większość napisał jeszcze w młodości, był kochankiem Verlaine'a, jeszcze tu, w Londynie... – urwał. – Naprawdę nic o tym nie wiedziałeś?

– Ktoś mi o nim opowiadał – odparłem krótko. – Ze wstydem przyznaję, że wówczas nie uwierzyłem w ani jedno słowo. A nasze drogi się nie zeszły, on opuścił Harar na krótko przed moim przyjazdem. Przejąłem po nim dzierżawę domu.

– Niewiarygodne. – Hunt gestem zamówił jeszcze dwie brandy. – Oczywiście jego pobyt w Afryce nie obył się bez skandalu. Mówiono, że miał tam czarną nałożnicę, jakąś niewolnicę, którą kupił od arabskiego handlarza i porzucił, gdy wracał do Francji. Ale wtedy, jak powiadają, był już strzępem człowieka.

Kiwałem powoli głową. Jakaś lampka zapaliła się w moim umyśle i nagle cała moja historia ułożyła się od nowa. *Ona mówi po angielsku jak Francuz...* Czegóż jeszcze mógł ją nauczyć taki człowiek? Tego, że niektórzy uwierzą w każde kłamstwo, by zaznać miłości? Musiałem się nad tym zastanowić, ale innym razem, w samotności.

Hunt zaciągnął się cygarem.

– Wyobrażam sobie, że tam, w egzotycznym kraju, takie rzeczy nie są rzadkością. Rozumiem, że ty też miałeś podobne przygody? – Przyglądał mi się

z zaciekawieniem.

– Czy jego wiersze są dobre? – zapytałem, ignorując zadane mi pytanie.

– Są rewolucyjne, a teraz to się liczy. *Vers libre*... teraz wszyscy tak piszą. W tym momencie najbardziej interesujący są poeci irlandzcy, no i oczywiście Amerykanie... Każdy chce być Whitmanem, a poezja angielska zeszła na psy. – Strząsnął popiół do popielniczki. – Ale miałeś mi opowiedzieć o swoich eskapadach.

– Miałem? – rzuciłem oschle.

– Napisałeś do mnie, jak pamiętam... że zakochałeś się w tamtejszej kobiecie. – Zachęcał mnie niezrażony. Rozejrzał się. – Śmiało, przyjacielu, nikt nas nie słyszy. A ja nikomu nie powtórzę... takich ciekawych zwierzeń.

Nagle zrozumiałem, dlaczego obrzucano mnie zgorzonymi spojrzeniami.

– To znaczy, że się plotkuje?

Znaczący uśmiezek szybko zniknął z jego twarzy, jakby Hunt sobie przypomniał, że ewentualne plotki mogły pochodzić tylko od niego.

– Tylko spekuluje. A przecież *była* jakaś Afrykanka, Wenus Hotentotów?

– Owszem, była dziewczyna – przyznałem. – I przez moment wydawało mi się, że jestem w niej zakochany.

– Rozumiem. – Znowu zaciągnął się cygarem. Wpatrywał się we mnie poprzez zasłonę szarego dymu, gęstego i miękkiego jak wełna. – Może byś to opisał.

Potrzebuję autorów.

– Skończyłem już z poezją.

– Nie chodzi mi o wiersze. – Sięgnął po kieliszek i mówił do jego bursztynowej zawartości. – Wydaję nie tylko „View”. Także książki dla wyrobionych męskich czytelników. Drukuję je w Paryżu.

– Pornografia?

– Jeśli tak wolisz. Myślałem, że teraz, gdy już zostałeś pisarzem i zapewne potrzebujesz gotówki... taki afrykański akcent mógłby być atrakcyjny. Na przykład *Fanny Hill* albo *My Secret Life* ^[23] wśród rdzennych ludów Afryki. To by się na pewno dobrze sprzedawało.

– Pewnie tak – powiedziałem, odstawiając kieliszek.
– Ale to zadanie nie dla mnie. – Nagle zrobiło mi się niedobrze. Dym z jego cygara drażnił mi gardło. Wstałem. – Dobranoc, George. Znajdź innego frajera, który cię zadowoli.

– Zaczekaj! – zawołał pospiesznie. – Nie tak szybko. Przecież nie będziesz wiecznie się utrzymywał z Faszody. Moi pisarze... dbam o nich. Tu artykuł, tam jakiś wiersz... To akurat coś dla ciebie. Wydaliśmy już Forda Madoksa Forda.

– Nie wysilaj się, George.

Spojrzał na mnie porozumiewawczo

– Nie bądź taki konwencjonalny.

Gdy odchodziłem, krzyknął:

– Czasem widuję córkę Pinkera, Emily.

Zatrzymałem się w drzwiach.

– Wyszła za mąż. Za prawdziwego nudziarza. Lepiej się w to nie mieszaj.

Nie odwróciłem się. Wyszedłem.

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

Emily stanowiła zamknięty rozdział w moim życiu, lecz jej ojciec to co innego. Nie mogłem tego dłużej odkładać. Poszedłem do Limehouse i przekazałem swoją wizytówkę.

Kazał mi czekać – jakżeby inaczej. Siedząc w poczekalni, obserwowałem przesuwały się przede mną nieprzerwany korowód tragarzy i magazynierów z jutowymi workami na plecach. Nie tyle przechodzili, ile maszerowali – każdy posuwał się różnym krokiem do miejsca, w którym na ulicy czekał rząd ciężarówek. Zastanawiałem się, dlaczego nie przechowują tego w magazynie, może teraz jest wykorzystywany w inny sposób.

Wtem zobaczyłem znajomą twarz. Jenks! Teraz był chyba kimś ważnym, bo nie odstępowało go dwóch asystentów, gdy biegał tam i z powrotem, nadzorując załadunek.

– Jenks! – krzyknąłem.

– O, witaj, Wallis. Słyszeliśmy, że wróciłeś. Obciąłeś włosy. – Ta uwaga mnie zaskoczyła; od ostatniego spotkania miałem wiele fryzur. – Już się zastanawiałem, kiedy się zjawisz – mówił, nie zatrzymując się, więc musiałem wstać i iść za nim wraz z asystentami. – To – zwrócił się do jednego z nich – na drugie piętro. Widzisz? Miejsce na kolejne pięćset.

Stałem oniemiały na widok tego, co zobaczyłem.

Magazyn nie był zwyczajnie pełny, był wypchany. Ze wszystkich stron aż po sufit sięgały stosy worków kawy, tworząc całe kawowe ściany. Nie było w nich otworów, zaledwie wąskie prześwity w tych stosach, które ustawiono przy prawdziwych oknach. Dzięki nim do pomieszczenia wpadało trochę światła. Między tymi olbrzymimi stosami wiły się maleńkie dróżki, kręte korytarze, schody z worków, niczym otwory wydrążone przez robaki... Musiało tu być ponad pięćdziesiąt tysięcy worków.

Blisko miejsca, w którym się zatrzymali, leżał otwarty worek. Pochyliłem się i wyjąłem kilka ziaren. Powąchałem.

- Indyjska Typica, jeśli się nie mylę.
- Twoje podniebienie nigdy się nie myli – przytaknął Jenks.

Podniosłem głowę, śledząc wzrokiem worki znikające w ciemnościach.

- Wszystko to samo? Po co?
- Idź lepiej na górę – rzekł Jenks.

* * *

Pinker siedział przy biurku. Obok cicho terkotał telegraf. Pinker przytrzymał dłońmi wysuwającą się taśmę i odczytywał symbole, po czym wypuszczał taśmę z rąk, by niemal natychmiast podnieść ją w innym

miejscu i przeczytać następne znaki, jakby pił z szybko płynącej rzeki.

– A, jesteś, Wallis. Nareszcie wróciłeś – powiedział, jak gdybym przed chwilą wyszedł na West End na lunch.

– Jak tam Afryka?

– To nie był sukces.

– Tak przypuszczałem. – Nie poświęcał mi wiele uwagi, stale przesuwając palcami po taśmie wypluwanej z maszyny.

– Magazyn aż pęka w szwach – zauważyłem, gdy zamilkł.

– To? – wydawał się zaskoczony. – Ach, to nic. Powinieneś zobaczyć składy celne. Mam cztery: wszystkie większe od tego i wszystkie wypchane po brzegi. Muszę wynajmować dodatkowe powierzchnie, aż to się skończy.

– Aż co się skończy?

Podniósł na mnie wzrok i ze zdumieniem dostrzegłem, że Emily jest do niego bardzo podobna. Jednakże w jego oczach lśnił dziwny blask, jakieś nerwowe podniecenie.

– Moja armia jest prawie gotowa, Wallis – oznajmił.
– Zebraliśmy prawie wszystkie siły.

* * *

Doznał olśnienia, wyjaśnił mi Pinker. W końcu

zrozumiał, że rynek kawy jest cykliczny. Kiedy ceny rosną, plantatorzy sadzą więcej, ale ponieważ sadzonki potrzebują czterech lat, by wydać plon, dopiero po upływie tego czasu można odczuć ich obecność na rynku. Cztery lata po wzroście cen następuje zalanie rynku – kawa zasadzona w okresie niedoboru pojawia się w coraz większych ilościach, aż wreszcie nadmiar towaru sprawia, że cena spada i plantatorzy albo w ogóle się wycofują, albo przestawiają się na inne uprawy. W związku z tym po czterech latach znowu podaż spada, ceny rosną i plantatorów przybywa.

– Ośmioletni cykl, Wallis. Tak niezmienny, tak nieubłagany jak fazy księżyca. Kartel może go maskować, ale nie zlikwiduje. Gdy to zrozumiałem, wiedziałem, że go mam.

– Kogo?

– Howella oczywiście. – Uśmiechnął się. – Wkrótce będzie wył – urwał, jakby zaskoczony swoim żartem. – To ty nauczyłeś mnie dowcipu, Robercie.

Powiedział mi, że czekał wiele lat, by ten cykl dotarł do punktu, w którym cena wynikałaby z naturalnego rytmu rynku.

– I teraz jest ten moment? Zdawało mi się, że w Londynie wszyscy przyjmują, iż cena będzie rosła?

Wzruszył ramionami.

– Rząd brazylijski twierdzi, że tak będzie. Mają nowy plan, nazywają go waloryzacją. Biorą olbrzymie pożyczki, żeby skupować kawę od plantatorów i w ten

sposób ograniczać zalew rynku towarem. Ale to nie może trwać wiecznie. Rynek jest jak rzeka: można ją tamować tylko jakiś czas, a kiedy woda zerwie tamę, porwie wszystko. – Podeszedł do mapy świata wiszącej na ścianie. – Poczyłem pewne przygotowania. Część z nich widziałeś na dole, ale to tylko ten widoczny element. A najważniejsze jest to, co niewidoczne. Sieci... kontakty, układy. Arbuckle na Zachodnim Wybrzeżu. Egbert w Holandii. Lavazza w Mediolanie. Gdy zaczniemy działać, będziemy działać wspólnie.

– Utworzyliście kartel?

– Ależ nie. – Odwrócił się. – Utworzyliśmy przeciwieństwo kartelu... zrzeszenie firm, które wierzą w wolność, w wolny przepływ kapitału. Przyłączasz się do nas w idealnym momencie.

– Ale... nic przyszedłem prosić o pracę. Chciałem tylko przeprosić.

– Przeprosić?

– Za to, że pana zawiodłem.

– Ależ, wszystko się pomyślnie ułożyło. Emily wyszła dobrze za mąż. Oczywiście śmierć Hectora była tragedią. Cóż, takie rzeczy się zdarzają. A tymczasem, Robercie, potrzebuję kogoś z twoją wiedzą o kawie.

– To, co ma pan teraz w magazynie, trudno nazwać kawą.

– Racja. Ale wiesz co? Dzięki naszym reklamom klienci wierzą, że smakuje lepiej niż najlepsza arabika. Jeśli postawisz obok siebie filiżankę kawy Castle

i mokki z Hararu, wybiorą markę Castle. Wydaje się, że dużo łatwiej sterować nosem gospodyń domowych niż tym, co masz w spodniach.

– Gardzi pan swoimi klientami.

– Nie gardzę nimi. – Pokręcił głową. – Nie mam wobec nich żadnych uczuć. W biznesie nie ma miejsca na sentymenty.

– No, tak czy owak, dla mnie nie ma tu miejsca. Od tej pory zamierzam zarabiać na życie piórem.

– Ach tak... czytałem twoje artykuły. Były zabawnie napisane, chociaż trochę w tym manipulacji. Ale, Robercie, nie ma żadnego powodu, byś nie mógł jednocześnie pisać do gazet pracować dla mnie. To by nawet było pomocne. Mógłbym ci sugerować pewne ścieżki, wyjaśnić pewne sprawy...

– Naprawdę nie o to chodzi.

– No to będziesz musiał się zdecydować. – Jego głos niewiele się zmienił, lecz w oku pojawił się groźny błysk. – Trzysta rocznie, taka była umowa? A wytrzymałeś ile? Sześć miesięcy? Powiedzmy, że jesteś mi winien tysiąc, o reszcie możemy zapomnieć. Może być czek. – Wyciągnął dłoń.

– Nie mogę panu zapłacić – powiedziałem cicho.

– A więc zostań z nami, aż będziesz mógł. – Uśmiechnął się blado.

* * *

Wychodząc, znowu natknąłem się na Jenksa. Mia-
łem wrażenie, że na mnie czekał.

– No i jak? – zapytał.

– Chyba chce, żebym wrócił.

– Cieszę się, że to słyszę.

– Naprawdę?

– Tak. – Westchnął. – Staruszek... czasem myślę, że
trochę zdziwaczał. Może wspólnie uda nam się... no,
uspokoić go trochę.

SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Najdziwniejsze było to, że Pinker w zasadzie nie miał dla mnie zajęcia. Zdarzało się, że przywoływał mnie po to, by Wygłaszać tyrady na temat wad cen stałych i zawiłości funkcjonowania giełdy. Czasem kazał Jenk-sowi przynosić mi wycinki z gazet wychwalające sukcesy planu brazylijskiego – „modelu zapewniającego dostatnią przyszłość, który z pewnością będą naśladować wszyscy pragnący stabilizacji na rynku cukru, gumy, oleju palmowego i na każdym innym rynku świata”, jak napisał jeden z dziennikarzy; na marginesie tego tekstu Pinker wstawił jedno słowo: GŁUPCY.

Któregoś dnia po wygłoszeniu szczególnie ostrej krytyki swoich oponentów spojrzał na mnie i powiedział;

– Zanotuj to, Robercie. Inaczej nigdy nie przypomnisz sobie tego dokładnie.

– Ale... raczej nie będzie mi to potrzebne.

– Zapisuj wszystko – nalegał. – Dzięki temu, gdy będziesz opowiadał, nie będziesz musiał zgadywać... będziesz miał dowód.

– Opowiadał? – powtórzyłem, zastanawiając się, w której kieszeni zostawiłem ołówek. Nagle zrozumiałem, co miał na myśli i dlaczego chciał, bym należał do jego personelu.

* * *

– On chce, żebym był jego biografem – wyznałem Jenkinsowi, gdy byliśmy sami.

– Myśli, że tworzy historię. – Skinął głową. – Zawsze tak było. Dawniej Emily zapisywała jego wypowiedzi. Odkąd wyszła za męża, nie ma nikogo, kto by ją w tym zastąpił.

– Å propos Emily, masz o niej jakieś wieści? – zapytałem obojętnym tonem.

– Az jakiej racji? – W jego głosie pojawiła się dziwna wrogość. – Jest teraz mężatką, ma własne problemy. Nie musi przestawać z takimi jak ty czy ja.

* * *

Po tej rozmowie robiłem, czego ode mnie wymagano, i notowałem spostrzeżenia mojego pracodawcy w zeszycie – tym samym, w którym kiedyś zapisywałem swoje wiersze.

Docierały do mnie strzępy wiadomości o rodzinie Pinkera. Ada pozostała w Oksfordzie i poślubiła wykładowcę; Żaneta „zadebiutowała w towarzystwie”, jak mówią: bywała na przyjęciach, przestawała z cyganerią z Bloomsbury. Nie miały już żadnych powodów, by pojawiać się w biurze ojca. Co do Emily, od chwili ślubu nie uczestniczyła w działalności firmy.

– Teraz jej praca polega na byciu żoną, i to żoną

polityka – odpowiedział mi Pinker z irytacją, gdy jedyny raz ośmieliłem się o nią zapytać. – Zapewne niebawem powiększy im się rodzina, więc będzie miała czym się zająć. A tymczasem musimy wracać do interesów.

To, jak prowadził interesy, coraz bardziej odbiegało od konwencjonalnych metod. Zdarzyło się na przykład, że bez żadnego ostrzeżenia wybuchł strajk w dokach, który sparaliżował transport kawy w londyńskim porcie. Nie było w tym nic niezwykłego – w tych czasach strajki nie należały do rzadkości – lecz ciekawe było to, że dokładnie w tym samym czasie wybuchły strajki w Antwerpii i Nowym Jorku.

Cena kawy dla przeciętnego właściciela sklepu odpowiednio wzrosła. Zupełnie inaczej było z giełdą. Kawa była przechowywana na statkach czekających na rozładunek. Tamiza, Hudson i Scheldt były zablokowane jak zepsute pasy transmisyjne. Nikt nie mógł kupić więcej, póki spór nie zostanie rozwiązany, i cena gwałtownie spadła – aż wtrącił się rząd brazylijski powstrzymał spadek.

Dla tych, którzy magazynowali kawę poza portem londyńskim, nie było oczywiście problemu: mogli sprzedawać z dużym zyskiem. Przypomniałem sobie niekończący się sznur tragarzy przesuwających się przez magazyn Pinkera i poczułem podziw wobec rozmachu jego działań.

* * *

W tym tygodniu Pinker zarobił fortunę. To mu jednak nie wystarczyło. Zależało mu nie na pieniądzach, lecz na zwycięstwie.

– To była tylko potyczka. Testowaliśmy ich siłę. Prawdziwa bitwa dopiero przed nami.

Zaczął pouczać Jenksa i mnie, jak działa giełda. Tak jak Emily nauczyła mnie degustowania, a Hector zarządzania plantacją, tak Samuelowi Pinkerowi zawdzięczam tę wiedzę tajemną, na której opiera się za-
możność londyńskiego City.

– W tym miesiącu sprzedaliśmy pół miliona worków kawy na każdym zarobiliśmy po dwa szylingi. Co by było, gdybyśmy mieli umowy na dziesięć milionów worków?

– Nie mamy dostępu do takiej ilości kawy – zauważył zdumiony Jenks.

– Racja. Ale założmy, że nasze worki są hipotetyczne. Co wtedy?

– Wtedy mielibyśmy dwudziestokrotny zysk – powiedziałem.

– No właśnie – potwierdził Pinker. – I to tylko przez dopisanie kilku zer. A więc potrzebujemy tych dziesięciu milionów worków. Gdzie je znajdziemy?

– To jakiś nonsens – Jenks wyrzucił ramiona w górę – ta kawa nie istnieje, i cokolwiek powiemy, nic tego nie zmieni.

– Ale będzie istniała w przyszłości – upierał się Pinker. – Może cofnęlibyśmy ją w czasie... do teraźniejszości, w której będzie z niej więcej pożytku?

Jenks wydobył z siebie dźwięk świadczący o tym, że według niego ta rozmowa przestaje mieć sens.

– Gdyby ktoś miał kontrakt na dostawę tej kawy w późniejszym terminie... – zacząłem.

– Tak? – podchwycił Pinker. – No, dalej, Robercie.

– I jeśli mógłby pan wykupić ten kontrakt... jego cena rosnęła lub spadała w zależności od tego, czy aktualna cena oznacza, że można na tym zarobić, czy wręcz przeciwnie.

– Właśnie tak – rzucił Pinker z satysfakcją.

– Ale w jaki sposób to komukolwiek pomoże? – dociekał Jenks.

– To by znaczyło na przykład, że hodowca mógłby wykupić ubezpieczenie na wypadek przyszłego spadku cen – wyjaśniłem. – Mógłby kupić kontrakt, który zakładałby, że ceny spadną, i przewidywałby niewielki zysk jako rekompensatę większej straty poniesionej na uprawie.

– Tak – zgodził się Pinker – ale nie tylko to. Pomyśl o tym jak o transakcji przenoszonej w czasie, o kontrakcie w czterech wymiarach. Taki kontrakt może zawrzeć człowiek, który nigdy nie wyhodował ani jednego ziarna kawy; on zawsze może kupić towar, by w razie czego wywiązać się z umowy, ale i tak nie będzie takiej potrzeby: w odpowiednim momencie może po

prostu zastąpić jeden kontrakt drugim. To byłoby pomnażanie... – urwał, szukając odpowiedniego słowa.

– Pomnażanie kapitału – podpowiedziałem – a nie kawy.

– Ale co to ma wspólnego z nami? – wtrącił Jenks żalonym tonem. – My mamy kawę, Castle Coffee. Ludzie ją piją. Wolą ją od produktów konkurencji. Naszym obowiązkiem jest zapewnić, żeby była dostępna, leżała na półkach, a nie istniała w jakimś hipotetycznym sensie.

– Słusznie. – Pinker westchnął. – Mamy kawę. I masz rację, Simon, nie możemy dać się zwieść manipulacjom z czasem. Choćby ich możliwości były nie wiem jak fascynujące.

* * *

Jenks uważał, że nasz pracodawca nieco zdziwaczał. Owszem, Pinker miewał dziwaczne pomysły. Pewnego dnia wpadł do gabinetu, w którym teraz urzędowaliśmy wspólnie z Jenksem, i oznajmił, że mamy się zainteresować sposobami przewidywania pogody.

– Słucham? – zapytał Jenks z niedowierzaniem.

– Konkretnie przymrozków. Mróz w Brazylii niszczy miliony krzewów kawowca i najwyraźniej nie da się go przewidzieć. A może jest jakiś wzór? A nawet cykl? Może... na przykład suche lato w Australii czy, powiedzmy, tajfun na Jamajce... może takie rzeczy zwiększają prawdopodobieństwo wystąpienia przymrozków

w górach Brazylii?

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Zainteresujcie się tym, dobrze? Wiążę z tym pewne plany. tak zatrudniliśmy różne towarzystwa meteorologiczne i na Narrow Street zaczęli się pojawiać dziwni mężczyźni z jeszcze dziwniejszymi przyrządami. Jeden przyniósł urządzenie, w którym był tuzin żywych pijawek z drucikami przyczepionymi do ich małych brzusków. W niesprzyjających warunkach atmosferycznych – na które, jak nas zapewnił, pijawki są bardzo wrażliwe – stworzenia miały się kurczyć, tym samym pociągając za druciki. Inny twierdził, że na pogodę wpływa układ planet, jak w horoskopie; jeszcze inny, że na podstawie letnich opadów deszczu na Pacyfiku można przewidywać zimowe przymrozki w Brazylii. Pinker słuchał ich wszystkich z jednakową uwagą po czym mruzczał: „Dowód! Chcę dowodów!” szukał kolejnego szarlatana, który próbował nas oskubać.

* * *

Czasem nazywał akcje, udziały i inne jeszcze bardziej ezoteryczne formy kontraktów *instrumentami finansowymi*. Było to trafne określenie. Pinker nieodparcie przypominał muzyka lub dyrygenta, który precyzyjnym ruchem ręki w dokładnie zaplanowanym momencie powołuje do życia wielkie symfonie przepływu gotówki.

Jenks był głuchy na tę muzykę. Sądzę, że uważał się

za człowieka praktycznego, skrupulatnego sługę, który dba o to, by jego ekscentryczny pan zawsze miał czystą koszulę i skarpetki. To Jenks zajmował się teraz kontaktami z agencją reklamową, Jenks negocjował warunki z Sainsburym i Liptonem. W tym rozsądnym świecie – świecie, w którym kobiety kupowały kawę, ponieważ powiedziano im, że przez to stają się lepszymi żonami, a sklepikarze kupowali kawę, gdyż zaproponowano im dobry zysk – czuł się jak ryba w wodzie. Tylko bardziej filozoficzny, abstrakcyjny świat giełdy wprowadził go w zakłopotanie.

Pinker powiedział mi kiedyś:

- Masz smykałkę do finansów, Robercie.
- Nie sądzę, zważywszy na to, że nigdy nie udawało mi się nie mieć długów dłużej niż dzień czy dwa.
- Nie mówię o pieniądzach. Mówię o finansach, a to co innego. I podejrzewam, że właśnie twój stosunek do długów jest tego przyczyną. Simon nie może się wyzbyć przekonania, że pożyczanie jest złe, że pożyczone pieniądze trzeba zwrócić wierzycielom. Ale w tym nowym świecie hipotetycznej kawy i kontraktów przenoszonych w czasie można kupować i sprzedawać długi i zobowiązania z takim samym zyskiem jak fasolę. – Wpatrywał się we mnie, stukając palcami po blacie. – Rozumiesz mnie, prawda? Nie sprzedajemy już worków i ziaren. Teraz handlujemy *zobowiązaniami*.

SIEDEMDZIESIĄT

Ta sama kawa, pita o tej samej porze, różnym osobom wyjawi nieco inne cechy. Podobnie ta sama kawa wyjawi inne cechy, gdy będzie spożywana przez jedną osobę o różnych porach.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Wkrótce, jak przewidywał Hunt, skończyły się zarówno publikacje, jak i zaproszenia. Pozostała mi jednak *At Home* w Pimlico, gdzie zachodziłem bardziej po to, by rozkoszować się winem na wygodnej kanapie, niż po raz kolejny opowiadać o Faszodzie.

Tam ją spotkałem.

Siedziała zwrócona do mnie plecami, lecz rozpoznałem ją od razu. Gdy odwróciła się od rozmówcy tak, że zobaczyłem jej profil, zauważyłem, że się zmieniła. Sprawiała wrażenie przygaszonej, nawet jej włosy, choć modnie obcięte, nie miały dawnego połysku.

Nie ona, lecz jej mąż należał do tych, którzy chłonęli moje słowa, i to on ją przywołał.

– Chciałbym panu przedstawić moją żonę – powiedział. – Emily bardzo interesuje się Afryką, panie Wallis.

Uścisk jej dłoni był krótki, wyraz twarzy nieodgadziony.

– Istotnie – odrzekłem – panna Pinker i ja jesteśmy starymi znajomymi. Pracowaliśmy razem u jej ojca.

Na to on spurpurowiał.

– To już nie jest panna Pinker.

– Ależ oczywiście. Przepraszam, pani...?

– Brewer – odparła. – Arthurowa Brewer.

– I muszę jeszcze wyjaśnić, że nigdy nie pracowała u ojca – dodał Brewer, rozglądając się nerwowo. – Przed ślubem pomagała mu w pracach biurowych, lecz obecnie moja żona ma inne zajęcia.

– Ależ nie widzę nic złego w pracy zawodowej – zauważyłem.

Na te słowa Emily delikatnie uniosła brwi.

– Czy pan pracuje, panie Wallis?

– Nie tak intensywnie, jak powinienem.

– Czyli znowu jest pan bon vivantem? – zapytała z nutką tej swojej dawnej surowości.

– Chciałem powiedzieć, że nie zajmuje mi to wiele czasu. Pani ojciec trzyma mnie w zespole, ale nie mam tam wiele do roboty.

– Ale przecież jest pan pisarzem – zauważył Brewer.
– Czytałem kilka pańskich tekstów o Afryce, przyznaję, że działały na wyobraźnię, niemal czułem ten piach... – rozwodził się, perorował, podczas gdy ja nie odrywałem wzroku od jego żony.

Tak, zmieniała się. Jej policzki nie były już tak kwitnące, rysy twarzy stały się ostrzejsze. Wokół oczu

dostrzegłem delikatne cienie, jakby nie starczało jej snu. Jednocześnie w jej spojrzeniu tliła się wojowniczość, której wcześniej nie zauważyłem.

Brewer wciąż mówił. Najwyraźniej nie miał pojęcia, że kiedyś byłem zaręczony z jego żoną. To dało mi do myślenia. Czemu mu nie powiedziała? Może chciała utrzymać w sekrecie to jak się wobec niej zachowałem, może tak uczyniłaby każda kobieta?

Znalazłem się w beznadziejnej sytuacji. Nie byłem w stanie rozmawiać z Brewerem, a poza tym zaczęto mi się przyglądać... Mąż mógł nie wiedzieć o dawnych związkach swojej żony, ale były w tej sali osoby, które wiedziały – kątem oka dostrzegałem pojedyncze kobiety plotkujące z zasłoniętymi ustami. Powiedziałem do Brewera:

– Zgadzam się ze wszystkim, co pan mówi, a to prowadzi mnie do wniosku, że zapewne zgodzę się też ze wszystkim, co ma pan jeszcze do powiedzenia, więc nie widzę większego sensu w przedłużaniu tej konwersacji.

Skinąłem głową w kierunku jego żony.

– Pani Brewer. Miło było znowu panią zobaczyć.

Przeszedłem na drugą stronę sali. Słyszałem jeszcze, jak Brewer mówi urażonym tonem:

– W porządku!

Nie dbałem o to, że go obraziłem, interesowało mnie tylko, czy jego żona podejdzie do mnie.

Nie zrobiła tego; oczywiście nie mogła przy takim zainteresowaniu otoczenia, Byłem na to przygotowany.

Obszedłem salę, wdając się w krótkie pogawędki to z tym, to z innym... wsuwając się niby przypadkiem w przytulne wnęki, dyskretne zakątki...

W dalszym ciągu nie podchodziła. Aż wreszcie, gdy sala zaczynała już pustoszeć, odwróciłem się i zdumiałem jej obecnością. Stała za mną i odkładała pustą szklankę na tacę,

– Powiedz mi tylko jedno – rzekłem cicho. – Jesteś z nim szczęśliwa?

Zesztywniała,

– Jesteś bardzo bezpośredni.

– Nie mam czasu na dyplomację. Jesteś szczęśliwa z tym człowiekiem?

Spojrzała tam, gdzie Arthur nad czymś się rozwodził.

– Czy celem małżeństwa jest szczęście?

– Przyjmę to za odpowiedź przeczącą. Możemy się spotkać?

Chwilę milczała.

– Gdzie?

– Ty zaproponuj.

– Jutro o czwartej na Castle Street. – Odłożyła szklankę. – Wiesz, Robercie, stałeś się naprawdę dziki – mruknęła, odchodząc.

* * *

Dziki – to było odpowiednie słowo. To, co czułem, kiedy rozglądając się po sali, zobaczyłem jej profil, nim jeszcze w jej oczach dojrzałem znużenie wymieszane z oskarżeniem, było istotnie dzikim uczuciem. Lecz kryło się w tym coś więcej.

Pragnąłem w życiu wielu kobiet, czułością darzyłem kilka, afektem i podziwem jeszcze mniej. Niektóre były wyzwaniem, niektóre rozrywką, jeszcze inne w moim pożądaniu znajdowały powód do słodkiej udręki.

Tylko jedna wzbudzała we mnie ten okropny ból, to piekące uczucie tęsknoty, pustki i rozpacz. Towarzyszyła temu świadomość, że wcale nie musiało się tak stać – że kiedyś spełnienie było w zasięgu ręki, a ja po prostu to odrzuciłem, zmiażdżyłem tak stanowczo i bezlitośnie, jak dziecko rozłupuje orzech kamieniem.

Miłość bez pocałunków to nie miłość, śpiewali wojownicy Galla. Cóż to więc jest? Czym jest to coś, co pozostaje, gdy przeminie czysta żądza? Jak nazwać tę rzecz bez pocałunków, która spala człowieka silniej niż pocałunek, to uczucie straszniejsze od miłości?

*Bez niej jestem pustym naczyniem, czekającym na-
pełnienia*

Bez niej jestem niczym, księgą bez słów.

Następnego dnia byłem tam o czwartej. Kawiarnia była zamknięta, okiennice opuszczone i sądząc po

ogólnym stanie lokalu, trwało to już jakiś czas. Zauważyłem, że chociaż Pinker wymienił szyld, na którym pierwotnie miał na sobie napis Tawerna Trzeźwości, to nie potrafił się oprzeć pokusie, by pozostawić jakiś ślad po filantropijnym charakterze działalności. Pod oknami wciąż znajdował się napis na czarnym drewnie: *Będzie bowiem wielki w oczach Pana; wina i sycery pić nie będzie.* ^[24] Nic dziwnego, że to miejsce nie przynosiło zysków.

Chodziłem tam i z powrotem, czekając. Było już po piątej, kiedy wreszcie się zjawiała. Szła pewnym krokiem prosto na mnie.

– Tutaj – powiedziała, wyjmując klucz.

Wszedłem za nią. Marmurowe blaty pokrywała warstwa kurzu, ale aparat do parzenia kawy wyglądał czysto. Emily podeszła do szafki i wyjęła słoik z kawą.

– Jest świeża.

– Skąd masz pewność?

– Sama ją tu przyniosłam w ubiegłym tygodniu.

– Po co?

– Przychodzę tu czasami, żeby napić się dobrej kawy. To, co mamy w domu, jest okropne. Poza tym zdarza się, że potrzebuję spokojnego miejsca, żeby się spotkać z... pewnymi ludźmi. Miejsca, o którym nie wie mój mąż.

– Rozumiem.

– Czyżby? – Spojrzała na mnie surowo.

– Nie osądzam cię za schadzki z kochankami. Bóg wie, że nie jest mi to obce.

Mielila kawę i w pomieszczeniu rozszedł się intensywny zapach.

– Czy teraz kogoś masz?

– Kochanka? – Uśmiechnęła się.

– Co w tym śmiesznego?

– Nic. Tylko zrobiłeś się bardzo bezpośredni. Nie, nie mam kochanka. Jestem na to zbyt zajęta.

Przyglądałem jej się przez chwilę.

– Co to za kawa?

– Myślałam, że sam rozpoznasz.

Podszedłem do niej i powąchałem mielone przez nią ziarna. Woń była upojna, lecz nie tak kwiatowa jak aromat kaw, które piłem w Afryce. Była w niej też wyrazista kwasowość, cytrynowa rześkość...

– Jamajska – rzuciłem.

– Właściwie kenijska... z dużych owoców. Dopiero niedawno pojawiła się na rynku. Kupuję ją od importera w Spitalfields.

– Czyli i w tej sprawie się pomyliłem.

Kiedy kawa była gotowa, zaniósł ją do jednego ze stolików. Podniosłem swoją filiżankę: oprócz nuty cytryny i kwiatów, czuć było bogaty smak czarnej porzeczki.

– Dawno nie piłem tak dobrej kawy – powiedziałem

w końcu. – Jestem zaskoczony, że wciąż prowadzicie te kawiarnie.

– Nie są już nasze. Przynosiły straty i trzeba je było sprzedać. Ale kiedy się dowiedziałam, że właściciele chcą je z powrotem przekształcić w puby, postanowiłam zatrzymać chociaż ten jeden lokal. Arthur chyba w ogóle nie wie o jego istnieniu. Jego interesują tylko akcje i udziały, to, na czym się zarabia. – Westchnęła. – Tak działa prawo dżungli, czyż nie? Najważniejsze jest przetrwanie, a wszystko inne nie ma znaczenia.

– Jako ktoś, kto trochę czasu spędził w dżungli, mogę powiedzieć, że jej prawa są bardziej złożone, niż się wydaje.

Odstawiła filiżankę.

– Robercie?

– Tak?

– Opowiesz mi, jak zginął Hector?

Opowiedziałem jej więc wszystko, nie pomijając niczego z wyjątkiem tego drobnego szczegółu o gałkach ocznych i jądrach. Gdy mówiłem, płakała – łzy spływały bezgłośnie po jej policzkach. Nie ocierała ich, a ja, choć miałem ochotę scałować je z tej bladej twarzy, nie wykonałem żadnego ruchu.

– Dziękuję – powiedziała cicho, gdy skończyłem. – Dziękuję, że mi to opowiedziałeś, i dziękuję za to, co zrobiłeś. Wiem, że nie lubiłeś Hectora, ale cieszę się, że tam byłeś. To mu na pewno przyniosło ulgę.

– Kochałaś go.

– Byłam bardzo młoda. – Ale go kochałaś... – Tym razem to ja się zawahałam. – Kochałaś go spełnioną miłością. Nie tak jak mnie.

Odwróciła głowę.

– Co masz na myśli?

– Jak powiedziałaś swojemu ojcu tego dnia w jego biurze, ty i ja byliśmy przyjaciółmi. Nie kochankami.

Gdzieś na zewnątrz nagle zabrzmiał tupot nóg, gdy grupka dzieci biegła ulicą. Wrzask, jakiś krzyk i znowu cisza.

– Mówiłam wtedy ojcu, że chcę cię poślubić. I to powinno wystarczyć.

– Ale kochałaś Hectora.

– To już było dawno skończone. O czym prawdopodobnie wiesz, skoro czytałeś moje listy. On wolał kawalerską wolność. A ty... – w końcu spojrzała na mnie, w jej wzroku było oskarżenie – ty dość szybko zakochałeś się w kimś innym.

– Tak.

– Kim była?

– Miała na imię Fikre. – Wzruszyłam ramionami.

– A czy ją... kochałeś spełnioną miłością? – zapytała z ironią w głosie.

– Chyba tak.

– Rozumiem.

– Emily... dużo myślałem w ciągu tych kilku ostat-

nich łąt. Poprosiłem cię o to spotkanie, bo chciałbym cię przeprosić.

– Przeprosić!

– Tak. Ten list. Byłem... nietaktowny.

– Nietaktowny!

– Naprawdę zależy mi na twoim przebaczeniu.

– Wyjaśnijmy to sobie, Robercie. – Stanowczym ruchem odstawiła filiżankę na spodek. – Prosisz mnie o przebaczenie za sposób, w jaki zerwałeś nasze zaręczyny, i za nic więcej?

– Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie są jeszcze inne rzeczy...

– No to zastanówmy się, co to są za rzeczy – przerwała mi. – Poprosiłeś mojego ojca o moją rękę, nawet mi nie wspomniawszy, że masz zamiar to zrobić. Po dniach spędzanych ze mną chodziłeś do domów uciech na terenie Covent Garden... Myślałeś, że nie wiem? Jenks widział cię tam parę razy i wierz mi, przekazanie tej informacji sprawiło mu wielką radość. Wyjechałeś do Afryki wielce nadąsany i pisałeś te okropne listy, z których jasno wynikało, że czujesz się do czegoś zmuszony, jeszcze zanim zakochałeś się w kimś innym...

Nie odrywałem wzroku od filiżanki.

– Uwierz mi, zrobiłbym wszystko... cokolwiek... żeby to naprawić.

Prychnęła z wyrzutem.

– Czy jest za późno? – zapytałem.

– Za późno na co?

– Żeby o tym zapomnieć. Żeby zacząć od nowa.

– To znaczy, żebym była twoją... tym, czym była tamta kobieta? – odparła z niedowierzaniem. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

– Póki tego nie zrobimy – powiedziałem powoli – póki nasze ciała się nie połączą... to jest jak wachanie bez smakowania. Jakbyśmy rozmawiali za pośrednictwem telefonu. Chcę cię przytulać, być w tobie, chcę, byśmy wzajemnie nauczyli się odczuwać... nie potrafię tego nazwać, ale może już znasz to uczucie. Mogę ci tylko powiedzieć, że uczenie się odczuwania przyjemności... rozkoszy miłości... jest jak nauka degustowania. Doznania zmieniają się tak samo jak wtedy, gdy degustujesz kawę.

– To tego nauczyły cię podróże? – odpowiedziała ze złością. – Jak obrażać kobiety?

– Myślałem, że stałość moich uczuć do ciebie to raczej komplement – mruknąłem.

– Tak czy inaczej to niemożliwe.

– Z powodu Arthura?

– To nie tak jak myślisz.

– Może kiedyś...

– Nie, nie rozumiesz. Po pierwsze, ponieważ nie jestem taką kobietą. Nie protestuj, żadne z nas nic na to nie poradzi. A po drugie dlatego, że nie mogę sobie pozwolić na skandal.

– No a... inni? Mężczyźni, z którymi się tu spotykasz?

– Osoby, z którymi się tu spotykam, to kobiety.

– Aha... – Byłem kompletnie zbity z tropu. – Ale po co?

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Potrzebujemy spokojnego miejsca, żeby planować przestępcze działania.

Wciąż nie rozumiałem.

– Jestem, jak nas teraz nazywają, sufrażystką – wyjaśniła. – Chociaż bardzo nie lubimy tego określenia. To takie staranie dziennikarzy, żeby nas pokazać jako głupiotki, nieudolne kobiety.

– Aha... – rozważałem jej słowa. – Ostatnio dużo słyhać o przestępczych wybrykach... hasła na murach, protesty w Izbie Gmin...

– To my. Przynajmniej część tych akcji.

– A co będzie, jeśli was złapią?

– Pójdziemy do więzienia. I to nie „jeśli”, ale „kiedy”.

– Może dopisze wam szczęście.

Potrząsnęła głową.

– Przyjdzie czas, kiedy nasz ruch będzie potrzebował więźniarek... męczennic, jeśli wolisz. Pomyśl tylko, te „głupiotki dziewczęta”, te „sufrażystki” gotowe będą cierpieć dla sprawy. Wtedy skończy się nazywanie nas słabą płcią.

- A co na to twój mąż?
- Nic nie wie. Na pewno dowie się wcześniej czy później. Ale jestem na to przygotowana.
- Może się z tobą rozwiedzie.
- Nie on. To by źle wyglądało.
- A... dlaczego to takie ważne? To znaczy... możliwość wybierania parlamentarzystów... wysyłania takich napuszonych krzykaczy jak Arthur do Izb... czy warto dla tego ryzykować więzienie?
- To jedyny sposób, jaki nam pozostał. – W jej spojrzeniu było szczere przekonanie o słuszności tych słów. – Obiecywali nam to wiele razy i zawsze kłamali. Czy jeden przedstawiciel w parlamencie ma znaczenie? Może nie. Ale odmowa tego prawa, niewyrażanie zgody na przyznanie, że jesteśmy istotami ludzkimi o takich samych prawach jak mężczyźni... to ma znaczenie. Kiedy żołnierze atakują, to nie oni wybierają miejsce bitwy, ale ci, którzy chcą ich powstrzymać. Głosowanie, reprezentacja... to wokół tych spraw koncentrują się ci, którzy chcą zamknąć nam usta. Izba Gmin jest ich cytadelą. Musimy ją wziąć szturmem albo pogodzić się na zawsze z tym, że nie jesteśmy im równe.
- Rozumiem.
- Pomożesz nam?
- Ja?! – zawołałem zdumiony. – Jak?
- Ta kawiarnia... Jeśli nasza grupa ma się rozrosnąć, będziemy potrzebowały miejsc, w których można zostawić wiadomość, zorganizować spotkanie, miejsc,

gdzie zainteresowane osoby mogą się czegoś więcej dowiedzieć. Szukam kogoś, kto by tym dla mnie zarządzał. Wczoraj, gdy powiedziałaś, że masz wolny czas, pomyślałam, że świetnie byś się do tego nadawał. Mogłabym poprosić ojca, żeby cię zwalniał przynajmniej na popołudnia. Na pewno by się zgodził. I mógłbyś mieszkać nad lokalem. Tu na górze są dwa piętra zupełnie puste, zaoszczędziłbyś na czynszu.

Pokręciłem głową.

– To mi pochlebia. Emily, ale chyba rozumiesz, że to niemożliwe. Zacząłem publikować artykuły, coś się zaczyna dziać w moim życiu. Nie mogę już bardziej ograniczać wolności.

– No tak. Rozumiem – powiedziała ze złością. – To znaczy, że kiedy przed chwilą mówiłeś, iż zrobiłbyś wszystko, żeby naprawić swoje błędy, to była kolejna poza? Kiedy proponowałeś mi romans, to było tylko słodkie gadanie? Bardzo chętnie rozprawiasz o rozkoszach fizycznej miłości, póki jest to przyjemność bez odpowiedzialności, kolejne z twoich „niezwykłych doznań”. Pamiętasz jeszcze to określenie? Tak kiedyś opisałeś nasz pocałunek. To zdarzyło się, zanim zrozumiałam, jakie to było okropne, bo pokazywało, co we mnie widzisz. – Spiorunowała mnie wzrokiem. – Lepiej już idź.

Zaległa cisza.

– Och... dobrze – odezwałem się.

– No więc na co czekasz? Idź. – Odwróciła się, go-

towa mnie ignorować.

– Nie... to znaczy... no dobrze, poprowadzę ci tę cholerną kawiarnię.

– Naprawdę? – Wyglądała na zaskoczoną.

– Przecież powiedziałem. Nie pytaj dlaczego. Chyba mam dziwną słabość do wszystkich w twojej rodzinie.

– To poważne przedsięwzięcie. Gdyby się rozeszło, gdzie się spotykamy... Ujmę to tak: lepiej trzymaj za barem jakiś łom.

– Poradzimy sobie.

– Wiesz, że nigdy nie będę z tobą sypiać? – zmrużyła oczy.

– Tak, Rozumiem.

– I wypłata nie będzie duża. Nie będzie cię stać na kohorty dziwki i utrzymanek. Czemu się uśmiechasz?

– Właśnie sobie przypominałem pierwszą rozmowę z Pinkerem o warunkach mojego zatrudnienia. Jestem przekonany, że cokolwiek otrzymam, wystarczy na moje skromne potrzeby.

– Skromność nie jest słowem, które by mi się z tobą kojarzyło.

– Więc chyba cię zaskoczę. Ale mam pewne warunki.

– Jakie?

– Chciałbym się pozbyć tych dziwacznych haseł. I bez tego trudno będzie nakłonić ludzi do przychodzenia, nawet gdy nie będą myśleli, że chcę im wygłaszać

kazania na temat trzeźwości.

– W porządku. Co jeszcze?

– Żadnych mieszanek. Chyba trafiłbym do piekła, gdybym sprowadzał kawy z różnych części świata po to tylko, żeby je potem mieszać w jedną bezbarwną maź.

– I wierzysz, że w ten sposób osiągniesz zysk?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Ale przecież ci na tym nie zależy? Może uda się uniknąć strat.

Wyciągnęła rękę.

– W takim razie, Robercie, umowa stoi.

SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

Do opracowania wyczerpującego języka smaków oraz opisanie ogromnej liczby wonnych niuansów kryjących się w tle nadrzędnego zapachu i specyficznych doznań smakowych związanych z kawą nieodzowne jest doświadczenie. Zdobycie takiego doświadczenia wymaga czasu. W tej sprawie nie ma drogi na skróty.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Emily nie miała racji: Pinker w pierwszej chwili nie chciał przystać na naszą propozycję. Uznałem, że tym, co go zniechęca, jest niestosowność sytuacji – jego zameżna córka zatrudnia kogoś, kto niegdyś był z nią w bliskich stosunkach. Podkreśliłem więc, że moja rola będzie się sprowadzała do pomocy w zorganizowaniu lokalu, i w końcu się zgodził.

– Jeszcze jedno, Robercie. Pamiętaj, że czasu nie cofniemy. Nasze porażki najlepiej pokryć niepamięcią. To sukcesy stanowią o naszej przyszłości.

Wtedy nie wiedziałem, czy ma na myśli moją porażkę w Afryce, czy sprawę poślubienia jego córki. Dopiero wiele lat później pomyślałem o tym, że istniała inna możliwość interpretacji tych słów – że mówił nie

o mnie, lecz o sobie i swoich stosunkach z Emily.

* * *

W ciągu najbliższych kilku tygodni byłem bardzo zajęty. Trzeba było nadzorować robotników, zatrudnić personel, użerać się z prawnikami – pojawił się drobny problem, gdy okazało się, że nie możemy już używać nazwy Castle Coffee. W końcu nazwaliśmy lokal Castle Street Coffee House i wszyscy byli zadowoleni. Spotkałem się z Frederickiem Furbankiem, importerem, który zaopatrywał Emily w kawę kenijską. Ku memu zdziwieniu jegomość o mnie słyszał, a nawet był dumny z zawarcia ze mną znajomości.

– Pan Robert Wallis?! – zawołał, wymachując moją dłońią. – Ten, który stworzył „Przewodnik”, Metodę Wallisa-Pinkera? Muszę panu powiedzieć, że zmodyfikowana wersja tego systemu jest używana przez wszystkich drobnych kupców. Niech no się tylko roznieście, że sprowadzam kawę dla Wallisa!

Dziwna była myśl, że stworzyłem coś, co żyło własnym życiem. Nie czułem jednak wielkiej dumy z autorstwa. Prawdę mówiąc, siłą napędową był Pinker, nie ja.

Furbank i ja wspólnie degustowaliśmy kilka kaw i dokonaliśmy pierwszej selekcji. Z zachwytem obserwowałem, jak szybko kawy afrykańskie odbierały pierwszeństwo południowoamerykańskim pod wzglę-

dem jakości i jak kawy po mokrej obróbce wysuwały się przed te poddawane metodzie suchej. Przez kilka godzin rozmawialiśmy, używając żargonu kawiarzy, i pod koniec spotkania wiedziałem, że Emily ma dostawcę, który nigdy jej nie oszuka.

Po otwarciu kawiarni absorbowwały mnie nieco inne zajęcia: nadzorowanie kelnerów, czuwanie nad pracą aparatu Tosellego, a nawet mycie naczyń, gdy wymagała tego sytuacja. Niemal od pierwszego dnia stale zjawiały się kobiety poszukujące informacji. Zawsze można je było rozpoznać – gdy przestępowały próg, na ich twarzach malowała się stanowczość połączona z niepokojem, jakby decydowały się na coś nieodwracalnego, co wymagało zaprzędania duszy diabłu.

* * *

Ruch walczących sufrażystek – Sprawa, jak to nazywały – rozrastał się szybko, zasilany doniesieniami prasowymi o wydarzeniach w Manchesterze i Liverpoolu. Emily i jej współkonspiratorki spędzały wiele godzin na zapleczu kawiarni, debatując o wszystkim – ich statucie, etyce, o tym, co jest słuszne, a co nie, jak zmierzać do celu. Jak na ruch, który za swoją dewizę przyjął hasło: „Czyny, nie słowa”, w tym, co robiły, z pewnością tych ostatnich było bardzo wiele. Mówiły o zrywie całego Londynu, ale nigdy nie miały wystarczającej liczby znaczków pocztowych.

Czasami wręcz myślałem, że to wszystko to tylko przejściowy stan euforii, naiwna dziewczęca ekscytacja. Lecz one pod koniec tych niekończących się spotkań wkładały kapelusze, zawiązywały buty i zamiast wsiąść do autobusu i jechać do domów, rozchodziły się pojedynczo lub po dwie, żeby wypisywać wapnem hasła na rządowych budynkach albo rozlepiać plakaty. Molly, Mary, Emily, Edwina, Geraldine i inne... już nie „anioły w domu”, ^[25] lecz anioły zemsty. Te nocne eskapady, przyznaję, napełniały mnie obawami. Od wczesnych lat wpajano mi, że kobiety to słabe, delikatne istoty, i trudno mi było zerwać z takim myśleniem.

– Nie musisz tu stać i patrzeć wilkiem – powiedziała któregoś wieczoru Emily, przygotowując się do rozlepiania plakatów na moście Chelsea. Jeśli się martwisz, chodź z nami.

– Czemu myślisz, że się martwię?

– Po sposobie, w jaki polerujesz tę filiżankę, za chwilę przetrzesz ją na wylot. Mówię poważnie: nic mi nie będzie, ale jeśli chcesz, chodź... przydasz się do trzymania wiadra, gdy będę rozsmarowywać klej.

– Dobrze, skoro mnie potrzebujesz, pójdę.

– Nie powiedziałam, że cię potrzebuję, tylko że możesz się przydać.

– A jest jakaś różnica?

– Jak powiedziałby mój ojciec: da się je rozróżnić.

Zatrzymywaliśmy na ulicy taksówki. Pięć kobiet z rolkami proklamacji pod pachami, każda z małym

wiaderkiem kleju do tapet i pędzlem, oraz ja. Jeżeli rząd kiedyś postanowi rozprawić się z tym podziemiem, myślałem, nie będzie to wcale trudne.

Emily i ja wysiedliśmy na nabrzeżu. Zaczęła rozwijać arkusze, ale nie dość, że była mgła, to jeszcze wiał porywisty wiatr, co utrudniało nakładanie kleju.

– Sama nie dałabyś rady – powiedziałem, gdy plakat po raz czwarty toczył się po moście. Skoczyłem, by go złapać.

– No tak, przekonałeś się, że jednak byłeś potrzebny – rzuciła gniewnie, chwytając za kapelusz.

– Jesteś rozgniewana!

– Oczywiście, że jestem. Nie mogę przykleić tych przeklętych papierów do cegieł. – Popchnęła rolki w moją stronę. – Skoro jesteś taki przydatny, to sam je rozwieś!

– Z przyjemnością.

Przykleiłem plakaty, gdy ona stała na czatach.

– KV! – powiedziała nagle.

– Co?

– KV. Tak się mówi, kiedy zbliża się policja, czyż nie?

– A... chciałaś powiedzieć *cave*. Po łacinie „strzeż się”. – Spojrzałem na drugą stronę mostu. Dwaj policjanci szli w naszym kierunku. – Właściwie to lepiej powiedzieć: „W nogi!”.

Usłyszeliśmy gwizd, a potem tupot stóp po moście.

– Szybciej! – ponaglałem, chwytając ją za łokieć.

* * *

Szliśmy w kierunku Parliament Square, rozlepiając plakaty na mijanych budynkach rządowych. Nagle przy Moście Westminsterskim zobaczyliśmy samochód. Był zaparkowany na poboczu, zapewne szofer odszedł na chwilę, by coś zjeść. Na masce powiewała flaga państwowa.

– To samochód ministra spraw wewnętrznych – zauważyła Emily.

– Jesteś pewna?

– Tak. To znajomy Arthura. Nalepmy na nim plakat!

– Co?!

– To wspaniała okazja – mówiła niecierpliwie. – Szybciej przeczyta plakat na swoim aucie niż na moście. A żeby mieć pewność, przykleimy mu też jeden w środku.

– Ależ Emily, nie możesz...

– Czemu nie? – Już rozwijała kilka afiszy.

– Bo to... no... to jest samochód. Cudowna maszyna. Dzieło sztuki.

– Ach, w takim razie pokręcmy się po okolicy i znajdziemy coś brzydkiego, żeby przykleić nasz plakat – oznajmiła z sarkazmem. – Robercie, nic nie poradzę na to, że minister wybrał sobie szczególnie piękną maszynę.

Liczy się wiadomość, którą mu przekazemy.

– Ale pomyśl o biednym szoferze... o tym, w jakie wpadnie tarapaty.

– Niestety, takie jest życie – powiedziała, rozprawiając klej na czterech czy pięciu arkuszach. – Stój na czatach.

– To nie w porządku – zaprotestowałem, ale zrobiłem, o co prosiła.

– Rzecz z kobietami – mówiła, przykładając pierwszy arkusz do nieskazitelnie czystego metalu – wygląda tak, że my nie jesteśmy dżentelmenami. My się nie bawimy, ale prowadzimy walkę.

– Tam! – rozległ się krzyk. Odwróciłem się. Nasi znajomi policjanci znowu nas dostrzegli.

Biegliśmy bocznymi uliczkami, aż wciągnąłem ją w ciemną bramę w dużej kamienicy. Czekaliśmy, nasłuchując. Wokół panowała cisza.

– Chyba ich zgubiliśmy – powiedziałem. – Ale dla pewności powinniśmy chwilę odczekać.

– Czy to nie wspaniałe? – Jej oczy błyszczały.

– Wspaniałe? – powtórzyłem z powątpiewaniem.

– Zawsze chciałeś być buntownikiem. I teraz jesteś.

– A ty jesteś moim towarzyszem.

– Właściwie odwrotnie. To ty jesteś moim towarzyszem. I to bardzo dobrym.

Nie mogłem się pohamować. Te lśniące oczy, dyśzące usta, wznosząca się i opadająca klatka piersiowa,

gdy łapała oddech... tak bardzo przypominało to chwile oczekiwania na pocałunek, że musiałem ją pocałować.

Odpowiedziała tym samym – głębokim, długim pocałunkiem, z westchnieniem przyjemności. Ale gdy chciałem pocałować ją drugi raz, powstrzymała mnie, kładąc mi dłoń na piersiach.

– Musimy znaleźć ci żonę, Robercie – wyszeptała.

– To znaczy?

– Ty i ja jesteśmy teraz przyjaciółmi, prawda? Odrzuciliśmy banalność romansu dla głębszych więzi braterstwa.

– Nie drwij ze mnie, Emily.

– Przepraszam, chciałam tylko... to wyjaśnić. Ale naprawdę tak myślę. Ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. Jeśli pragniesz czegoś więcej, musisz znaleźć kogoś innego.

– Nie chcę nikogo innego – powiedziałem. Wypuściłem ją jednak z objęć.

SIEDEMDZIESIĄT DWA

Stopniowo wprowadzałem w kawiarni kolejne zmiany: więcej stolików, kolorowe plakaty, jakie widywałem w kawiarniach we Włoszech i Francji, długą półkę za kontuarem na butelki z absyntem i innymi aperitifami. Emily zносиła to cierpliwie, gdy jednak wydałem tygodniowy dochód na bogatą wystawą pawich piór, nie wytrzymała.

– Co to jest, Robercie?

– Podobne były w Café Royal. Stwarzają nastrój, nie sądzisz?

– Nastrój – powiedziała stanowczo – to akurat coś, czego tutaj nie chcemy.

– Jak to?

– Nastrój, przez co rozumiesz, jak sędzę, dekadenski klimat paryskiego burdelu... nie., daj mi skończyć... sugeruje coś sztucznego. Nam potrzebne są rozmowy, wymiana opinii, a nie pióra i świecidełka. Myślę raczej o czymś podobnym do sali spotkań metodystów... czymś prostym, skromnym, funkcjonalnym.

– A po cóż ktokolwiek miałby przychodzić w takie miejsce?

– Robercie, chyba umknęło twojej uwadze, że planujemy masowy zryw. Będą tu przychodzić z przyczyn politycznych, a nie dla pawich piór. A twój absynt... czy ktoś już choć raz go zamówił?

– Jeszcze nie – przyznałem. – Twoje sufrażystki to na ogół abstynentki.

– Dzięki Bogu. Podajemy kawę i nic poza tym.

Zrobiłem, jak chciała, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że sufrażystki równie chętnie piłyby herbatę lub wodę. Niewielkie doświadczenie, jakie miałem w tej dziedzinie, wyraźnie się marnowało.

* * *

Na wieść o sukcesach sufrażystek w Manchesterze i Londynie rząd zmienił swoją taktykę – teraz zaczęto pomniejszać ich znaczenie. Głoszono, że bojowniczkami nie są zagrożeniem naturalnego porządku, jak przedstawiano je na północy kraju, lecz grupą przewrażliwionych, znerwicowanych kobiet, które nie mają nic lepszego do roboty.

PUDDING GABINETOWY

Weź świeżą młodą sufrażystkę, dodaj duży plaster jej samooceny i podlej sosem wedle uznania; pozostaw ją na progu ministra, aż się rozgrzeje do białości; mieszaj swobodnie jednym lub dwoma policjantami, obtocz w błocie i póki gorąca, zanieś na posterunek i doprowadź do wrzenia; przyzdób sosem męczennicy. Koszt – trochę szacunku dla siebie.

– To takie denerwujące – powiedziała Emily, rzucając „Daily Mail” na stół. – Jesteśmy jak komary atakujące nosorożca.

– Nawet komary dają się mocno we znaki, gdy jest ich cała chmara – odparła Geraldine Manners. – Musimy zorganizować demonstrację.

Edwina Cole westchnęła.

– „Daily Mail” na pewno poinformuje czytelników, że demonstrowanie nie jest kobiece.

– No to nie nazwiemy tego demonstracją. Nazwijmy to procesją... ciężko im będzie się temu sprzeciwić.

* * *

Procesję zaplanowano na poniedziałek. Gazety okrzyknęły ją „Rajdem Walkirii” i „szarżą żołnierzy w spódniczkach”, ale to wszystko spływało po Emily jak po kaczce.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł? – zapytałem.

– Czemu nie?

– Mam wziąć swój łom?

– Och, wątpię, by był ci potrzebny. Przecież to tylko procesja... zacięty bój może poczekać na inną okazję.

* * *

Postanowiły demonstrować... a raczej iść w procesji... z Trafalgar Square do Westminsteru, gdzie chciały przedstawić petycję kobiet Izbie Gmin. Emily nie miała pojęcia, ile osób się zjawi. Dwieście, według „Daily Mail”. Skąd wzięli tę liczbę, nie wiem. Podejrzewam, że chcieli podać coś pośredniego między liczbą na tyle dużą, by uzasadnić umieszczenie informacji na ten temat, a na tyle małą, żeby nie nazywać uczestniczek znaczącą grupą społeczną.

Stawiliśmy się w punkcie wyjścia na długo przed zapowiadany wymarszem. W pierwszej chwili pomyślałem, że Emily dobrze się sprawiła – zebrał się już spory tłum. Wtedy jednak zauważyłem wielu krążących tam mężczyzn. Narazona na ataki ze wszystkich stron grupka mniej więcej pięćdziesięciu kobiet i kilku mężczyzn stała w nerwowym oczekiwaniu na zielonym skwerku pośrodku placu.

Gdy chcieliśmy przejść przez plac, zatrzymał nas policjant.

– Jeśli pani nie odejdzie, aresztuję panią za zakłócanie porządku na chodniku – zwrócił się do Emily. Część obserwujących nas mężczyzn przywitała to z entuzjazmem.

– Nie jestem na chodniku – spokojnie powiedziała Emily.

– Ależ jest pani – oświadczył policjant, podnosząc ją i stawiając na chodniku.

Emily wciągnęła powietrze. Mężczyźni z tyłu zaczęli krzyczeć:

– Pchać ją!

Masa męskich ciał zaczęła napierać z taką siłą, że przewrócili ją i upadła.

Oburzony odezwałem się do policjanta:

– Pozwoli im pan tak traktować damę?

Spojrzał na mnie tępym wzrokiem.

– To ma być dama?

* * *

Gdy w końcu ruszyliśmy, było nas nie więcej niż sześćdziesiąt osób, a tłum po obu stronach liczył około dwustu. Jedni wygrażali pięściami, inni rzucali obelgi, lecz większość przyglądała się kobietom z jawnie seksualnym zainteresowaniem. Chwilami wrogość przerażdała się w przemoc. Dwie kobiety niosły rozpięty między nimi transparent ze starannie wyhaftowanymi słowami: „Komitet Reprezentacyjny Tkaczek z Cheshire”. Widziałem, jak podbiegli do nich trzej mężczyźni. Wyszarpnęli im transparent z rąk, podeptali i potargali go z taką złością, że pozostało zaledwie kilka patyków i szmat wdeptanych w błoto. Niecałe dwadzieścia stóp dalej policjanci przyglądali się tej scenie.

Mężczyźni stanowili niewielką część procesji, ale byliśmy szczególnym celem. Przede wszystkim nie ro-

zumiałem rozlegającego się cały czas charakterystycznego klaskania, aż do chwili gdy rozległy się okrzyki: „Pantoflarz! Pantoflarz!” i „Pozmywaj naczynia!”.

Poczułem, jak Emily wsuwa mi rękę pod ramię.

– Nie zwracaj na nich uwagi.

– Ależ to przyjemność uchodzić za twojego męża.

Gdy dotarliśmy do Westminsteru, tłum zaczął spluwać. Niektórzy robili to bardzo obficie. Wielkie lśniące plwociny leciały w naszą stronę. Jedna spadła na zakiet Emily i zwiślała z klapy niczym oślizgła opalizująca broszka.

– Będą musieli się bardziej postarać – mruknęła, wyjmując chusteczkę.

Weszliśmy na Westminster Square i wtedy tłum wokół nas się zagęścił. Przed nami, blokując dojazd do Izby Gmin, stał kordon policjantów na koniach. Wyglądało na to, że i tak nie pozwolą nam złożyć petycji, ale nie mogliśmy się już wycofać.

Wrzaski wokół nas przybierały na sile, gdy gapie, korzystając z tego, że jesteśmy unieruchomieni, poczynali sobie coraz odważniej. Niespodziewanie po naszej prawej stronie doszło do kotłowania. Grupa mężczyzn wtargnęła w tłum demonstrantek i zaczęła je szarpać i przewracać.

– Czemu policja nic nie robi?

– W końcu się ruszają. Patrz.

Miała rację. Policjanci wyjęli pałki. Ale, o zgrozo,

wcale nie odciągali atakujących: to sufrażystki były ich celem. Plac wypełniły kobiece krzyki. Nie mieliśmy jak się stamtąd wydostać – ogarnięty paniką tłum napierał ze wszystkich stron i choć unosił nas na boki niczym rozkołysane źdźbła trawy, zawsze wracaliśmy w to samo miejsce. Niebieskie mundury i pałki znajdowały się dwadzieścia, może dziesięć stóp od nas, były na wyciągnięcie ręki. Widziałem pot na czerwonej twarzy policjanta stojącego najbliżej mnie, gdy zwałił na ziemię jedną z kobiet. Ona zaczęła go kopać, a on pałką zdzielił ją po łydkach.

– Schowaj się za mną – szepnąłem do Emily.

– To nic nie da.

– Ale zrób to.

Obróciłem się i przyciągnąłem ją do siebie, nadstawiając plecy w stronę niebieskiej fali, która na nas nacierała.

* * *

Czekałem w celi wiele godzin... posiniaczony, pograżony w myślach.

Oddanie to rzecz niezwykła. Może mieć charakter intelektualny, ale może też być instynktowne, jak decyzja wymuszona przez bieg wydarzeń. Nie miałem powodów, by się przejmować sprawą kobiet. Ale trwałem przy nich, gdyż je zaatakowano, i teraz nagle zrozumiałem istotę tego, co próbowały osiągnąć. Skoro ich żada-

nia są naprawdę trywialne, jak twierdzą gazety, to czemu posunięto się aż do tak drastycznych metod walki? Jeżeli kobiety rzeczywiście są tak słabymi, delikatnymi istotami, że przepuszczamy je w drzwiach i chronimy przed ruchem na chodniku, to czemu bije się je pałką przy pierwszym sygnale różnicy zdań? Czy są naprawdę słabą płcią, czy to tylko fikcja stworzona przez mężczyznę po to, by utrzymywać taki stan rzeczy?

Gdy zadawałem sobie te wszystkie pytania, drzwi celi się otworzyły. Stał w nich policjant i zawołał:

– Za mną!

Skutego kajdankami poprowadzono mnie do ciemnego pomieszczenia wyłożonego białymi płytkami jak łazienka. Przy stalowym stoliku siedział mąż Emily, a obok niego srogi jegomość w czarnym garniturze.

– Aha, Wallis – odezwał się Brewer, obrzucając mnie pogardliwym spojrzeniem. – Powinienem się domyślić.

– Czego domyślić?

Rozparł się na krześle, wsunął kciuk w kieszonkę kamizelki.

– Gdy się dowiedziałem, że moja żona została aresztowana wraz ze mną, oczywiście byłem zdumiony. Niełatwo być w dwóch miejscach naraz, a już wzniecać zamieszki przed parlamentem i jednocześnie je potępiać wewnątrz budynku to naprawdę niezwykle osiągnięcie.

– Zapewniam, że nie ja odpowiadam za tę pomyłkę.

– Nie. To ja zrobiłem błąd. Powinienem być zau-

ważyć, że ktoś... albo coś zaraziło moją żonę tym brudem.

To było tak niedorzeczne, że parsknąłem śmiechem. Spojrzał na mnie gniewnie.

– Co pana tak śmieszy?

– Gdzie ona jest?

– Zostanie wypuszczona z powodów medycznych.

– Czemu? Jest ranna?

– Nie pański interes – warknął mężczyzna w czarnym garniturze.

Brewer powiedział spokojnie:

– Cierpi na histerię. Wiedział pan o tym, gdy wciągał ją w ten motłoch?

– Histerię? Kto tak twierdzi?

– Ja – odpowiedział mężczyzna w czerni.

– Doktor Mayhews jest jej lekarzem. Okazuje się, że od jakiegoś czasu nie chodziła na wizyty do specjalisty. – Brewer przyglądał mi się z niesmakiem. – No ale teraz otrzyma odpowiednie leczenie.

– Jeżeli jej pan coś zrobił...

– Posyłam ją do prywatnego sanatorium na wsi – przerwał mi. – Świeże powietrze i spokój dobrze jej zrobią. A panu nie wolno się z nią kontaktować. Czy wyrażam się jasno?

– Zamierzam dokładnie opisać dzisiejszą procesję, łącznie z nielegalnymi działaniami policji, i pójść z tym

do gazety.

– Proszę bardzo. Przekona się pan, że nikt w tym kraju tego nie wydrukuje. Weźcie go z powrotem do celi – polecił policjantowi.

Z zamierzoną zuchwałością powiedziałem:

– Wątpię, by chciał pan, aby mój związek z pańską żoną stał się publiczną wiadomością, Brewer – słowo *związek* wymówiłem ze szczególną intonacją. Wiedziałem, jak on to zrozumie.

Jego twarz znieruchomiała.

– Jeżeli zamknie ją pan w zakładzie, rozpowiem o naszym związku w każdym klubie i kawiarni w Londynie.

Odzyskał równowagę.

– Sufrażystki nie mogą sobie pozwolić na taki skandal.

– Może. Ale ja do nich nie należę. I nie powstrzymam się przed niczym... niczym... żeby uwolnić Emily.

– A jeśli ją pan uwolni, co dostanę? – wycedził.

– Moją dyskrecję.

Prychnął pogardliwie.

Wzruszyłem ramionami.

– To jedyne, co mogę zagwarantować.

Dość długo milczeliśmy.

– Zabierzcie tego człowieka – powiedział w końcu.
– Doktorze, zmienimy ustalenia co do terapii mojej żony.

SIEDEMDZIESIĄT TRZY

- Co zrobiłeś?! – krzyknęła.
- Powiedziałem mu, że zachowam dyskrecję w sprawie naszego romansu, jeżeli cię uwolni.
- Przed chwilą z nim rozmawiałam – mówiła oburzona – i nawet słowem o tym nie wspomniał.
- Może był zbyt zażenowany.
- Nie. Chyba nie doceniamy takich ludzi jak Arthur. Świetnie potrafią ukrywać uczucia. To dlatego nigdy nam nie ustąpią, jeśli ich do tego nie zmusimy. – Popatrzyła na mnie. – A więc dobiłeś targu o mnie.
- To nie było tak.
- Nie miałeś prawa tego robić. Nawet gdyby to było prawdą, nie miałbyś do tego prawa.
- Przepraszam. Nic innego nie przyszło mi do głowy.
- I teraz będę musiała codziennie patrzeć mu w oczy, a on nigdy nic nie powie, choć będzie myślał, że wie... – Westchnęła. – Cóż, straciłam reputację, ale sama jestem sobie winna. Chyba przyda mi się trochę pokory.
- Istnieje możliwość pewnej kompensacji...
- Tak? A co to takiego?
- Skoro twój mąż uważa, że ze sobą sypiamy, to równie dobrze możesz być i winną, i oskarżoną.
- Równie dobrze? Ależ ty jesteś romantyczny.

Jeszcze nikt nie składał mi tak uroczych propozycji.

– Ale rozumiesz? Co ma nas powstrzymywać?

– Poza takim drobiazgiem jak to, że dałeś słowo i że ja muszę codziennie patrzeć Arthurowi w oczy przy śniadaniu. No i jeszcze jest twoja skłonność do zakochiwania się. Przykro mi, Robercie. Nawet wobec tak silnych argumentów nie przekonuje mnie ta oferta.

SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

„Smak Rio” – ciężki i szorstki smak, charakterystyczny dla kaw uprawianych w dystrykcie Rio w Brazylii; czasem wyczuwalny nawet w kawach łagodnych.

Uker's Coffee Buyer's Guide

W miarę jak ceny rosły, zalew kawy sprowadzanej z Brazylii i innych południowoamerykańskich krajów zmienił się w prawdziwą powódź. Teraz na horyzoncie pojawiło się nowe zagrożenie – nadprodukcji. Kto wypije całą tę kawę? Owszem, standaryzacja opakowań, pozwoliła utrzymywać niską cenę końcowego produktu w sklepach spożywczych, jednakże popyt miał swoje granice. Cena ulegała wahaniom, a podaż wciąż rosła wskutek decyzji podjętych przez plantatorów cztery czy pięć lat wcześniej. Pinker obserwował rynki niczym jastrząb szykujący się do ataku.

Rząd brazylijski ogłosił, że będzie walczył z nadprodukcją, niszcząc płody, nim trafią na rynek. Sytuacja na rynkach papierów wartościowych poprawiła się i cena kawy oraz wszelkich południowoamerykańskich obligacji i walut z nią związanych rosła bez zakłóceń.

* * *

– Chciałbym cię wysłać do Brazylii, Robercie – poinformował mnie Pinker.

Spojrzałem na niego z powątpiewaniem. Roześmiał się.

– Nie martw się. Tym razem nie chcę, żebyś zakładał plantację. Muszę tam zbadać pewne sprawy i potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać, kto potrafi obserwować i wyciągać wnioski.

Chciał, żebym się przyjrzał, jak wygląda niszczenie kawy, i bym się upewnił, że naprawdę nic się za tym nie kryje.

– Och, w teorii brzmi to sensownie. Zmniejszając podaż, kontrolujesz popyt. Ale wydać dekret rządowy to jedno, a wyegzekwować jego realizację to zupełnie inna sprawa. Ci, którzy mają to przeprowadzać, będą zawsze rozdarci konfliktem interesów. Dla każdego plantatora spalić kawę to jak spalić pieniądze. Znam tych ludzi, Robercie, i wiem, że ich bezinteresowność rzadko wykracza poza granice konieczności.

Nie mogłem odmówić. Z Liverpoolu odpływał statek do Sao Paulo, który płynął szesnaście dni. Zarezerwowałem bilet.

Ta podróż była zupełnie inna niż tamta do Afryki. Przede wszystkim na pokładzie nie było misjonarzy; żadnych kazań o potrzebie zachowywania pozorów czy rozjaśniania ciemności. Moi współpasażerowie znaleźli

się na statku także z powodu kawy. W taki bądź inny sposób wszyscy byliśmy związani z handlem, to znaczy z jego jedyną gałęzią znaną w Ameryce Południowej.

Nie mówiłem nikomu, że moja wyprawa ma jeszcze jeden powód. Przed wyjazdem Pinker powierzył mi list, który miałem doręczyć do rąk własnych.

– Nie sekretarzowi, nie brygadziście, nawet nikomu z rodziny. Przekaż mu list bezpośrednio i jeśli to tylko będzie możliwe, zostań przy nim, gdy będzie go czytał. Chcę, żebyś mi opisał jego reakcję.

Podał mi zapieczętowaną kopertę; zaskoczyło mnie nazwisko adresata:

Sir William Howell

– Nikomu innemu, Robercie – powtórzył. – Przekaż to sir Williamowi do rąk własnych i nikomu o tym nie mów.

* * *

Sao Paolo nie przypominało żadnego ze znanych mi miejsc. To miasto miało w sobie niezwykłą energię – ze wszystkich stron rosły nowe budynki, pałace z kamienia i marmuru wznoszone przez bosych robotników w łachmanach, stawiających rusztowania z patyków. Tak mogłaby wyglądać Afryka, pomyślałem, lecz w zasadzie w to nie wierzyłem; nie potrafiłem sobie wyobrazić takich ambitnych, niespokojnych, ożywiających działań na dzikim afrykańskim kontynencie.

Pinker dał mi listy polecające do ministra rolnictwa, który natychmiast zaproponował, że umożliwi mi obserwację niszczenia kawy. Zabrał mnie do doków w Santos, gdzie ładowano worki na długi sznur barek.

– Wszystkie zostaną wrzucone do morza – oznajmił mój przewodnik, wskazując ładunek – i tyle samo w przyszłym tygodniu i w następnym. Jak pan widzi, są tu uzbrojeni strażnicy, żeby nikt się nie częstował.

– Mogę zajrzeć do worków? – zapytałem.

– Jeśli pan chce.

Przeszedłem obok strażników do sterty worków i rozwiązałem jeden z nich. Powąchałem. Ziarna nie były palone ani mielone, lecz bez wątpienia była to brazylijska arabika, ta sama, którą tonami eksportowano do San Francisco i Amsterdamu. Dla pewności nabrałem garść i roztarłem w palcach, później podszedłem do innego worka, by sprawdzić, czy zawartość jest ta sama.

– I co? Jest pan zadowolony? – zapytał mój przewodnik z nutą irytacji w głosie.

– Jestem.

– To dobrze. I proszę powiedzieć swojemu pracodawcy, że gdy brazylijski rząd mówi, że coś robi, robi to.

* * *

Pinker pozostawił mojej decyzji sposób dotarcia do

sir Williama. Po namyśle postanowiłem, że po prostu do niego napiszę i poinformuję, iż mam dla niego wiadomość. Podałem swój adres w hotelu, lecz zaznaczyłem, że nim ten list do niego dotrze, zapewne będę już w drodze.

Od wybrzeża w góry prowadziły tory kolejowe. Tędy sprowadzano kawę na eksport. Pociąg ciągnęła amerykańska lokomotywa – najnowszy model z trójkątnym pługiem z przodu. Przez trzy dni pokonywaliśmy bezkresne doliny i niezliczone wzgórza. Nadzwyczajne jednak było to, że przez cały ten czas widok za oknem w ogóle się nie zmieniał. Każda góra w tym kraju, każda dolina, każda panorama była taka sama. Jak okiem sięgnąć, widać było jedynie błyszczące ciemnozielone rzędy kawowców, niczym rowki na płycie gramofonowej. Krzewy były tak przycięte, że nie rosły wyżej, niż sięgał człowiek, tu i ówdzie między nimi poruszali się robotnicy, lecz w większości te rozległe pola były jak pustynia – pustynia kawy. Pierwotna bujna dżungla została zepchnięta do kilku wąwozów i innych niegościnnych zakątków niewartych trudu uprawy, a gleba im wyżej, tym bardziej stawała się ceglasto-czerwona, tak sucha drobnoziarnista, że przy najmniejszym podmuchu wiatru pył unosił się i wirował niczym tuman kolorowego dymu. Równiutkie rzędy krzewów ciągnęły się hen po horyzont, tak że mijając je pociągiem, miało się wrażenie dziwnej iluzji optycznej: chwilami zdawało się, że drżą, poruszają się, jakby w rytm wojskowych komend maszerowały w głąb ładu.

Gdy zatrzymaliśmy się, by uzupełnić zapasy węgla i wody, wdałem się w pogawędkę z maszynistą.

– To jeszcze nic – powiedział z papierosem w kąciку ust, wskazując ręką na ten jednolity, regularny krajobraz. – Tam, dokąd pan jedzie... do Dupont, tam dopiero jest *fazenda*. Pięć milionów drzewek. Niech pan tylko pomyśli! Ja mam dwadzieścia drzewek i uważam się za zamożnego człowieka. A co dopiero pięć milionów!

– Jak to możliwe, że maszynista uprawia kawę? – zapytałem zdumiony.

Roześmiał się.

– W Brazylii wszyscy uprawiają kawę. Z moich zarobków opłacam dzierżawę małego kawałka ziemi i uprawiam kukurydzę i kilka krzewów kawowych. Za połowę zysku kupuję kukurydzę, a za resztę dokupię ziemi i posadzę więcej drzewek. Tylko tak można coś zarobić.

– Nie martwi pana, że rząd niszczy zbiory?

– Przecież płacą rekompensaty, nie? Dla mnie to bez różnicy.

* * *

W końcu dotarliśmy do stacji na skraju plantacji Howella. Był tam niewielki peron, a po jego drugiej stronie czekał inny, mniejszy pociąg.

– Należy do Howella – powiedział maszynista. –
Widocznie przysłał go po pana.

Wsiadłem do luksusowego wagonu pulmanowskiego z szybami grawerowanymi jak w hotelach West Endu. Tragarze wnieśli moje bagaże do wagonu transportowego, rozległ się gwizdek i pociąg zaczął się toczyć pod górę.

Widok wciąż pozostawał ten sam – bezkresne pola równych rzędów. Jednakże obok upraw kawowych widać było inne ślady ludzkiej działalności. Były drogi przecinające pola, na nich traktory i wozy wzbijające tumany barwnego pyłu. Po terenie poruszały się grupki ludzi – prawdopodobnie pracownicy, lecz w przeciwieństwie do tych, których raz na jakiś czas widywałem w dolnych partiach gór, ci nosili bluzy robocze, każda grupa w innym kolorze, a brygadziści mieli na głowach białe bandany. W rowach irygacyjnych skrzyła się woda, od czasu do czasu mijaliśmy wielkie tarasy do suszenia umytych ziaren. Zastanawiałem się, jak proste plantacje, takie jak ta, którą próbowaliśmy z Hectorem założyć w Afryce, miałyby w ogóle konkurować z przedsiębiorstwem na taką skalę.

Pociąg wjechał na kolejną stację. Centralny plac otaczały magazyny i budynki biurowe. Tragarze już wynosili moje bagaże, więc ruszyłem za nimi w stronę długiej, niskiej posiadłości górującej nad tym majątkiem.

– Pan Wallis?

Człowiek, który wypowiedział te słowa, był drobny i ogorzały. Mimo upału miał na sobie kompletny strój

angielskiego urzędnika bankowego – wykrochmaloną koszulę, ciemny garnitur, binokle.

– Tak?

– Sir William polecił mi odebrać od pana wiadomość.

– Obawiam się, że moja wiadomość jest przeznaczona do rąk własnych sir Williama.

– Nie ma go tu.

– Więc będę musiał poczekać.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– To chyba nie będzie możliwe.

– Nie może go pan zapytać, czy mi zezwoli, skoro go tu nie ma, prawda? – odparłem wyniośle. – A zatem proszę gdzieś mnie umieścić do czasu jego przybycia.

– Ja się tym zajmę, Novelli – odezwał się ktoś obcesowym tonem.

Obróciłem się. W naszą stronę szedł młody mężczyzna. Był ubrany mniej oficjalnie niż mój rozmówca, lecz Novelli skinął posłusznie głową i odszedł.

– Jock Howell – przedstawił się przybyły. – Wyjaśni mi pan, co takiego pana tu sprowadza?

– Mam wiadomość dla pańskiego ojca.

– Chętnie mu przekażę.

Pokręciłem głową.

– Może mu pan powiedzieć, że to od Samuela Pinkera. Ale mogę mu to doręczyć jedynie do rąk własnych.

Młodzieniec zachmurzył się i odszedł. Mniej więcej pół godziny czekałem w miejscu, w którym mnie zostawił. Wreszcie wrócił.

– Proszę za mną.

Ruszyłem za nim do rezydencji. W holu – wyłożonym chłodnym marmurem, z zamkniętymi okiennicami chroniącymi przed wilgocią z zewnątrz – zapukał do drzwi.

– Wejść – rozległ się głos.

Rozpoznałem sir Williama Howella z wizerunku na każdej paczce kawy Howell's Planter's Premium. Był drobniejszy, niż sobie wyobrażałem, szczuplejszy, bardziej onieśmielający.

– Panie Wallis – powiedział – proszę zamknąć drzwi.

Obróciłem się, by to zrobić, i natrafiłem na jego syna, który najwyraźniej nie wiedział, po której stronie zamkniętych drzwi ma się znaleźć.

– Wezwę cię, gdy będę cię potrzebował – rzekł starszy mężczyzna obcesowo.

Gdy pozostaliśmy sami, sir William zlustrował mnie uważnie.

– Sądzę, że nie przebył pan takiej drogi tylko po to, żeby zobaczyć, jak wygląda prawdziwa plantacja – oświadczył chłodno. – Zresztą w pańskim przypadku chyba już na to za późno.

Widocznie wiedział o mojej nieudanej próbie zo-

stania plantatorem.

– Mam dla pana list.– Od pana Pinkera z Narrow Street? – Wyglądał na rozbawionego.

– Tak.

Wyciągnął rękę, a ja podałem mu list. Sięgnął na biurko po nożyk, rozciął kopertę i wyjął jej zawartość – dwie strony zapisane starannym pismem Pinkera.

Przeczytał raz i chrząknął, moim zdaniem ze zdziwieniem. Następnie spojrzął na mnie i przeczytał jeszcze raz. Tym razem wyglądał tak, jakby uważniej analizował treść wiadomości.

Odłożył list i wyjrzał za okno. Mój wzrok powędrował w tę samą stronę. Zobaczyłem rozległą przestrzeń plantacji: dwadzieścia, może trzydzieści mil.

– Pan naprawdę nie zna treści tego listu?

Zapewne Pinker o tym pisał.

– Nie mam o niczym pojęcia – potwierdziłem.

– Jaki to człowiek? – zapytał nagle. – Ten Pinker.

– Jest inteligentny – odparłem – ale to szczególny rodzaj inteligencji. Lubi marzyć... rozważać możliwości, których inni nie dostrzegają. I zwykle okazuje się, że miał rację.

Howell powoli kiwał głową.

– Niech pan zostanie kilka dni. Jock oprowadzi pana po terenie. Moja odpowiedź wymaga namysłu.

* * *

Dotrzymali słowa. Przez trzy dni mogłem obserwować działalność przedsiębiorstwa z różnych stron, od olbrzymich rozsadników, które zajmowały ponad sto akrów, przez ogromne szopy, w których owoce były oczyszczane i poddawane obróbce, po ziarna. Nawet tarasy, na których rozkładano ziarna do suszenia w słońcu, były betonowe, żeby pył nie zabarwił końcowego produktu. Między nimi przechadzali się bosonozdzy, ociekający potem mężczyźni, którzy obracali ziarna wielkimi grabiami.

Na plantacji zatrudniano dwa rodzaje robotników: Murzynów Włochów. Murzyni byli dawnymi niewolnikami, powiedział mi Jock, ale od abolicji firma zatrudniała już tylko imigrantów z Włoch. Włosi pracowali lepiej, jak twierdził; częściowo dlatego, że musieli spłacać koszty dojazdu, a częściowo dlatego, że wywodzili się z lepszej nacji – przez co rozumiał, jak się domyśliłem, że kolor ich skóry był bliższy jego własnemu.

– Co się stało z Murzynami, których zastąpili? – zapytałem.

Wzruszył ramionami. Zrozumiałem: skoro nie byli już niewolnikami, nie interesowali go.

Robotnicy mieszkali w specjalnie do tego celu zbudowanych wioskach zwanych *colonos*. W każdej takiej osadzie znajdowała się piekarnia i sklep, gdzie mogli wydawać swoje zarobki. Była nawet szkoła, w której

uczono dzieci liczyć – rachunki, jak zapewnił mnie Jock Howell, są najbardziej użyteczną umiejętnością robotnika rolnego. Wszystkie dzieci, niezależnie od wieku, były zwalniane ze szkoły, gdy ich rodzice mieli dyżur przy zrywaniu, bo owoce rosnące najniżej, te w zasięgu ich małych rączek, zwyczajowo pozostawiano właśnie dla nich. Zrywanie przeciągało się długo w noc. Niejeden raz widziałem rodziny wracające do swoich wiosek po ciemku, z koszami zerwanej kawy na głowach, z małymi dziećmi sennie wspierającymi się na biodrach matek.

– Dużo tu dzieci – zauważyłem.

– Oczywiście. Mój ojciec zawsze wspierał rodziny.

– Lubi dzieci?

Jock spojrzał na mnie z ukosa.

– Można to tak ująć. Te dzieci to nasi przyszli robotnicy. A dla robotników nie ma większej zachęty do pracy niż głodne gęby do wykarmienia.

– A jeśli nie są w stanie ich wykarmić?

– Nikomu nie pozwalamy głodować – zapewnił. – Robotnik może zawsze dostać zaliczkę na koszt przyszłych zarobków rodziny.

Przypomniał mi się Pinker i jego transakcje przenoszone W czasie.

– Jak spłacane są długi?

– Przez same dzieci, jeśli to konieczne, z ich zarobków.

– Czyli dziedziczą długi swoich rodziców? I zaczynają pracować obciążeni zadłużeniem?

– To lepsze niż niewolnictwo. A robotnicy wyglądają na zadowolonych. Niech pan sam spojrzy.

Rzeczywiście robotnicy wydawali się zadowoleni, chociaż zauważyłem, że wszędzie, gdzie udawaliśmy się z Jockiem, towarzyszyli nam *capangas*, strażnicy ze strzelbami i maczetami.

* * *

Wśród służby w gospodarstwie domowym było kilka białych kobiet. Wyraziłem zdumienie, że zgodziły się pracować tak daleko od najbliższego miasta.

Jock zmarszczył brwi.

– One nie są białe, Robercie. Są czarne.

– Ależ... wyraźnie widziałem białą twarz w kuchni, gdy przechodziliśmy dziś rano...

– To Hettie. Oczywiście nie jest biała. Jest *Mustifmo*.

To określenie nic mi nie mówiło, więc mi wyjaśnił. Dziecko będące owocem połączenia rasy białej i czarnej to Mulat, potomek białego i Mulata to *Kwadrún*, dziecko białego i *Kwadrúna* to *Masti* i tak dalej... *Mustifin*, *Kwintrún* i *Oktarún*.

– Ale skąd... – zacząłem i ugryzłem się w język.

W Dupont była tylko jedna biała rodzina. Pytanie, które chciałem zadać, było zbyteczne.

* * *

– O, to może pana zainteresować – powiedział Jock, prowadząc mnie w stronę jednej z wielkich szop. Tutaj sortuje się kawę.

Wewnątrz niczym wąż ciągnął się długi stół. Do jego krawędzi była przymocowana otwarta skrzynia przypominająca koryto. Przy stole siedziało ponad sto włoskich dziewcząt, mniej więcej dziesięcio-, dwunastoletnich. Każda sięgała do skrzyni, wyciągała garść zielonych ziaren i rozkładała je przed sobą. Następnie oglądała je, wybierała zepsute i odrzucała do skrzyni za sobą, jednocześnie przesuwając te dobre po blacie, tak że wpadały przez specjalny otwór do worka umieszczonego pod stołem. W większości były to bardzo ładne dziewczyny, z lśniąco czarnymi oczami i smagłą skórą. Gdy weszliśmy z Jockiem do szopy, podniosły głowy. Ukryły białe różowe palce stóp w workach, i wydało mi się, że choć nie przerywają pracy, są świadome znaczenia naszych spojrzeń.

– Każda z nich z chęcią przyciągnęłaby twój wzrok – mruknął mi do ucha. – Gdybyś miał ochotę...

* * *

Miałem ochotę i to całkiem szybko, jak się okazało. Mimo że starałem się ze wszystkich sił cieszyć obecno-

ścią pięknej ciemnoskórej partnerki, nie potrafiłem pozbyć się wspomnień o Fikre wijącej się w udawanej ekstazie. Dręczyło mnie też poczucie, że cokolwiek bym robił, widziała to także Emily – chłodno i sardonicznie komentująca: *a więc to tak się zabawiasz ze swoimi dziwkami i konkubinami.*

* * *

Wieczorem sir William z żoną jedli z nami obiad. Stół był suto zastawiony, służba bez uniformów gotowa w każdej chwili napełniać kryształowe kielichy z monogramem Howella, elegancką literą H, podczas gdy sir William mówił o problemach, z którymi boryka się jego kraj.

– Widzi pan to jedzenie, Wallis? – Wskazał przygotowane potrawy. – Niewiele z tego pochodzi z Brazylii. Co się tyczy naszych robotników, to żywność dla nich przybywa na statkach.

– I oczywiście to słuszne – dodał jego syn. – Statki z kawą w drodze powrotnej mogą też przewozić zboże.

– I tak ten kraj coraz bardziej uzależnia się od kawy. – oznajmił starszy Howell. – Każdy wieśniak uprawia kilka krzaków. Jeśli mamy nadprodukcję, to nie dlatego, że istnieją takie wydajne plantacje jak nasza, tylko przez tych wszystkich drobnych, nic nieznaczących producentów, których chroni przed konkurencją program waloryzacji. – Odłożył widelec. – W zasadzie to może on

ma rację. Może musimy zniszczyć to, co słabe, zanim zbudujemy to, co mocne.

Nie musiałem pytać, kim jest „on”.

* * *

Przy jakiejś okazji Howell powiedział:

– Wie pan, Wallis, należałem do tych, którzy popierali tutaj zniesienie niewolnictwa.

Wiedziałem o tym i nie omieszkałem mu tego powiedzieć.

– Niewolnictwo jest w zasadzie nieefektywną metodą prowadzenia plantacji... to niemal tak, jakby pracować z mułami albo osłami. Obecny system jest dużo tańszy.

– Jak to możliwe?

– Każdy niewolnik oznacza zamrożenie kapitału. Trzeba go karmić, gdy jest chory, płacić komuś, kto będzie go bił, żeby pracował, karmić jego dzieci, zanim będą na tyle duże, by mieć z nich pożytek... Abolicja to wielka zmiana i dlatego wielu się jej sprzeciwiało, lecz okazało się, że to najlepsza rzecz, jakiej kiedykolwiek dokonała Brazylia. – Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swój talerz. – Pański pracodawca, jak mi się zdaje, rozumie, na czym polega zmiana.

– Istotnie – przyznałem – to coś, co go żywo interesuje.

Sir William bębnił palcami po stole.

– Jutro napiszę odpowiedź. Przed południem może pan wyjechać. Każę Novellemu zorganizować pociąg.

* * *

Następnego dnia Howell wręczył mi kopertę zaadresowaną do Samuela Pinkera.

– Wie pan, co z tym zrobić.

– Tak – odparłem.

– I jeszcze coś... Pokazano panu, jak mniemam, kawę, której powiedziano, że wrzucają ją do morza? – Pokiwałem głową. – Powinien pan wiedzieć, że nasz rząd jest zbyt skorumpowany i zbyt zachłanny, żeby niszczyć cokolwiek, co ma wartość pieniężną. Niech pan się dokładniej przyjrzy i przekaże rezultaty swoich obserwacji panu Pinkerowi.

* * *

Po powrocie do Sao Paulo udałem się do doków, tym razem bez rządowego opiekuna, by zasięgnąć języka. Na ten wieczór zaplanowano kolejny konwój barek z kawą. Znalazłem rybaka z małą łódką i szczerze mu zapłaciłem za śledzenie barek.

Okolo dwóch mil dalej barki podpłynęły do frachtowca rozpoczął się ich wyładunek na większy statek.

Później frachtowiec odpłynął na południe, a barki wróciły do brzegu. Udało mi się na tyle zbliżyć do statku, żeby odczytać jego nazwę – *S/s Nastor* – i po powrocie na ląd zająłem się poszukiwaniem informacji na jego temat.

Statek był zarejestrowany w syndykacie przewoźników. Członkiem tego syndykatu, jak się wkrótce okazało, był syn ministra rolnictwa. Jeszcze ciekawsze było to, że statek płynął do Wielkiej Brytanii przez Arabię.

Dlaczego statek z kawą miałby płynąć od jednego producenta kawy do drugiego? Potrafiłem to wyjaśnić tylko w jeden sposób.

* * *

Zatelefonowałem do Jenksa, który prześledził trasę towaru przewożonego podczas jednego z poprzednich rejsów *Nastora*. Tak jak podejrzewałem: worki były oznakowane jako mokka, lecz ich zawartość pochodziła z Brazylii. *S/s Nastor* przewoził ziarna do Arabii, gdzie po krótkim postoju były przeładowywane wysyłane do Wielkiej Brytanii. Sprzedawano je po cenie niskiej jak na mokkę, ale dość wysokiej jak na kawę brazylijską.

Gdy wróciłem do Anglii, Pinker triumfował. Po raz kolejny instynkt go nie zawiódł.

– Musisz to opowiedzieć światu, Robercie. Masz znajomych w redakcjach, zjedz lunch z kilkoma i niech się dowiedzą, jak brazylijski rząd dotrzymuje obietnic.

Ale zrób to delikatnie... żeby nie wyglądało na informację pochodzącą od nas, bo będzie się mówić, że mamy w tym interes, a nie możemy pozwolić, by cynizm przeszkodził prawdzie.

Zrobiłem to, o co prosił, i gdy ukazały się artykuły krytykujące program waloryzacji, twierdził, że jest usatysfakcjonowany. Rynek się chwiał, a my jak najlepiej wykorzystywaliśmy te fluktuacje.

Widziałem jednak, że tym, co najbardziej ucieszyło Pinkera, był list od Howella. Nie znałem jego treści, lecz najwyraźniej była po jego myśli.

– Osiągnąłeś, Robercie, dokładnie to, na co liczyłem – oświadczył. – Howell zacząłby coś podejrzewać, gdybym mu posłał jakiegoś złotoustego ambasadora. Powiedziałeś mu prawdę i to go przekonało.

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

Jeżeli kawa nabrała nienaturalnego koloru bądź zapachu, jej nieprzyjemna woń daje się wyczuć w aromacie świeżo zaparzonego napoju.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Podczas mojego pobytu w Brazylii sufrażystki zmieniły taktykę i teraz zakłócały publiczne wystąpienia polityków.

Ukrywały transparenty pod płaszcami – szybko się nauczyły, że trzeba mieć dwa lub trzy, gdyż transparenty padały ofiarą agresji jako pierwsze – i siadały w różnych miejscach sali, nigdy w grupie. Jedna z nich wstawała i wykrzykiwała pytanie, rozwijając swój transparent. Gdy porządkowi usuwali ją z sali, zrywała się inna w innym miejscu i wszystko się powtarzało.

Towarzyszyłem Emily w jednej z takich imprez, na której miała zakłócić wystąpienie jednego z ministrów. Może ktoś go ostrzegł, że coś takiego się zdarzy. W każdym razie czekaliśmy pół godziny, by w końcu usłyszeć z ust rzecznika, że *Wielkiego Człowieka* zatrzymały sprawy wagi państwowej i jego miejsce zajmie parlamentarzysta Arthur Brewer.

Spojrzałem na Emily. Zbladła.

– Nie musisz nic robić – szepnąłem. – Wystarczy, że

inne zrobią, co do nich należy.

Potrząsnęła głową.

– Co to za zasady, jeśli się z nich rezygnuje przy pierwszych trudnościach. Pozostałe będą na mnie liczyć.

* * *

Rozpoczęła się debata. Arthur był dobrym mówcą – jako pisarz zauważyłem i doceniłem zgrabne wyrażenia, sposób, w jaki zadawał pytania i natychmiast sam sobie na nie odpowiadał, to, jak budował napięcie, raz – dwa – trzy, wszystkie stosowane sztuczki. Mówił o wolności i bezpieczeństwie oraz o zachowaniu równowagi między nimi; o tym, że ciężko zdobytych swobód nie wolno odrzucać i że najważniejszą powinnością zwolenników wolności jest wobec tego obrona...

Po mojej prawej stronie zerwała się drobna postać w eleganckiej zielonej sukni. Molly Allen, nieustraszona jak zawsze.

– Skoro tak szanujecie wolność – powiedziała wysokim, donośnym głosem – to nie zapewnijcie jej tylko mężczyznom. – Wyciągnęła transparent i pomachała: „Prawa wyborcze dla kobiet!”.

Podniósł się zgiełk. Natychmiast w jej stronę zaczęli się przepychać trzej strażnicy. Specjalnie usadowiła się w środku rzędu. Siedzący za nią pastor ze złością wyrwał jej transparent z ręki.

– Może go pan przekazać dalej – rzuciła, rozwijając następny. – Mam więcej, gdyby ktoś chciał. – Wtedy z obu stron dotarli do niej strażnicy i zaczęli ciągnąć każdy do siebie.

Arthur przyglądał się temu z rozbawieniem i pobłażliwością.

– Ale jak już mówiłem...

Teraz wstała Geraldine Manners. Geraldine była delikatna, pełna werwy, około pięćdziesiątki. To ona zwerbowała Emily do bojówek po zejściu na Regent Street.

– Niech pan odpowie! – krzyknęła. – Czy rząd liberałów da kobietom prawa wyborcze?

Strażnicy sunęli w kierunku tej nieszkodliwej drobnej kobiety z taką furją, jakby nacierała na nich z piłką do rugby. Ledwie starczyło jej czasu na rozwinięcie pierwszego transparentu, gdy zaczęli wyciągać ją na zewnątrz.

Nie zakłóciło to spokoju Arthura. Musiałem przyznać, że miał stalowe nerwy. Wyglądał na nieporuszonego, ale był to efekt determinacji. Jak tylko gwar ucichł, podniósł rękę i powiedział:

– Ta pani musiała nas szybko opuścić – śmiech – lecz odpowiem na jej pytanie. Odpowiedź brzmi: „Nie”. – Głośny śmiech. – A teraz wróćmy do prawdziwie istotnej sprawy, która zapewne zainteresuje wielu na tej sali: zatrudnienie...

Z tyłu usłyszałem głos Edwiny Cole.

– Dlaczego pobieracie od kobiet podatki, skoro nie pozwalacie im głosować? – Poczekała, aż wszyscy zwrócą na nią wzrok, i wtedy podniosła się z transparentem: „Głosy dla kobiet!”.

Strażnicy przeskakiwali przez krzesła, by dobiec do niej jak najprędzej.

– Okaż szacunek swojemu reprezentantowi w parlamencie! – krzyknął jakiś mężczyzna.

– On nie jest moim reprezentantem – odparła. – Jestem kobietą, nikt mnie nie reprezentuje.

Kilka osób zareagowało śmiechem, inni skrzywili się na taki brak manier. Potem ją odciągnięto. Usłyszałem syk bólu – chyba ktoś ją uderzył.

Emily wciąż była trupioblada.

– Nie musisz – szepnąłem.

Nie spojrzała na mnie ani nie odpowiedziała. Podniosła się. Drżała, trzęsła się jak osika. Rozłożyła transparent.

Przez długą chwilę myślałem, że zaniemówiła.

– A co z kobietami?! – krzyknęła. – Czemu nie daje się nam praw wyborczych?

Brewer popatrzył na nią i uśmiech zamarł mu na ustach. Kolejni strażnicy, ci, którym nie udało się dotrzeć do Edwiny Cole, rzucili się w naszą stronę.

– Bardzo dobrze – powiedział Arthur. – Jestem zwolennikiem wolności słowa, więc odpowiem na to pytanie. – Rozległy się oklaski i wśród nich pojedyncze

buczenia. Strażnicy nie przestawali przepychać się przez tłum.

Arthur wsunął kciuk w kieszonkę kamizelki.

– Droga pani, pańskie przyjaciółki oddały nam dzisiaj wielką przysługę – rzekł z pogardą. – Pokazały, dużo lepiej niż ja bym to zrobił, jak niebezpieczne byłoby przyznanie praw wyborczych tego rodzaju osobom... osobom, które będą bezmyślnie nadużywać demokratycznych zasad. – Publiczność nagrodziła te słowa oklaskami i wiwatami. – Przypomniały nam, że kobiety, które są zdolne do takich zachowań, aby zdobyć prawa wyborcze, będą stosować podobne metody dla osiągnięcia innych celów politycznych. Ktoś, kto nie zachowuje się jak obywatel, nie może oczekiwać praw obywatelskich.

Znowu oklaski, poprzez które ledwie przebijał się głos Emily:

– Nasze metody zawiodły! I właśnie dlatego...

Brewer już się rozkręcił i widownia słuchała tylko jego.

– To, że stosują historyczne metody, by osiągnąć cele, to nie wszystko. Gdyby im się udało, weszłyby na stałe do naszego życia politycznego. Chcą praw wyborczych dla kobiet, lecz by je zdobyć, są gotowe przestać być kobietami. Jak to o nich świadczy? Jaki przykład dają swoim dzieciom? Jakie przesłanie ślą naszym wrogom za granicami?

Tym sposobem znowu znalazł się w miejscu,

w którym chciał się znaleźć. Zebrani witali jego słowa owacją na stojąco dokładnie w chwili, gdy strażnicy brutalnie złapali jego żonę.

– Proszę mnie puścić! – krzyczała, a oni pchali ją i szarpali w przejściu, nie mając zamiaru ustąpić.

Jej transparent pozostał na siedzeniu. Nie zastanawiałem się ani chwili. Podniosłem się z fotela. Oczywiście nikt nie zwrócił na mnie uwagi – wszyscy stali, oklaskując wspaniałego obrońcę naszych swobód, a mężczyznę w tym męskim tłumie trudno było zauważyć.

– Prawo wyborcze dla kobiet! – krzyknąłem, by zwrócić na siebie uwagę, a gdy na chwilę harmider ustał, dodałem: – Jak to świadczy o pańskim małżeństwie, Brewer, że pańska własna żona jest bojowniczką?

Zaległa cisza. Ludzie przerzucali wzrok z jednego z nas na drugiego. Przez chwilę wydawało mi się, że Brewer nie wie, jak odpowiedzieć. Wreszcie powoli przemówił:

– Poświęciłem już tej sprawie dużo więcej czasu, niż to warte. Czy mamy rozmawiać o kobietach, czy o pracy?

– Ktoś krzyknął: „Praca!”, lecz wtedy byłem już wyprowadzany z sali przez strażników, którzy nie omieszkali przy okazji obdarzyć mnie kilkoma silnymi kopniakami w nerki.

* * *

Tego wieczoru musiała się z nim zmierzyć. W tamtych czasach takie chwile nazywaliśmy *mauvais quart d'heure*. On – pan na włościach – zasiadł w salonie, obłożył się papierami czekał na nią.

Ona po powrocie zajęła się przeglądaniem listów. Wyglądał na spokojnego, ale wiedziała, że w jego przypadku to wcale nie świadczy o prawdziwym stanie ducha.

W końcu się odezwał:

– Zaskoczyła mnie twoja obecność na tym spotkaniu.

Zaczerpnęła tchu. Czyli będą o tym rozmawiać. Zaraz mu powie, czemu to zrobiła, dlaczego nie przestanie się tym zajmować. To było trudne, jeszcze trudniejsze niż zebranie po południu. Dla kobiety wstać i krzyknąć hasło w tłum to jedno, ale sprzeciwić się mężowi w jego własnym domu – to nie do pomyślenia.

Dostosowała nawet swój głos do jego tembru.

– Chyba już wcześniej znałeś moje poglądy polityczne.

– Wiedziałem, że masz skłonność do ekstremizmu. Ale nie miałem pojęcia, że jesteś zaangażowana w ataki na demokrację.

– To nie jest demokracja. Demokracja to przyznanie równych praw wszystkim obywatelom, a nie tylko męskiej połowie...

– Proszę – wtrącił zjadliwie. – Oboje mamy już za sobą dzisiejsze przemówienia.

Przygryzła wargi.

Mówił dalej:

– Zapominasz, że kiedy się tak zachowujesz, nurzasz w błocie moje nazwisko.

– Nie sędzę...

– Po pierwsze, dlatego że teraznosisz moje nazwisko... jako pani Brewer jesteś odpowiedzialna za reputację tej rodziny. A po drugie, twoje działania jako mojej żony odbijają się na mnie. Jeżeli publicznie będziesz mnie atakować, ludzie pomyślą, że źle cię traktuję w domu.

– To niedorzeczne.

– Tak? Nie było cię tam już chyba, gdy twój przyjaciel Wallis podniósł tę kwestię przed kilkuset wyborcami.

– Robert nie miał prawa tego robić – mruknęła. – Nie prosiłam go o to.

– Może nie masz nad nim takiej władzy, jak myślisz. Tacy ludzie wykorzystają waszą organizację do własnych celów. Tak jak on wykorzystał ciebie.

– Ależ, Arthurze, nie rozumiesz. Nas nic nie łączy.

– No, teraz to nie ma większego znaczenia. Emily, podjąłem pewne decyzje w tej sprawie. Postanowiłem, że musisz zerwać z Wallisem. I musisz zerwać z ruchem walki o prawa wyborcze kobiet.

- Co znaczy zerwać?
 - Dokładnie to, co znaczy. Masz się więcej nie angażować. W żaden sposób.
 - Arthurze, nie mogę się na to zgodzić.
 - Nie proszę cię już o zgodę. Nakazuję ci. Taka jest moja decyzja i jako twój mąż oczekuję, że się do niej dostosujesz.
 - A jeśli nie?
 - Jesteś moją żoną.
 - Ale nie traktujesz mnie jak żony. Traktujesz mnie jak służącą, nawet gorzej...
 - Mam ci przypomnieć treść przysięgi małżeńskiej...
 - O to chodzi?! – krzyknęła. – Jakbym złamała umowę sprzedaży i należy ci się rekompensata?
 - Co do mnie – powiedział cicho – każde słowo tej przysięgi mówiłem szczerze. Wypowiedziałem je przed Bogiem będę jej przestrzegał do dnia śmierci.
- Był tak szczery, że na chwilę straciła instynkt samozachowawczy.
- Nie czułam tego, gdy przemawiałeś do mnie w ten okropny sposób przed tamtymi ludźmi.
 - Nie ja wybrałem czas i miejsce – rzekł sztywno. – Poza tym próbowałem cię chronić.
 - Chronić!
- Gdybym nie zwrócił się do ciebie w taki sposób, strażnicy potraktowaliby cię dużo brutalniej. A tak mu-

sieli poczekać, aż skończę. Mieli czas ochłonać.

Nie była przekonana, czy mu wierzyć, czy to tylko typowe dla polityków przedstawianie zdarzeń w korzystnym dla nich świetle.

– W każdym razie – dodał – chcę jeszcze coś powiedzieć.

– Co takiego, Arthurze?

– To, co krzyknął Wallis... Zapytał, jak to świadczy o moim małżeństwie, że moja żona należy do bojówki. To było obraźliwe i osobiste... typowe dla tego człowieka. Ale zgadzam się, że mógł mieć rację. Nasze stosunki... Może nie interesuję się domem tak, jak powinienem.

Nagle zrozumiała, do czego to ma zmierzać.

– Doktor Mayhews uważa, że twoja histeria złagodnieje, kiedy wypełnisz zadanie, do którego powołała cię natura. Zauważyłem, że niewiele z tych walczących kobiet ma małe dzieci.

– To dlatego, że młode matki nie mogą zostawić dzieci...

– Niech i tak będzie – przerwał jej. – Postanowiłem, że najwyższy czas założyć rodzinę.

– Co?!

– Doktor Mayhews w pełni się ze mną zgadza. Chociaż jesteś wątpliwa, twierdzi, że często sama natura wzmacnia organizm kobiety w okresie ciąży. Uważa też, że ten stan korzystnie wpływa na psychikę.

– Czy to ma coś wspólnego z polityką? – zapytała przerażona. – Czy ktoś zdecydował, że twoja partia ma być prorodzinna?

– Wszystkie partie są prorodzinne. Rodziny zapewniają stabilność... o czym się zapewne przekonasz, gdy będziesz miała własną.

– Arthurze, teraz jestem zbyt zajęta, żeby mieć dzieci.

– Ale nie będziesz tak zajęta, bo zerwiesz z tym wszystkim – odparł logicznie. – Zaczniemy od razu.

– Co? Tutaj? Teraz? – pytała zrozpaczona.

– Nie musisz być wulgarna... Chyba mi nie odmówisz?

– Oczywiście, że nie – odparła beznamiętnie. – Przepraszam cię teraz, poproszę Annie, żeby przygotowała mi kąpiel.

– A ja niebawem przyjdę na górę. – Wskazał na rozłożone papiery. – Mam coś do skończenia, ale to nie potrwa długo.

* * *

O szczegółach tego, co było potem, nawet nie potrafię myśleć. W każdym razie ona nie rozmawiała o tym ze mną. Wszystko, czego się dowiedziałem, wymusnęło jej się tylko dlatego, że zarzucałem ją pytaniami o reakcję Arthura na tamtą potyczkę.

W końcu, z krótkim westchnieniem, które mogło uchodzić za uśmiech, powiedziała:

– Staramy się o dziecko.

– Poważnie?

– Arthur jest... bardzo poważny. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo... ale to nic. – Westchnęła. – Nie jestem pewna, czy chce mnie ukarać, czy naprawdę wierzy, że to mnie wyleczy ze Sprawy.

– Ale pozwolisz mu?

– Nie mam wyboru. Jak mi przypomniał, ślubowałam.

– Gdy ślubowałaś, nie miałaś wyboru. Ostatecznie nie można wzywać prawnika, by analizować treść przysięgi małżeńskiej punkt po punkcie.

– Nie. Może lepiej by było, gdyby się dało. Ale podejrzewam, że i tak pakowalibyśmy się w nie lada mętlik. Tak czy owak, to nie takie proste, jak się wydaje.

– Czemu? – zapytałem i dopiero wtedy zorientowałem się, do czego zmierza. – Chcesz mieć dziecko?

– Rodzinę. Tak. Dziwi cię to? Większość kobiet tego chce. A Arthur jako mój mąż jest jedyną osobą, która może mi to zapewnić. Przynajmniej do tego potrzebuję jego współpracy.

– Ale nie możesz być matką i aktywną bojowniczką jednocześnie.

Na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Znałem je już dobrze.

– Czemuż by nie?

– No, weźmy chociaż wczorajszy dzień, kiedy strażnicy cię stamtąd wyprowadzali. Załóżmy, że byłabyś w ciąży.

– Może gdybym była w ciąży, zrozumieliby brutalność swojego zachowania.

– A jeśli nie?

Jej oczy rozbłysły.

– Jeśli mężczyznom nie można ufać, to przede wszystkim nie mają prawa wyrzucać nas ze spotkań.

– W zasadzie masz rację, ale jaki będzie pożytek z twoich zasad, kiedy będziesz w szpitalu?

– Chcesz powiedzieć, że mój obowiązek wobec dzieci jest ważniejszy od moich przekonań?

– Ano... chyba tak.

– Odkąd to mówisz jak mój mąż? I kiedy przez tę twoją grubą samolubną czaszkę przedrze się do mózgu to, że zasady nie są czymś, co można wkładać i zdejmować jak... jak te twoje głupie marynarki.

– Właściwie mam teraz bardzo mało marynarek z powodu niskich zarobków, na które ciężko pracuję. Mój chlebodawca jest...

– Tak czy owak, to twoja wina – warknęła.

– Moja?

– To wszystko zaczęło się od tego, że znieważyłeś Arthura.

– Aha.

– Rzeczywiście aha. Tyle że mógłbyś okazać trochę żalu, biorąc pod uwagę cenę, jaką muszę zapłacić.

– Emily, tak mi przykro.

– Przykro! I co mi z tego?

Gdy była zła, potrafiła zachowywać się jak szalona.

– Nie powinienem tego mówić. Chciałem go wytrącić z równowagi... Ten widok, jak cię wloką, i to przy nim...

Westchnęła. Już innym tonem powiedziała:

– I muszę zerwać z tobą. Z tobą i ze Sprawą. Takie postawił żądania.

– Rozumiem. No tak, to *jest* poważne, rzekłbym nawet, że więcej niż poważne – mówiłem beztróska, choć serce mi się ścisnęło. – I co zrobisz?

– Nie mogę rzucić Sprawcy – odparła krótko, unikając mojego wzroku. – Mogłabym chyba rzucić ciebie, ale skoro ty i Sprawa to jedno i skoro już postanowiłam znaleźć się po drugiej stronie barykady, to chyba powinienem tu pozostać.

– Czy to znaczy...

– Nie. Nie znaczy.

– Skąd wiesz, o co chciałem zapytać?

– Bo ciągle pytasz o to samo. A odpowiedź zawsze brzmi „nie”.

* * *

Starcie z sufrażystami zaowocowało w jeszcze jeden sposób. Pewnego dnia pracowałem w kawiarni, gdy zjawił się niechlujny osobnik z notesem w ręku.

– Czy pan Robert Wallis? – zapytał.

– Tak.

– Henry Davis z „Daily Telegraph”. Poświęci mi pan pięć minut?

Rozmawialiśmy o Sprawie i jak zwykle interesowało go, w jaki sposób wśród aktywistek znalazł się mężczyzna.

– Rozumiem, że był pan wpłątany w zamieszki w Wigmore Hall.

– Tak, byłem tam.

Zajrzał do notesu.

– Czy to prawda, że zapytał pan Arthura Brewera o jego małżeństwo?

– Tak.

– I czy naprawdę wyrzucono stamtąd jego żonę?

– Naprawdę – odparłem.

Zapisał to w notesie.

– Wydrukuj pan to?

– Prawdopodobnie nie – przyznał. – Jest parlamentarzystą. Ale mam przyjaciół w różnych gazetach... przyjmą to bez większych oporów. Takie informacje

zwykle same się rozchodzą.

SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Dziennikarz miał rację. Nie w artykułach publicystycznych, lecz w kronikach towarzyskich, ilustracjach obrad parlamentu, komiksach pojawiała się bezimienna postać parlamentarzysty, który sprzeciwiał się prawom wyborczym dla kobiet, podczas gdy jego żona była sufrażystką. „Punch”, wcześniej tak chętnie ośmieszający sufrażystki, z równą ochotą obśmiewał establishment. Na jego łamach ukazał się zabawny komiks przedstawiający parę przy śniadaniu:

PARLAMENTARZYSTA: Czy mogę liczyć na sól, kochanie?

ŻONA PARLAMENTARZYSTY: Czy mogę liczyć na ustawę o prawach wyborczych kobiet?

Cóż, wtedy chyba było to zabawne.

Oczywiście Emily to nie bawiło. Pamiętałem jej słowa sprzed lat: małżeństwo to pewnego rodzaju zalegalizowana przemoc. O tym, przez co musiała przechodzić w tym okresie, mogę tylko powiedzieć, że nie sądzę, by Arthurowi Brewerowi sprawiało to większą przyjemność niż jej. Jestem pewien, iż traktował to jako swoją powinność, a nie sposób upokorzenia jej dla własnej przyjemności.

Nie opowiadała mi o tym. Raz czy dwa próbowałem

zapytać taktownie, czy widać już objawy ciąży, mimo że takim pytaniem narażałem się na gwałtowny atak z jej strony.

– Jesteś jak stara wieśniaczka, która ciągle gada o sprawach alkowy.

To jedna z jej najbardziej cenzuralnych reakcji.

SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM

Po publikacjach o statku *Nastor* Pinker zarobił więcej na Wahaniach cen kawy niż firma Castle w ciągu pół roku. Na Narrow Street panował nastrój cichego triumfu, ale też szoku – chyba wszystkich nas zaskoczyło to, jak niewiele wymaga nowy sposób pozyskiwania majątku. Nie trzeba do tego magazynów, sprzętu, tragarzy ani robotników do sortowania, czyszczenia palenia, wystarczy kilka podpisów na kontraktach. To był zysk bez kosztów; zysk, który wydawał się wprost wypływać z głowy Pinkera i zamieniać się w gotówkę w banku pod wpływem wyłącznie jego woli, bez żadnych pośredników.

Był szczodry dla swojego personelu: wszyscy dostali premie, zależnie od stażu pracy. Tacy jak Jenks, pracujący dla niego od wielu lat, stali się zamożnymi ludźmi.

Dla mnie również był uprzejmiejszy, niż musiał. Gdy wszedłem wezwany do jego gabinetu, zastałem go za biurkiem pełnym ksiąg rachunkowych.

– Ach, Robercie. Przeglądam te księgi i usuwam pewne nieprawidłowości. – Uśmiechnął się. – Cóż to za przyjemność móc wymazać stare błędy jednym ruchem ręki.

Skinałem głową, choć nie byłem pewien, o co mu chodzi.

– Mam zamiar umorzyć dług związany

z przedsiębiorstwem w Etiopii – wyjaśnił. – Czas zostawić to za sobą... Znowu patrzeć w przyszłość. Czysta karta, pusty arkusz czekający »a nowe przedsięwzięcia. – Odsunął księgi na bok. – Nie jesteś mi już nic winien.

– Dziękuję – powiedziałem – ale...

– Od tej pory będziesz otrzymywał takie samo wynagrodzenie jak Jenks i inni doświadczeni pracownicy. I tak jak oni będziesz dostawał premię w zależności od kondycji firmy.

– To bardzo szczodre, ale...

Uniósł rękę.

– Chcesz powiedzieć: „ale jestem artystą”. Tak. wiem. właśnie dlatego tak cię cenię i chcę, żebyś został. Niektórzy... – zacisnął wargi – niektórzy pracownicy nie potrafią spojrzeć szerzej. A może potrafią, ale nie widzą piękna tego obrazu. Jenks. Latham, Barlow... Czasem zastanawiam się. czy rzeczywiście mają dość wyobraźni, aby prowadzić taką firmę. Ty i ja. Robercie... my rozumiemy, że nie wystarczy mieć produkt. Trzeba jeszcze mieć *wizję*.

– Mówi pan o swoich ambicjach politycznych? Trzeźwość, zmiany społeczne i tak dalej?

Machnął ręką lekceważąco, jakby odganiał muchę.

– Częściowo. Ale to drobiazgi. Sztuka nie jest moralna ani niemoralna: istnieje sama dla siebie. To twoje słowa, prawda? No więc tak samo jest w handlu. Biznes dla biznesu! Czemu nie? Czemu przedsiębiorstwo nie miałoby po prostu *istnieć*, być dostrzegane, trwać

wiecznie, wprawiając ludzi w podziw, tym samym zmieniać sposób myślenia, pracy, życia... Zobaczysz to kiedyś. Robercie. Zobaczysz, jaka wielka będzie nasza firma.

Chyba czekał, aż coś powiem.

– Istotnie – rzuciłem uprzejmie.

– Nie wiem, czy rozumiesz. Proponuję ci stanowisko jednego z moich najbliższych współpracowników. Zwyczaj wymaga, byś odpowiedział „tak” lub „nie”.

Zawahałem się, ale w zasadzie nie miałem wyboru. Wciąż potrzebowałem pracy i nikt inny nie chciał mi jej zaproponować. Nie miałem złudzeń co do wspaniałych wizji Pinkera, w ogóle nie miałem wielu złudzeń. Ten człowiek był Napoleonem, ale diabelsko zdolnym i płacił hojnie.

– Zgadzam się z przyjemnością – powiedziałem.

– Dobrze. To więc mamy ustalone. I jeszcze jedno... dasz radę wyprowadzić się wkrótce z Castle Street? Będzie cię stać na lepsze mieszkanie. A słyszę, że moja córka niedługo będzie miała na głowie inne obowiązki.

* * *

Jeśli Pinker sądził, że nakłoni mnie do wyboru między nim a jego córką, to się mylił. Nie miałem zamiaru wyprowadzać się z Castle Street, dopóki mnie nikt nie zmuszał, ale i tak rzadko widywałem Emily.

W miarę jak walka sufrażystek coraz bardziej się nasilała, ich organizacja stawała się bardziej autokratyczna. Wcześniej miały statut i wybieralne władze. Teraz statut odrzucono. „Przywódcy mają rządzić, a szeregowi członkowie wypełniać ich rozkazy” napisała pani Pankhurst, ich przewodnicząca czy raczej „Głównowodząca Armią Suфраżystek”, jak siebie nazywała. „Nie ma przymusu wstępowania w nasze szeregi, ale ci, którzy przychodzą, muszą być żołnierzami gotowymi do walki”.

– Czy to nie przeczy temu wszystkiemu, w co wierzysz? – zapytałem Emily podczas jednego z naszych rzadkich spotkań przy kawie. – Jak organizacja może walczyć o demokrację, zakazując demokracji we własnych szeregach?

– Liczy się rezultat, nie metody. I jak słusznie ujęła to przewodnicząca, nikt nikogo nie zmusza, przyłączyłam się do nich z własnej woli.

Miałem wrażenie, że cele tego ruchu stawały się ważniejsze od wyznawanych zasad, ale w końcu co ja wiedziałem? Ponieważ nigdy nie zagłębiałem się ani w jedno, ani w drugie, nie mogłem wydawać sądów.

Emily kazano wykrzykiwać slogany pod adresem pewnego ministra – rozkaz wykonała. Kazano jej rozdawać ulotki w niektórych dzielnicach – rozdawała. Kazano jej przemawiać przed fabryką w dzielnicy East End – przemawiała, choć obrzucono ją za to zgniłymi jajkami.

Jedną z taktyk stosowanych przez ich przeciwników

było wypuszczanie szczurów lub kotów na scenę podczas przemówień sufrażystek, żeby sprowokować je do wrzasku i w ten sposób rozbawić publiczność. Byłem obecny w Exeter Hall, kiedy próbowano tego z Emily. Nie przerywając sobie, schyliła się i złapała biegającą mysz. Uniosła ją za ogon, żeby wszyscy mogli zobaczyć, i powiedziała:

– Ja też kiedyś byłem taką szarą myszką. Dzisiaj to Asquith ^[26] jest myszą. O, patrzcie! – wskazała na dużego szarego szczura biegnącego przez scenę. – Oto pan Churchill! – Za te słowa doczekała się owacji.

Kilka minut później zauważyłem, że się zatacza. W pierwszej chwili położyłem to na karb upału. W sali było ciasno; w tamtych czasach na wszystkich spotkaniach sale były wypchane po brzegi.

– Czy mogę prosić o szklanę wody?

Zrobiła się bardzo blada. Przyniesiono jej wodę. Biorąc szklanę, zachwiała się znowu i odrobinę cieczy wylała na sukienkę. Słyszałem, jak organizatorka mówi do niej z troską: „Wszystko w porządku?” i jej odpowiedź: „Trochę mi słabo”. Chwilę później zemdląła.

Wyprowadzono ją z sali. Pobiegnę do bocznego wyjścia. Siedziała na krześle, ktoś ją wachlował.

– To tylko upał – powiedziała, posyłając mi ostrzegawcze spojrzenie. – Tutaj jest bardzo duszno.

Nie odezwałem się. Oboje wiedzieliśmy, że jest przy nadziei.

* * *

– Przestaniesz?

– Nie mogę – pokręciła głową.

– Jeśli nie przestaniesz, wyrządzisz sobie krzywdę.

– Nonsens. Kobiety rodzą od wieków i muszą robić cięższe rzeczy niż wygłoszenie kilku przemówień. To wczesny etap i tyle. Podobno mdłości zwykle ustępują po kilku tygodniach.

– Powiedziałaś Arthurowi?

– Jeszcze nie. On i doktor Mayhews na pewno będą chcieli mnie hospitalizować. Więc na razie mam zamiar milczeć.

– Nie podoba mi się to.

– Nie mogę teraz przestać. Jesteśmy w decydującym momencie. Jeszcze jeden cios i wierzę, że ten rząd się rozpadnie.

Byłem innego zdania: Jeszcze jeden cios i ruch sufrażystek się wypali. Nie powiedziałem tego jednak.

Moja powściągliwość miała egoistyczne podłoże. Wiedziałem, że gdy jej stan wyjdzie na jaw, zmuszą ją do wycofania się z polityki. A gdy do tego dojdzie, wszystko się zmieni, a Castle Street zamkną. Kiedy Emily zostanie matką, będzie musiała też stać się żoną – taką, jaką chciał ją widzieć jej mąż.

* * *

Zabrałem swój świeżo zdobyty majątek do domu aukcyjnego Sotheby's, gdzie kupiłem piękne rysunki renesansowego mistrza, w tym jeden z głową włoskiej dziewczyny, która przypominała mi Fikre. Wymościłem pokoje na Castle Street tureckimi dywanami, ozdobiłem stół wyszukany srebrnym kandelabrem znowu zacząłem odwiedzać droższe działy domu towarowego Liberty. Miałem wrażenie, że moje życie stało się staceczne. Byłem handlarzem kawy, człowiekiem zatrudnionym, pracującym dla największego koncernu w Londynie. Sztuka i przyjemności miały być moją pociechą.

* * *

Zauważyłem, że reklamy Castle stały się w tym okresie bardziej mroczne. Obok uśmiechniętych uległych kobiet z wcześniejszych plakatów coraz częściej pojawiał się nowy typ żony – buntownicy, która dostała za swoje. Kobiety, które nie podawały mężom kawy Castle, przedstawiano jako strofowane, karczone, poniżane – na jednej z reklam niechciany płyn wylądował na głowie pani domu – przez mężów wymagających całkowitego posłuszeństwa w kwestii kawy i we wszystkim innym. Nowy slogan *Dom mężczyzny to jego Castle!* towarzyszył takim tekstom, jak: *Masz prawo do dobrej kawy: twoja żona ma obowiązek ci ją podawać. Nie bądź ofiarą kobiecego skąpstwa!* Jeden plakat pokazywał

nawet kobietę trzymającą transparent – najwyraźniej sufrażystkę wybierającą się na demonstrację – i opatrzony był napisem: *Mężczyźni, pokażcie, kto tu rządzi! Jeżeli ona nie podaje Castle Coffee, to na pewno nie ty!* Nie było wątpliwości, że kreślono strategię walki.

SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

„Gorycz” – ten smak uważa się za pożądany do pewnego stopnia.

International Coffee Organisation,
The Sensory Evaluation of Coffee

Zaczęto przygotowywać raporty o rocznych zbiorach w Brazylii. Na giełdzie pojawiły się niepokojące pogłoski – że liczby będą katastroficzne, że dane będą zaskakujące, że przymrozki, zaraza bądź polityka, bądź wojna będą miały wpływ na plony. W pewnym momencie wybuchła panika, gdy rozeszły się plotki, że prezydent Brazylii miał zawał serca cena wzrosła o dwa centy na worku, zmuszając Brazylijczyków do interwencji, zanim wykazano bezpodstawność tych informacji.

Pinker obserwował to z rozbawieniem.

– Denerwują się, Robercie. Handlarze wiedzą, że sytuacja jest bez wyjścia, po prostu czekają na znak, w którą stronę uciec. Wszystko może się przydać.

– Znajomi dziennikarze pytali mnie, czy rynek się zmieni.

– Naprawdę pytali? – Pinker się zastanawiał. – Powiedz im... powiedz im, że twoim zdaniem się załamię, ale na razie nie możesz ujawnić dlaczego. I jeszcze...

może im wyjaśnisz, jak się przyjmuje krótką pozycję na giełdzie.

– Ale jeśli to zrobię, nie będzie to dla nich zachęta do samodzielnego inwestowania? A co się stanie, jeśli się mylimy?

– Nie mylimy się. A poza tym nie zaszkodzi, gdy będą w tym mieli osobisty interes.

Coraz więcej czasu spędzał ze swoimi bankierami, ale teraz odbywał spotkania z jeszcze innym gatunkiem ludzi – młodymi mężczyznami w dobrze skrojonych garniturach w kratkę, z donośnymi głosami i dużą pewnością siebie. – Spekulanci – powiedział Jenks pogardliwie. – Rozpoznałem jednego, Walkera; mówią, że jego pozycja rośnie, zdaje się, że zajmuje się walutami.

– Co to znaczy?

Jenks wzruszył ramionami.

– Staruszek nam powie, gdy będzie chciał.

Pinker analizował też prognozy pogody i zgłębiał inne dziedziny wiedzy. Któregoś dnia znalazłem na jego biurku *Moore s Almanack*.^[27] Marginesy były pełne dziwnych znaczków, które wyglądały na symbole algebraiczne, ale równie dobrze mogły być astrologiczne.

* * *

– Musi się odbyć kolejny marsz – oświadczyła Emily. – Będzie największy z dotychczasowych. Orga-

nizują go wszystkie stowarzyszenia na rzecz praw wyborczych kobiet. Zwołują milion ludzi, żeby wypełnić ulice na całej trasie od Hyde Parku do Westminsteru.

– I podejrzewam, że chcesz iść pomimo swojego stanu.

– Oczywiście.

– Brak jednej osoby niczego nie zmieni.

– Gdyby wszyscy tak myśleli, nie powstałaby nasza Sprawa. Robercie, są kobiety, które dokonują niewiarygodnych poświęceń, żeby tam być. Służące, które ryzykują utratę pracy, żony, które narażają się na pobicie. Minimum, jakie mogę zrobić, to iść wraz z nimi.

– Pozwól mi iść zamiast ciebie.

– Co?!

– Jeśli zgodzisz się zostać bezpiecznie w domu, pójdę zamiast ciebie. A jeśli będziesz się upierać, żeby iść, nie pójdę. Więc liczba się nie zmieni.

– Naprawdę nie rozumiesz, dlaczego to wcale nie będzie to samo?

– Nie bardzo.

– Nie jesteśmy tylko żetonami do policzenia. Jesteśmy głosami, *ludźmi*, których trzeba wysłuchać – wpatrywała się we mnie zawiedziona. – No nie, Robercie, tak dłużej być nie może.

– To znaczy jak?

– Odkąd wróciłeś z Afryki, jesteś inny – powiedziała cicho.

– Dorosłem.

– Może. Ale bywasz też cyniczny i rozgoryczony. Co się stało z tym beztroskim pozerem, którego mój ojciec znalazł w Café Royal?

– Zakochał się – odparłem. – Dwa razy. I za każdym razem nie zauważył, że robi z siebie głupca.

Wstrzymała oddech.

– Może mój mąż ma rację. Może powinniśmy przestać się tak często widywać. To na pewno dla ciebie trudne.

– Nie mogę z ciebie zrezygnować – powiedziałem stanowczo. – Wyzwoliłem się z tej drugiej, ale z ciebie nie mogę. To straszne, ale nie mogę.

– Jeśli naprawdę tak cię unieszczęśliwiam, to powinienes odejść. – Jej głos dziwnie stwardniał. Spojrzałem na nią: w kąciku *oka* coś lśniło. – To pewnie przez dziecko – chlipnęła – robię się płaczliwa.

Widząc, jak płacze, nie mogłem się z nią spierać. Ale też nie mogłem tego tak zostawić. Sytuacja stawała się trudna.

* * *

Na Narrow Street zastałem tragarzy wynoszących worki z magazynu.

– Co się dzieje? – zwróciłem się do Jenksa.

– Wygląda na to, że wyprzedajemy zapasy – odparł

sucho.

– Co? Wszystkie? Dlaczego?

– Nie dostałem tej łaski, by udzielono mi informacji. Może tobie powie więcej.

– O, Robercie! – zawołał Pinker na mój widok. – Chodź, wyruszamy do Plymouth. Tylko ty i ja. Pociąg odjeżdża za godzinę.

– Dobrze. Ale czemu Plymouth?

– Mamy tam spotkanie. Nie martw się, wszystkiego się dowiesz we właściwym czasie.

* * *

Siedzieliśmy w pierwszej klasie, obserwując przesuwający się pejzaż za oknem. Pinker był dziwnie cichy. W tych dniach wygłaszał mniej spontanicznych przemówień, ale zauważyłem też, że ruch pociągu go uspokajał, jakby ta szaleńcza siła pędu w jakiś sposób łagodziła jego wewnętrzną żądzę działania.

Wyjąłem książkę.

– Co czytasz? – zapytał.

– Freuda. Dosyć ciekawe, chociaż czasami trudno się zorientować, do czego zmierza.

– O czym pisze?

– O snach, głównie. – I wtedy coś mnie podkusiło, żeby dodać: – A w tym rozdziale o ojcach i córkach.

Uśmiechnął się blado.

– Dziwne, że udało mu się to zmieścić w jednym rozdziale.

* * *

– Patrzę na te owce – odezwał się nieco później, wyglądając przez okno. – Jakie to dziwne: kiedy pociąg je mija, wpadają w panikę, ale zawsze biegną w tę samą stronę, w którą jedzie pociąg, chociaż logiczniejsze byłoby uciekać w przeciwną. Rozumiesz, uciekają z miejsca, w którym był pociąg, a nie biegną za pociągiem: nie uwzględniają jego ruchu.

– To tylko owce – powiedziałem, nie bardzo rozumując, o co mu chodzi.

– Wszyscy jesteśmy owcami, z wyjątkiem tych, którzy postanawiają, że nie chcą nimi być – wydało mi się, że słyszę, jak mruczy do szyby.

* * *

Chyba się zdrzemnąłem. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że patrzy na mnie.

– Za każdym razem, gdy kupujemy i sprzedajemy na giełdzie, osiągamy zysk – rzekł spokojnie, jakbyśmy kontynuowali rozmowę, której początek z jakichś powodów mi umknął. – Ale tu chodzi o coś więcej. Za każdym razem, gdy Brazylijczycy są zmuszani do in-

terwencji i skupowania kawy, muszą ją magazynować, a to kosztuje. Dlatego nasz zysk wywiera na nich większą presję. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragną, jest urodzaj. Nie stać ich na magazynowanie nadwyżek, bo już mają je z poprzednich lat. Mogłyby ich uratować przymrozki, ale przymrozków nic było. – Pokręcił głową. – Nie wierzę, że to przypadek. Naprawdę. Ale jak to nazwać? Czy jest jakieś dobre słowo?

Więcej się nie odezwał, więc wkrótce znowu zasnąłem.

* * *

W Buckley, na maleńkiej stacji w pobliżu Plymouth, czekał na nas samochód. Na drzwiach widniał mały monogram w kształcie litery H. Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie wcześniej go widziałem. Nagle mnie olśniło: ten sam wzór znajdował się na plantacji w Brazylii.

– To monogram Howella – zauważyłem zdumiony.

Pinker skinął głową.

– Jedziemy do jego domu w Anglii. Obaj uznaliśmy, że tam łatwiej zachować dyskrecję niż w Londynie.

* * *

Angielski dom Howella był elżbietańską posiadło-

ścią. Po obu stronach długiego podjazdu pasły się owce. Przez prześwity między drzewami widać było w oddali morze. Ogrodnicy przycinali żywopłoty, a napotkany leśniczy z terierem w kieszeni ze strzelbą pod pachą zdjął czapkę na powitanie, gdyśmy go mijali.

– Piękna posiadłość – zauważył Pinker. – Sir William ładnie się urządził.

– Myślał pan o nabyciu czegoś podobnego? – Nie musiałem pytać, czy byłoby go na to stać.

– To nie w moim guście. O! A oto i nasz gospodarz! Wyszedł nas powitać.

* * *

Spędzili wspólnie w salonie pół godziny, zanim mnie wezwali. Między nimi leżały papiery, które wyglądały na dokumenty prawne.

– Wejść, Robercie, zapraszamy. Sir William przygotował dla nas podarunek. – Pinker trzymał dużą kopertę. – Spójrz.

Wyjąłem kartki i przejrzałem. Z początku nie rozumiałem: wykaz obcych nazwisk z umieszczonymi obok cyframi i szereg sum na dole.

– To tegoroczne wyniki z pięćdziesięciu największych plantacji w Brazylii – wyjaśnił sir William.

– Jak pan je zdobył?

– Takiego pytania się nie zadaje – odpowiedział

z uśmiechem. – I oczywiście się na nie nie odpowiada.

Ponownie rzuciłem okiem na cyfry.

– Ale to więcej niż cała roczna produkcja Brazylii.

– Pięćdziesiąt milionów worków – potwierdził Pinker. – A rząd Brazylii utrzymuje, że tylko trzydzieści milionów.

– Co z resztą? Została zniszczona?

Sir William pokręcił głową.

– To sztuczka księgową, a raczej cała seria sztuczek. Stworzono fałszywe dane o stratach, zaniżono wyniki niektórych plantacji, zrobiono, co się da, żeby wyglądało, iż produkują mniej kawy niż w istocie.

Nie musiałem pytać, dlaczego ktoś miałby to robić.

– Gdyby giełda o tym wiedziała...

– No właśnie – podchwycił Pinker. – Robercie, chyba powinieneś się spotkać z kilkoma znajomymi dziennikarzami. To musi się odbyć w odpowiednim momencie... trzeba, żeby wiadomość zaczęła krążyć w przyszłym tygodniu. Ale nie wszystko naraz. Chcemy wzbudzić panikę, a inwestorzy zawsze bardziej panikują, gdy mniej wiedzą.

– Czy te dane są dokładne?

Howell wzruszył ramionami.

– Do naszych celów wystarczą... wytrzymają po bieżne analizy.

– Musisz tylko powiedzieć, że zbliża się wielki skandal – ciągnął Pinker – a wtedy, w środę, po wydaniu

oświadczenia Izby Gmin...

– Skąd wiecie, że wtedy Izba Gmin wyda oświadczenie?

– Bo wiem, kto je wyda i dlaczego. Ale to tylko początek. Komisja Przemysłu i Handlu zapowie zbadać sprawę, a Komisja do spraw Monopolu wezwie do zastosowania sankcji wobec Brazylii.

W głowie miałem mętlik,

– Komisja Przemysłu i Handlu... to działalność Arthura Brewera, czyż nie? I on jest przewodniczącym tej komisji.

Oczy Pinkera rozbłysły.

– Jaki pożytek z zięcia w rządzie, jeśli nie można się z nim podzielić informacjami o sprawach wagi państwowej? Ale nawet wtedy nie ujawnimy wszystkich danych. Musisz przekazać różne fragmenty dokumentu do różnych gazet, tak żeby nikt nie miał całości obrazu. Wszyscy będą snuć domysły, spekulować, a spekulacje będą napędzać kolejne...

– I rynki się załamają.

– Rynki uświadomią sobie prawdę: że były zbyt ufne. Brazylijczycy podadzą swoje dane w czwartek. A te ich liczby, tego możemy być pewni, okażą się kolejną fikcją, będą bardzo zaniżone. Ale tym razem ludzie to zauważą. – Założył nogę na nogę i rozparł się wygodnie. – Wreszcie nadszedł ten moment – powiedział cicho. – Siedem lat na to czekałem.

Był bardzo spokojny. Obaj byli spokojni. Wiedzia-

łem, że wszystko, co robił do tej pory – spekulacje, opanowanie nowych instrumentów finansowych, zbliżenie z Howellem, nawet wykorzystanie moich kontaktów w gazetach – wszystko to było podporządkowane jednemu celowi. To, co ja i rynki braliśmy za zmiany kierunku, w rzeczywistości było tylko nadzwyczajną, niezmaconą wytrwałością.

– Jeśli rynek się załamie – zwróciłem się do sir Williama – to pana zrukuje.

– Też tak myślałem – odparł cicho. – Jak każdy inny głupi producent na świecie sądziłem, że musimy podtrzymywać cenę kawy. Ale tak nie jest. To inni, mniej wydajni producenci, zostaną pogrążeni jako pierwsi. Gdy to się skończy i cena się ustabilizuje, moje plantacje wciąż będą przynosić zyski, może niewielką kwotę od akra, ale całkiem sporo, jeśli się spojrzy na całość. – Kiwnął głową w stronę Pinkera. – To pański pracodawca dokonał obliczeń.

– A więc to było w liście – powiedziałem. – Te obliczenia.

– Czemuż to wysiłki sir Williama miałyby służyć plantatorom, którzy odnoszą mniejsze sukcesy niż on? – zapytał Pinker.

Howell przytakiwał.

– Życie będzie dużo łatwiejsze, kiedy pozostaną tylko największe *fazendas*. Będziemy mogli prowadzić ze sobą interesy, a te pijawki z Sao Paulo, które wysysają naszą krew, mogą zacząć radzić sobie samodzielnie.

– Przyszłość to mniejsza liczba większych przedsiębiorstw – dorzucił Pinker. – Jestem o tym przekonany.

– A co z małymi producentami? Co z najmniejszymi? Przez dwadzieścia lat zachęcano ich do uprawy kawy, do rezygnowania z upraw, które mogły ich wyżywić, na rzecz tego, co mogą tylko sprzedawać. Muszą ich być miliony na świecie. Co się z nimi stanie?

Obaj mężczyźni spoglądali na mnie obojętnie.

– Będą głodować – dodałem. – Część z nich umrze.

– Robercie – odezwał się Pinker. – To jest... to jest ogromne przedsięwzięcie. Tak jak pokolenie naszych ojców, Brytyjczyków z wizją i inicjatywą, wyzwoliło niewolników spod jarzma tyranii, tak samo my dzisiaj mamy okazję wyzwolić rynki z pęt zagranicznej kontroli. Ci, o których mówisz, znajdą lepszy przedmiot upraw, wydajniejsze sposoby zarabiania. Przetrwają i będą się rozwijać. Wyzwoleni od sztucznych rynkowych ograniczeń zwrócą się ku nowym przedsiębiorstwom i inicjatywom. Niektóre upadną, ale część się na pewno rozrośnie i przysporzy swoim krajom takich majątków, jakich nigdy nie dorobili by się na kawie. Pamiętaj o Darwinie: ewolucja jest nieunikniona. A my, my trzej, obecni w tej sali, jesteśmy jej instrumentami, co przynosi nam zaszczyt.

– Kiedyś może bym przełknął ten nonsens – powiedziałem – ale dzisiaj już nie.

Pinker westchnął.

– Możesz zarobić fortunę, gdy dojdzie do korekty

rynku – rzekł oschle sir William. Zwróciłem uwagę na słowo „korekta”, które miało oznaczać słuszność tego, co chcą zrobić. – Zaledwie garstka osób na świecie wie to, co ty teraz. Gdybyś jutro przyjął krótką pozycję na rynku kawy...

Pinker rzucił w jego stronę ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie chodzi tylko o pieniądze. Pomyśl, Robercie, jaką szansę masz przed sobą. Wyobraź sobie szacunek, jakim będą cię darzyć w mieście! Sir William i ja jesteśmy już starzy, nasz czas wkrótce się skończy, a wtedy na pierwszy plan wysunie się nowe pokolenie. Czy nie chciałbyś być wśród nich? Masz do tego smykałkę, wiem o tym. Jesteś jak my dwaj: rozumiesz potrzebę odważnych ruchów, wielkich decyzji. Och, jesteś młody i czasami zagubiony, ale my będziemy ci służyć pomocą, będziemy cię wspierać, ale to ty będziesz podejmował własne decyzje, przeżywał własne przygody...

– Są jeszcze inwestorzy – zauważyłem. – Wszyscy ci, którzy zainwestowali swoje oszczędności w obligacje w branży kawy. Oni też wszystko tracą.

– Spekulacje pociągają za sobą ryzyko. W przeszłości czerpali pełnymi garściami z naszej pracy. – Pinker wzruszył ramionami. – Nie myślę o nich, tylko o tobie.

Patrzyli na mnie wyczekująco. Pomyślałem, że przypominają mi dwa stare psy z obnażonymi kłami, które tylko czekają, aż się obrócę i pokażę im kark.

Pomyślałem o Emily gotowej przeciwstawić się

mężowi, by zrobić to, co uważa za słuszne. Pomyślałem o Fikre, kupowanej i sprzedawanej niczym worek ziaren tylko dlatego, że urodziła się w takim miejscu i czasie. I pomyślałem o moich afrykańskich współziomkach – moim klanie – którzy zbierają owoce kawowców, garść po garści, w ciemnych lasach abisyńskich gór, tę kawę, która niebawem będzie niemal bezwartościowa.

– Nie mogę wam pomóc – odrzekłem.

– Nie możesz nas powstrzymać – rzucił sir William.

– Może nie. Ale nie będę w tym uczestniczył. –
Wstałem i wyszedłem.

SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Ruszyłem na stację pieszo długim eleganckim podjazdem, mijając pasące się owce, ogrodników i leśniczych – cały ten idylliczny obrazek angielskiej wsi, okupiony potem setek tysięcy wyrobników. Mój bilet powrotny pozostał u Pinkera, więc wróciłem do Londynu trzecią klasą, w towarzystwie mężczyzn palących tanie papierosy na brudnych siedzeniach, od których mój elegancki garnitur usmarował się sadzą.

* * *

Plan Pinkera był prosty. Mówiąc językiem giełdy, mój pracodawca przyjął krótką pozycję. Sprzedawał nie tylko kawę, którą miał, ale też tę, której nie miał – zawierał kontrakty na przyszłe dostawy, spodziewając się, że do tego czasu cena spadnie i będzie mógł kupić towar dużo taniej, niż zobowiązywał się go odsprzedać.

Jednakże krótka sprzedaż to nie zwykły zakład o to, w którą stronę przesunie się rynek. Gdy w grę wchodzi duże ilości towaru, już sama krótka sprzedaż tworzy nadmierną podaż, co z kolei wywiera wpływ na cenę. Taka nadwyżka podaży nie jest oczywiście prawdziwa – to raczej *spodziewana* nadmierna podaż. Ilość kawy na świecie się nie zwiększa, ale nagle jest więcej sprzedających niż kupujących, a handlarze, którzy przecież sami są winni pieniądze, robią, co w ich mocy, byle zamknąć

swoją pozycję, to znaczy zbilansować wyniki księgowe.

Gdyby takiej presji towarzyszyły inne czynniki – na przykład panika na rynku, kiedy przeciętni inwestorzy na gwałt pozbywają się akcji – nawet rząd nie byłby w stanie kupić tyle, żeby powstrzymać spadek ceny. Pinker doprowadziłby do bankructwa gospodarkę Brazylii i wszystkich innych krajów, których rządy były tak nierozsądne, by działać w ten sam sposób. A cena światowa – cena, po jakiej sprzedawano kawę od Australii po Amsterdam – spadłaby na łeb na szyję.

Nie miałem wątpliwości, że chodziło o coś więcej. Spekulanci rynków walutowych i inni finansiści odwiedzający Pinkera także byli w to wplątani: na pewno przygotowano derywaty, swapy, pożyczki i dźwignie finansowe, całą baterię współczesnych instrumentów finansowych do obsługi tego małego pola bitwy, ale w swojej istocie było to tak proste jak partia pokera. Pinker i jego wspólnicy będą sprzedawać kawę, której nie mają, a rząd brazylijski będzie skupować kawę, której nie potrzebuje. Zwycięży ten, kto dłużej utrzyma nerwy na wodzy.

* * *

Wróciłem do Castle Street, gdzie zastałem Emily przygotowującą transparent.

– Twój ojciec ma zamiar wywołać krach na rynku – oświadczyłem krótko. – Działa wspólnie z sir Willia-

mem Howellem. I z twoim mężem. Spiskują, żeby wywołać panikę na giełdzie. – Po co mieliby to robić? – zapytała spokojnie, nie przerywając związywania transparentu.

– Oni zbijają na tym majątki. Ale szczerze mówiąc, sądzę, że to tylko jedna z przyczyn. Twój ojciec ma obsesję zostawienia swojego śladu w historii i nie dba o to, jakie będą skutki, byle tylko udało mu się to osiągnąć. To stało się jego nałogiem. Nieważne, czy niszczy czy buduje, czy wyrządza dobro czy zło, zarabia czy traci pieniądze... nie sądzę, żeby cokolwiek miało dla niego znaczenie poza tym, że stoi za tym Pinker.

Odwróciła się w moją stronę.

– Jesteś niesprawiedliwy.

– Czyżby? Kiedy was poznałem, twierdził, że będzie walczył o trzeźwość. Jak to się ma do spekulowania cenami? Potem dużo mówił o Afryce i o tym, jak kawa przybliży dzikich do Boga... Kiedy ostatnio słyszałaś u niego takie słowa? To były tylko idee, które brał z powietrza i wyciskał z nich wszelką możliwą energię. Nigdy naprawdę nie wierzył w nic poza samym sobą.

– Nie oceniaj go własną miarą – powiedziała z gniewem.

– Emily, wiem, że świat nie ma ze mnie wielkiego pożytku, ale też nie wyrządzam mu wielkich szkód. To, co oni teraz robią... to coś strasznego, to spowoduje wielkie nieszczęście.

– Rynki muszą być wolne – rzekła z uporem. – Jeśli

nie on, zrobi to ktoś inny.

– Czy niszczenie ludzkiego życia to wolność, czyjej nadużywanie?

– Jak śmiesz! – Oburzyła się. – Tylko dlatego, że sam nic me osiągnąłeś, starasz się umniejszyć rolę mego ojca. Wiem, o co ci chodzi... dlaczego chcesz go zdykredytować w moich oczach.

– Co ty, u diabła, wygadujesz?

– Zawsze byłeś zazdrosny o mój podziw dla niego...

Posprzeczałyśmy się... nie był to spór, lecz kłótnia: oboje mówiliśmy rzeczy, które miały ranić. Chyba jej powiedziałem, że może prowadzić swoje kampanie tylko dzięki pieniądzom zarobionym na ludzkim cierpieniu; ona zaś powiedziała mi, że nie zasługuję na to, by czyścić jej ojcu buty; możliwe, że nawet rzuciłem kilka obelg zaczerpniętych z Freuda. Podejrzewam jednak, że najbardziej ją zabolalo oskarżenie, iż jej ojciec działa bez żadnych skrupułów i zasad moralnych.

– Nie będę tego znosić, słyszysz? To wielki człowiek, wybitny...

--Nie zaprzeczam, że jest wybitny.

– Zależy mu. Wiem, że mu zależy. Bo gdyby nie... – nie dokończyła. Drzwi zatrzasnęły się, gdy była już na zewnątrz.

* * *

Pomyślałem: niedługo wróci.
Nie uwzględniłem jej zawziętości.

* * *

Pinker, jak później dowiedziałem się od Jenksa, wrócił na Narrow Street, jakby nic się nie stało. Przekazał Jenksowi dane liczbowe Howella i nakazał mu dzwonić do gazet. Dziennikarze byli do jego usług; w wielu przypadkach sami wcześniej przyjęli krótkie pozycje, zresztą za moją radą, i teraz z chęcią rozpowszechniali pogłoski, które miały zniszczyć rynek. Czy liczby Howella były prawdziwe? Im więcej o tym myślałem, tym bardziej wątpiłem – ale jak on sam powiedział, miały wytrzymać pobieżne analizy.

Według Jenksa zaraz potem Pinker udał się do magazynu, który był już wtedy pusty – każdy worek, każde ziarno zostało złożone na ołtarzu tej wojny. Wszedł do tej rozległej, pustej przestrzeni, po której hulało tylko echo, i krzyknął:

- Jenks?
- Tutaj jestem.
- Sprzedaj wszystko, dobrze?
- To znaczy co?
- To wszystko. – Pinker ogarnął zamaszystym gestem puste kąty magazynu.
- Ale tu nic nie ma, proszą pana.

– Nie widzisz? Moje niewidoczne aktywa! Moje hipotetyczne zyski! Każda potencjalna umowa, każdy cent, który możemy pożyczyć, każdy kontrakt, który możemy zawrzeć. Sprzedaj to wszystko.

* * *

W dniu marszu padało. Nie był to lekki wiosenny deszczyk, lecz prawdziwa ulewa, jaka rzadko zdarza się w Anglii – jakby bogowie toczyli po ulicach Londynu ogromne marmurowe kloce. Dzielnica Westminster zamieniła się w trzęsawisko śmierdzącego błota. Niezliczone szeregi przemoczonych kobiet wyruszyły mimo wszystko, tyle że głowy miały opuszczone. W tych warunkach szybko się porozdzielały, nie będąc w stanie nawet nawiązać kontaktu głosowego, gdyż trudno było przekrzyczeć huk ulewy, i demonstrantki nie widziały nic innego jak tylko błoto pod stopami...

O drugiej trzydzieści w Izbie Gmin wstał Arthur Brewer, by zabrać głos. Trzymał w ręku dane liczbowe sir Williama. Najwyraźniej nawet w parlamencie deszcz uniemożliwiał porozumiewanie się bez podnoszenia głosu. Gdy dziennikarze zrozumieli treść jego słów, gdy pojęli, że plotki się potwierdzają, rzucili się do telefonów, wybiegli na zewnątrz... Czcigodni parlamentarzyści również, ci, którzy inwestowali w kawę, chcieli jak najszybciej skontaktować się ze swoimi maklerami, a gdy nie mogli, przyłączyli się do tego exodusu na ulicy. Pinker chciał paniki, lecz nawet on nie przewidział tak

szybkiego wybuchu.

Emily nie powinno tam być. To było oczywiste dla wszystkich po fakcie. Kiedy upadła w błoto, nikt jej nie zauważył; wszyscy się o nią potykali, przewracali, ślizgając się na błocie, próbując wyminąć, gdy ulice coraz bardziej się blokowały.

Gdyby była ostrożniejsza, może nie straciłaby dziecka. Ale tego nigdy się nie dowiemy.

* * *

Siedząc w Castle Street, obserwowałem, jak słoneczny dzień zamienia się w gwałtowną nawałnicę – ciężkie chmury barwy ciemno palonej kawy gromadziły się nad miastem. Może to wyda się przesadą, ale gdy burza się zaczęła, miałem wrażenie, że z niebios spadają nie strugi deszczu, lecz ziarna kawy, które nas wszystkich zasypują.

* * *

Wolałem nie być świadkiem zwycięstwa Pinkera na giełdzie, ale nasz importer Furbank poszedł to oglądać. Powiedział mi później, że gdy było po wszystkim – gdy rząd brazylijski przyznał się do porażki i liczby zaczęły swobodnie spadać – obserwował Pinkera. Spodziewał się, że kupiec będzie triumfował, lecz jego twarz pozo-

stawiała nieodgadniona: widać było tylko uprzejme zainteresowanie widokiem spadających cen, jakby był w swoistym transie.

Na galerii gruchnęło. Ci, którzy w jednej chwili zbili fortuny – którzy przewidzieli, w którą stronę się to rozwinię – bili brawo; stali i oklaskiwali wielki spisek Pintera. Nawet wtedy zdawał się tego nie słyszeć. Skupiał się tylko i wyłącznie na czarnych tablicach w dole.

OSIEMDZIESIĄT

„Smolisty” – skaza nadająca kawie nieprzyjemny przypalony smak.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Deszcz ustal. Gdy Furbank i ja przedostawaliśmy się na drugą stronę Tower Bridge, ze statków przy przystani Hay's wyładowywano towar. Tragarze nie zanosili worków do magazynu, tylko układali wielką stertę na zewnątrz.

– Co oni robią? – zapytał Furbank zdumiony.

– Nie jestem pewien.

Z przeciwnej strony ujrzeliśmy wielką smugę dymu.

– Patrz! Podpalili!

Worki zapewne oblano benzyną: w ciągu kilku chwil stanęły w płomieniach.

– Ale... czemu je palą?

Wtedy ze zgrozą zrozumiałem, co się stało.

– Nowa cena... Teraz nie pokrywa kosztów przechowywania. Łatwiej spalić kawę i opróżnić statki na inne towary. – Spojrzałem w dół rzeki. Z innych kei... Butler's Wharf, St Katharine's Dock, Bramah's, nawet Canary Wharf... wydobywały się podobne smugi dymu. W powietrzu unosił się zapach kawy: ta cierpka, czaru-

jąca woń, którą zawsze kojarzyłem z kotłami do palenia kawy w magazynie Pinkera, rozciągała się niczym cienka aromatyczna mgiełka nad Londynem. – Spalą wszystko – powiedziałem zdumiony.

* * *

Tak było nie tylko w Londynie. Podobne dymy zasnuwały Europę i Amerykę Południową, gdy rządy ugięły się przed tym, co nieuniknione. Robotnicy przyglądali się ogniskom w milczeniu.

W Brazylii pewien dziennikarz wyczuł aromat palonej kawy wewnątrz samolotu, niemal pół mili nad ziemią. Dym ognisk tworzył ciężkie chmury wiszące nad górami, a gdy wreszcie spadł deszcz, krople miały smak kawy.

* * *

Nigdy nie zapomnę zapachu tamtych dni.

Chodziłem po ulicach East London godzinami, nie mogąc się od tego oderwać. To było jak koszmarne sen. W powietrzu unosił się aromat owoców i cytrusów, palonego drewna i skóry. Ten zapach wprost rozsadzał mi płuca, tak że po jakimś czasie już go nie czułem – a wtedy zjawiał się wiatr, który wszystko zmiatał, oczyszczał podniebienie i ponownie wypełniał zmysły

wonią palonej kawy.

Za tym zapachem szło coś ciemniejszego, gorzkiego, gdy ziarna z palonych stawały się zwęglone, a ze zwęglonych spalone – syczały, topniały, stapiały się ze sobą jak gorące węgle.

Czułem brazylijską, wenezuelską, kenijską, jamajską, a nawet mokkę – wszystkie mieszały się w tych ogniskach. Miliony filiżanek kawy, palone jakby składano je w ofierze okrutnemu nowemu bogu...

* * *

Kiedy byłem w Etiopii i zaczynałem uczyć się języka galla, dzieci w wiosce opowiadały mi swoje baśnie. Jedna z nich mówiła o pochodzeniu kawy. Nie był to ten znany mit arabski o pasterzu kóz, który zauważył, że jego stado jest dziwnie pobudzone.

Wiele wieków temu żył wielki czarodziej, który umiał rozmawiać z *zar* – duchami, które rządzą, a raczej bawią się światem. Po jego śmierci bóg nieba zasmucił się, bo nie było nikogo tak potężnego, by mógł utrzymać duchy w ryzach. Zrozpaczony bóg zapłakał gorzko nad grobem czarodzieja, a tam, gdzie upadły jego łzy, wyrósł pierwszy krzak kawy.

Czasami, gdy mieszkańcy wioski częstowali się kawą, opowiadali sobie tę historię w charakterze toastu.

Cóż, woda już prawie wrze. Napijmy się gorzkich łez boga.

OSIEMDZIESIĄT JEDEN

Nie wróciłem do Pinkera, ale dwa tygodnie później, gdy już zamykałem kawiarnię, usłyszałem pukanie. Podeszedłem do drzwi i zawołałem:

– Zamknięte!

– To ja – usłyszałem zmęczony głos.

– Wpuściłem ją. Miała na sobie pelerynę, na chodniku przy niej stała walizka.

– Przyjechałam taksówką – powiedziała. – Już ją odesłałam. Mogę wejść?

– Oczywiście. – Spojrzałem na bagaż. – Dokąd się wybierasz?

– Tutaj. O ile mnie przyjmiesz.

* * *

Robiłem kawę, a ona opowiadała.

– Pokłóciliśmy się z Arthurem. Oboje mówiliśmy różne rzeczy... sam wiesz, jaka potrafię być w gniewie. Powiedziałam mu, że jest tylko tworem mojego ojca i stracił nad sobą panowanie.

– Uderzył cię?

Kiwnęła głową.

– Nawet nie bardzo mocno... ale nie mogę z nim

zostać.

Myślałem: co za ironia, że po tym wszystkim, co się wydarzyło – pobiciu przez policję, pogardliwych przemowach Arthura, szarpaniu przez strażników, małżeńskich gwałtach – dopiero coś takiego, zwykły wymierzony w gniewie policzek, przechyliło szalę.

Jakby czytając w moich myślach, powiedziała:

– Złamał swój własny szyfr, rozumiesz. Albo ja go dla niego złamałam.

– Co teraz zrobisz?

– Zostanę tutaj... jeśli naprawdę ci to nie przeszkadza.

– Przeszkadza? Oczywiście, że nie. Będzie mi bardzo miło.

– Ale rozumiesz chyba, Robercie... nie może dojść do niczego niestosownego. Ludzie mogą mówić, co chcą, ale my musimy wiedzieć, że nie mamy sobie nic do zarzucenia.

– Dobrze. – Westchnąłem.

– Och, nie patrz w ten sposób. Zresztą myślę, że Arthur, dziecko, doktor Mayhews... to wszystko razem zniechęciło mnie do tych rzeczy.

– Dojdiesz do siebie. A kiedy już to się stanie...

– Nie, Robercie. Nie chcę ci dawać fałszywych nadziei. Jeśli trudno ci będzie pozostać tylko moim przyjacielem, powiedz szczerze, a znajdę sobie inne mieszkanie.

* * *

– O co chodziło – zapytałem później – gdy mówiłaś o Mayhewsie?

– Hmm?

– Powiedziałaś, że Arthur, dziecko i doktor Mayhews obrzydzili ci zbliżenia seksualne. Rozumiem pierwszą dwójkę, ale co ma do tego ten trzeci?

– Ach – nie potrafiła spojrzeć mi w oczy, ale jej głos był dość silny – nie poinformowali cię, że zdiagnozowali u mnie histerię?

– Tak. To oczywiście bzdura. Nie znam nikogo, kto byłby mniej podatny na histerię niż ty.

– Nie. Tak się składa, że mieli rację. Chodziłam nawet na terapię.

– Co to za terapia?

Nie bardzo chciała odpowiedzieć. W końcu wyjaśniła:

– Mają aparat elektryczny... rodzaj oscylatora. Usuwa histerię. Pacjentka ma... konwulsje. Paroksyzm, jak to nazywają. Istotnie, to dość wstrząsające. I po tym poznają... poznali, że naprawdę jestem histeryczką. Ten paroksyzm jest dowodem.

Zadałem jej więcej pytań i krok po kroku zaczynałem rozumieć, co jej uczyniono.

– Ależ Emily – powiedziałem, gdy skończyła – to

wcale nie była histeria. To coś, co kobiety powinny przeżywać... podczas fizycznych zbliżeń z mężczyzną.

– Nie wierzę.

– Emily, posłuchaj.

– Nie, naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

Pomimo jej upomnień i mojej złości na to, co wyrabiali z nią lekarze, miałem nadzieję – nadzieję, że kiedy uda jej się zostawić to wszystko za sobą, może pewnego dnia spojrzeć na swoje doświadczenia... i na mnie... z innej strony.

* * *

Obudziłem się w środku nocy i usłyszałem płacz.

Siedziała na schodach do kawiarni – skulony biały kłębuszek w koszuli nocnej.

Nagle zdałem sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie widziałem jej tak nieskrępowanej. Usiadłem obok i objąłem ją ramieniem. Była tak drobna, że zdawało mi się, jakbym trzymał cień.

– Zawiodłam – szlochała – zawiodłam we wszystkim. Nie nadaję się ani na żonę, ani na matkę, ani na sufrażystkę.

– Ćśśśś, wszystko będzie dobrze. – Tuliłem ją w ciszy, łagodnie, a ona szlochała, kojąc swe biedne serce do świtu.

OSIEMDZIESIĄT DWA

„Twarda” – odniesienie szczególnie do kaw brazylijskich.

J. Aron & Co., Coffee Trading Handbook

Cztery tygodnie później Pinker zwołuje nadzwyczajne walne zgromadzenie zarządu. Ponieważ w skład zarządu wchodzi on sam, Emily, Ada i Żaneta, zebranie przybiera formę wspólnego obiadu – uroczystego posiłku, który ma, jak zakładają córki, uczcić wielki sukces giełdowy ich ojca.

Siostry ostatnio rzadko się widywały, mają więc sobie wicie do opowiedzenia, Tylko Emily pozostaje milcząca, a pozostali taktownie nie zwracają na to uwagi.

Dopiero po posiłku, już przy kawie – nie Castle, tak się składa, lecz dobrej kenijskiej Longberry. podanej w porcelanie Wedgwooda, Pinker przystępuje do interesów: uderza małą łyżeczką w stojącą przed nim filiżankę, by uciszyć córki.

– Moje drogie – mówi, spoglądając na ich twarze – to spotkanie rodzinne, ale także zebranie zarządu. Mamy kilka spraw do omówienia. Poprosiłem Jenksa, żeby sporządza! protokół. Zwykła formalność, ale musimy tego przestrzegać. To nie zajmie nam wiele czasu.

Sekretarz wchodzi i siada z boku, witając siostry

uśmiechem. Kładzie teczkę na kolanach i wyjmuje pióro.

– Jesteśmy firmą rodzinną – zaczyna Pinker – dlatego możemy odbywać te zebrania w taki sposób. Niestety, dzisiaj taka forma jest uważana za przestarzałą. Spółki obecne na giełdzie, te, które udostępniają swoje akcje, by korzystać z potęgi i możliwości rynku, w przyszłości będą miały środki i elastyczność potrzebne do ekspansji światowej.

– Czy to znaczy, że chcesz wprowadzić firmę Pinkera na giełdę? – pyta Ada. Jest teraz pewną siebie młodą kobietą; małżeństwo z mężczyzną, którego podziwia, złagodziło jej temperament i ożywiło blask oczu.

– Postaraj się zrozumieć – ciągnie Pinker z pobłażaniem. – Te spółki, jak może zauważyłaś, mogą też sprzedawać i kupować między sobą. Już dzisiaj w Ameryce widzimy powstawanie tego, co nazywają konglomeratami, czyli spółek, które mają więcej niż jedną filię. U nas także dawni konkurenci muszą zawierać sojusze. Na przykład Lyle i Tate, dwaj odwieczni rywale, teraz tworzą jedną całość. – Przerywa na chwilę, po czym kontynuuje. – Rozmawiałem z jednym z naszych konkurentów, bogatym plantatorem. Połączenie naszych interesów służyłoby obu stronom: Castle ma silniejszą markę i większy udział rynkowy, a on ma doświadczenie w produkcji surowca, czego nam brakuje od śmierci biednego Hectora. On ma majątek trwały, my gotówkę. Wspólnie, jak sądzę, stworzymy firmę zdolną zawojować świat.

– Kto to jest? – pyta Ada.

– Howell. Sir William Howell.

Ich zdumienie wyraża się w krótkiej chwili ciszy, którą przerywa Żaneta.

– Ale jak będziecie współpracować? Przecież się nienawidzicie?

Pinker zachowuje spokój, a nawet się do nich uśmiecha.

– Dziwnym trafem okazuje się, że w kwestiach najważniejszych niewiele nas różni. Wątpię, byśmy się zaprzyjaźnili, lecz z pewnością możemy prowadzić interesy.

– On cię przechytrzy – mówi Emily.

Ojciec kręci głową.

– On potrzebuje nas bardziej niż my jego. I nie zapomnij, że ta spółka będzie zarejestrowana na giełdzie. To udziałowcy będą utrzymywać równowagę władzy.

Tym razem milczenie trwa dłużej.

– Jutro rano po otwarciu giełdy zostanie wydane oświadczenie. Powinnyście wiedzieć, że to będzie oznaczało koniec rodzinnej firmy Pinkera. Nasza spółka będzie zarządzana inaczej... musi tak być, bo takie są wymogi giełdy. Na przykład wszyscy udziałowcy będą mieli prawo do udziału w walnych zgromadzeniach. – Rozgląda się po pomieszczeniu. – Wątpię, by się zmieścili w naszej małej jadalni.

Nikt się nie uśmiecha.

– Czy my będziemy udziałowcami? – pyta Ada.

– Tak, będziecie miały część udziałów. Ale nie będą dawały prawa do kształtowania strategii.

– Czyli... w rezultacie... to jest prośba o to, żebyśmy je sprzedały? – odzywa się Żaneta.

– Tak. Wszystkie dostaniecie pieniądze... dużo pieniędzy... ze sprzedaży swoich udziałów nowej spółce.

– Nie wiem... – mówi Emily.

– Długo o tym myślałem – oznajmia Pinker. – Jeżeli nie chcemy, by połknęła nas jedna z wielkich firm amerykańskich, sami musimy stać się dużą firmą. – Przerzywa na moment. – I jest jeszcze coś, co miało wpływ na moją decyzję. Sir William ma syna.

Wpatrują się w niego z niedowierzaniem.

– Jock Howell odebrał wykształcenie pod każdym względem odpowiadające działalności firmy ojca. Kiedy utworzymy spółkę, będzie musiał przyjechać i jakiś czas zajmować się tymi sprawami, oczywiście pod moim nadzorem, żeby zdobyć pełną wiedzę o firmie. Później, gdy sir William i ja przejdziemy na emeryturę, będzie przygotowany do przejęcia kierownictwa nad całością.

– Chcesz przekazać swój biznes... synowi Howella? – pyta Emily z przerażeniem.

– A czy mam wybór? – odpowiada cicho Pinker. – Howell ma syna. Ja nie.

Póki znaczenie tych słów jeszcze nie w pełni do nich dociera, Pinker unosi filiżankę.

– Jeśli o mnie chodzi, to chętnie napiję się jeszcze tej

kawy. Czy mamy więcej?

– To znaczy, że gdyby któraś z nas była chłopcem...
– nagle odzywa się Emily z furją w głosie.

– Nie, nie – uspokajają Pinker – to nie tak. Ale ty jesteś mężatką, i to żoną polityka, Ada i Richard mają Oksford, a Żanetę najbardziej interesują przyjęcia i tańce. Czyli żadna z was nie może się tym zająć.

– Ja bym mogła, gdybyś tylko mnie o to poprosił – oświadcza Emily. – Zrezygnowałabym w ogóle z małżeństwa, gdybym miała wybierać...

– Dosyć – przerywa jej ojciec. – Nie chcę słyszeć żadnych krytyk pod adresem twojego męża. Już wystarczy nam skandali.

– To znaczy, że nie chcesz słyszeć o wielu rzeczach – ciągnie Emily z goryczą.

– Nie mów do mnie tym tonem.

Emily przygryza wargę.

– Teraz napiję się tej kawy. – Pinker wskazuje na stół. – Jenks, dziękuję, możesz odejść.

Jenks zamyka teczkę i wstaje.

– Poczekaj! – woła Emily.

– Co ty, Emily, on już może iść.

– Powinniśmy głosować – oznajmia Emily i patrzy na siostry. – Jeśli wszystkie mamy udziały, powinnyśmy to przegłosować.

– Nie wygłupiaj się – protestuje ojciec.

– Przecież to należyty sposób załatwiania spraw, prawda? – Zwraca się do Jenksa. – Mam rację?

On niechętnie przytakuje.

– Chyba to nawet wymagane, formalnie rzecz biorąc.

– A jeśli zagłosujemy przeciwko – Emily wyjaśnia siostronom – to nie będzie mogło do tego dojść. Stanowimy większość.

– Co, na miłość boską, w ciebie wstąpiło?! – wybuchła Pinker. – Boże, kobieto, to nie jest jakieś zebranie sufrażystek. To moja firma...

– Nasza...

– *Moja* firma – upiera się Pinker.

– Nie będziesz mógł w ten sposób rozmawiać z udziałowcami, kiedy będziesz na giełdzie – zauważa Emily. – Może się zdarzyć, że nie zgodzą się też na tego twojego Jocka Howella. Albo że on pozbawi cię głosu. Pomyślałeś o tym?

Ojciec wpatruje się w nią z gniewem.

– Kto jest przeciwko tej propozycji? – mówi Emily, podnosząc rękę.

– Dostyc tego! – interweniuje ojciec. – Jenks, możesz odejść. Zapisz, że propozycja została przyjęta bez sprzeciwów.

– Tak, proszę pana – odpowiada Jenks i wychodzi.

Po długiej chwili ciężkiej ciszy Emily, wybuchający płaczem, idzie jego śladem.

OSIEMDZIESIĄT TRZY

Utrzymywała pokój na Castle Street i w miarę jak sytuacja stawała się bardziej niespokojna, spędzała tam coraz więcej czasu. W tym okresie nie słyszałem nigdy, by wyrażała się bez szacunku o swoim mężu lub ojcu. W zasadzie w ogóle rzadko o nich wspominała. Można by powiedzieć, że ona i ja tworzyliśmy coś w rodzaju niekonwencjonalnego gospodarstwa domowego.

* * *

– Robercie?

Podniosłem głowę. Na kontuarze leżało pudełko z mahoni. Emily je otworzyła. Wewnątrz były rzędy szklanych fiolek oraz filiżanki i łyżeczki do degustacji.

„Przewodnik”.

Położyła na stole cztery małe paczuszki kawy i zaczęła je odpakowywać.

– Co robisz?

– Jedyne, co możemy zrobić – powiedziała. – To są najlepsze kawy Furbanka. Dwie z Gwatemali i dwie z Kenii. – Ostrożnie zalała wodą pierwszą partię zmielonych ziaren i spojrzała na mnie. – I co?

– Nie ma sensu. – Westchnąłem.

– Ależ wręcz przeciwnie... to ma sens. To dobre,

wyjątkowe kawy. Tak twierdzi Furbank. Ci, którzy je wyprodukowali, nie powinni iść na dno przez to, że zostaną zmuszeni do sprzedaży po tej samej cenie co produkt Howella. Wciąż jest na świecie dość ludzi, którym zależy na dobrej kawie. Potrzebują tylko narzędzia, które pomoże im odróżnić dobrą od nędznej. A „Przewodnik” nie spełni tej funkcji, jeśli go nie uaktualnisz. No, spróbuj. – Przysunęła w moją stronę jedną z filiżanek. – Zassać, napowietrzyć, wypluć. Gotów?

Oboje docisnęliśmy fusy i zassaliśmy po odrobinie kawy.

– Ciekawe – powiedziała z namysłem.

Skinąłem głową.

– Aromat bananów.

– A na języku nuta naturalnej szorstkości...

– Winogrona muscat.

Te same smaki w naszych ustach, na językach, na wargach – doznania przepływające między nami jak pocałunki.

* * *

– Czarna porzeczka czy brzoskwinia?

– Raczej śliwki. Może węgierki.

– I coś rozgrzewającego... pieczone mięso... tytoń...

– Pieczone mięso? Raczej nie... to by nadawało

wyraźny smak... Spróbuj jeszcze raz.

– Powiedziałbym, że to skórka świeżo upieczonego chleba.

– Świetnie... zanotuję. Zmienisz filizanki?

* * *

– Wiesz co, moglibyśmy poprosić Furbanka, żeby nam dostarczał kawę z małych upraw afrykańskich, a nie z dużych plantacji. Może to niewielka różnica, ale jeśli więcej osób się na to zdecyduje, to może choć kilku drobnych producentów miałyby inną perspektywę niż praca dla białego człowieka.

– Wspaniały pomysł.

– Ale kawa będzie wtedy droższa.

– Poniesiemy stratę?

– Nie mam pojęcia.

– Drogi Robercie, w ogóle nie masz pojęcia, jak prowadzić interesy, prawda?

– Wprost przeciwnie. Z moich doświadczeń wynika, że to biznesmeni nie mają o tym pojęcia.

– Niech będzie... Jak brzmi to afrykańskie przysłowie, które tak chętnie przytaczasz?

– Jedną pajęczynę łatwo zniszczyć, ale tysiąc pajęczyn może spętać lwa.

– No właśnie. Bądźmy więc pająkami i zacznijmy

tkać pajęczynę.

* * *

– Ta przypomina mi Afrykę. Jagody, glina i ta ostra brązowa gleba, na której suszone były ziarna.

– Ja tam nie byłam, więc nie mogę powiedzieć. Ale wyczuwam korzenie... chyba wawrzyn i kurkumę. I jest jeszcze coś... coś ledwie wyczuwalnego...

– Co?

– Nie jestem pewna. Coś słodkiego.

* * *

Z popiołów tych ogni wyrastała maleńka smużka czegoś, co zasługiwało na przetrwanie – nie nadziei, a nawet nie miłości, lecz czegoś nieuchwytnego, ulotnego, eterycznego jak dym, czegoś, co ona i ja przeżyliśmy w tym pomieszczeniu i co dzielili z nami inni: Furbank i tacy jak on importerzy, garstka klientów z pasją, a później nowi klienci, których stopniowo było coraz więcej, jakby wysyłali w świat migoczące sygnały.

OSIEMDZIESIĄT CZTERY

Wreszcie, jak przewidywała Emily, nadszedł czas, gdy ruch zażądał ofiar.

* * *

Decyzja sufrażystek o przystępowaniu do strajków głodowych zmieniła charakter rebelii. Pojawiła się groźba śmierci męczeńskiej: rząd zabija te, które rzekomo uważa za słabą płć.

Pierwsze głodujące wypuszczano z więzień z powodów medycznych, by uniknąć rozgłosu, lecz gdy sprawą zainteresowały się gazety, nie dało się już niczego robić po cichu. Dlatego rząd – niektórzy twierdzili, że za namową samego króla – postanowił poddawać te, które odmawiały jedzenia, „leczeniu”, czyli w tym wypadku przymusowemu karmieniu.

Nastąpiła fala oburzenia. Kobiety, które wcześniej nie wspierały bojowniczek, zaczęły podziwiać heroizm głodujących i z przerażeniem dostrzegać, do czego są w stanie posunąć się mężczyźni, by utrzymać władzę, a wśród samych sufrażystek stosowana przemoc rodziła jeszcze większą przemoc.

Rząd wiedział, że wycofanie się w takim momencie zostanie uznane za przejaw słabości. Wiedział też, że byłoby to równoznaczne z podaniem na tacy miliona

nowych głosów innym partiom. Tego boju nie mógł przegrać.

Tak wyglądała sytuacja we wrześniu, kiedy Emily została wysłana z misją rzucenia kamieniem w okno Izby Gmin.

* * *

– Nie musisz iść.

– Oczywiście, że nie muszę. Ale chcę.

– Na pewno są inne.

– A jak będę się czuła, gdy ktoś inny zajmie moje miejsce? Nie rozumiesz. Jeżeli areszt jest mi przeznaczony, to nie będzie poświęcenie. To będzie... – szukała odpowiedniego słowa – to będzie przywilej... spełnienie wszystkiego, na co pracowałam.

– Z każdym dniem coraz bardziej upodabniasz się do ojca – powiedziałem ponuro. – Wiesz o tym? Jak już coś sobie postanowisz, żadna siła cię nie odwiedzie.

Jej oczy na chwilę zaślnęły gniewnie. Później odrzekła spokojnie:

– Tak, Robercie. Oczywiście, wiem, że jestem jak on. I dlatego to muszę być ja, a nie ktoś inny.

* * *

Przy pierwszej próbie została aresztowana. Zastanawiałem się później, czy sama o to nie zadbała – czy nie poczekała na moment, w którym policjant akurat patrzył w jej stronę.

Proces był błyskawiczny. Ponieważ nie zgodziła się na wniesienie opłaty, nie było mowy obronnej. Funkcjonariusz, który ją aresztował, odczytał notatki, oskarżyciel powiedział parę słów i sędzia pokoju ogłosił wyrok – dziesięć szylingów lub trzy tygodnie więzienia.

– Pójdę do więzienia – oświadczyła bez emocji.

Na galerii wypełnionej sufrażystkami podniósł się huk oklasków. Sędzia stuknął młotkiem, by uciszyć publiczność.

– Czy odmawia pani zapłacenia grzywny?

– Odmawiam uznania władzy tego sądu, który jest utrzymywany z moich podatków bez mojej zgody.

– Dobrze. Wyprowadzić ją.

* * *

Próbowałem odwiedzić Emily w areszcie, lecz mi nie pozwolono. Czekałem więc wraz z wieloma innymi przed budynkiem sądu, mając nadzieję na ujrzanie jej w czasie przewożenia do więzienia Holloway. Zobaczyłem Brewera ubranego jak na pogrzeb. Przepychając się przez tłum, krzyknął do mnie:

– Zadowolony? Czy chciałby pan widzieć moją żonę

jeszcze bardziej poniżoną?

– Tak jak pana, nie cieszy mnie jej widok w więzieniu – odparłem posepnie.

Akurat wtedy z budynku sądu wyjechała karetka więzienna. Jechała powoli, dzwoniąc, by zgromadzony tłum się rozstąpił. Nie było widać siedzącej z tyłu Emily, ale witaliśmy ją okrzykami i oklaskami, które miały jej dodać otuchy. Wyobrażałem sobie siebie na jej miejscu, starając się zrozumieć, jak musi się teraz czuć.

* * *

Wówczas dostrzegłem kolejną znajomą twarz. Szybko podszedłem się przywitać.

– Ada?! – zawołałem. – Ada Pinker?

Obróciła się w moją stronę.

– Toż to Robert. – Zatrzymała się i to samo zrobiła towarzysząca jej kobieta. – Nie spodziewałam się tu ciebie.

– A ja ciebie. Przyjechałaś z Oksfordu? Emily mówiła, że wyszłaś za wykładowcę.

– Tak... tam sufrażystki trzymają się mocno, nie ma takiej przemocy jak tutaj, w Londynie. – Westchnęła. – Bardzo mnie to martwi.

– Mnie też. Emily jest taka uparta. Podejrzewam, że może zechcieć głodować.

– Mamy nadzieję, że pozwolą nam się z nią zoba-

czyć. – – Ada wskazała na swoją towarzyszkę. –
W końcu jesteśmy rodziną.

Zwróciłem się do drugiej kobiety.

– Chyba nie miałem przyjemności.

– Ależ miał pan, panie Wallis – odezwała się głosem, który wydał mi się znajomy. – Chociaż wątpię, by była to przyjemność. Podejrzewam, że pańskie wspomnienia o mnie nie należą do najmiłszych.

Zapewne na mojej twarzy widać było, jak mnie zaskoczyła, bo Ada uznała za stosowne wtrącić się w naszą rozmowę.

– Żaneta bardzo się zmieniła od waszego ostatniego spotkania.

– Dobry Boże... Żabka?

Kobieta skinęła głową.

– Mało kto dziś mnie tak nazywa.

Teraz, gdy przyjrzałem się jej uważniej, dostrzegłem pewne podobieństwo do dziecka, które pamiętałem. Jednakże wyłupiaste żabie oczy zmieniły się, a raczej zmieniła się twarz wokół nich. Teraz wyglądały normalnie, jak u kogoś, kto właśnie się obudził i jeszcze jest lekko zaspany.

– Trzymałam wszystkie twoje listy – dodała. – Doprowadzałam siostry do szалу pytaniami o to, kiedy przyjdzie następny. Uczylałam się ich na pamięć.

– Szczerze wątpię, by były warte wielokrotnego czytania – powiedziałem. Szliśmy teraz w dół wzgórza,

z tłumem oddalającym się od sądu.

– „Powiedz Adzie, że spinanie włosów do tyłu nie jest właściwym sposobem zainteresowania przyszłego męża. – zacytowała Żaneta. – Tutaj wybija się dwa przednie zęby, smaruje czaszkę farbą w kolorze ochry i rozgrzanym nożem wycina zygzakowaty wzór na czole. Taka kobieta jest uważana za atrakcyjną i proszona do wszystkich tańców”. Chyba nic zapomniałeś tych słów?

– Dobry Boże – powtórzyłem. Spojrzałem na Adę. – Naprawdę byłem aż tak niepoważny? Przepraszam.

– Nie ma za co – odparła oschle. Mój mąż jest etnografem, więc już przywykłam, że porównuje się mnie do tych z ochrową farbą na głowach. – Zatrzymała się, bo doszliśmy do stacji metra. – Jedziemy na zachód. Powiadomić cię, gdy dowiemy się czegoś o Emily?

– Tak, proszę. – Wręczyłem im wizytówkę. – I miło mi było was znowu zobaczyć pomimo tych okoliczności.

– Ciebie też – powiedziała Ada poważnie i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Kiedy chwyciłem rękę Żabki, ta oznajmiła:

– Zawsze się zastanawiałam, panie Wallis, czy napisał pan jeszcze jakieś purnonsensy?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Mam nadzieję, że czas nonsensów już za mną. Chociaż ostatnio wydaje mi się, że nasz rząd tworzy ich całkiem sporo.

– Racja – potwierdziła Ada z wyraźnym niepoko-

jem. – Są naprawdę zdeterminowani, żeby się nie ugiąć. Mam tylko nadzieję, że Emily nic się nie stanie.

* * *

Jej cela miała wymiary dwanaście na osiem stóp, ściany pomalowane na szaro niczym wewnątrz statku. Była tam lampa naftowa, małe okno tak wysoko, że nie dało się przez nie wyrzeć, drewniane łóżko i krzesło. Na gołym drewnie łóżka leżały dwa złożone prześcieradła i poduszka. W kącie, pod narożną półką, stały dwa wiadra z metalowymi pokrywami. Na półce znajdował się modlitewnik, regulamin i tabliczka z kredą. W drzwiach był niewielki otwór na podawanie posiłków. To wszystko.

Rozłożyła pościel na łóżku i zajrzała do wiader. W jednym była woda, drugie widocznie służyło jako toaleta. Poduszka wypełniona była słomą; pomiędzy szwów sterczały sztywne kawałki.

Każdy najmniejszy dźwięk niósł się dudniącym echem po bezkresnych korytarzach. Usłyszała w oddali huk, który przetaczał się coraz bliżej: drzwi, krzyki i kroki. Okienko w drzwiach się uchyliło i ktoś oznajmił:

– Obiad.

– Ja nie jem – odparła.

W otworze zjawiała się cynowa miska z zupą. Emily się nie poruszyła. Po chwili miska zniknęła, pozostawiając po sobie słaby zapach ciepłych warzyw. Hałas

potoczył się dalej. W końcu światło lampy zbladło; pewnie jest jakiś zewnętrzny system regulacji, pomyślała – pozbawiono ją nawet tak drobnego prawa.

Następnego dnia rano leżała w łóżku, nie bacząc na regulamin. Otwór w drzwiach się uchylił.

– Jeszcze nie wstałaś? – rozległ się zaskoczony głos.
– Twoje śniadanie.

– Prowadzę głodówkę.

Otwór się zamknął.

Później zaczęły się wizyty. Kapelan, dozorczyńni, nadzorca – wszyscy przychodzili z kolejnymi frazesami.

– Trzeba mieć nadzieję – mówił kapelan – że wykorzysta pani ten czas na rozmyślania, pani Brewer... na poprawę.

– Ale ja nie chcę się poprawić. To premier naszego rządu powinien się poprawić.

Wydawał się zdumiony i pouczył ją o zasadach okazywania szacunku.

Zaprowadzono ją do łazienki. Kabina miała poprzeczne drzwiczki wielkości dwóch stóp, a strażniczka zaglądała co minuta. Poszła do toalety, ale tam też drzwi były takie, jakby ich nie było, a łańcuch spłuczki wisiał na zewnątrz, tak że pociągala go nie więźniarka, tylko strażniczka.

Gdy wróciła do celi, odwiedził ją gubernator, wysoki, nerwowy mężczyzna, którego można by uznać za pracownika banku.

– Niech pani nie myśli, że może spróbować nam zaszkodzić – ostrzegł ją. – Radzimy sobie z morderczyniami i złodziejkami. Znamy się na tej robocie. Jeśli jednak nie będzie pani sprawiać kłopotów, niedługo odzyska pani wolność.

– Możecie mnie stąd wypuścić – odpowiedziała – ale nie możecie dać mi wolności. Wolna będę dopiero wtedy, gdy kobiety będą miały prawo głosu.

Westchnął.

– Tutaj należy zwracać się do mnie „pan”, póki jest pani pod moją opieką. – Przyjrzał się jej uważnie. – Pani mąż jest parlamentarzystą?

Skinęła głową.

– Gdyby potrzebne były jakieś drobne udogodnienia, proszę dać mi znać. Na przykład mydło czy lepsza poduszka...

– Chcą być traktowana tak samo jak inne więźniarki.

– Dobrze. – Odwrócił się do wyjścia, lecz coś nie dawało mu spokoju. – Nie rozumiem jednego, pani Brewer – powiedział, wchodząc znów do celi. – Jeśli wam się uda... jeśli kobiety zdobędą prawa wyborcze... to zaginie rycerskość i galanteria wobec kobiet, myślała pani o tym? Czemu mężczyźni mieliby wtedy traktować kobiety inaczej niż siebie?

– Czy to rycerskość kazała panu zaoferować mi mydło – spytała cicho – czy pozycja mojego męża?

Przyniesiono obiad – znowu zupę, chociaż więzień, który ją roznosił, nazywał to gulaszem. Odmówiła.

Przyszedł lekarz i zapytał, kiedy jadła ostatni posiłek. Powiedziała.

– Musi pani zjeść dzisiaj kolację.

– Nie zjem.

– Trzeba będzie karmić panią siłą.

– Nie będę współpracować.

– Cóż, zobaczymy. Wiem z doświadczenia, że wiele osób, które mówią o strajku głodowym, wytrzymuje tylko kilka dni. Potem organizm sam podpowiada, by nie robić takich głupstw.

On także wyszedł. Czekala długo. Była jeszcze godzina gimnastyki – chodzenie w kółko po podwórku w milczeniu.

W porze kolacji, a właściwie po południu, strażniczka zapytała, czy będzie jadła. Emily odpowiedziała, że nie.

O zmierzchu światła pogasły. Leżała na łóżku, z głodu lekko kręciło jej się w głowie.

Spośród więziennych odgłosów wyłowiła czyjś śpiew. To była melodia *John Brown's Body*.^[28] Słowa były inne, ale znała je: to jeden z hymnów sufrażystek. Przepełniona radością podbiegła do otworu w drzwiach. Uklękła obok, pochyliła głowę i przyłączyła się do innych:

Wstańcie, kobiety, długa walka czeka nas,

Powstańcie tłumnie, zaśpiewajmy wszystkie wraz,

*W słuszności siła i z tej siły czerpmy moc,
Nasza Sprawa to nasz głos.*

Głosy pozostałych sufrażystek były bardzo daleko, a jej własny głos głośno rozbrzmiewał w maleńkiej celi. W końcu ktoś w pobliżu krzyknął: „Daj już spokój!” i przestała.

* * *

Próbowała spać, lecz bóle głodowe uniemożliwiały odpoczynek dłuższy niż kilkuminutowy. Następnego dnia odmówiła spożycia śniadania. Teraz ból wydawał się słabszy, nie silniejszy. Czasami czuła rozpacz, czasem zniechęcenie ogarniało ją. Dam radę, mówiła sobie. Potrafię się zagłodzić. Mogą kontrolować wszystko inne, ale moje ciało należy tylko do mnie.

Tego dnia ktoś wsunął do jej celi tacę ze świeżym ciastem. Nie było to więzienne jedzenie, na pewno zostało sprowadzone z zewnątrz. Objęła żołądek rękami, by złagodzić ból, i nie ruszyła poczęstunku.

Pod wieczór miała objawy delirium. Jestem lżejsza od powietrza, pomyślała, i to zdanie tłuło się jej po głowie: Lżejsza od powietrza... Lżejsza od powietrza...

Chwilami zdawało jej się, że czuje zapach kawy wdzierający się przez otwór w suficie, ale gdy próbowała określić jej gatunek, woń ulatywała niczym błędny

ognik.

Przyszedł lekarz.

– Będzie pani jadła?

– Nie będę. – Nie poznała własnego głosu.

– Zaczyna pani śmierdzieć. To smród ketozy, ciało żywi się sobą. Jeśli to jeszcze trochę potrwa, wyrządzi pani organizmowi nieodwracalne szkody, począwszy od organów rozrodczych. Może już nie będzie pani mogła mieć dzieci.

– Wiem, czym są organy rozrodcze, doktorze.

– Zniszczy pani sobie włosy, wygląd, skórę, wszystko, co czyni panią tak atrakcyjną.

– Jeśli to komplement, to bardzo pokretny.

– Potem układ pokarmowy, płuca...

– Nie zmienię zamiaru.

– Dobrze. Wobec tego musimy panią ratować przed samą sobą.

* * *

Jej zmysły działały nadzwyczaj sprawnie, niemal nadnaturalnie. Potrafiła odróżniać odległe zapachy, a nawet je przywoływać. Wyłowiła ulotną woń świeżej kawy kenijskiej – miała w sobie aromat krzewów czarnej porzeczki; chwilę później cudowny zapach łądyg jęczmienia pozostawionych na polu po żniwach. Owocowa

nuta – to morele, intensywny zapach konfitur morelowych... Zamknęła oczy, głęboko wciągnęła powietrze i wydało się jej, że ból zelżał. W końcu do celi weszły cztery strażniczki. Do tego zadania wybrano największe kobiety, żeby nie mogła się im oprzeć.

– Pójdiesz do lekarza?

– Nie.

– Jak chcesz. Podnieś ją.

Dwie podeszły do niej od tyłu, chwyciły ją pod pachy i uniosły, pozostałe złapały za nogi. Wywijała się, ale to nic nie dawało. Wyniesiono ją na korytarz.

– Może teraz pójdzie – powiedziała jedna ze strażniczek.

Poczuła silny ból pod pachą. Jedna z kobiet uszczypnęła ją. Emily krzyknęła.

– No, ruszaj się, kochana – rzuciła strażniczka.

Częściowo ją pchały, częściowo ciągnęły korytarzem. W okienkach do podawania jedzenia widziała zaciekawione twarze. Tam gdzie przeszła, więźniarki stuknęły w drzwi i krzyczały. Nie odróżniała słów: wszystko zlewało się w jeden huk. W końcu dotarły do ambulatorium. Był tam lekarz, którego już znała, i drugi, młodszy mężczyzna – obaj w gumowych fartuchach nałożonych na garnitury. Na biurku dostrzegła rurkę, lejek i dzbanek z czymś, co wyglądało na rzadką owsiankę. Była też szklanka mleka. Ten widok wydał się Emily tak absurdalny, że omal się nie roześmiała mimo całej grozy sytuacji.

– Wypije pani mleko? – zapytał lekarz.

– Nie.

– Posadźcie ją.

Kobiety umieściły Emily na drewnianym krześle. Teraz przytrzymały ją za ramiona i kolana. Młodszy lekarz stanął za nią i przechylił jej głowę do tyłu, a drugi uniósł rurkę. Zanurzył palce w pojemniku z gliceryną i nasmarował końcówkę.

– Trzymajcie ją – polecił.

Zacisnęła zęby i ścisnęła z całej siły. Lekarz jednak wcale nie skierował rurki w stronę jej ust. Wepchnął ją w prawe nozdrze. Wrażenie było tak okropne, że otworzyła usta do krzyku, lecz okazało się, że nie może wydobyć z siebie żadnego dźwięku, jedynie rżący wdech.

Jeszcze kawałek, i jeszcze. Czowała tę rurę w tyle gardła, co przyprawiało ją o mdłości. Próbowwała potrząsać głową na boki, ale młodszy lekarz trzymał mocno. Na policzkach pojawiły się łzy; ostre ukłucie w tchawicę i po mdlącym ślizgu całe urządzenie znalazło się w jej wnętrzu.

– Powinno wystarczyć – rzekł starszy, cofając się. Oddychał ciężko.

Przyłożył lejek do końca rurki. Wziął dzbanek z owsianką i zaczął wlewać zawartość do lejka, starając się wszystko utrzymać w pionie. Ciepły, dławiący płyn wypełnił jej tchawicę. Kaszlnęła i poczuła odruch wymiotny, ale gorąca gęsta ciecz pozostała na miejscu. Emily miała wrażenie, że za chwilę rozsadzi jej głowę,

czuła nacisk za oczami, bębnienie w uszach, czuła, że tonie.

– To odpowiednik porządnego posiłku – oznajmił lekarz.

Wyjmowanie rurki z nosa okazało się długie i bolesne. Gdy już było po wszystkim, Emily zwymiotowała.

– Musimy to powtórzyć – oświadczył lekarz. – Trzymajcie ją.

Wykonano ponownie tę straszną operację. Tym razem odczekali kilku minut, nim wyjęli rurkę. Lekarz wsunął ją do zlewu. Emily kaszlała i pluć miotana torsjami.

– Odprowadzić ją do celi.

– Pójdę sama – powiedziała. – A pan jest nikczemnym katem więziennym, żeby tak traktować kobietę!

– A więc kobieta powinna być traktowana szczególnie? – odpowiedział drwiąco.

– Gdyby pan był prawdziwym mężczyzną, nie robiłby pan tego.

– Nie ratowałbym pani życia? – Dał znak strażniczkom, żeby ją zabrały.

* * *

Tej nocy podpaliła swoją celę. Rozdarła poduszkę i przyłożyła słomę do palnika gazowego. Zabarykado-

wała się: dosunęła łóżko do drzwi, żeby nie mogli wejść do środka. Musieli wyłamać zawiasy, żeby się do niej dostać. Po tym zajściu związano ją pasami i przeniesiono do celi z żelaznym łóżkiem przyśrubowanym do podłogi.

Pierwszej nocy i przez cały następny dzień co dziesięć minut ktoś wchodził i przyglądał się jej. Najpierw myślała, że przychodzą się zwyczajnie gapić i wrzeszczała na nich.

– Jesteś pod obserwacją – wyjaśnił ktoś chłodnym głosem. – Mamy obowiązek dopilnować, żebyś nie zrobiła sobie krzywdy.

W porze obiadowej zjawiała się dozorczyńni ze szklanką mleka. Emily odmówiła.

– Spróbuj choć trochę – namawiała kobieta.

Emily potrząsnęła głową.

Teraz, gdy już wiedziała, czego się spodziewać, bała się karmienia. Zanim po nią przyszli, niemal mdliło ją ze strachu. Nic jednak nie mogła zrobić. Oni też wiedzieli, co ich czeka, i szybko wsunęli rurkę. Krzyczała przy tej operacji, łzy, wymiociny i kwaśny odór owsianki mieszały się ze sobą. Wtedy straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, lekarz obserwował ją z niepokojem.

– Niech pani zrezygnuje – poradził. – Nie nadaje się pani do tego.

– A ktoś się nadaje? – zauważyła gorzko.

– Nie jest pani nawykła do takiego traktowania. To

może panią zniszczyć.

– Pan jest lekarzem. To pan powinien odmówić.

– Nikogo to nie obchodzi – oznajmił nagle. – Tego właśnie nie rozumiem. Siedzi tu pani i niszczy siebie, a nikt na zewnątrz nie ma o tym pojęcia. Po co to wszystko?

– Po to, żeby pokazać, iż można rządzić tylko za zgodą rządzonych...

– Niech mi pani oszczędzi sloganów. – Skinął na strażniczki. – Zabierzcie ją.

Kiedy prowadziły ją do celi, jedna z kobiet powiedziała cicho: – Potrącają podatki z mojej płacy, więc nie wiem, jakie mają prawo mówić, że nie mogę głosować. – Spojrzała na Emily z ukosa. – Dzielna byłaś!

– Dziękuję – zdołała wychrypieć.

– Zresztą to, co mówił lekarz, to nieprawda. Piszą o tobie we wszystkich gazetach. Nie w szczegółach, ale ludzie wiedzą, co się tu dzieje.

W nocy nie mogła oddychać – coś drażniło ją w tchawicy, jakby utknał tam kawałek pokarmu. Później wymiotowała, a w wymiocinach były strzępki krwi.

Następnego dnia nie potrafiła nawet myśleć o tej rurze w nosie, więc przyjęła szklanekę mleka i trochę zupy od dozorczyń. Później jednak wznowiła głodówkę.

OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ

Byłem w kawiarni, czyściłem właśnie aparat do kawy, kiedy wszedł jej mąż. O tej porze, przed południem, ruch był niewielki. Pewnie dlatego wybrał ten moment.

– A więc stąd rozsiewasz swoją truciznę, Wallis – usłyszałem.

Podniosłem głowę.

– Jeżeli myśli pan o kawie, to trudno o lepszą.

– Nie myślałem o kawie. – Położył kapelusz na kontuarze. – Przyszedłem porozmawiać o mojej żonie.

Nie odrywałem się od pracy.

– Tak?

– Lekarze mówią, że jeśli nie przestanie, to głódówka ją zabije.

– Czy to ci sami lekarze, którzy przedtem uznali ją za histeryczkę?

– To co innego. – Zawahał się. – Teraz jest chora. Coś się nie udało przy próbie wymuszonego karmienia. Wygląda na to, że uszkodzili jej płuca.

Patrzyłem na niego przerażony.

– Musimy wyciągnąć ją z więzienia – powiedział – a przynajmniej z tego zagrożenia.

Odzyskałem głos.

– Niech pan nakłoni swój rząd, żeby przyznał kobietom prawa wyborcze.

– Przecież pan wie, że to niemożliwe. – Przesunął dłonią w rękawiczce po włosach. Nagle zauważyłem, że wygląda na bardzo zmęczonego. – Ten rząd nigdy się nie ugnie. Pomijając wszystko inne, byłby to zły sygnał dla naszych wrogów. Imperium może wydaje się jednolite, ale są w Europie tacy, którzy wykorzystają każdy przejaw wewnętrznego kryzysu... To, co robi Emily, jest niebezpieczne dla nas wszystkich.

– A dlaczego pan mi to mówi?

– Bo może pana posłucha, skoro nie chce słuchać mnie.

Pomyślałem, że przyjście tutaj musiało go wiele kosztować.

– Wątpię – odparłem, kręcąc głową.

– Ale musi pan spróbować.

– Jak rozumiem, ona nie życzy sobie, żeby ktokolwiek ją od tego odwodził.

– Kocha ją pan?

Dziwne było rozmawiać o tym, i to akurat z nim. Ale te czasy w ogóle były dziwne. Kiwnąłem potakująco głową.

– Tak.

– No to niech mi pan pomoże ją ratować. Niech pan do niej napisze – prosił. – Niech jej pan powie, że zrobiła już dość, że teraz kolej na innych. Że nie chce pan, żeby

tak rezygnowała z własnego życia...

– Jeśli napiszę i to osłabi jej wolę, może nigdy mi nie wybaczy – powiedziałem.

– Ale to i tak trzeba zrobić. Dla jej dobra, jeśli nie dla naszego. – Sięgnął po kapelusz. – Powinien pan wiedzieć coś jeszcze. Rząd rozważa wprowadzenie nowych ustaw. To umożliwi zwolnienie głodujących na podstawie oficjalnej zgody.

– Czemu? – zdziwiłem się.

– Żeby nie umierały w więzieniu.

– Ale jeśli je zwolnią, to po wyjściu będą znowu sprawiać kłopoty.

– Gdyby były zdrowe. A jeśli będą zdrowe, zostaną ponownie aresztowane i wtrącone za kratki. To sprawi, że jeżeli umrą, to nie w więzieniu jako męczennice, tylko w domu jako inwalidki. Protest Emily ostatecznie i tak nic nie zmieni, nawet w jej własnej sprawie. Musi pan napisać ten list. Zrobi pan to?

– Nie obiecuję. Pomyślę o tym dzisiaj...

– I jeszcze coś – przerwał mi. – Jeżeli uda się panu ją powstrzymać, dam jej rozwód.

– Nie sędzę, by tego chciała – powiedziałem.

– Ona nie chce. Ale nie rozmawiam z nią, tylko z panem. – Spojrzał na mnie spokojnie. – Jeśli przekona ją pan, żeby pozostała przy życiu, panie Wallis, jest pańska. Ja umywam ręce.

* * *

Kiedy wyszedł, myślałem o tym, co powiedział. Nic miałem złudzeń co do jego motywów. Nie wątpiłem, że na swój sposób zależało mu na Emily, ale wiedziałem, że jest człowiekiem, dla którego miłość nie różni się od zabiegania o swoje sprawy. Jeżeli to, co mówił, było prawdą, to śmierć Emily byłaby mu bardzo nie na rękę. Mówiono by to samo, co powiedziałem ja – że dopuścił do tego, by zabito mu żonę, a on sam stał z boku i nic nie zrobił. Z jego punktu widzenia lepiej było się rozwieść.

Brewer był politykiem: wiedział, jak najskuteczniej do mnie przemówić. To jednak nie zmieniało faktu, że miał rację. List ode mnie z przekonującą argumentacją, że zrobiła już dość, ubrany w odpowiednie słowa, mógł wpłynąć na jej decyzję. Była uparta, ale znałem ją na tyle, żeby wiedzieć, jak ją przekonać.

Nie wyobrażałem sobie świata bez jej obecności. Kochałem ją i chciałem, aby żyła. A czy kiedykolwiek by mnie poślubiła... Znałem ją zbyt dobrze, żeby na to liczyć, ale mogłem mieć nadzieję...

Wreszcie, po tak długim oczekiwaniu, mieliśmy szansę na zaznanie szczęścia.

Siedziałem do późna, wypijając kawę za kawą. W końcu sięgnąłem po kartkę i pióro i nim nastał świt, mój list był gotowy.

OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Emily zmarła w szpitalu Paddington cztery tygodnie później. Tak jak przewidział Brewer, została wypuszczona z powodów zdrowotnych, żeby nie zmarła w więzieniu. Istniała szansa, że przy odpowiednim leczeniu jej stan się poprawi. Było jednak za późno.

Przed jej śmiercią ruch sufrażystek pomimo sprzeciwów rządu osiągnął coś, co było nie do pomyślenia – większość parlamentarna poparła projekt ustawy koncyliacyjnej. Bojowniczkę ogłosiły rozejm. Mimo że zwycięstwo wydawało się bliskie, Emily marniała.

Udało mi się ją zobaczyć kilka razy w szpitalu, lecz była już bardzo słaba. Nigdy nie odzyskała wagi utraconej w więzieniu. Z jej pięknej twarzy, kiedyś tak świeżej i ponętnej, pozostały same kanty, jakby okrojono ją nożem. Włosy straciły połysk, a skóra poszarzała – gdy spojrzano się z bliska, widać było drobniutkie wyłobienia, jak na starym muślinie. Nawet jej oczy straciły blask, a głos, niewiele silniejszy od szeptu, brzmiał, jakby nie mógł przedostać się przez gardło.

Natomiast jej umysł był sprawny jak zawsze. Przyniosłem kwiaty.

– Dziękuję – powiedziała chrapliwie, gdy podsunąłem jej do powąchania. – Są piękne, ale następnym razem przynieś coś innego. Cięte kwiaty tak szybko więdną, przypominają mi o śmierci.

– Co mam ci przynieść?

- Ziarna kawy i młynek, żeby je tu zmielić.
- Czy lekarze ci pozwolą?
- Nie pozwolą pić. Ale mogą wdychać aromat, a ty możesz napić się za mnie.

Roześmiałem się.

– To najdziwniejsze zamówienie, z jakim się zetknąłem.

– Zawsze kojarzysz mi się z zapachem kawy. Tak mi tego brakowało, kiedy spotkaliśmy się w Castle Street po twoim powrocie. "Nie pachniałeś wtedy kawą. Ale teraz znowu masz ten zapach i tak jest dobrze.

– Naprawdę? – W kawiarni Castle Street wszystko było przesiąknięte wonią kawy, nawet już tego nie czułem.

– Jak tam kawiarnia? – zapytała.

– Dobrze. Ten nowy gatunek kenijski jest bardzo dobry, tak jak mówiłaś.

Zamknęła oczy. Po chwili powiedziała głosem, który zabrzmiał nieco mocniej:

– Dostałam twój list. Dziękuję.

– Czy coś zmienił?

Skinęła głową.

– A więc się cieszą.

Wyciągnęła do mnie rękę.

– Na pewno trudno było go napisać.

– To była najłatwiejsza rzecz na świecie.

– Kłamca. – Westchnęła. – Odpisałam ci. Dostaniesz moją odpowiedź, kiedy umrę.

– Nie ma mowy o...

– Proszę, Robercie. Nie obrażaj mnie tym udawaniem. Lekarze są szczerzy. Z moich płuc niewiele zostało. Podają mi laudanum, żeby stępić ból, ale to przytępia umysł. Dlatego nic biorę go, kiedy mam gości. Później czuję ból, a kiedy boli, to nie nadaję się do przyjmowania gości.

– Teraz boli?

– Trochę. Dadzą mi krople, kiedy pójdziesz.

– Więc zaraz pójdę.

– Może tak będzie lepiej. Jestem zmęczona.

– Ale wrócę. I przyniosę kawę.

Zmarła tej nocy, we śnie.

OSIEMDZIESIĄT SIEDEM

Przesyłka przybyła kilka dni po pogrzebie. W niewielkiej paczuszce były dokumenty dotyczące sklepu. List od prawnika wyjaśniający, że wypełniając wolę zmarłej, pani Emily Brewer, ma obowiązek mnie poinformować et cetera... Był także list napisany jej ręką, pismem drobnym i zdecydowanym, jakby oszczędzała siły.

Drogi Robercie!

Chcę, żebyś wiedział, że pozostawiam kawiarnię moim siostram. Nie jest to wielki spadek, zważywszy na to, że nie przynosi dużych zysków, ale nigdy nie byłam w interesach tak trzeźwa jak mój ojciec. Z tym miejscem wiążą się moje szczęśliwe wspomnienia. Mam nadzieję, że zechcesz tam pozostać, przynajmniej na razie. Sprawa potrzebuje Castle Street, a Castle Street potrzebuje Ciebie.

Robercie, ufam, że mężczyźni i kobiety będą dobrze się rozumieć tylko wtedy, gdy będą sobie równi. Może powiesz, że to nie ma nic wspólnego z głosowaniem, ale uważam, że pewne prawa są koniecznym pierwszym krokiem na drodze do tego, co naprawdę ważne.

Dlatego muszę Ci coś wyjawić, chociaż z wielkim trudem przychodzi mi przedstawienie tego tak wyraźnie, czarno na białym... Pamiętasz ten wieczór, kiedy powiedziałałam ojcu, że chcę Cię poślubić i dlaczego? Chyba

zawsze zakładałaś, że powody, które mu przedłożyłam, były prawdziwe. Tak nie było. Powiedziałam tylko to, co moim zdaniem mogło go przekonać. Wcześniej była groźba skandalu z Hectorem... Jak miałam łam stanąć i powiedzieć, co naprawdę czuję, jak bardzo Cię pragnę? Ale taka jest prawda. Jakże pragnęłam poczuć Twoją bliskość... Wyobrażałam to sobie wiele razy... pokrywałam każdy cal Twego ciała pocałunkami, myślałam o tym, jak byłoby nam w łóżku. No proszę – powiedziałam to. Zawsze chciałam przeżyć to z Tobą, a potem obudzić się rano i czuć ciepło Twojej skóry na plecach, Twój oddech na szyi, i wiedzieć, że gdy tylko wyciągnę rękę, Ty tam będziesz...

Wstydziałam się tego. My, kobiety, nie powinnyśmy czuć takich namiętności, prawda? Po Hectorze przysięgałam ojcu, że się zmieniałam, że panuję nad emocjami, ale prawda była inna. Dlatego zbyt wiele powstało niedomówień. A później, z Arthurem, kiedy mogłabym coś powiedzieć... znasz część przyczyn, dla których tego nie robiłam, ale chyba przede wszystkim byłam wówczas więźniarką własnych zasad.

Zakochasz się ponownie – to oczywiste, że tak będzie. A gdy to się stanie, musisz coś dla mnie zrobić. Powiedz jej wszystko. O mnie i o sobie, i o tym, co się stało w Afryce. Mów jej o swoich uczuciach, a może któregoś dnia ona w zamian zdobędzie się na odwagę i powie Ci o swoich pragnieniach.

Proszę Cię jeszcze o jedno: chciałabym, żebyś to wszystko spisał. Byś opowiedział naszą historię. Wiem,

że zrobisz to lepiej niż ktokolwiek inny. Oczywiście każdy uważa, że jego życie przypada na moment zwrotny – może to jedna z nadzwyczajnych cech życia, że jest niekończącym się łańcuchem momentów zwrotnych – ale czuję, iż ta historia i ten moment w żaden sposób nie powinny zostać zapomniane.

Powiedz prawdę, Robercie, i zrób to ładnie. W końcu to coś, do czego wszyscy powinniśmy się po czuwać.

Czasami, gdy tęsknota za Tobą stawiała się niemal nie do zniesienia, przypominałam sobie, że mężczyźni i kobiety sypiają ze sobą od tysięcy lat, że każdego dnia miliony ludzi robią to na terenie naszego kraju. A jednak przyjaźń między kobietą a mężczyzną wciąż jest czymś rzadkim i cennym. Robercie, kocham Cię, ale przede wszystkim cieszę się, że jestem Twoją przyjaciółką.

Twoja kochająca

Emily

Oprócz tego w paczuszce był jeszcze jeden list i małe mahoniowe pudełko. Rozpoznałem je natychmiast. Był to zapewne ostatni zachowany oryginał Metody Wallisa-Pinkera.

List zaś to ten, który do niej napisałem. Opatrzony uwagą prawnika: *Pan Brewer prosił, by to panu zwrócić.*

OSIEMDZIESIĄT OSIEM

Castle Street,

28 kwietnia

Droga Emily!

Odwiedził mnie Twój mąż. Martwi się o Twoje zdrowie – jak my wszyscy. To Cię zapewne nie zdziwi, może natomiast zdziwić Cię to, że złożył mi pewną propozycję.

Mówi, że jeżeli zrezygnujesz z głodówki, on zrezygnuje z Ciebie: odsunie się, umożliwiając Ci rozwód. Robi to oczywiście w błędnym przekonaniu, że Ty i ja jesteśmy kochankami i że gdy będziesz wolna, weźmiemy ślub. Chce, abym przekonał Cię do tego pomysłu.

Ukochana Emily, musisz wiedzieć, że kiedy myślę, jakim szczęściem byłoby małżeństwo z Tobą, nie potrafię wyobrazić sobie nic wspanialszego. Mimo to nie będę Cię do niczego przekonywał. Nie namawiam Cię ani do rezygnacji, ani do kontynuowania strajku. Chcę Ci tylko powiedzieć, że to, co zrobiłaś, jest wspaniałe, i cokolwiek teraz postanowisz, będę z Ciebie dumny. I zawsze będę Cię kochał.

Decyzja należy do Ciebie.

Cały Twój

Robert

OSIEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Składowe zapachu, wyczuwalne w posmaku, mogą mieć w sobie charakterystyczną słodycz przypominającą czekoladę; mogą przypominać dym z ogniska lub z fajki; mogą być podobne do korzennych przypraw, takich jak goździki; mogą się wydawać żywiczne jak w żywicy sosnowej; mogą też stanowić kombinacje tych cech.

Lingle, The Coffee Cupper's Handbook

Rozejm między rządem a walczącymi sufrażystkami utrzymywał się, więc żadnej ze stron nie było na rękę wykorzystywanie śmierci Emily do własnych celów. Jak mówił Brewer, jej poświęcenie na dłuższą metę nie miało wielkiego znaczenia. W ostatniej chwili rząd wycofał swoje poparcie dla projektu ustaw koncyliacyjnych. Oburzone sufrażystki odpowiedziały wezwaniem do nieposłuszeństwa wobec rządu.

W rezultacie nastął chaos. Do skrzynek na listy wpychano płonące prześcieradła, wybijano okna w budynkach rządowych i sklepach, podpalano pawilony na polach do krykieta, a nawet kościoły. Wiele lat później sufrażystki twierdziły, że ich rewolta miała pokojowy charakter, lecz w tamtym okresie wyglądało to zupełnie inaczej. Szczególnie częstym celem ataków był

premier Asquith. Próbowaly podrzeć mu ubrania, kiedy grał w golfa, lecz zapobiegła temu jego córka Violet, która przegnała je gołymi pięściami. Któregoś dnia, gdy jego samochód zwolnił, by nie rozjechać leżącej na drodze kobiety, nagle zjawiała się cała grupa i zaczęła go okładać biczami myśliwskimi – chronił go tylko cylinder. Na Euston Station obito w ten sposób mężczyznę omyłkowo wziętego za Asquitha. Sekretarz Irlandii uszkodził sobie rzepkę w kolanie, próbując go osłaniać w Whitehall, irlandzki parlamentarzysta siedzący obok niego w wagonie został zraniony tasakiem w ucho. W tym okresie prawie dwieście kobiet prowadziło głódówkę.

Na początku – jak wielu innych – uważałem, że rząd sobie na to zasłużył. Mężczyźni popierający protesty stanowili oddzielną strukturę w ramach organizacji. Sam rozbiłem kilka szyb i podpaliłem kilka pustych budynków, i za każdym razem z dumą myślałem, że robię to dla Emily. Jednakże – znów jak wielu innych – ostatecznie doszedłem do wniosku, że nie zależy mi tak bardzo na rozbudzaniu tego konfliktu jak przywódcy-niom ruchu.

* * *

Zdałem sobie z tego sprawę w dniu, w którym mieliśmy zaatakować National Gallery. Plan był taki: Dwie osoby wchodzi, udając zwiedzających, i w tym samym momencie wyciągają tasaki i tną obrazy. Celem naszego

ataku było malowidło *Wenus ze zwierciadłem*, słynny akt niedawno zakupiony przez galerię. W tym okresie wszystkie budynki publiczne były strzeżone przez policję, dlatego zalecano, żeby atakującymi byli mężczyzna i kobieta, gdyż takie pary wzbudzały mniej podejrzeń.

Nie widziałem wcześniej tego obrazu. Wisiał dumnie w tylnej galerii, pod świetlikiem. Kobieta leży na kanapie przed lustrem. Od jej skóry bije blask energii życiowej, a krągłości pleców są tak realistyczne w każdym szczególe, że poczułem się, jakby ta kobieta była tam, w tej sali, wraz z nami.

Pomyślałem: ona nie żyje... nie żyje od wieków, ale zmysłowa siła jej spojrzenia... to, jak Velazquez na nią zareagował jako mężczyzna i jako malarz, będzie trwać wiecznie.

Przypomniały mi się słowa z listu od Emily – listu, który nawet wtedy spoczywał starannie złożony w mojej kieszeni. *Obudzić się rano i czuć ciepło Twojej skóry na plecach, Twój oddech na szyi, i wiedzieć, że gdy tylko wyciągnę rękę, Ty tam będziesz...*

Stałem przed obrazem i kiedy zegar na kościele St. Martin-in-the-Fields wybił czwartą, – sygnał do uderzenia – nie mogłem się poruszyć. To kobieta obok mnie uniosła tasak, to ona z desperackim okrzykiem rozplatała długie białe plecy od ramion do talii, tak że płótno zawisło w strzępach. I nagle ujawniło się to, co nie było widoczne – że Wenus jest tylko obrazem, kruchą iluzją.

Sufrażystkę natychmiast schwytano. Stałem jeszcze przez chwilę przed zrujnowanym arcydziełem, czując

spływające po policzkach łzy. Wreszcie odwróciłem się i odszedłem. Wrzuciłem tasak do fontanny na Trafalgar Square i szedłem dalej. Na tym zakończyłem działalność dla Sprawy.

CZEŚĆ V

Cukier

DZIEWIĘCDZIESIĄT

„Świeży zbiór” – surowa, lekka woń kawy i aromat napoju, który wydobywa naturalne cechy mieszanki, szczególnie pod względem zapachu i cierpkości.

Sivetz, Coffee Technology

Minał rok. Odwiedzałem grób Emily, prowadziłem kawiarnię i aktualizowałem „Przewodnik”. Nie interesowałem się polityką, a jeszcze mniej sztuką. Prawdę mówiąc, kawiarni też nie poświęcałem wiele uwagi. Teraz klientów było niewiele – bojowniczkini nie potrzebowały już miejsca spotkań, a ponieważ wolałem samotność, nie czyniłem specjalnych starań, by utrzymać tę garstkę, która wciąż się zjawiała.

I oto pewnego dnia złożyły mi wizytę Ada i Żaneta. Spóźniłem się i zastałem je, jak rozglądają się po lokalu nieco zmieszane. Ada przesuwiała dłoń w rękawiczce po kontuarze z grymasem na twarzy oceniała rezultat tej kontroli.

- Czym mogę służyć? – zapytałem surowo.
 - Och, Robercie, jesteś – przywitała mnie Ada. – Proszę, zrób dla nas kawę.
 - Zrobię javę. Mokka jest stęchła.
- Wymieniły spojrzenia, lecz póki byłem zajęty pa-

rzeniem kawy, nie odzywały się. Nie widziałem ich od pogrzebu. Wtedy oczywiście były ubrane na czarno. Teraz miały suknie z marszczonego wzorzystego jedwabiu z dużymi miękkimi kołnierzykami i szerokimi białymi paskami. Takie tańce jak *turkey trot* wymagały luźnych ubrań, ale bez względu na strój wykonywane szpagaty dostatecznie szokowały starsze pokolenie.

– Wiesz, że teraz my jesteśmy właścicielkami tej kawiarni? – zapytała Ada.

Skinąłem głową.

– Z tych niewielu rachunków, które się zachowały, wynika, że to miejsce przynosi straty.

– Lokalizacja jest zła – powiedziałem opryskliwie. – To dzielnica mieszkalna. Nikt nie potrzebuje takiego lokalu przy domu.

Znowu wymieniły spojrzenia.

– Chodzi o to – odezwała się Żaneta – że szkoda by było zamknąć ten lokal.

Nie odpowiedziałem. Też tak myślałem, ale nie widziałem powodów, by utrzymywać kawiarnię.

– Żaneta ma kilka pomysłów – dodała Ada. – Chciałbyś posłuchać?

– Pewnie powinienem – odparłem bez entuzjazmu.

Wysunąłem krzesło. Żaneta powiedziała:

– Chyba masz rację, że to nie jest najlepsze miejsce na kawiarnię. Ale w kawiarniach ludzie piją nie tylko kawę. No trzeba uwzględnić bliskość domu.

– O ile wiem, to, co piją w domu, to nie kawa – parsknąłem. – To tylko paczkowane śmieci. Jak Castle. Tanie ziarna... wcześniej palone, wcześniej zmielone i przechowywane w papierowych paczkach na półkach panów Liptona Sainsbury’ego, aż cały aromat, który jeszcze się w nich tli. wyparuje.

– No właśnie – podsumowała Żaneta. Przyglądała mi się tymi swoimi zaspanymi, ledwie rozbudzonymi oczami. Chyba dojrzałem w nich błysk rozbawienia.

– Myślałyśmy o tym – wtrąciła Ada – żeby sprzedawać dobrą kawę.

Patrzyłem na nie zaskoczony.

– Rozumiesz, wychowywałyśmy się z kawą, dobrą kawą – wyjaśniła – taką, jaką teraz trudno dostać. Pomysłałyśmy, że skoro nam trudno jest kupić dobrą kawę, to inni są w podobnej sytuacji. Pewnie nie jest to ogromna grupa, ale... – omiotła wzrokiem pustą i musiałem przyznać raczej zaniedbaną kawiarnię – ale może wystarczy, by utrzymać ten lokal.

– Czyli proponujecie...

– To mała firma, jak niegdyś Pinkera – oświadczyła Żaneta. – W zasadzie sklep z prążarkami, które nie byłyby ukryte, tylko stałyby dumnie na widoku, żeby wszyscy je widzieli. – Nieświadomie wskazała szczupłym palcem na tylną ścianę, za którą było mniej więcej tyle miejsca, żeby ustawić tam dwie małe prążarki obok siebie. – Właśnie ten proces palenia kawy będzie czymś szczególnym.

– I zapach – dodała Ada.

– I zapach. – Żaneta pociągnęła nosem. – Zapach świeżo palonej mokki! Wyobraź sobie!

– Wiem – rzuciłem cierpko – jak smakuje palona kawa.

– I komin – powiedziała Ada, ignorując mnie. Wskazała na pusty kąt.

– Który by nawiewał aromat na ulicę – podchwyciła Żaneta.

– ...i nawet jeśli nie chcesz kupić funta bogoty...

– ...możesz wstąpić i kupić filizankę...

– ...albo dzbanek...

– Dzbanek? – zainteresowałem się.

Żaneta zwróciła na mnie wzrok. Rozespanie, jak zauważyłem, było iluzją. Miała oczy bystre, inteligentne, żywe.

– Jak kupowanie dzbanka piwa na kolację. Czemu nie kupować dzbanka kawy na śniadanie?

– Robią coś takiego w Afryce – przyznałem. – Sprzedawcy kawy chodzą po ulicach Hararu o świcie, a ludzie podchodzą do drzwi, żeby od nich kupować.

Żaneta położyła dłoń na dłoni Ady.

– Widzisz? Robert już to sobie wyobraża. – Uśmiechnęła się do mnie.

– Czyli chodzi o palenie i sprzedawanie świeżych ziaren – podsumowałem. – Ale czy w ten sposób nie

będziemy konkurować bezpośrednio z... z kawą pakowaną? Taką jak Castle?

Ada pokiwała głową.

– Odkąd marka Castle nie jest już nasza, to żaden problem. A poza tym, nie będzie w porządku, jeśli nie potrafimy wyprodukować lepszej kawy.

– No i nie będziemy wydawać pieniędzy na reklamę – dodała Żaneta – tylko na dobre ziarna... afrykańskie, jeśli chcesz. – Otworzyła torebkę i wyjęła kilka rysunków i fotografii. – Ale postaramy się, żeby to wyglądało ładnie. – Położyła je przede mną. – To herbaciarnie, które ostatnio widziałam w Glasgow. Ten styl nazywa się *art nouveau*. Moglibyśmy tutaj zrobić coś podobnego. Z twoim podniebieniem naszymi pieniędzmi to miejsce może odnieść sukces.

– Musielibyśmy je teraz zamknąć – zauważyłem, przyglądając się rysunkom. – Taka zmiana potrwa miesiące.

– Trzy tygodnie – poprawiła mnie Żaneta. – Zaczynamy pojutrze.

– Dobry Boże... *myl*

Żaneta odłożyła szkice.

– Mamy zamiar być pracodawczyniami, które dopilnują wszystkiego na miejscu. Mam nadzieję, że to ci nie będzie przeszkadzało... to znaczy, praca dla kobiety.

– Ale... to chyba nie przystoi córkom Samuela Pinkera? Na pewno teraz jesteście zamożne.

– Doprawdy, Robercie, czyżby moje siostry niczego cię nie nauczyły? My same decydujemy, co nam przystoi, a co nie.

– Wasz ojciec nie będzie zadowolony.

– Wręcz przeciwnie. Nie doceniasz go. Nic nie cieszy go bardziej niż sukcesy córek. A przy okazji, przesyła ci pozdrowienia.

Chrząknąłem.

– Na Narrow Street nie ma dziś ani ziarenka kawy – dodała Ada. – Magazyn zamieniono w olbrzymie biuro. Tam gdzie były worki, teraz stoją biurka. Ale myślę, że on tęskni za starymi czasami. Mógłbyś z nim czasem porozmawiać.

– Naprawdę myślicie, że on wam pomoże?

Siostry spojrzały po sobie.

– A czemu miałybyśmy potrzebować jego pomocy?
– zapytała Żaneta. – To biznes.

* * *

Gdy wychodziły, Żaneta jeszcze odwróciła się w drzwiach.

– Czy piszesz coś o Emily?

– Skąd ten pomysł?

– Bo prosiła cię o to. Wiem, mówiła mi.

– To nie takie proste.

- Ale próbujesz?
- Chyba tak. A dlaczego pytasz?
- Bo bardzo bym chciała to przeczytać – powiedziała szczerze. – Zabierz się więc do tego, dobrze?

* * *

Podszedłem do okna, by popatrzeć, jak odchodzą. Żaneta najwyraźniej miała więcej pomysłów – pokazywała siostrze róg ulicy, potem znowu kawiarnię, tłumacząc coś z ożywieniem. Uchwyciłem jej profil, ten rozspany uśmiech... poczułem, jak coś we mnie drga, coś, czego już się nie spodziewałem.

O nie, pomyślałem. Proszę, nie. Tylko nie to. Znowu.

DZIEWIĘCDZIESIĄT JEDEN

Otworzyliśmy kawiarnię. Zakochaliśmy się. Ale to już inna historia – zupełnie różna od tej, choć na swój sposób tak samo ciekawa. Historia, która ma własny bieg zdarzeń, własne niespodzianki, prologi, refreny i nagłe zwroty akcji; historia, której nie da się opowiedzieć, ponieważ w przeciwieństwie do historii mnie i Emily na razie nie ma zakończenia.

* * *

„Żądać moralnych tendencji od artysty znaczy to samo, co psuć mu rzemiosło”^[29] powiedział Goethe. Kiedyś broniłbym tego stwierdzenia jak największej świętości, lecz teraz, dobrnąwszy do końca moich własnych krótkich wspomnień, przekonuję się, że tkwiący we mnie wiktorianin nie będzie usatysfakcjonowany, gdy zabraknie tu morału, czyli nie podsumuję całości. A skoro to, co piszę, ma zadowolić tylko mnie, postaram się zrobić to naprawdę dobrze.

Czego się nauczyłem?

Nauczyłem się tego, czego każdy musi się nauczyć sam, nikogo nie da się nauczyć – że wbrew temu, co mogą twierdzić poeci, istnieją różne rodzaje miłości.

Nie chodzi mi o to, że każdy romans różni się od innego romansu. Mam tu na myśli to, że sama miłość to

nie jedno uczucie, lecz ich ogrom. Tak jak dobra kawa może pachnieć choćby skórą, tytoniem i wiciokrzewem, i to naraz, tak samo miłość jest mieszanką wielu uczuć: zauroczenia, idealizacji, czułości, pożądania, pragnienia ochrony i bycia chronionym, chęci zniewolenia, braterstwa, przyjaźni, podziwu i estetycznej satysfakcji oraz tysięcy innych.

Nie istnieje żaden system czy kod, który pomógłby rozszyfrować tajniki tych uczuć. Niektóre można znaleźć na końcu świata, inne w spojrzeniu obcego człowieka. Jedne są obecne w sypialni, inne na zatłoczonej ulicy. Można spłonąć jak ćma w ich płomieniach albo ogrzać się w ich łagodnym blasku. Jedne niosą rozkosz, inne szczęście, a jeszcze inne – gdy się komuś uda – i jedno, i drugie.

Śmiech kobiety, zapach dziecka, przyrządzanie kawy – oto różne smaki i zapachy miłości.

DZIEWIĘCDZIESIĄT DWA

Chciałem w tym miejscu skończyć, ale Żaneta po przeczytaniu rękopisu miała parę uwag. Tak to jest, gdy ma się żonę i pracodawcę w jednym: jestem naciskany z dwóch stron wiem, że póki nie ulegnę, nie będę miał spokoju.

Więc dla ścisłości, podobno nie jest prawdą, że obiecano mi „bardzo korzystną propozycję: trzy razy za dwa wiersze”. Ona twierdzi poza tym, że wiersz, który wtedy ułożyłem, był dużo krótszy od tego, który tu przytaczam, i wcale nie taki dobry; podobno nawet się dobrze nie rymował.

Utrzymuje też, że Hector był o wiele sympatyczniejszy, niż go przedstawiłem: „przystojny, romantyczny, typ niespokojnego łowcy przygód, niewiarygodnie odczytany, biegły w kilku językach, antropolog jeszcze zanim zaczęto używać tego terminu”. Może więc wyrządziłem mu krzywdę, ale jeśli prawdę mówił Oscar Wilde, że każdy portret jest wiernym odzwierciedleniem nie przedmiotu, lecz twórcy, to czuję się usprawiedliwiony. Jego obraz zapewne jest zniekształcony moim osobistym stosunkiem.

Jednocześnie Żaneta sądzi, że stworzony przeze mnie portret Emily nieco odbiega od prawdy i to inaczej niż w wypadku Hectora. Widocznie miłość uczyniła mnie ślepym na jej wady. „Moja siostra była urocza pod wieloma względami, ale bywała też surowa i uparta –

napisała na marginesie. – Na pewno nigdy nie puszczałyby bąków w mojej obecności, obawiając się, że zachęci mnie do tego, co nazywała barbarzyństwem. Co prawda, Ada pamięta jakieś zawody rozgrywane między nimi w tej konkurencji, gdy były nastolatkami. Myślę jednak, że ważniejsze jest zaznaczenie, iż Emily przyciągała do bojowniczek ich absolutna autokracja – to, że sufrażystki mówiły o Emmeline Pankhurst »Przywódczyni« zawsze mnie od nich odstraszało. Nie wspominasz nigdzie, że to umiarkowane sufrażystki, a nie bojowniczki, w końcu wywalczyły dla nas prawa wyborcze, i to dopiero wiele lat po wydarzeniach, które opisujesz”.

Co do rozdziałów poświęconych Fikre, Żaneta oczywiście obsypała marginesy mnóstwem wykrzykników... pojedynczych, podwójnych, a nawet wielokrotnych. A już przy scenie opisującej moje pierwsze fizyczne zbliżenie z Fikre w domu francuskiego kupca, gdy częstowała mnie kawą podczas ceremonii miłości, Żaneta wysuwa całą baterię znaków interpunkcyjnych. Pod koniec tego fragmentu dopisała na marginesie: „Co?!!! Według moich obliczeń to cztery (!) razy – czy mówimy o tym samym Robercie Wallisie???”. Cóż, może mi nie wierzyć, jeśli tak woli, ale odpowiedź na to pytanie brzmi: nie, to jest inny Robert Wallis. Wówczas byłem młodym człowiekiem, a nie można mieć wszystkiego – zalety wieku dojrzałego łączą się z pewnymi ograniczeniami.

„Opowiedz o Arthurze”, napisała na ostatniej stronie. Istotnie, miałem zamiar to zrobić, ale tak się złożyło,

że te informacje nigdzie nie pasowały. Po śmierci Emily Arthur Brewer nagle zmienił front i zaczął wygłaszać przemówienia popierające ruch sufrażystek. Łatwo w tym miejscu stwierdzić cynicznie, że poczuł, z której strony wieje wiatr; łatwo też przyjąć bardziej wspaniałomyślną interpretację i uznać, że śmierć Emily i jej okoliczności temu towarzyszące sprawiły, że zrozumiał, jaką krzywdę wyrządził swojej żonie. Jego własne publiczne komentarze w tej kwestii mogą być potwierdzeniem obu wersji. W wywiadzie dla „Daily Telegraph” powiedział tylko: „Moim zadaniem jest przedstawiać w parlamencie opinie moich wyborców. Teraz widzę wyraźnie, że większość z nich opowiada się za prawami wyborczymi dla kobiet, nawet jeśli nie pochwalają metod, które wyrządziły tej sprawie wiele krzywd”.

Castle Coffee była przez jakiś czas najbardziej popularną marką kawy paczkowanej w kraju. Kiedy jednak firmę przejął Jock Howell, podjął kilka złych decyzji; w szczególności nie przewidział zmian, jakich na rynku kawy po wojnie dokona kawa rozpuszczalna. W końcu nazwa Castle została sprzedana kolejnemu koncernowi, który wdał się w agresywną walkę cenową z konkurentem i przegrał.

Tymczasem drobni importerzy opracowywali własne wersje przewodników testowania kawy, poprawiając i ulepszając dzieło, które rozpoczęliśmy wraz z Emily. Metoda Wallisa-Pinkera nie jest już jedyną ani najobszerniejszą spośród tych systemów. Lubię jednak myśleć, że gdyby nie powstał „Przewodnik”, późniejsze

wersje nigdy nie przybrałyby obecnej formy.

Kawiarnia odnosiła coraz większe sukcesy. Siostry Pinker nie były ze mną zupełnie szczere, gdy odwiedziły mnie tamtego dnia. Świadczy o tym drobne, acz znaczące przejęzyczenie Żanety, która wówczas spytała, czy nie będzie mi przeszkadzała praca dla *kobiety* – uwaga na liczbę pojedynczą. Szybko stało się jasne, że cały plan i energia potrzebna do jego wykonania pochodziły od Żanety. Tego dnia poprosiła Adę o przyjście, żeby czuć się różnie, a także dlatego, że – jak dzisiaj przyznaje – już wtedy podejrzewała, że jej stosunki ze mną będą obciążone ładunkiem uczuć wykraczających poza sferę zawodową.

Po dwóch latach otworzyliśmy drugi lokal, potem następny jeszcze jeden – i wtedy zrozumieliśmy, że jeśli nie będziemy uważać, to nasza firma zamieni się w ten typ przedsiębiorstwa, którego oboje baliśmy się jak ognia: w którym liczby mają większy wpływ na decyzje niż aromat prażonej jawy, *mouthfeel* kenijskiej czy smak świeżego naparu gwatemali, kwaskowatej pełnej wigoru... Zaprzestaliśmy na tym i nie mamy w planach otwierania kolejnych oddziałów.

Przyznaję, że wciąż z dystansem podchodzę do mieszanek. Uważam, że rzeczy powinny mieć taki smak, jaki mają, a nie taki, jaki chcemy im nadać. Wady kawy są tak samo częścią jej charakteru, jak i jej zalety i jeśli o mnie chodzi, nie chciałbym ich maskować. Jednakże pod wpływem nalegań Żanety sporządziłem kilka mieszanek i cieszą się one dużą popularnością. wreszcie,

pięć lat po wydarzeniach, które tu opisałem, razem z Żanetą stworzyliśmy własną mieszankę. Pachniała mocno wanilią i bezami, paloną śmietaną i skórką chleba oraz tą delikatną, ledwie wyczuwalną wonią seksu, która spowija skórę wszystkich noworodków zaraz po opuszczeniu łona matki. Jest idealna, a nazywa się ni mniej, ni więcej tylko Geraldine Emily Wallis.

PODZIĘKOWANIA

„Przewodnik” Wallisa-Pinkera wiele zawdzięcza kilku podręcznikom dla testerów kawy, starym i nowym, a w szczególności *The Coffee Cupper's Handbook* Teda R. Lingle'a, wydanemu przez Specialty Coffee Association of America. W dużej mierze inspirowany też był zestawem *Le Nez du Café*, obejmującym aromaty w buteleczkach stworzone przez Jeana Lenoira i broszurę z definicjami autorstwa Jeana Lenoira i Davida Guermonpreza (tłumaczenie z francuskiego na angielski Sharon Sutcliffe).

Korzystałem z wielu książek o kawie, między innymi: *Uncommon Grounds* (Mark Prendeigast), *Black Gold* (Anthony Wild), *The Devil's Cup* (Stewart Lee Allen), *Coffee: the Epic of a Commodity* (Heinrich Jacob). Tę niewielką wiedzę, jaką posiadam o uprawie kawy w epoce wiktoriańskiej, zdobyłem z książki *Coffee: its Cultivation and Profit* (Lester Arnold) wydanej w 1886 roku.

Dostosowałem kilka wydarzeń z dziejów ruchu sufrażystek do mojej historii. Informacje na ten temat, w tym relacje z pobytu w więzieniu *strajków głodowych*, znalazłem w *Votes for Women: the Virago Book of Suffragettes* (red. Joyce Marlow) i *Literature of the Women's Suffragette Campaign in England* (red. Carolyn Christensen Nelson).

Opisy sposobów leczenia hysterii są oparte na

książkach: *The Technology of Orgasm: 'Hysteria the Vibrator, and Women's Sexual Satisfaction* (Rachel P. Maines). To, co przedstawia autorka, brzmi dzisiaj tak niewiarygodnie, że pozwoliłem sobie włożyć w usta moich fikcyjnych lekarzy kilka cytowanych przez nią ówczesnych zasad.

Niektóre z opisów Londynu fin de siecle'u, podobnie jak karty dań, posiłki i inne obserwacje, zaczerpnąłem z tekstów, które powstały w tamtych czasach, w tym *Scenes of London Life* (Henry Mayhew i John Binney) i *Dinners and Diners* (Lieut-Col Newnham– Davis), które znajdują się na wspaniałej stronie internetowej www.victorianlondon.org.

Listy Roberta Wallisa z podróży do Afryki są oparte na kilku późnowiktoriańskich dziennikach podróżnych, wśród których wyróżniają się tacy autorzy, jak Gustave Flaubert i Mary Kingsley – oboje eksplorowali ten ląd z dużo większym entuzjazmem niż Robert Wallis. Szczególnie wiele zawdzięczam książce *Somebody Else: Arthur Rimbaud in Africa 1880–91* (Charles Nicholl), a zwłaszcza tej części, która odtwarza podróż Rimbauda z Adenu do Hararu na podstawie notatek Alfreda Bardeya, podróżnika i handlarza kawą.

Inspiracją do opisów niewolnictwa epoki wiktoriańskiej była dla mnie książka Pata Shipmana *To The Heart of the Nile*. Jest to biografia Lady Florence Baker, którą wypatrzył na aukcji podróżnik Samuel Baker, jej przyszły mąż.

Z głębi serca dziękuję wszystkim, którzy czytali

tekst w brudnopisie. Należą do nich: Tim Riley, Judith Evans i Elinor Cooper – zagorzali, niezmordowani redaktorzy i krytycy; Peter Souter, który od początku był entuzjastycznie nastawiony; i moje agentki Caradoc King i Linda Shaughnessy, które przez cały czas okazywały mi wsparcie i pomoc. Oczywiście dziękuję też Jo Dickinson i Kate Miciak, moim redaktorkom w wydawnictwach Little, Brown and Random House (odpowiednio), bez których *Ulotny urok kawy* byłyby zupełnie innym naparem.

Ulotny urok kawy dedykuję moim siostram: Clare, Carolyn i Jane.

PRZYPISY

- [1] Przeł. Marian Reiter, w: Marek Aureliusz, *Rozmyślania*. PWN. Warszawa 1984. księga 4. 48. s. 42.
- [2] Algernon Charles Swinburne. *Pomiędzy morzem a słońcu zachodem*. przeł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. w: *Panteon wielkich twórców poezji i prozy*. Stanisław Lam (red.). wyd. Trzaska. Evert i Michalski. Warszawa 1930. t. II. s. 222.
- [3] Kohelet 11, 6, *Biblia Tysiąclecia*. Wyd. Pallottinum. Poznań 2002.
- [4] Stara rządowa java.
- [5] Nawiązanie do baśni o Jasiu Fasoli, cytat wykorzystany też m.in. przez Szekspira.
- [6] Percy Bysshe Shelley, *Obrona poezji*, przeł. Jan Świerżowicz, w: *Manifesty romantyzmu 1790–1830*, PWN, Warszawa 1975, s. 107.
- [7] Walter Pater, *Renesans. Rozważania o sztuce i poezji*, przeł. P Kopszak. Aletheia, Kraków 1998. s. 166.
- [8] Nawiązanie do pierwszej angielskiej książki o homoseksualizmie *Sexual Inversion*, której autorem był Havelock Ellis, członek towarzystwa Nowe Życie.
- [9] Percy B. Shelley, *Epipsychidion*, przeł. Jan Kasprówicz, w: *Poeci ongielscy w przekładzie Jana Kasprówicza*. Lwów 1907. s. 262.
- [10] Mowa o *home rule* – rządy krajowe, dosł, domowe, autonomia. Hasto Irlandczyków w walce o autonomię

w latach 1870–1921.

- [11] Postać z *Burzy* Szekspira. „Wtedy się budzę z płaczem, bo pragnęby śniło się dalej” – akt III, scena 2. przeł. Stanisław Barańczak.
- [12] Villanella – utwory wierszowane, wywodzące się z włoskiego folkloru. W XIX i XX w. gatunek ten rozwinął się w poezji francuskiej i angielskiej w utworach refleksyjno-filozoficznych.
- [13] Fikcyjna postać z opery komicznej pod tytułem *Mikado* (Sullixan i Gilbert), osadzonej w Japonii, która jest satyrą na brytyjskich polityków i instytucje.
- [14] Sposób obsługi, który wprowadził w XIX w. rosyjski ambasador we Francji. W stylu francuskim wszystkie dania były rozłożone na stole, a styl rosyjski (a *la russe*) przypomina dzisiejszy sposób obsługi (każdy gość otrzymuje porcję na talerzu).
- [15] Kawa: uprawa i zyski.
- [16] Oscar Wilde, *Bądźmy poważni na serio* (akt I). przeł. Cecylia Wojewoda, w: Oscar Wilde, *Cztery komedie*, PIW. Warszawa I% 1, s. 365.
- [17] *Ibidem*, s. 381.
- [18] W tychże to nocach bez dna ukrywasz sny swoje. Milionie złotych ptaków, przyszłej Mocy słońce? – *Statek pijany*. Jean Arthur Rimbaud, przeł. Miriam (Zenon Przesmycki), w: Arthur Rimbaud. *Wybór poezji*, Siedmioróg. Wrocław 1997, s. 35.
- [19] Lecz zbyt wiele płakałem! Jutrznie są. bolesne – *ibidem*, s. 35.

- [20] O, niechaj dno nie pęknie! Niech pójdę pod morze! – *ibidem*, s. 35.
- [21] Walter Pater, op.cit.. s. 167
- [22] Rady Strażników miały pilnować niskich podatków nakładanych na ubogich (w związku z nową ustawą o ubogich – New Poor Law).
- [23] Oba tytuły to przykłady książek o tematyce erotycznej z okresu wiktoriańskiej Anglii, często drukowanych potajemnie. *My Secret Life* to pamiętnik anonimowego autora.
- [24] Łk 1,15, op.cit.
- [25] Wizja idealnej kobiety epoki wiktoriańskiej, którą przedstawił Coventry Patmore w wierszu *Angel in the House*.
- [26] Herbert Henry Asquith – premier Wielkiej Brytanii 1908–1916.
- [27] *Old Moore's Almanack* – rodzaj kalendarza stworzony przez Francisa Moore'a. lekarza, filozofa, astrologa. Zawierał m.in. prognozy pogody i inne przepowiednie, wydawany w Wielkiej Brytanii od 1697 r. do dzisiaj.
- [28] Pieśń marszowa skomponowana w okresie amerykańskiej wojny secesyjnej. W Polsce popularna melodia znana jako *Glon. glon. alleluia*.
- [29] Przeł. Aleksander Guttry: J.W. Goethe. *Z mojego życia. Zmyślenia i prawda*. PIW. Warszawa 1957. księga 12. s. 110.